



Opowieści
z Akademii
Nocnych Łowców

CASSANDRA CLARE
SARAH REES BRENNAN
MAUREEN JOHNSON
ROBIN WASSERMAN

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Witamy w Akademii Nocnych Łowców

Zaginiony Herondale

Demon z Whitechapel

Nic prócz cieni

Zło, które kochamy

Książęta i rycerze bladzi

Gorycz w ustach

Próba ognia

Dla nocy i ciemności

Aniołowie po dwakroć zstępujący

CASSANDRA CLARE
SARAH REES BRENNAN
MAUREEN JOHNSON
ROBIN WASSERMAN

Opowieści
z Akademii
Nocnych Łowców

Przełożyła
Małgorzata Śtrzelec

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2017

Tytuł oryginału:
Tales From the Shadowhunter Academy

Copyright © 2016 by Cassandra Clare, LLC

Copyright for the Polish translation © 2017 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Urszula Okrzeja

Korekta:
Magdalena Górnicka

Ilustracje:
Cassandra Jean

Ilustracja na okładce:
Cliff Nielsen

Opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-802-6

Wydanie II

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 22 813 47 43
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

*Wszystkim tym,
którzy szukają bohaterów
lub pragną nimi zostać jak Simon.
Wasze zdrowie, wy, którzy ratujecie
całe światy (i być może galaktykę).*

Witamy w Akademii Nocnych Łowców

Cassandra Clare i Sarah Rees Brennan



WRÓCĘ.



NIE
WĄTPIĘ.

MAM
WRAŻENIE,
ŻE ZAWSZE
WRACASZ.

A KIEDY
JUŻ WRÓCĘ,
BĘDĘ ŚWIETNY.



NIE MYŚL,
ŻE BĘDĘ
CZEKAĆ
NA CIEBIE,
SIMONIE
LEWISIE.

W PORZĄDKU,
CÓŻ, BĘDZIE
MI CIEBIE
BRAKOWAĆ.

GDYBYŚ
MNE
POTRZEBOWAŁ,
ZJAWIĘ
SIĘ.

W PORZĄDKU.

Niestety Simon nie miał pojęcia, jak powinien spakować się jako twardy zabijaka.

Co należy spakować na biwak – to oczywiste; co zabrać na wypad do Erica albo na weekendowy koncert – pestka; co wziąć na wakacje w słońcu z mamą i Rebeccą – żaden problem. W okamgnieniu wrzuciłby do torby stos olejków do opalania i szortów albo koszulki stosownego zespołu i czystą bieliznę. Simon był przygotowany do normalnego życia.

I dlatego nie miał zielonego pojęcia, jak spakować się na wyjazd do elitarnej szkoły, gdzie walczące z demonami półlanioty zwane Nocnymi Łowcami spróbują przekształcić go w członka własnej wojowniczej rasy.

W książkach i filmach bohaterowie zostawali przeniesieni do magicznej krainy w ubraniach, które mieli na sobie, albo całkowicie prześlizgiwali się przez kwestię pakowania. Simon czuł teraz, że media okradły go z kluczowych informacji. Powinien włożyć do torby noże kuchenne? Zabrać ze sobą toster, żeby naprędce sklecić z niego broń?

Simon nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego wybrał bezpieczne rozwiązanie: czystą bieliznę i T-shirty z dowcipnymi nadrukami. Przecież Nocni Łowcy muszą uwielbiać zabawne T-shirty, prawda? Wszyscy kochają zabawne T-shirty.

– Oj, kolego, nie wiem, co w akademii wojskowej pomyślą o T-shirtach ze sprośnymi żartami – odezwała się jego mama.

Simon odwrócił się trochę za szybko. Serce podeszło mu do gardła. Mama stała w progu ze skrzyżowanymi rękami. Na jej wiecznie stroskanej twarzy pojawiły się nowe zmarszczki

wyrażające niepokój, ale przede wszystkim patrzyła na niego z miłością. Jak zawsze.

Tyle że w zupełnie innym zestawie wspomnień, do których Simon miał ledwie dostęp, został wampirem i matka wyrzuciła go z domu. To był jeden z powodów, dla których Simon wybierał się do Akademii Nocnych Łowców i zacisnąwszy zęby, okłamał matkę, że rozpaczliwie tego pragnie. Magnus Bane, czarownik o kocich oczach (Simon naprawdę znał czarownika o naprawdę kocich oczach), spreparował dla niego dokumenty, które przekonały matkę, że jej syn otrzymał stypendium w fikcyjnej akademii wojskowej.

Zrobił to wszystko, żeby nie musieć codziennie patrzeć jej w oczy i przypominać sobie, jak na niego patrzyła, kiedy się go bała, kiedy go nienawidziła. Kiedy go zdradziła.

– Myślę, że dość rozsądnie oceniłem swoje T-shirty – odpowiedział jej. – Jestem całkiem rozsądnym facetem. Nic zbyt bezczelnego dla wojskowych. Tylko rzetelny sprawdzony repertuar klasowego błazna. Zaufaj mi.

– Ufam ci, bo inaczej w ogóle bym cię nie puściła – powiedziała mama. Podeszła do niego i pocałowała go w policzek. Była zaskoczona i zraniona, kiedy się wzdrygnął, ale nie skomentowała tego. Nie w jego ostatni dzień w domu. Zamiast tego objęła go. – Kocham cię. Pamiętaj o tym.

Simon wiedział, że zachowuje się niesprawiedliwie. Matka wyrzuciła go, myśląc, że nie jest już tak naprawdę Simonem, ale nieczystym potworem, który nosi twarz jej syna. Nadal jednak czuł, że powinna była go rozpoznać i kochać bez względu na wszystko. Nie potrafił zapomnieć o tym, co zrobiła.

Chociaż ona o tym zapomniała; chociaż dla niej i niemal wszystkich innych ludzi na świecie to nigdy się nie wydarzyło.

Dlatego musiał odejść.

Simon spróbował się rozluźnić w jej objęciach.

– Mam sporo na głowie – powiedział, zaciskając dłoń na ręce

matki – ale postaram się o tym pamiętać.

Odsunęła się.

– Mam nadzieję. Na pewno wolisz, żeby to znajomi cię odwiedzi?

Miała na myśli jego znajomych Nocnych Łowców (udawał, że to jego kumple z akademii wojskowej, którzy zachęcili go do wstąpienia). Ci znajomi byli drugim powodem, dla którego wyjeżdżał.

– Na pewno. Do widzenia, mamó. Kocham cię.

Mówił szczerze. Nigdy nie przestał jej kochać – w tym życiu czy innym.

„Kocham cię bezwarunkowo”, powiedziała jego matka raz albo dwa razy, kiedy był młodszy. „Tak właśnie kochają rodzice. Kocham cię bez względu na wszystko”.

Ludzie mówili takie rzeczy, nie biorąc pod uwagę potencjalnych koszmarnych scenariuszy ani przerażających sytuacji, gdy cały świat się zmienia i miłość umyka. Nigdy nie przyszłoby im do głowy, że miłość zostanie poddana próbie i zawiedzie.

Rebecca przysłała mu kartkę z napisem „POWODZENIA, ŻOŁNIERZYKU!”. Simon pamiętał objęcia siostry i jej czuły głos w uchu, nawet kiedy wyrzucono go z własnego domu i zagrodzono mu wejście na każdy możliwy sposób. Kochała go nawet wtedy. To już było coś, ale to nie wystarczyło.

Nie mógł tu zostać uwięziony między dwoma światami i dwoma kompletami wspomnień. Musiał uciec. Musiał odejść i zostać bohaterem, jakim już raz się okazał. Wtedy to wszystko nabierze sensu, zyska jakieś znaczenie. Na pewno przestanie go ranić.

Simon zawahał się przed założeniem torby na ramię i opuszczeniem domu. Włożył kartkę od siostry do kieszeni. Opuszczał dom, żeby zacząć nowe dziwne życie, ale zabierze ze sobą jej miłość, jak już raz to zrobił.

* * *

Simon miał spotkać się z przyjaciółmi, chociaż żadne z nich nie wybierało się do Akademii. Zgodził się zajrzeć do Instytutu i pożegnać przed wyjazdem.

Kiedyś potrafił sam przeniknąć wzrokiem czary ochronne, ale teraz musiał mu w tym pomóc Magnus. Simon spojrzał na dziwną, imponującą budowlę Instytutu, przypominając sobie z niepokojem, że mijał już kiedyś to miejsce i widział tylko opuszczony budynek. To jednak było w innym życiu. Przypomniał sobie jakiś wyjątek z Biblii o dzieciach, które widzą świat przez zabrudzoną szybę, a dorastanie oznacza coraz wyraźniejsze postrzeganie. Widział Instytut całkiem dobrze: imponującą budowlę, która wznosiła się nad nim wysoko. To był jeden z tych budynków, który zaprojektowano tak, żeby ludzie czuli się jak mrówki. Simon pchnął zdobioną filigranami furtkę, przeszedł wąską ścieżką, która kluczyła wokół budowli i znalazł się na terenie Instytutu.

Za otaczającymi Instytut murami jakimś cudem (zważywszy na bliskość nowojorskiej alei) pięknie rozkwitał ogród. Znajdowały się tam imponujące kamienne ścieżki i ławeczki, a nawet posąg anioła, który przyprawiał Simona, fana „Doktora Who”, o rozstrój nerwowy. Anioł właściwie nie płakał, ale był zdecydowanie zbyt przygnębiony jak na gust Simona.

Na kamiennej ławce pośrodku ogrodu siedzieli Magnus Bane i Alec Lightwood, Nocny Łowca, który był wysoki, ciemnowłosy, całkiem silny i milczący (przynajmniej w towarzystwie Simona). Magnus był za to rozmowny, miał wspomniane wcześniej kocie oczy i magiczne moce, a w tej chwili nosił obcisły T-shirt w paski zebry z różowymi akcentami. Magnus i Alec spotykali się od pewnego czasu; Simon domyślał się, że Magnus jest w stanie rozmawiać za nich obu.

Za Magnusem i Alekiem koło kamiennego muru stały Isabelle

i Clary. Isabelle opierała się o mur ogrodowy i patrzyła w dal. Wyglądała, jakby właśnie pozowała do niewiarygodnie wytwornego zdjęcia. Z drugiej strony ona zawsze tak wyglądała. Na tym polegał jej talent. Clary zaś uparcie patrzyła jej w twarz, coś mówiąc. Simon uważał, że Clary w końcu postawi na swoim i zmusi Isabelle do uważnego słuchania. Na tym z kolei polegał talent Clary.

Na ich widok serce go zabolowało. Patrzenie na Clary i Isabelle wywoływało tępy i nieprzerwany ból.

Zamiast tego więc rozejrzał się za swoim przyjacielem Jace'em, który klęczał samotnie w przerośniętej trawie i ostrzył krótkie ostrze na kamieniu. Simon uznał, że Jace ma pewnie powód, żeby się tym zajmować, albo po prostu wiedział, że świetnie się przy tym prezentuje. On i Isabelle mogliby razem zapozować do rozkładówki w „Twardzielu Miesiąca”.

Wszyscy się zebrali. Tylko dla niego.

Simon poczułby się zaszczycony i kochany, gdyby nie czuł się tak dziwnie, ponieważ zachował tylko kilka urywków wspomnień, z których wynikało, że zna tych ludzi, a zyskał całe życie wspomnień, z których wynikało, że to uzbrojeni i nadmiernie zasadniczy nieznajomi. Z rodzaju tych, jakich człowiek woli unikać w środkach publicznego transportu.

To dorośli z Instytutu i Clave, rodzice Isabelle i Aleca oraz inni ludzie zasugerowali, że jeśli Simon chce zostać Nocnym Łowcą, powinien wstąpić do Akademii. Po raz pierwszy od dziesięcioleci uczelnia otwierała podwoje, żeby powitać nowych uczniów, którzy uzupełniliby niedawno zdziesiątkowane szeregi Nocnych Łowców.

Clary nie podobał się ten pomysł. Isabelle nie wypowiedziała ani słowa na ten temat, ale Simon wiedział, że jej też się to nie podoba. Jace argumentował, że sam doskonale poradzi sobie z wyszkoleniem Simona w Nowym Jorku. Zaoferował nawet, że wszystkim zajmie się osobiście i dopilnuje, żeby Simon dogonił

w szkoleniu Clary. Simon uznał, że to wzruszające i że musieli bardziej się zbliżyć z Jace'em, niż to pamiętał, ale prawda była taka, że nie chciał zostać w Nowym Jorku.

Nie chciał zostać w ich towarzystwie. Wątpił, żeby był w stanie znieść nieustanny wyraz ich twarzy, zwłaszcza Isabelle i Clary, wyrażający zawiedzione oczekiwania. Za każdym razem, kiedy go widzieli, rozpoznawali go i spodziewali się po nim różnych rzeczy. A on za każdym razem miał pustkę w głowie. Zupełnie jakby patrzył na kogoś, kto kopie w miejscu, o którym wie, że ukrył w nim coś cennego, kopie i kopie, aż zda sobie sprawę, że cokolwiek tam było, przepadło. Mimo to nadal kopie, bo sama myśl, że to utracił, jest zbyt okropna, a zawsze pozostaje jakaś nadzieja.

Nadzieja.

To on był zaginionym skarbem. To z nim wiązano nadzieje. I nienawidził tego. To był sekret, który próbował przed nimi ukryć, i wiecznie bał się, że go zdradzi.

Musi tylko przeżyć to ostatnie pożegnanie, a potem będzie przebywał z dala od nich, dopóki mu się nie poprawi, dopóki nie zbliży się do osoby, którą naprawdę chcieli widzieć. Wtedy nie będą nim rozczarowani, a on będzie ich znał. Odnajdzie tu swoje miejsce.

Nie chciał od razu powiadamiać całej grupy o swoim przyjsciu. Zamiast tego podszedł chyłkiem do Jace'a.

– Cześć – powiedział.

– O – rzucił beztrósco Jace, jakby wcale nie czekał w ogrodzie właśnie po to, żeby zobaczyć się z Simonem. Zerknął na niego mimochodem i zaraz odwrócił wzrok. – To ty.

Jace specjalizował się w niewymuszonej swobodzie i luzie. Simon przypuszczał, że kiedyś musiał to rozumieć i lubić.

– Słuchaj, pomyślałem, że nie będę miał już okazji o to zapytać. Ty i ja – zagadnął go Simon – byliśmy całkiem blisko, co?

Jace patrzył na niego przez chwilę z bardzo nieruchomą

twarzą, a potem poderwał się energicznie i odpowiedział:

– Zdecydowanie. Byliśmy dosłownie tak. – Skrzyżował palce. – A właściwie bardziej tak. – Spróbował skrzyżować palce raz jeszcze. – Początkowo istniało pewne napięcie, jak może sobie później przypomnisz, ale wszystko się wyklarowało, kiedy przyszedłeś do mnie i wyznałeś, że walczysz ze zżerającą cię zazdrością z powodu mojego, tu przytoczę twoje własne słowa, „olśniewającego wyglądu i nieodpartego czaru”.

– Tak powiedziałem?

Jace poklepał go po ramieniu.

– Pewnie, stary. Doskonale to pamiętam.

– No dobra, jak wolisz. Rzecz w tym, że... Alec jest zawsze przy mnie bardzo milczący – powiedział Simon. – Jest nieśmiały. Czy wkurzyłem go i o tym nie pamiętam? Wolałbym uporządkować pewne sprawy przed wyjazdem.

Twarz Jace’a znowu znieruchomiała w osobliwy sposób.

– Cieszę się, że mnie zapytałeś – odpowiedział w końcu. – Tu chodzi o coś więcej. Dziewczyny nie chciały, żebym ci mówił, ale prawda jest taka...

– Jace, nie zagarniaj go tylko dla siebie – wtrąciła się Clary.

Odezwała się stanowczo, jak to ona, a Jace odwrócił się, reagując na jej słowa tak jak zawsze – w sposób, w jaki nie reagował na niczyje inne. Clary podeszła do nich, a Simon znowu poczuł ból w piersi na widok jej rudych włosów. Clary była taka drobna.

W czasie jednego z niefortunnych treningów, kiedy Simon został odesłany na ławkę z powodu skręconego nadgarstka, widział, jak Jace cisnął nią o ścianę. A ona natychmiast odpowiedziała kontratakiem.

Mimo to Simon nadal miał wrażenie, że trzeba ją chronić. To uczucie było szczególnie przerażające, bo nie stały za nim żadne wspomnienia. Simon czuł się jak wariat, żywiąc różne uczucia do nieznanym, kiedy jego emocji nie popierały w dostatecznym

stopniu doświadczenia, do których mógłby się odwołać. A jednocześnie wiedział, że za mało czuje i wyraża. Wiedział, że nie daje im tego, czego chcą.

Clary nie potrzebowała ochrony, ale gdzieś w Simonie żyło widmo chłopca, który zawsze chciał jej bronić. A pozostając blisko, lecz nie potrafiąc być dla niej kimś takim, tylko ją ranił.

Wspomnienia wracały, czasem napływały w przygniatającym i przerażającym natłoku, ale zwykle były to tylko małe odpryski, fragmenty układanki, z których Simon ledwie wychwytywał jakiś sens. W jednym z takich urywków szedł do szkoły z Clary; jej dłoń była mała, a jego niewiele większa. Czuł się jednak wtedy duży, duży i dumny, i odpowiedzialny za nią. Przyniósł wtedy sobie, że jej nie zawiedzie.

– Cześć, Simon – powiedziała teraz.

Jej oczy lśniły od łez, a Simon wiedział, że to jego wina.

Wziął ją za rękę, drobną, ale stwardniałą od broni i rysowania. Chciałby znowu uwierzyć, że to ktoś, kogo może chronić, nawet jeśli wiedział, że ona tego nie potrzebuje.

– Cześć, Clary. Uważaj na siebie. Wiem, że potrafisz o siebie zadbać. – Zamilkł. – I uważaj na Jace’a, tego biednego, bezradnego blondyna.

Jace wykonał obsceniczny gest, który wydawał się Simonowi znajomy, więc wiedział, że to coś typowego dla nich dwóch. Jace pośpiesznie opuścił rękę, kiedy Catarina Loss wyszła z Instytutu.

Była czarownicą, jak Magnus, i jego przyjaciółką, ale zamiast kocich oczu miała niebieską skórę. Simon miał wrażenie, że nie przepada za nim szczególnie. Może czarownicy lubią tylko innych czarowników.

Chociaż Magnus najwyraźniej bardzo lubił Aleca.

– Cześć – powiedziała Catarina. – Gotowy do drogi?

Simon od tygodni nie mógł doczekać się tej chwili, ale teraz, kiedy nadeszła, panika chwyciła go za gardło.

– Prawie. Jeszcze sekundkę.

Skinął głową do Aleca i Magnusa, którzy odpowiedzieli tym samym. Czuł, że najpierw musi załagodzić konflikt między nim i Alekiem, zanim pozwoli sobie na coś więcej.

– Cześć, chłopaki, dzięki za wszystko.

– Uwierz mi, nawet częściowe uwolnienie cię od tego faszystowskiego czaru to dla mnie sama przyjemność – odpowiedział Magnus, unosząc rękę. Miał na palcach dużo pierścionków, które zabłysły w wiosennym słońcu.

Simon pomyślał, że na pewno oślepią swoich wrogów nie tylko magicznymi mocami, ale i błyskotkami.

Alec tylko skinął głową.

Simon pochylił się i objął Clary, chociaż to tylko pogłębiło ból w jego piersi. Jej dotyk i zapach wydawały się zarazem znajome i obce; sprzeczne informacje docierały do jego mózgu i ciała. Starał się nie objąć jej za mocno, chociaż ona właśnie to robiła. Właściwie to miażdżyła mu żebra. Nie miał nic przeciwko.

Kiedy ją wypuścił, odwrócił się i uściskał Jace'a. Clary patrzyła ze łzami spływającymi po policzkach.

– Rety – stęknął Jace, sprawiając wrażenie kompletnie zaskoczonego, ale poklepał go szybko po plecach.

Simon domyślał się, że pewnie zwykle robili żółwika albo coś podobnego. Nie wiedział, jak kumplują się wojownicy. Eric przepadał za uściskami. Simon uznał jednak, że to pewnie dobrze zrobi Jace'owi, więc na dokładkę zmierzwił mu włosy i dopiero wtedy się odsunął.

Potem zebrał się na odwagę, odwrócił się i podszedł do Isabelle.

Była ostatnią osobą, z którą musiał się pożegnać; to będzie najtrudniejsze pożegnanie. Nie przypominała Clary, która nie kryła łez, ani pozostałych, którym przykro było się żegnać, ale zasadniczo pogodzili się z jego wyjazdem. Sprawiała wrażenie bardziej obojętnej niż inni, tak obojętnej, że Simon wiedział, że to tylko poza.

– Wrócę – powiedział.

– Nie wątpię – odpowiedziała Isabelle, patrząc w dal ponad jego ramieniem. – Mam wrażenie, że zawsze wracasz.

– A kiedy już wrócę, będę świetny.

Simon złożył obietnicę, nie mając pewności, czy zdoła jej dotrzymać. Czuł, że powinien powiedzieć coś więcej. Wiedział, że ona chce, żeby wrócił do niej taki, jaki był kiedyś, lepszy niż teraz.

Isabelle wzruszyła ramionami.

– Nie zamierzam siedzieć i czekać na ciebie, Simonie Lewisie.

Tak jak maska obojętności, tak samo te słowa zabrzmiały jak obietnica czegoś całkowicie przeciwnego. Simon patrzył na nią przez chwilę. Była tak przytłaczająco piękna i imponująca, że ledwie był w stanie to ogarnąć. Z trudem wierzył w którekolwiek ze swoich nowych wspomnień, ale myślał, że Isabelle Lightwood mogła być jego dziewczyną, wydawała się znacznie bardziej niewiarygodna niż fakt, że wampiry naprawdę istnieją i Simon był kiedyś jednym z nich. Nie miał pojęcia, jakim cudem sprawił, że Isabelle poczuła coś do niego, nie wiedział zatem, co zrobić, żeby znowu to poczuła. Równie dobrze można by go poprosić, żeby zaczął latać. W ciągu kilku miesięcy, odkąd zjawiała się u niego z Magnusem i zwrócili mu tyle wspomnień, ile zdołali, raz poszli we dwoje potańczyć, dwa razy zaprosił ją na kawę, ale to nie wystarczyło. Za każdym razem Isabelle obserwowała go uważnie i wyczekująco, licząc na jakiś cud, o którym wiedział, że nie jest w stanie go dokonać. To znaczyło, że przez cały czas w jej towarzystwie nie potrafił wykrztusić słowa, bo był przekonany, że powie coś niewłaściwego i wszystko popsuje.

– W porządku – odpowiedział. – Cóż, będzie mi ciebie brakować.

Isabelle wyciągnęła nagle rękę i go przytrzymała. Nadal na niego nie patrzyła.

– Gdybyś mnie potrzebował, zjawię się – powiedziała i puściła

go.

– W porządku – powtórzył Simon i wrócił do Catariny Loss, która tworzyła Bramę do Idrisu, krainy Nocnych Łowców.

Pożegnanie było tak bolesne, niezręczne i wyczekiwane, że nie był w stanie docenić niesamowitości faktu, że właśnie na jego oczach ktoś posługuje się magią.

Pomachał na pożegnanie wszystkim ludziom, których ledwie znał i mimo to ich kochał. Miał nadzieję, że nie widzą, z jaką ulgą odchodzi.

* * *

Simon pamiętał strzępki obrazów z Idrisu – wieże, więzienie, surowe twarze i krew na ulicach – ale te wspomnienia pochodziły z miasta Alicante.

Tym razem znalazł się poza miastem. Stał wśród bujnego krajobrazu, mając po jednej stronie dolinę, a po drugiej łąki. W promieniu wielu mil nie widział niczego poza różnymi odcieniami zieleni. Jasnozielone połacie łąk ciągnęły się jedna za drugą aż do krystalicznego blasku na horyzoncie – Miasta Szkła, którego wieże płonęły w słońcu. Po drugiej stronie rozciągały się szmaragdowe głębiny lasu, ciemnozielona obfitość spowita w cienie. Czubki drzew stroszyły się na wietrze jak zielonkawe pióra.

Catarina rozejrzała się, potem zrobiła krok i stanęła na samej krawędzi doliny. Simon poszedł za nią, a wtedy cienie spowijające las uniosły się jak welon.

Nagle znaleźli się na terenach, które Simon rozpoznał jako place treningowe, połacie pustej przestrzeni otoczonej ogrodzeniami. Oznaczenia miejsc, po których Nocni Łowcy biegali lub z których rzucali, wryły się w ziemię tak mocno, że Simon widział je nawet ze sporej odległości. Pośrodku placów

treningowych i w samym sercu lasu, niczym klejnot, dla którego reszta otoczenia stanowi tylko tło, wznosił się wysoki szary budynek z wieżami i iglicami. Simon nagle zaczął szukać architektonicznych terminów takich jak przypora, żeby opisać sposób, w jaki kamień mógł przybrać kształt jaskółczych skrzydeł i podtrzymywać dach. W samym centrum fasady znajdowało się okno z witrażem. Na pociemniałym ze starości obrazie nadal był widoczny anioł z mieczem, niebiański i zaciekły.

– Witaj w Akademii Nocnych Łowców – powiedziała łagodnym głosem Catarina Loss.

Zaczęli razem schodzić. W pewnym momencie Simon poślizgnął się w tenisówkach na miękkiej, kruszącej się ziemi i Catarina musiał złapać go za kurtkę, żeby się nie przewrócił.

– Mam nadzieję, że zabrałeś jakieś turystyczne buty, mieszczuchu.

– Nie zabrałem ze sobą nawet turystycznych sznurówek – odpowiedział Simon.

Od początku wiedział, że źle się spakował. Instynkt dobrze mu podpowiadał, ale też nieszczęśliwie pomógł.

Catarina pewnie rozczarowana widocznym brakiem inteligencji Simona milczała, kiedy szli w cieniu konarów, w zielonym zmierzchu wśród drzew. W końcu las się przerzedził i światło słoneczne znowu wypełniło przestrzeń wokół nich, a w oddali przed nimi zamajaczyła Akademia Nocnych Łowców. W miarę jak się zbliżali, Simon zaczął dostrzegać pewne niedoskonałości budowli, których nie zauważył, kiedy w pierwszej chwili oniemiał z wrażenia i znajdował się daleko. Jedna z wysokich, smukłych wież pochylała się pod niepokojącym kątem. W łukach znajdowały się ogromne ptasie gniazda, a w kilku oknach trzepotały pajęczyny, długie i gęste jak zasłony. Jeden z paneli w witrażu przepadł i w miejscu oka anioła ziała czarna dziura, przez co wyglądało to, jakby anioł trudnił się piractwem.

Wszystkie te spostrzeżenia napełniły Simona złymi przeczuciami.

Przed Akademią pod spojrzeniem anioła-pirata kręcili się jacyś ludzie. Wysoka kobieta o grzywie jasnorudych włosów, a za nią dwie dziewczyny, które Simon wziął za uczennice Akademii. Obie wyglądały na jego rówieśniczki.

Gałazka pękła pod stopą Simona i wszystkie trzy spacerujące kobiety się obejrzały. Jasnoruda natychmiast rzuciła się do działania – popędziła do Catariny i wpadła na nią, jakby ta była jej dawno zaginioną niebieską siostrą. Złapała ją za ramiona, a Catarina sprawiała wrażenie wyjątkowo wzburzonej.

– Pani Loss, dzięki niech będą Aniołowi, że się pani zjawiała! – wykrzyknęła. – Panuje tu chaos, absolutny chaos!

* * *

– Nie wydaje mi się, abym miała... przyjemność – odpowiedziała Catarina, robiąc znaczącą pauzę.

Kobieta otrząsnęła się i wypuściła czarownicę, kiwając głową i potrząsając przy tym jasnymi włosami.

– Nazywam się Vivianne Penhallow. Jestem dziekanem Akademii. Ogromnie się cieszę, że mogę panią poznać.

Przemawiała oficjalnie, ale była okropnie młoda jak na kogoś, kto stoi na czele wysiłków mających na celu ponowne otwarcie Akademii i przygotowanie nowych, rozpaczliwie potrzebnych Nocnym Łowcom rekrutów. Z drugiej strony Simon przypuszczał, że takie rzeczy zdarzają się, kiedy jest się krewniaczką pani Konsul. Simon nadal próbował rozgryźć, w jaki sposób działa rząd Nocnych Łowców i jak wyglądają ich drzewa genealogiczne. Odnosił wrażenie, że wszyscy są spokrewnieni ze wszystkimi, i było to nadzwyczaj niepokojące.

– Na czym polega problem, dziekan Penhallow?

– Prawdę powiedziawszy, tygodnie przeznaczone na remont Akademii okazały się, ehm... „zdecydowanie niewystarczające”, to chyba najlepsze słowa na opis naszej sytuacji – tłumaczyła gorączkowo dziekan Penhallow. – I niektórzy z nauczycieli już, ehm, wyjechali w pośpiechu. Wątpię, żeby zamierzali wrócić. Właściwie to niektórzy zapewnili mnie, że nie wrócą, i posługiwali się przy tym bardzo dosadnym językiem. Ponadto w Akademii jest odrobinę chłodno i jeśli mam być całkiem szczerą, konstrukcja budynku jest ociupinę osłabiona. Co więcej, gwoli ścisłości, muszę powiedzieć, że mamy pewien problem z zapasami żywności.

Catarina uniosła jasną jak kość słoniowa brew.

– Na czym polega problem z zapasami?

– Nie mamy żadnych.

– To rzeczywiście stanowi problem.

Pani dziekan nieco się zgarbiła i odetchnęła głęboko, jakby przechowywanie takich informacji bardzo ją zmęczyło.

– Te dwie towarzyszące mi dziewczyny to starsze uczennice z dobrych rodzin, Julie Beauvale i Beatriz Velez Mendoza. Pojawiły się wczoraj i naprawdę okazały się nieocenione. A ty, młodzieńcze, musisz być Simonem – powiedziała, obdarzając go uśmiechem.

Simon stał przez chwilę zaskoczony i nie bardzo rozumiał dlaczego, dopóki nie przypomniał sobie jak przez mgłę, że bardzo niewielu dorosłych Nocnych Łowców okazało kiedykolwiek zadowolenie z towarzystwa wampira. Oczywiście teraz dziekan nie miała powodu, żeby go natychmiast znienawidzić. Ponadto sprawia wrażenie, że cieszy się z poznania Catariny, pomyślał Simon; może po prostu jest w porządku. A może cieszyła się na myśl, że Catarina jej pomoże.

– Oczywiście – powiedziała czarownica. – To ogromna niespodzianka, że budynek, który stał opustoszały przez dziesięciolecia od czasu zawieruchy, nie sprawuje się bez zarzutu

po paru tygodniach remontu. Najlepiej będzie, jeśli pokaże mi pani, co sprawia najpoważniejsze kłopoty. Zabezpieczę te miejsca, żebyśmy nie mieli potem kłopotów, bo jakiś młodociany Nefilim skręci sobie kark.

Wszyscy spojrzeli na Catarinę.

– Bo to byłaby ogromna tragedia, chciałam powiedzieć – poprawiła się Catarina i uśmiechnęła się promiennie. – Czy jedna z dziewczyn mogłaby pokazać Simonowi jego pokój?

Najwyraźniej nie mogła się doczekać, kiedy pozbędzie się Simona. Naprawdę go nie lubiła. Simon nie miał pojęcia, co takiego jej zrobił.

Dziewkana wpatrywała się w Catarinę jeszcze przez chwilę, aż wreszcie się ocknęła.

– Ach, oczywiście. Julie, mogłabyś się tym zająć? Umieść go w więzy.

Julie uniosła brwi.

– Serio?

– Tak, serio. W pierwszym pokoju zaraz za wejściem do wschodniego skrzydła – powiedziała dziekan głosem zdradzającym napięcie, a potem odwróciła się do Catariny. – Pani Loss, jeszcze raz ogromnie dziękuję za przybycie. Naprawdę może pani naprawić kilka usterek?

– Istnieje takie powiedzenie: „Potrzeba Podziemnego, żeby posprzątać bałagan po Nocnych Łowcach” – odparła Catarina.

– Nigdy... Nigdy nie słyszałam tego powiedzenia.

– To zdumiewające – odrzekła Catarina, a jej głos cichł, w miarę jak się oddalała. – Podziemni często się nim posługują. Bardzo często.

Simona porzucono. Stał i wpatrywał się w dziewczynę, która z nim została, Julie Beauvale. Bardziej mu się podobała ta druga dziewczyna. Julie była bardzo ładna, ale jej twarz, nos i usta były dziwnie wąskie, przez co sprawiała wrażenie, że cała jej głowa się zacisnęła.

– Simon, zgadza się? – zapytała i wydawało się, że jeszcze bardziej ściągnęła wąskie usta. – Chodź za mną.

Odwróciła się; ruchy miała ostre jak sierżant od musztry. Simon ruszył za nią powoli, przekraczając próg Akademii i wchodząc do rozbrzmiewającego echem sklepionego korytarza. Przekrzywił głowę, próbując zorientować się, czy zielonkawy kolor sklepienia to tylko kwestia światła padającego z witraża, czy też widzi prawdziwy mech.

– Pośpiesz się, proszę – rozległ się głos Julie w jednym z sześciu przejść wyciętych w kamiennej ścianie. Ona sama już zniknęła.

Simon zanurzył się w ciemność w ślad za nią.

Ciemność okazała się tylko słabo oświetloną kamienną klatką schodową, która prowadziła do ciemnego kamiennego korytarza. Było tam mało światła, bo zamiast okien w murze wycięto tylko wąziutkie szczeliny. Simon przypomniał sobie, że czytał o takich otworach – pozwalały strzelać obrońcom z łuków, a zarazem uniemożliwiały skuteczny ostrzał z zewnątrz.

Julie poprowadziła go jednym korytarzem, potem drugim, w górę krótkimi schodami, w dół kolejnym korytarzem, przeszła przez mały okrągły pokój, który stanowił miłą odmianę, ale prowadził do następnego korytarza. Mrok, klaustrofobiczne kamienne pomieszczenia i specyficzny zapach w połączeniu z niekończącymi się korytarzami sprawiły, że Simonowi przyszły na myśl słowa „grób korytarzowy”. Starał się o nich nie myśleć, ale ciągle wracały.

– Czyli jesteś łowcą demonów – powiedział Simon, poprawiając torbę na ramieniu i doganiając Julie. – Jak to jest?

– Nocnym Łowcą. I znalazłeś się tutaj, żeby samemu się tego dowiedzieć – odpowiedziała mu i zatrzymała się przy jednych z licznych dębowych drzwi z zaciekami, żelaznymi okuciami i z klamką w kształcie anielskiego skrzydła. Chwyciła za klamkę, a Simon zauważył, że obracano ją przez tak wiele stuleci, że szczegóły skrzydła niemal całkiem się wytarły.

Za drzwiami znajdował się mały kamienny pokój z dwoma wąskimi łóżkami z rzeźbionymi drewnianymi kolumnienkami (na jednym leżała otwarta walizka), z oknem o zamazanych od brudu szybkach w kształcie rombów i wielką szafą przechyloną na bok, jakby brakowało jej jednej nóżki.

Był tam także chłopiec, który stał na stołku. Obrócił się powoli w ich stronę, przyglądając im się z góry, jakby był posągiem na cokole.

Właściwie to naprawdę przypominał posąg – o ile ktoś odziałby posąg w dzinsy i czerwono-żółtą koszulkę do rugby. Miał regularne i posągowe rysy twarzy, szerokie ramiona i sylwetkę sportowca jak prawie każdy Nocny Łowca. Simon podejrzewał, że Anioł nie wybierał astmatyków ani dzieciaków, które kiedykolwiek oberwały w twarz piłką do siatkówki na sali gimnastycznej. Chłopak miał złocistą opaleniznę, ciemnobrązowe oczy i kręcone ciemnoblonde włosy opadające na czoło. Uśmiechnął się na ich widok i zrobił mu się dołeczek w jednym policzku.

Simon usłyszał za plecami jakiś cichy odgłos i zerknął przez ramię. To było westchnienie, które wyrwało się z piersi Julie. Jednocześnie bezwiednie poruszyła się w niezaprzeczalnie kokieteryjny sposób. Simon nie uważał się za specjalnego znawcę męskiej urody, ale uznał, że takie wdzięczenie się to pewnie sygnał, że chłopak wygląda ponadprzeciętnie dobrze.

Przewrócił oczami. Najwyraźniej wszyscy Nocni Łowcy wyglądali jak modele prezentujący męską bieliznę, łącznie z jego nowym współlokatorem. Jego życie to farsa.

Julie była zajęta przyglądaniem się chłopakowi na stołku. Simon miał kilka pytań w rodzaju „kto to jest?” i „dlaczego stoi na stołku”, ale nie chciał jej przeszkadzać.

– Naprawdę cieszę się, że przyszliście. A teraz... tylko bez paniki – szepnął chłopak na stołku.

Julie cofnęła się o krok.

– Co z tobą nie tak? – zapytał ostro Simon. – Kiedy mówisz „bez paniki”, to wiadomo, że wszyscy będą panikować! Mów konkretnie, w czym problem!

– No dobra, rozumiem, o co ci chodzi, i masz rację – odpowiedział nieznajomy chłopak. Mówił z akcentem, niektóre sylaby wypowiadał szczególnie dźwięcznie, choć miękko. Simon był przekonany, że to Szkot. – Po prostu podejrzewam, że w szafie siedzi demoniczny opos.

– Na Anioła! – przeraziła się Julie.

– To idiotyczne – odrzekł Simon.

Z szafy dobiegł dziwny odgłos. Jakieś szuranie, stękanie i syczenie, od którego Simonowi włosy stanęły na karku.

Szybko jak błyskawica i z gracją Nocnego Łowcy Julie skoczyła na wolne łóżko. Simon przypuszczał, że zostało przydzielone jemu. Fakt, że spędził tu raptem dwie minuty, a dziewczyna już rzuciła się na jego łóżko, byłby ekscytujący, gdyby nie to, że uciekała przed piekielnymi gryzoniami.

– Zrób coś, Simonie!

– Właśnie, Simonie... Nazywasz się Simon? Cześć, Simon! Zrób coś, proszę, z tym demonicznym oposem – powiedział chłopak na stołku.

Odgłos drapania w szafie był bardzo głośny i Simon nabrał wątpliwości. Brzmiało to tak, jakby w szafie siedziało coś ogromnego.

– Urodziłam się w Mieście Szkła – powiedziała Julie. – Jestem Nocnym Łowcą i radzę sobie z demonami, ale wychowałam się w ładnym domu, w którym nie roiło się od obrzydliwych dzikich zwierząt!

– Ja jestem z Brooklynu – odrzekł Simon – i chociaż nie chcę się źle wyrażać o moim ukochanym mieście, tudzież nazywać go zaszczurzoną hałdą śmieci z dobrą muzyką czy czymś w tym guście, to znam się na gryzoniach. Ponadto myślę, że sam byłem gryzoniem, ale tylko przez chwilę, nie pamiętam tego za dobrze

i nie chcę o tym rozmawiać. Myślę, że poradzę sobie z oposem... Który, jestem co do tego przekonany, nie jest demoniczny z natury.

– Ja go widziałem, a wy nie! – krzyknął chłopak na stołku. – Mówię wam, że jest zdumiewająco duży! Piekielnie duży.

Usłyszeli kolejny szelest i głośnie niuchanie. Simon podkradł się do otwartej walizki na łóżku. Leżało w niej mnóstwo koszulek do rugby, ale na wierzchu było coś jeszcze.

– To broń? – zapytała Julie.

– Nie, skąd – odpowiedział Simon. – To rakietka do tenisa.

Nocnym Łowcom przydałoby się więcej zajęć dodatkowych.

Podejrzewał, że rakietka okaże się naprawdę kiepską bronią, ale niczym innym nie dysponował. Podszedł ostrożnie do szafy i otworzył gwałtownie drzwi. A tam, w pogryzionym, zniszczonym wnętrzu szafy siedział opos. Jego czerwone oczy zabłyśły. Zwierz otworzył pyszczek i syknął na Simona.

– Ohyda! – krzyknęła Julie. – Zabij to, Simon!

– Simon, jesteś naszą jedyną nadzieją! – dodał chłopak na stołku.

Opos poruszył się, jakby chciał skoczyć do przodu. Simon opuścił rakietę i uderzył nią o kamień. Opos znowu syknął i ruszył w inną stronę. Simona naszła szalona myśl, że to zwód, i dosłownie w tej samej chwili zwierzak śmignął między jego nogami. Simonowi wyrwał się okrzyk, który zabrzmiała prawie jak skrzek. Chłopak zatoczył się do tyłu i uderzył na oślep kilka razy, za każdym razem trafiając w kamienne płyty. Pozostała dwójka krzyczała. Simon odwrócił się, próbując znaleźć oposa, dostrzegł błysk futra kątem oka i obrócił się znowu. Chłopak na stołku – albo szukając otuchy, albo w nieprzemyślany sposób próbując mu pomóc – złapał Simona za ramiona i chciał go odwrócić, trzymając w garści jego koszulkę.

– Tam! – wrzasnął mu do ucha.

Simon obrócił się, potem został obrócony wbrew swojej woli

i wpadł na stołek.

Poczuł, że taboret się przechyla, opiera o jego nogi, a stojący na nim chłopak znowu złapał Simona za ramiona. Simonowi już kręciło się w głowie; zatoczył się, zobaczył drobną puszystą postać oposa przekradającą się po jego własnej tenisówce i popełnił straszliwy błąd: uderzył się w nogę rakieta. Bardzo mocno.

Simon, stołek, chłopak na stołku i rakieta zwalili się na podłogę.

Opos czmychnął za drzwi. Simon miał wrażenie, że przed ucieczką rzucił mu czerwonoookie triumfalne spojrzenie.

Simon nie był w stanie ruszyć w pościg, bo zaplątał się w ludzkie i stołkowe nogi i uderzył głową o kolumnkę łóżka.

Próbował usiąść prosto, masując głowę, w której nieco mu się kręciło, kiedy Julie zeskoczyła z łóżka. Kolumnka zakołysała się pod wpływem tego ruchu i znowu uderzyła Simona w potylicę.

– Zostawię was, zanim to stworzenie wróci do gniazda! – powiedziała Julie. – Znaczy, zostawię was... samych. – Zatrzymała się w progu, patrząc w kierunku, w którym uciekł opos. – Do zobaczenia – dodała i czmychnęła w przeciwną stronę.

– Auć – jęknął Simon. Zrezygnował z siadania i tylko opierał się na rękach. Skrzywił się. – Auć do kwadratu. To było... To było...

Machnął w stronę stołka, otwartych drzwi, obrzydliwej szafy i własnej postaci na podłodze.

– To było... – powtórzył, a potem złapał się na tym, że kręci głową i się śmieje. – To był naprawdę imponujący pokaz umiejętności trójki przyszłych nadzwyczajnych łowców demonów.

Chłopak, który już nie stał na stołku, wyglądał na zaskoczonego i bez wątpienia uznał, że jego nowy współlokator jest obłąkany i chichocze z powodu oposów. Simon nie potrafił się powstrzymać. Nie mógł przestać się śmiać.

Każdy z Nocnych Łowców, których znał w Nowym Jorku,

załatwiłby tę sprawę bez mrugnięcia okiem. Był pewien, że Isabelle odciąłaby głowę oposa mieczem. A teraz otaczali go ludzie, którzy panikowali, krzyczeli i wskakiwali na stołki, wymachujące rękami. Żałosne istoty ludzkie nieradzące sobie z jednym zwierzakiem. A Simon był jedną z nich. To były zwyczajne dzieciaki.

Simonowi tak ulżyło, że aż zakreśliło mu się od tego w głowie. Chociaż może zawroty głowy były spowodowane uderzeniem o łóżko.

Nie przestawał się śmiać, a kiedy zerknął raz jeszcze na współlokatora, chłopak odwzajemnił spojrzenie.

– Jaka szkoda, że nasi nauczyciele nie widzieli tego wspaniałego popisu – powiedział z powagą nowy kumpel Simona. Potem też wybuchł śmiechem, zasłaniając usta ręką. W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki mimiczne, jakby nieustannie się śmiał i jego twarz już do tego przywykła. – Rzucimy wroga na kolana.

Po tym wybuchu postoposowej hysterii Simon i jego współlokator wstali z podłogi, zajęli się rozpakowywaniem rzeczy i zapoznawaniem ze sobą.

– Przepraszam za to wszystko. Nie radzę sobie z małymi czmychającymi stworzeniami. Mam nadzieję, że będę walczyć z demonami, które trochę bardziej odstają od ziemi. Nawiasem mówiąc, nazywam się George Lovelace – powiedział chłopak, siadając na łóżku obok otwartej walizki.

Simon spojrzał na swoją torbę pełną zabawnych T-shirtów, a potem podejrzliwie na szafę. Nie wiedział, czy może powierzyć jej swoje koszulki.

– Czyli jesteś Nocnym Łowcą?

Teraz już rozpoznawał nazwiska Nocnych Łowców, a zresztą wystarczył mu jeden rzut oka, żeby się zorientować, że George jest jednym z nich. Mimo to rozczarował się, bo do ostatniej chwili miał nadzieję, że George okaże się gościem w porządku.

Dobrze wiedział, co Nocni Łowcy myślą na temat Przyziemnych. Byłoby miło poznać tu kogoś, dla kogo to wszystko też jest nowe, i razem przejść przez szkołę.

Miło byłoby mieć znowu fajnego współlokatora, pomyślał Simon. Takiego jak Jordan. Nie pamiętał zbyt dobrze Jordana, który był jego współlokatorem w wampirycznym okresie, ale te wspomnienia, które odzyskał, były pozytywne.

– No wiesz, jestem Lovelace – odpowiedział George. – Moi przodkowie przestali być Nocnymi Łowcami z lenistwa w XVIII wieku, przenieśli się pod Glasgow i zostali najlepszymi złodziejami owiec na tych ziemiach. Druga gałąź rodziny Lovelace’ów porzuciła walkę z demonami w XIX wieku. Chyba jakaś ich córka wróciła do fachu, ale zginęła, więc zostaliśmy tylko my. Nocni Łowcy pukali do naszych drzwi przez wiele pokoleń, a moi dzielni przodkowie odpowiadali: „Nie, zostaniemy przy owcach”, aż w końcu Clave sobie odpuściło, bo miało dość naszego wałkonienia się. Co mogę ci powiedzieć? Lovelace’owie łatwo sobie odpuszczają.

George wzruszył ramionami i wykonał gest rakieta, jakby mówił: „Co ja poradzę”. Naciąg w rakiacie popękał. To była ich jedyna broń, na wypadek gdyby opos wrócił.

Simon sprawdził telefon. W Idrisie nie było zasięgu (jakoś to go nie zdziwiło), więc wrzucił go do torby między koszulki.

– Szlachetna spuścizna.

– Możesz uwierzyć, że dowiedziałem się o tym raptem kilka tygodni temu? Nocni Łowcy znowu nas odnaleźli i powiedzieli, że potrzebują nowych, ehm, łowców demonów do walki ze złem, bo sporo ich zginęło w wojnie. Jedno ci powiem, stary: Nocni Łowcy naprawdę potrafią podbijać serca i umysły.

– Powinni robić ulotki – zasugerował Simon, a George wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Fotka z kilkoma twardzielami ubranymi na czarno. Mogliby na nich napisać „GOTOWY ZOSTAĆ TWARDZIELEM?”. Skontaktuj mnie z działem marketingowym

Nefilim, bo mam jeszcze parę takich perełek w zanadrzu.

– Niestety, mam dla ciebie złe wiadomości na temat większości Nocnych Łowców i ich umiejętności posługiwania się fotokopiarką – powiedział mu George. – W każdym razie okazało się, że moi rodzice od zawsze wiedzieli, tylko nie raczyli mnie poinformować. Bo niby dlaczego miałyby mnie zaciekawić taki drobiazg? A mówili, że babcia zwariowała, kiedy opowiadała o tańcach z faerie! Przed wyjazdem bardzo jasno wyraziłem, co myślę o ukrywaniu przede mną nadzwyczaj odlotowych sekretów. Gwoli sprawiedliwości: tata powiedział, że babci naprawdę brakuje piątej klepki, ale przyznał, że faerie rzeczywiście istnieją. Tyle że raczej nie jej ukochany faerie, który ma cztery cale wzrostu i nazywa się Dzwoneczek.

– Tak bym obstawiał – stwierdził Simon, zastanawiając się nad wszystkim, co pamiętał na temat faerie. – Ale dużo bym nie postawił.

– Czyli jesteś z Nowego Jorku? – powiedział George. – Nieźle.

Simon wzruszył ramionami. Nie wiedział, co powiedzieć; całe życie czuł się całkiem naturalnie z faktem, że mieszka w Nowym Jorku, a potem odkrył, że miasto i jego własna dusza go zdradzili, i wtedy wręcz boleśnie zapragnął wyjechać.

– Jak się dowiedziałeś o tym wszystkim? Masz Widzenie?

– Nie – odpowiedział powoli Simon. – Nie, jestem zwykłym człowiekiem, ale moja najlepsza przyjaciółka odkryła, że jest Nocnym Łowcą i córką naprawdę złego gościa. I siostrą drugiego bardzo złego gościa. Miała wyjątkowego pecha, jeśli chodzi o krewnych. Wplątałem się w to i prawdę mówiąc, nie za wiele pamiętam, bo...

Simon urwał i próbował wymyślić, jak wyjaśnić amnezję demonicznego pochodzenia, żeby George nie uznał, że jego współlokator ma ten sam problem co jego babcia.

– Ty jesteś Simon! – wyrwało się George'owi. – Simon Lewis.

– Zgadza się. Ej, moje nazwisko było na drzwiach, czy może...

jest jakaś lista, na której powinienem się podpisać...

– Wampir – powiedział George. – Najlepszy przyjaciel Mary Morgenstern!

– Ehm, Clary – poprawił go Simon. – Zgadza się. Lubię myśleć o sobie jako o byłym nieumarłym.

George patrzył na niego, jakby był pod wielkim wrażeniem, a nie rozczarował się albo czegoś od niego oczekiwał, i było to nieco krepujące. Simon musiał też przyznać, że odrobinę przyjemne. Ludzie z jego starego i nowego życia całkiem inaczej na niego patrzyli.

– Nie rozumiesz. Przyjechałem do tej zimnej dziury pełnej brudu i gryzoni, a tu aż buzowało od opowieści o bohaterach, którzy są w moim wieku i naprawdę zeszli do piekła. To naprawdę sprawia, że patrzysz z innej perspektywy na fakt, że toalety nie działają.

– Toalety nie działają? To co mamy... Znaczą jak...

George odkaszlnął.

– Będziemy obcować z naturą, jeśli wiesz, co mam na myśli.

George i Simon wyjrżeli przez okno na las w dole, liście kołyszące się łagodnie na wietrze za szybkami w kształcie rombów. A potem popatrzyli po sobie ponuro i smutno.

– Serio mówię! Wszyscy gadają o tobie i twojej paczce bohaterów – powiedział George, wracając do weselszych tematów. – O tym i o gołębiach, które mieszkają w piekarnikach. Ocaliłeś świat, nie? I w ogóle o tym nie pamiętasz. To musi być dziwne uczucie.

– Jest dziwne, dzięki, że wspomniałeś.

George roześmiał się, rzucił zniszczoną raketę na podłogę i patrzył na Simona jak na kogoś niesamowitego.

– Rety, Simon Lewis. Chyba muszę podziękować komuś w tej Akademii Horrorów za fajnego współlokatora.

* * *

George sprowadził go na kolację, za co Simon był mu głęboko wdzięczny. Jadalnia przypominała wszystkie inne kwadratowe, kamienne pomieszczenia Akademii, tyle że tu na jednym końcu wznosił się potężny, rzeźbiony kominek z dwoma skrzyżowanymi mieczami powyżej i mottem tak zatartym, że Simon nie był w stanie go odczytać.

Stało tam kilka okrągłych stolików z drewnianymi krzesłami różnych rozmiarów. Simon zaczął naprawdę wierzyć, że Akademię wyposażono na wyprzedaży garażowej u jakiegoś staruszka. Przy stolikach tłoczyły się dzieciaki. Większość była co najmniej dwa lata młodsza od Simona. Sporo było jeszcze młodszych. Simon nie zdawał sobie sprawy, że jak na kandydata na łowcę demonów jest dość dorosły, i to go trochę zdenerwowało. Ogromnie mu ulżyło, kiedy wypatrzył kilka z grubsza znajomych twarzy w jego wieku.

Julie o ściągniętej twarzy, Beatriz i jeszcze jeden chłopak pomachali do nich. Simon zakładał, że machają do George'a, ale kiedy usiadł, Julie pochyliła się do niego.

– Nie mogę uwierzyć, że nie powiedziałaś, że jesteś Simonem Lewisem. Myślałam, że jesteś zwykłym Przyziemnym.

Simon odchylił się nieco.

– Bo jestem zwykłym Przyziemnym.

Julie się roześmiała.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Chciała powiedzieć, że wszyscy jesteśmy twoimi dłużnikami – odezwała się Beatriz Mendoza i uśmiechnęła się do niego. Miała piękny uśmiech. – Nie zapominamy o tym. Miło cię poznać i świetnie, że tu jesteś. Może nawet chociaż raz uda nam się sensownie pogadać z chłopakiem. Z Jonem nie ma na to szansy.

Chłopak, który miał bicepsy rozmiarów głowy Simona, wyciągnął do niego rękę nad stołem. Chociaż naprawdę budziła postrach, Simon ją uściskał.

– Jestem Jonathan Cartwright. Miło cię poznać.

– Jonathan – powtórzył Simon.

– To bardzo popularne imię wśród Nocnych Łowców – wyjaśnił Jon. – Na pamiątkę Jonathana Nocnego...

– Ehm, nie musisz, wiem, mam swój egzemplarz Kodeksu – powiedział Simon. Właściwie to Clary oddała mu swój, a on świetnie się bawił, czytając na stronach bazgroły niemal wszystkich z Instytutu. Miał wrażenie, że poznaje ich z bezpiecznej odległości, dzięki czemu nie mogli dostrzec jego braków w wiedzy. – Po prostu... Znam parę osób o tym imieniu, ale żadna z nich nie przedstawia się jako Jonathan. Nie przedstawiała się.

Nie pamiętał za dużo na temat brata Clary, ale znał jego imię. Właściwie nie chciał przypomnieć sobie niczego więcej.

– Och, racja, Jonathan Herondale – powiedział Jon. – No jasne, że go znasz. Właściwie sam całkiem dobrze się z nim znam. Nauczyłem go paru sztuczek, które pewnie pomogły wam wszystkim w walce w królestwie demonów, mam rację?

– Masz na myśli... Jace'a? – zapytał z powątpiewaniem Simon.

– No jasne. Pewnie o mnie wspominał.

– Nie przypominam sobie... – odrzekł Simon. – Ale z drugiej strony cierpię na demoniczną amnezję.

Jon skinął głową i wzruszył ramionami.

– Jasne. Fatalna sprawa. Pewnie wspomniał o mnie, a ty zapomniałeś z racji demonicznej amnezji. Nie chcę się przechwalać, ale jesteśmy ze sobą całkiem blisko, ja i Jace.

– Sama chciałabym być blisko z Jace'em Herondale'em. – Julie westchnęła. – On jest taki cudowny.

– Absolutnie najsmakowitsze ciacho, chciałoby się go jeść łyżkami – przytaknęła z rozmarzeniem Beatriz.

– A to kto? – zapytał Jon, zerkając spod zmrużonych powiek na George'a, który odchyłał się na krześle i wyglądał na rozbawionego.

– Skoro już mowa o seksownych gościach? Nazywam się

George Lovelace – odpowiedział George. – Wypowiadam swoje nazwisko bez wstydu, ponieważ jestem pewien własnej męskości.

– Och, Lovelace – powiedział Jon i się rozpogodził. – Jasne, możesz z nami siedzieć.

– Muszę przyznać, że moje nazwisko jeszcze nigdy nie podniosło mojej atrakcyjności – zauważył George. – Nocni Łowcy i bądź tu mądry!

– No wiesz – odezwała się Julie – lepiej trzymać się ludzi ze swojej grupy.

– Słucham? – zapytał Simon.

– W Akademii są dwa różne kursy – wyjaśniła Beatriz. – Kurs dla Przyziemnych, gdzie mówi się uczniom o prawdziwym świecie i funduje się niezbędny im podstawowy trening, oraz kurs dla dzieciaków prawdziwych Nocnych Łowców, na którym realizuje się bardziej zaawansowany program.

Julie wykrzywiła usta.

– Podsumowując, Beatriz mówi, że mamy tu elitę i motłoch.

Simon popatrzył na nią pełen najgorszych przeczuć.

– Czyli ja, rzecz jasna, wyląduję w motłochu.

– Nie, Simonie, skąd! – wykrzyknął zaszokowany Jon. – Oczywiście, że nie.

– Ale jestem Przyziemnym.

– Nie jesteś zwykłym Przyziemnym – wyjaśniła mu Julie. – Jesteś wyjątkowym Przyziemnym. A to oznacza, że dla ciebie robi się wyjątek.

– Gdyby ktokolwiek chciał cię umieścić z Przyziemnymi, już ja sobie z nim porozmawiam – zapewnił go wyniośle Jon. – Każdy przyjaciel Jace’a Herondale’a jest naturalnie moim przyjacielem.

Julie poklepała Simona po ręce. Simon spojrzał na dłoń, jakby nie należała do niego. Nie chciał wylądować w grupie dla cieniasów, ale nie było mu też szczególnie miło, gdy go zapewniano, że na pewno do niej nie trafi.

Z drugiej strony pamiętał, jak Isabelle, Jace i Alec rzucali czasem powierzchowne uwagi na temat Przyziemnych. Wcale nie byli tacy źli, po prostu w taki sposób ich wychowano; nie mieli na myśli tego, co wydawało się, że mają. Simon był prawie tego pewien.

Beatriz, którą Simon od razu polubił, pochyliła się naprzeciwko Julie i powiedziała:

– Więcej niż zapracowałeś sobie na to miejsce.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Simon po prostu musiał odwzajemnić uśmiech.

– Czyli... ja wyląduję na kursie dla motłochu? – zapytał powoli George. – Nic nie wiem na temat Nocnych Łowców, Podziemnych i demonów.

– O, nie – odpowiedział Jon. – Jesteś Lovelace. Odkryjesz, że to wszystko przyjdzie ci z wielką łatwością. Masz to we krwi.

George zagryzł usta.

– Skoro tak mówisz.

– Większość uczniów w Akademii będzie na kursie elitarnym – dodała pośpiesznie Beatriz. – Nasi nowi rekruci są przeważnie tacy jak ty, George. Nocni Łowcy przemierzają cały świat w poszukiwaniu zaginionych i rozrzuconych ludzi z krwią Nefilim.

– Czyli to dzięki odpowiedniej krwi trafia się do lepszej grupy – upewnił się George. – A nie dzięki wiedzy.

– To uczciwe – przekonywała go Julie. – Spójrz na Simona. To jasne, że znalazł się na kursie dla elity. Udowodnił, że jest tego godny.

– Simon musiał uratować świat, a my dostaniemy się, bo mamy właściwe nazwiska? – spytał od niechcienia George. Mrugnął porozumiewawczo do Simona. – Masz pecha, stary.

Przy stole zapadło pełne skrępowania milczenie, ale Simon podejrzewał, że nikt nie jest równie zażenowany jak on.

– Czasem ci, którzy mają krew Nocnych Łowców, są

umieszczani z motłochem, jeśli się skompromitowali – rzuciła krótko Julie – ale przeważnie owszem, ta grupa jest zarezerwowana dla Przyziemnych. Kiedyś tak to wyglądało w Akademii i tak będzie to wyglądać w przyszłości. Przyjmujemy do Akademii nielicznych Przyziemnych z Widzeniem albo nadzwyczajnie sprawnych fizycznie. To dla nich wspaniała możliwość, szansa stania się czymś więcej, niż mogli kiedykolwiek marzyć. Nie mogą jednak dotrzymać kroku prawdziwym Nocnym Łowcom. Oczekiwać od nich czegoś takiego to nie byłoby w porządku. Nie wszyscy mogą być Simonem.

– Niektórzy z nich zwyczajnie nie wykażą odpowiednich predyspozycji – zauważył wyniośle Jon. – Niektórzy nie przeżyją Wstąpienia.

Simon otworzył usta, ale nim zdążył zadać pytanie, przerwało mu pojedyncze kłaśnięcie w dłoń.

– Moi drodzy uczniowie, obecni i przyszli Nocni Łowcy – powiedziała dziekan Penhallow, wstając z krzesła. – Witajcie! Witajcie w Akademii Nocnych Łowców! To ogromna radość widzieć was wszystkich tutaj, w tym pomyślnym dniu oficjalnego otwarcia Akademii, gdzie wyszkolimy nowe pokolenie, które będzie przestrzegać Prawa danego przez Anioła. To zaszczyt zostać przyjętym do tej Akademii, a dla nas to radość móc was tutaj uczyć.

Simon się rozejrzał. Zebrało się tu jego zdaniem ze dwustu uczniów, niewygodnie stłoczonych przy rozchwierutanych stolikach. Znowu zauważył, że niektórzy z nich byli bardzo młodzi, brudni i zaniedbani. Simon serdecznie im współczuł, chociaż jednocześnie zastanawiał się, jak właściwie wygląda sytuacja z bieżącą wodą w Akademii.

Nikt nie sprawiał wrażenia, że przyjęcie do Akademii było zaszczytem. Simon sam zaczął się zastanawiać nad metodami rekrutacji stosowanymi przez Nocnych Łowców. Julie mówiła

o nich, jakby ruszyli ze szlachetną misją, szukali zaginionych rodzin Nocnych Łowców i oferowali Przyziemnym niesamowite możliwości, ale niektóre z dzieciaków wyglądały na ledwie dwunastoletnie. Simon zastanawiał się, jakie musiały wieść życie, skoro w wieku dwunastu lat były gotowe je porzucić, by walczyć z demonami.

– Straciliśmy nieoczekiwanie kilku wykładowców, ale jestem przekonana, że doskonale poradzimy sobie ze wspaniałym personelem, jaki nam pozostał – mówiła dalej dziekan Penhallow. – Pozwólcie, że przedstawię Delaneya Scarsbury’ego, naszego głównego trenera.

Siedzący obok niej mężczyzna wstał. Przy nim bicepsy Jona wyglądały jak winogrona przy grejpfrucie. Nosił też opaskę na oku jak anioł na witrażu.

Simon odwrócił się powoli i spojrzał na George’a. Miał nadzieję, że on go zrozumie. „Niemożliwe” – powiedział, tylko poruszając ustami.

George, który rzeczywiście podzielał jego odczucia, skinął głową i powiedział bezgłośnie: „Nocny Łowca-Pirat”.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zgniotę was na miazgę i uformuję z niej zajadłych wojowników – oznajmił Scarsbury.

George i Simon wymienili kolejne wymowne spojrzenia.

Dziewczyna przy stole za Simonem rozplakała się. Wyglądała na jakieś trzynaście lat.

– A to jest Catarina Loss, ogromnie szanowana czarownica, która będzie was uczyła wielu rzeczy, między innymi historii!

– Hura – mruknęła Catarina Loss i bez entuzjazmu pomachała niebieskimi palcami, jakby postanowiła zaklaskać, ale nie chciało jej się podnieść obu rąk.

Dziekan dzielnie kontynuowała.

– Ponieważ Nocni Łowcy przybywali ze wszystkich zakątków świata, niegdyś w Akademii codziennie serwowaliśmy przepyszne danie z innego kraju. Zdecydowanie zamierzamy

podtrzymać tę tradycję! Niestety, kuchnie są w nie najlepszym stanie i na razie mamy...

– Zupę – orzekła beznamiętnie Catarina. – Kadzie pełne brązowej, mętnej zupy. Smacznego, dzieciaki.

Dziekan Penhallow niezmiernie tryskała entuzjazmem, nawet jeśli była w tym osamotniona.

– Zgadza się! Smacznego. I raz jeszcze witajcie.

Naprawdę nie podano niczego poza ogromnymi metalowymi wazami z bardzo podejrzana zupą.

Simon stanął w kolejce po posiłek i zerknął w tłuste odmęty ciemnego płynu.

– Żyją tam aligatory?

– Niczego nie mogę obiecać – odpowiedziała Catarina, zerkając do własnej misy.

Simon był wyczerpany i nadal głodny, kiedy wpełzł do łóżka tego wieczoru. Próbował poprawić sobie humor, myśląc, że dopiero co na jego łóżku była dziewczyna. Pomyślał, że pierwszy raz miał na swoim łóżku dziewczynę, ale potem powróciły do niego strzępki wspomnień i przyćmiły jego pewność. Przypomniawszy sobie, że Clary spała w jego łóżku, kiedy byli tacy mali, że na piżamach mieli ciężarówkę i kucyki. Przypomniawszy sobie, że całował Clary i że smakowała jak świeża lemoniada. A potem przypomniał sobie Isabelle, jej ciemne włosy rozrzucone na jego poduszce, odsłonięte dla niego gardło, paznokcie stóp drapiące go w nogę – zupełnie jak w erotycznym filmie o wampirach (jeśli pominąć motyw z paznokciami stóp). Tamten Simon był nie tylko bohaterem, ale też pożeraczem niewieścich serc. W każdym razie bardziej niż obecny.

Isabelle. Poruszył ustami, wypowiadając jej imię w poduszkę. Obiecał sobie, że nie będzie o niej myślał, dopóki nie osiągnie czegoś w Akademii. Dopóki rzeczywiście nie znajdzie się na drodze do poprawy, dopóki nie zbliży się do osoby, którą według Isabelle powinien być.

Obrócił się na plecy i zagapił w kamienny sufit.

– Nie śpisz? – szepnął George. – Ja też. Cały czas się martwię, że ten opos wróci. Skąd on w ogóle się tu wziął? I dokąd poszedł?

* * *

Simon już następnego dnia przekonał się, ile wysiłku będzie wymagała przemiana w Nocnego Łowcę.

Po pierwsze, Scarsbury sam ich zmierzył, żeby dobrać im stroje bojowe, co już samo w sobie było przerażającym doświadczeniem. Po drugie, wiązało się to z dość przykrymi osobistymi komentarzami na temat budowy jego ciała.

– Masz takie wąskie ramiona – powiedział w zamyśleniu Scarsbury. – Jak kobieta.

– Jestem gibki – poinformował go tonem pełnym godności Simon.

Spojrzał z goryczą na George'a, który wyciągał się na ławce i czekał, aż skończy się mierzenie Simona. Strój George'a nie miał rękawów; Julie już podeszła i pochwaliła, że strój świetnie na nim leży, i dotykała jego rąk.

– Coś ci powiem – odezwał się Scarsbury – mam tu strój przeznaczony dla dziewczyny...

– W porządku – odpowiedział Simon. – To okropne, ale w porządku! Proszę mi go dać.

Scarsbury wepchnął mu w ręce złożony czarny materiał.

– To strój przeznaczony dla wysokiej dziewczyny – powiedział tonem, który pewnie miał być pocieszający, ale słowa rozbrzmiały zdecydowanie za głośno.

Wszyscy obejrzel się w ich kierunku. Simon powstrzymał się przed złożeniem sarkastycznego ukłonu i wyszedł wściekły, żeby się przebrać.

Po rozdaniu strojów bojowych dostali broń. Przyziemni

uczniowie nie mogli nosić runów, posługiwać się stelami ani większością broni Nocnych Łowców, więc wszyscy dostali przyziemną broń; to miało poszerzyć wiedzę dzieci Nocnych Łowców na temat uzbrojenia. Simon obawiał się, że jego własna wiedza na temat broni była równie szeroka jak nitka spaghetti.

Dziekan Penhallow przyniosła ogromne pudła z przerażającymi nożami, które wyglądały bardzo dziwnie w akademickim otoczeniu, i poprosiła, żeby każdy wybrał sobie sztylet, jaki mu odpowiada.

Simon wybrał sztylet zupełnie na oślep i usiadł w ławce, bawiąc się nim.

Jon skinął głową, patrząc na broń.

– Niezła.

– Aha – odrzekł Simon. Kiwnął głową i machnął ostrzem. – Tak właśnie sobie pomyślałem. Niezły. Bardzo ostry.

Wbił sztylet w biurko. Klinga ugrzęzła w drewnie i Simon musiał ją podważyć, żeby wyszła.

Simon myślał, że sam trening nie może być równie straszny jak przygotowania do treningu, ale okazało się, że jest o wiele gorszy.

* * *

Spora część zajęć w Akademii była poświęcona ćwiczeniom fizycznym. To tak jakby połowę lekcji stanowił WF. Bardzo brutalny i kontaktowy WF.

Kiedy uczyli się podstaw fechtunku, Simona zestawiono w parze z dziewczyną, którą zauważył wcześniej w jadalni. To ona popłakała się po słowach Scarsbury'ego.

– Jest z motłochu, ale rozumiem, że nie masz szczególnie dużego doświadczenia w walce bronią białą – powiedział mu Scarsbury. – Jeśli nie będzie stanowiła dostatecznego wyzwania,

daj mi znać.

Simon spojrział tylko na Scarsbury'ego, zamiast zrobić to, na co miał ochotę, a mianowicie powiedzieć, że nie może uwierzyć, że dorosły nazwał kogoś „motłochem”, patrząc mu w twarz.

Spojrzął na dziewczynę, jej pochyloną ciemną głowę, błyszczący miecz w drżącej dłoni.

– Cześć, nazywam się Simon.

– Wiem, kim jesteś – wymamrotała.

Jasne, najwyraźniej Simon był tu osobistością. Gdyby miał wszystkie swoje wspomnienia, może uznałby to za normalne. Może wiedziałby, że na to zasługuje, zamiast czuć, że jest wręcz przeciwnie.

– A jak ty się nazywasz? – zapytał.

– Marisol – odpowiedziała niechętnie.

Zauważył, że dziewczyna już nie drży, odkąd Scarsbury odszedł.

– Nie martw się – powiedział zachęcająco. – Potraktuję cię łagodnie.

– Hm – mruknęła Marisol.

Nie wyglądała już, jakby miała się rozplakać. Zmrużyła oczy.

Simon nie przywykł do dużo młodszych dzieciaków, ale oboje byli Przyziemni. Solidaryzował się z nią na swój niezręczny sposób.

– Zdomowiłaś się jakoś? Tęsknisz za rodzicami?

– Nie mam rodziców – odpowiedziała Marisol cichym, twardym głosem.

Simon stał wstrząśnięty. Co z niego za idiota! Zastanawiał się, dlaczego Przyziemne dzieci w ogóle wybierają Akademię. Przecież musiałyby porzucić rodziców, rodziny, dawne życie. Chyba że już nie mają rodziców i rodzin. Pomyślał o tym, ale zaraz zapomniał opętany obsesją własnych wspomnień, chęcią dopasowania się do otoczenia, myślami o sobie. Miał dom, do którego mógł wrócić, nawet jeśli nie był idealny. Miał wybór.

– Co powiedzieli ci Nocni Łowcy, kiedy cię rekrutowali?

Marisol spojrzała na niego chłodno.

– Powiedzieli, że będę walczyć.

Okazało się, że uczyła się fechtunku, odkąd zaczęła chodzić. Cięła go przez kolana, a potem dosłownie starła na miazgę. Tylko zatoczył się i padł, kiedy dopadł go mały ostry wiatraczek.

Co więcej, sam dźgnął się w nogę własną bronią, ale to było bardzo drobne obrażenie.

– Trochę za bardzo jej odpuściłeś – powiedział Jon, który akurat przechodził i pomógł Simonowi wstać. – Motłoch nigdy niczego się nie nauczy, jeśli mu tego nie pokażesz, sam rozumiesz.

Jego ton był życzliwy, ale spojrzenie posłane Marisol wręcz przeciwnie.

– Zostaw ją w spokoju – mruknął Simon, ale nie powiedział, że Marisol uczciwie go pokonała. Wszyscy uważali go za bohatera.

Jon uśmiechnął się szeroko i odszedł. Marisol nawet na niego nie spojrzała. Simon oglądał zranioną nogę.

Nie wszystko sprowadzało się do dźgania bronią białą. Część zajęć to były zwykłe rzeczy takie jak bieganie, ale kiedy Simon próbował biec i nadążyć za ludźmi, którzy byli bardziej wysportowani niż on kiedykolwiek w swoim życiu, nieustannie prześladowały go wspomnienia okresu, kiedy płuca nigdy mu nie płonęły z braku powietrza, a serce nie waliło jak szalone z wyczerpania. Kiedyś był szybki, szybszy od wszystkich tych trenowanych Nocnych Łowców, kiedyś był zimnym i silnym drapieżnikiem.

A ponadto był martwy, przypomniał sobie, kiedy znowu został w tyle za innymi. Nie chciał być martwy.

Bieganie i tak było o niebo lepsze od jazdy konnej. Akademia zapoznała ich z jazdą konną już w pierwszy piątek. Zdaniem Simona to miała być atrakcja.

Wszyscy pozostali zachowywali się tak, jakby to była atrakcja.

Tylko uczniowie z elitarnego kursu mogli jeździć konno i podczas posiłków nabijali się z motłochu, bo omijała ich ta frajda. Miało się wrażenie, że to poprawia humor Julie i Jonowi w obliczu niekończącej się straszliwej zupy.

Simon, gdy niepewnie balansował na ogromnym zwierzęciu, które jednocześnie przewracało oczami i najwyraźniej próbowało stepować, nie odbierał tego jako przywileju. Motłoch odsyłano, żeby uczył się podstawowych faktów na temat Nocnych Łowców. Większość zajęć motłoch miał osobno, a Jon zapewnił Simona, że to nudne lekcje. Simon czuł, że w tej chwili chętnie by się ponudził.

– Simon – rzucił ściszym głosem George – drobna uwaga: lepiej się jeździ z otwartymi oczami.

– Poprzednim razem jechałem konno na karuzeli w Central Parku – warknął Simon. – Wybacz mi, że nie jeżdżę jak pan Darcy!

George był z kolei, jak zauważyło kilka dam, doskonałym jeźdźcem. W zasadzie nie musiał nic robić, żeby koń reagował; obaj poruszali się razem płynnie, a na durnych kędziorach George'a rozbłyskiwało słońce. Prezentował się jak należy i sprawiał, że jazda konna wydawała się łatwa i pełna wdzięku; wyglądał jak rycerz na filmie. Simon pamiętał, że czytał książki o magicznych wierzchowcach, które odbierają każdą myśl jeźdźcy, o rumakach, które były potomkami Północnego Wiatru. Magiczny wojownik musiał mieć szlachetnego wierzchowca.

Koń Simona był ułomny. Albo był geniuszem, który rozgryzł fakt, że Simon nie jest w stanie nad nim zapanować. Ruszył na wędrowkę po lasach z Simonem na grzbiecie, który na przemian błagał, groził i proponował łapówki. Jeżeli koń Simona potrafił czytać w myślach, to okazał się sadystą.

Kiedy nadciągnęła noc i zrobiło się chłodno, koń wrócił do stajni. Simon nie miał w tej kwestii żadnego wyboru. Zdołał jednak spaść z końskiego grzbietu i powlec się do Akademii

z całkowicie zdrętwiałymi palcami i kolanami.

– Ach, jesteś – powiedział Scarsbury. – George Lovelace wychodził z siebie. Chciał zorganizować grupę poszukiwawczą.

Simon pożałował swoich złośliwych uwag na temat umiejętności jeździeckich George’a.

– Niech zgadnę – odpowiedział – wszyscy inni mówili: „Po co? Zostawienie kogoś na pewną śmierć umacnia charakter”.

– Nie martwiłem się, że pożą cię niedźwiedzie w ciemnym, głębokim lesie – odrzekł Scarsbury, który robił wrażenie, jakby nigdy w życiu niczym się nie martwił.

– Oczywiście, że nie, to byłoby zupełnie...

– W końcu miałeś sztylet – dodał Scarsbury i odszedł, a Simon tylko zawołał za nim:

– Mój... Mój sztylet do zabijania niedźwiedzi? Naprawdę uważa pan, że ja zabijający sztyletem niedźwiedzia to prawdopodobny scenariusz? Jakie informacje ma pan na temat niedźwiedzi w tych lasach? Moim zdaniem pana obowiązkiem jako nauczyciela jest powiedzieć mi, czy w tym lesie żyją jakieś niedźwiedzie.

– Do zobaczenia na ćwiczeniach z oszczepem jutro z samego rana, Lewis – rzucił Scarsbury i odszedł, nie oglądając się.

– W lesie żyją niedźwiedzie? – powtarzał do siebie Simon. – To proste pytanie. Dlaczego Nocni Łowcy nie radzą sobie z prostymi pytaniami?

* * *

Dni zlewały się w jedno pasmo potwornie brutalnych działań. Jeśli nie było treningu z oszczepem, to Simonem ciskano po sali (George bardzo go potem przeproszał, ale nic na to nie mógł poradzić). Jeśli nie walczył sztyletem, to znowu fechtował i doznawał upokarzającej porażki z rąk małych, wrednych

przyszłych Nocnych Łowców. Jeśli nie było fechtunku, to był tor przeszkód, a Simon odmawiał wszelkich komentarzy na temat toru przeszkód. Julie i Jon stawali się coraz chłodniejsi podczas posiłków i padło nawet kilka komentarzy na temat Przyziemnych.

W końcu Simon doszedł umęczony do kolejnej lekcji na temat bezradności i ostrych przedmiotów i Scarsbury włożył mu do ręki łuk.

– Chcę, żeby każdy spróbował trafić w cel – powiedział Scarsbury. – A w twoim przypadku, Lewis, chcę, żebyś nie trafił w żadnego z innych uczniów.

Simon poczuł ciężar łuku w dłoniach. Uznał, że jest świetnie wyważony. Wygodnie się go podnosiło i nim manipulowało. Założył strzałę, poczuł napięcie cięciwy, gotowej posłać strzałę ścieżką, jakiej życzył sobie Simon.

Odciągnął rękę i to była łatwizna – trafił w dziesiątkę. Wystrzelił drugi raz, potem kolejny. Strzały leciały do celu, a Simona bolały ręce i serce waliło mu z radości. Z przyjemnością czuł, jak mięśnie mu pracują, a serce mocno bije. Cieszył się, że znowu żyje, i rozkoszował się każdą chwilą.

Opuścił łuk i zobaczył, że wszyscy się na niego gapią.

– Możesz to powtórzyć? – zapytał Scarsbury.

Simon nauczył się strzelać na letnim obozie, ale kiedy trzymał łuk, przypominał sobie coś jeszcze. Pamiętał oddech, bicie serca, pamiętał, jak Nocni Łowcy go obserwowali. Wtedy nadal był człowiekiem, Przyziemnym, którym oni wszyscy pogardzali, a mimo to zabił demona. Pamiętał, że zobaczył, że coś trzeba zrobić, i po prostu to zrobił.

Tamten Simon nie różnił aż tak bardzo od chłopaka, którym był teraz.

Uśmiechnął się tak szeroko, że zabolowały go policzki.

– Aha, myślę, że mogę.

Julie i Jon byli o wiele bardziej przyjaźni przy kolacji niż

w ciągu ostatnich paru dni. Simon opowiedział im o zabiciu demona – to, co pamiętał – a Jon zaproponował, że nauczy go paru szermierczych sztuczek.

– Naprawdę chętnie posłuchałabym więcej o twoich przygodach – powiedziała Julie. – Co tylko pamiętasz. Zwłaszcza jeśli dotyczą Jace’a Herondale’a. Wiesz może, skąd ma tę seksowną bliznę na gardle?

– Ehm – mruknął Simon. – Właściwie... to tak. Właściwie... to ją mu ją zafundowałem.

Wszyscy na niego spojrzeli.

– Możliwe, że go ugryzłem. Odrobinę. Właściwie ledwie skubnąłem.

– Był pyszny? – zapytała Julie po chwili namysłu. – Wygląda jak ktoś przepyszny.

– Ehm – odchrząknął Simon – to nie jest karton z soczkiem.

Beatriz pokiwała z ożywieniem głową. Obie dziewczyny były ogromnie zainteresowane rozmową. Aż za bardzo. Patrzyły szklistym wzrokiem.

– Wszedłeś na niego powoli, a potem pochyliłeś głowę nad jego delikatnym, pulsującym gardłem? – zapytała Beatriz. – Czuleś ciepło promieniujące z jego ciała wprost do twojego?

– Polizales mu gardło, zanim go ugryzles? – zapytała Julie. – Ach, a miales okazje pomacac jego bicepsy? – Wzruszyła ramionami. – Ciekawia mnie, no wiesz, wampirze techniki.

– Wyobrażam sobie, że Simon był zarazem delikatny i władczy podczas tej specjalnej chwili z Jace’em – powiedziała z rozmarzeniem Beatriz. – Bo przecież to była specjalna chwila, prawda?

– Nie! – krzyknął Simon. – Nie wiem już, jak to podkreślić! Ugryzłem kilku Nocnych Łowców. Ugryzłem Isabelle Lightwood i Aleca Lightwooda; ugryzienie Jace’a nie było czułą i specjalną chwilą!

– Ugryzles Isabelle Lightwood i Aleca Lightwooda?! – zdumiała

się Julie, która zaczynała sprawiać wrażenie przerażonej. – A co takiego zrobili ci Lightwoodowie?

– Rety – powiedział George. – Wyobrażałem sobie, że królestwa demonów są przerażające i straszne, a wygląda na to, że to nieustanne przekąszanie.

– Nieprawda! – oburzył się Simon.

– Możemy przestać o tym rozmawiać? – zapytał ostro Jon. – Na pewno wszyscy robiliście to, co musieliście, ale sama myśl o Nocnym Łowcy w roli zwierzyny dla Podziemnego jest obrzydliwa.

Simon nie był zachwycony faktem, że Jon wypowiedział słowo „Podziemny”, jakby było równoznaczne z epitetem „obrzydliwy”. Może to naturalne, że Jon czuł się zaniepokojony. Simon pamiętał, że kiedyś w nim samym budziło to niepokój. On też nie chciał zamieniać przyjaciół w swoje ofiary.

Dzisiejszy dzień okazał się względnie udany. Simon nie chciał tego psuć. Uznał, że jest w dostatecznie dobrym nastroju, by odpuścić Jonowi.

Simon lepiej czuł się w Akademii aż do tej nocy, kiedy obudził się z płytkiego snu pod wpływem zalewu wspomnień.

Wspomnienia atakowały go czasem w taki sposób – nie drobnymi, ostrymi dźgnięciami, ale uporczywą i potworną kaskadą. Myślał już wcześniej o swoim byłym współlokatorze. Wiedział, że miał przyjaciela, kumpla imieniem Jordan, z którym dzielił mieszkanie i który został zabity. Nie pamiętał jednak związanych z tym uczuć. Nie pamiętał, jak Jordan przyjął go, kiedy matka zabarykadowała przed nim drzwi, jak rozmawiał z nim o Mai, jak Clary się śmiała, że Jordan jest słodki. Cierpliwy i życzliwy Jordan zawsze widział w Simonie kogoś więcej niż swoją robotę, niż wampira. Pamiętał, jak widział Jordana i Jace’a warczących na siebie, a potem grali w gry wideo jak wariaci. Przypomniawszy sobie, jak Jordan znalazł go śpiącego w garażu, jak patrzył na Maię z wielkim żalem.

A potem przypomniał sobie, jak w Idrisie już po śmierci Jordana trzymał w rękach jego wisiołek Praetor Lupus. Dotykał go od tej pory raz, po odzyskaniu części wspomnień. Ważył go w dłoni i zastanawiał się, co znaczy łacińska sentencja.

Wiedział, że Jordan był jego współlokatorem, wiedział, że był jedną z wielu ofiar wojny.

Jednakże nigdy do tej pory nie odczuł pełnego ciężaru tych faktów.

Już samo brzemie wspomnień sprawiło, że poczuł się, jakby miażdżył go stos kamieni zrzuconych mu na pierś. Nie mógł oddychać. Zerwał się z pościeli, spuścił nogi na podłogę i uderzył o szokująco zimny kamień.

– Sssso jest? – wymamrotał George. – Opos wrócił?

– Jordan nie żyje – odpowiedział ponuro Simon i ukrył twarz w ręce.

Zapadło milczenie.

George nie zapytał, kim był Jordan ani czemu nagle Simon się nim przejął. Simon nie potrafiłby wyjaśnić nagłej plątaniny żalu i poczucia winy w piersi, że nienawidził siebie za zapomnienie o Jordanie, chociaż nie miał na to żadnego wpływu, że ta chwila była taka, jakby po raz pierwszy dowiedział się o śmierci Jordana, i zarazem, jakby ponownie otwarła się zablizniona już rana. Czuł w ustach gorzki smak starej, bardzo starej krwi.

George wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Simona. Pewny uścisk jego ciepłej i spokojnej dłoni był jak kotwica dla Simona w zimną i ciemną noc wspomnień.

– Przykro mi – szepnął.

Simonowi też było przykro.

* * *

Na kolację następnego dnia znowu podano zupę. Jedli zupę na

każdy posiłek już od wielu dni. Simon nie pamiętał życia z czasów przed zupą i rozpaczał, czy kiedyś jeszcze zazna życia po zupie. Zastanawiał się, czy Nocni Łowcy mają runy chroniące przed szkorbutem.

Ta sama grupa co zawsze stłoczyła się wokół tego samego stolika i gawędziła, kiedy Jon powiedział:

– Wolałbym, żeby o demonach uczył nas ktoś, kim nie kieruje tak wiele ukrytych motywów, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

– Ehm – mruknął Simon, który z ogromną ulgą przesiadywał na większości ich zajęć o demonach na przestrzeni dziejów, bo nikt nie kazał mu się ruszać. – Czy nami wszystkimi nie kierują takie same motywy? Chęć walki z demonami?

– Wiesz, co mam na myśli – odpowiedział Jon. – Powinni nas uczyć także o dawnych zbrodniach czarowników. Musimy walczyć też z Podziemnymi. To naiwne udawać, że wszyscy są obłąskawieni.

– Podziemni – powtórzył Simon. Zupa zamieniła się w popiół w jego ustach, co w gruncie rzeczy tylko poprawiło jej smak. – Jak wampiry?

– Nie! – zapewniła go pośpiesznie Julie. – Wampiry są świetne. Mają, wiesz, klasę. W porównaniu z innymi Podziemnymi. Jeśli jednak mowa o takich stworzeniach jak wilkołaki, to musisz widzieć, że to nie jest nasz typ ludzi. O ile w ogóle można ich nazywać ludźmi.

Powiedziała „wilkołaki”, a Simon wbrew sobie pomyślał o Jordanie i wzdrygnął się, jakby go uderzono. Dłużej już nie mógł milczeć.

Odepchnął talerz z zupą i odsunął się z krzesłem.

– Nie mów mi, co muszę, Julie – powiedział chłodno. – Muszę cię poinformować, że istnieją wilkołaki, które są warte sto razy więcej niż wasze, twój i Jona, tyłki Nocnych Łowców. Muszę powiedzieć, że mam wyżej uszu słuchania, jak obrażacie Przyziemnych i mówicie mi, że jestem waszym specjalnym

wyjątkiem-pupilkiem, jakbym chciał być pupilkiem ludzi, którzy zastraszają młodsze i słabsze od siebie dzieciaki. I muszę ci powiedzieć, że lepiej módlcie się, żeby Akademia się sprawdziła i Przyziemni tacy jak ja dokonali Wstąpienia, bo jak patrzę na was, to widzę, że następne pokolenie Nocnych Łowców będzie bez nas niczym.

Spojrzał na George'a, bo zawsze zerkał w jego stronę, gdy wymieniali się żarcikami na zajęciach i przy posiłkach, żeby się przekonać, czy kumpel się z nim zgadza.

George wbijał wzrok w talerz.

– Daj spokój, stary – wymamrotał. – Nie... Nie rób tego. Każą ci zmienić pokój. Siadaj, wszyscy się przeproszą i będzie po starem.

Simon wziął głęboki wdech, przełknął rozczarowanie i powiedział:

– Nie chcę, żeby było po starem. Chcę zmiany.

Odwrócił się od stolika i od nich wszystkich, pomaszerował do miejsca, gdzie siedzieli pani dziekan i Scarsbury, i oznajmił głośno:

– Pani dziekan Penhallow, chcę, żeby umieszczono mnie w grupie dla Przyziemnych.

– Co?! – wykrzyknął Scarsbury. – W motłochu?!

Diekan upuściła łyżeczkę do zupy z głośnym pluskiem.

– To kurs dla Przyziemnych, panie Scarsbury, bardzo pana proszę! Proszę nie wyrażać się o naszych uczniach w taki sposób. Cieszę się, że zwróciłeś się w tej sprawie do mnie, Simonie – odpowiedziała po chwili wahania. – Rozumiem, że możesz mieć trudności na swoim kursie, zważywszy, że z pochodzenia jesteś Przyziemny, ale...

– Nie chodzi o trudności – powiedział Simon. – Po prostu wolę nie zadawać się z elitą. To nie są ludzie w moim typie.

Jego głos rozbrzmiewał pod kamiennym sufitem. Mnóstwo młodych dzieciaków wpatrywało się w niego. Jednym z nich była

mała Marisol, która przyglądała mu się z zaskoczonym i zadumanym wyrazem twarzy. Nikt nie odezwał się słowem. Wszyscy tylko patrzyli.

– W porządku, powiedziałem, co musiałem powiedzieć, a teraz się zawstydzilem, więc wyjdę – powiedział Simon i uciekł z jadalni.

I o mały włos nie wpadł prosto na Catarinę Loss, która obserwowała sytuację z progu.

– Przepraszam – wymamrotał.

– Nie trzeba – odpowiedziała Catarina. – Właściwie to pójde z tobą. Pomogę ci się spakować.

– Co? – zapytał Simon, idąc za nią pośpiesznie. – Naprawdę muszę się przeprowadzić?

– Tak, Przyziemnych umieszczono na poziomie podziemnym – odpowiedziała Catarina.

– Umieścili część dzieciaków w lochach i nikt do tej pory nawet nie zwrócił im uwagi, że stosują obrzydliwy system?

– A stosują? – zapytała Catarina. – Opowiedz mi, proszę, więcej na temat Nocnych Łowców i ich skłonności do niesprawiedliwości. Ten temat jest dla mnie fascynujący i zaskakujący. Tłumaczą tę decyzję tym, że podziemia łatwiej jest bronić dzieciakom, które nie walczą tak dobrze jak inni uczniowie.

Weszła do pokoju Simona i rozejrzała się za jego rzeczami.

– Właściwie to jeszcze się nie rozpakowałem – wyjaśnił Simon. – Bałem się oposa w szafie.

– Czego?

– My z George’em też uznaliśmy to za bardzo tajemniczą sprawę – odpowiedział szczerze Simon, biorąc torbę i upychając do niej parę drobiazgów, które zostawił na wierzchu. Nie chciał zapomnieć zabrać swojego damskiego stroju bojowego.

– Mniejsza o oposa – powiedziała Catarina. – Chciałam powiedzieć, że... Możliwe, że źle cię oceniłam.

Simon się zdziwił.

– Tak?

Catarina uśmiechnęła się do niego. To było niebywałe jak błękitna jutrzienka.

– Nie miałam specjalnej ochoty uczyć tutaj. Nocni Łowcy i Podziemni nie dogadują się najlepiej, a ja staram trzymać się z dala od Nefilim jeszcze bardziej niż inni mojego pokroju. Miałam jednak bliskiego przyjaciela, który nazywał się Ragnor Fell, mieszkał w Idrisie i nauczał w Akademii przez kilkadziesiąt lat, nim ją zamknięto. Nigdy nie miał najlepszego zdania na temat Nocnych Łowców, ale lubił to miejsce. Straciłam go niedawno i wiedziałam, że to miejsce nie poradzi sobie bez nauczycieli. Chciałam zrobić coś dla uczczenia jego pamięci, chociaż odrzucała mnie myśl o uczeniu bandy aroganckich bachorów Nefilim. Jednak kochałam mojego przyjaciela bardziej, niż nienawidzę Nocnych Łowców.

Simon skinął głową. Pomyślał o swoich wspomnieniach dotyczących Jordana, o tym, jak bolało wtedy nawet patrzenie na Isabelle i Clary. Bez wspomnień przepadamy. A nikt nie chce, żeby przepadł ktoś, kogo się kocha.

– Możliwe więc, że zrzędziłam na temat przyjazdu tutaj – przyznała Catarina. – Mogłam być trochę niemą w stosunku do ciebie, ponieważ, o ile wiem, nie byłeś zachwycony z przemiany w wampira. Teraz zostałeś wyleczony, co za cud, i Nocni Łowcy od razu chcą cię wciągnąć do swoich szeregów. Naprawdę możesz stać się jednym z nich, czego zawsze pragnąłeś. Zmyto z ciebie skazę, jaką było stanie się jednym z nas.

– Ja wcale... – Simon przełknął ślinę. – W ogóle tego nie pamiętam. Czasem to jak bronienie postępów kogoś innego.

– To musi być frustrujące.

Simon się roześmiał.

– Nawet nie ma pani pojęcia. Wcale nie chcę... nie chciałem zostać wampirem. Wątpię, żebym chciał. Nie chciałbym znowu

nim zostać. Ugrzęznąć w wieku szesnastu lat, kiedy wszyscy moi przyjaciele i rodzina dorastają beze mnie, odczuwać pragnienie, żeby... żeby ranić ludzi? Nie chcę żadnej z tych rzeczy. Ale... Proszę posłuchać, nie pamiętam wiele, ale pamiętam dość. Wiem, że byłem wtedy osobą, tak samo jak jestem nią teraz. Zostanie Nocnym Łowcą tego nie zmieni, o ile kiedykolwiek nim zostanę. Zapomniałem już dość, tego nie zapomnę.

Zarzucił torbę na ramię i gestem wskazał, żeby Catarina zaprowadziła go do nowego pokoju. Zrobiła to, schodząc po kamiennych schodach, które Simon uznał wcześniej za prowadzące do piwnicy. Teraz odkrył, że w piwnicy trzyma się dzieci.

Na schodach było ciemno. Simon oparł się ręką o ścianę, żeby nie stracić równowagi, i natychmiast ją cofnął.

– Fuj, ohyda!

– Tak, większość podziemnych powierzchni jest pokryta czarnym szlamem – powiedziała Catarina rzeczowym tonem. – Uważaj.

– Dzięki. Dzięki za ostrzeżenie.

– Nie ma za co – odpowiedziała Catarina z ledwie wyczuwalnym rozbawieniem w głosie. Po raz pierwszy Simonowi przyszło do głowy, że może być miła. – Powiedziałeś „o ile kiedykolwiek zostanę Nocnym Łowcą”. Myślisz może o odejściu?

– Teraz, kiedy dotknąłem szlamu, owszem – mruknął Simon. – Nie. Nie wiem, czego tak naprawdę chcę, ale na pewno nie chcę jeszcze się poddać.

Omali nie zmienił zdania, kiedy Catarina zaprowadziła go do jego pokoju. Był o wiele ciemniejszy od poprzedniego, chociaż miał taki sam rozkład. Drewniane nogi dwóch wąskich łóżek wyglądały na spróchniałe, a czarny szlam w kątach pokoju rozrósł się tak, że zamienił się w maleńkie, czarne, lepkie wodospady.

– Nie pamiętam za dobrze piekła – powiedział Simon – ale chyba przypominam sobie, że wyglądało przyjemniej.

Catarina się roześmiała, a potem zaszokowała Simona, pochylając się i cmokając go w policzek.

– Powodzenia, Chodzący za Dnia – powiedziała, śmiejąc się z jego miny. – I choćby nie wiadomo co, nie korzystaj z toalet na tym piętrze. Właściwie to lepiej nie korzystaj z nich na żadnym, ale na tym w żadnym wypadku!

Simon nie poprosił o wyjaśnienia, ponieważ był przerażony. Usiadł na swoim nowym łóżku i natychmiast się poderwał, gdy łóżko jęknęło przeciągle i wzbiła się chmura kurzu. Ej, przynajmniej tym razem nie miał współlokatora, był królem tego klaustrofobicznego, szlamowatego królestwa. Skupił się na rozpakowywaniu rzeczy. Szafa w tym pokoju była czysta i pusta, co stanowiło zdecydowaną poprawę. Simon mógł zamieszkać w szafie razem ze swoimi zabawnymi T-shirtami.

Dawno skończył wypakowywanie rzeczy, kiedy nieśpiesznie do pokoju wszedł George, ciągnąc za sobą walizkę i niosąc połamaną raketę na ramieniu jak miecz.

– Cześć, stary.

– Cześć – odpowiedział ostrożnie Simon. – Ehm, co tu robisz?

George rzucił walizkę i raketę na oślizgłą podłogę, a potem rzucił się na łóżko. Wyciągnął się na nim z lubością, nie zważając na złowieszcze trzaski mebla.

– Rzecz w tym, że kurs zaawansowany jest w gruncie rzeczy dość trudny – powiedział George, a Simon zaczął się uśmiechać. – A pewnie już słyszałeś: Lovelace’owie łatwo się poddają.

* * *

Simon jeszcze bardziej ucieszył się z obecności George’a następnego dnia, kiedy mógł usiąść z nim przy jednym stoliku,

zamiast z trzynastoletnimi Przyziemnymi, którzy zerkali na niego z ukosa, gdy nie szeptali akurat łamiącym się głosem na temat swoich telefonów.

Dzień zyskał jeszcze bardziej, kiedy Beatriz klapnęła na krzesło przy ich stoliku.

– Nie zamierzam rezygnować z zaawansowanego treningu, żeby trzymać z tobą, jak ten tu Kędzierzawy – oznajmiła – ale nadal możemy się przyjaźnić, nie?

Pociągnęła George'a za włosy z czułością.

– Uważaj – odezwał się zmęczonym, pokornym głosem George. – W ogóle nie spałem w naszym małym, oślizgłym pokoiku. Uważam, że w ścianach coś mieszka. Słyszałem to stworzenie. Przemyka. Możliwe, że nie podjąłem najmądrzejszej decyzji, idąc za Simonem. Możliwe, że uroda to jedyne, co mi zostało.

– Właściwie, chociaż nie zamierzam chodzić z wami na nudne zajęcia i pogardzać moimi kolegami z grupy, to uważam, że postąpiłeś naprawdę niesamowicie, Simon – powiedziała Beatriz.

Uśmiechnęła się; zęby zaśniły bielą na tle jej śniadej skóry. Jej uśmiech był ciepły i pełen podziwu – najmiłsza rzecz, jaką Simon zobaczył tego dnia.

– Masz rację, nasze zasady są niezachwiane, chociaż ściany są zarobaczone – powiedział George. – Poza tym nie martw się, nadal będą wysyłali nas na misje do walki z demonami i Podziemnymi.

Simon zadławił się zupą.

– Nie martwiłem się o to. Czy nasi nauczyciele w ogóle nie obawiają się, że wysyłanie nieobdarzonych supermocami ludzi do walki z demonami może okazać się odrobinę, mówiąc wprost, śmiertelne w swoich skutkach?

– Muszą sprawdzić swoją odwagę, zanim stawią czoło Wstąpieniu – odpowiedziała Beatriz. – Lepiej, żeby odpadli z powodu strachu albo nawet dlatego, że demon pożarł im nogę,

niż żeby spróbowali Wstąpienia, chociaż się nie nadają i zginęli podczas próby.

– To świetna, radosna i całkiem zwyczajna wypowiedź – odrzekł Simon. – Nocni Łowcy są świetni w mówieniu zwyczajnych rzeczy.

– Ja tam nie mogę doczekać się misji – odezwał się George. – A jutro przyjedzie Nocny Łowca na gościnny wykład na temat rzadziej używanych rodzajów broni. Mam nadzieję, że będzie pokaz.

– Nie w klasie – powiedziała Beatriz. – Pomyśl, co przemysłowych rozmiarów kusza zrobiłaby z tymi murami.

To było całe ostrzeżenie, jakie Simon otrzymał przed następnym dniem, kiedy wszedł radośnie do klasy z George'em deptającym mu po piętach i zastał już na miejscu podekscytowaną i trajkoczącą nerwowo dziekan Penhallow. Sala zdążyła się już napęścić – zebrały się obie grupy uczniów.

– ...mimo młodego wieku to znana Nocna Łowczyni, która słynie z umiejętności posługiwania się stosunkowo rzadką bronią, jaką jest bicz. Proszę, powitajcie w Akademii Nocnych Łowców naszego pierwszego zaproszonego wykładowcę: Isabelle Lightwood!

Isabelle odwróciła się, jej gładkie czarne włosy rozsypały się wachlarzem na ramionach, czarna spódnica rozłożyła się wokół białych nóg. Miała skrzącą się śliwkową szminkę na ustach, tak ciemną, że prawie czarną. Jej oczy też wyglądały na czarne, ale kolejny sztylet wspomnień przeszył Simona oczywiście w najgorszym możliwym momencie – Simon przypomniał sobie kolor jej oczu z bliska: były bardzo ciemnobrązowe, jak brązowy aksamit, niemal czarne, ale z jaśniejszymi kręgami koloru...

Podszedł chwiejnie do stolika i klapnął ciężko na krzesło. Kiedy dziekan wyszła, Isabelle odwróciła się i spojrzała na zebranych z najgłębszą pogardą.

– Nie zjawiałam się tutaj, żeby was uczyć, idioci – powiedziała,

idąc między rzędami ławek. – Jeśli ktoś z was chce się posługiwać biczem, to niech ćwiczy, a jak straci ucho, to niech nie płacze jak marudny bachor.

Kilku chłopców skinęło głowami; patrzyli jak zahipnotyzowani. Niemal wszyscy chłopcy wpatrywali się w Isabelle, jakby byli gniazdem węży, które tylko czekają, aż zostaną zakłute. Parę dziewczyn też tak na nią patrzyło.

– Jestem tu – oznajmiła Isabelle, kończąc obchód i odwracając się do zebranych, żeby obrzucić ich złym spojrzeniem – żeby ustalić mój związek.

Simon wytrzeszczył oczy. Nie mogła mówić o nim, prawda?

– Widzicie tego mężczyznę? – zapytała Isabelle, wskazując Simona. Czyli jednak mówiła o nim. – To Simon Lewis i to jest mój chłopak. Jeśli ktokolwiek z was myśli o tym, żeby go skrzywdzić, bo jest Przyziemnym albo, niech Anioł zmiłuje się nad jego duszą, uganiać się za nim, to odzyskam go, dorwę i zgmiotę na miazgę.

– My się tylko kumplujemy – powiedział pośpiesznie George.

Beatriz odsunęła nieco swój stolik od Simona.

Isabelle opuściła rękę. Rumieńce zniknęły z jej twarzy, jakby powiedziała to, co zamierzała, i teraz, kiedy zeszła z niej cała adrenalina, dotarło do niej, co właściwie zrobiła.

– To byłoby tyle – oznajmiła Isabelle. – Dziękuję za uwagę. Koniec wykładu.

Odwróciła się i wyszła z klasy.

– Muszę... – zaczął Simon, wstając z krzesła nieco chwiejnie. – Muszę iść.

– Jasne, idź – przytaknął George.

Simon wyszedł i pobiegł kamiennymi korytarzami Akademii. Wiedział, że Isabelle jest szybka, więc biegł szybciej niż kiedykolwiek na treningach i dogonił ją w holu. Zatrzymała się w słabym świetle wpadającym przez witraż, kiedy zawołał ją po imieniu.

– Isabelle!

Stała i na niego czekała. Usta miała rozchylone. Błyszczały jak śliwki pokryte szronem, które czekają, żeby ich spróbować. Simon widział siebie, jak podbiega do niej, bierze ją w ramiona, całuje (bo wiedział, ile kosztowała ją ta przemowa, jego odważną i bystrą Isabelle) i daje się porwać wirowi miłości i radości, ale widział to jak przez szybę, jakby patrzył w inny wymiar, który dostrzega, ale z którym nie potrafi nawiązać prawdziwego kontaktu.

Potworny żal przeszył nie tylko jego pierś, ale całe ciało, jakby trafiła go błyskawica. Musiał to jednak powiedzieć.

– Nie jestem twoim chłopakiem! – zawołał.

Pobladła. Simona przeraziło to, jak źle zabrzmiały te słowa.

– Chciałem powiedzieć, że nie mogę być twoim chłopakiem. Nie jestem nim... Tym facetem, który był twoim chłopakiem. Facetem, którego chcesz.

Omali nie powiedział „którym chcę być”. Którym pragnął zostać. Dlatego wstąpił do Akademii – żeby nauczyć się być chłopakiem, którego oni wszyscy chcieli odzyskać. Chciał takim być, niesamowitym bohaterem jak z gier albo filmu. Początkowo był całkiem pewien, że tego właśnie chce.

Tyle że takie pragnienie oznaczałoby chęć zniszczenia tego, kim jest teraz: zwykłym, szczęśliwym chłopakiem z zespołu, który nadal kocha matkę i nie budzi się w najzimniejszej, najczarniejszej godzinie nocy, płacząc za zmarłymi przyjaciółmi.

Ponadto nie wiedział, czy może stać się chłopakiem, jakiego ona pragnęła, niezależnie od swoich własnych chęci.

– Ty pamiętasz wszystko, a ja... nie dość – ciągnął Simon. – Ranię cię, chociaż tego nie chcę. Myślałem, że pójdę do Akademii i wrócę lepszy, ale to nie wygląda najlepiej. Reguły gry całkiem się zmieniły. Moje umiejętności zmalowały, a poziom trudności wzrósł do niemożliwego...

– Simon – przerwała mu Isabelle – mówisz jak maniak gier

komputerowych.

Powiedziała to niemal czule, co jeszcze bardziej przeraziło Simona.

– Nie potrafię też być dla ciebie seksownym, gładkim w obyciu wampirem!

Idealne usta Isabelle wygięły się, tworząc ciemny półksiężyc w bladej twarzy.

– Nigdy nie byłeś aż tak gładki w obyciu.

– Och. Bogu dzięki. Wiem, że miałaś mnóstwo chłopaków. Pamiętam, że był jakiś faerie i... – Kolejny rozbłysk wspomnienia, tym razem nadzwyczaj niechcianego. – I... lord Montgomery? Spotykałaś się z arystokratą? Jak mam z kimś takim konkurować?

Isabelle nadal robiła wrażenie rozczulonej, ale czułość coraz bardziej ginęła w sporej dawce zniecierpliwienia.

– Ty jesteś lordem Montgomerym!

– Nie rozumiem. Kiedy zostaje się wampirem, otrzymuje się też tytuł?

Może to miało sens. Wampiry były arystokratyczne.

Isabelle przyłożyła palce do czoła. Wydawało się, że ten gest wyraża pogardliwe zmęczenie i Isabelle ma dość tego wszystkiego, ale Simon zauważył, że zamknęła oczy, jakby nie mogła patrzeć na niego, gdy wypowiedziała następujące słowa:

– To był nasz prywatny żarcik.

Simon miał dość tego, że pewne rzeczy na jej temat znał doskonale, a innych wcale. Miał dość świadomości, że nie jest tym, czego ona pragnie.

– Nie. To był żart między tobą a nim.

– Ty jesteś nim.

– Nie jestem. Nie wiem... Nie wiem, jak nim być. Właśnie ten fakt przez cały czas do mnie docierał. Myślałem, że mogę się nauczyć być nim, ale odkąd wstąpiłem do Akademii, odkryłem, że nie zdołam. Nie mogę raz jeszcze doświadczyć tego

wszystkiego, co razem robiliśmy. Nigdy nie będę chłopakiem, który tego wszystkiego dokonał. Będę robił inne rzeczy. Będę innym człowiekiem.

– Po Wstąpieniu odzyskasz wszystkie wspomnienia! – krzyknęła na niego Isabelle.

– O ile przejdę Wstąpienie, to wydarzy się dopiero za dwa lata. Nie będę takim samym chłopakiem za dwa lata, nawet jeśli odzyskam wszystkie wspomnienia, bo pojawi się wiele innych. Ty nie będziesz tą samą dziewczyną. Wiem, że we mnie wierzyłaś, wiem, że wierzyłaś we mnie, bo... bo ci na mnie zależy. To znaczy więcej, niż umiem wyrazić. Ale, Isabelle, to byłoby nie w porządku z mojej strony wykorzystywać twoją wiarę. To nie w porządku kazać ci czekać na niego, kiedy on nigdy nie wróci.

Isabelle skrzyżowała ręce, zacisnęła palce na ciemnofioletowym aksamicie zakietu, jakby próbowała się pocieszyć.

– Nic z tego nie jest w porządku. To nie w porządku, że wydarto ci kawałek życia. To nie w porządku, że wydarto cię mnie. Jestem taka wściekła.

Simon zrobił krok w jej stronę i wziął ją za rękę, rozprostowując zaciśnięte palce. Nie wziął jej w objęcia, tylko stał trochę odsunięty, trzymając ją za rękę. Jej drżące usta skrzyły się podobnie jak rzęsy. Nie wiedział, czy niezłomna Isabelle płakała, czy miała skrzący się tusz do rzęs. Wiedział tylko, że błyszczą jak gwiazdozbiór w kształcie dziewczyny.

– Isabelle – powiedział. – Isabelle.

Ona była tak bardzo sobą, a on nie miał pojęcia, kim sam jest.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś? – zapytała.

Popatrzył na nią. To pytanie mogło znaczyć tak wiele rzeczy i na tak wiele sposobów można było na nie odpowiedzieć.

– Mam na myśli Akademię – wyjaśniła. – Wiesz, dlaczego chcesz być Nocnym Łowcą?

Zawahał się.

– Chciałem znowu być tamtym chłopakiem – odpowiedział. – Tamtym bohaterem, którego wszyscy pamiętacie... A to mi wygląda na szkołę dla bohaterów.

– Mylisz się – odrzekła beznamiętnie. – To szkoła dla Nocnych Łowców. I owszem, uważam, że to świetna fucha i że chronienie świata to w pewnym sensie zadanie dla bohaterów, ale istnieją także tchórzliwi Nocni Łowcy, źli Nocni Łowcy i beznadziejni Nocni Łowcy. Jeśli masz skończyć Akademię, musisz zrozumieć, dlaczego chcesz zostać Nocnym Łowcą i co to dla ciebie znaczy. A nie tylko, dlaczego chcesz być nadzwyczajny.

Skrzywił się, ale Isabelle mówiła prawdę.

– Masz rację. Nie wiem. Wiem, że chcę tu być. Wiem, że muszę tu być. Uwierz mi, gdybyś zobaczyła łazienki, zrozumiałabyś, że to nie była łatwa decyzja.

Rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

– Ale nie wiem dlaczego – dodał. – Nadal nie znam siebie aż tak dobrze. Wiem, co powiedziałem ci na początku, wiem, na co miałeś nadzieję. Że zmienię się w kogoś, kim byłem kiedyś. Naprawdę myliłem się i bardzo mi przykro.

– Przykro?! – powtórzyła Isabelle. – Wiesz, jakie trudne było dla mnie zjawienie się tutaj i zrobienie z siebie idiotki na oczach tych wszystkich ludzi? Czy wiesz... Pewnie, że nie. Nie chcesz, żebym w ciebie wierzyła? Nie chcesz, żebym ciebie wybrała?

Isabelle zabrała rękę, odwróciła od niego twarz, jak to zrobiła w ogrodzie przy Instytucie. Tym razem Simon wiedział, że to na pewno jego wina. Na odchodnym rzuciła tylko:

– Niech ci będzie, Simonie. Skoro właśnie tego chcesz.

* * *

Simon był tak przygnębiony po odejściu Isabelle – po tym, jak ją odepchnął – że wątpił, czy kiedykolwiek jeszcze zwlecze się

z łóżka. Leżał i słuchał, jak George nawija i skrobie ściany. Usunął imponującą ilość szlamu.

Simon wycofał się do miejsca, w którym nikt go nie znajdzie. Wierzył w to. Usiadł w jednej z łazienek. Kamienne płyty były tam popękane; w jednej z toalet stało coś ciemnego. Simon miał nadzieję, że ktoś wylał tam zupę.

Miał pół godziny spokoju w łazience, gdzie siedział sam na sam z potwornymi toaletami, dopóki zza drzwi nie wysunęła się głowa George'a.

– Ej, stary! – powiedział. – Nie korzystaj z tych łazienek. To ogromnie ważne.

– Nie zamierzam korzystać z łazienki – odpowiedział posępnie Simon. – Jestem w rozsypce, ale nie jestem idiotą. Chciałem tylko pobyć sam i snuć depresyjne myśli. Chcesz poznać mój sekret?

George milczał przez chwilę.

– Jeśli chcesz go zdradzić. Nie musisz. Wszyscy mamy tajemnice.

– Spławiłem najbardziej niesamowitą dziewczynę, jaką kiedykolwiek spotkałem, bo jestem takim cieniem, że nie potrafię być sobą. Oto mój sekret: chcę być bohaterem, ale nim nie jestem. Wszyscy myślą, że jestem niesamowitym wojownikiem, który przyzwał anioły, uratował Nocnych Łowców i ocalił świat, ale to żart. Nie pamiętam nawet, co zrobiłem. Nie potrafię wyobrazić sobie, jak to zrobiłem. Nie jestem nikim specjalnym i wkrótce wszyscy to dostrzegą. Nie wiem nawet, co tu robię. To tyle. Masz sekret, który może przebić mój?

Z jednej z toalet dobył się niski bulgot. Simon nawet nie spojrział w tamtym kierunku. Nie zamierzał sprawdzać źródeł tych odgłosów.

– A ja w ogóle nie jestem Nocnym Łowcą – odparł pośpiesznie George.

Pozycja siedząca na podłodze w łazience nie była najlepszym miejscem do wysłuchiwanie tak wstrząsających rewelacji. Simon

zmarszczył czoło.

– Nie jesteś Lovelace'em?

– Jestem. – Zwykle beztroski głos George'a brzmiał poważnie. – Ale nie jestem Nocnym Łowcą. Adoptowano mnie. Nocni Łowcy, którzy przyszli mnie zwerbować, nawet o tym nie pomyśleli. Nie wpadli na to, że ludzie z krwią Nefilim mogli zechcieć przygarnąć Przyziemne dziecko, dać mu swoje nazwisko, myśleć o nim jak o własnym. Zamierzałem wyznać prawdę, ale uznałem, że gdy już się tu dostanę, łatwiej im będzie pozwolić mi zostać, niż gdyby mieli zastanawiać się, czy w ogóle mnie zabrać. Potem poznałem innych, zacząłem naukę i uznałem, że z łatwością daję sobie radę. Wiedziałem, co myślą o Przyziemnych. Uznałem, że nie zaszkodzi, jeśli zachowam sekret dla siebie i zostanę w elitarnej grupie, pobędę przez chwilę taki jak wy.

Wsunął ręce do kieszeni i wbił wzrok w podłogę.

– Ale poznałem też ciebie, nie miałeś żadnych nadzwyczajnych mocy, a już zrobiłeś więcej, niż cała reszta razem wzięta. Teraz też robisz różne rzeczy, na przykład przenosisz się do klasy Przyziemnych, chociaż nie musisz. To sprawiło, że zebrałem się na odwagę i powiedziałem dziekan, że ja też jestem Przyziemnym, więc mnie przeniesiono. To dzięki tobie. Dzięki temu, jaki jesteś teraz, w porządku? Przestań więc mówić, jakim jesteś nieudacznikiem, bo nie poszedłbym za cieniem do pokrytej szlamem sypialni i pokrytej szlamem łazienki, a proszę, za tobą poszedłem do obu tych miejsc. – George umilkł, a potem dodał wojowniczo: – I naprawdę chciałbym przeformułować to ostatnie zdanie, bo źle zabrzmiało, ale nie wiem jak.

– Rozumiem sens, jaki stał za tymi słowami – odpowiedział Simon. – I naprawdę... Naprawdę cieszę się, że mi powiedziałeś. Od początku miałem nadzieję na fajnego Przyziemnego współlokatora.

– Chcesz poznać jeszcze jeden sekret? – zapytał George.

Simon odrobinę bał się kolejnej sensacji i obawiał się, że

George okaże się tajnym agentem, ale tylko pokiwał głową.

– Wszyscy w tej Akademii, Nocni Łowcy i Przyziemni, ludzie z Widzeniem i bez niego, wszyscy oni chcą zostać bohaterami. Wszyscy mamy na to nadzieję, spróbujemy to osiągnąć i wkrótce opłacimy to własną krwią. Jesteś taki jak my, Si. Tyle że pod jednym względem się wyróżniasz: my wszyscy chcemy zostać bohaterami, a ty wiesz, że możesz nim być. Wiesz, że w innym życiu, w alternatywnym wszechświecie, czy jak chcesz o tym myśleć, byłeś bohaterem. Możesz znowu nim zostać. Może nie tym samym, ale masz w sobie zdolność podejmowania właściwych wyborów, składania największych ofiar. To ogromna presja, ale z drugiej strony jak nikt inny masz prawo do uzasadnionej nadziei. Pomyśl o tym w ten sposób. Moim zdaniem masz sporo szczęścia.

Simon nie myślał o tym w taki sposób. Cały czas wierzył, że jakiś przełącznik zmieni położenie i on znowu stanie się specjalny. Może Isabelle miała rację, może nie chodzi o bycie specjalnym. Przypomniawszy sobie, jak pierwszy raz zobaczył Akademię z daleka, jak efektownie i imponująco prezentowała się z odległości i jak odmiennie wyglądała z bliska. Zaczynał myśleć, że proces kształtujący Nocnego Łowcę wygląda podobnie. Zaczynał wierzyć, że to będzie nieustanne kaleczenie się ostrzami, że to będą konie, które ponoszą, jedzenie potwornej zupy, zdrapywanie szlamu ze ścian oraz powolne i nieporadne rozgryzanie, kim naprawdę chce być tym razem.

George oparł się o ścianę łazienki, co było ewidentnie pochopnym i niebezpiecznym posunięciem, i wyszczerzył do Simona zęby. Widząc ten szeroki uśmiech i rozumiejąc, że George nie zmierza być poważnym choćby sekundę dłużej, Simon przypomniał sobie o jeszcze jednej rzeczy z pierwszego dnia Akademii. Przypomniał sobie o nadziei.

– A skoro mowa o szczęściu, Isabelle Lightwood to niesamowita laska. Nawet więcej, to prawdziwa bohaterka.

Pokonała taki kawał drogi, żeby oznajmić całemu światu, że należysz do niej. Chcesz mi powiedzieć, że ona nie potrafi rozpoznać bohatera? Na pewno odkryjesz, po co tu jesteś. Isabelle Lightwood wierzy w ciebie i ja także, cokolwiek to warte.

Simon spojrzał na George'a.

– To jest bardzo dużo warte – odrzekł w końcu. – Dzięki, że to mówisz.

– Nie ma za co. A teraz, proszę, wstań z podłogi. Jest obrzydliwa.

Simon się podniósł. Wyszli z łazienki, George pierwszy, i obaj prawie zderzyli się z Catariną Loss, która ze zgrzytem ciągnęła po kamiennych płytach ogromną przykrytą wazę.

– Pani Loss... – odezwał się Simon. – Czy mogę zapytać... co pani robi?

– Dziekan Penhallow postanowiła, że nie zamówi świeżej dostawy jedzenia, dopóki nie zjemy całej tej przepysznej, pożywnej zupy. Dlatego zamierzam zakopać ją w lesie – oznajmiła Catarina Loss. – Łapcie za ucho.

– Hm. W porządku, to dobry plan – uznał Simon, złapał wazę za ucho i ruszył z Catariną. Chwiejnie balansowali wazą.

George poszedł za nimi. Kiedy przemierzali pełne przeciągów i rozbrzmiewające echem korytarze Akademii, Simon powiedział:

– Mam tylko jedno krótkie błyskawiczne pytanie na temat lasów. I niedźwiedzi.

Zaginiony Herondale

Cassandra Clare i Robin Wasserman



Był czas, nie aż tak odległy, kiedy Simon Lewis był przekonany, że wszyscy nauczyciele WF-u to tak naprawdę demony, które uciekły z piekieł i karmią się cierpieniem nieskoordynowanych ruchowo nastolatków.

Nie miał pojęcia, jak bliski był prawdy.

Oczywiście w Akademii nie było tak naprawdę zajęć WF-u. A ich trener, Delaney Scarsbury był nie tyle demonem, ile Nocnym Łowcą, który pewnie uważał, że ścięcie paru głów wielogłowej piekielnej bestii to doskonały pomysł na sobotni wieczór, ale z punktu widzenia Simona to były tylko szczegóły techniczne.

– Lewis! – krzyknął Scarsbury, stając nad Simonem, który leżał wyciągnięty na ziemi i próbował zrobić jeszcze jedną pompkę. – Na co czekasz? Na ozdobne zaproszenie?

Nogi Scarsbury’ego były grube jak pnie drzew, a jego bicepsy równie przygnębiająco wielgachne. To przynajmniej odróżniało tego Nocnego Łowcę od Przyziemnych nauczycieli WF-u Simona, z których większość byłaby w stanie wycisnąć co najwyżej torebkę chipsów na ławeczce. Ponadto żaden z nauczycieli Simona nie nosił przepaski na oku ani miecza z wytrawionymi runami i pobłogosławionego przez anioły.

Jednakże pod każdym innym liczącym się względem Scarsbury był dokładnie taki sam jak reszta nauczycieli WF-u.

– Niech wszyscy spojrzą na Lewisa! – zawołał do pozostałych uczniów, kiedy Simon uniósł się i zamarł w drżącej pozycji na ugiętych rękach i palcach stóp, siłą woli powstrzymując się przed padnięciem na ziemię. Ponownie. – Być może jednak nasz bohater zdoła pokonać swoje chude jak spaghetti rączęta.

Na szczęście tylko jedna osoba się zaśmiała. Simon rozpoznał charakterystyczne rzenie Jona Cartwrighta, najstarszego syna znamienitej rodziny Nocnych Łowców (o czym sam pierwszy by każdego poinformował). Jon wierzył, że urodził się, by stać się wielkim i najwyraźniej potwornie go irytowało, że ubiegł go Simon, nieszczęsny Przyziemny. Nawet jeśli sam tego nie pamiętał. To, rzecz jasna, Jon zaczął przezywać Simona „naszym bohaterem”. I jak wszyscy źli nauczyciele WF-u przed nim, Scarsbury natychmiast podchwycił pomysł popularnego dzieciaka.

W Akademii Nocnych Łowców prowadzono dwa kursy: jeden dla potomków Nocnych Łowców, którzy dorastali w tym świecie i którym z racji krwi było pisane walczyć z demonami, oraz drugi dla Przyziemnych, niezorientowanych, pozbawionych zapisanego w genach przeznaczenia, z trudem nadążających za Nefilim. Większość dnia grupy spędzały na osobnych zajęciach. Przyziemni uczyli się podstawowych technik walki i zakuwali co bardziej subtelne punkty Przymierza Nefilim, a Nocni Łowcy skupiali się na bardziej zaawansowanych umiejętnościach: zonglerce shurikenami, studiowaniu języka chtonicznego i rysowaniu sobie runów obrzydliwego poczucia wyższości i kto wie czego jeszcze. (Simon nadal miał nadzieję, że gdzieś w podręczniku Nocnych Łowców kryje się sekret obezwładniającego chwytu Wolkan. W końcu instruktorzy ciągle im przypominali, że wszystkie historie są prawdziwe). Niemniej obie grupy razem zaczynały dzień: każdy uczeń, niezależnie od tego, jak mało był doświadczony albo jak bardzo zaawansowany, musiał stawić się na treningu o świcie na godzinę wyczerpującej gimnastyki. Żyjemy osobno, pomyślał Simon, kiedy uparte bicepsy nie chciały się napiąć, ale razem robimy pompki.

Kiedy powiedział matce, że chce iść do szkoły wojskowej, żeby zmęźnieć, spojrzała na niego dziwnie. (Nie tak dziwnie, jak spojrzałaby, gdyby powiedział, że chce iść do szkoły, gdzie będzie

się uczył walki z demonami, żeby potem napić się z Kielicha Anioła i odbyć Wstąpienie w szeregi Nocnych Łowców i być może odzyskać wspomnienia, które stracił w pobliskim piekle, ale niewiele brakowało). To spojrzenie mówiło: „Mój syn, Simon Lewis, chce zacząć życie, w którym trzeba przed śniadaniem zrobić sto pompek?”.

Wiedział to, bo dostatecznie dobrze potrafił czytać z jej twarzy, ale także dzięki temu, że gdy już odzyskała zdolność mówienia, powiedziała:

– Mój syn, Simon Lewis, chce zacząć życie, w którym trzeba przed śniadaniem zrobić sto pompek?

A potem zapytała go przekornie, czy został opętany przez jakieś złe monstrum, a on udał, że się śmieje, starając się chociaż raz zignorować macki wspomnień z innego życia, jego prawdziwego życia. Tego, w którym został zamieniony w wampira, a jego matka nazwała go potworem i zabarykadowała się przed nim w domu. Czasem Simon myślał, że zrobiłby wszystko, byle odzyskać wspomnienia, które mu odebrano, ale były chwile, kiedy zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby o wszystkim zapomnieć.

Scarsbury, bardziej wymagający od każdego instruktora musztry, co rano zmuszał wszystkich młodych podopiecznych do dwustu pompek... Ale przynajmniej pozwalał im zjeść wcześniej śniadanie.

Po pompkach zaczynały się okrążenia. Po okrążeniach wypadły. Po wypadach...

– Ty pierwszy, bohaterze – zaszydził Jon, proponując Simonowi, żeby wspiął się po ścianie. – Może jeśli damy ci fory, nie będziemy musieli bardzo długo czekać, aż nas dogonisz.

Simon był zbyt zmęczony, żeby się odgryźć. I zdecydowanie zbyt wycieńczony, by wspiąć się na ścianę, chwytając się jednej niewiarygodnie odległej podpory za drugą. Udało mu się w końcu pokonać parę stóp, a potem zatrzymał się, żeby dać

odpocząć wrzeszczącym z bólu mięśniom. Jeden po drugim kolejni uczniowie mijali go, a żaden nie sprawiał wrażenia nawet trochę zadyszanego.

– Bądź bohaterem – mruknął do siebie Simon, przypominając sobie życie, jakim nęcił go Magnus Bane podczas ich pierwszego spotkania (a przynajmniej pierwszego, jakie Simon pamiętał). – Przeżyj przygodę. A co powiesz na zamienienie własnego życia w jedną długą męczarnię na WF-ie?

– Stary, znowu gadasz do siebie – powiedział George Lovelace, współlokator Simona i jedyny prawdziwy przyjaciel w Akademii, kiedy wciągnął się na ścianę obok niego. – Trzymasz się jeszcze?

– Mówię do siebie, nie do małych zielonych ludzików – wyjaśnił Simon. – Nadal jestem zdrowy na umyśle.

– Nie, pytałem... – George skinął głową, zerkając na spocone palce Simona, zbiegające z wysiłku, gdyż utrzymywały cały jego ciężar – ...czy nadal się trzymasz.

– Ach. Pewnie. Świetnie sobie radzę – odpowiedział Simon. – Daję tylko wam fory. Uznałem, że w warunkach bojowych to zawsze czerwone bluzy pierwsze padają, nie?

George zmarszczył brwi.

– Czerwone bluzy? Ale my się ubieramy na czarno.

– Nie, czerwone bluzy – powtórzył z naciskiem Simon. – Mięso armatnie. Star Trek? Coś ci to mówi...?

Simon westchnął, widząc pusty wyraz twarzy kumpla. George dorastał na odizolowanej prowincji w Szkocji, ale przecież nie był pozbawiony Internetu i kablówki. Kłopot w tym, że na ile Simon się zorientował, Lovelace'owie oglądali tylko piłkę nożną, a z WiFi korzystali jedynie po to, żeby sprawdzać statystyki Dundee United i czasem kupić hurtem paszę dla owiec.

– Nieważne. Wszystko w porządku. Do zobaczenia na górze.

George wzruszył ramionami i podjął wspinaczkę. Simon obserwował kumpla – opalonego, muskularnego, w typie modeli Abercrombie – który łapał się kolejnych plastikowych uchwytów

z równą łatwością jak Spider-Man. To było niedorzeczne: George nie był nawet Nocnym Łowcą, nie miał ich krwi. Został adoptowany przez rodzinę Nocnych Łowców, więc był równie Przyziemny jak Simon. Tyle że jak większość pozostałych Przyziemnych – i zupełnie przeciwnie niż Simon – był niemalże doskonałym okazem człowieka. Obrzydliwie wysportowany, skoordynowany ruchowo, silny i szybki, tak podobny do Nocnego Łowcy, jak to możliwe bez krwi aniołów w żyłach. Innymi słowy, był mięśniakiem.

W Akademii Nocnych Łowców brakowało wielu rzeczy, o których Simon kiedyś myślał, że nie da się bez nich żyć: komputerów, muzyki, komiksów, instalacji wodno-kanalizacyjnej. W ciągu ostatnich paru miesięcy nauczył się radzić sobie bez tego wszystkiego, ale z jednym szokującym brakiem nadal nie mógł się pogodzić.

W Akademii Nocnych Łowców nie było maniaków.

Matka Simona powiedział mu kiedyś, że jedną z rzeczy, które uwielbia w byciu żydówką, jest fakt, że można wejść do dowolnej synagogi na świecie i od razu poczuć się jak w domu. W Indiach, Brazylii, Nowej Zelandii, nawet na Marsie, o ile można polegać na domowej roboty komiksie „Shalom, kosmonauci!”, który był jednym z jaśniejszych punktów w trzeciej klasie szkoły hebrajskiego. Żydzi wszędzie modlili się w tym samym języku, na te same melodie, tymi samymi słowami. Matka Simona (która – co należy zaznaczyć – nigdy nie wypuściła się poza obszar trzech najbliższych stanów, już nie mówiąc o opuszczeniu kraju) powiedziała swojemu synowi, że dopóki będzie w stanie odnaleźć ludzi, którzy mówią w języku jego duszy, nigdy nie będzie samotny.

I okazało się, że miała rację. Dopóki Simon odnajdywał ludzi, którzy mówili jego językiem – językiem D&D i Warcrafta, językiem Star Treka, mangi i niezależnych grup rockowych z takimi piosenkami jak „Han strzelił pierwszy” i „What the Frak”

– czuł, że znajduje się wśród przyjaciół.

A szkolący się Nocni Łowcy? Większość z nich pewnie myślała, że manga to jakaś demoniczna odmiana grzybicy stóp. Simon robił, co w jego mocy, żeby zapoznać ich z bardziej wyrafinowanymi aspektami życia, ale faceci tacy jak George Lovelace mieli mniej więcej tyle predyspozycji do posługiwania się dwunastościenną kostką, co Simon do... cóż, jakiegokolwiek fizycznej aktywności bardziej złożonej niż chodzenie i jednoczesne żucie gumy.

Zgodnie z przewidywaniami Jona Simon ostatni pokonał ściankę. Podczas gdy pozostali się wspięli, zadzwonili małym dzwoneczkiem na szczycie i zsunęli się po linie na ziemię, on wspiał się raptem na wysokość dziesięciu metrów. Przy ostatniej takiej okazji Scarsbury, który miał zadziwiający talent sadystyczny, kazał całej klasie usiąść i obserwować, jak Simon gramoli się z trudem na szczyt. Tym razem trener litościwie skrócił jego męczarnie.

– Dość! – krzyknął Scarsbury, klaszcząc w dłonie.

Simon zastanowił się, czy istnieje coś takiego jak gwizdek z runami. Mógłby sprezentować go Scarsbury’emu na gwiazdkę.

– Lewis, skróć nasze cierpienia i zejdź. Pozostali mają iść do zbrojowni, wziąć miecz i dobrać się w pary. – Złapał ramię Simona w żelazny uścisk. – Nie tak szybko, bohaterze. Ty zostajesz.

Simon zadał sobie w myślach pytanie, czy to właśnie ta chwila, kiedy jego nieszczęsna terażniejszość wreszcie przeważy heroiczną przeszłość i wyleją go ze szkoły. Wtedy jednak Scarsbury wywołał jeszcze kilka innych nazwisk, wśród nich Lovelace’a, Cartwrighta, Beauvale i Mendozę – większość z nich była Nocnymi Łowcami i wszyscy byli najlepszymi uczniami, więc Simon się uspokoił. Odrobinę. Cokolwiek Scarsbury zamierzał powiedzieć, to nie mogło być nic strasznego, skoro zamierzał powiedzieć to także Jonowi Cartwrightowi, złotemu

medaliście w podlizywaniu się.

– Siadać! – ryknął Scarsbury.

Usiedli.

– Jesteście tu, ponieważ należycie do dwudziestki najbardziej obiecujących uczniów w roczniku – powiedział Scarsbury i zamilkł, żeby dotarła do nich pochwała.

Większość uczniów się rozpromieniła. Simon próbował siłą woli sprawić, że zniknie. Raczej dziewiętnastu najbardziej obiecujących uczniów i jeden, który nadal prześlizgiwał się dzięki swoim dawnym osiągnięciom. Znowu poczuł się, jakby miał osiem lat i usłyszał przypadkiem, jak matka naskakuje na trenera Małej Ligi, żeby dał szansę Simonowi i wpuścił go na pozycję odbijającego.

– Mamy Podziemnego, który złamał Prawo, i trzeba się nim zająć – mówił dalej Scarsbury – a góra uznała, że to idealna okazja, by chłopcy stali się mężczyznami.

Marisol Rojas Garza, chuda trzynastoletnia Przyziemna, która wiecznie miała minę, jakby mówiła „skopię ci tyłek”, odchrząknęła głośno.

– Ehm... mężczyznami i kobietami – poprawił się Scarsbury bez szczególnego entuzjazmu.

Wśród uczniów rozległy się pomruki; ekscytacja mieszała się z niepokojem. Żadne z nich nie spodziewało się prawdziwej misji tak szybko. Stojący za Simonem Jon udał, że ziewa.

– Nudy. Mógłbym zabić podłego Podziemnego przez sen.

Simon, który rzeczywiście zabijał podłych Podziemnych we śnie, a także przerażające demony z mackami, Mrocznych Nocnych Łowców oraz inne krwiożercze potwory, które zaludniały jego koszmary, nie miał ochoty ziewać. Zrobiło mu się niedobrze.

George podniósł rękę.

– Ehm, sir, niektórzy z nas nadal są... – Przełknął ślinę i nie po raz pierwszy Simon zastanawiał się, czy kumpel żałuje, że wyznał

prawdę na swój temat; Akademia była o wiele przyjemniejszym miejscem, kiedy należało się do elitarnego kursu dla Nocnych Łowców, i to nie tylko dlatego, że elita nie sypia w lochach. – ...Przyziemnymi.

– Sam to zauważyłem, Lovelace – odparł oschle Scarsbury. – Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy odkryłem, że niektórzy z motłochu nadają się jednak do czegoś.

– Nie, miałem na myśli... – George się zawahał; można było go speszyć o wiele łatwiej, niż to powinno być możliwe w przypadku szkockiego boga seksu mającego sześć stóp i pięć cali wzrostu (to opis autorstwa Beatriz Velez Mendozy, według słów jej zbyt gadatliwej najlepszej przyjaciółki). Wreszcie wyprostował się i skończył zdanie: – Mam na myśli to, że jesteś Przyziemnym. Nie możemy stosować Znaków, ostrzy serafickich, magicznego światła ani niczego takiego, nie mamy nadzwyczajnej szybkości albo anielskiego refleksu. Walka z Podziemnym po kilku miesiącach treningu... Czy to nie jest niebezpieczne?

Żyłka na szyi Scarsbury'ego zaczęła niepokojąco pulsować, a zdrowe oko było tak wytrzeszczone, że Simon obawiał się, że może wyskoczyć. (Co wreszcie tłumaczy tajemniczą przepaskę na oku, uznał Simon).

– Niebezpieczne? Niebezpieczne?! – ryknął. – Ktoś jeszcze obawia się odrobiny niebezpieczeństwa?

Jeśli były takie osoby, to bardziej bały się Scarsbury'ego i trzymały gębę na kłódkę. Trener pozwolił, żeby milczenie przeciągało się, ciężkie i wymowne, przez niekończącą się minutę. Potem skrzywił się, patrząc na George'a.

– Jeśli boisz się niebezpiecznych sytuacji, to znalazłeś się w niewłaściwym miejscu. A co do pozostałego motłochu, najlepiej będzie, jeśli już teraz zorientujecie się, czy macie to, co jest potrzebne. Jeśli nie, to łyk z Kielicha Anioła was zabije, a możecie mi zaufać, o wiele przyjemniejszą śmiercią jest dać się wysssać do sucha przez jakiegoś krwiopijcę. – Spojrzał na Simona,

może dlatego, że Simon był kiedyś krwiopijcą, a może dlatego, że najprędzej padnie ofiarą krwiopijcy.

Simonowi przyszło na myśl, że Scarsbury może mieć nadzieję na taki wynik. Może wybrał go do tej misji w nadziei, że pozbędzie się najbardziej kłopotliwego ucznia. Ale przecież żaden Nocny Łowca, nawet jeśli jest nauczycielem WF-u, nie stoczyłby się tak nisko, prawda?

Jakiś powidok wspomnienia budzący się w Simonie ostrzegł go, żeby nie ulegać takim złudzeniom.

– Jasne? – warknął Scarsbury. – Czy ktoś jeszcze z obecnych chce pobiec do mamusi i tatusia i z płaczem prosić „ratujcie mnie przed wielkim złym wampirem”?

Grobowa cisza.

– Doskonale – stwierdził trener. – Macie dwa dni na trening. A później pamiętajcie, jak bardzo zaimponujecie swoim małym przyjaciołom, kiedy wrócie. – Zarechotał. – O ile wróćcie.

* * *

Świetlica dla uczniów była ciemna i zatechła, oświetlona migoczącymi płomieniami świec i obserwowana przez chmurne oblicza dawnych Nocnych Łowców, Herondale’ów i Lightwoodów, a czasem nawet Morgensternów, zerkających z grubo złoconych ram, okalających utrwalone za pomocą farb olejnych ich krwawe triumfy. Miała jednak kilka zalet, których brakowało sypialni Simona – nie znajdowała się w lochach, nie była zbryzgana czarnym szlamem, nie zalatywała lekko czymś, co mogło być zatechłą skarpetką, ale równie dobrze ciałami dawnych uczniów rozkładającymi się pod podłogą, i nie było słychać, żeby za jej ścianami żyła wielka i hałaśliwa rodzina szczurów. Jednak jedną ogromną zaletą jego własnej sypialni – jak przypomniał sobie tego wieczoru Simon, gdy siedział w kącie

i grał w karty z George'em – była gwarancja, że Jon Cartwright i jego wielbicielki z kursu elitarnego nigdy, przenigdy nie zniżą się do tego, by przekroczyć jej próg.

– Nie mam siódemek – powiedział George, kiedy Jon, Beatriz i Julie weszli do świetlicy. – Dobieraj.

Kiedy podeszli, Simona nagle ogromnie wciągnęła gra w karty. A przynajmniej zrobił, co w jego mocy, żeby tak było. W normalnej szkole z internatem w świetlicy wisiałby telewizor zamiast ogromnego portretu Jonathana Nocnego Łowcy z oczami błyszczącymi równie jasno jak jego miecz. Z sypialń przesączałyby się muzyka i mieszałyby się na korytarzach, czasem trafiałoby się coś dobrego, czasem trafiałoby się Phish; mieliby e-maile, SMS-y i porno w sieci. W Akademii możliwości spędzania wolnego czasu były ograniczone: można było zakuwać Kodeks albo spać. Karty były jedyną grą, na jaką mógł liczyć; a kiedy Simon za długo nie grał, zaczynało go trochę nosić. Okazało się, że kiedy przez cały dzień trenujesz, żeby pokonywać prawdziwe, rzeczywiście istniejące potwory, przygody D&D tracą część blasku, a przynajmniej tak twierdził George i każdy inny uczeń, którego Simon próbował namówić na rozgrywkę, i dlatego zostały mu tylko na poły zapomniane karciane gry z obozu letniego. Powstrzymał ziewnięcie.

Jon, Beatriz i Julie stanęli obok, czekając, aż zostaną zauważeni. Simon miał nadzieję, że jeśli poczeka dostatecznie długo, to po prostu odejdą. Beatriz nie była taka zła, w każdym razie nie w pojedynkę. Za to Julie przypominała rzeźbę z lodu. Miała podejrzenie mało fizycznych niedoskonałości – jedwabiste blond włosy lalki Barbie, porcelanową cerę modelki reklamującej kosmetyki, ładniejsze krągłości niż dziewczyny w bikini, którymi wytapetował garaż Erik. I miała przy tym jastrzębią minę kogoś, kto podjął się misji zniszczenia wszelkich słabości, na jakie natrafi. Ponadto nosiła miecz.

Jon, rzecz jasna, to Jon.

Nocni Łowcy nie uprawiają magii – to fundamentalna zasada w systemie ich przekonań – więc było mało prawdopodobne, że Simon nauczy się w Akademii, jak sprawić, żeby Jon Cartwright zniknął w równoległym wymiarze. Jednak pomarzyć miła rzecz.

Nie poszli sobie. W końcu od urodzenia niezdolny do nieuprzejmości George odłożył karty.

– Możemy w czymś pomóc? – zapytał ze szczyptą lodu pobrzmiwającą w szkockim akcencie.

Przyjaźń Jona i Julie zgasła, kiedy dowiedzieli się, że George jest tak naprawdę Przyziemnym i chociaż George nigdy tego nie skomentował, najwyraźniej ani o tym nie zapomniał, ani im tego nie wybaczył.

– Właściwie to tak – odpowiedziała Julie. Skinęła głową w stronę Simona. – W każdym razie ty możesz.

Wiadomość o nadciągającej misji mającej na celu zabicie wampira nie sprawiła, że ten dzień zyskał w oczach Simona. Był w fatalnym humorze.

– Czego chcecie?

Julie spojrzała zakłopotana na przyjaciółkę, która spuściła wzrok.

– Ty zapytaj – wymamrotała Beatriz.

– Lepiej, żebyś ty to zrobiła – odpowiedziała Julie.

Jon przewrócił oczami.

– Na Anioła, ja to zrobię! – Wyprostował się na całą imponującą wysokość, oparł ręce na biodrach i zerknął z góry na Simona. Wyglądało to na pozę wyćwiczoną przed lustrem. – Chcemy, żebyś opowiedział nam o wampirach.

Simon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A co chcecie wiedzieć? Najstraszniejsza jest Eli w „Pozwól mi wejść”, najbardziej tandetny późny Lestat, najbardziej niedoceniany jest David Bowie w „Zagadce nieśmiertelności”. Najseksowniejsza jest zdecydowanie Drusilla, chociaż jeśli zapytasz dziewczynę, to pewnie powie, że Damon Salvatore albo

Edward Cullen. Ale... – Wzruszył ramionami. – Znasz dziewczyny. Julie i Beatriz wytrzeszczyły oczy.

– Nie myślałam, że wiesz tak dużo! – wykrzyknęła Beatriz. – To są... To są twoi przyjaciele?

– Pewnie, jesteśmy z hrabią Draculą o tak – powiedział Simon i skrzyżował palce. – I z hrabią Choculą. A z hrabią Blinulą jesteśmy najlepszymi kumplami. To prawdziwy czaruś... – Urwał, kiedy zdał sobie sprawę, że nikt się nie śmieje. Co gorsza, nikt nie zorientował się, że Simon żartuje. – To postaci z telewizji – podpowiedział. – I z płatków śniadaniowych.

– O czym on mówi? – zapytała Jona Julie; zdezorientowana marszczyła idealny nosek.

– A kogo to obchodzi? – odpowiedział Jon. – Mówiłem, że to strata czasu. On nie dba o nikogo poza sobą.

– A to co niby miało znaczyć? – zapytał już nieco zirytowany Simon.

George odchrząknął wyraźnie skrępowany.

– Daj spokój, skoro nie chce o tym mówić, to jego sprawa.

– Nie, kiedy stawką jest nasze życie – odrzekła Julie, mrugając, jakby coś jej wpadło do oka.

Simon wstrzymał oddech. Czyżby hamowała... łyzy?

– Co tu się dzieje? – zapytał bardziej zagubiony niż zwykle, co już samo w sobie było wielce wymowne.

Beatriz westchnęła i posłała mu nieśmiały uśmiech.

– Nie pytamy cię o nic osobistego, no wiesz, bolesnego. Chcieliśmy tylko, żebyś powiedział nam, co wiesz na temat wampirów jako...

– Jako ktoś, kto był krwiopijcą – dokończył za nią Jon. – A byłeś nim, jak pewnie sam pamiętasz.

– Tyle że ja właśnie nie pamiętam – odparł Simon. – Czy ty w ogóle mnie nie słuchałeś?

– Tak twierdzisz – upierała się Beatriz – ale...

– Myślisz, że kłamię?! – zapytał z niedowierzaniem Simon.

Czarna dziura pośrodku pamięci była tak podstawowym faktem w jego życiu, że nie przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby kwestionować jej istnienie. Jaki sens miałyby kłamstwa? Jaki człowiek kłamałby w taki sposób? – Wszyscy tak uważacie? Naprawdę?

Jedno po drugim pokiwali głowami. Nawet George, chociaż on był tym przynajmniej wyraźnie zawstydzony.

– Dlaczego miałbym udawać, że nie pamiętam? – zapytał Simon.

– Dlaczego przyjęliby do Akademii kogoś takiego jak ty, gdybyś naprawdę o niczym nie miał pojęcia? – odpowiedział Jon. – To jedyne sensowne wyjaśnienie.

– Cóż, najwyraźniej żyjemy w bardzo, bardzo zwariowanym świecie – warknął Simon – bo dostajecie to, co widać.

– Czyli wielkie nic – podsumował Jon.

Julie szturchnęła go łokciem nietypowo dla siebie rozeźlona – zwykle radośnie przytakiwała mu we wszystkim.

– Obiecałeś, że będziesz miły!

– Po co? Albo on nic nie wie, albo nie chce nam powiedzieć. Zresztą kogo to obchodzi? To tylko jeden Podziemny. Co takiego straszego może się stać?

– Naprawdę nie masz pojęcia, co? – zapytała Julie. – Brałeś kiedyś udział w walce? Widziałeś kiedyś, jak ktoś zostaje ranny? Jak umiera?

– Jestem Nocnym Łowcą, prawda? – odparł Jon, a Simon zauważył, że to żadna odpowiedź.

– Nie byłeś w Alicante w czasie wojny – odpowiedziała chmurnie Julie. – Nie wiesz, jak to wyglądało. Nikogo nie straciłeś.

Jon się oburzył.

– Nie waż się mówić mi, co straciłem. Nie wiem jak ty, ale ja tu jestem, żeby nauczyć się walczyć, więc następnym razem...

– Nie mów tego – poprosiła Beatriz. – Nie będzie następnego

razu. Nie może być.

Jon wzruszył ramionami.

– Zawsze jest następny raz. – Zabrzmiało to tak, jakby bez miała miał na to nadzieję, i Simon zrozumiał, że Julie ma pewnie rację. Jon mówił jak ktoś, kogo trzymano z dala od śmierci wszelkiego rodzaju.

– Ja widziałem martwą owcę – oznajmił wesoło George, starając się poprawić nastrój. – I to byłoby tyle.

Beatriz zmarszczyła brwi.

– Naprawdę nie chcę walczyć z wampirem. Może gdyby to był faerie...

– Nic nie wiesz o faerie – warknęła Julie.

– Wiem, że chętnie zabiłabym parę faerie – odpowiedziała Beatriz.

Julie nagle oklapła, jakby uszło z niej całe powietrze.

– Ja też. Gdyby to było takie łatwe...

Simon nie orientował się za dobrze w relacjach między Nocnymi Łowcami a Podziemnymi, ale dość szybko dostrzegł, że obecnie wrogiem publicznym numer jeden w świecie Nocnych Łowców są faerie. Prawdziwy wróg numer jeden, Sebastian Morgenstern, który rozpętał Mroczną Wojnę i przemienił zgraję Nocnych Łowców w złe, wielbiące go zombie, dawno już nie żył. Nawet Nocni Łowcy tacy jak Beatriz, którzy szczerze wierzyli, że wilkołaki są takie jak wszyscy, tyle że trochę bardziej kudłate, i durzyła się na odległość w niesławnym czarowniku Magnusie Banie, mówiła o faerie tak, jakby to była plaga karaluchów, a Zimny Pokój to tylko postój na drodze do eksterminacji.

– Miałeś rację dziś rano, George – powiedziała Julie. – Nie powinni wysyłać nas w misję ot tak po prostu. Żadnego z nas. Nie jesteśmy gotowi.

Jon parsknął.

– Mów za siebie.

Kiedy zaczęli przekomarzać się między sobą, jak trudne może

być tak naprawdę zabicie wampira, Simon wstał. Nie dość, że wszyscy uważali go za kłamcę, to w pewnym sensie mieli rację. Nie pamiętał niczego z bycia wampirem, w każdym razie niczego, co byłoby użyteczne, ale pamiętał dość, żeby myśl o zabiciu któregoś budziła w nim ogromny opór.

A może myśl o zabiciu czegokolwiek. Simon był wegetarianinem i jedyna przemoc, jakiej się dopuścił, rozgrywała się na ekranie i polegała na wysadzaniu smoków i morskich ślimaków z pikseli.

„To nieprawda”, odezwał się głos w jego głowie. „Masz mnóstwo krwi na rękach”. Simon zlekceważył ten głos. Niepamięć nie znaczy, że coś się nie wydarzyło, ale udawanie, że coś nie miało miejsca, niekiedy ułatwia życie.

George złapał go za rękę, zanim Simon odszedł.

– Przepraszam za... No wiesz. Powinienem być ci wierzyć.

– Aha, powinieneś być. – Simon westchnął, a potem zapewnił kumpla, że nie ma do niego pretensji, co było niemal szczere.

W połowie ciemnego korytarza usłyszał, że ktoś za nim biegnie.

– Simon! – wołała Julie. – Poczekał chwilę.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Simon odkrył, że magia i demony istnieją, dowiedział się, że jego wspomnienia są równie liche i sztuczne jak stare papierowe lalki siostry, i porzucił wszystko, co znał, żeby przenieść się za pomocą magii do niewidzialnej krainy i uczyć się walki z demonami. Mimo to nic go tak nie zdumiewało jak wciąż wydłużająca się lista ślicznych dziewczyn, które pilnie czegoś od niego chciały. To nie było nawet w przybliżeniu tak zabawne, jak powinno.

Simon zatrzymał się i poczekał, aż Julie go dogoni. Była kilka cali od niego wyższa i miała orzechowe oczy ze złotymi plamkami, które zmieniały się zależnie od światła. W mrocznym korytarzu migotały bursztynowo w blasku kandelabru. Poruszała się z naturalnym wdziękiem tancerki baletowej (gdyby tancerki

baletowe rutynowo cięły ludzi na plasterki srebrnym sztyletem z runami). Innymi słowy, poruszała się jak Nocny Łowca i, jak Simon zauważył na treningach, zapowiadała się na świetną wojowniczkę.

I jak każdy inny świetny Nocny Łowca nie zamierzała przyjaźnić się Przyziemnymi, a już w szczególności z Przyziemnymi, którzy byli kiedyś Podziemnymi. Nawet z Przyziemnymi, którzy w poprzednim życiu, którego już nie pamiętają, uratowali świat. Jednakże odkąd Isabelle Lightwood zjawiała się w Akademii i zaanektowała Simona, Julie przyglądała mu się ze szczególną fascynacją. Nie tak jak komuś, kogo chciałaby zaciągnąć do łóżka, tylko jakby chciała go przebadać pod mikroskopem, wyrywając mu kończyny i grzebiąc we wnętrznościach, żeby wypatrzeć błysk tego, co mogło pociągać taką dziewczynę jak Isabelle Lightwood.

Simon nie miał nic przeciwko takiemu spojrzeniu. Podobała mu się przenikliwa ciekawość w jej wzroku, brak oczekiwań. Isabelle, Clary, Maia, te wszystkie dziewczyny w Nowym Jorku – twierdziły, że go znają i kochają, wierzą w niego, ale on wiedział, że tak naprawdę nie kochają jego, ale jego dziwaczną wersję z równoległego świata, jego sobowtóra, a kiedy patrzą na niego, widzą tylko tamtego chłopaka i tylko jego chcą widzieć. Julie pewnie go nienawidziła (no dobra, na pewno go nienawidziła), ale jednocześnie naprawdę go dostrzegała.

– To prawda? – zapytała go teraz. – Nie pamiętasz nic z tamtych wydarzeń? Z bycia wampirem? Z demonicznych krain? Z Mrocznej Wojny? Nic?

Simon westchnął.

– Jestem zmęczony, Julie. Możemy poudawać, że zadałaś mi to pytanie milion razy, ja za każdym razem udzieliłem ci tej samej odpowiedzi, i uznać sprawę za zamkniętą?

Otarła oko i Simon znowu zastanawiał się, czy to możliwe, że Julie Beauvale żywiła jakieś ludzkie uczucia i z jakiegoś powodu

powstrzymywała prawdziwe ludzkie łzy. W korytarzu było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć poza gładkimi liniami jej twarzy i błyskiem złotego wisiora, który zniknął w jej dekolcie.

Simon przycisnął rękę do obojczyka, nagle przypominając sobie ciężar kamienia, rozbłysk rubinu, równy puls podobny do bicia serca i wyraz jej twarzy, kiedy oddawała mu klejnot na przechowanie, zegnała się – odłamki pomieszanych wspomnień niemożliwych do poskładania. Jednak kiedy tylko zadał sobie pytanie, czyja była ta twarz, czyje lękliwe pożegnanie, umysł podsunął mu odpowiedź.

Isabelle.

To zawsze była Isabelle.

– Wierzę ci – powiedziała Julie. – Nie rozumiem, ale wierzę. Chyba miałam nadzieję...

– Na co?

W jej głosie brzmiała nieznaną nuta, coś delikatnego i niepewnego. Julie sprawiała wrażenie niemal tak samo zaskoczonych jak on, kiedy ją usłyszała.

– Myślałam, że ze wszystkich ludzi ty najprędzej zrozumiesz – odpowiedziała. – Jak to jest walczyć o życie. Walczyć z Podziemnymi. Myśleć, że umrzesz. Widzieć... – Jej głos nie zadrżał, jej twarz się nie zmieniła, ale Simon niemal czuł, jak krew ścina jej się lodem, kiedy zmusiła się do wypowiedzenia słów: – Jak inni giną.

– Przykro mi – powiedział Simon. – Wiem, co się stało, ale...

– Ale to nie to samo, co być tam – odpowiedziała Julie.

Simon skinął głową i pomyślał o długich godzinach, jakie spędził przy łóżku ojca, długo po tym, jak linia na monitorze zrobiła się płaska, wiedząc, że on nigdy się nie obudzi. Myślał wtedy: „W porządku, wiem, jak to jest”. Widział wiele filmów, w których ojciec bohatera umiera. Wyobrażał sobie twarz Luke’a Skywalker’a, kiedy wrócił do domu i odnalazł tłące się ciała ciotki i wuja wśród ruin na Tatooine, myślał, że rozumie żalobę.

– Pewnych rzeczy nie można zrozumieć, dopóki samemu się ich nie przeżyje.

– Zastanawiałeś się kiedyś, co ja tu robię? – zapytała Julie. – Dlaczego trenuję w Akademii zamiast w Alicante albo w jakimś Instytucie?

– Właściwie to... nie – przyznał Simon, ale może powinien był.

Akademia stała zamknięta przez wiele dziesięcioleci i wiedział, że w tym czasie rodziny Nocnych Łowców przywykły do samodzielnego trenowania swoich dzieci. Wiedział też, że większość z nich nadal to robi po Mrocznej Wojnie, bo nie chce spuścić z oka najbliższych.

Odwróciła wtedy wzrok, splotła palce, jakby potrzebowała się czegoś chwycić.

– Powiem ci coś teraz, a ty nikomu tego nie powtórzysz.

To nie było pytanie.

– Moja matka była jedną z pierwszych wśród Nocnych Łowców, których przemieniono – powiedziała martwym głosem. – Nie żyje teraz. Potem ewakuowano nas do Alicante, tak jak wszystkich innych. A kiedy zaatakowano Alicante... Wszystkie dzieci zamknięto w Sali Anioła. Myśleli, że będziemy tam bezpieczni. Jednak tamtego dnia nigdzie nie było bezpiecznie. Faerie dostały się do środka i Mroczni... Zabiliby nas wszystkich, gdyby nie ty i twoi przyjaciele. Moja siostra, Elizabeth... Zginęła jako jedna z ostatnich. Widziałam go, tego faerie o srebrnych włosach, i był taki piękny, Simonie, jak płynna rtęć. I to właśnie myślałam, kiedy opuścił miecz: że jest piękny. – Otrząsnęła się. – W każdym razie mój ojciec teraz do niczego się nie nadaje. Dlatego tu jestem. Żeby uczyć się walczyć. Żeby następnym razem...

Simon nie wiedział, co powiedzieć. „Przykro mi” wydawało mu się całkiem nieadekwatne. A Julie skończyły się słowa.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytał łagodnie.

– Bo chcę, żeby ktoś rozumiał, że ta misja, na którą nas

wysyłają, to naprawdę poważna sprawa. Nawet jeśli to tylko jeden wampir przeciwko nam wszystkim. Nie obchodzi mnie, co mówi Jon. Dzieją się różne rzeczy. Ludzie... – Skinęła energicznie głową, jakby odsyłała nie tylko jego, ale i wszystkie słowa, które między nimi padły. – Chciałam ci także podziękować za to, co zrobiłeś. I za twoje poświęcenie.

– Naprawdę niczego nie pamiętam – powiedział Simon. – Nie powinnaś mi dziękować. Wiem, co wydarzyło się tamtego dnia, ale traktuję to tak, jakby przydarzyło się komuś innemu.

– Może tak ci się wydaje, ale jeśli zostaniesz Nocnym Łowcą, będziesz musiał nauczyć się przyjmować rzeczy takie, jakie są.

Odwróciła się i ruszyła do swojego pokoju. Zakończyła rozmowę.

– Julie? – zawołał za nią cicho. – To dlatego Jon i Beatriz też są w Akademii? Z powodu ludzi, których stracili na wojnie?

– Będziesz musiał sam ich zapytać – odpowiedziała, nie odwracając się. – Wszyscy mamy swoje historie z Mrocznej Wojny. Wszyscy coś straciliśmy. Niektórzy z nas wszystko.

* * *

Następnego dnia ich nauczycielka historii, czarownica Catarina Loss, oznajmiła, że przekazuje zajęcia specjalnemu gościowi.

Simonowi zamarło serce. Ostatnim gościem, który zaszczylił uczniów swoją obecnością, była Isabelle Lightwood. A jej „wykład” sprowadzał się do surowego i upokarzającego ostrzeżenia, że wszystkie dziewczyny w promieniu dziesięciu mil mają trzymać swoje brudne łapska z dala od Simona.

Na szczęście do sali wszedł wysoki brunet, który nie sprawiał wrażenia zainteresowanego Simonem ani jego cudownym ciałem.

– Lazlo Balogh – przedstawił się tonem, który sugerował, że nie

trzeba go przedstawiać, ale może Catarina powinna była go uhonorować i to zrobić.

– Szef Instytutu w Budapeszcie – szepnął Simonowi do ucha George.

Mimo swojego rzekomego lenistwa jeszcze przed przybyciem do Akademii George wyuczył się na pamięć nazwisk wszystkich szefów Instytutów, nie wspominając już o każdym sławnym Nocnym Łowcy w historii.

– Przyszedłem opowiedzieć wam historię – powiedział Balogh, unosząc brwi tak, że tworzyły ostry, gniewny klin.

Z powodu bladej skóry, pasma ciemnych włosów między zakolami i słabego węgierskiego akcentu Balogh przypominał Simonowi Draculę. Podejrzewał, że Nocny Łowca nie byłby zachwyconym tym porównaniem.

– Kilkoro z was w tej klasie niedługo stanie do pierwszej walki. Przyszedłem poinformować was, jaka jest stawka.

– To nie my powinniśmy martwić się stawką – odezwał się z tylnego rzędu Jon i zarechotał.

Balogh rzucił mu wściekle spojrzenie.

– Jonathan Cartwright – powiedział, a jego akcent nadał zgłoskom złowieszczonego koloru. – Gdybym był synem twoich rodziców, trzymałbym język za zębami w obecności lepszych od siebie.

Jon pobladł jak prześcieradło. Simon wyczuwał promieniującą z niego nienawiść i pomyślał, że Balogh właśnie zdobył sobie wroga na całe życie. Pewnie wszyscy inni zgromadzeni w klasie także, bo Jon nie należał do osób, które lubią mieć publikę, gdy są upokarzane.

Otworzył usta i zaraz zacisnął je w cienką, ostrą linię. Balogh skinął głową, jakby potwierdzał, że owszem, powinien się zamknąć i płonąć w milczeniu ze wstydu.

Odchrząknął.

– Oto moje pytanie, dzieci. Co najgorszego może zrobić Nocny

Łowca?

Marisol podniosła rękę.

– Zabić niewinnego?

Balogh wyglądał, jakby wyczuł jakiś przykry zapaszek. (Co – zważywszy, że w klasie roіło się od pluskw – nie było zupełnie nieprawdopodobne).

– Jesteś Przyziemną – powiedział.

Pokiwała zdecydowanie głową. To było coś, co Simon najbardziej lubił w twardej trzynastolatce: nigdy nie przeproszała za to, kim jest. Wręcz przeciwnie – sprawiała wrażenie dumnej z tego.

– Były czasy, kiedy żadnego Przyziemnego nie wpuszczono by do Idrisu – powiedział Balogh. Zerknął na Catarinę, która kręciła się pod ścianą klasy. – Ani Podziemnego, skoro już o tym mowa.

– Czasy się zmieniają – odpowiedziała Marisol.

– W rzeczy samej. – Przyjrzał się klasie wypełnionej Przyziemnymi i Nocnymi Łowcami. – Czy któryś z... lepiej poinformowanych uczniów zaryzykowałby udzielenie odpowiedzi?

Beatriz uniosła powoli rękę.

– Moja matka zawsze mówiła, że najgorszym, co może zrobić Nocny Łowca, jest zaniechanie swoich obowiązków, niepamiętanie o tym, że istnieje po to, by służyć rodzajowi ludzkiemu i go chronić.

Simon zauważył, że usta Catariny drgnęły w półuśmiechu.

Balogh zdecydowanie odwrócił spojrzenie. A potem najwidoczniej uznał, że metoda sokratejska nie jest tak świetna, jak się o niej mówi, i sam odpowiedział na swoje pytanie.

– Najgorszym, co Nocny Łowca może zrobić, jest zdradzenie swojego towarzysza w ogniu walki – oznajmił z namaszczaniem. – I najgorsze jest też to, że może się okazać tchórzem.

Simon wbrew sobie czuł, że Balogh zwraca się wprost do niego, jakby zajrzał do jego głowy i wiedział doskonale, z jaką niechęcią

Simon myśli o stanięciu z bronią w prawdziwej walce przeciwko żywej istocie.

Nie całkiem żywej, upomniał się w myślach. Walczył już kiedyś z demonami, wiedział o tym i wątpił, żeby kiedykolwiek z tego powodu nie mógł spać. Tyle że demony to potwory. Wampiry nadal były ludźmi, miały dusze. Wampiry w przeciwieństwie do stworów z gier wideo cierpiały, krwawiły i umierały. A ponadto potrafiły się bronić. Na zajęciach z angielskiego w poprzednim roku Simon czytał „Szkarłatne godło odwagi”, nużącą powieść o żołnierzu z wojny secesyjnej, który uciekł z pola bitwy. Książka, która w tamtym czasie wydawała się jeszcze bardziej oderwana od życia niż matematyka, usypiała go, ale jedna linijka wbiła mu się w pamięć. „Był bojaźliwym pomyłeńcem”. Erik też był na tych zajęciach i przez kilka tygodni uważali, że nazwą swój zespół Bojaźliwi Pomyłeńcy, ale potem zapomnieli o tym pomysle. Jednak ostatnio Simon nie mógł pozbyć się tej fazy z głowy: „Pomyleniec”, czyli wariat, bo kiedykolwiek uznał, że może być wojownikiem i bohaterem. „Bojaźliwy”, czyli facet bez charakteru. Lękliwy. Płochliwy. Skończony tchórz.

– Był rok tysiąc osiemset dwudziesty ósmy – oznajmił Balogh. – To było jeszcze przed Porozumieniem, pamiętajcie, proszę, zanim przywołano Podziemnych do porządku i nauczono, żeby zachowywali się jak cywilizowane istoty.

Kątem oka Simon dostrzegł, że ich nauczycielka historii zeszytniała. Obrażanie czarownicy nie wydawało się rozsądne, nawet tak niewzruszonej jak Catarina Loss, ale Balogh mówił dalej niezrażony.

– W Europie panował chaos. Niezdyscyplinowani rewolucjoniści podburzali do waśni na całym kontynencie. W państwach niemieckich mała grupa czarowników postanowiła wykorzystać polityczną sytuację i sprowadziła najokropniejsze nieszczęścia na miejscową ludność. Niektórzy z Przyziemnych

mogli usłyszeć o tragedii i spustoszeniu, do jakiego wtedy doszło, z baśni braci Grimm. – Widząc zaskoczone miny kilku uczniów, Balogh pierwszy raz się uśmiechnął. – Tak, Wilhelm i Jacob znaleźli się w samym centrum wydarzeń. Pamiętajcie, dzieci, wszystkie historie są prawdziwe.

Podczas gdy Simon próbował ogarnąć fakt, że gdzieś w Niemczech mogła wyrosnąć ogromna łądyga fasoli z gniewnym olbrzymem na szczycie, Balogh opowiadał dalej. Opowiedział uczniom, jak mała grupka Nocnych Łowców została wysłana, że „zajęła się” czarownicami. Opowiedział o ich podróży w gęste knieje niemieckiego lasu, o ożywionych czarną magią drzewach, zaklętych ptakach i zwierzętach, które broniły swojego terytorium przed siłami sprawiedliwości. W ciemnym sercu puszczy czarownicy przywołali Wielkiego Demona, zamierzając wypuścić go na mieszkańców Bawarii.

– Dlaczego? – zapytał jeden z uczniów.

– Czarownice nie potrzebują powodu – odpowiedział Balogh, znowu zerkając na Catarinę. – Słabi i łatwo ulegający pokusie zawsze biorą pod uwagę czarną magię.

Catarina coś mruknęła. Simon złapał się na tym, że ma nadzieję, że tylko zaklęła.

– Było pięciu Nocnych Łowców – mówił Balogh – więcej niż trzeba, żeby zająć się trójką czarownic. Jednak Wielki Demon ich zaskoczył. Nawet wtedy sprawiedliwość zatriumfowałaby, gdyby nie tchórzostwo najmłodszego uczestnika wyprawy, Nocnego Łowcy imieniem Tobias Herondale.

W klasie rozległ się pomruk. Wszyscy uczniowie, zarówno Nocni Łowcy, jak i Przyziemni, znali to nazwisko. To było nazwisko Jace'a. To było nazwisko bohaterów.

– Tak, tak, wszyscy słyszeliście o Herondale'ach – zachnął się zniecierpliwiony Balogh. – I pewnie słyszeliście dobre rzeczy: o Williamie Herondale'u, na przykład, jego synu Jamesie albo o Jonathanie Lightwoodzie Herondale'u. Tyle że nawet

najsilniejsze drzewo może mieć słabą gałąź. Brat Tobiasa i jego żona zginęli piękną śmiercią w walce przed upływem dziesięciu lat. Dla niektórych to wystarczyło, żeby zmasakrać plamę z nazwiska Herondale. Jednak żadna ilość chwały i poświęceń nie sprawi, że zapomnimy o postępkach Tobiasa, i tak być powinno. Tobias był niedoświadczony i rozkojarzony, w misji wziął udział pod przymusem. Zostawił w domu ciężarną żonę i błędnie mniemał, że z tego powodu powinien zostać zwolniony z obowiązków. Kiedy demon zaatakował, Tobias Herondale, niech jego imię zostanie przeklęte po wsze czasy, odwrócił się na pięcie i uciekł. – Balogh powtórzył ostatnie słowo, uderzając ręką o biurko. – Uciekł!

Potem zaczął opisywać ze wszystkimi bolesnymi i makabrycznymi szczegółami późniejsze wydarzenia, sposób, w jaki demon zabił trzech pozostałych Nocnych Łowców – jednego wypatroszył, drugiego spalił żywcem, a trzeciego oblał żrącą krwią, tak że został z niego tylko pył. Czwarty przetrwał jedynie dzięki wstawiennictwu czarowników. Zwrócili go Nocnym Łowcom oszpeconego demonicznymi oparzeniami, które nigdy nie znikną, jako ostrzeżenie, żeby trzymali się od nich z daleka.

– Oczywiście wróciliśmy z większymi siłami i odpłaciliśmy się po dziesięciokroć za to, co zrobili wieśniakom. Jednak daleko większa zbrodnia, ta, którą popełnił Tobias Herondale, nadal domagała się zemsty.

– Większa zbrodnia? Większa niż zabicie kilku Nocnych Łowców? – zapytał Simon, nim zdążył się ugryźć w język.

– Demony i czarownicy nic nie mogą poradzić na to, kim są – odparł złowieszczo Balogh. – Nocnych Łowców obowiązują wyższe standardy. Śmierć tamtych trzech mężczyzn spoczywała bezpośrednio na barkach Tobiasa Herondale’a. I zostałyby stosownie ukarane, gdyby kiedykolwiek okazał się na tyle głupi, żeby pokazać gdzieś swoją twarz. Nigdy się nie ujawnił, a długi

wymagają spłaty. Osądzono go zaocznie. Uznano go winnym i wymierzono karę.

– Ale powiedział pan, że on nigdy nie wrócił – zdziwiła się Julie.

– W rzeczy samej. Dlatego karę wymierzono jego żonie.

– Jego ciężarnej żonie? – zapytała Marisol z miną, jakby miała zwymiotować.

– *Sed lex, dura lex* – powiedział Balogh.

Tę łacińską sentencję wbijano im do głów od pierwszego dnia w Akademii i Simon zaczął nienawidzić jej brzmienia, bo zbyt często posługiwano się nią, żeby usprawiedliwić potworne zachowanie. Balogh zetknął dłonie czubkami palców i przyjrzał się klasie, obserwując z satysfakcją, jak dociera do nich jego przekaz. Tak właśnie Clave traktowało tchórzostwo na polu bitwy; to była sprawiedliwość Przymierza.

– Twarde Prawo – przetłumaczył dla oniemiałych uczniów – ale Prawo.

* * *

– Wybierzcie mądrze – przestrzegł ich Scarsbury, obserwując, jak uczniowie grzebią wśród różnych ostrych przedmiotów, jakie oferowała zbrojownia.

– Jak mamy mądrze wybrać, skoro pan nawet nam nie powie, z czym mamy walczyć? – narzekał Jon.

– Wiecie, że to wampir – odparł Scarsbury. – Dowiedcie się więcej, kiedy zjawicie się na miejscu.

Simon zarzucił sobie łuk na ramię i wybrał sztylet do walki na krótki dystans – wyglądał na broń, którą raczej nie zdoła sam siebie zranić. Kiedy Nocni Łowcy rysowali sobie runy siły i zręczności, i chowali magiczne kamienie do kieszeni, Simon przypiął sobie do pasa z jednej strony wąską latarkę, a z drugiej przenośny miotacz płomieni. Dotknął Gwiazdy Dawida, którą

nosił na szyi na tym samym łańcuszku co wisiołek Jordana – na niewiele się to zda, chyba że wampir będzie żydem, ale poczuł się ciut lepiej. Jakby ktoś nad nim czuwał.

Powietrze wydawało się naelektryzowane wyczekiwaniem, co przypominało Simonowi czasy, gdy był małym dzieciakiem i przygotowywał się na szkolną wycieczkę. Oczywiście wizyta w zoo na Bronksie albo w oczyszczalni ścieków wiązała się z mniejszym prawdopodobieństwem wypatroszenia, a zamiast ustawiać się w kolejce do szkolnego autobusu, uczniowie zebrali się przed magiczną Bramą, która w okamgnieniu przeniesie ich do miejsca odległego o tysiące mil.

– Jesteś gotowy? – spytał George, szczerząc zęby w uśmiechu.

Odziany w strój bojowy i z mieczem dwuręcznym przewieszonym przez plecy współlokator Simona wyglądał w każdym calu jak wojownik.

Przez ułamek sekundy Simon wyobrażał sobie, jak mówi „nie”. Podnosi rękę i prosi, żeby go zwolniono. Przyznaje, że nie wie, co tu robi, że każda technika walki, jakiej się uczył, wyparowała mu z głowy, że chciałby spakować walizkę i udawać, że żadna z tych rzeczy nigdy nie miała miejsca.

– Bardziej już nie będę – odrzekł i przekroczył Bramę.

Na ile Simon pamiętał, podróż szkolnym autobusem była brudnym i pozbawionym godności doświadczeniem, wypełnionym ohydnyymi smrodkami, pociskami z przeżutych kawałków papieru i niekiedy krępującymi atakami choroby lokomocyjnej.

Podróż przez Bramę była znacznie gorsza.

Kiedy już odzyskał równowagę i oddech, rozejrzał się i aż mu zaparło dech. Nikt nie wspomniał, dokąd się przenoszą, ale Simon natychmiast rozpoznał kwartał. Znajdował się w Nowym Jorku, a w dodatku na Brooklynie. Konkretnie w Gowanus, wąskim pasie zakładów przemysłowych i magazynów nad toksycznym kanałem, który znajdował się niecałe dziesięć minut

piechotą od mieszkania matki.

Był w domu.

Okolica wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał, a jednocześnie całkiem inaczej. A może on był już inny, może po raptem dwóch miesiącach w Idrisie zapomniał, jak pachnie i rozbrzmiewa nowoczesny świat, zapomniał o niskim, ciągłym szumie elektryczności, gęstej chmurze spalin, trąbiących ciężarówkach, gołębiom gównie i stosach śmieci, które przez szesnaście lat tworzyły tkankę jego codziennego życia.

Z drugiej strony może powodem był fakt, że teraz przenikał wzrokiem czary ochronne i widział syreny pływające w kanale Gowanus.

To był dom i zarazem obce miejsce; Simon czuł się tak samo dezorientowany, jak po lecie w górach na obozie Ramah, kiedy odkrył, że nie może zasnąć bez cykania cykad i chrapania Jake'a Grossberga na górnym łóżku. Pomyślał, że może człowiek nie wie, jak bardzo zmienia go wyjazd, dopóki nie spróbuje wrócić do domu.

– Słuchajcie, chłopaki! – krzyknął Scarsbury, kiedy ostatni uczeń przeszedł przez Bramę.

Zebrawali się przed opuszczoną fabryką o ścianach pokrytych graffiti i zabitych deskami oknach.

Marisol odchrząknęła głośno i Scarsbury westchnął.

– Słuchajcie, chłopaki i dziewczyny. Wewnątrz tego budynku przebywa wampirzyca, która złamała Przymierze i zabiła kilkoro Przymiernych. Waszym zadaniem jest wytropić ją i zabić. Proponowałbym, żebyście to załatwili przed zachodem słońca.

– Nie powinniśmy pozwolić wampirom, żeby same się tym zajęły? – zapytał Simon.

Kodeks całkiem jasno mówił, że Podziemni mieli sami siebie nadzorować. Simon zastanawiał się, czy to oznaczało także proces rzekomo zbłąkanego wampira przed egzekucją.

Jak ja tu wylądowałem? – zastanawiał się. Nie uznawał kary

śmierci.

– To akurat nie jest waszym zmartwieniem – odpowiedział Scarsbury – ale jej klan przekazał ją nam, żebyście mogli unurzać trochę ręce we krwi. Uznajcie to za prezent od wampirów.

Tyle że owo „to” nie jest przedmiotem, pomyślał Simon.

– *Sed lex, dura lex* – mruknął George obok niego, patrząc niespokojnie, jakby próbował sam siebie przekonać.

– Was jest dwudziestka, a ona jedna – powiedział Scarsbury – a na wypadek gdyby nawet to wam nie wystarczyło, będą was obserwować doświadczeni Nocni Łowcy, gotowi wkroczyć, gdybyście coś spartolili. Nie zobaczycie ich, ale oni będą widzieć was i zadbają, żeby nie stała wam się krzywda. Prawdopodobnie. A jeśli kogoś z was podkusi, żeby wziąć ogon pod siebie i czmychnąć, pamiętajcie, czego się nauczyliście. Tchórzostwo ma swoją cenę.

* * *

Kiedy stali na krawężniku w jasnym świetle, warunki misji wydały im się więcej niż tylko trochę nieuczciwe. Uzbrojona po zęby dwudziestka szkolących się Nocnych Łowców i jeden wampir uwięziony przez stalowe ściany i słońce.

Jednak w starej fabryce, w ciemnościach, kiedy w każdym kącie wyobrażali sobie ruch i błysk kłów, poczuli coś całkiem innego. Nie mieli już wrażenia, że mają przewagę w tej rozgrywce. Nie mieli już wrażenia, że to rozgrywka.

Uczniowie podzielili się w pary i ruszyli przez ciemność. Simon zgłosił się na ochotnika do pilnowania jednego z wyjść, mając nadzieję, że to będzie podobne do lekcji WF-u z meczami piłki nożnej, gdy całymi godzinami pilnował bramki i tylko kilkakrotnie musiał bronić jej przed celnymi strzałami.

Oczywiście wtedy za każdym razem piłka żeglowała nad jego

głową prosto w siatkę, przez co jego zespół przegrywał. Starał się jednak o tym nie myśleć.

Jon Cartwright ustawił się przy drzwiach obok niego z lśniącem magicznym kamieniem w ręku. Czas płynął; robili, co w ich mocy, żeby się ignorować.

– Szkoda, że nie możesz się tym posługiwać – odezwał się w końcu Jon, podnosząc do góry kamień. – Albo tym. – Popukał w serafickie ostrze przy pasie.

Uczniów jeszcze nie uczono, jak nimi walczyć, ale kilkoro dzieciaków Nocnych Łowców przywiozło własną broń z domu.

– Nie martw się, bohaterze, jeśli wampir się pojawi, będę cię bronił – dodał.

– Super, będę mógł się schować za twoim rozbuchanym ego.

Jon obrócił się do niego.

– Uważaj sobie, Przyziemny, bo jeśli nie będziesz uważał, możesz...

Jon urwał. Cofał się, aż dotknął plecami ściany.

– Co mogę? – zapytał Simon.

Jonowi wyrwał się dźwięk, który w podejrzanym stopniu przypominał jęk. Macał ręką przy pasie, szukał serafickiego ostrza, ale nie mógł na nie natrafić. Wbił wzrok w punkt nad ramieniem Simona.

– Zrób coś! – pisnął. – Dopadnie nas!

Simon widział dość horrorów, żeby się zorientować. A to z kolei wystarczyło, żeby miał ochotę śmignąć do drzwi, wymknąć się na światło dzienne i biec tak długo, aż trafi do domu, zamknie za sobą drzwi i schowa się bezpiecznie pod łóżkiem, gdzie kiedyś chował się przed wyimaginowanymi potworami.

Zamiast tego odwrócił się powoli.

Dziewczyna, która wynurzała się z cieni, wyglądała na jego rówieśnicę. Brązowe włosy miała spięte w wysoki kucyk, nosiła klasyczne ciemnoróżowe okulary w rogowej oprawie i T-shirt

z zakrwawionym oficerem ze Star Treka w czerwonej bluzie oraz napisem „Żyj szybko, umieraj czerwono”. Innymi słowy, była dokładnie w typie Simona, jeśli pominąć kły, które zabłysły w świetle jego latarki, i nieludzką szybkość, z którą przemknęła przez pomieszczenie i kopnęła Jona Cartwrighta w głowę. Chłopak osunął się na ziemię.

– I wtedy zostali we dwoje – powiedziała dziewczyna ze znaczącym uśmiechem.

Simonowi nigdy nie przyszło do głowy, że wampir będzie w jego wieku (albo będzie na tyle lat wyglądał).

– Lepiej z tym uważaj, Chodzący za Dnia – powiedziała. – Słyszałam, że znowu żyjesz. Pewnie chciałbyś, żeby tak już zostało.

Simon spuścił wzrok i zauważył, że wziął do ręki sztylet.

– Wypuścisz mnie stąd czy nie? – zapytała.

– Nie możesz wyjść.

– Nie?

– Słońce, zapomniałaś? Przez które wampiry robią „puf”? – Simon nie mógł uwierzyć, że nie drży mu głos. Szczerze mówiąc, nie mógł uwierzyć, że nie posikał się w majtki. Był sam na sam z wampirem. Z ładniutką wampirzycą... którą powinien zabić. Jakoś.

– Sprawdź godzinę, Chodzący za Dnia.

– Nie mam zegarka – odpowiedział Simon. – I nie jestem już Chodzącym za Dnia.

Podeszła do niego bliżej, tak blisko, że mogła pogłaskać go po twarzy. Miała zimne palce, jej skóra była gładka jak marmur.

– To prawda, że nic nie pamiętasz? – zapytała, zerkając na niego z ciekawością. – Nie pamiętasz nawet mnie?

– A... znam cię?

Musnęła opuszkami jego usta.

– Pytanie brzmi, jak dobrze mnie znasz, Chodzący za Dnia. Ja nigdy nie powiem.

Clary i pozostali nigdy nie wspominali, że Simon miał przyjaciół wśród wampirów, tudzież... więcej niż przyjaciół. Może chcieli mu oszczędzić takich szczegółów z jego życia, z tej części, kiedy pragnął krwi i chodził w mroku. Może był tak zakłopotany, że nigdy im nie powiedział.

A może ona kłamała.

Simon nie mógł znieść tego, że nie wie. Miał wrażenie, że porusza się po ruchomym piaskach, gdzie każde pytanie bez odpowiedzi, każde nowe odkrycie na temat przeszłości wciąga go coraz głębiej.

– Wypuść mnie, Chodzący za Dnia – szepnęła. – Nigdy nie skrzywdziłbyś jednego ze swoich.

Czytał w Kodeksie, że wampiry potrafią hipnotyzować. Wiedział, że powinien się pilnować. Jednak jej spojrzenie było jak magnes. Nie potrafił odwrócić wzroku.

– Nie mogę – powiedział. – Złamałaś Prawo. Zabiłaś kogoś. Kilka osób.

– A skąd wiesz?

– Ponieważ...

Urwał, zdając sobie sprawę, jak słabo to zabrzmiało: „ponieważ ktoś mi tak powiedział”.

I tak domyśliła się prawdy.

– Zawsze robisz to, co ci każą? Nigdy nie myślisz samodzielnie?

Simon zacisnął mocniej dłoń na sztylcie. Tak się martwił, że odkryje, że jest tchórzem i za bardzo się boi, żeby walczyć. Teraz jednak, kiedy znalazł się na miejscu i stanął twarzą w twarz z rzekomym potworem, wcale się nie bał, ale czuł opór.

Sed lex, dura lex.

Tyle że to nie było takie proste. Może ona tylko popełniła błąd. Albo ktoś inny. Może ktoś miał złe informacje. A może zabijała z zimną krwią, ale nawet wtedy, kim był on, żeby ją karać?

Wyminęła go, zbliżając się do drzwi. Simon odruchowo przesunął się, żeby zablokować jej drogę. Uniósł sztylet i zakreślił

niebezpieczny łuk, ostrze przecięło ze świstem powietrze obok jej ucha. Odskokczyła tanecznie i ze śmiechem rzuciła się na niego, zaginając palce jak szpony. Simon poczuł wtedy po raz pierwszy przypływ adrenaliny, który mu obiecywano, jasność myślenia, jaka nadchodzi w czasie walki. Przestał myśleć w kategoriach technik i ruchów, przestał w ogóle myśleć i po prostu atakował, blokował i robił uniki, kopiąc w jej kostki, żeby ją podciąć, tnąc sztyletem jej bladą skórę i utaczając trochę krwi. Jego umysł włączył się znowu, pozostając nieco w tyle za ciałem. Robię to, pomyślał Simon. Walczę. I wygrywam.

Dopóki nie zablokowała jego nadgarstka w żelaznym uścisku i nie przewróciła go na plecy, jakby był małym dzieckiem. Usiadła na nim. Bawiła się z nim, zdał sobie sprawę. Udawała, że walczy, dopóki się nie znudziła.

Pochyliła się nad nim tak nisko, że poczułby jej oddech, gdyby oddychała.

Nagle przypomniał sobie, jak marzył, kiedy był martwy. Przypomniał sobie bezruch w piersi, w której serce już nie biło.

– Mogę ci to wszystko oddać, Chodzący za Dnia – szepnęła. – Wieczne życie.

Przypomniał sobie głód i smak krwi.

– To nie było życie – odpowiedział.

– Ale i nie była to śmierć. – Poczuł jej zimne usta na szyi. Cała była zimna. – Mogę cię teraz zabić, ale tego nie zrobię. Nie jestem potworem. Bez względu na to, co ci powiedziano.

– Mówiłem ci, że już nie jestem Chodzącym za Dnia.

Simon nie wiedział, dlaczego się z nią sprzecza, ale czuł, że to ważne, by powiedzieć na głos, że żyje, że jest człowiekiem, że jego serce znowu bije. Zwłaszcza teraz.

– Byłeś kiedyś Podziemnym – powiedziała, stając nad nim. – To zawsze będzie część ciebie. Nawet jeśli ty zapomniesz, oni nie zapomną.

Simon już miał się nie zgodzić, kiedy błyszczący bicz wystrzelił

z cieni i owinął się wokół szyi dziewczyny. Szarpnięcie zważyło ją z nóg, wampirzyca wylądowała ciężko, uderzając głową o betonową podłogę.

– Isabelle? – zapytał zdumiony Simon, kiedy Isabelle Lightwood z błyszczącym ostrzem zaatakowała wampirzycę.

Nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak potworną zbrodnią był fakt, że stracił wspomnienia walczącej Isabelle. To ewidentnie był jej naturalny stan. Isabelle stojąca nieruchomo była piękna; Isabelle szybująca przez powietrze, zadająca śmierć zimnemu ciału, była nieziemską, płonąła jasno jak jej złocisty bicz. Jest jak bogini, pomyślał Simon, a potem poprawił się w duchu: jak anioł zemsty, wymierzający karę szybko i skutecznie. Zanim zdążył wstać z ziemi, gardło wampirzycy było rozcięte, jej nieumarłe oczy uciekły w głąb czaszki i było po wszystkim. Został z niej pył, przepadła.

– Nie ma za co. – Isabelle wyciągnęła rękę.

Simon to zignorował i wstał bez jej pomocy.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo zamierzała cię zabić?

– Nieprawda – odparł zimno.

Isabelle spojrzała na niego zdumiona.

– Chyba nie jesteś naprawdę na mnie zły? Za to, że uratowałam ci tyłek?

Dopiero kiedy zapytała, zdał sobie sprawę, że jest zły. Zły, ponieważ zabiła wampirzycę, zły, bo uznała, że trzeba ratować mu tyłek, i właściwie miała rację, zły, bo ukrywała się w ciemnościach, czekała, żeby go ocalić, chociaż wyraził się boleśnie jasno, że nic między nimi nie może już zaistnieć. Był zły, bo była nadnaturalnie seksowna, jak kruczowłosa bogini-wojowniczką, i wbrew wszelkiemu rozsądkowi nadal go kochała, a on będzie musiał z nią zerwać. Znowu.

– Nie zamierzała mnie skrzywdzić. Chciała tylko wyjść.

– I co? Miałam jej pozwolić? To zamierzałeś zrobić? Istnieją

jeszcze inni ludzie na tym świecie poza tobą, Simonie. Ona zabijała dzieci. Rozrywała im gardła.

Nie potrafił odpowiedzieć. Nie wiedział, co czuć albo myśleć. Wampirzyca była morderczynią. Zabijała z zimną krwią w każdym znaczeniu tego wyrażenia. Jednak poczuł z nią pokrewieństwo, kiedy go objęła, usłyszał coś w rodzaju szeptu w głębi duszy, który mówił „wszyscy jesteśmy zagubionymi dziećmi”.

Wątpił, czy w życiu Isabelle jest miejsce dla kogoś zagubionego.

– Simonie? – Isabelle była napięta jak sprężyna.

Widział, ile wysiłku kosztuje ją utrzymanie spokoju w głosie, beznamietnej twarzy.

Skąd to wiem? – zastanawiał się. Kiedy patrzył na nią, czuł się tak, jakby widział podwójnie – widział nieznaną Isabelle, którą ledwie znał, i dziewczynę, którą tamten lepszy Simon tak bardzo kochał, że poświęciłby dla niej wszystko. Istniała część niego, ukryta pod wspomnieniami, poza racjonalnym umysłem, która desperacko pragnęła podejść do Isabelle, wziąć ją w ramiona, przygłodzić włosy, zatonać w jej bezdennych oczach, ustach, zaciętej, przytłaczającej, opiekuńczej miłości.

– Nie możesz ciągle tego robić! – krzyknął, nie wiedząc do końca, czy krzyczy na nią, czy na siebie. – To już nie jest twoje zadanie podejmować za mnie decyzje, wybierać, co powinienem zrobić, jak powinienem żyć. Kim powinienem być. Ile razy mam ci to powtórzyć, zanim wreszcie usłyszysz? Nie jestem nim. Nigdy nim nie będę. On należał do ciebie, rozumiem, ale ja nie. Wiem, że wy, Nocni Łowcy, przywykliście, że wszystko jest po waszemu, wy ustalacie reguły, wy wiecie, co jest dla pozostałych najlepsze. Jednak nie tym razem, dobrze? Nie ze mną.

Nieśpiesznie i spokojnie Isabelle zwinęła bicz wokół nadgarstka.

– Simonie, myślę, że pomyliłeś mnie z kimś, kogo to obchodzi.

To nie uczucie w jej głosie złamało mu serce, ale jego brak. Pod słowami nie kryło się nic, żaden ból, stłumiony gniew, czaiła się tylko pustka. Zimna i bezdenna.

– Isabelle...

– Nie przyszedłam tu dla ciebie. To moja praca. Myślałam, że chcesz, żeby to była także twoja praca. Jeśli nadal tego pragniesz, to sugerowałabym, żebyś przemyślał sobie pewne kwestie. Na przykład sposób, w jaki zwracasz się do przełożonych.

– Przełożonych?

– A tak nawiasem mówiąc, skoro już poruszyłeś ten temat. Masz rację, nie znam tej wersji ciebie. I jestem pewna, że nie chcę jej poznać. – Ominęła Simona, przelotnie ocierając się ramieniem o jego bark, wyszła z budynku i zniknęła wśród nocy.

Simon patrzył za nią, zastanawiając się, czy powinien za nią pójść, ale nie mógł zmusić stóp do zrobienia kroku. Na dźwięk zatraskiwanych drzwi Jon Cartwright zamrugał, otworzył oczy i chwiejnie się podniósł.

– Dopadliśmy ją? – zapytał, zauważając kupkę pyłu w miejscu, w którym znajdowała się wampirzyca.

– Aha – odpowiedział zmęczonym głosem Simon. – Można tak to ująć.

– Pewnie! Masz za swoje, krwiopijco! – Jon machnął triumfalnie pięścią, a potem zrobił rogi, prostując wskazujący i mały palec. – Jak zadzieras z bykiem Cartwrightem, to nadziejesz się na jego rogi!

* * *

– Nie mówię, że nie złamała Prawa – wyjaśniał Simon w swoim odczuciu po raz setny. – Mówię tylko, że nawet jeśli, to dlaczego musieliśmy ją zabić? Znaczy, co z... Sam nie wiem... Więzieniem?

Kiedy wrócili Bramą do Akademii, minęła już pora kolacji.

Jednak w nagrodę za ich wysiłki dziekan Penhallow otworzyła jadalnię i kuchnię dla dwudziestki uczniów. Zebrali się przy dwóch długich stołach i wgryźli się wygłodniali w wyschnięte kromki i na szczęście pozbawione smaku szawarmy. Akademia wróciła do swojej tradycji podawania jedzenia z kuchni różnych narodów, ale niestety wszystko przygotowywał ten sam kucharz. Simon podejrzewał, że to czarownik, ponieważ potrawy smakowały tak, jakby zaczarowano je, by przypominały psią karmę.

– Bo to właśnie robimy – powiedział Jon. – Jeśli wampir czy inny Podziemny łamie Przymierze, ktoś musi go zabić. Nie uważałeś?

– To dlaczego nie ma więzień dla Podziemnych? – zapytał Simon. – Dlaczego nie ma dla nich procesów?

– Bo nie tak to działa – odpowiedziała Julie.

Simon myślał, że po ich rozmowie w korytarzu będzie bardziej przyjazna, ale jeśli już, to stała się jeszcze ostrzejsza, jeszcze bardziej raniąca i żądna krwi.

– To nie jest twoje durne przyziemne prawo, ale Prawo. Wręczone przez Anioła. Ważniejsze od wszystkiego innego.

Jon pokiwał z dumą głową.

– *Sed lex, dura lex.*

– Nawet jeśli jest złe? – spytał Simon.

– Jak może być złe, skoro to Prawo? To oksymoron, czysty idiotyzm.

Na idiotyzmach to ty akurat się znasz, pomyślał z dziecinną przekorą Simon, ale powstrzymał się od wypowiedzenia tych słów. W każdym razie Jon był zwykłym idiotą.

– Zdajecie sobie sprawę, że mówicie, jak członkowie jakiegoś kultu? – zachnął się Simon.

Dotknął gwiazdy, którą nosił na szyi. Jego rodzina nigdy nie była szczególnie religijna, ale ojciec zawsze chętnie pomagał mu spojrzeć na kwestie dobra i zła z żydowskiej perspektywy.

„Zawsze zostaje odrobina swobody” – mówił Simonowi. „Odrobina przestrzeni, gdzie sam możesz ocenić sprawę”. Nauczył Simona zadawać pytania, podważać autorytety, rozumieć i uznawać zasady, nim zaczniesz się ich trzymać. Istnieje szlachetna żydowska tradycja sporów, lubił mawiać jego ojciec, nawet kiedy w grę wchodził spór z Bogiem.

Simon zastanawiał się teraz, co ojciec pomyślałby o nim, o tej szkole fundamentalistów przysięgających wierność wyższemu Prawu. Co w ogóle oznaczało bycie żydem w świecie, gdzie anioły i demony chodzą po ziemi, robią cuda, noszą miecze? Czy myślenie za siebie bardziej pasowało do świata, w którym nie ma świadectwa boskich mocy?

– Twarde Prawo, ale Prawo – dodał z niesmakiem. – I co z tego? Jeśli Prawo jest złe, czemu go nie zmienić? Wiecie, jak wyglądałby świat, gdybyśmy nadal trzymali się praw ustalonych w średniowieczu?

– Wiesz, kto jeszcze zwykł tak mawiać? – zapytał złowieszczo Jon.

– Niech zgadnę: Valentine. – Simon się skrzywił. – Bo najwyraźniej w całej historii Nocnych Łowców tylko jeden facet ośmielił się zadać parę pytań. Tak, to ja, charyzmatyczny czarny charakter, który gotowy jest rozpętać rewolucję. Lepiej na mnie naskarż.

George pokręcił ostrzegawczo głową.

– Simon, wątpię, żeby...

– Skoro tak tego nienawidzisz, to co tu robisz? – wtrąciła się Beatriz z nietypową dla siebie wrogością w głosie. – Ty akurat możesz wybrać, jakie chcesz wieść życie.

Urwała nagle, a w ciszy zawisły niewypowiedziane słowa. Simon podejrzewał, że brzmią „w przeciwieństwie do nas”.

– Dobre pytanie. – Simon odłożył widelec i odsunął krzesło.

– Daj spokój, nawet nie skończyłeś... – George machnął w stronę talerza, jakby nie był w stanie zmusić się do

wypowiedzenia słowa „jedzenia”.

– Straciłem apetyt.

Simon był w połowie drogi do lochów, kiedy Catarina Loss zatrzymała go w korytarzu.

– Simonie Lewisie – powiedziała – musimy porozmawiać.

– Możemy zrobić to rano, pani Loss? To był długi dzień i...

Pokręciła głową.

– Wiem, że miałeś długi dzień. Musimy porozmawiać teraz.

* * *

Niebo było jasne od gwiazd. Niebieska skóra Catariny jaśniała w świetle księżyca, a jej włosy płonęły srebrzyście. Czarownica uparła się, że im obojgu dobrze zrobi odrobina świeżego powietrza, a Simon przyznał, że miała rację. Od razu lepiej się poczuł, wdychając aromaty trawy, drzew i nieba. W Idrisie zmieniały się pory roku, ale jak na razie nie przypominały tego, do czego przywykł. To były najlepsze możliwe wersje każdej pory. Każdy jesienny dzień był rześki i jasny, powietrze pachniało obietnicą ognisk i sadów, bliskość zimy zapowiadało tylko jasne gwiazdziste niebo nocą i przenikliwy chłód w powietrzu, który był wręcz przyjemny na swój lodowaty sposób.

– Słyszałam, co powiedziałaś przy kolacji – odezwała się Catarina, kiedy szli przez szkolne tereny.

Spojrzał na nauczycielkę zaskoczony i trochę zaniepokojony.

– Jakim cudem?

– Jestem czarownicą – przypomniała mu. – Potrafię wiele rzeczy.

Jasne, magiczna szkoła, pomyślał zrozpaczony, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś będzie miał odrobinę prywatności.

– Chcę ci opowiedzieć pewną historię – powiedziała. – Coś,

o czym opowiedziałam nielicznym, zaufanym ludziom i mam nadzieję, że zdecydujesz się zachować ją dla siebie.

To dziwne, że ryzykowała wyjawienie jej uczniowi, którego ledwie znała, ale była czarownicą. Simon nie miał pojęcia, do czego są zdolne, ale coraz lepiej się orientował. Jeśli nadużyje jej zaufania, Catarina pewnie się o tym dowie.

I ukarze go stosownie.

– Słuchałeś na lekcji historii o Tobiasie Herondale’u?

– Zawszy słucham na lekcjach – odpowiedział Simon, a ona się roześmiała.

– Jesteś dobry w wymijających odpowiedziach, Chodzący za Dnia. Byłby z ciebie świetny faerie.

– Domyślam się, że to nie jest komplement.

Catarina posłała mu tajemniczy uśmiech.

– Nie jestem Nocnym Łowcą – przypomniała mu. – Mam własne zdanie na temat faerie.

– Dlaczego nadal nazywa mnie pani Chodzącym za Dnia? – zapytał Simon. – Przecież wie pani, że już nim nie jestem.

– Jesteśmy tym, czym uczyniła nas nasza przeszłość. Nagromadzeniem tysiąca codziennych wyborów. Możemy się zmienić, ale nigdy nie przekreślimy tego, kim byliśmy. – Uniosła palec, żeby go uciszyć, jakby wiedziała, że się sprzeciwi. – Zapomnienie o tych wyborach nie sprawia, że znikają. Lepiej o tym pamiętaj.

– To właśnie chciała mi pani powiedzieć? – zapytał, ujawniając więcej irytacji, niż zamierzał. Dlaczego wszyscy w jego życiu czuli, że trzeba mu mówić, kim był albo kim powinien być?

– Nie masz do mnie cierpliwości – zauważyła Catarina. – Na szczęście nic mnie to nie obchodzi. Opowiem ci teraz inną historię o Tobiasie Herondale’u. Posłuchaj albo nie, twój wybór.

Posłuchał.

– Znałam Tobiasa, znałam jego matkę przed jego narodzeniem, patrzyłam, jak jako dziecko stara się dopasować do rodziny,

znaleźć swoje miejsce. Herondale'owie to niesławny ród, jak pewnie wiesz. Wielu z nich było bohaterami, niektórzy zdrajcami, jakże wielu z nich okazało się aroganckimi, dzikimi stworzeniami targanymi namiętnościami, miłością albo nienawiścią. Tobias był... inny. Był łagodnym, słodkim, dobrym chłopcem, który robił to, co mu kazano. Jego starszy brat, William... Tak, to był prawdziwy Nocny Łowca, pasował do Herondale'ów, był równie odważny i dwa razy bardziej uparty niż wnuk, który później nosił jego imię. Jednak nie Tobias. On nie miał szczególnego talentu do bycia Nocnym Łowcą ani serca. Jego ojciec był surowym człowiekiem, matka miała pewną skłonność do hysterii, chociaż trudno ją było winić, skoro miała takiego męża. Śmielszy chłopiec może odwróciłby się od rodziny i jej tradycji, uznalby, że nie nadaje się do życia Nocnego Łowcy i zaczął własne życie. Jednak dla Tobiasa to było nie do pomyślenia. Rodzice nauczyli go Prawa, a on tylko wiedział, że trzeba go przestrzegać. To nie takie niezwykle wśród ludzi, nawet tych, których krew mieszała się z krwią Anioła. Nietypowe może dla Herondale'ów, ale jeśli ktokolwiek tak myślał, to już ojciec Tobiasa zadbał, żeby trzymał gębę na kłódkę. I tak Tobias dorósł. Ożenił się, a jego wybór zaskoczył wszystkich, bo Eva Blackthorn stanowiła przeciwieństwo łagodności. Była kruczowłosą złośnicą, trochę jak twoja Isabelle.

Simon się najeżył. To nie była jego Isabelle. Już nie. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek naprawdę była jego. Isabelle nie robiła wrażenia dziewczyny, która do kogoś należy. To jedna z tych rzeczy, które najbardziej w niej lubił.

– Tobias kochał ją najbardziej na świecie, bardziej niż własną rodzinę, obowiązki, nawet siebie samego. Może w tym właśnie ujawniła się prawdziwa krew Herondale'ów. Nosila jego pierwsze dziecko, kiedy został wezwany na misję w Bawarii. Wiesz już, jak się zakończyła.

Simon skinął głową i znowu serce mu się zacisnęło na myśl

o karze wymierzonej żonie Tobiasa. Evie. I jego nienarodzonemu dziecku.

– Lazlo Balogh zna tylko tę wersję historii, którą przekazywano kolejnym pokoleniom Nocnych Łowców. Dla nich Tobias nie jest już człowiekiem ani przodkiem. Stał się opowieścią powtarzaną ku przestrodze. Niewielu zostało tych, którzy pamiętają, że był dobrym chłopcem.

– Skąd zna go pani tak dobrze? – zapytał Simon. – Myślałem, że dawniej czarownicy i Nocni Łowcy nie... No wie pani, nie odzywali się od siebie.

Właściwie to pomyślał, że wręcz się zabijali; z tego, czego dowiedział się z Kodeksu i lekcji historii, wynikało, że Nocni Łowcy z przeszłości polowali na czarowników i innych Podziemnych, jak myśliwi polowali kiedyś na słońce. Dla sportu i z zapamiętaniem.

– To inna historia – obruszyła się Catarina. – Nie opowiadam ci mojej historii, opowiadam ci historię Tobiasa. Wystarczy powiedzieć, że był dobrym chłopcem, nawet w stosunku do Podziemnych, i jego dobroć zapamiętano. To, co ty wiesz, to, co wszyscy Nocni Łowcy myślą dzisiaj, że wiedzą, to fakt, że Tobias był tchórzem, który porzucił towarzyszy w ogniu walki. Prawda nigdy nie jest tak prosta, prawda? Tobias nie chciał zostawić żony, kiedy była chora i w ciąży, ale mimo to wyruszył na misję, zrobił, co mu kazano. W głębi bawarskich lasów napotkał czarownika, który poznał jego najgłębszy strach i wykorzystał go przeciwko niemu. Znalazł szczelinę w zbroi Tobiasa, znalazł sposób, żeby dostać się do jego umysłu, i przekonał go, że jego żona jest w straszliwym niebezpieczeństwie. Pokazał mu wizję Evy zakrwawionej, umierającej i krzyczącej do Tobiasa, żeby ją ratował. Tobias uległ czarom, a czarownik przesyłał mu jedną wizję za drugą najstraszliwszych rzeczy na świecie, których Tobias nie mógł znieść. Tak, Tobias uciekł. Oszalał. Porzucił towarzyszy i uciekł w las, oślepiiony i dręczony przez koszmary

na jawie. Jak w przypadku wszystkich Herondale'ów jego zdolność do kochania bez miary, bez końca, była zarazem wielkim darem i przekleństwem. Kiedy uznał, że Eva nie żyje, załamał się. Wiem, kogo ja winię za zniszczenie Tobiasa Herondale'a.

– Nie mogli wiedzieć, że oszalał! – zaprotestował Simon. – Nikt by go za to nie ukarał!

– Wiedzieli – odpowiedziała Catarina. – To nie miało znaczenia. Liczyło się tylko zaniedbanie obowiązku. Oczywiście Evie nie groziło żadne niebezpieczeństwo, a w każdym razie do chwili, kiedy Tobias porzucił posterunek. To była najokrutniejsza ironia losu w jego życiu: skazał na śmierć kobietę, dla której ocalenia oddałby własne życie. Czarownik pokazał mu przebłysk przyszłości, przyszłości, która nigdy by się nie wydarzyła, gdyby Tobias zdołał mu się oprzeć. Nie znaleziono Tobiasa, więc Clave przyszło po Evę.

– Pani tam była – domyślił się Simon.

– Tak.

– I nie próbowała ich pani powstrzymać?

– Nie, nie marnowałam czasu na próby. Nefilim nie zważają na Podziemnych, którzy mieszają się w ich sprawy. Tylko głupiec próbowałby wejść między Nocnych Łowców i ich Prawo.

Było coś w tonie głosu, jakim to powiedziała – kpiarskim i smutnym zarazem – i to sprawiło, że Simon zapytał:

– Pani jest takim głupcem, prawda?

Uśmiechnęła się.

– To niebezpieczne zwracać się w taki sposób do czarownika, ale... owszem. Próbowałam. Szukałam Tobiasa Herondale'a, korzystałam ze sposobów, do których Nefilim nie mieli dostępu, i znalazłam go wędrującego po lesie, szalonego. Nie wiedział nawet, jak się nazywa. – Spuściła głowę. – Nie mogłam ocalić ani jego, ani Evy. Ocaliłam jednak dziecko. Tyle mi się udało.

– Ale jak? Gdzie...?

– Wykorzystałam sporo magii i sprytu, żeby dostać się do więzienia Nocnych Łowców, w którym kiedyś ty także się znalazłeś – powiedziała Catarina. – Wywołałam przedwczesny poród, rzuciłam czar, żeby wydawało się, że Eva nadal jest brzemienna. Eva była jak ze stali tamtej nocy, nieustępliwa i jasna w ciemności, która na nią opadła. Nie zawahała się, nie wzdrygnęła się, nie zdradziła się w żaden sposób, kiedy szła na śmierć. Dochowała naszej tajemnicy do samego końca, a Nocni Łowcy zabili ją, niczego nie podejrzewając. Reszta była już niemal łatwa. Nefilim prawie nigdy nie interesują się poczynaniami Podziemnych, a Podziemni często dostrzegają, że ich ślepotą jest bardzo wygodna. Nie zwrócili uwagi, kiedy pożeglowałam z dzieckiem do Nowego Świata. Zostałam tam dwadzieścia lat, zanim wróciłam do swoich ludzi i swojej pracy. Wychowywałam chłopca, dopóki nie dorósł. Obrócił się w pył lata temu, ale wystarczy, że zamknę oczy, i nadal widzę jego twarz, kiedy był tak młody jak ty. Dziecko Tobiasa i Ewy. Słodki chłopiec, dobry jak ojciec i zajadły jak matka. Nefilim wierzą, że należy kierować się w życiu twardymi prawami i płacić wysoką cenę, ale w swojej arogancji nie ogarniają do końca ceny swoich czynów. Świat byłby uboższy bez tego chłopca. Przeżył przyziemną miłość i przyziemne życie wypełnione drobnymi aktami łaski, które niewiele znacząłyby dla Nocnego Łowcy. Nie zasługiwali na niego. To był dar ode mnie dla świata Przyziemnych.

– Mówi więc pani, że gdzieś w świecie żyje jeszcze jeden Herondale? Może całe pokolenia Herondale'ów, o których nikt nic nie wie?

Ojciec Simona lubił cytować pewną linijkę z Talmudu: „Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat”.

– To możliwe – powiedziała Catarina. – Dopilnowałam, żeby chłopiec nigdy nie dowiedział się, kim jest, tak było najbezpieczniej. Jeśli rzeczywiście jego ród nadal istnieje, jego

potomkowie na pewno uważają się za Przyziemnych. Dopiero teraz, gdy szeregi Nocnych Łowców zostały tak przerzedzone, Clave może powitać z powrotem te zaginione dzieci. A być może niektórzy z nas mogą w tym pomóc. Kiedy nadejdzie właściwa chwila.

– Dlaczego mówi mi pani o tym, pani Loss? Dlaczego teraz? Dlaczego w ogóle?

Przystanęła, odwróciła się do niego. Jej srebrzystobiałe włosy unosiły się na wietrze.

– Ocalenie tego dziecka to największa zbrodnia, jaką popełniłam. Przynajmniej według Prawa Nocnych Łowców. Gdyby ktoś się dowiedział, nawet teraz... – Pokręciła głową. – Ale to także najodważniejszy wybór, jakiego dokonałam. Z którego jestem najbardziej dumna. Porozumienie obowiązuje mnie tak samo jak wszystkich. Robię, co w mojej mocy, żeby żyć zgodnie z Prawem, ale podejmuję własne decyzje. Zawsze istnieje ważniejsze prawo.

– Mówi pani, jakby rozpoznanie tego prawa było takie łatwe – powiedział Simon. – Bycie pewnym, że ma się rację bez względu na to, co mówi Prawo.

– To nie jest łatwe – przyznała Catarina. – To właśnie znaczy być żywym. Pamiętaj, co ci powiedziałam, Simonie. Każda decyzja, którą podejmujesz, tworzy ciebie. Nigdy nie pozwól, żeby inny decydowali, kim się staniesz.

* * *

Kiedy wrócił do pokoju skołowany, George siedział na podłodze w korytarzu i czytał Kodeks.

– Ehm, George? – Simon zerknął na współlokatora. – Nie byłoby łatwiej robić to w pokoju? Gdzie jest światło? I nie ma tego obrzydliwego szlamu na podłodze? W każdym razie... –

Westchnął. – Jest go mniej?

– Powiedziała, że muszę tu poczekać – odpowiedział George. – Że potrzebujecie trochę prywatności.

– Kto taki?

To było jednak zbędne pytanie, bo któżby inny? Zanim George zdążył odpowiedzieć, Simon już otworzył drzwi i wpadł do pokoju.

– Isabelle, nie możesz wyrzucać mojego kumpla...

Zatrzymał się tak gwałtownie, że omal się nie przewrócił.

– To nie Isabelle – powiedziała dziewczyna, która przysiadła na jego łóżku.

Ognście rude włosy miała związane w niedbały kok. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami i zachowywała się zupełnie swobodnie, jakby pół życia spędziła, wyciągając się na jego łóżku. I według niej tak właśnie było.

– Co tu robisz, Clary?

– Przeniosłam się.

Skinął głową, czekając. Cieszył się, ale jej widok także go ranił. Jak zawsze. Zastanawiał się, kiedy ból minie i będzie mógł cieszyć się przyjaźnią, która nadal kryła się jak roślina pod zamarznąłą ziemią, czekająca, żeby znowu zakiełkować.

– Słyszałam, co się dziś wydarzyło. Z wampirzycą. I Isabelle.

Simon usiadł naprzeciwko niej na łóżku George'a.

– Nic mi nie jest, w porządku? Żadnych śladów ugryzień ani nic takiego. Miło, że się o mnie martwisz, ale nie możesz przenosić się i...

Clary prychnęła.

– Widzę, że twoje ego wyszło z tego zajścia bez szwanku. Nie jestem tu z twojego powodu.

– Aha. To po co...?

– Martwię się o Isabelle.

– Jestem pewien, że Isabelle potrafi sama o siebie zadbać.

– Nie znasz jej. W każdym razie już jej nie znasz. Gdyby

wiedziała, że tu jestem, zamordowałyby mnie, ale... Nie możesz spróbować być dla niej trochę miłszy? Proszę...

Simon był zbulwersowany. Wiedział, że rozczarował Isabelle, że już samo jego istnienie było dla niej ciągłym rozczarowaniem, że chciała, by był kimś innym. Jednak nigdy nie przyszło mu do głowy, że on w niewampirzym, niebohaterskim, nieseksownym wydaniu jest w stanie ją zranić.

– Przepraszam – wypalił. – Powiedz jej, że przepraszam!

– Żartujesz sobie? Nie usłyszałeś, jak powiedziałam, że zamordowałyby mnie, gdyby się dowiedziała o tej rozmowie? Niczego jej nie powiem. Mówię tobie. Uważaj na nią. Jest delikatniejsza, niż się to wydaje.

– Sprawia wrażenie najsilniejszej dziewczyny, jaką poznałem.

– To też prawda – zgodziła się Clary. Poruszyła się zakłopotana i zeskoczyła z łóżka. – Powinnam... Znaczący wiem, że nie życzysz mi sobie tutaj...

– Nie chodzi o to, po prostu...

– Nie, rozumiem, ale...

– Przepraszam...

– Przepraszam...

Oboje roześmiali się i Simon poczuł, że coś rozluźnia się w jego piersi, jakiś mięsień, o którym nawet nie wiedział, że się zacisnął.

– Kiedyś tak nie było, co? – zapytał. – Tak niezręcznie.

– Nie. – Uśmiechnęła się do niego smutno. – Bywało naprawdę różnie, ale nigdy niezręcznie.

Nie potrafił sobie wyobrazić tego, że czuł się swobodnie w towarzystwie dziewczyny, już nie mówiąc o takiej dziewczynie jak ona – ładnej, pewnej siebie i napełnionej światłem.

– Na pewno to lubiłem.

– Mam nadzieję.

– Clary... – Nie chciał, żeby wychodziła, ale nie bardzo wiedział, co miałby jej powiedzieć, gdyby została. – Znasz historię o Tobiasie Herondale'u?

– Wszyscy znają tę historię. I, rzecz jasna, z powodu Jace’a...

Simon zamrugał, przypominając sobie, że Jace to Herondale. Ostatni z Herondale’ów. A przynajmniej tak myślał.

Gdyby on miał gdzieś rodzinę, zaginione pokolenia, to chciałby o tym wiedzieć, prawda? Czy Simon powinien mu powiedzieć? Powinien powiedzieć Clary?

Wyobraził sobie zaginionego Herondale’a gdzieś w świecie, jakąś złotooką dziewczynę lub chłopca, którzy nic nie wiedzieli o Nocnych Łowcach ani swoim koszmarnym dziedzictwie. Może ucieszyliby się, dowiadując się, kim naprawdę są, a może, gdyby Clary i Jace zapukali do ich drzwi, żeby opowiedzieć im historie o aniołach, demonach i szlachetnej tradycji szaleńczej gotowości na śmierć, uciekliby z krzykiem.

Czasem Simon zastanawiał się, co by było, gdyby Magnus nigdy go nie znalazł i nie zaproponował powrotu do świata Nocnych Łowców. Żyłby iluzją, owszem, ale to byłaby szczęśliwa iluzja. Poszedłby do college’u, grałby dalej w zespole, flirtował z jakimiś nieprzerazającymi dziewczynami, unosiłby się na powierzchni rzeczywistości, nigdy nie zgadując, jaka kryje się pod nią ciemność.

Domyślał się, że w poprzednim życiu nie wahałby się, czy powiedzieć Clary o tym, co wie; przypuszczał, że należeli do tego typu przyjaciół, którzy mówią sobie wszystko.

Tyle że teraz nie jesteśmy takimi przyjaciółmi, upomniał się w myślach. Była nieznajomą, która go kochała, niemniej jednak nieznajomą.

– Co o tym myślisz? – zapytał ją. – O tym, co Clave zrobiło z żoną Tobiasa i dzieckiem?

– A jak myślisz, co myślę? Zważywszy na to, kim był mój ojciec? Zważywszy na to, co się stało z rodzicami Jace’a i jak on to przetrwał? Czy to nie jest oczywiste?

To mogło być oczywiste dla kogoś, kto znał ich oraz ich historie, ale nie dla Simona. Mina mu zrzedła.

– Och. – Jego konsternacja musiała być widoczna.

Tak samo jak jej rozczarowanie – jakby znowu przypominała sobie, kim Simon jest, a kim nie.

– Nieważne. Powiedzmy tylko, że moim zdaniem Prawo się liczy, ale to nie jedyna rzecz, która się liczy. W końcu, gdybyśmy trzymali się Prawa bezmyślnie, czy ty i ja moglibyśmy kiedykolwiek...

– Co?

Pokręciła głową.

– Nie, obiecałam sobie, że nie będę tego dłużej robić. Nie potrzebujesz opowieści o tym, co nam się przydarzyło, kto kim był. Musisz zorientować się, kim jesteś teraz. Chcę zapewnić ci tę wolność.

Zdumiewało go to, jak dobrze go rozumiała, że wiedziała, czego on chce, wcale go o to nie pytając.

To mu dodało odwagi, żeby zapytać o coś, nad czym się zastanawiał, odkąd trafił do Akademii.

– Clary, kiedy się przyjaźniliśmy, zanim dowiedziałaś się o Nocnych Łowcach i tak dalej, czy byliśmy... tacy sami?

– W jakim sensie?

Wzruszył ramionami.

– No wiesz, czy lubiliśmy dziwną muzykę, komiksy i naprawdę nie cierpieliśmy WF-u?

– Pytasz, czy oboje byliśmy fujarami? – zapytała Clary, znowu się śmiejąc. – Zdecydowanie tak.

– Ale teraz jesteś... – Machnął ręką, wskazując napięte bicepsy, wdzięczny, skoordynowany sposób, w jaki się poruszała, wszystko co wiedział o jej przeszłości i terażniejszości. – Jesteś jak wojownicza Amazonka.

– Dzięki... To chyba komplement... Jace jest dobrym trenerem. Poza tym wiesz, że miałam powody, żeby szybko złapać formę. Trzeba było powstrzymać apokalipsę i takie tam. Dwa razy.

– Jasne. Pewnie masz to we krwi. To ma sens, że jesteś dobra

w te klocki.

– Simon... – Zmrużyła oczy, nagle rozumiejąc, do czego on zmierza. – Zdajesz sobie sprawę, że w tym fachu nie chodzi o wielkość mięśni, prawda? To nie jest Akademia Kulturyistów.

Pomasował z żalem obolałe bicepsy.

– A może powinna.

– Simon, nie znalazłbyś się tutaj, gdyby przełożeni Akademii nie uznali, że masz to, co jest potrzebne Nocnemu Łowcy.

– Uważają, że on to miał – poprawił ją Simon. – Chłopak o wampirzej supersile i... co tam jeszcze wampiry mają w zanadrzu.

Clary podeszła na tyle blisko, żeby szturchnąć go w pierś, i właśnie to zrobiła.

– Nie ty. Wiesz, dlaczego zaszliśmy tak daleko w krainie demonów? Jak zdołaliśmy zbliżyć się dostatecznie do Sebastiana, żeby go załatwić?

– Nie, ale domyślam się, że to wymagało zabicia mnóstwa demonów?

– Nie tak wielu, jak można by się spodziewać, ponieważ wymyśliłeś lepszą strategię. Coś, na co wpadłeś dzięki całym latom grania w D&D.

– Czekaj, mówisz serio? Chcesz mi powiedzieć, że te rzeczy autentycznie sprawdzają się w życiu?

– To ci właśnie mówię. Mówię ci, że nas uratowałeś. Zrobiłeś to więcej niż raz. Nie dlatego, że byłeś wampirem, nie dzięki czemukolwiek, co straciłeś, ale dzięki temu, kim byłeś. I kim nadal jesteś. – Odsunęła się i wzięła głęboki wdech. – Obiecałam sobie, że nie będę tego robić – powiedziała z zacięciem. – Obiecałam sobie.

– Nie, cieszę się, że mi powiedziałaś. Cieszę się, że wpadłaś.

– Powinnam się stąd wynosić, ale spróbuj pamiętać o Izzy, dobrze? Wiem, że nie możesz tego zrozumieć, ale za każdym razem, kiedy patrzysz na nią jak na obcą osobę, to jakby... Jakby

ktoś przykładał rozgrzane żelazo do jej ciała. To bardzo boli.

Mówiła z takim przekonaniem, jakby sama to czuła.

Może nie rozmawiali już tylko o Isabelle.

Simon poczuł coś wtedy – nie rozmytą sympatię, jaką często odczuwał, gdy Clary uśmiechała się do niego, ale tak potężny przyływ miłości, że omal nie ścięła go z nóg i nie pchnęła w ramiona Clary. Po raz pierwszy spojrział na nią i nie była już nieznajomą, ale Clary, jego przyjaciółką. Jego rodziną. Dziewczyną, którą przysiągł chronić. Dziewczyną, którą kochał tak mocno jak siebie samego.

– Clary... – zaczął. – Kiedy byliśmy przyjaciółmi, było świetnie, prawda? Znaczący nie wyobrażam sobie tego, że należymy do siebie? Że mamy siebie, wspieramy się. Dobrze nam się układało, prawda?

Smutek w jej uśmiechu zamienił się w coś innego, co pałało taką samą pewnością, jaką on miał, gdy czuł, że istniało między nimi coś prawdziwego. Jakby włączył w jej duszy światło.

– Och, Simonie, układało nam się po prostu nieziemsko.

Demon z Whitechapel

Cassandra Clare i Maureen Johnson



JAMES.



JUŻ DOBRZE.



JESTEM TU.



TESS...
TESSA...

– Widzę coś – powiedział George. – Coś na literę „S”.

– Szlam, tak? – powiedział Simon. Leżał na plecach na łóżku w swoim pokoju w internacie. Jego współlokator George leżał na łóżku naprzeciwko. Obaj wpatrywali się w zamyśleniu w ciemność, co oznaczało gapienie się na sufit, na ich nieszczęście, ponieważ sufit był ohydny. – Zawsze chodzi o szlam.

– Nieprawda. Raz to była pleśń.

– Nie jestem pewien, czy naprawdę potrafimy odróżnić szlam od pleśni, i brzydzi mnie fakt, że rozróżnienie ma dla mnie znaczenie.

– W każdym razie to nie był „szlam”.

Simon zastanawiał się chwilę.

– Hm, to... syczący wąż? Błagam, powiedz, że to nie wąż.

Simon odruchowo podkulił nogi.

– To nie wąż, ale teraz nie będę w stanie myśleć o niczym innym. W Idrisie są jakieś węże? To mi wygląda na miejsce, z którego wypędzono wszystkie węże.

– A nie mówisz przypadkiem o Irlandii? – podsunął Simon.

– Wątpię, żeby istniały jakieś ograniczenia w kwestii wypędzania węży. Na pewno pozbyli się stąd węży. Musieli. O Boże, w tym miejscu na pewno są węże...

W szkockim akcencie George’a pojawiło się słabe drżenie.

– Czy tu w Idrisie są szopy? – zapytał Simon, próbując zmienić temat. Zmienił pozycję na twardym, wąskim łóżku. Nie miało to większego sensu. Każda pozycja była równie niewygodna jak poprzednia. – W Nowym Jorku mamy szopy. Wszędzie potrafią wleźć. Umieją otwierać drzwi. Czytałem w Necie, że potrafią

posługiwać się kluczami.

– Nie lubię węży. Węże nie potrzebują kluczy.

Simon zamilkł na chwilę, zauważając, że „węże nie potrzebują kluczy” to świetny tytuł dla albumu. W pierwszej sekundzie brzmiał głęboko, a potem płytko i zwyczajnie, co sprawiało, że wracało się do pierwszej myśli i uznawało, że może jednak to coś głębokiego.

– To co to było? – zapytał Simon.

– Co było co?

– Co zobaczyłeś na literę „S”?

– Simona.

To był ten rodzaj gry, w jaką ludzie się bawią, kiedy mieszkają w skąpo ozdobionym pokoju w piwnicy Akademii Nocnych Łowców albo – jak niedawno zaczęli nazywać to miejsce – na piętrze ostatecznego zawilgocenia. George wielokrotnie zauważył, że to wielka szkoda, że nie są ślimakami, ponieważ to były idealne warunki życia dla ślimaków. Z trudem, ale w końcu zaakceptowali fakt, że wiele stworzeń zadomowiło się w Akademii po jej zamknięciu. Nie panikowali już, kiedy słyszeli smyrganie za ścianą albo pod łóżkiem. Gdy odgłosy dobywały się z samego łóżka, pozwalali sobie na odrobinę paniki. To się zdarzyło więcej niż raz.

Teoretycznie Przyziemni (albo jak często ich nazywano – „motłoch”) mieszkali w piwnicy, ponieważ to najbezpieczniejsze piętro. Simon był pewien, że jest w tym trochę prawdy, jednakże o wiele więcej prawdy było w stwierdzeniu, że Nocni Łowcy byli urodzonymi snobami. Tyle że Simon z własnej woli wylądował wśród motłochu i w Akademii Nocnych Łowców, więc narzekania nie miały sensu. Nie mieli Wi-Fi, telefonów, telewizji, więc wieczory bywały długie. Kiedy gaszono światła, Simon i George często rozmawiali ze sobą w ciemnościach. Czasem leżeli w swoich łóżkach w ciszy, ze świadomością, że kumpel leży niedaleko. To już było coś. Właściwie to obecność George’a

w pokoju była wszystkim. Simon nie wiedział, czy inaczej wytrzymałby tutaj. I nie chodziło tylko o zimno, szczury czy cokolwiek innego namacalnego, ale o to, co działo się w jego głowie, o wciąż narastającym hałasie skrawków wspomnień. Wracały do niego jak kawałki zapomnianych piosenek, melodie, których nie potrafił z niczym powiązać. Przypominał sobie ogromną radość i strach, ale często nie potrafił ich powiązać z wydarzeniami albo ludźmi. To były tylko uczucia trzepoczące w nim wśród mroku.

– Zauważyłeś kiedyś – odezwał się George – że nawet koce wydają się wilgotne, chociaż wiesz, że są suche? A ja pochodzę ze Szkocji. Znam wełnę. Znam owce. Ale ta wełna? Jest w niej coś demonicznego. Pokaleczyłem sobie kostki rąk, ścieląc łóżko poprzedniego ranka.

Simon tylko mruknął coś w odpowiedzi. Nie musiał uważnie słuchać. On i George co wieczór odbywali tę samą rozmowę. O szlamie i pleśni, o stworzeniach żyjących w ścianach, o szorstkich kocach i zimnie. Co wieczór te same tematy. Simon odpłynął myślami. Miał ostatnio dwóch gości i żadna z wizyt nie wypadła dobrze.

Isabelle i Clary, dwie najważniejsze osoby w jego życiu (na ile się orientował) – obie zjawily się w Akademii. Isabelle pojawiła się, żeby oficjalnie oświadczyć, że Simon należy do niej, a on powiedział jej, żeby zostawiła go w spokoju; nadal zdumiewał go własny postępek. Nie mogli po prostu wrócić do tego, co było. Nie w taki sposób. Nie, kiedy on nie pamiętał, co to właściwie było. A potem podczas misji Isabelle zjawila się i zabiła wampirzycę, która zamierzała właśnie załatwić Simona. Zrobiła to zupełnie na chłodno. Jej głos brzmiał niepokojąco martwo, kiedy mówiła. Potem wpadła Clary. „Uważaj na nią”, ostrzegła go. „Jest bardziej krucha, niż się wydaje”.

Isabelle ze swoim biczem i umiejętnością przecięcia demona na pół była bardziej krucha, niż się to wydawało.

Nocami poczucie winy nie dawało mu spać.

– Znowu Isabelle? – zapytał George.

– Skąd wiesz?

– Wydedukowałem. W końcu zjawiała się i groziła, że potnie na plasterki każdego, kto zbliży się do ciebie, a teraz robicie wrażenie, jakbyście się nie odzywali do siebie. Potem jeszcze wpada twoja przyjaciółka Clary, żeby porozmawiać o Isabelle. Poza tym mamrociesz jej imię przez sen.

– Serio?

– Czasem. Albo mówisz „Isabelle”, albo „mortadel”. Szczerze mówiąc, to może być jedno i drugie.

– Jak mam to naprawić? – spytał Simon. – Nie wiem nawet, co naprawiam.

– Nie wiem, ale ranek szybko nadchodzi. Lepiej trochę się przespać.

Zapadła długa cisza.

– Tu muszą być węże – przerwał ją George. – Przecież to wymarzone miejsce dla węży, nie? Chłód, mnóstwo kamienia, mnóstwo dziur, do których można wpełzać i z nich wypęłzać, mnóstwo myszy do jedzenia... Dlaczego ja nadal mówię? Simon, zrób coś, żebym przestał mówić...

Jednakże Simon go nie uciszył. Nawet rozmowa o potencjalnych czających się węzach była lepsza niż to, co właśnie kołatało się w jego głowie.

* * *

Ogólnie rzecz biorąc w Idrisie zmieniały się pory roku. Pod tym względem to miejsce przypominało Nowy Jork – każda pora roku była wyraźnie oddzielona i inna. Tyle że w Idrisie było przyjemniej niż w Nowym Jorku. Zima nie sprowadzała się do zamarzniętych śmieci i lodowej brei. Lato to nie były gotujące się

śmieci i kapiące klimatyzatory, przy których zawsze miało się wrażenie, że ktoś cię opluwa z góry. Idris było zielone w ciepłej porze, rześkie i spokojne w chłodnej, powietrze zawsze pachniało świeżością i płonąącym drewnem.

Przeważnie. Bywały też ranki, jak te w tym tygodniu, potwornie wietrzne. Na końcu każdego podmuchu czaiły się drobne haczyki. Zimno wciskało się pod ubrania. Strój Nocnych Łowców był praktyczny, ale nieszczególnie ciepły. Był lekki i zapewniał swobodę ruchów, czego należało się spodziewać po stroju do walki. Nie wymyślono go do stania w nim na dworze, na błotnistym skrawku ziemi o siódmej rano, kiedy słońce ledwie co wstało. Simon pomyślał o puchowej kurtce w domu, własnym łóżku i o centralnym ogrzewaniu. Śniadanie, które było kleistym zamiennikiem owsianki, leżało mu ciężko na żołądku.

Kawa. Tego właśnie brakowało temu porankowi. W Idrisie nie było kawiarni, żadnego miejsca, do którego można by wpaść po kubek czegoś gorącego, parującego i pobudzającego. Na śniadanie do picia podawano w Akademii słabiutką herbatę. Simon podejrzewał, że to w ogóle nie jest herbata, ale wodniste popłuczyny po jednej z licznych obrzydliwych zup, które wynurzały się z głębin kuchni. Mógłby przysiąc, że znalazł kawałek ziemniaczanej obierki w kubku tego ranka. A przynajmniej miał nadzieję, że to była ziemniaczana obierka.

Jeden kubek kawy z Java Jones. Czy o aż tak dużo prosił?

– Widzicie to drzewo?! – wrzasnął Delaney Scarsbury, wskazując drzewo.

Z rozlicznych pytań, jakie zadał im trener w ciągu minionych kilku miesięcy, to było jedno z najbardziej logicznych i bezpośrednich, a mimo to okazało się dezorientujące. Wszyscy wyraźnie widzieli drzewo. Na tym kawałku terenu znajdowało się tylko jedno drzewo. Wysokie, nieco pochylone w lewo.

Poranki ze Scarsburym brzmiały jak nazwa radiowego programu dla zrzęd, ale w rzeczywistości to były tortury

pomyślane tak, żeby przygotować ich do walki. Trzeba było przyznać, że Simon był teraz w lepszej formie, niż kiedy zjawiał się w Akademii.

– Widzicie to drzewo?!

Pytanie było tak dziwnie oczywiste, że nikt nie odpowiedział. Teraz wymamrotali, że tak, widzą.

– Oto co zrobicie – powiedział Scarsbury. – Wespniecie się na to drzewo, przejdziecie po gałęzi – wskazał gruby główny konar, znajdujący się jakieś piętnaście stóp nad ziemią – i zeskoczycie.

– Nie, w żadnym razie – mruknął Simon.

Podobne odgłosy niezgody rozległy się wśród pozostałych uczniów. Nikt nie ekscytował się perspektywą wspinaczki na drzewo i celowego upadku.

– Dzień dobry – rozległ się znajomy głos.

Simon odwrócił się i zobaczył za sobą Jace'a Herondale'a, całego w uśmiechach. Sprawiał wrażenie zrelaksowanego, wypoczętego i całkowicie swobodnego w stroju bojowym. Nocni Łowcy potrafią rysować runy zapewniające ciepło. Nie potrzebowali hipoalergicznym kurtek ze sztucznego puchu. Jace nie nosił nawet czapki, dzięki czemu jego złote, perfekcyjnie potargane włosy falowały pięknie na wietrze. Trzymał się z tyłu i pozostali jeszcze go nie zauważyli, nadal słuchali wrzasków Scarsbury'ego, wskazującego drzewo i przekrzykującego wiatr.

– Jak się dałeś w to wrobić? – zapytał Simon, chuchając w dłoń dla rozgrzania.

Jace wzruszył ramionami.

– Ja tylko z wdziękiem i zręcznością udzielam pomocy – odparł. – To byłoby niedbalstwo z mojej strony, gdybym odmówił najnowszemu pokoleniu Nocnych Łowców ujrzenia, czym mogą się stać, jeśli okażą się bardzo, bardzo, bardzo dużymi szczęśliwcami.

Simon zamknął na chwilę oczy.

– Robisz to, żeby zaimponować Clary – powiedział. –

I sprawdzić co u mnie.

– Na Anioła, on stał się telepata! – powiedział Jace, udając, że zatacza się do tyłu. – Zasadniczo wszyscy pomagają Akademii, odkąd uciekli wasi nauczyciele. Ja pomagam w treningach. Czy ci się to podoba, czy nie.

– Hm. To mi się nie podoba.

– Daj spokój – powiedział Jace, klepiąc go w rękę. – Kiedyś to uwielbiałeś.

– Tak?

– Chyba. W każdym razie nie wrzeszczałeś. Czekał. Tak. Nie, jednak wrzeszczałeś. Pomyłka. Ale to łatwizna. Zwykle ćwiczenie.

– Ostatnie ćwiczenie w ramach treningu obejmowało zabicie wampira. A podczas poprzedniego widziałem, jak ktoś oberwał strzałą w kolano.

– Widywałem gorsze rzeczy. Daj spokój. To tylko zabawa.

– Tu nie ma zabawy. To nie jest Akademia Zabawy. Już ja to wiem. Grałem kiedyś w zespole o nazwie Akademia Zabawy.

– Gościmy dziś rano eksperta, który wam pomoże! – wrzasnął Scarsbury – Wysoce wysportowanego Nocnego Łowcę, Jace’a Lightwooda Herondale’a.

Rozległy się zduszone okrzyki i nerwowe chichoty, kiedy wszystkie głowy odwróciły się w stronę Jace’a. Słysząc było dużo westchnień wśród żeńskiej części klasy, a także wśród paru przedstawicieli męskiej. To przypominało Simonowi stanie w kolejce na koncert gwiazdy rocka – czuł, że w każdej chwili tłum może wybuchnąć piskami, nad wyraz niestosownymi dla przyszłych łowców demonów.

Jace uśmiechnął się jeszcze szerzej i wyszedł naprzód, żeby poprowadzić grupę. Scarsbury skinął do niego na powitanie i odsunął się ze skrzyżowanymi rękami. Jace przyglądał się chwilę drzewu, a potem oparł się o nie swobodnie.

– Cała sztuka w spadaniu polega na tym, żeby nie spaść – orzekł.

– Cudownie – mruknął Simon.

– Nie spadacie. Postanawiacie zejść, wybierając najbardziej bezpośrednią metodę. Kontrolujecie to zejście. Nocny Łowca nie spada, Nocny Łowca ląduje. Ćwiczyliście już potrzebne do tego podstawy...

Simon przypomniał sobie, jak Scarsbury wywrzaskiwał różne rzeczy, przekrzykując wiatr kilka dni temu, które mogły być instrukcjami dotyczącymi zeskoków. Frazy takie jak „unikać kamieni”, „nie na plecy” i „o ile nie jesteście skończonymi idiotami, a niektórzy z was są”.

– ...zatem teraz przełożymy teorię na praktykę.

Jace złapał się drzewa i wspiął się na nie zwinnie jak małpa. Osiągnął wysokość konaru, na którym z łatwością stanął.

– A teraz – zawołał do grupy – patrzę na ziemię. Wybieram miejsce lądowania. Pamiętajcie: chrońcie głowę. Jeśli istnieje jakiś sposób, żeby zmniejszyć pęd, jakaś powierzchnia, z której możecie skorzystać, żeby skrócić odległość do ziemi, skorzystajcie z niej, chyba że to niebezpieczne. Nie celujcie w ostre kamienie lub gałęzie, na które możecie się nadziać albo o które możecie się połamać. Ugnijcie kolana. Bądźcie rozluźnieni. Jeśli przy lądowaniu oprzecie się na rękach, koniecznie oprzyjcie się na całych dłoniach, ale starajcie się tego unikać. Stopy do dołu, a potem przewrót. Wykorzystajcie pęd. Rozłóżcie siłę uderzenia. O tak...

Jace lekko zszedł z gałęzi i opadł na ziemię, uderzając o nią ze stłumionym odgłosem. Natychmiast się przeturlał i w jednej chwili znowu stał.

– W ten sposób.

Potrzaskał lekko włosami. Simon zauważył, że kilka osób się zarumieniło. Marisol musiała na chwilę schować twarz w dłoniach.

– Doskonale – powiedział Scarsbury. – To właśnie zrobicie. Jace wam pomoże.

Jace na ten sygnał wspiął się znowu na drzewo. Kiedy on to robił, wydawało się to takie proste, takie eleganckie, po prostu przekładał rękę za ręką, pewnie opierał stopy przez całą wspinaczkę. Na górze usiadł po prostu na gałęzi i zwiesił nogi.

– Kto pierwszy?

Przez chwilę nikt nawet nie drgnął.

– Równie dobrze mogę mieć to od razu za sobą – powiedział cicho George, po czym podniósł rękę i wystąpił przed grupę.

Chociaż George nie był tak zwinny jak Jace, wspiął się na drzewo. Chwytał się kurczowo pnia i parę razy ześlizgnęły mu się stopy. Część wyrażań, jakimi się posłużył, porwał wiatr, ale Simon był przekonany, że były nieprzyzwoite. Kiedy już George dotarł do gałęzi, Jace odchylił się niebezpiecznie, żeby zrobić mu miejsce. George przyglądał się przez chwilę gałęzi, samotnemu, niczym niepodpartemu konarowi wyciągajacemu się nad ziemią.

– Śmiało, Lovelace! – krzyknął Scarsbury.

Simon zauważył, że Jace pochylił się i udzielił paru krótkich rad George'owi, który nadal trzymał się pnia. A potem, kiedy Jace kiwał głową, George puścił się pnia i przeszedł kilka ostrożnych kroków po gałęzi. Zawahał się znowu, chwiejąc się lekko na wietrze. Potem spojrział w dół ze zbolaną miną, zszedł z gałęzi i spadł ciężko na ziemię. Wylądował znacznie głośniejsze niż Jace, ale przeturlał się i zdołał wstać.

– Nieźle – powiedział Scarsbury, kiedy George pokuśtykała z powrotem do Simona.

Rozcierał rękę.

– Nie chcesz tego robić – powiedział, podchodząc do Simona.

Simon sam doszedł do tego wniosku. Potwierdzenie nie podniosło go na duchu.

Obserwował, jak kolejne osoby z klasy podchodzą do drzewa, jedna po drugiej. Niektórzy potrzebowali na wspinaczkę dziesięciu minut sapania, czepiania się i niekiedy spadania z połowy wysokości. Takie sytuacje Scarsbury kwitował swoim

„Mówiłem, nie na plecy!” Jace przez cały czas siedział na drzewie jak zawadiacki ptaszek, czasem uśmiechając do uczniów na dole. Niekiedy sprawiał wrażenie elegancko znudzonego, a wtedy dla zabawy chodził w tę i z powrotem po gałęzi.

Kiedy już nie dało się dłużej tego odwlekać, Simon ruszył do drzewa. Jace uśmiechnął się do niego z góry.

– To łatwe – powiedział. – Pewnie ciągle to robiłeś jako dziecko. Po prostu to powtórz.

– Jestem z Brooklynu – odparł Simon. – My się tam nie wdrapujemy na drzewa.

Jace wzruszył ramionami, sugerując, że nic na to nie poradzi.

Pierwszym, czego Simon dowiedział się na temat drzewa, był fakt, że chociaż wyglądało na lekko pochylone, wznosiło się pionowo do góry. Mimo że kora była szorstka i zdierała mu ręce do żywego, okazała się też śliska, więc za każdym razem, gdy próbował znaleźć oparcie dla nóg, zaraz się ześlizgiwał. Próbował wspiąć się tak, jak robili to Jace i George – sprawiali wrażenie, że łapią się drzewa bardzo lekko. Spróbował tej metody, zdał sobie sprawę, że to na nic, objął więc pień tak czule, że zastanawiał się, czy już ze sobą chodzą. Przywierając niezgrabnie do drzewa i odpychając się nogami trochę jak żaba, zdołał wspiąć się po pniu, drapiąc sobie przy okazji twarz. Kiedy pokonał jakieś trzy czwarte odległości, poczuł, że ma ręce śliskie od potu i zaczyna się zsuwać. Uczucie, że spada, napełniło go nagłą paniką, więc złapał się mocniej.

– Dobrze ci idzie – powiedział Jace tonem, który sugerował, że nie idzie mu dobrze, ale właśnie takie życzliwe uwagi Jace powinien wypowiadać.

Simon dotarł do gałęzi dzięki kilku desperackim ruchom, o których wiedział, że z dołu wyglądają fatalnie. Z pewnością była chwila albo dwie, kiedy jego tyłek wisiał wypięty w zdecydowanie niekorzystny sposób. Jednak udało mu się. Wstanie było kolejnym wyzwaniem, a dokonał tego, ponownie

gorączkowo obłapiając pień.

– Świetnie – powiedział Jace, rzucając mu dziwaczny uśmiezek. – A teraz podejdź do mnie.

Jace cofnął się na konarze, idąc tyłem naprzód. Tyłem naprzód!

Teraz, kiedy Simon znalazł się na gałęzi, nie miał wrażenia, że od ziemi dzieli go piętnaście stóp. Miał wrażenie, że znalazł się wysoko w niebie. Konar był okrągły w przekroju, nierówny, śliski i nie był przeznaczony do spacerów, zwłaszcza w tenisówkach, które Simon zdecydował się włożyć tego ranka.

Dotarł jednak tak daleko i nie zamierzał pozwolić, żeby Jace wyczyniał ten swój magiczny spacer do tyłu, kiedy on trzyma się kurczowo pnia. Zdołał się wspiąć. Zejście po pniu nie zapowiadało się przyjemnie, więc miał tylko jedną możliwość i przynajmniej była to szybka opcja.

Zrobił pierwszy krok. Jego ciało natychmiast zaczęło się trząść.

– Spójrz w górę – polecił mu ostro Jace. – Patrz na mnie.

– Muszę widzieć...

– Musisz patrzeć w górę, żeby zachować równowagę. Patrz na mnie!

Jace przestał uśmiechać się z wyższością. Simon spojrzał na niego.

– A teraz zrób następny krok. Nie patrz w dół. Twoje stopy znajdują gałąź. Ręce w bok dla złapania równowagi. Nie martw się jeszcze drogą w dół. Nie spuszczaaj wzroku ze mnie.

Jakimś cudem to zadziałało. Simon zdołał przejść sześć kroków po konarze i był zdumiony, widząc, że nadal stoi z rękami rozłożonymi sztywno jak skrzydła samolotu na porywistym wietrze. Po prostu stał na gałęzi z Jace'em.

– A teraz odwróć się przodem do Akademii. Patrz przed siebie. Niech to będzie twoja linia horyzontu. Dzięki temu utrzymujesz równowagę: wybierasz punkt, na którym się skupiasz. Utrzymuj punkt ciężkości przed sobą, nie chcesz polecieć do tyłu.

Rzeczywiście, Simon naprawdę tego nie chciał. Przysunął jedną stopę do drugiej i nagle stanął naprzeciwko kupy kamienia, która tworzyła Akademię. W dole stali pozostali uczniowie i wszyscy patrzyli w górę. Większość nie była pod wrażeniem, ale George pokazał mu podniesione kciuki.

– A teraz – powiedział Jace – ugnij trochę kolana. A potem po prostu zejź z gałęzi jednym zdecydowanym krokiem. Nie zeskakuj obiema stopami. Zwyczajnie zrób krok. Spadając, złóż nogi razem i rozluźnij się.

To nie powinna być najtrudniejsza rzecz, jakiej dokonał w życiu. Simon wiedział, że ma za sobą większe wyzwania. Wiedział, że walczył z demonami i powrócił z martwych. Zeskoczenie z drzewa nie powinno być aż tak przerażające.

Zrobił krok w powietrze. Poczuł, jak jego mózg reaguje na tę nową informację – „Tam nic nie ma, nie rób tego, tam nic nie ma!” – ale grawitacja już ściągnęła jego drugą nogę z konaru, a potem...

Można powiedzieć jedną dobrą rzecz na temat tego doświadczenia – to było szybkie. Za to podziękowania dla grawitacji. Kilka sekund niemal błędnego strachu i konsternacji, a potem wstrząsające uczucie, kiedy jego stopy napotkały ziemię. Cały jego szkielet zatrzęsł się, kolana się pod nim ugięły, obolała czaszka złożyła oficjalną skargę i Simon padł na bok w czymś, co mogłoby być koziołkiem, gdyby się potem przeturlał, a nie padł na ziemię i już tam pozostał w pozycji krewetki.

– Wstawaj, Lewis! – wrzasnął Scarsbury.

Jace wylądował obok niego niczym wielki, zabójczy motyl, prawie nie robiąc przy tym hałasu.

– Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy – powiedział, podając Simonowi rękę. – Właściwie pierwsze kilkadziesiąt razy. Sam nie pamiętam.

Simona wszystko bolało, ale najwyraźniej nie zrobił sobie krzywdy. Zaparło mu dech i potrzebował chwili, żeby kilka razy

głęboko odetchnąć. Zataczając się, podszedł do George'a, który czekał ze współczującą miną. Ostatnich dwóch uczniów wykonało zadanie; obaj wyglądali równie żałośnie jak Simon, a potem wszyscy mogli pójść na lunch. Większość kuśtykała w drodze powrotnej.

* * *

Odkąd Catarina zakopała zupę w lesie, kuchnia Akademii została zmuszona do wymyślenia innych posiłków. Jak zwykle starano się przygotowywać potrawy z różnych zakątków świata, co miało odzwierciedlać liczne kraje, z których wywodzili się uczniowie. Dzisiaj, jak poinformowano Simona, był dzień kuchni szwedzkiej. Podano klopsiki mięsne, kadz sosu borówkowego, purée ziemniaczane, wędzonego łososia, klopsiki rybne, surówkę z buraka, a na sam koniec coś o bardzo ostrym zapachu, co jak poinformowano Simona, było specjalnym marynowanym śledziem z rejonu bałtyckiego. Simon miał przeczucie, że gdyby potrawy przygotowali ludzie, którzy wiedzą, co robią, wszystko prezentowałoby się o niebo bardziej smakowicie, z wyjątkiem może nadbałtyckiego marynowanego śledzia. Dla wegetarianina oferta była dość skąpa. Wziął trochę ziemniaków z sosem borówkowym i wygrzebał sobie porcję surówki buraczanej z prawie pustego pojemnika. Jakiś dobry Nocny Łowca z Alicante najwyraźniej ulitował się nad uczniami i dostarczył bułeczki, które natychmiast się rozeszły. Zanim Simon dokuśtykał do koszyka, był już pusty. Odwrócił się, żeby ruszyć do stołu, i zobaczył, że na jego drodze stoi Jace. Miał bułeczkę w dłoni i już odgryzł kawałek.

– Może usiądziesz ze mną?

Stołówka Akademii mniej przypominała szkolną jadalnię, a bardziej potworną, tanią knajpę, która skompletowała meble

na śmietniku. Stały tam wielkie stoły i małe stoliki. Simon, nadal zbyt obolały, żeby żartować z randek w porze lunchu, poszedł za Jace'em do stojącego na uboczu małego rozchwierutanego stolika. Miał świadomość, że wszyscy ich obserwują. Skinął do George'a głową, mając nadzieję dać mu znać, że nie ma wyboru. Nie chciał urazić kumpla tym, że z nim nie usiadł. George odpowiedział skinieniem głowy.

Jon, Julie i inni z kursu dla elity, którzy byli załamani, bo ominął ich Wstęp do Spadania z Drzewa z Jace'em Herondale'em, wpatrywali się, jakby byli gotowi rzucić się na ratunek Jace'owi, wybawić go od złego towarzystwa, w które wpadł, ponieść go w lektyce z czekolady i róż i urodzić mu gromadkę dzieci.

Kiedy już usiedli, Jace zajął się lunchem i nie odezwał się słowem. Simon patrzył, jak Herondale je, i czekał. Tymczasem Jace nałożył sobie spore porcje większości potraw, łącznie z bałtyckim śledziem. Teraz, kiedy Simon widział rybę z bliska, zaczynał podejrzewać, że w ogóle nie była marynowana. Ktoś w sławnej kuchni Akademii Nocnych Łowców próbował zamarynować rybę, czyli dokonać czegoś, co wymaga umiejętności i ścisłego przestrzegania przepisu – i najpewniej wynalazł właśnie nowy rodzaj zatrucia jadem kiełbasianym. Jace wsunął całego śledzia. Fakt, że przypominał gościa ze „Szkoły przetrwania”, który pewnie z radością złowiłby pstrąga w strumieniu gołymi rękami i zjadł go, kiedy ryba jeszcze machała ogonem.

– Chciałeś o czymś ze mną porozmawiać? – zapytał w końcu Simon.

Jace nadział klopsik na widelec i spojrzał w zadumie na Simona.

– Zbierałem ostatnio informacje – powiedział – na temat mojej rodziny.

– Herondale'ów? – podsunął Simon po chwili milczenia.

– Może tego nie pamiętasz, ale mam dość skomplikowaną

historię rodzinną – powiedział Jace. – W każdym razie stosunkowo niedawno odkryłem, że jestem Herondale’em. Potrzebowałem chwili, żeby pogodzić się z tym faktem. To w pewnym sensie legendarna rodzina.

Znowu wrócił na kilka minut do jedzenia. Kiedy opróżnił talerze i miski, usiadł prosto i przyglądał się chwilę Simonowi. Simon zastanawiał się, czy nie zapytać Jace’a, czy okazał się grubą rybą, nawiązując do serialu „Legenda telewizji”, ale uznał, że Jace nie zrozumiałby żartu.

Jace opowiadał dalej:

– W każdym razie cała ta sytuacja zaczęła mi przypominać... O tobie. Chodzi o ważne rzeczy w mojej historii, a ja o wielu nie wiem, próbuję poskładać w całość tożsamość, ale jest w niej dużo dziur. Herondale’owie... Niektórzy byli dobrzy, a niektórzy byli potworami.

– Żadna z tych rzeczy nie musi na ciebie wpływać – odparł Simon. – Liczą się wybory, których ty dokonujesz, a nie twoje pochodzenie, ale wyobrażam sobie, że jest mnóstwo ludzi w twoim życiu, którzy mogą ci to powiedzieć. Clary. Alec. – Zerknął na Jace’a z ukosa. – Isabelle.

Jace uniósł brwi.

– Chcesz rozmawiać o Isabelle? Albo o Alecu?

– Alec nienawidzi mnie, a ja nie wiem dlaczego. Isabelle nienawidzi mnie i wiem dlaczego, co jest gorsze. Nie, nie chcę rozmawiać o Lightwoodach.

– To prawda, że masz problem z Lightwoodami – powiedział Jace z błyskiem w złotych oczach. – Zaczęło się od Aleca. Jak słusznie zauważyłeś, macie wspólną przeszłość. Jednak ja nie powinienem się do tego mieszać.

– Powiedz mi, proszę, o co chodzi z Alekiem. Teraz naprawdę zacząłem się martwić.

– Nie, tutaj chodzi o zbyt wiele głębokich uczuć. Zbyt wiele bólu. To nie byłoby w porządku. Nie przyjechałem tutaj, żeby

narobić kłopotów. Zjawiłem się, żeby pokazać potencjalnym Nocnym Łowcom, jak spadać z wysokości, nie łamiąc sobie karku.

Simon spojrział na Jace'a. Napotkał spojrzenie niewinnych złotych oczu.

Simon uznał, że kiedy następnym razem zobaczy się z Alekiem, zapyta go o dotyczące ich sekrety. Najwyraźniej on i Alec muszą sami załatwić pewne sprawy.

– Powiem jednak jedno na temat twoich problemów z Lightwoodami – dodał mimochodem Jace. – Isabelle i Alec nie potrafią okazywać bólu. Widzę jednak, że oboje cierpią, zwłaszcza kiedy próbują to ukryć. Isabelle cierpi.

– A ja tylko pogorszyłem sprawę – powiedział Simon, kręcąc głową. – To moja wina. Moja i mojej pamięci, którą utraciłem przez jakiegoś króla demonów. Przez to, że nie mam pojęcia, co wydarzyło się w moim życiu. Zawinił gość, który nie ma żadnych specjalnych umiejętności i pewnie zabije się w trakcie ćwiczeń w szkole. Jestem potworem.

– Nie – odparł spokojnie Jace. – Nikt nie wini cię za to, że nie pamiętasz. Poświęciłeś się. Byłeś odważny. Ocaliłeś Magnusa. Ocaliłeś Isabelle. Ocaliłeś mnie. Musisz bardziej zginać kolana.

– Co?

Jace już wstał.

– Kiedy robisz krok z gałęzi. Musisz od razu ugiąć kolana. Poza tym poradziłeś sobie całkiem dobrze.

– Ale co z Isabelle? Co mam zrobić?

– Nie mam pojęcia.

– Przyjechałeś tylko po to, żeby mnie dręczyć i rozmawiać o sobie?

– Och, Simonie, Simonie, Simonie, może tego nie pamiętasz, ale to coś absolutnie w naszym stylu.

I po tych słowach wyszedł, w pełni świadomy pełnych podziwu spojrzeń, które śledziły każdy jego krok.

* * *

Po lunchu mieli wykład z historii. Zwykle dwie grupy uczniów chodziły na osobne zajęcia, ale czasami wszyscy zbierali się w głównej sali. Pomieszczenie nie prezentowało się imponująco pod żadnym względem – stało tam tylko parę krzywych ławek, w dodatku za mało, żeby starczyło miejsca dla wszystkich. Przyniesiono dodatkowo krzesła z jadalni, ale nadal nie było dość miejsc. Dlatego niektórzy uczniowie (elity) siedzieli na krzesłach lub ławkach, a inni (motłoch) usiedli z przodu na podłodze jak dzieciaki z podstawówki. Jednakże po dzisiejszym ranku kilka godzin siedzenia na gołej, zimnej, kamiennej podłodze było luksusem.

Catarina zajęła swoje miejsce za chwiejną katedrą.

– Dzisiaj mamy specjalnego gościa – zapowiedziała. – Odwiedził nas, żeby opowiedzieć o roli, jaką Nocni Łowcy odgrywają w tworzeniu historii. Jak zapewne wiecie, chociaż nie chcę posuwać się zbyt daleko w optymistycznych założeniach, Nocni Łowcy brali udział w wielu ważnych momentach historii Przyziemnych. Ponieważ Nocni Łowcy muszą także strzec Przyziemnych przed wiedzą o naszym świecie, to niekiedy przejmują kontrolę nad tworzeniem historii. Chcę powiedzieć, że musicie pewne rzeczy ukrywać. Musicie dostarczać wiarygodnych wyjaśnień dla zaistniałych wydarzeń, wyjaśnień, które pomijają udział demonów.

– Jak „Faceci w czerni” – szepnął do George’a Simon.

– Zatem proszę, żebyście całą uwagę skupili na naszym szanownym gościu – mówiła Catarina.

Odsunęła się na bok i jej miejsce zajęła wysoka młoda kobieta.

– Jestem Tessa Gray – przedstawiła się niskim, dźwięcznym głosem. – I uważam opowiadanie historii za bardzo ważne.

Wyglądała jak studentka drugiego roku w college’u. Była elegancko ubrana w krótką czarną spódnicę, kaszmirowy sweter

i apaszkę w orientalny wzór. Simon widział ją już kiedyś – na ślubie Jocelyn i Luke’a. Clary powiedziała, że odegrała bardzo ważną rolę w jej życiu, kiedy Clary była mała. Poinformowała go także, że Tessa ma jakieś sto pięćdziesiąt lat, chociaż z pewnością na tyle nie wygląda.

– Żebyście zrozumieli tę opowieść, musicie zrozumieć, kim i czym jestem. Jak Catarina jestem czarownicą, jednakże moja matka nie była Przyziemną, ale Nocną Łowczynią.

W sali rozległ się pomruk, nad którym Tessa po prostu się prześlizgnęła.

– Nie mogę nosić Znaków, ale kiedyś żyłam wśród Nocnych Łowców. Byłam żoną Nocnego Łowcy, a moje dzieci były Nocnymi Łowcami. Byłam świadkiem wielu rzeczy, których żaden Podziemny nigdy nie widział, a teraz jestem niemal jedyną żywą osobą, która pamięta prawdę stojącą za historiami, jakie Przyziemni wymyślili, żeby wyjaśnić te chwile, kiedy ich świat ocierał się o nasz. Jestem wieloma rzeczami. Jestem żywym zapisem historii Nocnych Łowców. Oto jedna z historii, którą mogliście słyszeć, historia o Kubie Rozpruwaczu. Co możecie mi powiedzieć na temat tej osoby?

Simon był gotowy na takie pytanie. Czytał „Prosto z piekła” sześć razy. Całe życie czekał, żeby ktoś go zapytał o twórczość Alana Moore’a. Natychmiast podniósł rękę.

– Był mordercą – wyrwał się z odpowiedzią. – Zabijał prostytutki w Londynie pod koniec dziewiętnastego wieku. Zapewne był lekarzem królowej Wiktorii i cała ta historia była próbą zatuszowania przez rodzinę królewską faktu, że książę miał nieślubne dziecko.

Tessa uśmiechnęła się do niego.

– Masz rację, że Kuba Rozpruwacz to imię nadane mordercy, a przynajmniej serii morderstw. Odwołujesz się do królewskiego spisku, ale tę teorię obalono. O ile się orientuję, do tego samego wątku nawiązuje powieść graficzna „Prosto z piekła” i film pod

tytułem „Z piekła rodem”.

Życie miłosne Simona było skomplikowane, ale na chwilę serce mu się ścisnęło dla tej kobiety, która rozmawiała z nim o komiksach. Ach, cóż. Tessa Gray, seksowna fanka komiksów pewnie już się z kimś spotykała.

– Przedstawię wam proste fakty – powiedziała Tessa. – Kiedyś nazywałam się nie Tessa Gray, ale Tessa Herondale. W owym czasie, w 1888 roku, doszło do serii straszliwych morderstw...

Londyn, październik, 1888

– To niestosowne – powiedziała Tessa do swojego męża, Willa.

– Ale jemu się podoba.

– Dzieciom podobają się różne rzeczy. Lubią słodczyce, ogień i próbują wsadzić głowę do komina. Tylko dlatego, że sztylet mu się podoba...

– Patrz, jak pewnie go trzyma.

Mały dwuletni James Herondale rzeczywiście całkiem dobrze trzymał sztylet. Dźgnął nim poduszkę na sofie i buchnęło pierze.

– Kaczki – powiedział, wskazując na pióra.

Tessa szybko wyjęła sztylet z drobniotkiej dłoni i na jej miejsce wsunęła drewnianą łyżkę. James niedawno bardzo się do niej przywiązał i wszędzie ją ze sobą nosił, często nie chciał bez niej zasnąć.

– Łyżka – powiedział James, idąc chwiejnym krokiem przez salon.

– Gdzie znalazł sztylet? – zapytała Tessa.

– Możliwe, że wziął go z pokoju z bronią – odpowiedział Will.

– Doprawdy?

– Owszem. To możliwe.

– A czy to możliwe, że zdjął sztylet ze ściany, gdzie wisiał

umocowany poza jego zasięgiem?

– Żyjemy w świecie wielu możliwości.

Tessa wbiła wzrok w męża.

– Ani na chwilę nie spuściłem go z oczu – dodał szybko Will.

– O ile to dla ciebie wykonalne – powiedziała Tessa, kiwając głową w stronę śpiącej w małym koszyku obok ognia Lucie Herondale – to nie dawaj Lucie miecza, dopóki nie będzie w stanie stanąć o własnych siłach, dobrze? Czy też proszę o zbyt wiele?

– To brzmi jak rozsądna prośba – odparł Will i skłonił się ekstrawagancko. – Dla ciebie wszystko, moja bezcenna perło. Nawet odmówię broni mojej jedynej córce.

Will przyklęknął i James podbiegł do niego, żeby pochwalić się łyżką. Will podziwiał ją, jakby to było pierwsze wydanie, trzymając pobliżnioną dłoń na drobnych plecach synka.

– Łyżka – oznajmił z dumą James.

– Widzę, Jamie *bach* – mruknął Will, którego Tessa przyłapała na śpiewaniu walijskich kołysanek dzieciom w noc, kiedy najtrudniej zasypiały.

Okazywał dzieciom taką samą miłość, jaką zawsze okazywał jej, bezwzględna i nieugięta. Tak samo opiekuńczy był wobec jeszcze tylko jednej osoby na świecie, na cześć której nazwano Jamesa. To był *parabatai* Willa, Jem.

– Wuj Jem byłby pod dużym wrażeniem – powiedziała z uśmiechem do Jamiego.

Tak ona i Will nazywali Jamesa Carstairsa w rozmowie z dziećmi, chociaż między sobą mówili po prostu Jem, a oficjalnie był to brat Zachariasz, budzący lęk i szacunek Cichy Brat.

– Jem – powtórzył James całkiem wyraźnie i Tessa uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Will i James odchyliłi twarze, żeby na nią spojrzeć, obie okolone czarnymi jak burzowe chmury włosami. Twarzyczka Jamiego była drobna i okrągła, dziecięcy tłuszczyczek zasłaniał

jeszcze kości i ostre kąty rysów, które pewnego dnia upodobnią się do rysów Willa, podobnie jak już upodobniły się jego włosy. Dwie pary oczu, jedna ciemnoniebieska, druga złocista, spojrzały na nią z bezgranicznym zaufaniem i więcej niż odrobiną szelmostwa. Jej chłopcy.

Długie, bardzo długie londyńskie letnie dni, do których Tessa nadal przywykała, chociaż mieszkała tu już od kilku lat, zaczęły się gwałtownie skracać. Już nie było słońca o dziesiątej wieczór, teraz zmrok zapadał koło szóstej, opadała ciężka, nieco żółtawa mgła i napierała na okna. Bridget zaciągnęła zasłony i w pokojach zrobiło się ciemnowo, ale przytulnie.

To było dziwne – być rodzicem i Nocnym Łowcą. Ona i Will prowadzili życie, które nieustannie wiązało się z niebezpieczeństwem, i nagle dołączyła do nich dwójka maleńkich dzieci. Owszem, to była dwójka maleńkich dzieci, które czasem łapały w swoje ręce sztylety i pewnego dnia zaczęły uczyć się walki, o ile tego zechcą. Teraz jednak to była po prostu dwójka bardzo małych dzieci. Mały James drepczący po Instytucie z łyżką. Mała Lucie śpiąca w kołysce, koszyku albo w jednym z licznych chętnych ramion.

Ostatnimi czasy, jak zauważyła z zadowoleniem Tessa, Will był nieco ostrożniejszy, gdy podejmował ryzyko. (Zwykle. Naprawdę będzie musiała zadbać, żeby dzieci nie dostawały do rąk sztyletów). Bridget zwykle dobrze radziła sobie z dziećmi, ale Tessa i Will starali się spędzać w domu jak najwięcej czasu. Mała Anna, córka Cecyli i Gabriela była rok starsza od Jamesa i już utorowała sobie szlaki przez Instytut. Czasem próbowała wyjść samodzielnie do Londynu, ale zawsze drogę zagradzała jej cioteczka Jessamine, która strzegła drzwi. To, czy Anna wiedziała, że cioteczka Jessamine to duch, pozostało niejasne. Była po prostu kochającą eteryczną siłą przy drzwiach, która zapędzała dziewczynkę z powrotem do środka i mówiła, żeby przestała podbierać ojcu kapelusze.

To było dobre życie. Tessa czuła się bezpiecznie, co przypominało jej inne spokojne czasy, kiedy jeszcze mieszkała w Nowym Jorku, zanim poznała prawdę na temat siebie i świata, w którym żyje. Czasem, kiedy siedziała z dziećmi przy ogniu, czuła się całkiem... normalnie. Jakby nie istniały demony ani stworzenia nocy.

Pozwalała sobie na takie chwile.

– Co jemy dziś wieczorem? – zapytał Will, chowając sztylet do szuflady. – Pachnie trochę jak potrawka jagnięca.

Zanim Tessa zdążyła odpowiedzieć, usłyszała, że drzwi się otwierają, i do pokoju wszedł pośpiesznie Gabriel Lightwood. Ciągnął się za nim zapach zimnej mgły. Nie zawracał sobie głowy zdejmowaniem płaszcza. Po sposobie, w jaki szedł, i po minie Tessa zorientowała się, że właśnie skończyła się chwila błogości w domowym zaciszu.

– Coś się stało? – zapytał Will.

– To – powiedział Gabriel. Podniósł płachtę gazety o tytule „Star”. – To okropne.

– Zgadza się. Te szmatławce za pół pensa są straszne. Jednak denerwujesz się nimi bardziej niż to właściwe.

– Może to jest szmatławiec za pół pensa, ale posłuchaj tego.

Wszedł w krąg światła lampy gazowej, otworzył gazetę, strzepnął nią raz głośno, żeby się rozprostowała.

– „Postrach Whitechapel...” – przeczytał.

– Och. To o to chodzi – powiedział Will.

Wszyscy w Londynie słyszeli o Postrachu z Whitechapel. Morderstwa były wyjątkowo potworne. Wiadomości o zabójstwach wypełniały teraz każdą gazetę.

– „...zaatakował znowu i tym razem zabił dwie ofiary, jedną pociął i oszpecił w sposób nieopisany, a drugiej poderznął gardło i rozerwał. Znowu się wymknął i znowu policja z przecudowną szczerością wyznaje, że nie ma pojęcia, kim jest sprawca. Czekają na siódme i ósme morderstwo, tak jak czekała na piąte,

w nadziei, że pomoże rozwikłać zagadkę. Tymczasem mieszkańcy Whitechapel niemal oszaleli ze strachu. Ludzie boją się nawet rozmawiać z nieznajomymi. Mimo że powtarzające się dowody wskazują, że morderca ma tylko jeden cel i atakuje tylko jedną grupę w społeczności, strach rozlał się szeroko i nikt nie wie, jakie kroki może przedsięwziąć praktycznie bezbronne społeczeństwo, żeby się bronić lub zemścić się na nieszczęsnym człeku, którego uzna za swojego wroga. Obowiązkiem dziennikarza jest dbać o to, by mieszkańcy zachowali spokój, nie podżegać, nie rozbudzać namiętności, kiedy potrzebny jest spokój i jasne myślenie. Spróbujemy więc pisać spokojnie o tej nowej potworności”.

– Bardzo to drastyczne – powiedział Will – ale East End to niebezpieczne miejsce dla Przyziemnych.

– Wątpię, żeby to był Przyziemny.

– A nie było listu? Zabójca czegoś nie przysłał?

– Tak, bardzo dziwny list. Też go mam.

Gabriel podszedł do biurka w kącie i otworzył je, ukazując schludny stos wycinków z gazet.

– „Drogi Szefie! Ciągłe słyszę, że policja mnie złapała, ale na razie mnie nie przymkną. Śmieję się, kiedy z mądrymi minami gadają, że są na właściwym tropie. Ten żart o Skórczanym Fartuchu przyprawił mnie o atak śmiechu. Nie trawię dziwek i będę je pruł, dopóki mnie nie dorwą. Ostatnia robota to było wielkie dzieło. Nie dałem damie nawet szansy pisnąć. Jak oni teraz mnie złapią! Kocham swoją robotę i chcę znów zacząć. Niedługo znowu usłyszycie o moich zabawnych gierkach. Zachowałem sobie trochę porządnej czerwonej juchy z ostatniej roboty w butelce po piwie imbirowym, żeby nią napisać list, ale zgęstniała jak klej i nie dało się jej użyć. Mam nadzieję, że czerwony atrament dość tu pasuje. Ha, ha! Przy następnej robocie obetnę damie uszy i prześlę policjantom dla zabawy. Zatrzymaj ten list, dopóki nie zrobię czegoś więcej, a potem od

razu go wydaj. Mój nóż jest taki ładny i ostry, że od razu dorwę się do roboty, przy pierwszej okazji. Powodzenia. Pański oddany Kuba Rozpruwacz”.

– Niezłe imię sobie wymyślił – powiedziała Tessa. – Naprawdę przerażające.

– I niemal na pewno fałszywe – dodał Gabriel. – Bzdura wymyślona przez dziennikarzy, żeby lepiej sprzedawały się ich historyjki. I dobrze dla nas, bo daje sprawcy ludzką twarz, a przynajmniej przywodzi na myśl ludzką rękę. Chodźcie, coś wam pokażę.

Przywołał ich gestem do stołu pośrodku pokoju i wyjął mapę z wewnętrznej kieszeni płaszcza. Rozłożył ją.

– Właśnie wróciłem z East Endu – powiedział. – Coś w tych historiach zaniepokoiło mnie z więcej niż oczywistych powodów. Wybrałem się tam, żeby samemu się rozejrzeć. I to, co wydarzyło się ostatniej nocy, potwierdza moją teorię. Ostatnio doszło do wielu morderstw, wszystkie ofiary to kobiety. Kobiety, które...

– Prostytutki – powiedziała Tessa.

– Właśnie – przytaknął Gabriel.

– Słownictwo Tessy jest bardzo bogate – powiedział Will. – To jedna z jej najatrakcyjniejszych cech. Wstyd mi za ciebie, Gabrielu.

– Will, posłuchaj mnie. – Gabriel westchnął przeciągle.

– Łyżka! – oznajmił James; podbiegł do wuja Gabriela i dźgnął go w udo.

Wuj zmierzwił mu włosy.

– Taki dobry z ciebie chłopak – powiedział. – Często się zastanawiam, jakim cudem jesteś synem Willa.

– Łyżka – powtórzył James, przytulając się do nogi wuja.

– Nie, Jamie – ponaglił syna Will. – Twojego czcigodnego ojca znieważono. Atakuj, atakuj!

– Bridget – powiedziała Tessa – możesz zabrać Jamesa na kolację?

James został wyprowadzony z pokoju zaplątany w spódnicę Bridget.

– Do pierwszego morderstwa doszło tutaj. Buck's Row. To się stało trzydziestego pierwszego sierpnia. Bardzo bestialskie liczne cięcia na brzuchu. Drugie wydarzyło się na Hanbury Street ósmego września. Ofiara nazywała się Annie Chapman i znaleziono ją na podwórzu za domem. Ofiara otrzymała podobne rany, ale morderstwo było znacznie bardziej krwawe. Wnętrznosci z brzucha kobiety po prostu wyjęto. Część organów umieszczono na jej ramionach. Niektóre zwyczajnie zniknęły. Całą robotę wykonano z chirurgiczną precyzją i nawet zdolny chirurg potrzebowałby na to trochę czasu. A zbrodni dokonano w kilka minut, na dworze, przy małej ilości światła. To właśnie zwróciło moją uwagę. A teraz ostatnie morderstwa, które popełniono raptem kilka nocy temu, to prawdziwie diabelska robota. Przyjrzyście się uważnie. Do pierwszego z tych morderstw doszło tutaj.

Wskazał punkt na mapie oznaczający Dutfield's Yard.

– To niedaleko od Berner Street, widzicie? Ofiarą była Elizabeth Stride i znaleziono ją o pierwszej w nocy. Podobne rany, ale jakby niekompletne. Raptem czterdzieści pięć minut później znaleziono ciało Catherine Eddowes na Mitre Square.

Gabriel przesunął palec od Berner Street do Mitre Square.

– Odległość wynosi ponad pół mili. Przeszedłem ją kilka razy. Drugie morderstwo było znacznie straszniejsze w swojej naturze. Ciało rozczłonkowano, wewnętrzne organy usunięto. Operację przeprowadzono bardzo delikatnie, bardzo umiejętnie. Dokonano tego w ciemności i w raptem kilka minut. Chirurg potrzebowałby na coś takiego znacznie więcej czasu i z pewnością więcej światła. To zwyczajnie niemożliwe, a jednak się wydarzyło.

Tessa i Will przyglądali się mapie przez chwilę. Ogień cicho trzaskał za ich plecami.

– Mógł mieć powóz – powiedział Will.

– Nawet z powozem zwyczajnie nie miałyby czasu, żeby dokonać obu morderstw. A z całą pewnością są to czyny popełnione przez tę samą istotę.

– To nie jest robota wilkołaków?

– Zdecydowanie nie. Ani wampirów. Ciała nie były osuszone z krwi. Nie pożarto ich ani nie rozerwano. Pocięto, wewnętrzne organy usunięto i ułożono jakby według wzoru. To – powiedział Gabriel, pukając dla podkreślenia słów w mapę – jest demoniczne w swojej naturze. I wywołało w Londynie panikę.

– Ale po co demon atakowałby te biedne kobiety? – spytał Will.

– Widocznie czegoś potrzebuje. Demon najwyraźniej zabiera... organy rozrodcze. Proponuję, żebyśmy natychmiast zaczęli patrolować East End. Ten obszar.

Gabriel zakreślił palcem koło wokół Spitalfields.

– To centrum jego aktywności. Tam musi się ukrywać. Zgadzasz się?

– Gdzie jest Cecily? – zapytał Will.

– Już zaczęła pracę. Jest tam teraz, rozmawia z kobietami z ulicy. Z nią łatwiej im się rozmawia. Musimy natychmiast zacząć.

Will skinął głową.

– Mam jeszcze jedną sugestię. Ponieważ bestię przyciągają pewnej klasy kobiety, powinniśmy posłużyć się czarem...

– Albo zmiennokształtnymi – wtrąciła Tessa.

– ...żeby zwabić demona.

W oczach Willa zapłonął błękitny ogień.

– Sugerujesz, żeby moja żona i siostra zostały przynętami dla tego potwora?

– To najlepszy sposób – odparł Gabriel. – A twoja siostra jest moją żoną. Tessa i Cecily są więcej niż kompetentne, a my też tam będziemy.

– To dobry plan – powiedziała Tessa, nie dopuszczając do

kolejnej kłótni Willa i Gabriela. (Zawsze znajdowali czas na jeszcze jedną).

Gabriel skinął głową.

– Zatem zgoda?

Tessa spojrzała w błyszczące niebieskie oczy męża.

– Zgoda – powiedziała.

– Zgoda – powiedział Will. – Pod jednym warunkiem.

– A jaki to warunek...? – Gabriel westchnął. – Ach. Brat Zachariasz.

– Ten potwór jest brutalny – powiedział Will. – Może nam się przydać uzdrowiciel. Ktoś o mocy Cichego Brata. To nadzwyczajna sytuacja.

– Nie przypominam sobie sytuacji, której nie uważałeś za specjalną i wymagającą jego obecności – odrzekł oschle Gabriel. – Znany jesteś z tego, że wzywałeś brata Zachariasza z powodu złamanego palca u nogi.

– Zrobił się zielony – wyjaśnił Will.

– On ma rację – wtrąciła Tessa. – Zielony mu nie pasuje. Wygląda w nim obrzydliwie. – Uśmiechnęła się do Gabriela. – Nie ma powodu, żeby Jem nam nie towarzyszył. Możemy go potrzebować i nie zaszkodzi, jeśli będziemy go tu mieli.

Gabriel otworzył usta i zaraz je zamknął. Nie znał Jema Carstairsa zbyt dobrze, zanim Jem został Cichym Bratem, ale go lubił. Mimo wszystko w przeciwieństwie do swojej żony Gabriel był jednym z tych ludzi, którzy (najwyraźniej) uważali za dziwne to, że chociaż Tessa była kiedyś zaręczona z Jemem, ona i Will traktowali go jak członka rodziny i próbowali włączać we wszystko, co robili.

Niewielu ludzi na świecie zrozumiałoby, jak bardzo Will i Jem się kochali i jak bardzo Willowi go brakowało. Tessa to rozumiała.

– Jeśli możemy zdołać ocalić jedną z tych biednych kobiet, musimy spróbować – powiedziała. – Jeśli Jem zdoła pomóc, to

będzie cudownie. Jeżeli nie, Cecily i ja zrobimy, co w naszej mocy. Mam nadzieję, że nie uważasz, że któregoś z nas brakuje odwagi.

Will przestał piorunować wzrokiem Gabriela i odwrócił się do żony. Spojrzał na nią i jego twarz złagodniała. Zniknęły ślady dzikiego, okaleczonego chłopca, a zastąpił go wyraz twarzy, jaki często miewał teraz, jako mężczyzna, który wie, co to znaczy kochać i być kochanym.

– Moja miła – powiedział. Złożył pocałunek na jej dłoni. – Kto zna twoją odwagę lepiej niż ja?

* * *

– Tego października – opowiadała Tessa Gray – nie zgłoszono żadnych morderstw Kuby Rozpruwacza. Londyński Instytut patrolował teren co noc aż do wschodu słońca. Uważaliśmy, że w ten sposób powstrzymaliśmy demona.

Na zewnątrz zrobiło się ciemno, chociaż dochodziła dopiero trzecia po południu. W sali było znacznie zimniej po zachodzie słońca i wszyscy uczniowie siedzieli w kucki, obejmując się rękami, żeby nie marznąć, ale byli całkowicie skupieni. Tessa opowiadała już jakiś czas, pokazując mapy Londynu, opisując naprawdę przerażające morderstwa. Coś takiego sprawia, że nie przysypiasz.

– Myślę – powiedziała, zacierając ręce – że czas na krótką przerwę. Powrócimy do tematu za pół godziny.

W czasie długich wykładów Akademia łaskawie pozwalała na jedną przerwę na skorzystanie z łazienki, wypicie mętnej herbaty, którą wystawiono w jednej z dużych sal w parujących, starodawnych termosach. Simon zmarzł na tyle, że nalał sobie kubek. Znowu jakiś życzliwy Nocny Łowca dostarczył tacę z ciasteczkami. Simon zdążył zobaczyć je przelotnie, zanim

zostały rozgrabione przez elitę, którą pierwszą wypuszczono z sali. Zostało tylko parę smętnych, małych herbatników. Wyglądały jak zrobione z ubitego piasku.

– Fajny ten dzisiejszy wykład – powiedział George, biorąc suchego herbatnika. – Znaczy nie tyle fajny, ile ciekawszy niż zwykle. I podoba mi się ta nowa nauczycielka. W życiu nie pomyślałbym, że ma... Ile ona ma lat?

– Jakies sto pięćdziesiąt parę. Może więcej – odpowiedział Simon.

Myślamy krążył gdzie indziej. Tessa Gray wymieniła dwa imiona: Jema Carstairsa i brata Zachariasza. Najwyraźniej to była jedna i ta sama osoba. Co było ciekawe, bo gdzieś w płynnych wspomnieniach Simon odnalazł te imiona. I przypominał sobie Emmę Carstairs stojącą naprzeciwko Jace'a – nie pamiętał dlaczego, ale wiedział, że tak było – i mówiącą „Carstairsowie mają dług u Herondale'ów”.

Simon zerknął na Jace'a, który siedział w fotelu. Uczniowie skakali wokół niego.

– Pani Gray wygląda naprawdę świetnie jak na sto pięćdziesiąt lat – powiedział George, zerkając na Tessę, która przyglądała się podejrzliwie herbacie.

Kiedy odsunęła się od stołu, rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Jace'a. Na jej twarzy malował się tęskny smutek.

W tej samej chwili Jace wstał z fotela, rozpraszając pieczeniarzy. Uczniowie z elity rozsunęli się, żeby zrobić mu przejście, rozległo się chóralne „cześć, Jace” i kilka chrapliwych westchnień, kiedy podszedł do Simona i George'a.

– Naprawdę świetnie sobie dzisiaj poradziłeś – powiedział do George'a, który zarumienił się i odebrało mu mowę.

– Och... Jasne. Pewnie – wydukał. – Dzięki, Jace. Dzięki.

– Nadal jesteś obolały? – zapytał Simona Jace.

– Ucierpiała tylko moja duma.

– Pycha kroczy przed upadkiem.

Simon skrzywił się, słysząc ten żart.

– Serio?

– Długo czekałem, żeby to powiedzieć.

– To niemożliwe.

Mina Jace'a zdradzała, że to jednak było możliwe. Simon westchnął.

– Słuchaj, Jace, gdybym mógł chwilę z tobą porozmawiać...

– Wszystko, co chcesz mi powiedzieć, możesz mówić przy moim świetnym kumplu George'u.

Pożalujesz tego, pomyślał Simon.

– Dobrze. Idź porozmawiać z Tessą.

Jace się zdziwił.

– Z Tessą Gray? Czarownicą?

– Kiedyś była Nocną Łowczynią – wyjaśnił ostrożnie Simon. – Słuchaj, opowiada nam historię, właściwie fragment historii, a pamiętasz, co powiedziała Emma? Że Carstairsowie mają dług u Herondale'ów?

Jace schował ręce w kieszeniach.

– Pewnie, że pamiętam. Dziwię się, że ty pamiętasz.

– Myślę, że powinieneś porozmawiać z Tessą – powiedział Simon. – Myślę, że może ci opowiedzieć o Herondale'ach. Rzeczy, których jeszcze nie wiesz.

– Hm, zastanowię się nad tym.

Jace odszedł. Simon popatrzył za nim sfrustrowany. Żałował, że nie pamięta dość dobrze, jak normalnie dogadywał się z Jace'em, żeby wiedzieć, czy ta odpowiedź znaczy, że zignoruje jego radę, czy przeciwnie.

* * *

– Traktuje cię jak przyjaciela – powiedział George. – Albo równego sobie. Naprawdę znaliście się. Znaczy wiedziałem to,

ale...

Jonathan Cartwright podszedł do nich, co nie było żadną niespodzianką.

– Po prostu rozmawiasz sobie z Jace’em, co?

– Jesteś detektywem? – zapytał Simon. – Twoje umiejętności obserwacji mnie zdumiewają.

Jonathan zachowywał się, jakby Simon nie wypowiedział ani słowa.

– Aha, my z Jace’em pogadamy sobie później.

– Naprawdę dalej zamierzasz udawać, że znasz Jace’a? – zapytał Simon. – Bo chyba wiesz, że nic z tego nie wyjdzie, prawda? W końcu Jace podejdzie i powie, że cię nie zna.

Jonathan miał ponurą minę. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, dano sygnał, że wszyscy mają wracać do Sali, i Simon poczłapał za pozostałymi. Zajęli swoje miejsca, żeby posłuchać Tessy.

– Postanowiliśmy patrolować teren nocami – powiedziała Tessa. – Naszym obowiązkiem jako Nocnych Łowców było chronienie Przyziemnych przed wpływem demonów. Chodziliśmy, obserwowaliśmy, ostrzegaliśmy, kogo się dało. Na ile to było możliwe, kobiety pracujące w East Endzie starały się bardziej uważać i nie chodzić zbyt często samotnie. Jednak kobiety tej profesji rzadko brały pod uwagę bezpieczeństwo. Zawsze zakładałam, że ich życie było ciężkie, ale nie miałam pojęcia...

Londyn, 9 listopada, 1888

Tessa Herondale z pewnością wiedziała, czym jest bieda, wiedziała, że nędza istnieje. W okresie, kiedy jej ciotka zmarła, a ona była młodą dziewczyną pozbawioną przyjaciół w Nowym

Jorku, czuła zimny oddech biedy, jakby to był potwór, który na nią czyha. Jednak w miesiącu, kiedy razem z Cecyli wędrowały po ulicach East Endu przebrane za prostytutki, zrozumiała, jak by to było, gdyby nędza ją dopadła i rozerwała swoimi pazurami.

Ubrały się stosownie do roli w stare, obszarpane ubrania, grubo pomalowały policzki różem. Poza tym posłużyły się czarem, ponieważ potrzebne były oznaki prawdziwej prostytutki. Brakujące zęby. Pożółkła skóra. Ciała wychudzone z niedożywienia i pocięte chorobą. Kobiety, które chodziły i chodziły całą noc, bo nie miały gdzie spać, gdzie usiąść. Sprzedawały się za parę pensów, żeby kupić gin, który je rozgrzewał, uśmierzał ból na godzinę, osłabiał wpływ straszliwych, brutalnych realiów ich życia. Gdy te kobiety zdobywały pieniądze na miejsce do spania, nigdy nie było to łóżko. To mogło być miejsce na podłodze, a czasem kawałek ściany, żeby pod nią usiąść ze sznurem biegnącym przez pokój, żeby śpiący się nie przewracali. Bładym świtem wyrzucano je z powrotem na ulicę.

Chodząc wśród nich Tessa czuła się brudna. Czuła resztki kolacji w brzuchu. Wiedziała, że jej łóżko w Instytucie jest ciepłe i że śpi tam ktoś, kto ją kocha i kto ją chroni. Te kobiety miały siniaki i rany. Walczyły o kąty, kawałki potłuczonych luster i skrawki szmat.

Były tam też dzieci. Siedziały na cuchnących ulicach bez względu na wiek. Skórę miały tak brudną, jakby nigdy już nie dało się jej domyć. Zastanawiała się, ile z nich zjadło kiedykolwiek ciepły posiłek podany na talerzu. Czy kiedykolwiek miały dom?

A ponad tym wszystkim unosił się smród. To było coś, co naprawdę wgrzyzło się w duszę Tessy. Odór uryny, nocnych nieczystości, wymiocin.

– Zaczyna mnie to męczyć – powiedziała Cecyli.

– Myślę, że wszyscy tutaj są zmęczeni – odpowiedziała Tessa.

Cecily westchnęła smutno.

– Jedna przejażdżka powozem i ulice stają się ciche i nieskazitelnie czyste. West End to inny świat.

Pijany mężczyzna podszedł do nich i zaczął je nagabywać. Ponieważ musiały odegrać swoją rolę, Cecily i Tessa uśmiechnęły się do niego i zaprowadziły do zaułka, gdzie wsadziły go do pustej beczki po ostrygach i tak go zostawiły.

– Miesiąc i ani śladu – powiedziała Tessa, kiedy odchodziły od wymachujących nóg mężczyzny w beczce. – Albo to odpędzamy, albo...

– Albo to zwyczajnie nie działa.

– Magnus Bane przydałby się w takich chwilach jak ta.

– Magnus Bane świetnie się bawi Nowym Jorku – odpowiedziała Cecily. – Ty jesteś czarownicą.

– Nie mam takiego doświadczenia jak on. W każdym razie zbliża się świt. Jeszcze godzina i możemy wracać do domu.

Will i Gabriel siadywali w pubie „Pod Dziesięcioma Dzwonami”, który wyglądał na źródło wieści na temat mordercy. Wielu miejscowych mówiło, że widziało go tam z ofiarami, zanim zostały zamordowane. Czasem Jem przybywał z wiadomościami z Cichego Miasta. Często Cecily i Tessa wracały bladym świtem wyczerpane do pubu i zastawały Gabriela i Willa śpiących z głowami na stole, okrytych pergaminowymi szatami brata Zachariasza.

Jem czytał wtedy albo wyglądał w milczeniu przez okno. Widział na swój sposób mimo zamkniętych oczu. Rzucono na niego czar, żeby jego wygląd nie szokował obywateli w pubie. Tessa zawsze czuła, jak Cecily sztywnieje, gdy pierwszy raz widzi Jema – czarne runy wypalone na policzkach, pojedyncze pasmo siwych włosów w czarnej czuprynie.

Czasem już po wyjściu Cecily i Gabriela Tessa siadywała, trzymając Jema za rękę, z Willem śpiącym na jej ramieniu, i słuchała deszczu za oknami. To nigdy jednak nie trwało długo,

bo nie lubiła zostawiać dzieci samych, chociaż Bridget była doskonałą opiekunką.

Sytuacja była trudna dla obu rodzin. Dzieci budziły się i zastawały wyczerpanych rodziców, którzy rysowali bez końca runy czujności, a jednak ledwie nadążali za Anną biegnącą w kamizelce wuja albo Jamesem wymachującym łyżką i próbującym znaleźć sztylet, który raz zobaczył i pokochał. Lucie budziła się o najróżniejszych porach, domagając się mleka i objęć.

Oto następny świt w East Endzie – i na co to wszystko? A ranki nadchodziły coraz później. Kiedy słońce wznosiło się nad kościołem w Spitalfields, Cecily znowu odwróciła się do Tessy.

– Do domu – powiedziała.

– Do domu – powtórzyła wycieńczona Tessa.

Zamówiono powóz, który miał przyjechać rankiem na Gun Street. Tam spotkały się z Willem i Gabrielem. Wyglądali fatalnie, bo często musieli pić gin całą noc, żeby wtopić się w tłum. Tej nocy nie zjawił się Jem i Will był niespokojny.

– Dowiedzieliście się czegoś? – zapytała Tessa.

– Tego co zwykle – odpowiedział nieco bełkotliwie Gabriel. – Wszystkie ofiary widziano z mężczyzną. Różnie opisywano jego posturę i powierzchowność.

– Zatem to najpewniej eidolon – powiedział Will. – Informacje są tak ogólne, że to nawet mógłby być Du'sien, ale wątpię, żeby Du'sien zdołał zbliżyć się i przekonać kobietę, że jest prawdziwym mężczyzną bez względu na to, jak bardzo byłaby pijana.

– Tyle że to nam nic nie mówi – powiedziała Cecily. – Jeśli to eidolon, to sprawcą może być ktokolwiek.

– Postępuje jednak niesłychanie spójnie – zauważył Will. – Zawsze pojawia się jako mężczyzna i zawsze zabiera kobiety. Donikąd z tym nie zajdziemy.

– Albo wręcz przeciwnie – odparł Gabriel. – Nie wrócił.

– Nie możemy robić tego wiecznie.

Przez ostatni tydzień codziennie odbywali tę rozmowę. Ta zakończyła się jak zwykle – obie pary wsparte o siebie zasnęły w powozie w drodze do Instytutu. Przywitali dzieci, które zjadły śniadanie z Bridget, wysłuchali z półprzymkniętymi oczami, jak Anna rozwodzi się nad swoimi licznymi planami na dzień, a James wali łyżką.

Tessa i Will ruszyli schodami do sypialni. Cecily czekała na Gabriela, który zamarudził w salonie od frontu.

– Zaraz przyjdę – powiedział z przekrwionymi oczami. – Chcę tylko przeczytać poranną gazetę.

Gabriel zawsze to robił, każdego ranka sprawdzał gazety. Dlatego Tessa, Will i Cecily wrócili do łóżek. W sypialni Tessa obmyła twarz w misce z gorącą wodą przyniesioną przez Bridget. Ogień płonął, łóżko było przygotowane do snu i czekało na nich. Padli na nie z wdzięcznością.

Ledwie zdążyli zasnąć, a Tessa usłyszała walenie do drzwi i zaraz do pokoju wszedł Gabriel.

– Znowu zaatakował – wydyszał. – Na Anioła, to morderstwo jest jeszcze gorsze niż zwykle.

Wezwano z powrotem powóz i w ciągu godziny pojechali na East End, tym razem odziani w stroje bojowe.

– To się wydarzyło w miejscu zwanym Miller's Court koło Dorset Street – powiedział Gabriel.

Ze wszystkich straszliwych ulic we wschodnim Londynie, Dorset Street była najgorsza. To była krótka droga odchodząca od Commercial Street. W ostatnich tygodniach Tessa sporo dowiedziała się o tym, co się dzieje na Dorset Street. Para agresywnych właścicieli domów kontrolowała większość uliczki. Na tej małej przestrzeni kryło się tyle wrzasku, nędzy i smrodu, że miało się wrażenie, że wypychają całe powietrze z płuc. Domy tam podzielono na maleńkie pokoje, a każdy był wynajęty. Na tej ulicy wszyscy patrzyli pustym wzrokiem, dominującym

uczuciem była rozpacz.

Po drodze Gabriel powiedział im, czego zdołał się dowiedzieć z porannych gazet – adres (numer trzynasty), imię i nazwisko ofiary (Mary Kelly). Z okazji Dnia Burmistrza przez miasto szła parada. Wieści o zbrodni rozchodziły się jednak wzdłuż trasy parady. Gazeciarze wykrzykiwali o morderstwie i sprzedawali gazety, uwijając się jak w ukropie. Cecily wyjrzała zza zasłony powozu.

– Robią wrażenie, jakby świętowali – powiedziała. – Uśmiechają się i biegną kupić gazety. Boże, jak ludzie mogą świętować z takiej okazji?

– Wydarzenie jest ciekawe – powiedział Will z mrocznym uśmiechem. – Niebezpieczeństwo jest pociągające. Zwłaszcza dla tych, którzy nie mają nic do stracenia.

– Na miejscu będzie pandemonium – wtrącił Gabriel.

Rzeczywiście tłumy już się zgromadziły wzdłuż drogi prowadzącej do Dorset Street. Mieszkańcy wyszli popatrzeć na policję. Policjanci starali się powstrzymać ludzi przed wtargnięciem do pomieszczenia przez małe, ciemne drzwi w połowie ulicy.

– Tam – powiedział Gabriel. – Miller's Court. Nie zdołamy się zbliżyć, chyba że tobie się uda, Tesso. Jest tam detektyw Abberline ze Scotland Yardu. Gdybyśmy zdołali go tu ściągnąć albo jednego z posterunkowych pracujących w pokoju...

– Ja to załatwię – powiedział Will i przepchnął się przez tłum.

Wrócił kilka minut później z mężczyzną w średnim wieku o życzliwej twarzy. Sprawiał wrażenie bardzo zajętego, skonsternowany marszczył czoło. Cokolwiek Will mu powiedział, wystarczyło, żeby odciągnąć go od miejsca zbrodni.

– Gdzie to jest? – zapytał Willa. – Jest pan pewien...

– Całkowicie.

Trudno było powstrzymać ludzi przed pójściem za nimi, więc Cecily, Tessa i Gabriel musieli zablokować im drogę, kiedy Will

poprowadził inspektora zaułkiem. Zagwizdał kilka chwil później. Stał w wejściu do taniego pokoiku na wynajem.

– Tutaj – powiedział. Inspektor leżał w kącie i wyglądał, jakby spał. Nie miał ubrań. – Nic mu nie będzie, ale pewnie wkrótce się ocknie. Włóż to.

Kiedy Tessa wzięła ubrania i przemieniła się w Abberline'a, Will przekazał jej kilka nowych faktów, których dowiedział się od ludzi z ulicy. Mary Kelly była prawdopodobnie widziana po raz ostatni o drugiej trzydzieści, ale jedna osoba twierdziła, że widziała ją też dużo później, o ósmej trzydzieści. Bez względu na to, co ją zabiło, pewnie dawno już zniknęło.

Kiedy Tessa była gotowa, Will pomógł jej przepchnąć się z powrotem przez tłum na Dorset Street do małego wejścia na Miller's Court. Tessa weszła ciemnym przejściem na bardzo mały dziedziniec, ledwie dość szeroki, żeby się na nim obrócić. Stało tam kilka domów pobielonych własnym sumptem. Dziesiątki twarzy wyglądały z brudnych, powybijanych okien.

Pokój numer trzynaście to w zasadzie nie był pokój. Ewidentnie stanowił część większego pomieszczenia, które podzielono tanią ścianką. Było tam praktycznie pusto, jeśli nie liczyć kilku połamanych mebli. I bardzo, bardzo gorąco, jakby ogień płonął całą noc.

Przez cały czas walk z demonami Tessa nigdy nie widziała czegoś takiego.

Krew.

W takich ilościach, że Tessa zastanawiała się, jak małe ciało może tyle jej pomieścić. Część podłogi od niej poczerniała, a łóżko, na którym leżała kobieta, było całe nią zlane. Nie było innego koloru. Jeśli idzie o kobietę, to właściwie nic z niej nie zostało. Jej ciało zniszczono w sposób, który ledwie dało się ogarnąć. Wiele części usunięto. Leżały w różnych miejscach wokół jej łóżka. Niektóre na stole.

Pochylał się nad nią mężczyzna. Na podłodze stała lekarska

torba, więc Tessa zapanowała nad sobą, a potem zapytała:

– No i co, doktorze?

Lekarz się odwrócił.

– Myślę, że będziemy musieli wkrótce ją zabrać. Tłumy napierają. Trzeba przenieść ją bardzo ostrożnie.

– Proszę przedstawić mi pokrótce ogólną sytuację. Potrzebuję zwięzłego raportu.

Lekarz stanął i otarł zakrwawione ręce o spodnie.

– Cóż, bardzo głębokie rozcięcie na gardle. Prawie odcięto głowę. Widzi pani, że nosa nie ma, brakuje sporo skóry. Jest tyle cięć na brzuchu, że nie wiem, od czego zacząć. Jama brzuszna jest pusta i do środka włożono jej ręce. Część zawartości jamy brzusznej zostawił w spokoju, ale niektórych narządów brakuje. Nie ma serca. Skóra na stole pochodzi jak mi nie mam z ud...

Tessa naprawdę nie była w stanie ogarnąć takiej ilości informacji. Miała już dość.

– Rozumiem – powiedziała. – Muszę z kimś porozmawiać.

– Proszę zorganizować jej przeniesienie – powiedział doktor. – Nie możemy jej tu trzymać. Ludzie wejdą. Chcą zobaczyć.

– Posterunkowy – powiedziała Tessa do policjanta stojącego przy drzwiach – proszę sprowadzić wóz.

Tessa odeszła szybkim krokiem przez tłum, oddychając najgłębiej, jak zdołała, żeby pozbyć się zapachu krwi i wewnętrznosci z nosa. Czowała nudności, jakich nie miała od czasu ciąży. Will raz na nią spojrzął i ją objął. Cecily podeszła i podsunęła jej wonne sole pod nos. Nauczyli się, że są konieczne.

– Przyprowadź detektywa – powiedziała Tessa, kiedy doszła do siebie. – Jest potrzebny.

Inspektora ubrano i wyprowadzono. Zaaplikowano mu sole trzeźwiące i powoli doszedł do siebie. Kiedy już stanął o własnych siłach, zapewnili go, że zemdłał, i oddalili się szybko w stronę White's Row.

– Cokolwiek to było – powiedział Gabriel – najpewniej dawno

zniknęło. Do morderstwa doszło wiele godzin temu. Przez to, że ciało znajdowało się w pomieszczeniu, nie zauważono go szybko.

Wyjął Sensor, ale nie wykazywał żadnej aktywności.

– Proponuję wracać do Instytutu – powiedział. – Dowiedzieliśmy się tutaj tyle, ile się dało. Czas podejść do problemu w inny sposób. Musimy przyrzeć się wskazówkom, jakie zostawia.

– Ludziom – powiedziała Tessa.

– Ludziom – poprawił się Gabriel.

* * *

Teraz byli bardziej rozbudzeni. Tessa zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś zaśnie. Tym razem przejazd z East Endu na West End wydał jej się wyjątkowo odrażający – czyste budynki, przestrzeń, drzewa, parki, piękne powozy, eleganckie ubrania i sklepy. A raptem jakąś milę dalej...

– Co się stało, to się nie odstanie – powiedział Will, biorąc ją za rękę.

– Nie widziałeś jej.

– Ale złapiemy to, co ją zaatakowało.

Kiedy tylko skręcili we Fleet Street, Tessa poczuła, że coś jest nie tak. Nie mogła się zorientować co. Na ulicy panowała cisza. Jeden ze służących z sąsiedniej posesji zmiatał liście ze stopni. Przyjechał wóz z węglem i stała furmanka z warzywami z warzywniaka. Usiadła prosto, nerwy miała napięte. Kiedy powóz się zatrzymał, natychmiast otworzyła drzwi i wyskoczyła. Widząc jej reakcję, pozostali zrobili to samo.

Pierwszą rzeczą, która potwierdziła jej obawy, było to, że Bridget nie powitała ich w progu.

– Bridget?! – zawołała Tessa.

Nikt nie odpowiedział.

Spojrzała po oknach – czyste, całe, ciemne. Zasłony były zaciągnięte. Will pchnął drzwi.

Znaleźli Bridget u stóp schodów. Cecily rzuciła się ku niej.

– Nieprzytomna – powiedziała – ale oddycha. Dzieci! Kto jest z dziećmi?

Jak jeden mąż wbiegli po schodach. Wszystkie światła pogaszono, wszystkie drzwi pozamykano, wszystkie zasłony zaciągnięto. Rozbiegli się w różne strony, pobiegli do pokoju dziecięcego, do sypialni, do każdego pomieszczenia na wyższych piętrach. Nic.

– *Nocni Łowcy...*

Głos nie był ani męski, ani kobiecy i wydawało się, że dobiega zewsząd. Will i Tessa spotkali się na korytarzu. Will trzymał wysoko magiczne światło.

– Czym jesteś?! – wrzasnął. – Gdzie są dzieci?!

– *Nocni Łowcy...*

– Gdzie są dzieci? Nie mogą cię interesować. Ukaż się!

– *Nocni Łowcy...*

Pojawili się Gabriel i Cecily z serafickimi ostrzami w gotowości. Will i Tessa sięgnęli po swoje. Zeszli po schodach, rozglądając się na wszystkie strony.

– *Śledzę was* – zasyczał głos, który teraz dobiegał chyba z dołu.

– *Nocni Łowcy. Zdążam za wami do domu. Pobawcie się ze mną w moją zabawę.*

– W co się bawisz?! – odkrzyknął Will. – Zagram z tobą, jeśli się ukażesz.

– *To zabawa w chowanego. Lubię chować. Lubię zabierać... kawałki. Chowam. Zabieram kawałki.*

– Wiem, że masz formę – rzekł Will. – Widziano cię. Ukaż się!

– Łyżka!

Okrzyk dobiegł z okolicy jadalni. Cała czwórka pobiegła w tym kierunku. Kiedy otworzyli drzwi, zobaczyli Jamesa, który stał na końcu pokoju z uniesioną łyżką.

– James! – krzyknęła Tessa. – Chodź do mamy! Chodź, James!

James się roześmiał i zamiast pobiec do Tessy, odwrócił się w stronę wielkiego kominka, gdzie płonęły ogromne, wysokie płomienie. Wbiegł prosto w nie.

– James!

Will i Tessa pobiegli za nim, ale gdy byli w połowie drogi, płomienie strzeliły różnymi kolorami: błękitem, zielenią i czernią. Buchnął żar i oboje zatoczyli się do tyłu.

Ogień przygasł równie szybko, jak wystrzelił. Rzucili się do kominka, ale nigdzie nie było śladu Jamesa.

– Nie, nie! – krzyknęła Tessa. – Jamie!

Rzuciła się w ogień; Will złapał ją i odciągnął. Wszystko przed oczami Tessy pociemniało i jej uszy wypełniła cisza. Myślała tylko o swoim dziecku. Jego cichym śmiechu, czarnych jak gradowa chmura włosach podobnych do czupryny ojca, słodkim usposobieniu, o tym, jak zarzucał ręce na jej szyję, o jego rzesach na jej policzkach.

Nie wiedziała, jak wylądowała na podłodze. Była twarda pod jej kolanami. James, rozmyślała desperacko.

Chłodna dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku. W głowie rozległy się słowa, delikatne i ciche, chłodne jak woda. *Jestem tu.*

Otworzyła gwałtownie oczy. Jem klęczał nad nią. Kaptur szat miał odrzucony, srebrno-czarne włosy potargane. *Już dobrze. To nie był James. To sam demon. Zwiódł cię. James jest w domu.*

Tessa zdusiła okrzyk.

– Boże! To prawda?

Nagle objęły ją mocno silne ramiona.

– To prawda. Jem umieścił czary tropiące na Lucie i Jamesie zaraz po ich urodzeniu. Żyją, musimy ich tylko znaleźć. Tess... Tessa... – Poczowała łyż Willa na ramieniu.

Jem nadal trzymał ją za rękę. Wołałam Jamesa, pomyślała, i zjawił się.

Tessa została na podłodze. Pierwszy raz w życiu miała tak słabe

nogi, że nie była w stanie się podnieść. Will obejmował ją, a za rękę trzymał ją Jem. Tyle wystarczyło, żeby mogła dalej oddychać.

Ciche Miasto uważa, że demon to swoisty trikster. Chce, żebyście ganiłi za nim po Instytucie. Jego motywy są niejasne, ale przypominają motywy dziecka.

– Jeśli to jest dziecko... – zaczęła Tessa, mówiąc właściwie do siebie.

Pozostali odwrócili się do niej.

– Jeśli to jest dziecko, to myśli, że się bawi. Bawi się z kobietami. Myślę, że chce... matki.

Nagle coś – jakby potężny wiatr – zatrzęsło jadalnią.

– Ja się pobawię! – zawołał inny głos.

– Jessamine! – zawołał Will. – Jest w domu.

– Ja się z tobą pobawię – rozległ się głośniejszy głos Jessamine. Dobiegał z każdego pokoju. – Mam zabawki. Mam domek dla lalek. Pobaw się ze mną.

Zapadła przeciągająca się cisza. A potem wszystkie płomienie gazowe buchnęły, błękitne płomienie sięgnęły niemal do sufitu. Potem równie szybko przygasły i w pokoju znowu zrobiło się ciemno. Ogień zgasł.

– Mój domek dla lalek jest cudowny – mówiła Jessamine. – Jest bardzo mały.

– *Bardzo mały?* – rozległo się w odpowiedzi.

– Przyrowadź dzieci, to się pobawimy.

Znowu wiatr przeleciał przez jadalnię.

– Pokój Jessamine – powiedział Will.

Ostrożnie poszli do pokoju Jessamine, do którego drzwi były otwarte. Stał tam jej domek dla lalek, jej duma i radość, a obok niego przezroczysta, zwiewna postać Jessamine. Chwilę potem coś wyszło kominem, jakby mgła rozszczepiona na fragmenty, i poszybowało przez pokój w postaci fragmentarycznych obłoków. Jessamine była zajęta przestawianiem lalek w jednym

z pokoiów i nie zwracała na nikogo uwagi.

– Potrzebujemy więcej osób do zabawy – powiedziała.

– *Jest bardzo mały. Tyle kawałków.*

Mgła podpłynęła do domu dla lalek, ale Jessamine nagle zapłonęła. Zamieniła się jakby w pajęczynę i spowiła sobą domek.

– Potrzebujemy więcej osób do zabawy – syknęła. – Dzieci.

– Są w ścianach.

– W ścianach? – spytał Gabriel. – Jak mogą być...

– Kominy – powiedziała Cecily. – To coś posługuje się kominami.

Biegli od pokoju do pokoju. Znalezione wszystkie dzieci. Spały jak zabite wsunięte w kominy. Anna znajdowała się w jednym z pustych pokoiów gościnnych. James w kuchni. Lucie była w sypialni Cecily i Gabriela. Kiedy już umieszczono dzieci w bezpiecznym miejscu razem z Bridget, rodzice wrócili do pokoju Jessamine. Postać ducha bawiła się z małą dziewczynką. Jessamine sprawiała wrażenie całkowicie pochłoniętej zabawą, dopóki nie zobaczyła pozostałych, którzy skinęli do niej głowami.

– A teraz zabawimy się w coś nowego – powiedziała Jessamine.

Mała dziewczynka odwróciła się do Jessie i Tessa dostrzegła jej twarz. Była to blada i gładka twarzyczka dziecka, ale oczy były całkiem czarne, bez białek. Wyglądały jak plamki popiołu.

– *Nie, bawimy się w to.*

– Musisz zamknąć oczy. To bardzo ciekawa zabawa. Schowamy się.

– *Schowamy?*

– Tak. Pobawimy się w chowanego. Musisz zamknąć oczy.

– *Lubię się chować.*

– Najpierw musisz poszukać. Zamknij oczy.

Demoniczne dziecko, mała dziewczynka, z wyglądu ledwie pięcioletnia, zamknęła oczy. A wtedy Will uderzył serafickim ostrzem i posoka zbryzgała pokój.

* * *

– I było po wszystkim – powiedziała Tessa. – Kłopot oczywiście polegał na tym, że nie można było poinformować o tym reszty Londynu. Kubę Rozpruwacza wymyślono i nie istniał żaden, którego można by postawić pod pręgierzem. Nie zostanie schwytany, osądzony, publicznie powieszony. Morderstwa po prostu ustały. Zastanawialiśmy się, czy czegoś nie odegrać, ale wtedy już tak bacznie obserwowano East End, że obawialiśmy się, że tylko skomplikujemy sytuację. Okazało się jednak, że nie musieliśmy nic robić. Ludzie i gazety kontynuowali historię. Codziennie publikowano nowe wiadomości, nawet kiedy wiedzieliśmy, że nie ma o czym donosić. Okazało się, że ludzie są gotowi sami dorobić wiele teorii i nieustannie to robią od tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku. Każdy chce schwytać nieuchwytnego mordercę. To się powtórzyło w przypadku wielu spraw. Gdy brakuje faktów, media często same coś wymyślają. To może nam oszczędzić sporo pracy. Pod wieloma względami współczesne media to jeden z największych skarbów, gdy w grę wchodzi tuszowanie prawdy. Nie lekceważcie Przyziemnych. Tkają własne historie, żeby nadać sens swojemu światu. Niektórzy z was, Przyziemnych, pomogą nam lepiej zrozumieć nasz własny świat. Dziękuję za uwagę – zakończyła Tessa. – Życzę wam powodzenia w dalszych treningach. To, co robicie, wymaga odwagi i jest ważne.

– Proszę o oklaski dla naszego szanownego gościa – powiedziała Catarina.

Oklaski się rozległy, a Tessa zeszła z podwyższenia i podeszła do mężczyzny, który pocałował ją lekko w policzek. Był smukły, bardzo elegancki, ubrany w biel i czerń. W czarnych włosach miał pojedyncze siwe pasmo, które dopełniało jego dwubarwny wizerunek.

Wspomnienia zaatakowały Simona. Do niektórych łatwo było

wrócić, inne kryły się za frustrującą pajęczyną zapomnienia. Jem też był na ślubie Luke'a i Jocelyn. Sposób, w jaki uśmiechał się do Tessy, i jej reakcja jasno mówiły, jaki jest ich związek – że się kochają najprawdziwszą, najszczerzą miłością.

Simon pomyślał o historii Tessy, o Jemie, który był Cichym Bratem i stanowił dawno temu część jej życia. Cisi Bracia rzeczywiście długo żyli. Simon przypominał sobie jak przez mgłę, że jednego z nich niebiański płomień przywrócił do normalnego śmiertelnego życia. To znaczyło, że Jem mieszkał w Cichym Mieście ponad sto lat, aż jego służba się zakończyła. Powrócił do życia, żeby spędzić je z nieśmiertelną miłością.

To dopiero skomplikowany związek. Przy tym drobna utrata pamięci i epizod w roli wampira wydawały się niemal zwyczajne.

* * *

Kolacja tego dnia okazała się kolejnym kulinarnym horrorem: meksykańskie jedzenie. Podano kurczaki pieczone z pierzem, czyli *pollo asado* i kwadratowe tortille.

Jace się nie pojawił. Simon nie musiał go szukać, bo cała stołówka była zaalarmowana. Gdzie tylko dostrzeżono wspaniałą blond głowę, Simon słyszał głośne westchnienia. Po kolacji nastąpiły dwie godziny obowiązkowej nauki w bibliotece. Potem Simon i George wrócili do swojego pokoju i zastali czekającego przy drzwiach Jace'a.

– Dobry wieczór – powiedział.

– Jak długo czaisz się tutaj? Pytam poważnie – powiedział Simon.

– Chciałem z tobą porozmawiać. – Jace trzymał ręce w kieszeniach i opierał się o ścianę, wyglądając jak reklama magazynu mody. – Na osobności.

– Ludzie zaczynają gadać, że się kochamy – powiedział Simon.

– Możesz wejść do nas – zaproponował George. – Jeśli chcecie pogadać. Jeżeli to osobista rozmowa, mogę włożyć zatyczki.

– Nie wejdę tam – powiedział Jace, zerkając z progu przez otwarte drzwi. – Macie tu taką wilgoć, że pewnie żaby wam się legną w ścianach.

– Teraz ciągle będę o tym myślał – poskarżył się George. – Nie cierpię żab.

– To czego chcesz? – zapytał Simon.

Jace uśmiechnął się lekko.

– George, wejdź do pokoju – powiedział przepraszająco Simon.

– Nic mi nie będzie.

George wszedł do ich sypialni i zamknął za sobą drzwi. Simon został teraz sam z Jace'em w długim korytarzu. Czuł, że już kiedyś znaleźli się w podobnej sytuacji.

– Dziękuję – powiedział zaskakująco otwarcie Jace. – Miałeś rację co do Tessy.

– Jest twoją krewną?

– Poszedłem z nią porozmawiać. – Jace robił wrażenie wstydliwie zadowolonego, jakby zapaliło się w nim małe światełko. Simon przypuszczał, że taki wyraz twarzy rzucał na kolana dorastające dziewczęta. – Jest moją prapraprababcią czy praciotką, coś takiego. Była żoną Willa Herondale'a. Słyszałem już o nim wcześniej. Był jednym z tych, którzy zapobiegli masowej inwazji demonów w Brytanii. Ona i Will byli pierwszymi Herondale'ami, którzy prowadzili Londyński Instytut. Właściwie wszystko to wiedziałem z historii, ale... Na ile się orientuję, nie mam żadnych żywych krewnych. Oprócz Tessy.

Simon oparł się o ścianę korytarza.

– Powiedziałaś Clary?

– Pewnie, rozmawiałem z nią przez telefon kilka godzin. Przyznała, że Tessa zasugerowała pewne rzeczy podczas ślubu Luke'a i Jocelyn, ale nie powiedziała niczego wprost. Nie chciała zrzucać na mnie ciężaru.

– A tak to odbierasz? Jak ciężar?

– Nie. Czuję, że jest ktoś jeszcze, kto rozumie, co to znaczy być Herondale’em. Zarówno pod dobrym, jak i złym względem. Martwiłem się z powodu ojca, że bycie Herondale’em znaczy, że jestem słaby. A potem dowiedziałem się czegoś więcej i pomyślałem, że może oczekuje się ode mnie, że będę bohaterem.

– Jasne. Znam to uczucie.

Stali przez chwilę w przyjacielskim milczeniu. To był trochę dziwny moment – chłopiec, który zapomniał całą swoją historię, i chłopiec, który nigdy jej nie poznał.

Simon przerwał ciszę.

– Zobaczysz się z nią znowu? Znaczą z Tessą?

– Powiedziała, że oprowadzi mnie i Clary po domu Herondale’ów w Idrisie.

– Poznałeś też Jema?

– Spotkaliśmy się już kiedyś. W Basiliis w Idrisie. Nie pamiętasz, ale przeze mnie...

– Przestał być Cichym Bratem – powiedział Simon. – Pamiętam.

– Rozmawialiśmy w Idrisie. Teraz wiele jego słów nabiera sensu.

– Jesteś szczęśliwy.

– Jestem. Znaczą byłem szczęśliwy, naprawdę szczęśliwy, od zakończenia Mrocznej Wojny. Mam Clary, mam rodzinę. Jedynym mrocznym punktem byłeś ty. Bo nie pamiętasz Clary ani Izzy. Ani mnie.

– Przepraszam, że popsulem ci życie swoją niewygodną amnezją – mruknął Simon.

– Nie to miałem na myśli. Chciałem powiedzieć, że chciałbym, żebyś mnie pamiętał, bo... – Westchnął. – Nieważne.

– Słuchaj, Herondale, masz teraz u mnie dług. Poczekaj tu chwilę.

– Ile? – Jace był niezadowolony.

– Ile będzie trzeba.

Simon dał nura do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi. George, który leżał na łóżku i się uczył, miał ponurą minę, kiedy Simon poinformował go, że Jace nadal czai się w korytarzu.

– Działa mi na nerwy – powiedział. – Kto by chciał, żeby łąził za nim tajemniczy, małomówny i jasnowłosy Jace Herondale... No dobra, pewnie mnóstwo ludzi. Mimo to ja wolałbym, żeby tego nie robił.

Simon nie zawracał sobie głowy zamykaniem drzwi, po części dlatego, że w Akademii Nocnych Łowców nie było zamków w drzwiach, a po części dlatego, że gdyby Jace postanowił wejść i stać całą noc nad łóżkiem Simona, to i tak by to zrobił bez względu na ewentualne zamki.

– Musi czegoś chcieć, nie? – powiedział George, zdejmując koszulkę do rugby i rzucając ją w kąt pokoju. – To jakaś próba? Będziemy musieli walczyć z nim w środku nocy? Nie chcę umniejszać naszych fantastycznych umiejętności w walce z demonami, ale wątpię, żebyśmy mieli szansę wygrać w takiej potyczce.

– Ja też – odparł Simon, padając na łóżko, które ugięło się mocniej, niż powinno. Na pewno pękły co najmniej dwie sprężyny.

Przygotowali się do snu. Przy zgaszonym świetle rozmawiali o pleśni i różnych zoologicznych możliwościach pełzających wokół nich w ciemnościach. Usłyszał, jak George odwraca się do ściany – to był sygnał, że zamierzał zasnąć i skończyły się nocne pogawędki.

Simon nie spał. Ręce trzymał pod głową, ciało nadal miało obolałe po upadku z drzewa.

– Masz coś przeciwko temu, żebym zapalił światło? – spytał.

– Skąd, nie krępuj się. I tak ledwie cokolwiek widzę.

Nadal mówili „zapalić światło”, jakby chodziło o pstryczek. W Akademii używano świec, guzowatych małych świeczek, które

najwyraźniej tak robiono, żeby dawały jak najmniej światła. Simon macał chwilę po stoliku obok łóżka, aż znalazł zapalki i zapalił świeczkę. Wziął ją do łóżka i postawił na kolanach, co pewnie nie było bezpieczne. Oto jedna korzyść z piętra ostatecznego zawilgocenia – było to mało prawdopodobne, że cokolwiek zajmie się tu ogniem. Nadal mógł się poparzyć, gdyby świeczka się przewróciła, ale tylko w ten sposób mógł coś widzieć i napisać list. Sięgnął po papier i długopis. Nie mógł stąd wysłać wiadomości. Nie mógł jej wystukać na klawiaturze. Potrzebował prawdziwego papieru i długopisu. Podłożył sobie książkę i zaczął pisać:

Droga Isabelle!

Powinien zacząć od „droga”? Tak zaczyna się listy, ale kiedy zobaczył to słowo, wydało mu się dziwne, staroświeckie i może zbyt osobiste.

Wziął drugą kartkę.

Isabelle!

To wyglądało sucho. Jakby był zły, gdy tak wypowiadał samo jej imię.

Kolejna kartka.

Izzy!

Nie. Zdecydowanie nie. Nie doszli jeszcze do zdrobnień. Jak, do diabła, zacząć taki list? Simon rozważał zwykle „cześć” albo pominięcie powitania i przejście od razu do zasadniczej treści. SMS-y były o niebo łatwiejsze.

Wziął kartkę i zaczął znowu od „Isabelle”. To był wyśrodkowany wybór. Musiało mu to wystarczyć.

Isabelle!

Spadłem dziś z drzewa.

Myślę o Tobie, leżąc w zapleśniałym łóżku.

Widziałem dzisiaj Jace'a. Mógł się zatruć jedzeniem. Chciałem, żebyś wiedziała.

Jestem Batmanem.

Próbuję wymyślić, jak napisać ten list.

No dobra, to był dobry początek i zgodny z prawdą.

Pozwól, że powiem Ci coś, co już wiesz: jesteś niesamowita. Wiesz to. Ja to wiem. Każdy to widzi. Kłopot w tym, że nie wiem, czym ja jestem. Muszę odkryć, kim jestem, zanim zaakceptuję fakt, że jestem kimś, kto zasługuje na taką osobę jak Ty. To nie jest coś, z czym się pogodzę, bo ktoś mi tak powie. Muszę poznać tego gościa. Muszę wiedzieć, że naprawdę jestem gościem, którego pokochałaś. Muszę go poznać.

Próbuję pojąć, jak to osiągnąć. Myślę, że osiągnę to tutaj, w szkole, gdzie codziennie próbują mnie zabić. Myślę, że potrzeba na to czasu. Wiem, że rzeczy, które wymagają czasu, są denerwujące. Wiem, że to trudne. Ale muszę to osiągnąć po swojemu.

Ten list jest pewnie głupi. Nie wiem, czy nadal go czytasz. Nie wiem, czy nie podrzesz go na kawałeczki albo nie przetrziesz na pół swoim biczem, czy coś podobnego.

Wszystko to napisał za jednym zamachem. Pukał się przez minutę długopisem w czoło.

Dam ten list Jace'owi, żeby przekazał go Tobie. Łaził za mną cały dzień jak cień. Albo zjawił się, żeby zadbać, że nie zginę, albo żeby dopilnować, że zginę, a może z Twojego powodu. Może go przysłałaś.

Sam nie wiem. To Jace. Kto wie, co on właściwie robi? Dam mu ten list. Możliwe, że go przeczyta, zanim Ci go odda. Jace, jeśli to czytasz, jestem niemal pewien, że zafundowałaś sobie zatrucie pokarmowe. Nie korzystaj z tutejszych łazienek!

To nie było romantyczne, ale uznał, że to zostawi. Może to rozśmieszy Isabelle.

Jeśli to czytasz, Jace, to przestań w tej chwili.

Izzy... Nie wiem, dlaczego miałabyś na mnie czekać, jeśli jednak czekasz,

obiecuję, że zrobię wszystko, by okazać się wartym czekania. W każdym razie spróbuję. Mogę obiecać, że się postaram.

Simon

Otworzył drzwi i nie zdziwił się, kiedy zobaczył stojącego za progiem Jace'a.

– Proszę – powiedział, podając mu list.

– Sporo czasu potrzebowałeś.

– Teraz jesteśmy kwita – orzekł Simon. – Idź zabawić się w domu Herondale'ów ze swoją dziwną rodziną.

– Taki mam zamiar – powiedział Jace i posłał mu nagły, dziwnie ujmujący uśmiech. Miał ukruszony ząb. Przez ten uśmiech wyglądał jak rówieśnik Simona i jakby rzeczywiście byli kiedyś przyjaciółmi. – Dobranoc, Wiggles.

– Wiggles?

– Tak, Wiggles. To twoje przezwisko. Tak kazałeś na siebie wołać. Prawie zapomniałem, że masz na imię Simon, tak przywykłem mówić do ciebie Wiggles.

– Wiggles... Co to właściwie... znaczy?

– Nigdy nie wyjaśniłeś – odpowiedział Jace ze wzruszeniem ramion. – To była twoja wielka tajemnica. Jak powiedziałem, dobranoc, Wiggles. Zajmę się tym.

Zasalutował listem.

Simon zatrzasnął drzwi. Wiedział, że większość ludzi z korytarza zrobiła pewnie wszystko, co w ich mocy, żeby podsłuchać ich rozmowę. Wiedział, że rankiem wszyscy będą wołać na niego Wiggles i już w żaden sposób nie zdoła tego zmienić.

To jednak była mała cena za przekazanie listu Isabelle.

Nic prócz cieni

Cassandra Clare i Sarah Rees Brennan



Nic nie znałem prócz cieni, które brałem za rzeczywistość^[1].

– Oscar Wild

Akademia Nocnych Łowców, 2008

Popołudniowe słońce wlewało się ciepłem przez szparki okien w klasie, malując na żółto szary kamień ścian. Zarówna uczniowie z elity, jak i z motłochu byli śpiący po długim porannym treningu ze Scarsburym, a Catarina Loss prowadziła dla nich lekcję historii. Zajęcia obowiązywały obie grupy uczniów, żeby wszyscy mogli poznać chwałę Nocnych Łowców i zapragnęli stać się jej częścią. W klasie nie różnili się specjalnie od siebie, pomyślał Simon. Nie tyle pragnęli chwały, ile w równym stopniu znudzeni patrzyli szklistym wzrokiem.

Dopóki Marisol nie odpowiedziała poprawnie na pytanie, bo wtedy Jon Cartwright kopnął w jej krzesło.

– Super – syknął Simon z za swojej książki. – Naprawdę świetna zagrywka. Moje gratulacje, Jon. Za każdym razem, kiedy Przyziemny źle odpowiada, mówisz, że to dlatego, że nie dorastają do poziomu Nocnych Łowców. A kiedy ktoś z nas odpowie dobrze, to go karzesz. Podziwiam twoją konsekwentność.

George Lovelace odchylił się w krzesło, uśmiechnął się szeroko i podrzucił Simonowi odpowiedni tekst do kontynuacji przycinki.

– Nie rozumiem, gdzie tu konsekwentność.

– Jest konsekwentny w byciu dupkiem – wyjaśnił Simon.

– Myślę, że zdołałbym wymyślić jeszcze parę innych epitetów dla niego – zauważył George – ale większości z nich nie wypada wymawiać przy damach, a niektóre z nich są gaelickie i nie zrozumiecie ich wy, zwariowani cudzoziemcy.

Jon się zdenerwował. Pewnie denerwowało go to, że ich krzesła stoją za daleko, żeby w nie kopnąć.

– Po prostu myślę, że nie powinna pierwsza wyrywać się do odpowiedzi – powiedział.

– To prawda, że gdybyście wy, Przyziemni, słuchali nas, Nocnych Łowców – wtrąciła się Julie – to moglibyście się czegoś nauczyć.

– Gdybyście wy, Nocni Łowcy, kiedykolwiek posłuchali – odezwał się Sunil, Przyziemny, który mieszkał przy tym samym (pokrytym szlamem) korytarzu co George i Simon – sami moglibyście się czegoś nauczyć.

Coraz bardziej podnoszono głosy. Catarina zaczynała sprawiać wrażenie poirytowanej. Simon dał znać Marisol i Jonowi, żeby się uciszyli, ale oboje go zignorowali. Simon poczuł się tak samo, jak kiedy jako sześciolatki podpalili z Clary kuchnię, próbując opiec winogrona, żeby uzyskać rodzynki – był zdumiony i przerażony tym, jak szybko sprawy przybrały katastrofalny obrót.

Wtedy zdał sobie sprawę, że to nowe wspomnienie. Wyszczrzył zęby na myśl o Clary z winogronami, które eksplodowały, w rudych włosach i postanowił zostawić sytuację w klasie własnemu biegowi.

– Już ja ci dam lekcję na treningu – warknął Jon. – Mógłbym wyzwąć cię na pojedynek, więc lepiej się przymknij.

– To nie taki zły pomysł – uznała Marisol.

– Ejże! – wtrąciła się Beatriz – Pojedyńki z czternastolatkami to jest jak najbardziej zły pomysł.

Wszyscy spojrzeli szyderczo na Beatriz, głos rozsądku.

Marisol pociągnęła nosem.

– To nie musi być pojedynek. To może być wyzwanie. Jeśli elita nas pokona, będzie mogła pierwsza odpowiadać w klasie przez tydzień. Jeśli my wygramy, będzie musiała się przymknąć.

– Dobrze. I pożałujesz, że to zaproponowałaś – odparł Jon. – Jakie wyzwanie? Kostur, miecz, łuk, sztylet, wyścigi konne, boks? Jestem gotowy!

Marisol uśmiechnęła się słodko.

– Baseball.

To wywołało powszechną konsternację i panikę wśród Nocnych Łowców.

– Nie jestem gotowy – szepnął George. – Nie jestem Amerykaninem i nie gram w baseball. To coś podobnego do krykieta, nie? Czy bardziej jak irlandzki hokej na trawie?

– Uprawiacie irlandzkiego hokeja w Szkocji? – odszepnął Simon. – Czym? Ziemniakami? Małymi dziećmi?

– Później ci wyjaśnię.

– A ja wyjaśnię wam zasady baseballu – zapowiedziała Marisol z błyskiem w oku.

Simon miał przeczucie, że Marisol okaże się przerażającym małym ekspertem od baseballu, tak samo jak świetnym była w fechtunku. Miał też przeczucie, że elitę czeka spora niespodzianka.

– A ja wyjaśnię, w jaki sposób demoniczna zaraza niemal wybiła wszystkich Nocnych Łowców – powiedziała głośno Catarina. – A w każdym razie zrobiłabym to, gdyby moi uczniowie przestali się sprzeczać i posłuchali mnie przez minutę!

Wszyscy ucichli i słuchali potulnie o zarazie. Dopiero kiedy lekcja się skończyła, wrócili do tematu baseballu. Simon przynajmniej kiedyś w niego grał, więc śpieszył się, żeby odłożyć książki i wyjść na zewnątrz, kiedy Catarina powiedziała:

– Chodzący za Dnia, poczekaj.

– Naprawdę wystarczyłoby „Simon”.

– Dzieciaki z elity próbują odtworzyć szkołę, o której słyszeli

od swoich rodziców – powiedziała Catarina. – Przyziemni powinni być widoczni, ale nie powinni się odzywać, tylko napawać się przywilejem przebywania wśród Nocnych Łowców i z pokorą przygotowywać się do Wstąpienia lub śmierci. Tyle że ty naprawdę nieźle między nimi namieszales.

Simon się zdumiał.

– Mówi mi pani, żebym nie był taki cięty na Nocnych Łowców, bo tak ich wychowano?

– Bądź tak cięty na tych małych idiotów, jak chcesz. To im dobrze robi. Mówię ci tylko, żebyś wiedział, jaki efekt wywołujesz, jaki efekt możesz wywołać. Masz niemal unikalną pozycję. Znam tylko jednego ucznia prócz ciebie, który wypadł z elity do motłochu, nie licząc Lovelace'a, który od początku byłby w motłochu, gdyby Nefilim nie poczynili pewnych aroganckich założeń. Z drugiej strony aroganckie założenia to ich ulubiona rzecz.

To wywołało dokładnie taki skutek, jakiego Catarina musiała się spodziewać. Simon przestał upychać Kodeks Nocnych Łowców do torby i usiadł. Pozostali będą potrzebować trochę czasu, żeby przygotować się do meczu baseballu. Simon mógł dać sobie chwilę.

– On też był Przyziemny?

– Nie, był Nocnym Łowcą. Uczył się w Akademii ponad sto lat temu. Nazywał się James Herondale.

– Herondale? Jeszcze jeden Herondale? Bez przerwy Herondale'owie. Nigdy nie ma pani wrażenia, że gdziekolwiek się ruszy, ściągną ją Herondale'owie?

– Nie bardzo. Chociaż nie miałabym nic przeciwko. Magnus mówi, że to zwykle przystojni faceci. Oczywiście Magnus mawia też, że zwykle są trochę stuknięci. James Herondale był specjalnym przypadkiem.

– Niech zgadnę: był powszechnie uwielbianym, zadowolonym z siebie blondynem.

Catarina uniosła jasne brwi.

– Nie, o ile pamiętam, Ragnor wspominał, że miał ciemne włosy i nosił okulary. W szkole był inny chłopak, który odpowiadał temu opisowi, Matthew Fairchild. Nie najlepiej się dogadywali.

– Serio? – zapytał Simon i zastanowił się. – W takim razie należę do drużyny Jamesa Herondale’a. Założę się, że ten Matthew był palantem.

– Sama nie wiem – odrzekła Catarina. – Zawsze uważałam go za czarującego. Jak większość ludzi. Wszyscy lubili Matthew.

Ten Matthew musiał być prawdziwym czarusem, pomyślał Simon. Catarina rzadko kiedy mówiła o jakimkolwiek Nocnym Łowcy z aprobatą, a teraz uśmiechała się czule z powodu chłopca sprzed stu lat.

– Wszyscy z wyjątkiem Jamesa Herondale’a? – spytał Simon. – Nocnego Łowcy, który został wyrzucony z kursu dla Nocnych Łowców. Matthew Fairchild miał z tym coś wspólnego?

Catarina wyszła zza biurka i podeszła do strzelniczego okienka. Promienie umierającego słońca padały na jej włosy jasnymi, białymi liniami, przez co wydawało się, że otacza ją aureola. Bez mała.

– James Herondale był synem aniołów i demonów – powiedziała cicho. – Od początku pisana mu była trudna i bolesna ścieżka, słodycz i gorycz, droga przez ciernie, gdzie również kwitną kwiaty. Nikt nie mógł go przed tym ocalić. A niektórzy próbowali.

Akademia Nocnych Łowców, 1899

James Herondale powiedział sobie, że jest mu niedobrze tylko z powodu wstrząsów w powozie. Naprawdę bardzo się cieszył na

myśl o szkole.

Ojciec pożyczył nowy powóz od wuja Gabriela, żeby zawieźć Jamesa z Alicante do Akademii. Pojechali tylko we dwóch.

Ojciec nie zapytał, czy może pożyczyć powóz wuja Gabriela.

– Nie rób takiej poważnej miny, James – powiedział ojciec, pomrukując po walijsku do koni, żeby kłusowały szybciej. – Gabriel chciałby, żebyśmy wzięli powóz. Jesteśmy rodziną.

– Wuj Gabriel wspominał wczoraj wieczorem, że niedawno kazał pomalować powóz. Wielokrotnie. I groził, że wezwie posterunkowego i każe cię aresztować. Wielokrotnie.

– Za parę lat Gabriel przestanie tak się gorączkować. – Ojciec mrugnął niebieskim okiem do Jamesa. – Bo wtedy już wszyscy będziemy jeździć samochodami.

– Matka powiedziała, że nigdy nie wolno ci będzie prowadzić samochodu – odpowiedział James. – Kazała mnie i Lucie przysiąc, że jeśli kiedyś spróbujesz, nie wsiądziemy do niego razem z tobą.

– Matka żartowała.

James pokręcił głową.

– Kazała nam przysiąc na Anioła.

Wyszczrzył zęby do ojca, który pokręcił głową i wiatr wpadł w jego czarne włosy. Rodzice i Jamie mieli takie same włosy, ale Jamie wiedział, że jego są wiecznie potargane. Słyszał, jak ludzie mówili o włosach ojca, że są niesforne, co było bardziej urokliwą wersją „wiecznie potarganej” czupryny.

Pierwszy dzień szkoły nie był dobrym dniem dla Jamesa, żeby myśleć o tym, jak bardzo różni się od ojca.

W czasie jazdy z Alicante kilka osób zatrzymało ich po drodze, wykrzykując jak zwykle:

– Och, pan Herondale!

Nocne Łowczynie w różnym wieku zwracały się tak do jego ojca; te trzy słowa były zarazem westchnieniem i wezwaniem. Do innych ojców także zwracano per pan, ale bez „och”.

Widząc tak nadzwyczajnego ojca, ludzie zwykle spodziewali

się, że syn będzie mniejszą gwiazdą przy jasno płonącym słońcu Willa Herondale'a, ale jednak niepozbawioną blasku. Zawsze byli subtelnie, ale nieomylnie rozczarowani, widząc, że James nie jest pod żadnym względem nadzwyczajny.

James pamiętał pewien incydent, który jaskrawo ukazał różnicę między nim a ojcem. Najdrobniejsze fragmenty tego zdarzenia wracały do Jamesa w środku nocy i zawstydzaly go do głębi, jakby to były niemal niewidoczne rozcięcia, które nadal pieką.

Przyziemna dama podeszła do nich w księgarni Hatchards w Londynie. Hatchards to zdaniem Jamesa najładniejsza księgarnia w mieście dzięki frontowi z ciemnego drewna i szkła, który sprawiał, że sklep wyglądał poważnie i szczególnie, a w jego zakątkach i zakamarkach można było przysiąść z książką i siedzieć cichutko jak mysz pod miotłą. Rodzina Jamesa często razem wybierała się do Hatchards, ale kiedy James i ojciec szli sami, damy często znajdowały pretekst, żeby podejść i ich zagadnąć.

Ojciec powiedział damie, że dni spędza, polując na zło i rzadkie pierwsze wydania. Ojciec zawsze wiedział, co powiedzieć ludziom, zawsze potrafił ich rozbawić. Dla Jamesa to była dziwna, cudowna moc, nieosiągalna dla niego tak samo, jak nie potrafiłby przemienić się w wilka jak wilkołak.

James nie martwił się damami podchodzącymi do ojca. Ojciec na żadną kobietę nie patrzył tak jak na matkę – z radością i dziękczynnie, jakby była wcielonym życzeniem, które spełniło mu się, choć nie mógł mieć na to najmniejszej nadziei.

James nie znał wielu ludzi, ale potrafił siedzieć cicho i dużo widział. Wiedział, że to co łączy rodziców, jest czymś rzadkim i cennym.

Podchodzące damy martwiły go tylko dlatego, że były nieznanymi, z którymi James musiał rozmawiać.

Dama w księgarni pochyliła się i zapytała:

– A co ty lubisz robić, młody człowieku?

– Lubię... książki – odpowiedział James, stojąc w księgarni z paczką książek pod pachą. Dama spojrzała na niego litościwie. – Czytam... ehm... całkiem sporo – ciągnął James, nudny mistrz oczywistości. Król oczywistości. Cesarz oczywistości.

Dama była pod tak małym wrażeniem, że odeszła bez słowa.

James nigdy nie wiedział, co powiedzieć. Nie potrafił ludzi rozśmieszać. Przeżył trzynaście lat swojego życia głównie w Londyńskim Instytucie z rodzicami, młodszą siostrą Lucie i mnóstwem książek. Nigdy nie miał przyjaciela, który byłby chłopcem.

Teraz wybierał się do Akademii Nocnych Łowców, żeby nauczyć się być równie wielkim wojownikiem jak jego ojciec, i ten fakt nie martwił go nawet w połowie tak bardzo, jak myśli, że będzie musiał rozmawiać z ludźmi.

Tam będzie mnóstwo ludzi.

Mnóstwo rozmów.

James zastanawiał się, dlaczego koła nie odpadły od powozu wuja Gabriela. Zastanawiał się, dlaczego świat jest taki okrutny.

– Wiem, że denerwujesz się szkołą – powiedział w końcu ojciec. – Nie byliśmy z matką pewni, czy cię posyłać.

James zagryzł usta.

– Pomyśleliście, że kompletnie zawiodę?

– Co? Oczywiście, że nie! Matka zwyczajnie martwiła się, czy należy odsyłać jedyną osobę poza nią, która ma w tym domu krztynę rozsądku.

James się uśmiechnął.

– Byliśmy bardzo szczęśliwi, trzymając naszą małą rodzinę razem – powiedział ojciec. – Nigdy nie myślałem, że mogę być tak szczęśliwy. Być może za bardzo cię izolowaliśmy w Londynie. Miło ci będzie znaleźć trochę przyjaciół w swoim wieku. Kto wie, może w Akademii czeka twój przyszły *parabatai*.

Ojciec mógł mówić, ile chciał, biorąc na siebie i matkę winę za

izolację dzieci, ale James znał prawdę. Lucie wyjechała do Francji z matką, poznała tam Cordelię Carstairs i w dwa tygodnie stały się – jak to ujęła Lucie – przyjaciółkami od serca. Co tydzień wysyłały sobie listy, rzyzy zapisanego papieru i wypełnionego szkicami. Lucie była równie odizolowana jak James. James też jeździł z wizytami, ale nigdy nie znalazł przyjaciela od serca. Jediną osobą, która go lubiła, była dziewczyna, ale nikt nie mógł wiedzieć o Grace. Być może nawet Grace nie polubiłaby go, gdyby znała innych ludzi.

To nie była wina rodziców, że nie miał przyjaciół, ale skazy w nim samym.

– Być może – ciągnął jak gdyby nigdy nic ojciec – polubicie się z Alastaiem Carstairssem.

– On jest ode mnie starszy! – zaprotestował James. – Nie będzie miał czasu dla nowego ucznia.

Ojciec uśmiechnął się kpiarsko.

– Kto wie? To jest właśnie cudowne w zmianach i poznawaniu nowych ludzi. Nigdy nie wiesz kiedy i nigdy nie wiesz, kto to będzie, ale pewnego dnia ktoś nieznajomy wejdzie przez twoje drzwi i całkowicie odmieni ci życie. Świat zostanie wywrócony do góry nogami, a ty będziesz dzięki temu szczęśliwszy.

Ojciec ogromnie się uradował, kiedy Lucie zaprzyjaźniła się z Cordelią Carstairs. *Parabatai* ojca nazywał się kiedyś James Carstairs, chociaż teraz, odkąd należał do Cichych Braci, zakonu niewidomych, pokrytych runami mnichów, którzy pomagali w ciemnościach Nocnym Łowcom, jego oficjalnie imię brzmiało brat Zachariasz. Ojciec opowiedział Jamesowi tysiąc razy, jak poznał wuja Jema, że przez lata wuj Jem był jedynym, który w niego wierzył, który widział jego prawdziwe ja. Dopóki nie pojawiła się matka.

– Często opowiadałem ci o twojej matce i wuju Jemie, o wszystkim, co dla mnie zrobili. Uczynili mnie nowym człowiekiem. Ocalili moją duszę – powiedział z rzadką dla siebie

powagą ojciec. – Nie wiesz, co to znaczy zostać ocalonym i odmienionym. Ale dowiesz się. Jako twoi rodzice musimy zapewnić ci okazje, żebyś stykał się z wyzwaniem i się zmieniał. Dlatego zgodziliśmy się wysłać cię do szkoły. Chociaż okropnie będziemy za tobą tęsknić.

– Okropnie? – zapytał nieśmiało James.

– Twoja matka powiedziała, że będzie dzielna i będzie trzymać fason – odrzekł ojciec. – Amerykanie są bez serca. Ja będę płakać w poduszkę każdej nocy.

James się roześmiał. Wiedział, że rzadko się śmieje, i ojciec był szczególnie zadowolony, kiedy udawało mu się rozśmieszyć syna. James jako trzynastolatek był trochę za duży na takie gesty, ale ponieważ miną długie miesiące, zanim znowu zobaczy ojca, i odrobinę bał się nowej szkoły, przytulił się do ojca i wziął go za rękę. Ojciec chwycił cugle w jedną dłoń, a drugą splótł z synem w głębokiej kieszeni płaszcza. James oparł policzek na ramieniu ojca. Już nie przeszkadzały mu podskoki powozu, kiedy jechali wiejskimi drogami Idrisu.

Chciał mieć *parabatai*.

Parabatai to przyjaciel, który wybrał sobie ciebie na swojego najlepszego przyjaciela, który uczynił waszą przyjaźń czymś trwałym. Taki ktoś na pewno cię lubi i z pewnością nigdy nie będzie chciał przestać się z tobą przyjaźnić. Znalezienie *parabatai* wydawało się Jamesowi kluczem do wszystkiego, niezbędnym pierwszym krokiem w życiu, w którym mógłby być równie szczęśliwym człowiekiem jak ojciec, równie genialnym wojownikiem jak ojciec i w którym mógłby odnaleźć równie wielką miłość, jak udało się ojcu.

Oczywiście nie mam na myśli żadnej konkretnej dziewczyny, powiedział sobie James i zdusił wszelkie myśli o Grace, jego sekretnej dziewczynie; Grace, którą należało uratować.

Chciał mieć *parabatai* i przez to Akademia była tysiąc razy bardziej przerażająca.

Na razie James był bezpieczny, opierając policzek o ojca, ale wkrótce dotrą do doliny, gdzie znajdowała się szkoła.

Akademia była wspinałym, szarym budynkiem, który lśnił wśród drzew jak perła. Przypominała Jamesowi gotyckie budynki z ksiązek takich jak „Tajemnice zamku Udolpho” albo „Zamczysko w Otranto”. W szarej fasadzie osadzono ogromny witraż, lśniący tuzinem jaskrawych kolorów i przedstawiający anioła z mieczem.

Anioł spoglądał na dziedziniec, na którym roilo się od rozgadanych i roześmianych uczniów. Zjawili się tam, żeby stać się najlepszymi, w miarę swoich możliwości, Nocnymi Łowcami. Jeśli James nie zdoła znaleźć przyjaciela tam, to wiedział, że nie znajdzie go nigdzie na świecie.

* * *

Wuj Gabriel już czekał na dziedzińcu. Jego twarz przybrała niepokojący odcień purpury. Wykrzykiwał coś na temat złodziejskich Herondale'ów.

Ojciec odwrócił się do dziekan, kobiety, która niewątpliwie miała pięćdziesiąt lat i się uśmiechała. Zarumieniła się.

– Dziekan Ashdown, czy będzie pani tak miła, żeby oprowadzić mnie po Akademii? Wychowano mnie w Londyńskim Instytucie w towarzystwie jedynie drugiego ucznia. – Głos mu złagodniał jak zawsze, gdy mówił o wuju Jemie. – Sam nigdy nie miałem tego przywileju, żeby tu uczęszczać.

– Och, panie Herondale! – powiedziała dziekan Ashdown. – Oczywiście.

– Dziękuję. Chodź, Jamie.

– Nie, nie – odpowiedział James. – Zostanę tutaj.

Poczuł się nieswojo, kiedy tylko ojciec zniknął mu z oczu, oddalwszy się z dziekan u swego ramienia i z szelmowskim

uśmiechem na ustach dla wuja Gabriela. James wiedział jednak, że musi być dzielny, a to była doskonała do tego okazja. Wśród tłumu uczniów na dziedzińcu James zobaczył dwóch znajomych chłopców.

Jeden był wysoki jak na trzynastolatka i miał potarganą szopę włosów w kolorze ciemny blond. Stał odwrócony, ale James wiedział, że chłopak ma olśniewające lawendowe oczy. Słyszał, jak dziewczyny na przyjęciach mówiły, że takie oczy marnują się u chłopaka, zwłaszcza tak dziwnego jak Christopher Lightwood.

James znał kuzyna Christophera lepiej niż innych chłopców w Akademii. Ciotka Cecily i wuj Gabriel spędzali dużo czasu w Idrisie w ostatnich latach, ale przedtem obie rodziny często się spotykały, razem wyjeżdżały do Walii na święta, jeszcze przed śmiercią dziadków. Christopher był trochę dziwny i niesłychanie roztargniony, ale zawsze był miły wobec Jamesa.

Chłopiec stojący obok Christophera był mały i chudy jak szczapka, głową ledwie sięgał Christopherowi do ramienia.

Thomas Lightwood był kuzynem Christophera, nie Jamesa, ale James zwracał się do jego matki „ciociu Sophie”, ponieważ była najlepszą przyjaciółką jego własnej matki. James lubił ciocię Sophie, która była bardzo ładna i zawsze uprzejma. Wraz z rodziną również mieszkała w Idrisie od kilku lat, razem z ciotką Cecily i wujem Gabrielem. Mąż ciotki Sophie był bratem wuja Gabriela. Jednakże ciotka Sophie przyjeżdżała do Londynu w odwiedziny sama. James widywał matkę i ciotkę Sophie, jak wychodziły z pokojów treningowych rozchichotane, jakby były małymi dziewczynkami jak Lucie. Ciotka Sophie nazwała kiedyś Thomasa jej nieśmiałym synkiem. James uznał, że może go sporo łączyć z Thomasem.

Na dużych zjazdach rodzinnych, na których pojawiali się wszyscy, James zerknął parę razy na Thomasa i zauważył, że chłopiec trzyma się cicho i nerwowo obrzeży większych grup, zwykle patrząc na któregoś ze starszych chłopców. Chciał podejść

do Thomasa i go zagadnąć, ale nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

Dwóch nieśmiałych ludzi pewnie mogło zostać dobrymi przyjaciółmi, ale kłopot polegał na tym, jak do tego doprowadzić. James nie miał pojęcia.

Teraz miał swoją szansę. Kuzyni stanowili jego największą nadzieję na przyjaciół w Akademii. Musiał tylko do nich podejść i zagadnąć.

James przepchnął się przez tłum, przepraszając, kiedy inni trącali go łokciami.

– Cześć, młodzieży – rozległ się głos za jego plecami i ktoś przepchnął się obok niego, jakby go nie widział.

James zobaczył, jak Thomas i Christopher odwracają się do chłopaka niczym słoneczniki do słońca. Rozpromienili się identycznymi uśmiechami, a James spojrzał na tył lśniącej blond głowy.

W Akademii uczył się jeszcze jeden rówieśnik Jamesa, którego trochę znał – Matthew Fairchild, których rodziców James nazywał ciotką Charlotte i wujem Henrym, ponieważ ciotka Charlotte praktycznie wychowała ojca, kiedy była głową Londyńskiego Instytutu, zanim została Konsulem, najważniejszą osobą, jaką Nocny Łowca może zostać.

Matthew nie pojawił się w Londynie przy okazji tych kilku wizyt, które ciotka Charlotte złożyła im razem ze swoim bratem Charlesem. Wuj Henry został ranny w bitwie na wiele lat przed urodzeniem któregośkolwiek z chłopców i rzadko opuszczał Idris, ale James nie bardzo wiedział, dlaczego Matthew nie przyjeżdżał do Londynu. Może za dobrze bawił się w Idrisie.

Co do jednego James miał pewność – Matthew Fairchild nie był nieśmiały.

James nie widział go od paru lat, ale doskonale go pamiętał. Na każdym rodzinnym zjeździe, gdzie James trzymał się na obrzeżach tłumy albo wymykał się, żeby poczytać na schodach,

Matthew był duszą przyjęcia. Rozmawiał z dorosłymi, jakby sam był dorosły. Tańczył ze starszymi damami. Czarował rodziców i dziadków, sprawiał, że dzieci przestawały płakać. Wszyscy kochali Matthew.

James nie pamiętał jednak, żeby Matthew ubierał się wcześniej jak wariat. Nosił spodnie do kolan, podczas gdy wszyscy inni nosili rozsądne długie spodnie, a do tego miał aksamitną marynarkę w kolorze morwy. Nawet jego lśniące złote włosy były uczesane w sposób, który od razu rzucił się Jamesowi w oczy jako bardziej skomplikowany niż uczesania innych chłopców.

– Prawda, że to udręka? – Matthew zagadnął Christophera i Thomasa, dwóch chłopców, z którymi James chciał się zaprzyjaźnić. – Wszyscy wyglądają tu jak głupki. Już potwornie cierpię, rozpamiętując swoją zmarnowaną młodość. Nie odzywajcie się, bo się załamie i wybuchnę nieopanowanym płaczem.

– Już dobrze, dobrze – powiedział Christopher, poklepując Matthew po ramieniu. – Co cię znowu tak zdenerwowało?

– Twoja twarz, Lightwood – odpowiedział Matthew i szturchnął go łokciem.

Christopher i Thomas roześmiali się i przysunęli. Widać było, że już się zaprzyjaźnili, a Matthew był szefem ich paczki. Plany Jamesa na znalezienie przyjaciół spełzły na niczym.

– Ehm – odezwał się James, co zabrzmiało jak tragiczna towarzyska czkawka. – Cześć.

Christopher spojrzał na niego przyjaźnie i pusto, a serce Jamesa, które już znajdowało się gdzieś w okolicy jego kolan, osunęło się do skarpetek.

Wtedy jednak Thomas powiedział:

– Cześć! – I uśmiechnął się.

James odwzajemnił uśmiech, natychmiast czując wdzięczność. W tej samej chwili Matthew Fairchild odwrócił się, by sprawdzić,

do kogo mówi Thomas. Był wyższy od Jamesa. Słońce otaczało jego włosy, kiedy spojrział z góry. Robił wrażenie, jakby patrzył ze znacznie większej wysokości, niż to miało faktycznie miejsce.

– Jamie Herondale, zgadza się? – zapytał przeciągle.

James się najeżył.

– Wolę formę James.

– A ja wolałbym być w szkole poświęconej sztuce, pięknu i kulturze, zamiast w tej koszmarnej kamiennej budzie pośrodku niczego, pełnej gamoni, którym nie marzy się nic innego poza rąbaniem demonów wielkimi mieczami – odrzekł Matthew. – A jednak oto gdzie wylądowałem.

– A ja wolałbym mieć inteligentnych uczniów – rozległ się głos za nimi. – A jednak uczę w szkole dla Nefilim.

Chłopcy odwrócili się jednocześnie i zamarli. Mężczyzna za nimi miał białe jak śnieg włosy, choć był za młody, żeby tak oswiecić, a spomiędzy białych pukli wystawały mu rogi. Jednak najbardziej rzucało się w oczy – co James natychmiast zauważył – że ma skórę zieloną jak winogrona.

James wiedział, że to musi być czarownik. Właściwie wiedział dokładnie, kto to musi być: były Najwyższy Czarownik Londynu, Ragnor Fell, który pomieszkiwał na prowincji poza Alicante i zgodził się w tym roku uczyć w Akademii, żeby oderwać się nieco od studiów nad magią.

James wiedział, że czarownicy to dobrzy ludzie, sprzymierzeńcy Nocnych Łowców. Ojciec często opowiadał o swoim przyjacielu Magnusie Banie, który okazał mu serce w młodości.

Ojciec nigdy nie wspominał, żeby Magnus był zielony. Jamesowi nigdy nie przyszło do głowy zapytać. A teraz dość gorączkowo się zastanawiał.

– Który z was to Christopher Lightwood? – zapytał surowym głosem Ragnor Fell. Obrzucił spojrzeniem wszystkich i zatrzymał się na tym, który wyglądał na najbardziej winnego w grupie. – To

ty?

– Nie, dzięki niech będą Aniołowi! – wykrzyknął Thomas, a potem zaczerwienił się pod letnią opalenizną. – Nie obraż się, Christopherze.

– Skądże znowu – odparł nonszalancko Christopher. Spojrzał zdziwiony na Ragnora, jakby do tej pory ten wysoki, przerażająco zielony mężczyzna całkiem uszedł jego uwagi. – Dzień dobry panu.

– Ty jesteś Christopher Lightwood? – zapytał Ragnor trochę groźnie.

Christopher z roztargnieniem przyglądał się drzewu.

– Hm? Tak mi się wydaje.

Ragnor spiorunował wzrokiem delikatne brązowe włosy Christophera. James zaczynał się martwić, że czarownik wybuchnie jak zielony wulkan.

– Ale nie jest pan pewien, panie Lightwood? Może doszło do nieszczęśliwego spotkania, kiedy był pan niemowlęciem?

– Hm? – zdumiał się Christopher.

– Spotkania pańskiej głowy z podłogą! – Fell podniósł głos.

I wtedy odezwał się Matthew Fairchild:

– Proszę pana. – I się uśmiechnął.

James zapomniał o Uśmiechu, chociaż pojawiał się i wywoływał potężny efekt na zjazdach rodzinnych. Uśmiech sprawiał, że Matthew mógł się później położyć, dostawał dokładkę bożonarodzeniowego puddingu – co tylko zechciał. Dorosli nie potrafili oprzeć się Uśmiechowi.

– Proszę pana, proszę wybaczyć Christopherowi. Jest nieco roztargniony, ale bez wątplenia jest Christopherem. Bardzo trudno byłoby wziąć Christophera za kogoś innego. Ręczę za niego, a i on nie może zaprzeczyć faktom.

Uśmiech podziałał na Ragnora tak, jak działał na wszystkich dorosłych. Czarownik nieco złagodniał.

– Ty jesteś Matthew Fairchild?

Uśmiech Matthew stał się nieco szelmowski.

– Mógłbym temu zaprzeczyć, gdybym zechciał. Mógłbym zaprzeczyć wszystkiemu, ale z pewnością nazywam się Matthew. Byłem Matthew od lat.

– Co? – Ragnor Fell miał minę, jakby wpadł do jamy z wariatami i nie mógł się z niej wydostać.

James odchrząknął.

– On zacytował Oscara Wilde’a, proszę pana.

Matthew zerknął na niego, wytrzeszczając ciemne oczy.

– Jesteś miłośnikiem Oscara Wilde’a?

– To dobry pisarz – odpowiedział chłodno James. – Jest bardzo wielu dobrych pisarzy. Sporo czytam – dodał, dając jasno do zrozumienia, że Matthew przeciwnie.

– Panowie – powiedział Ragnor Fell głosem jak sztylet. – Zechcielibyście oderwać się na moment od swojej fascynującej rozmowy o literaturze i posłuchali jednego ze swoich instruktorów w instytucji, w której powinniście się uczyć? Mam tu list na temat Christophera Lightwooda i nieszczęsnego incydentu, który przysporzył Clave tyle trosk.

– Tak, to był rzeczywiście nieszczęsny wypadek – powiedział Matthew, szczerze kiwając głową, jakby był przekonany o współczuciu Ragnora.

– Nie tego słowa użyłem, panie Fairchild, co na pewno pan zauważył. W liście napisano, że z własnej woli zgodził się pan wziąć na siebie całą odpowiedzialność za pana Lightwooda i że uroczyście przyrzeka pan trzymać go z dala od wszelkich materiałów wybuchowych podczas jego pobytu w Akademii.

James spojrzał na czarownika, a potem na Matthew i Christophera, który przyglądał się drzewu z życzliwym rozmarzeniem. Zdesperowany spojrzał na Thomasa.

Materiały wybuchowe? – zapytał bezgłośnie, poruszając tylko ustami.

– Nawet nie pytaj – odpowiedział Thomas. – Proszę.

Thomas był starszy od Jamesa i Christophera, ale znacznie niższy. Ciotka Sophie zatrzymała go rok dłużej w domu, bo był chorowity. Teraz nie robił wrażenia chorowitego, ale nadal był zbyt drobny. Przez opaleniznę w zestawieniu z brązowymi włosami i oczami oraz nikłym wzrostem wyglądał jak mały, zatroskany kasztan. James złapał się na tym, że ma ochotę poklepać go po głowie.

Matthew poklepał Thomasa po głowie.

– Panie Fell – powiedział. – Thomas. Christopher. Jamie.

– James – poprawił go James.

– Proszę się nie martwić – powiedział Matthew z przekonaniem. – Oczywiście może się pan martwić, bo zostaliśmy uwięzieni tu, w tej jałowej, wojowniczej kulturze, która nie ceni sobie naprawdę ważnych rzeczy w życiu, ale proszę nie martwić się materiałami wybuchowymi, ponieważ nie pozwolę, by cokolwiek wybuchło.

– Tylko tyle trzeba było powiedzieć – odpowiedział mu Ragnar Fell – i mogłeś to wyrazić mniejszą liczbą słów.

Odszedł niczym zielony kłęb złego humoru.

– On był zielony! – szepnął Thomas.

– Doprawdy – odparł bardzo oschle Matthew.

– Naprawdę? – zdumiał się pogodnie Christopher. – Nie zauważyłem.

Thomas spojrział smutno na Christophera, a Matthew udał, że go nie słyszał.

– Mnie się podoba niezwykły odcień naszego nauczyciela. Przypomina mi zielone goździki, które noszą wielbiciel Oscara Wilde’a, naśladując w tym mistrza. Kazał, żeby jeden z aktorów w... ehm, jego sztuce nosił na scenie zielony goździk.

– To był „Wachlarz Lady Windermere” – powiedział James.

Matthew ewidentnie popisывał się, próbując robić wrażenie lepszego i nadzwyczajnego, a James nie miał na to czasu.

Matthew posłał mu swój Uśmiech. James nie zdziwił się, gdy

się okazało, że jest odporny na jego zabójcze skutki.

– Tak – powiedział. – Oczywiście, Jamie, widzę, że taki wielbiciel Oscara Wilde’a...

– Ehm – odezwał się ktoś stojący na lewo od Jamesa – wy, nowi, ledwie jesteście tu pięć minut, a potraficie rozmawiać tylko o jakimś Przyziemnym, który trafił do więzienia z powodu obrazy moralności?

– Więc ty też znasz Oscara Wilde’a? – zapytał Matthew.

James spojrzał na wyższego i starszego chłopca. Miał jasne włosy, ale ciemne brwi, mocno zaznaczone, jak bardzo krytyczne czarne ślady pędzla.

Zatem to był Alastair Carstairs, brat najlepszej przyjaciółki Lucie. James wyobrażał sobie kogoś bardziej przyjaznego, bardziej podobnego do Cordelii.

Może Alastair byłby bardziej przyjazny, gdyby nie skojarzył Jamesa z zadzierającym nosa Matthew.

– Znam wielu przyziemnych kryminalistów – odpowiedział lodowatym tonem Alastair Carstairs. – Czytam przyziemne gazety, szukając wskazówek demonicznej aktywności. Z pewnością nie zawracam sobie głowy czytaniem sztuk.

Jego dwaj towarzysze skinęli głowami, wykazując prawdziwą solidarność Nocnych Łowców.

Matthew zaśmiał im się prosto w twarz.

– Naturalnie. Jaki pożytek mają smutni, pozbawieni wyobraźni ludzie ze sztuk teatralnych? Albo obrazów, tańca czy czegokolwiek innego, co czyni życie ciekawym? Tak się cieszę, że trafiłem do tej zawilgoconej szkoły, gdzie spróbuję ścisnąć moje horyzonty tak, żeby stały się równie wąskie jak wasze.

Poklepał Alastaira po ręce. James był zdumiony, że Matthew nie został natychmiast spoliczkowany.

Thomas wpatrywał się w Alastaira z równie dużą paniką, jak James.

– A teraz zmykaj już – powiedział Matthew. – Koniecznie.

Właśnie rozmawiałem sobie z Jamiem.

Alastair się roześmiał, a śmiech ten był bardziej gniewny, niż byłoby ostre słowo.

– Chciałem wam tylko, dzieciaki, powiedzieć co nieco na temat tego, jak wyglądają sprawy w Akademii. Jeśli jesteście za głupi, żeby wziąć to pod rozwagę, to nie moja wina. Przynajmniej ty masz język w gębie, nie to co ten drugi.

Odwrócił się i spiorunował wzrokiem Jamesa. James był tak bardzo zaskoczony i przerażony rozwojem sytuacji, że tylko stał i gapił się z rozdziawionymi ustami. Przecież nic złego nie zrobił!

– Tak, ty, z tymi dziwnymi oczami – warknął Alastair. – Na co się gapisz?

– Ja... – wydukał James. – Ja tylko...

Rzeczywiście miał dziwne oczy, sam o tym wiedział. Potrzebował okularów tak naprawdę tylko do czytania, ale nosił je cały czas, żeby ukryć oczy. Zarumienił się, a głos Alastaira stał się ostry jak jego śmiech.

– Jak się nazywasz?

– H-Herondale – wyjąkał James.

– Na Anioła, jego oczy naprawdę są okropne – powiedział chłopak stojący na prawo od Alastaira.

Alastair się roześmiał, tym razem z większą satysfakcją.

– Żółte. Jak u kozy.

– Nie...

– Nie wysilaj się, Kozle Herondale – przerwał mu Alastair. – Nie próbuj mówić. Ty i twoi przyjaciele może moglibyście przestać zaprzętać sobie głowy Przyziemnymi i pomyśleć nieco o takich drobiazgach jak ratowanie życia i strzeżenie Prawa, skoro już tu jesteście, jasne?

Odszedł, śmiejąc się z przyjaciółmi. James słyszał słowo wędrujące przez zwarty tłum i rozlegający się po nim śmiech, jak fala mknąca po stawie, gdy wrzucić do niego kamień.

Kozioł. Kozioł. Kozioł.

Matthew się roześmiał.

– No cóż, co za...

– Wielkie dzięki za wciągnięcie mnie w to bagno – warknął James.

Odwrócił się na pięcie i odszedł od dwóch przyjaciół, których miał nadzieję zdobyć w Akademii. Słyszał, jak powtarzano szeptem jego imię, kiedy szedł.

* * *

James zrobił dokładnie to, czego obiecał sobie w żadnym wypadku nie zrobić. Powlekł się z ciężką torbą przez dziedziniec, hol, potem schodami, aż trafił na klatkę schodową, która robiła wrażenie odosobnionej. Potem usiadł i otworzył książkę. Powiedział sobie, że przeczyta tylko kilka stron, zanim znowu zejdzie. Hrabia Monte Christo właśnie opadał w balonie na wrogów.

James wrócił kilka godzin później. Z zaciskającym się żołądkiem zauważył, że niebo stało się ciemnoszare, a hałasy na dziedzińcu przycichły. Jego matka i Lucie nadal przebywały w odległym Londynie, a ojciec pewnie też już odjechał.

Znalazł się w pułapce Akademii, uwięziony z obcymi ludźmi. Nie wiedział nawet, gdzie powinien tego wieczoru spać.

Wędrował po szkole, próbując znaleźć sypialnię. Żadnych nie znalazł, ale złapał się na tym, że z przyjemnością odkrywa w pojedynkę tak ogromne i nowe miejsce. Akademia była wspaniałą budowlą, jej ściany lśniły jak wypolerowane. Żyrandole wyglądały jak zrobione z klejnotów, a kiedy James powędrował w poszukiwaniu jadalni, odnalazł piękne arrasы przedstawiające Nocnych Łowców z różnych wieków. Stał, patrząc na skomplikowaną, barwną tkaninę przedstawiającą Jonathana Nocnego Łowcę walczącego w czasie wypraw

krzyżowych, aż dotarło do niego, że niedługo pewnie zostanie podana kolacja, a on nie chciał jeszcze bardziej zwracać na siebie uwagi.

Dźwięk setek obcych głosów podpowiedział Jamesowi, gdzie musi znajdować się jadalnia. Zwalczył chęć ucieczki, wziął się w garść i wszedł do sali. Ku jego uldze uczniowie nadal się schodzili, starsi kręcili się i gawędzili, jak to zwykle czynią dobrzy znajomi. Nowi uczniowie krążyli zagubieni zupełnie jak James.

Wszyscy oprócz Matthew Fairchilda, który oglądał lśniące mahoniowe stoły z pogardą.

– Musimy wybrać bardzo mały stół – powiedział Thomasowi i Christopherowi, którzy krążyli przy nim jak satelity. – Znalazłem się tu wbrew swojej woli. Nie będę łamał się chlebem z agresywnymi zbirami i imbecylami, którzy z własnej woli uczęszczają do tej Akademii.

– Wiesz – odezwał się głośno James – Carstairs miał rację.

– To mi się wydaje nad wyraz mało prawdopodobne – odpowiedział Matthew, odwracając się. – O, to ty. Dlaczego nadal nosisz torbę?

– Nie muszę ci się tłumaczyć – odgryzł się James, chociaż sam zdawał sobie sprawę, że to dziwna odpowiedź.

Thomas zamrugnął, patrząc na niego z przykrością, jakby do tej pory wierzył, że James nie okaże się kimś, kto wygaduje dziwne rzeczy.

– W porządku – odrzekł zgodnie Matthew. – Alastair miał rację w jakiej kwestii?

– Ludzie uczęszczają do Akademii, bo mają nadzieję stać się lepszymi Nocnymi Łowcami i ratować ludzkie życie. To szlachetny i godny cel. Nie musisz szydzić z każdego, kogo tu poznasz.

– Ale gdzie wtedy znajdę rozrywkę w tym miejscu? – zaprotestował Matthew. – Ty możesz się z nami, jeśli chcesz.

W jego piwnych oczach zabłysło rozbawienie. Widząc jego

minę, James był przekonany, że chłopak stroi sobie z niego żarty, ale nie potrafił do końca zrozumieć, na czym ten dowcip polega.

– Nie, dziękuję – odparł krótko.

Rozejrzał się po jadalni i zobaczył, że Nocni Łowcy z pierwszego roku zajmowali miejsca rozważnie, kierując się przyjaźniami. Było też kilku innych chłopców i nawet parę dziewcząt – ich James rozpoznał jako Przyziemnych. Nie tyle z powodu strojów czy sylwetek, ile przez postawę – zachowywali się, jakby obawiali się ataku. Nocni Łowcy z kolei wyglądali, jakby zawsze byli gotowi zaatakować.

Jeden chłopiec w sfatygowanym ubraniu siedział sam. James przeszedł przez jadalnię, żeby zająć miejsce przy jego stoliku.

– Mogę tu usiąść? – zapytał na tyle zdesperowany, żeby zapytać wprost.

– Tak! – odpowiedział tamten. – Tak, bardzo proszę. Nazywam się Smith. Michael Smith. Mike.

James wyciągnął rękę i uścisnął dłoń Mike’a Smitha.

– James Herondale.

Mike wytrzeszczył oczy, rozpoznając nazwisko Nocnego Łowcy.

– Moja matka wychowywała się w świecie Przyziemnych – wyjaśnił szybko James. – W Ameryce. W Nowym Jorku.

– Twoja matka była Przyziemna? – zapytała dziewczyna, podchodząc i siadając przy ich stoliku. – Esmé Philpott – przedstawiła się, ściskając dziarsko ich dłonie. – Nie zachowam nazwiska po Wstąpieniu. Myślę też o zmianie imienia.

James nie wiedział, co powiedzieć. Nie chciał skrytykować imienia damy, zgadzając się z nią, ani urazić jej samej, odmawiając jej racji. Nie był gotowy na to, że zagadnie go nieznajoma dziewczyna. Dziewczęta bardzo rzadko wysyłano do Akademii. Oczywiście mogły być równie świetnymi wojownikami jak chłopcy, ale nie każdy tak myślał, a wiele rodzin Nocnych Łowców wolało trzymać dziewczęta przy sobie.

Niektórzy uważali, że w Akademii obowiązuje zdecydowanie zbyt wiele zasad, inni, że zdecydowanie za mało. Siostry Thomasa, które były bardzo dobrze wychowane, nie uczęszczały do Akademii. Rodzinna legenda mówiła, że jego kuzynka Anna Lightwood, najgorzej wychowana panna, jaką można było sobie wyobrazić, powiedziała, że jeśli rodzice wyślą ją do Akademii, to ucieknie i zacznie życie przyziemnego toreadora.

– Hm – mruknął James, ten złotousty chłopak, złodziej niewieścich serc.

– Czy twoja matka przeszła Wstąpienie bez kłopotów? – zapytał z ożywieniem Mike.

James zagryzł usta. Przywykł, że wszyscy znają historię jego matki: dziecka skradzionej Nocnej Łowczyni i demona. Każde dziecko Nocnego Łowcy jest Nocnym Łowcą. Matka należała do świata Nocnych Łowców tak samo jak każdy inny Nefilim. Tyle że jej skóra nie tolerowała Znaków i nigdy wcześniej nie było na świecie nikogo takiego jak ona. James nie bardzo wiedział, jak to wyjaśnić ludziom, którzy tego nie wiedzieli. Bał się, że niewłaściwie to wyłoży i jego słowa ukążą matkę w złym świetle.

– Znam wielu ludzi, którzy przeszli Wstąpienie bez kłopotów – powiedział w końcu James. – Moja ciotka Sophie, teraz Sophie Lightwood, była Przyziemna. Ojciec mówi, że nigdy nie było równie odważnej osoby, zarówno przed, jak i po Wstąpieniu.

– Co za ulga! – ucieszyła się Esme. – Powiedz mi, chyba słyszałam o Sophie Lightwood...

– Co za straszliwy upadek – powiedział jeden z chłopców, których James widział wcześniej z Alastairem Carstairsem. – Koziół Herondale zniżył się do siedzenia z motłochem.

Alastair i jego drugi przyjaciel wybuchli śmiechem. Usiedli z innymi, starszymi Nocnymi Łowcami i James był pewien, że więcej niż raz usłyszał wyszeptane słowo „koziół”. Czuł, że w duchu gotuje się ze wstydu.

Jeśli chodzi o Matthew Fairchilda, James zerknął na niego

tylko raz, może dwa. Po tym, jak James zostawił go stojącego pośrodku jadalni, Matthew potrzasnął tą swoją durną blond głową i wybrał bardzo duży stół, przy którym usiadł. Najwyraźniej nie mówił poważnie na temat odcinania się od pozostałych uczniów. Usiadł z Thomasem po jednej stronie i Christopherem po drugiej jak księżę na dworze, wykrzykując dowcipy i przyzywając do siebie ludzi; wkrótce przy jego stole siedział tłum. Oczarował paru Nocnych Łowców tak, że odeszli od swoich stolików. Nawet kilku starszych uczniów podeszło posłuchać jednej z najwyraźniej „okropnie zabawnych” historii Matthew. Nawet Alastair Carstairs podszedł na kilka minut. Najwyraźniej teraz on i Matthew byli przyjaciółmi.

James przyłapał Mike’a Smitha na tym, że tęsknie wpatruje się w stolik Matthew z miną wyrzutka, który jest odcięty od całej zabawy, skazany na wieczne siedzenie przy mniej ekscytującym stoliku z mniej ciekawymi ludźmi.

James chciał mieć przyjaciół, ale nie chciał być tego rodzaju przyjacielem, na którego ludzie się zgadzają, bo nie mogą liczyć na nic lepszego. Tyle że niestety był nudnym i nędznym towarzyszem, czego zawsze w głębi duszy się obawiał. Nie wiedział, dlaczego nie nauczył się z książek mówić do ludzi tak, żeby chcieli go słuchać.

* * *

James w końcu poprosił nauczycieli, żeby pomogli mu znaleźć jego sypialnię. Zastał dziekan Ashdown i Ragnora Fella pogrążonych w rozmowie.

– Niezmiernie mi przykro – mówiła dziekan. – Pierwszy raz mamy nauczyciela czarownika... i ogromnie nas to cieszy! Powinniśmy byli dokładnie oczyścić Akademię i upewnić się, że nie zostały tu żadne pozostałości z mniej pokojowych czasów.

– Dziękuję, pani dziekan – odpowiedział Ragnor. – Usunięcie wypchanej głowy czarownika z mojej sypialni w zupełności wystarczy.

– Niezmiernie mi przykro! – powtórzyła dziekan Ashdown. Zniżonym głosem dodała: – Czy znał pan może... zmarłego dżentelmena?

Ragnor spojrział na nią z dezaprobatą. Chociaż możliwe, że to była jego zwykła mina.

– Gdyby pani natknęła się na groteskową obciętą głowę jednego z Nefilim, czy musiałaby go pani znać, żeby nie mieć ochoty na spanie w pokoju, w którym znajduje się sprofanowany trup?

James odkaszlnął w połowie trzecich gorączkowych przeprosina pani dziekan.

– Przepraszam bardzo – powiedział – czy ktoś mógłby skierować mnie do mojego pokoju? Zabłądziłem i przegapiłem oprowadzanie po Akademii.

– Och, młody pan Herondale. – Pani dziekan sprawiała wrażenie szczęśliwej, że jej przerwano. – Oczywiście, pozwól, że cię zaprowadzę. Ojciec powierzył mi wiadomość dla ciebie, którą mogę ci po drodze przekazać.

Zostawiła za sobą krzywiącego się Ragnora Fella. James miał nadzieję, że nie zrobił sobie z niego kolejnego wroga.

– Twój ojciec powiedział... Co za czarujący język ten walijski, prawda? Taki romantyczny!... *Pob lwc, caraid*. Co to znaczy?

James zarumienił się, ponieważ był zdecydowanie za duży, żeby ojciec zwracał się do niego takimi pieszczotliwymi przezwiskami.

– To tylko znaczy... To znaczy „powodzenia”.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy szedł za dziekan korytarzami. Był przekonany, że żaden inny ojciec nie oczarował dziekan tak, żeby przekazała uczniowi tajną wiadomość. Zrobiło mu się ciepło i poczuł, że ktoś nad nim czuwa.

I trwało to, dopóki dziekan Ashdown nie otworzyła drzwi do jego nowego pokoju, nie pożegnała się z nim wesoło i nie zostawiła go na pastwę straszliwego losu.

To był bardzo ładny, przestronny pokój z łózkami z orzechowymi kolumnienkami i baldachimami z białego płótna. Stała tam rzeźbiona szafa i był nawet regał na książki.

Znajdowała się tam także niepokojąca duża ilość Matthew Fairchilda.

– Cześć, Jamie – powiedział. – Prawda, że to świetnie, że mamy wspólny pokój? Na pewno doskonale się dogadamy.

– James – poprawił go James. – Do czego służą te wszystkie szczotki?

Matthew spojrział na niego litościwie.

– Myślisz, że to wszystko – wskazał szerokim gestem swoją głowę – układa się samo?

– Ja posługuję się tylko jedną szczotką.

– Tak, to widać.

James powlekł swój kufer ku nogom łóżka, wyjął „Hrabiego Monte Christo” i ruszył z powrotem do drzwi.

– Jamie? – spytał Matthew.

– James! – warknął James.

Matthew się roześmiał.

– Już dobrze, dobrze. James, dokąd się wybierasz?

– W jakieś inne miejsce – odpowiedział James i zatrzęsął za sobą drzwi.

Nie mógł uwierzyć w swojego pecha, że przypadkiem wyznaczono mu akurat ten sam pokój, co Matthew. Znalazł inne schody i czytał na nich, aż uznał, że jest na tyle późno, żeby Matthew z pewnością zasnął, a wtedy zakradł się z powrotem, zapalił świecę i podjął lekturę w łóżku.

Możliwe, że James trochę za długo czytał. Kiedy się obudził, Matthew już od dawna nie było – na domiar złego okazał się jeszcze rannym ptaszkiem – a James spóźnił się na pierwsze

zajęcia.

– Czego innego spodziewać się po Koźle Herondale’u – powiedział chłopak, którego James nigdy w życiu nie widział, i kilka osób zarechotało.

James z ponurą miną usiadł obok Mike’a Smitha.

* * *

Zajęcia tylko dla elity okazały się najgorsze. James nie miał wtedy z kim siedzieć.

Albo może najgorsze były pierwsze zajęcia każdego dnia, bo James zawsze czytał do późna, żeby zapomnieć o kłopotach, i codziennie się spóźniał. Bez względu na to, o której wstawał, Matthew już nie było. James zakładał, że Matthew robi to, żeby z niego zakpić, bo nie wyobrażał sobie, żeby Matthew robił cokolwiek użytecznego wczesnym rankiem.

A może najgorsze były treningi, bo Matthew był wtedy najbardziej denerwujący.

– Z przykrością muszę odmówić udziału w zajęciach – oznajmił raz nauczycielowi. – Proszę uznać, że strajkuję jak górnicy. Tyle że jestem w tym o wiele bardziej elegancki.

Następnego dnia powiedział:

– Wstrzymam się z racji tego, że piękno jest święte, a w ćwiczeniach nie ma niczego pięknego.

Następnego dnia orzekł tylko:

– Protestuję z powodów estetycznych.

Ciągle powtarzał idiotyzmy, aż po paru tygodniach oznajmił:

– Nie będę tego robić, ponieważ Nocni Łowcy to idioci, a ja nie chcę przebywać w tej idiotycznej szkole. Dlaczego przypadek, jakim są narodziny, znaczy, że albo zostaniesz oderwany od rodziny, albo musisz spędzić krótkie i straszliwe życie, tłukąc się z demonami?

– Chce pan zostać wydalony, panie Fairchild? – zagrzemiał jeden z nauczycieli.

– Proszę robić to, co uważa pan za konieczne – odpowiedział Matthew, składając ręce i uśmiechając się jak cherubin.

Matthew nie został wydalony. Nikt nie wiedział, co z nim zrobić.

Jego nauczyciele w desperacji zaczęli brać zwolnienia z przyczyn zdrowotnych.

Wykonywał tylko połowę swoich obowiązków, codziennie obrażał każdego w Akademii i pozostawał absurdalnie popularny. Thomasa i Christophera nie dało się od niego oderwać. Wędrował po korytarzach w otoczeniu tłumu wielbicieli, którzy chcieli usłyszeć jeszcze jedną zabawną anegdotę. W pokoju jego i Jamesa zawsze było tłoczno.

James spędzał sporo czasu na klatkach schodowych. Jeszcze więcej czasu siedział, słuchając przezwiska „Kozioł”.

– Wiesz – zagadnął go raz nieśmiało Thomas, kiedy James nie zdołał dostatecznie szybko czmychnąć z pokoju – mógłbyś spędzać z nami trochę więcej czasu.

– Mógłbym? – zapytał James, starając się nie zdradzić zbyt wiele nadziei. – Chętnie... widywałby częściej ciebie i Christophera.

– I Matthew – dodał Thomas.

James pokręcił głową.

– Matthew to jeden z moich najlepszych przyjaciół – powiedział niemal błagalnie Thomas. – Jeśli spędzisz z nim więcej czasu, na pewno go polubisz.

James zerknął na Matthew. Siedział na łóżku i opowiadał historię ośmiu osobom, które siedziały na podłodze i wpatrywały się w niego z uwielbieniem. James napotkał spojrzenie Matthew, który patrzył w stronę Thomasa i jego. Natychmiast odwrócił wzrok.

– Czuję, że muszę podziękować za towarzystwo Matthew.

– Przez to odstajesz, wiesz? – powiedział Thomas. – Spędzasz tyle czasu z Przyziemnymi. Myślę, że to dlatego... przezwisko tak przyłgnęło. Ludzie obawiają się tych, którzy są inni. Przez to martwią się, że pozostali też są inni, tylko udają takich samych.

James spojrział na niego.

– Chcesz powiedzieć, że powinienem unikać Przyziemnych? Bo nie są tak dobrzy jak my?

– Nie, nie to... – zaczął Thomas, ale James za bardzo się rozgniewał, żeby dać mu skończyć.

– Przyziemni też mogą być bohaterami – powiedział. – Powinieneś to wiedzieć lepiej niż ja. Twoja matka była Przyziemną! Ojciec opowiedział mi o wszystkim, czego dokonała przed Wstąpieniem. Wszyscy tutaj znają ludzi, którzy byli Przyziemni. Dlaczego mamy odcinać się od tych, którzy są na tyle odważni, żeby spróbować stać się takimi jak my, pomagać jak my ludziom? Dlaczego powinniśmy taktować ich, jakby byli czymś od nas gorszym, dopóki nie udowodnią, ile są warci albo nie zginą? Ja tak nie postąpię.

Ciotka Sophie była równie dobra jak każdy inny Nocny Łowca i wykazała się odwagą na długo przed Wstąpieniem. Była matką Thomasa. Powinien wiedzieć o tym lepiej niż James.

– Nie to miałem na myśli – tłumaczył się Thomas. – Nie myślałem o tym w ten sposób.

Zupełnie jakby ludzie mieszkający w Idrisie w ogóle nie myśleli.

– Może wasi ojcowie nie opowiadają wam historii jak mój – odparł James.

– Może nie każdy słucha ich tak jak ty – powiedział Matthew z drugiego końca pokoju. – Nie każdy się uczy.

James spiorunował go wzrokiem. To były niespodziewanie miłe słowa, i to wypowiedziane akurat przez Matthew.

– Znam pewną historię – dodał Fairchild. – Kto chce posłuchać?

– Ja! – odezwał się chór z podłogi.

– Ja!

– Ja!

– Nie ja – powiedział James i wyszedł z pokoju.

To było kolejne przypomnienie, że Matthew miał to, za co James oddałby wszystko – że ma przyjaciół i swoje miejsce w Akademii, a zarazem w ogóle o to nie dba.

* * *

W końcu tak wielu nauczycieli pochorowało się po ostrym przedawkowaniu Matthew Fairchilda, że nadzorowanie treningów przypadło Ragnorowi Fellowi. James zastanawiał się, dlaczego tylko on widzi, że to absurd, bo przez Matthew wszyscy tracą zajęcia. Ragnor zajmował się magią i nie interesował się wojną.

Pozwolił Esme wpleść wstążki w grzywę konia, żeby wyglądał jak szlachetny wierzchowiec. Zgodził się, żeby Christopher wybudował taran do obalania drzew, bo uznał, że to dobre ćwiczenie, na wypadek gdyby mieli oblegać zamek. Widział, jak Mike Smith uderzył się w głowę własnym łukiem.

– Wstrząśnienie mózgu to nic poważnego – orzekł spokojnie Ragnor. – Chyba że dojdzie do znacznego krwawienia w mózgu, bo wtedy możesz umrzeć. Panie Fairchild, dlaczego nie uczestniczy pan w zajęciach?

– Uważam, że przemoc jest obrzydliwa – odrzekł stanowczo Matthew. – Jestem tu wbrew swojej woli i odmawiam uczestnictwa w zajęciach.

– Chcesz, żebym rozebrał cię za pomocą magii i odział w strój bojowy? Na oczach wszystkich?

– To na pewno byłoby niezwykle ekscytujące dla wszystkich – odpowiedział Matthew.

Ragnor poruszył palcami i zielone iskry strzeliły mu z opuszków. James z przyjemnością zauważył, że Matthew cofnął

się krok.

– Może zbyt ekscytujące jak na środę. Pójdę przebrać się w strój, dobrze?

– Koniecznie – powiedział Ragnor.

Rozłożył sobie leżak i zaczął czytać książkę. James ogromnie mu zazdrościł.

Podziwiał także ogromnie nauczyciela. Oto ktoś, kto wreszcie był w stanie zapanować nad Matthew. Po tych wyniosłych przemowach, jak to wstrzymuje się od ćwiczeń w imię sztuki i piękna, James nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy, jak Matthew robi z siebie skończonego durnia na treningu.

– Ktoś zgłasza się na ochotnika, żeby pomóc Matthew nadgonić zaległości w tym, czego się uczyliście? – zapytał Ragnor. – Bo ja nie mam zielonego pojęcia, co to takiego było.

W tej samej chwili grupa uczniów z zespołu Christophera trafiła w drzewo taranem. Huk i chaos sprawiły, że nie zgłosiło się natychmiast wielu ochotników, żeby spędzić więcej czasu z Matthew.

– Z chęcią udzielę lekcji Matthew – powiedział James.

Całkiem nieźle radził sobie z kosturem. Pobił Mike'a w dziesięciu walkach na dziesięć, a Esmę w dziewięciu na dziesięć, a hamował się przy nich. Możliwe, że przy Matthew też będzie musiał.

Tyle że Matthew wyszedł w stroju bojowym i dla odmiany wyglądał całkiem jak prawdziwy Nocny Łowca. Prawdę mówiąc, bardziej niż James, ponieważ James był... nie tak niski jak Thomas, ale nadal niezbyt wysoki i – jak to ujmowała jego matka – żylasty, co było życzliwym określeniem tego, że nie widać na nim żadnych mięśni. Kilka dziewczyn obejrzało się, żeby spojrzeć na Matthew w stroju.

– Pan Herondale zgłosił się na ochotnika, żeby pokazać ci, jak walczy się kosturem – powiedział Ragnor Fell. – Jeśli zamierzacie się pozabijać, odejdźcie dalej, żebym was nie widział i nie musiał

później odpowiadać na niezręczne pytania.

– James – powiedział Matthew głosem, którego inni tak lubili słuchać, a który dla Jamesa brzmiał jak nieustanna kpina. – To bardzo miłe z twojej strony. Chyba pamiętam kilka ruchów z treningów z matką i bratem. Miej do mnie cierpliwość, bo mogłem trochę zardzewieć.

Matthew odszedł kawałek i zważył kostur w dłoni. Słońce jaśniało na trawie i jego złotych włosach. Odwrócił się do Jamesa, który nagle ujrzał zmrużone oczy, prawdziwe skupienie w spojrzeniu.

A potem nagle twarz Matthew i drzewa przepłynęły, kiedy kostur ściął Jamesa z nóg. Młody Herondale padł na ziemię. Leżał tam chwilę oszołomiony.

– Wiesz – mruknął w zadumie Matthew – może nie zardzewiałem tak strasznie.

James podniósł się, czepiając się kostura i swojej godności. Matthew stanął w gotowości do walki, balansując kosturem z taką łatwością i tak lekko, jakby był dyrygentem wymachującym batutą. Poruszał się ze swobodną gracją, jak powinien każdy Nocny Łowca, ale też trochę, jakby się bawił, jakby w każdej chwili był gotów zatańczyć.

Z przytłaczającym niesmakiem James zdał sobie sprawę, że to kolejna rzecz, w której Matthew jest dobry.

– Do dwóch wygranych – zaproponował.

Nagle kostur w dłoniach Matthew zamienił się w rozmazaną plamę. James nie zdążył zmienić pozycji, kiedy potworny cios trafił go w prawą rękę, w której trzymał broń, a potem w lewą, żeby nie mógł się bronić. James zablokował cios, który trafiłby go w tułów, ale wtedy okazało się, że to była finta. Matthew znowu uderzył go w kolana, a James padł na trawę. Ponownie.

W jego polu widzenia pojawiła się twarz Matthew. Śmiał się jak zwykle.

– Po co zatrzymywać się przy trzech rozgrywkach? Mogę tu

stać i spuszczać ci lanie przez cały dzień.

James wsunął kostur za kostki Matthew i go podciął. Wiedział, że to złe, ale w tej chwili nic go to nie obchodziło.

Matthew wylądował na trawie z zaskoczonym stęknieniem, które na chwilę usatysfakcjonowało Jamesa. I już się podniósł – najwyraźniej odpowiadało mu leżenie na trawie. James zauważył, że wśród zieleni przygląda mu się jedno piwne oko.

– Wiesz – odezwał się powoli Matthew – większość ludzi mnie lubi.

– Cóż... moje gratulacje! – warknął James i się podniósł.

To był najgorszy moment, żeby się podnieść.

To powinna być ostatnia chwila w życiu Jamesa. Może dlatego, że tak pomyślał, rozciągnęła się w takim stopniu, że mógł dokładnie zobaczyć, jak taran wyrwał się z rąk zespołu Christophera i poleciał w niewłaściwą stronę. Widział przerażone twarze całego zespołu, nawet Christopher chociaż raz uważał. Widział wielką kłodę żeglującą ku niemu i usłyszał, jak Matthew krzyczy ostrzegawczo, ale było już na to za późno. Zobaczył, jak Ragnar się zrywa i unosi rękę, a leżak się przewraca.

Świat zamienił się w ruchomą szarość, wszystko nadal poruszało się wolniej niż James. Wszystko było ruchome i niematerialne; taran uderzył w niego i przeszedł przez niego, nie będąc w stanie go zranić; zupełnie jak obryzgała go woda. James uniósł rękę i zobaczył szare powietrze pełne gwiazd.

To Ragnar mnie ocalił, pomyślał James, kiedy świat z jasnej, dziwnej szarości przeszedł w czerń. To była magia czarownika.

Dopiero później dowiedział się, że wszyscy uczniowie patrzyli, spodziewając się ujrzeć jatkę i śmierć, a zamiast tego zobaczyli czarnowłosego chłopca, który się rozplątał. Chociaż przed chwilą był jednym z nich, zmienił się w cień, którego nic nie rzucało, potworną sylwetkę wyciętą w rzeczywistości i prowadzącą do otchłani poza światem, ciemną i wyrazistą w świetle popołudniowego słońca. Powinni ujrzeć śmierć – coś, do czego

Nocni Łowcy przywykli – a zobaczyli coś dziwnego i znacznie straszniejszego.

Dopiero później dowiedział się, że miał rację. To rzeczywiście była magia czarownika.

* * *

Kiedy James się obudził, trwała noc, a przy nim siedział wuj Jem.

James poderwał się z łóżka i rzucił się wujowi Jemowi w ramiona. Słyszał, że niektórych Cisi Bracia przerażają swoją mową w milczeniu i zaszytymi oczami, ale dla niego widok szaty Cichego Brata zawsze oznaczał wuja Jema i niezłomną miłość.

– Wuj Jem! – wykrzyknął, zarzucając mu ręce na szyję i wtulając twarz w szatę. Na chwilę poczuł się bezpiecznie. – Co się stało? Dlaczego... Dlaczego czuję się tak dziwnie i ty tu jesteś, a...

A obecność Cichego Brata w Akademii nigdy nie była dobrym znakiem. Ojciec zawsze wymyślał preteksty, żeby wuj Jem zjawił się u nich; raz stwierdził, że doniczkę opętał demon. Jednak to był Idris, a Cichego Brata wezwano by do dziecka Nocnego Łowcy tylko w razie poważnej potrzeby.

– Czy... coś mi się stało? – zapytał James. – Czy Matthew coś się stało? Był ze mną.

Nikommu nic się nie stało – powiedział wuj Jem. Aniołowi niech będą dzięki. Tyle że teraz będziesz miał ciężkie brzemię do dźwigania, Jamie.

I wiedza przelała się z wuja Jema do Jamesa, cicha i zimna jak grób, a jednak z chłodem mieszała się uważna troska wuja. James odsunął się z dreszczem od Cichego Brata, a zarazem przywarł do wuja Jema z twarzą mokrą od łez, pięściami zaciśniętymi na jego szatach.

To było dziedzictwo jego matki, które wynikało

z przemieszania krwi Nocnego Łowcy z krwią demona i znowu z krwią Nocnego Łowcy. Wszyscy myśleli, że ponieważ skóra Jamesa przyjmowała Znaki, to jest Nocnym Łowcą i niczym więcej, że krew Anioła wypaliła wszystko inne.

A jednak nie. Nawet krew Anioła nie potrafiła wypalić cienia. To James dokonał tej magicznej sztuki, której nie potrafił żaden znany wujowi Jemowi czarownik. Potrafił zamienić się w cień. Sprawić, że przestawał być czymś z krwi i kości, a już na pewno nie z krwi Anioła.

– Czym... Czym ja jestem?! – Jamesowi wyrwał się zduszony okrzyk mimo gardła zaciskającego się od łez.

Jesteś Jamesem Herondale'em – odpowiedział wuj Jem. *Jak zawsze byłeś. Masz coś z matki, coś z ojca i coś z siebie samego. Nie zmienilibym żadnej z tych części, nawet gdybym mógł.*

A James przeciwnie. Wypaliłby tę część siebie, wyrwałby ją, zrobiłby wszystko, byle się jej pozbyć. Miał być Nocnym Łowcą, zawsze to wiedział, ale jaki Nocny Łowca będzie walczył u jego boku, kiedy ujawniło się w nim coś takiego?

– Czy... Czy wyrzucą mnie ze szkoły? – szepnął wujowi do ucha.

Nie. Wrażenie smutku i gniewu musnęło Jamesa, ale zaraz potem się cofnęło. Jednakże myślę, że powinieneś odejść. Obawiają się, że skazisz czystość ich dzieci. Chcą cię zesać tam, gdzie mieszkają przyziemne dzieci. Najwyraźniej nie przejmują się tym, co stanie się z nimi, a jeszcze mniej, co stanie z tobą. Wracaj do domu, James. Zabiorę cię tam teraz, jeśli tego pragniesz.

James chciał wrócić do domu. Chciał tego bardziej niż czegokolwiek wcześniej w swoim życiu, pragnął tego tak boleśnie, że czuł się, jakby każda kość w jego ciele była złamana i nie zrośnie się, dopóki James nie wróci do domu. Tam go kochano, tam był bezpieczny. Natychmiast otoczyłyby go czułość i ciepło.

Tyle że...

– Jak poczułaby się moja matka – szepnął James – gdyby się

dowiedziała, że odesłano mnie do domu z powodu... Ona pomyśli, że to przez nią.

Jego matka o poważnych szarych oczach i twarzy jak kwiat, równie cicha jak James, a jednocześnie zręczna w słowach jak ojciec. James może być skazą na świecie, może być czymś, co splugawi dobre dzieci Nocnych Łowców. Był gotowy w to uwierzyć. Ale nie matka. Matka była dobra, kochająca i kochana, matka była urzeczywistnionym życzeniem i błogosławieństwem dla świata.

James nie mógł znieść myśli o tym, co matka by poczuła, gdyby uznała, że w jakiś sposób go skrzywdziła. Gdyby skończył Akademię, gdyby przekonał ją, że niczym się nie wyróżnia, oszczędziłby jej bólu.

Chciał wrócić do domu. Nie chciał stawiać czoła nikomu z Akademii. Był tchórzem. Jednak nie takim, żeby uciec przed własnym cierpieniem i przysporzyć bólu matce.

W żadnym razie nie jesteś tchórzem – powiedział wuj Jem. Pamiętam czas, kiedy nadal byłem Jamesem Carstairsem, a twoja matka dowiedziała się, że – jak się wtedy wydawało – nie może mieć dzieci. To ją ogromnie zraniło. Uważała, że to ją całkowicie zmieniło. Powiedziałem jej wtedy, że właściwy mężczyzna nie będzie o to dbał, i oczywiście twój ojciec, najlepszy z mężczyzn, jedyne dla niej odpowiedni, nie dbał. Nie powiedziałem jej... Byłem chłopcem i nie wiedziałem, jak jej powiedzieć, że bardzo poruszyła mnie odwaga, z jaką znosiła niepewność co do własnej natury. Wątpiła w siebie, ale ja nigdy nie potrafiłem w nią zwątpić. Nigdy nie zwątpiłbym w ciebie. Widzę teraz w tobie taką samą odwagę, jaką wtedy ujrzałem w niej.

James płakał, trąc twarzą o szatę wuja Jema, jakby był mniejszy od Lucie. Wiedział, że matka była dzielna, ale z pewnością inaczej czuje się człowiek odważny; myślał, że to będzie wspaniałe uczucie, a nie coś, co może rozedrzeć cię na kawałki.

Gdybyś widział ludzkość tak, jak ja ją mogę zobaczyć – rozległ się szept wuja Jema w jego umyśle, szept jak lina ratunkowa – dla mnie w świecie jest bardzo mało blasku i ciepła. Jestem bardzo oddalony od was wszystkich. Na całym świecie są tylko cztery punkty ciepła i blasku, które płoną dostatecznie mocno dla mnie, żebym poczuł coś jak osoba, którą byłem. Twoja matka, twój ojciec, Lucie i ty. Kochacie, drżycie i płoniecie. Nie pozwól, żeby ktokolwiek z nich mówił ci, kim jesteś. Jesteś płomieniem, którego nie można zgasić. Jesteś gwiazdą, której nie można stracić oczu. Jesteś tym, kim zawsze byłeś, i to jest wystarczające, więcej niż wystarczające. Każdy, kto spojrzy na ciebie i ujrzy ciemność, jest ślepy.

– Bardziej ślepy od Cichego Brata? – zapytał James i czknął.

Wuj Jem został Cichym Bratem bardzo młodo i wyglądał nietypowo: miał runy na policzkach, ale oczy, chociaż ocienione, nie zostały zaszyte. Mimo to James nie miał pojęcia, ile wuj widzi.

W jego umyśle rozległ się śmiech, a ponieważ James się nie śmiał, to musiał być śmiech wuja Jema. James przywarł do niego na jedną chwilę dłużej i powiedział sobie, że nie może poprosić wuja, żeby zabrał go do domu, do Cichego Miasta ani nigdzie indziej, jeśli miałyby go wtedy zabrać z tej szkoły pełnej nieznanomych, którzy nigdy go nie lubili, a teraz go znienawidzą.

Musieliby być bardziej ślepi od Cichego Brata – powiedział wuj Jem. Ponieważ ja cię widzę. Zawsze będę szukał u ciebie światła.

* * *

Gdyby James wiedział, jakie będzie odtąd jego życie w Akademii, poprosiłby wuja Jema, żeby zabrał go do domu.

Nie spodziewał się, że Mike Smith zerwie się na równe nogi z czystego przerażenia, kiedy James podejdzie do jego stołu.

– Chodź usiąść z nami! – zawołał Clive Cartwright, jeden

z przyjaciół Alastaira Carstairsa. – Może i jesteś Przyziemnym, ale przynajmniej nie jesteś potworem.

Mike uciekł z wdzięcznością. James widział, jak Esme wzdrygnęła się, kiedy przeszedł obok niej w korytarzu. Nie zamierzał narzucać jej znowu swojego towarzystwa.

Nie byłoby tak źle, gdyby do incydentu doszło gdzie indziej, wierzył James. To były święte korytarze, to były dzieci szykowane do Wstąpienia i przygotowywane do służby Aniołowi.

I to była szkoła, a tak działają szkoły. James czytał już wcześniej książki o szkołach, czytał o bojkotowaniu uczniów, do których nikt się nie odzywał. Widział, jak nienawiść może ogarnąć grupę, a to dotyczyło tylko Przyziemnych w obliczu przyziemnych osobliwości.

James był dziwniejszy niż wszystko, co Przyziemni mogli sobie wyśnić; nawet Nocni Łowcy nie uwierzyliby w coś tak dziwnego.

Wyprowadził się z sypialni Matthew na dół, w ciemność. Dostał własny pokój, ponieważ Przyziemni za bardzo się bali, żeby spać w tym samym pomieszczeniu co on. Nawet dziekan Ashdown się go bała. Wszyscy się go bali.

Zachowywali się, jakby chcieli się przeżegnać na jego widok, ale wiedzieli, że jest gorszy od wampira i że ten gest na nic się nie zda. Dygotali, kiedy jego wzrok zatrzymywał się na nich, jakby jego żółte demoniczne oczy mogły wypalić dziurę w ich duszach.

Oczy demona. James słyszał, jak szeptało to raz za razem. Nigdy nie pomyślał, że zatęskni za przewiskiem Kozioł.

Nigdy nie odzywał się do nikogo, siedział na końcu klasy, jadł najszybciej, jak się dało, a potem uciekał, żeby ludzie nie musieli patrzeć na niego podczas posiłku. Przemykał korytarzami Akademii jak znienawidzony i obmierzły cień.

Wuj Jem został zamieniony w Cichego Brata, ponieważ w przeciwnym wypadku umarłby. Miał swoje miejsce w świecie, miał przyjaciół i dom, a nieszczęście polegało na tym, że nie mógł pozostać w miejscu, do którego należał. Czasem po jego wizytach

James zastawał matkę stojącą w oknie, wyglądającą na ulicę, z której wuj Jem dawno zniknął, a ojca w pokoju muzycznym, wpatrującego się w skrzypce, których nikomu poza wujem Jemem nie wolno było dotykać.

Na tym polegała tragedia życia wuja Jema. To była tragedia rodziców Jamesa.

Jak by to było, gdyby w ogóle nie miało się swojego miejsca na świecie? Nikogo, kto mógłby cię pokochać? Co, jeśli nie mogłoby się być Nocnym Łowcą, czarownikiem ani niczym innym?

Może wtedy jesteś czymś gorszym niż tragedią. Może wtedy jesteś niczym.

James nie sypiał najlepiej. Pograżał się we śnie i nagle wybudzał się przestraszony, że ześlizguje się do innego świata, świata mroku, gdzie był tylko złym cieniem pośród cieni. Nie wiedział, jak dokonał tego wcześniej. Bał się, że to się powtórzy.

Może pozostali mieli na to nadzieję. Może modlili się, żeby stał się cieniem i zwyczajnie zgasł.

* * *

James obudził się pewnego ranka i nie mógł ani chwili dłużej znosić ciemności i wrażenia, że kamienne sklepienie i ściany napierają na niego. Wspiął się chwiejnie schodami i wyszedł przed szkołę.

Spodziewał się, że nadal trwa noc, ale jutrzienka rozjaśniła niebo, gwiazdy stały się niewidoczne na tle niemal białego nieboskłonu. Jedynym kolorem w górze była ciemna szarość chmur kłębiących się jak duchy wokół blednącego księżyca. Troszkę mżyło, James czuł drobne ukłucia chłodu na skórze. Usiadł na kamiennym stopniu przy tylnym wyjściu z Akademii, uniósł dłoń i patrzył, jak srebrzysta mżawka wpada w jej zagłębienie.

Żałował, że deszcz nie może go zmyć, zanim musiałby stawić czoło kolejnemu porankowi.

Patrzył na rękę, snując te życzenia, i zobaczył, że to znowu się dzieje. Poczuł obejmującą go zmianę i zobaczył, że jego dłoń ciemnieje i staje się przezroczysta. Ujrzał krople deszczu przelatujące przez cień jego dłoni, jakby w ogóle jej tam nie było.

Zastanawiał się, co Grace powiedziałyby na to, gdyby mogła go teraz zobaczyć.

Potem usłyszał chrzęst żwiru, dudnienie kroków. Trening u ojca sprawił, że James poderwał głowę, żeby sprawdzić, czy nikt nie jest ścigany, nikomu nie grozi niebezpieczeństwo.

Zobaczył Matthew Fairchilda biegnącego, jakby gonił go diabeł.

O dziwo, nosił strój bojowy, do którego włożenia nikt nie zmusił go groźbą (o ile James dobrze się orientował). A co jeszcze bardziej zdumiewające, wykonywał poniżające ćwiczenia fizyczne. Biegł szybciej niż wszyscy uczniowie, jakich James widział na treningu, możliwe nawet, że James nie widział jeszcze, żeby ktokolwiek biegł równie szybko. Biegł ponury, z zaciętą twarzą, w deszczu.

James patrzył chmurnie na Matthew, aż tamten spojrzał w niebo, zatrzymał się i powlekł się z powrotem do Akademii. James przez chwilę myślał, że zostanie zauważony, zastanawiał się, czy się nie zerwać i nie pobiec na drugą stronę budynku, ale Matthew nie ruszył w stronę drzwi.

Zamiast tego stanął pod kamienną ścianą Akademii, dziwnie poważny w czarnym stroju, z potarganymi wiatrem i mokrymi od deszczu blond włosami. Uniósł twarz do nieba i sprawiał wrażenie równie nieszczęśliwego jak James.

To nie miało sensu. Matthew miał wszystko, zawsze miał wszystko, podczas gdy James miał mniej niż nic. To doprowadziło Jamesa do furii.

– Co z tobą? – zapytał ostro.

Zaskoczony Matthew szarpnął się gwałtownie. Odwrócił się do

Jamesa i spojrzał na niego.

– Co?

– Może zauważyłeś, że moje życie jest w chwili obecnej dalekie od ideału – wycedził przez zęby James – więc daruj sobie ten swój tragiczny spektakl z powodu niczego i...

Matthew już nie opierał się o ścianę, a James nie siedział na schodku; obaj stali i nie była to lekcja walki. James pomyślał, że naprawdę będą walczyć; pomyślał, że mogą naprawdę zrobić sobie krzywdę.

– Och, najserdeczniej przepraszam, Jamesie Herondale – zaszydził Matthew. – Zapomniałem, że nikt nie może niczego zrobić, odezwać się słowem czy odetchnąć w tym miejscu, żeby nie narazić się na twój niezmiernie krytyczny osąd. Na pewno muszę robić z siebie widowisko bez powodu, skoro ty tak mówisz. Na Anioła, w jednej chwili zamieniłbym się z tobą miejscami.

– Zamieniłbyś się ze mną miejscami?! – krzyknął James. – To bzdura, kompletna bujda, za nic byś tego nie zrobił! Dlaczego miałbyś? Dlaczego w ogóle tak mówisz?

– Może prawda jest taka, że masz wszystko, czego ja chcę – warknął Matthew. – A ty nawet tego nie chcesz.

– Co? – zapytał osłupiały James.

Żył w odwróconym świecie, gdzie niebo było ziemią i nazwy wszystkich dni tygodnia zaczynały się od ostatniej litery. To było jedyne wyjaśnienie.

– Co?! Co mam, czego ty mógłbyś chcieć?

– Odesłaliby cię do domu, kiedy byś tylko zechciał – powiedział Matthew. – Próbują cię wypędzić. A niezależnie od tego, co ja robię, nie chcą mnie wyrzucić. Nie wyrzucą syna pani Konsul.

James się zdumiał. Deszcz spływał mu po policzkach i za kołnierzyk koszuli, ale on nawet tego nie czuł.

– Chcesz... żeby cię wyrzucili?

– Chcę wrócić do domu, w porządku? – warknął Matthew. –

Chcę być z moim ojcem!

– Co? – powtórzył znowu osłupiały James.

Matthew obrażał Nefilim, ale bez względu na swoje słowa zawsze sprawiał wrażenie, jakby pysznie się bawił. James wierzył, że Fairchild dobrze bawi się w Akademii, tak jak on nie mógł. Nigdy nie pomyślał, że naprawdę może być nieszczęśliwy. Nigdy nawet nie zastanowił się nad wujem Henrym.

Matthew skrzywił się, jakby miał się rozpłakać. Wpatrywał się z zacięciem w dal, a kiedy się odezwał, mówił ostrym tonem.

– Myślisz, że z Christopherem jest źle, ale z moim ojcem jest o wiele gorzej. Sto razy gorzej niż z Christopherem. Tysiąc. O wiele dłużej od Christophera ćwiczył bycie okropnym. Jest tak rozkojarzony, że nie może... nie może chodzić. Mógłby pracować nad jakimś nowym urządzeniem albo pisać do zaprzyjaźnionego czarownika z Ameryki o nowym wynalazku, albo badać, dlaczego jakiś stary przyrząd wybuchł, i nie zauważyć, że pałą mu się włosy. Nie przesadzam i nie żartuję, gasiłem już włosy na głowie mojego ojca. Matka jest zawsze zajęta, a Charles Buford wiecznie biega za nią i udaje ważnego. To ja opiekuję się ojcem. To ja go słucham. Nie chciałem wyjeżdżać do szkoły i zostawiać go. Robiłem, co w mojej mocy, żeby mnie wyrzucili i żeby wrócić do domu.

„Ja nie opiekuję się moim ojcem, to on opiekuję się mną”, chciał powiedzieć James, ale obawiał się, że byłoby to okrutne, skoro Matthew nigdy nie zaznał takiego niezachwianego bezpieczeństwa.

Przyszło mu na myśl, że może nadejść dzień, kiedy jego ojciec nie będzie już robił wrażenia wszytkowiedzącego i zdolnego rozwiązać każdy problem. Ta myśl sprawiła, że poczuł się nieswojo.

– Staraleś się, żeby cię wyrzuciono? – zapytał James.

Mówił powoli. Czuł się spowolniony.

Matthew machnął niecierpliwie ręką, jakby siekał niewidzialne

marchewki niewidzialnym nożem.

– Tak, to właśnie próbuję ci powiedzieć. Ale nic z tego. Ze wszystkich sił odgrywałem najgorszego Nocnego Łowcę na świecie, a oni nic. Pytam ciebie, co jest nie tak z dziekan Ashdown? Chce, żeby poląła się krew?

– Odgrywałeś najgorszego Nocnego Łowcę – powtórzył James. – Czyli wcale nie wierzysz w te gadki o obrzydliwości przemocy, prawdzie i pięknie, o Oscarze Wildzie?

– Nie, wierzę – zapewnił go pośpiesznie Matthew. – Naprawdę lubię Oscara Wilde’a. I cenię prawdę i piękno. Naprawdę uważam za nonsens to, że skoro urodziliśmy się tym, kim jesteśmy, nie możemy być malarzami, poetami, nie możemy niczego tworzyć i zajmujemy się tylko zabijaniem. Mój ojciec i Christopher są geniuszami, wiesz o tym? Prawdziwymi geniuszami. Jak Leonardo da Vinci. To był Przyziemny, który...

– Wiem, kto to jest Leonardo da Vinci.

Matthew zerknął na niego i się uśmiechnął. To był Uśmiech, stopniowy i olśniewający jak wschód słońca, i Jamesa ogarnęło fatalne przecucie, że może jednak nie jest na niego odporny.

– No jasne – powiedział Matthew. – Na chwilę zapomniałem, z kim rozmawiam. W każdym razie Christopher i mój ojciec są naprawdę błyskotliwi. Ich wynalazki już zmieniły sposób, w jaki Nocni Łowcy poruszają się po świecie, w jaki walczą z demonami. A mimo to Nocni Łowcy zawsze będą patrzeć na nich z góry. Nigdy nie dostrzegą, że ich wkład jest cenny. Tak samo jak kogoś, kto pisze sztuki, tworzy piękne dzieła sztuki; wyrzuciliby ich jak odpadki.

– Czy ty... tego właśnie chcesz? – zapytał z wahaniem James.

– Nie. Nie mam zielonego pojęcia o rysowaniu. Z pewnością nie potrafię pisać sztuk. O moich wierszach najlepiej w ogóle nie wspominać. Cenię jednak sztukę. Jestem doskonałym widzem. Jako widz przyćmiłbym całą Anglię.

– Mógłbyś być, ehm, aktorem – zasugerował James. – Kiedy

mówisz, wszyscy słuchają. Zwłaszcza gdy opowiadasz historie.

No i jeszcze twarz Matthew, pewnie świetnie sprawdziłaby się na scenie czy w podobnych okolicznościach.

– To miła myśl – powiedział Matthew – ale chyba wolałbym, żeby nie wyrzucano mnie z domu i żebym mógł widywać czasem ojca. Ponadto naprawdę myślę, że przemoc jest straszna i bezsensowna, ale jestem w niej dobry. Sprawia mi przyjemność. Oczywiście nie wygadam się z tego przed naszymi nauczycielami. Chciałbym być dobry w czymś, co doda piękna do świata, zamiast malować go krwią, naprawdę, ale wiesz, jak jest.

Wzruszył ramionami.

James uznał, że nie będą się jednak bić, więc usiadł z powrotem na stopniu. Czuł, że ma ochotę przysiąc.

– Myślę, że Nocni Łowcy mogą dodać piękna światu – powiedział. – Choćby to, że ratujemy życie. Wiem, że już to mówiłem, ale to bardzo ważne. Ludzie, których ratujemy... Każdy z nich może być następnym Leonardem da Vinci, Oscarem Wilde'em albo kimś, kto jest naprawdę dobry i w ten sposób szerzy piękno. Albo mogą być po prostu kimś, kto... jest kochany przez kogoś innego, jak ty kochasz ojca. Może masz rację, że Nocni Łowcy są bardziej ograniczeni, że nie dysponujemy takim wachlarzem możliwości jak Przyziemni, ale dzięki nam życie Przyziemnych jest możliwe. Właśnie po to się urodziliśmy. To przywilej. Nie zamierzam uciekać z Akademii. Nie ucieknę przed niczym. Mogę nosić Znaki, a to czyni mnie Nocnym Łowcą i tym będę, niezależnie od tego, czy Nefilim mnie chcą.

– Możesz być jednak Nocnym Łowcą bez ukończenia Akademii – powiedział Matthew. – Możesz trenować w Instytucie jak kiedyś wuj Will. Tego właśnie chciałem, żeby móc zostać z ojcem.

– Mógłbym, ale... – James się zawahał. – Nie chciałem, żeby odesłano mnie do domu. Matka dowiedziałaby się wtedy, z jakiego powodu.

Matthew milczał przez chwilę. Było słycać tylko szum

padającego deszczu.

– Lubię ciocię Tesę – powiedział. – Nigdy nie przyjeżdżałem do Londynu, bo obawiałem się zostawić ojca samego. Żałowałem... że nie może częściej przyjeżdżać do Idrisu.

James przeżył kilka wstrząsów tego ranka, które okazały się nie takie najgorsze, ale to odkrycie było niemiłe i nieuchronne. Oczywiście, że rodzice rzadko przyjeżdżali do Idrisu. Oczywiście, że James i Lucie wychowywali się w Londynie, trochę z dala od swojej rodziny.

Ponieważ w Idrisie mieszkali ludzie, aroganccy Nocni Łowcy, którzy uważali, że matka nie jest godna kroczyć między nimi, a ojciec nigdy nie pozwoliłby, żeby ją obrażano.

Teraz byłoby gorzej, teraz ludzie szeptaliby, że przekazała skazę dzieciom. James wiedział, że ludzie mówiliby okropne rzeczy na temat Lucie, jego bazgrzącej, roześmianej młodszej siostry. Lucie nigdy nie zostanie przyjęta do Akademii.

Matthew odchrząknął.

– Chyba mogę to zrozumieć. Może przestanę ci tak zazdrościć, bo ciebie mogą wyrzucić ze szkoły. Może jestem w stanie zrozumieć, że twoje cele są szlachetne. Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego musisz tak się obnosić z tym, że nie możesz ścierpieć mojego widoku. Wiem, wiem, jesteś wyniosły i chcesz, żeby zostawić cię w spokoju z twoją literaturą, ale wobec mnie jesteś szczególnie okropny. To bardzo poniżające. Większość ludzi mnie lubi. Mówiłem ci to. Nawet nie muszę się starać.

– Tak, jesteś świetnym Nocnym Łowcą i wszyscy cię lubią – powiedział James. – Dzięki za wyjaśnienie.

– Ty mnie nie lubisz! – wykrzyknął Matthew. – Staralem się! A ty nadal mnie nie lubisz.

– Rzecz w tym, że lubię skromnych ludzi. No wiesz, pokornych.

Matthew umilkł, przyglądając się przez chwilę Jamesowi, a potem wybuchł śmiechem. James był zdumiony tym, jaką przyjemność mu to sprawiło. Poczuł, że może wypowiedzieć

upokarzającą prawdę.

Zamknął oczy i wyznał:

– Zazdrościłem ci.

Kiedy otworzył oczy, Matthew patrzył nieufnie, jakby spodziewał się podstępu.

– Czego właściwie?

– No wiesz, nikt nie uważa cię za piekielne plugastwo chodzące po ziemi.

– Tak, ale, bez urazy, James, nikt poza tobą nim nie jest – wytknął mu Matthew. – Jesteś osobliwością w naszej szkole, jak rzeźba kurczącego wojownika. Gdybyśmy coś takiego mieli. Zresztą nie lubiłeś mnie, zanim ktokolwiek dowiedział się, że jesteś plugastwem z piekła rodem. Pewnie tylko starasz się mnie nie urazić. Miło z twojej strony. Rozu...

– Nie jestem wyniosły – przerwał mu James. – Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy.

– Pewnie z powodu twojej wyniosłości – snuł przypuszczenia Matthew.

– Jestem kujonem – odparł James. – Przez cały czas czytam książki i nie potrafię rozmawiać z ludźmi. Gdybym był dziewczyną, która żyje w dawnych czasach, ludzie nazywaliby mnie sawantką. Chciałbym umieć rozmawiać z ludźmi tak jak ty. Chciałbym umieć uśmiechać się i sprawiać, że inni mnie lubią. Chciałbym opowiadać historie i żeby wszyscy mnie słuchali, chciałbym, żeby ludzie wszędzie za mną chodzili. Nie, właściwie nie, bo ludzie mnie trochę przerażają, ale mimo to chciałbym umieć to samo co ty. Chciałbym przyjaźnić się z Thomasem i Christopherem, bo ich lubię i myślałem, że może są trochę... podobni do mnie i też mogliby mnie polubić. Zazdrościłeś mi, że mogę wylecieć ze szkoły? Ja pierwszy ci zazdrościłem. Wszystkiego, co ciebie dotyczy. I nadal ci zazdrozczę.

– Czekaj – powiedział Matthew. – Czekaj no, chwileczkę. Nie lubisz mnie, bo jestem tak bardzo czarujący?!

Odchylił głowę i wybuchł śmiechem. Nie przestawał się śmiać. Śmiał się tak bardzo, że musiał usiąść obok Jamesa na schodku i jeszcze bardziej się zaniósł śmiechem.

– Przestań – burknął James. – Przestań się śmiać. Dzielę się z tobą najbardziej osobistymi uczuciami. To bardzo przykre.

– Przez cały czas byłem w podłym humorze – powiedział Matthew. – Myślisz, że jestem czarujący? Nawet nie masz pojęcia!

James szturchnął go w ramię. Uśmiechnął się wbrew sobie. Matthew to zauważył i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

* * *

Jakiś czas później w porze śniadania Matthew zdecydowanie poprowadził Jamesa do swojego stolika. James zauważył, że siedzą przy nim tylko Christopher i Thomas, dość wyselekcjonowane grono.

Christopher i Thomas, ku kolejnemu zaskoczeniu Jamesa tego poranka pełnego niespodzianek, robili wrażenie ucieszonych jego widokiem.

– O, zdecydowałeś, że już nie będziesz nienawidził Matthew? – zapytał Christopher. – Bardzo się cieszę. Naprawdę raniłeś jego uczucia. Chociaż mieliśmy ci o tym nie mówić. – Spojrzał z rozmarzeniem na koszyk z chlebem, jakby to był piękny obraz. – Zapomniałem o tym.

Thomas położył głowę na stole.

– Dlaczego jesteś, jaki jesteś?

Matthew poklepał Thomasa po plecach, a potem uratował Christophera przed podpaleniem rękawa świeczką. Podał z uśmiechem świeczkę Jamesowi.

– Jeśli kiedykolwiek zauważysz Christophera w pobliżu otwartego ognia, odsuń Christophera od ognia, albo ogień od

Christophera – powiedział. – Wspomóż mnie w tej szlachetnej walce. Muszę nieustannie uważać.

– To musi być trudne, kiedy otacza cię, ehm, wielbiąca cię publika – odpowiedział James.

– Ach – zaczął Matthew i zawahał się. – Możliwe... – dodał i znowu urwał. – Być może trochę się... popisywałem. „Popatrz, nie chcesz się ze mną przyjaźnić, a wszyscy inni chcą, więc popełniasz duży błąd”. Możliwe, że to robiłem. Niewykluczone.

– To już koniec? – zapytał Thomas. – Dzięki niech będą Aniołowi. Duże tłumy ludzi wyprowadzają mnie z równowagi! Wiesz, że nigdy nie wiem, co im powiedzieć! Nie jestem błyskotliwy jak ty ani wyniosły i tak dalej jak James, ani nie jestem takim roztrzepańcem jak Christopher. Wstąpiłem do Akademii, żeby uciec przed rozstawiającymi mnie po kątach siostrami, ale one mniej mnie denerwują niż latające tarany i nieustanne przyjęcia. Czy moglibyśmy czasem posiedzieć w spokoju i ciszy?!

James spojrział na Thomasa.

– Wszyscy uważają, że jestem wyniosły?

– Skąd, większość uważa cię za piekielne plugastwo chodzące po ziemi – odpowiedział wesoło Matthew. – Zapomniałeś?

Thomas wyglądał, jakby był gotowy znowu położyć głowę na stole, ale rozchmurzył się, kiedy zobaczył, że James się nie obraził.

– A to dlaczego? – zapytał uprzejmie Christopher.

James spojrział na niego.

– Bo potrafię zamienić się z krwi i kości w koszmarne ciemności?

– O! – zainteresował się Christopher i jego rozkojarzone oczy spojrzały na chwilę przytomnie. – To bardzo ciekawe – powiedział spokojnie do Jamesa. – Powinieneś pozwolić mnie i wujowi Henry’emu przeprowadzić na tobie kilka eksperymentów. Moglibyśmy przeprowadzić eksperyment w tej chwili.

– Nie, nie moglibyśmy – powiedział Matthew. – Żadnych eksperymentów podczas śniadania. Dodaj to do swojej listy.

Christopher westchnął.

I tak po prostu, jakby to od początku było takie łatwe, James zyskał przyjaciół. Zgodnie z przewidywaniami rzeczywiście polubił Thomasa i Christophera.

Jednak ze wszystkich nowych przyjaciół najbardziej lubił Matthew. Matthew zawsze chciał porozmawiać o książkach, które James przeczytał, albo opowiedzieć mu historię równie wciągającą jak powieść. Widać było, że stara się znaleźć Jamesa, kiedy go nie było w pobliżu, i że próbuje go bronić, kiedy James był. James nie miał za wielu miłych rzeczy do przekazania w listach do domu, więc ostatecznie pisał listy pełne Matthew.

Wiedział, że Matthew pewnie mu współczuje. Fairchild zawsze opiekował się Christopherem i Thomasem z tą samą troską, z jaką pewnie opiekował się ojcem. Miał dobre serce.

Jamesowi to nie przeszkadzało. Teraz, kiedy absolutnie nie wchodziło to w rachubę, chętnie dzieliliby pokój z Matthew.

– James, dlaczego ludzie wołają na ciebie Oczy Demona? – zapytał pewnego dnia Christopher, kiedy siedzieli wokół stołu i studiowali relacje Ragnora Fella na temat Pierwszego Porozumienia.

– Bo mam oczy tak złote, jakby były podświetlone upiornymi ogniami piekielnymi – odpowiedział James.

Słyszał, jak pewna dziewczyna wyszeptała te słowa, i uznał, że brzmią całkiem poetycko.

– Aha. Czy poza tym w czymś jeszcze przypominasz swojego dziadka? Tego demonicznego, rzecz jasna.

– Nie możesz tak po prostu pytać ludzi, czy przypominają swojego demonicznego dziadka! – jęknął Thomas. – Zaraz zapytasz profesora Fella, czy przypomina swojego demonicznego rodzica! Proszę, błagam, nie pytaj profesora Fella, czy przypomina swojego demonicznego rodzica. Ma cięty język. Poza

tym może cię pociąć nożem.

– Fell? – spytał Christopher.

– Nasz nauczyciel – wyjaśnił Matthew. – Nasz zielony nauczyciel.

Christopher sprawiał wrażenie szczerze zdumionego.

– Mamy nauczyciela, który jest zielony?

– James przypomina ojca – odezwał się nieoczekiwanie Matthew, a potem zmrużył roześmiane ciemne oczy, patrząc w zamyśleniu na Jamesa. – A przynajmniej będzie, kiedy dorośnie do jego twarzy i przestanie wyglądać jak zbiorowisko kątów zwróconych w różne strony.

James powoli uniósł książkę, żeby ukryć twarz, ale w głębi duszy było mu przyjemnie.

* * *

Przyjaźń z Matthew sprawiła, że powoli pojawiali się także inni przyjaciele. Esmé przyparła raz Jamesa do muru i powiedziała, że ogromnie jej przykro, że Mike zachował się jak idiota. Powiedziała mu także, że ma nadzieję, że nie uzna tego przyjacielskiego wyrazu troski za przejaw czegoś poważniejszego.

– Właściwie to mam pewną *tendresse* do Matthew Fairchilda – dodała. – Szepnij mu, proszę, dobre słówko na mój temat.

Życie było o wiele, wiele lepsze teraz, gdy miał przyjaciół, ale to nie znaczy, że było idealne, ani nawet, że wróciło do normy. Ludzie nadal się go bali, nadal syczeli „Oczy Demona” i mruczeli coś na temat nieczystych cieni.

– *Pulvis et umbra sumus* – powiedział raz James głośno na zajęciach, kiedy usłyszał zbyt wiele szeptów. – Mój ojciec mawia tak czasem. Jesteśmy tylko prochem i cieniem. Może ja po prostu... trochę was wyprzedziłem.

Kilka osób w klasie się zaniepokoiło.

– Co on powiedział? – szepnął wyraźnie poruszony Mike Smith.

– To nie jest demoniczny język, pajacu – warknął Matthew. – To łacina.

Mimo wszelkich starań Matthew szept przybierały na sile. James cały czas spodziewał się katastrofy.

I wtedy wypuszczono w lesie demony.

* * *

– Będę w parze z Christopherem – powiedział z rezygnacją Thomas w czasie następnego ćwiczenia na treningu.

– Doskonale, a ja z Jamesem – odrzekł Matthew. – Przypomina mi o szlachetności naszego sposobu życia. Utrzymuje mnie na właściwej drodze. Bez niego rozproszyłbym się, podziwiając piękno i prawdę. Na pewno.

Nauczyciele byli ogromnie zadowoleni, że Matthew zaczął brać udział w treningach, pomijając te tylko dla elity, w których (jak doniósł Thomas) Matthew nadal uparcie był beznadziejny.

James nie wiedział, dlaczego nauczyciele tak się martwili. To było oczywiste, że gdyby ktokolwiek znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie, Matthew natychmiast rzuciłby mu się na pomoc.

James cieszył się, że jest tego pewien, kiedy szli przez las. To był wietrzny dzień i miał wrażenie, że wszystkie drzewa pochylają się, żeby zawyc mu do ucha. Wiedział, że starsi uczniowie umieścili w lesie skrzynki Pyxis. Pyxis z najmniejszymi i najmniej szkodliwymi demonami, ale i tak były to prawdziwe Pyxis z prawdziwymi demonami w środku, z którymi mieli walczyć. Pyxis były już trochę przestarzałe, ale nadal posługiwano się nimi czasem, żeby bezpiecznie przetransportować demony. O ile cokolwiek, co ma związek

z demonami, może być bezpieczne.

Ciotka Ella, której James nigdy nie spotkał, zginęła zabita przez demona z Pyxis, kiedy była młodsza niż James teraz.

Wydawało się, że wszystkie drzewa szepczą o demonach.

Jednakże obok niego szedł Matthew i obaj byli uzbrojeni. Mógł zaufać sobie, że zabije małego, prawie bezsilnego demona, a skoro mógł zaufać sobie, to tym bardziej Matthew.

Czekali, szli, znowu czekali. Wśród drzew rozległ się szelest. Okazało się, że to wiatr i pojedynczy królik.

– Może starsze lata zapomniały rozłożyć dla nas demony – zasugerował Matthew. – Jest taki piękny wiosenny dzień. W takich chwilach myśli człowieka powinny napełnić się miłością i kwiatami, nie demonami. Kim jestem, by osądzać...

Matthew nagle zamilkł. Złapał Jamesa za rękę, zaciskając mocno palce. James spojrzał w dół na to, co przyjaciel odkrył we wrzosach.

To był Clive Cartwright, przyjaciel Alastaira. Nie żył.

Oczy miał otwarte, wpatrywał się w pustkę, a w jednej ręce ścisnął puste Pyxis.

James złapał Matthew za rękę i obrócił się z nim wkoło, rozglądając się, czekając. Wiedział już, co się stało – „Nastraszymy Demoniczne Oczy, demon nie skrzywdzi swojego, wypędźmy go raz a dobrze za pomocą demona, który okaże się większy, niż się spodziewał”.

Nie potrafił zgadnąć, co to za demon, ale na to pytanie poznał odpowiedź, kiedy demon wypadł na nich z lasu.

To był demon Vetis, niemal ludzkiego kształtu, ale nie całkiem; włókł swoje szare, pokryte łuskami ciało przez opadłe liście. James zobaczył podobne do węgorki główki na jego rękach unoszące się jak łby pointerów na polowaniu.

James wyślizgnął się z ciała w cień bez zastanowienia i równie łatwo, jakby skoczył do wody komuś na ratunek. Podbiegł niezauważony do Vetisa i unosząc miecz, odciął od ręki jedną

z jego głów. Odwrócił się, żeby stawić czoło drugiej ręce. Chciał zawołać Matthew, ale kiedy się obejrzał, zobaczył go wyraźnie mimo skrzęcej się szarości otaczającego go świata. Matthew już zdjął z pleców łuk, napiął go i uniósł. James widział jego zmrużone oczy, determinację i skupienie, które zawsze kryły się za śmiechem i pozostałyby, gdyby odrzeć go z tego śmiechu.

Matthew trafił Vetisa w czerwonoooką twarz o ostrych zębach znajdującą się na końcu szyi, w tej samej chwili, w której James odciął drugą głowę na ręce. Demon zachwiał się, a potem padł na bok wstrząsany przedśmiertnymi drgawkami.

A James popędził już przez las, poprzez wiatr i szepty, nie obawiając się niczego. Matthew biegł za nim. Znalazł Alastaira i jego drugiego przyjaciela. Ukrywali się za drzewem. Podkraśli się do nich, cień wśród kłębiących się cieni rozkołysanych na wietrze drzew, i przystawił miecz do gardła Alastaira.

Póki James dotykał miecza, nikt nie mógł go ujrzyć, ale Alastair poczuł ostrze na gardle i wyrwał mu się zduszony okrzyk.

– Nic takiego nie miało się wydarzyć! – wykrzyknął przyjaciel Alastaira, rozglądając się gorączkowo. Alastair miał dość rozumu, żeby milczeć. – To był pomysł Clive’a. Powiedział, że wreszcie się ciebie pozbędziemy... Chciał cię tylko nastraszyć.

– A kto się boi? – szepnął James. Słyszał, jak przestraszeni chłopcy wciągają gwałtownie powietrze. – Ja się nie boję. Jeśli jeszcze raz mnie zaatakujecie, nie ja na tym ucierpię. Uciekajcie!

Para, która kiedyś była trójką, uciekła, potykając się. James docisnął do kory drzewa rękę zaciśniętą na rękojeści miecza i siłą woli wrócił do świata namacalności i słońca. Zobaczył, że Matthew wpatruje się w niego. Cały czas wiedział, gdzie dokładnie znajduje się James.

– Jamie – powiedział Matthew, zaniepokojony, ale wyraźnie pod wrażeniem. – To było przerażające.

– Po raz ostatni mówię: James.

– Nie, jeszcze przez jakiś czas będę ci mówił Jamie, bo właśnie

popisałeś się tajemną mocą i nazywanie cię „Jamie” sprawia, że czuję się ciut lepiej.

James roześmiał się słabo, a to sprawiło, że Matthew się uśmiechnął.

* * *

Dopiero później dotarło do nich, że jeden uczeń nie żyje, a Nocni Łowcy obawiają się i nie ufają demonom, że potrzebny będzie kozioł ofiarny. James dowiedział się dopiero następnego dnia, że o wszystkim poinformowano jego rodziców i że on, James Herondale, został oficjalnie wydalony ze szkoły. Trzymano go w infirmerii do przyjazdu ojca. Nie powiedziano, że to z powodu krat w drzwiach infirmerii.

Przyszła Esme, uściskała Jamesa i obiecała, że po Wstąpieniu go odwiedzi.

Ragnor Fell wszedł ciężkim krokiem i przez chwilę James myślał, że zostanie poproszony o przedstawienie pracy domowej. Zamiast tego stanął nad jego łóżkiem i powoli pokręcił rogatą głową.

– Czekałem, aż poprosisz mnie o pomoc – powiedział. – Myślałem, że może będzie z ciebie czarownik.

– Zawsze chciałem być tylko Nocnym Łowcą – odparł bezradnie James.

– Jak wy wszyscy, Nocni Łowcy – orzekł Ragnor z typowym dla siebie niesmakiem.

Christopher i Thomas także go odwiedzili. Christopher przyniósł kosz z owocami, bo odniósł fałszywe wrażenie, że James leży w infirmerii z powodu choroby. Thomas kilka razy przeprosił za kuzyna.

James nie zobaczył się jednak z Matthew aż do przyjazdu ojca. Rodzic nie próbował oczarować pani dziekan. Twarz miał

ponurą, gdy po raz ostatni prowadził Jamesa lśnącymi, szarymi korytarzami Akademii, pod płonącymi barwami witrażowego anioła. Schodził po stopniach i kroczył korytarzami, jakby prowokował wszystkich, żeby spróbowali obrazić Jamesa.

James wiedział jednak, że nikt się nie odważy – nie przy jego ojcu. Ale będą szeptali za jego plecami i do ucha Jamesa przez resztę jego życia.

– Powinieneś był nam powiedzieć, Jamie – powiedział ojciec. – Jem nam wyjaśnił, dlaczego tego nie zrobiłeś.

– Jak się miewa matka? – zapytał szeptem James.

– Płakała, kiedy Jem jej opowiedział, i powiedziała, że jesteś jej kochanym synkiem. Myślę, że prawdopodobnie zamierza cię udusić, a potem upiec ci tort.

– Lubię torty – odparł w końcu James.

Tyle cierpienia, tyle trudu, żeby zaoszczędzić jej bólu, i na co się to zdało? – myślał James, wychodząc z Akademii. Oszczędził jej tylko miesiąca albo dwóch cierpienia. Miał nadzieję, że to nie oznacza, że jest nieudacznikiem. Miał nadzieję, że wuj Jem nadal będzie go uważał za wartego zachodu.

Zobaczył, że Matthew stoi na dziedzińcu z rękami w kieszeniach i rozpromieniony. W końcu przyszedł się pożegnać. Jednak warto było zostać chwilę dłużej w Akademii, żeby zdobyć takiego przyjaciela.

– Wydalili cię ze szkoły? – zapytał Matthew, co James uznał za trochę głupie pytanie.

– Tak – odparł z wahaniem, wskazując głową na ojca i kufer.

– Tak myślałem – odparł Matthew, kiwając głową tak żywiołowo, że potargały mu się starannie ułożone włosy. – Dlatego musiałem działać. Chciałem mieć jednak całkowitą pewność. Widzisz, James, rzecz w tym...

– Czy to nie Alastair Carstairs? – zapytał z ożywieniem ojciec.

Alastair nie spojrział Jamesowi w oczy, kiedy szedł w ich stronę chyłkiem. Zdecydowanie nie odpowiedział na promienny

uśmiech ojca. Sprawiał wrażenie głęboko zainteresowanego kamiennymi płytami dziedzińca.

– Chciałem tylko powiedzieć... że przykro mi z powodu wszystkiego – wymamrotał. – Powodzenia.

– Och. Dzięki – odparł James.

– Bez urazy, stary – wtrącił Matthew – ale w ramach dowcipu przeniosłem wszystkie twoje rzeczy do południowego skrzydła. Sam nie wiem czemu! Chłopięca werwa, ot co.

– Co takiego?! – Alastair rzucił Matthew udręczone spojrzenie, a potem oddalił się pośpiesznie.

Matthew odwrócił się do ojca Jamesa i dramatycznym gestem klasnął w dłonie.

– Och, panie Herondale! Jakże mi miło pana poznać!

– Matthew, zgadza się? – zapytał ojciec.

Próbował uwolnić rękę, którą Matthew ścisnął z wielką determinacją.

James się uśmiechnął. Powinien był opowiedzieć ojcu o determinacji przyjaciela.

– Widzi pan – ciągnął Matthew – ja także zostałem wydalony z Akademii.

– Ty? Kiedy? Dlaczego?! – wykrzyknął James.

– Za jakieś cztery minuty – odpowiedział Matthew. – Ponieważ złamałem dane słowo i wysadziłem południowe skrzydło szkoły.

James i ojciec spojrzeli na południowe skrzydło. Stało i wyglądało, jakby zamierzało tak stać przez kolejne stulecie.

– Miałem nadzieję, że nie dojdzie do tego, ale niestety. Dałem Christopherowi pewne surowce, o których wiedziałem, że zrobi z nich materiał wybuchowy. Odmierzyłem je precyzyjnie, upewniłem się, że zapłon będzie powolny, i kazałem Thomasowi przysiąc, że zabierze stamtąd kuzyna. Zostawiłem list, w którym napisałem, że to wszystko moja wina, ale nie chcę wyjaśniać tego matce. Proszę zabrać mnie do Londyńskiego Instytutu, żebym mógł się uczyć razem z Jamesem na Nocnego Łowcę!

– Charlotte obetnie mi głowę – powiedział ojciec.

Jednakże widać było, że odczuwa pokusę. Matthew promieniował szelmowstwem, stojąc przed nim, a ojciec uwielbiał szelmstwo. Poza tym nie był odporny na Uśmiech bardziej niż inni.

– Ojczy, proszę – odezwał się cicho James.

– Panie Herondale, proszę! – dodał też Matthew. – Nie można nas rozdzielać.

James przygotował się na wyjaśnienia na temat prawdy i piękna, ale zamiast tego Matthew oznajmił z druzgocącą prostotą:

– Zostaniemy *parabatai*.

James spojrział na niego oniemiały.

– Ach, rozumiem – powiedział ojciec.

Matthew pokiwał głową i uśmiechnął się zachęcająco.

– Wobec tego nikt nie powinien stawać między wami – dodał ojciec.

– Nikt. – Matthew pokręcił głową, a potem nią pokiwał. Wyglądał anielsko. – Właśnie.

– Dobrze więc – orzekł ojciec. – Ładujcie się do powozu.

– Ojczy, nie ukradłeś znowu powozu wujowi Gabrielowi.

– Masz kłopoty. Chciałby, żebym go wziął, i dałby mi go, gdybym poprosił, a tak się składa, że tego nie zrobiłem.

Pomógł wsiąść Matthew, włożył na miejsce jego kufer i solidnie go umocował. Zrobił przy tym zdziwioną minę. James podejrzewał, że kufer przyjaciela jest znacząco cięższy od jego własnego. Potem pomógł Jamesowi usadowić się obok Matthew, po czym sam usiadł obok syna. Złapał cugle i odjechali.

– Kiedy południowe skrzydło się zawali, będzie latało sporo gruzu – zauważył ojciec. – Każdemu z nas może się coś stać. – Mówił to wesołym tonem. – Najlepiej będzie, jeśli po drodze zajrzemy do Cichych Braci.

– To chyba lekka przesa... – zaczął Matthew, ale James

szturchnął go łokciem.

Matthew niedługo się dowie, jaki stosunek ma ojciec do Cichych Braci.

W każdym razie uznał, że przyjaciel nie ma prawa zarzucać nikomu przesady, kiedy sam wysadził Akademię.

– Pomyślałem sobie, że moglibyśmy podzielić czas treningów między Londyńskim Instytutem i moim domem – rzekł Matthew. – Domem pani Konsul. Gdzie ludzie nie mogą cię obrażać i zacząć przywykać do twojej obecności.

Matthew mówił serio o wspólnej nauce, pomyślał James. Wszystko to sobie przemyślał. A jeśli on sam będzie częściej bywał w Idrisie, to może też częściej będzie widywał Grace.

– Bardzo chętnie – powiedział. – Wiem, że chciałbyś częściej widywać ojca.

Matthew się uśmiechnął. Za ich plecami wybuchła Akademia. Powóz zakołysał się lekko pod wpływem fali uderzeniowej.

– Nie... Nie musimy zostać *parabatai* – dodał Matthew; jego głos zabrzmiał cicho na tle wybuchu. – Powiedziałem tak, żeby twój ojciec mnie zabrał i żebym mógł zrealizować swój plan, ale nie... nie musimy. Chyba że... może też tego chcesz.

James myślał, że chce mieć takiego przyjaciela jak on sam, nieśmiałego i cichego, który będzie rozumiał, jaką grozą napawają go przyjęcia. Zamiast tego poznał Matthew, który był duszą każdego przyjęcia, wyczyniał straszliwe rzeczy z włosami i był nieoczekiwanie i straszliwe dobry. Który starał się być jego przyjacielem i nie ustawał w staraniach, chociaż James nie miał pojęcia, jak wyglądają próby zdobycia przyjaciela. Który widział Jamesa nawet, gdy ten był cieniem.

– Tak – odpowiedział po prostu.

– Co? – spytał Matthew, który zawsze wiedział, co powiedzieć.

– Chciałbym.

Wziął pod jedną rękę ojca, pod drugą Matthew i tak ich trzymał przez całą drogę do domu.

Akademia Nocnych Łowców, 2008

– Zatem James odnalazł *parabatai* i wszystko dobrze się skończyło – powiedział Simon. – Pysznie.

James był synem Tessy Gray, jak zorientował się Simon w trakcie opowieści. To była dziwna myśl; sprawiła, że tamten zagubiony chłopiec wydał mu się bardzo bliski, on i jego przyjaciel. Simonowi spodobał się ten James. Polubił też Tessę.

I chociaż zaczynał mieć wrażenie, nawet bez swoich wspomnień, że nie zawsze lubił Jace'a Herondale'a, to teraz go lubił.

Catarina przewróciła oczami tak bardzo, że Simonowi wydawało się, że słyszy, jak poturlały się z brzękiem niczym malutkie, poirytowane kule do kręgli.

– Nie, Simonie. Akademia wypędziła Jamesa Herondale'a, ponieważ był inny, i ludzie, którzy go pokochali, mogli jedynie odejść razem z nim. A ludzie, którzy ich wypędzili, musieli odbudować część swojej bezcennej Akademii, zwracam uwagę.

– Ehm, przepraszam, czy morał, jaki powinienem wyciągnąć z tej opowieści, brzmi: „wynoś się, wynoś się stąd najszybciej, jak się da”?

– Możliwe. A może morał jest taki, żebyś zaufał przyjaciołom. Może nie jest taki, że ludzie w przeszłości źle postąpili, ale że my teraz musimy starać się ze wszystkich sił postępować lepiej. Może morał jest taki, że sam musisz to rozgryźć. Myślisz, że wszystkie lekcje prowadzą do prostych wniosków? Nie bądź dzieckiem. Nie jesteś już nieśmiertelny. Nie masz tyle czasu do zmarnowania.

Simon uznał, że tymi słowami Catarina go odprawia, więc zebrał książki.

– Dzięki za opowieść, pani Loss.

Zbiegł po schodach i wybiegł z budynku, ale spóźnił się, jak się

spodziewał.

Wypadłszy za próg, zobaczył motłoch, brudny i zmęczony, idący ramie w ramie chwiejnym krokiem. Marisol szła pierwsza, trzymając pod rękę George'a. Wyglądała, jakby ktoś próbował wyrwać jej wszystkie włosy.

– Gdzieś ty był, Lewis?! – zawołała. – Przydałbyś nam się jako kibic, kiedy wygrywaliśmy!

Kawałek za nimi szła elita. Jon miał bardzo nieszczęśliwą minę, co napełniło Simona głębokim spokojem.

Zaufaj przyjaciołom, powiedziała Catarina.

Simon mógł się wstawić za Przyziemnymi na zajęciach, ale większe znaczenie miało, gdy odzywali się też George, Marisol i Sunil. Simon nie chciał niczego zmieniać jako ktoś specjalny, wyjątkowy Przyziemny, były Chodzący za Dnia, eksbohater. Oni wszyscy postanowili wstąpić do Akademii, żeby też spróbować być bohaterami. Mogli wygrać bez niego.

Był jeszcze jeden powód, którym mogła kierować się Catarina, a którego nie wyjawiała, pomyślał Simon.

Usłyszała tę historię od swojego nieżyjącego przyjaciela Ragnora Fella.

Wysłuchiwała historii przyjaciela, tak jak James Herondale słuchał opowieści ojca. Póki powtarzała te historie, póki ktoś ich słuchał, jej przyjaciel nie przepadł bez reszty.

Może powinienem napisać do Clary, pomyślał, tak samo jak do Isabelle? Może mógł zaufać jej, że będzie go kochała niezależnie do tego, jak często ją zawiedzie. Może był gotowy wysłuchać historii o sobie i o niej. Nie chciał stracić przyjaciela.

* * *

Simon pisał list do Clary, kiedy wszedł George, wycierając rącznikiem włosy. Wziął sprawy w swoje ręce i zaryzykował

wzięcie prysznic w łazience dla motłochu.

– Cześć – powiedział Simon.

– Cześć. Gdzie byłeś, kiedy graliśmy? Już myślałem, że nigdy nie wrócisz i będę musiał zaprzyjaźnić się z Jonem Cartwrightem. A kiedy o tym pomyślałem, ogarnęła mnie taka rozpacz, że postanowiłem znaleźć jedną z tych żab, które wiem, że tu żyją, założyć jej małe żabie okulary i nazwać ją Simon 2.0.

Simon wzruszył ramionami, nie bardzo wiedząc, ile powinien powiedzieć.

– Catarina zatrzymała mnie po lekcji.

– Uważaj, bo ktoś zacznie rozpowiadać plotki o was dwojgu. Oczywiście ja cię nie osądzam. Jest ewidentnie bardzo... błękitnie czarująca.

– Opowiadała mi długą historię o Nocnych Łowcach, którzy okazali się dupkami, i o *parabatai*. Co właściwie myślisz o tym pomysle z *parabatai*? Run *parabatai* jest jak bransoletka przyjaźni, której nigdy nie można zdjąć.

– Myślę, że to brzmi fajnie. Chciałbym mieć kogoś, kto zawsze będzie mnie osłaniał. Kogoś, na kogo mógłbym liczyć w tych chwilach, gdy ten przerażający świat staje się jeszcze bardziej przerażający.

– To brzmi tak, jakbyś wiedział, kogo byś poprosił.

– Poprosiłbym ciebie, Si – odpowiedział George z nieśmiałym, zakłopotanym uśmiechem – ale wiem, że ty nie poprosiłbyś mnie. Wiem, kogoś byś poprosił. To żaden problem. Nadal mam Simona Ropucha – dodał w zadumie. – Chociaż nie wiem, czy będzie z niego Nocny Łowca.

Simon zaśmiał się z żartu, zgodnie z intencjami George'a, dzięki czemu sytuacja nie była już tak niezręczna.

– Jak było pod prysznicem?

– Powiem tylko jedno słowo. Smutne, bardzo smutne słowo. Ciężko. Musiałem się jednak umyć, potwornie się uświłem. Nasze zwycięstwo było niesamowite, ale ciężko zapracowane.

Dlaczego Nocni Łowcy są tacy giętki, Simonie? Dlaczego?!

George narzekał dalej na entuzjastyczne, chociaż nieumiejętne próby gry w baseball Jona Cartwrighta, ale Simon nie słuchał.

„Wiem, kogo byś poprosił”.

Powróciło do niego wspomnienie, jak to się czasem zdarzyło, tnąc go niczym nożem. Kocham cię, powiedział do Clary. Powiedział to, wierząc, że umrze. Chciał, żeby to były jego ostatnie słowa przed śmiercią, najprawdziwsze, jakie mógł wypowiedzieć.

Przez cały czas myślał o swoich dwóch możliwych życiach, ale nie miał dwóch możliwości. Miał jedno prawdziwe życie, z prawdziwymi wspomnieniami i prawdziwą najlepszą przyjaciółką. Miał swoje dzieciństwo takie, jakie było naprawdę, kiedy trzymał się z Clary za rękę, gdy przechodzili przez ulicę, i ostatni rok taki, jaki naprawdę się wydarzył, z Jace'em, który uratował mu życie (a on sam uratował życie Isabelle), i z Clary, bo Clary zawsze przy nim była, zawsze.

To inne życie, tak zwane normalne życie bez najlepszej przyjaciółki, było fałszem. Było jak ogromny gobelin przedstawiający jego życie, gdzie nici wszystkich kolorów tęczy tworzyły poszczególne sceny, ale brakowało jednego, najżywszego koloru. Ten wydarto.

Simon lubił George'a, lubił wszystkich przyjaciół w Akademii, ale nie był Jamesem Herondale'em. Miał już przyjaciół, zanim się tu zjawił.

Przyjaciół, dla których żył i gotów był zginąć, obecnych we wszystkich jego wspomnieniach. Inni Nocni Łowcy, zwłaszcza Clary, stanowili jego część. To ona była kolorem, który wydarto, barwną nicią przeplatającą się przez jego wspomnienia od pierwszego do ostatniego. Czegoś brakowało we wzorze jego życia, gdy nie było tam Clary, i tak pozostanie, dopóki jej nie przywróci.

Mój najlepszy przyjaciel, pomyślał Simon. Kolejna rzecz warta

życia w tym świecie, warta bycia Nocnym Łowcą. Może nie zechce zostać jego *parabatai*. Bóg jeden wie, że Simon to nic nadzwyczajnego. Jeśli jednak przetrwa szkołę, jeżeli zdoła zostać Nocnym Łowcą, odzyska wszystkie wspomnienia ze swoją przyjaciółką.

Mógł postarać się, żeby zyskać więź, jaka łączyła Jace'a i Aleca, Jamesa Herondale'a i Matthew Fairchilda. Mógłby zapytać, czy zgodziłyby się na rytuał i powiedziała głośno światu o tym, co ich łączy, i że jest to niezniszczalne.

Mógł ją przynajmniej zapytać.

1 Parafraza cytatu w przekładzie Marii Feldmanowej.

Zło, które kochamy

Cassandra Clare i Robin Wasserman



Istnieje tak wiele sposobów, żeby zniszczyć list, pomyślał Simon Lewis. Można podrzeć go na strzępki. Można podpalić. Można nakarmić nim psa... Albo demoniczną hydrę. Można wysłać go Bramą na Hawaje dzięki pomocy zaprzyjaźnionego czarownika z sąsiedztwa i wrzucić w czeluście wulkanu. Zważywszy, na ile sposób można zniszczyć list, fakt, że Isabelle Lightwood zwróciła jego list nietknięty, był czymś znaczącym. Może to był dobry znak.

Albo chociaż nie tak całkowicie straszliwy znak.

A przynajmniej to wmawiał sobie Simon przez ostatnie kilka miesięcy.

Jednakże nawet on musiał przyznać, że kiedy wspomniany list był w pewnym sensie listem miłosnym, który zawierał takie płynące z serca i upokarzające frazy jak „jesteś niesamowita” i „wiem, że jestem gościem, którego pokochałaś”, a wrócił do niego zamknięty, z nabazgranymi czerwoną szminką słowami „ZWRÓCIĆ NADAWCY” – to stwierdzenie „nie tak całkowicie straszliwy” mogło być bardzo optymistyczną oceną.

Przynajmniej nazwała go „nadawcą”. Simon był przekonany, że Isabelle wymyśliła także inne określenia dla niego i nie wszystkie brzmiały równie przyjaźnie. Demon wysłał jego wspomnienia, ale jego zdolność obserwacji pozostała nietknięta. Zauważył, że Isabelle Lightwood nie należy do dziewczyn, które lubią być odrzucane. A Simon wbrew wszelkim prawom natury i zdrowemu rozsądkowi odrzucił ją dwa razy.

Próbował wytłumaczyć się w liście, przeprosić ją za odepchnięcie. Wyznał, jak bardzo chce sobie wywalczyć drogę powrotną do osoby, którą był. Do jej Simona. A przynajmniej

Simona, który jest jej wart.

Izzy... Nie wiem, dlaczego miałabyś na mnie czekać, jeśli jednak czekasz, obiecuję, że zrobię wszystko, by okazać się wartym czekania. W każdym razie spróbuję. Mogę obiecać, że się postaram.

* * *

Miesiąc po wysłaniu list wrócił nieprzeczytany.

Kiedy drzwi sypialni uchyliły się ze skrzypieniem, Simon pośpiesznie schował list do szuflady biurka, uważnie omijając pajęczyny i grudki pleśni, które pokrywały każdy mebel niezależnie od tego, jak sumiennie je czyścił. Nie poruszał się dostatecznie szybko.

– Nie mów, że to znowu ten list – jęknął George, jego współlokator. Padł na swoje łóżko, zarzucając melodramatycznie rękę na czoło. – Och, Isabelle, moja ukochana, jeśli będę dostatecznie długo gapił się na ten list, może przywołam cię telepatycznie z powrotem na me łkające łono.

– Nie mam łona – rzekł Simon z taką godnością, jaką zdołał przywołać. – I jestem przekonany, że gdybym miał, nie łkałoby.

– To może by wzdychało? To robią łona, nie?

– Niewiele miałem z nimi do czynienia – przyznał Simon.

W każdym razie niewiele z tego pamiętał. Próbował raz obmacywać Sophie Hillyer w dziewiątej klasie, ale jej matka go przyłapała, zanim zdążył znaleźć zapięcie od stanika, nie mówiąc już o jego rozpięciu. I pewnie była Isabelle. Jednak ostatnimi czasy Simon bardzo starał się o tym nie myśleć. Zapięcie stanika Isabelle. Jego dłonie na jej ciele... Smak jej...

Pokręcił gwałtownie głową, niemal tak mocno, żeby mu się w niej przejaśniło.

– Możemy przestać rozmawiać o łonach? Najlepiej na zawsze?

– Nie chciałem przeszkadzać ci w twoim bardzo ważnym

użalaniu się nad sobą z powodu Izzy.

– Nie użalałem się – skłamał Simon.

– Doskonale. – George uśmiechnął się triumfalnie, a Simon zdał sobie sprawę, że wpakował się w pułapkę. – Zatem wyjdiesz ze mną na boisko treningowe i pomożesz mi zaznajomić się z nowymi sztyletami. Szykuje się sparing, Przyziemni kontra elity. Przegrani będą musieli przez tydzień jeść dokładki zupy.

– Pewnie, Nocni Łowcy potrafią się zabawić.

Nie włożył serca w sarkazm. Prawda była taka, że uczniowie z rodzin Nocnych Łowców naprawdę potrafili się bawić, nawet jeśli ich pomysły na zabawę obejmowały zwykle zaostrzoną broń. Mieli już za sobą egzaminy końcowe i został im jeszcze tydzień do imprezy na zakończenie roku i letnich wakacji, więc Akademia Nocnych Łowców bardziej przypominała obóz niż szkołę. Simon nie mógł uwierzyć, że spędził tu cały rok szkolny; nie mógł uwierzyć, że przeżył ten rok. Poznał łacinę, pismo runiczne i bardzo powierzchownie język chtoniczny; walczył z małutkimi demonami w lesie, przetrwał pełnię z nowo narodzonym wilkołakiem, jeździł konno (i prawie dał się stratować), zjadł tyle zupy, ile sam waży, i przez cały ten czas ani nie został usunięty ze szkoły, ani pozbawiony krwi. Nawet nabrał dość masy, żeby wymienić swój damski strój bojowy na męski, chociaż najmniejszy z dostępnych rozmiarów. Wbrew wszelkim oczekiwaniom Akademia stała się dla niego domem. Oślizgłym, zapleśniałym, podobnym do lochów domem bez działających toalet, ale mimo wszystko domem. Razem z George'em nazwali nawet szczury, które mieszkały za ścianami. Co wieczór zostawiali dla Jona Cartwrighta juniora, Jona Cartwrighta III i Jona Cartwrighta IV kawałki czerstwego chleba do pogryzania, w nadziei, że będą woleli okruszki od ludzkich stóp.

Ten ostatni tydzień był czasem świętowania, hulanków do późnej nocy, drobnych zakładów dotyczących walk na sztylety. Simon jednak nie mógł znaleźć woli do zabawy. Może to przez

mający cień letnich wakacji, perspektywę powrotu do miejsca, które już nie było jego domem.

A może chodziło jak zawsze o Isabelle.

– Na pewno będziesz lepiej się bawił, siedząc tutaj i dając się – powiedział George, przebierając się w strój bojowy. – Głupio z mojej strony, że zasugerowałem coś innego.

Simon westchnął.

– Nie zrozumiesz.

George miał twarz gwiazdy filmowej, szkocki akcent, muśniętą słońcem skórę i mięśnie, które sprawiały, że dziewczyny (nawet dziewczyny z Akademii Nocnych Łowców, które nigdy nie zetknęły się mężczyzną niemającym „kaloryferka” na brzuchu, dopóki nie poznały Simona) chichotały niemądrze i mdlały z zachwytem. Kłopoty z dziewczynami, zwłaszcza te wiążące się z upokorzeniem i odrzuceniem, przekraczały jego zdolności pojmowania.

– Dla jasności – powiedział George z dźwięcznym akcentem, który nawet Simon wbrew sobie uznawał za czarujący – nic nie pamiętasz z okresu, kiedy spotykałeś się z tą dziewczyną? Nie pamiętasz, jak byłeś w niej zakochany, nie pamiętasz, jak to było, kiedy wy dwoje...

– Zgadza się – wszedł mu w słowo Simon.

– Ani nawet, czy wy dwoje w ogóle...

– Owszem, zgadza się – rzucił szybko Simon. Nie chciał się do tego przyznać, ale to była jedna z tych rzeczy w demonicznej amnezji, które najbardziej go męczyły. Który siedemnastolatek nie wie, czy nadal jest prawiczką?

– Ponieważ najwyraźniej brakuje ci komórek mózgowych, powiedziałeś tej cudownej istocie, że całkiem o niej zapomniałeś, odrzuciłeś ją publicznie, a jednak, kiedy przyrzekłeś jej miłość w jakimś durnym romantycznym liście, dziwisz się, że go nie chciała przeczytać. A potem przez następne dwa miesiące wzdychałeś za nią. Zgadza się?

Simon ukrył głowę w rękach.

– W porządku, kiedy tak to ujmiesz, moje zachowanie nie ma za grosz sensu.

– Wiesz, widziałem Isabelle Lightwood i doskonale rozumiem twoje zachowanie. – George uśmiechnął się szeroko. – Chciałem tylko ustalić pewne fakty.

Wypadł z pokoju, zanim Simon zdążył powiedzieć, że nie chodzi o wygląd Isabelle. Chociaż to prawda, że dla Simona była najpiękniejszą dziewczyną na świecie. Jednak nie chodziło o kaskadę jej jedwabistych, czarnych włosów ani bezdenne czarne oczy, ani zabójczą, płynną grację, z jaką posługiwała się biczem z elektrum. Nie potrafił wyjaśnić, o co chodziło, ponieważ George miał rację i Simon niczego nie pamiętał na jej temat ani ich jako pary. Nadal z trudem wierzył, że byli parą.

Wiedział po prostu na poziomie innym niż rozum i pamięć, że jakaś jego część ma swoje miejsce przy Isabelle. Może nawet należy do Isabelle. Bez względu na to, czy to pamiętał.

Napisał także do Clary, mówiąc jej, jak bardzo chce sobie przypomnieć ich przyjaźń, prosząc o pomoc. W przeciwieństwie do Isabelle ona odpisała, opowiadając mu o ich pierwszym spotkaniu. To był pierwszy z wielu listów, a każdy opisywał kolejne epizody z trwającej całe ich życie Doskonałej Przygody Clary i Simona. Im więcej Simon czytał, tym więcej sobie przypominał i czasem nawet odpisywał z własnymi opowieściami. Z jakiegoś powodu korespondencja wydawała się bezpieczna; Clary nie mogła niczego od niego oczekiwać, on nie mógł jej zawieść, ujrzeć bólu w jej oczach, kiedy znowu zdawała sobie sprawę, że jej Simon przepadł. List po liście wspomnienia Simona na temat Clary zaczynały składać się w całość.

Z Isabelle było inaczej. Miał wrażenie, że związane z nią wspomnienia ukrywają się wewnątrz czarnej dziury, w miejscu niebezpiecznym i wygłodniałym, grożącym pochłonięciem go, jeśli za bardzo się zbliży.

Simon wstąpił do Akademii po części po to, żeby uciec przed bolesnymi i zagmatwanymi podwójnymi wizjami z przeszłości, poznawczym rozziwem między życiem, które pamiętał, i tym, które naprawdę przeżył. To było jak w tym starym, kiepskim żarcie, który ojciec uwielbiał. „Doktorze, ręka mnie boli, kiedy tak nią ruszam”, mówił Simon, prowokując ojca, który odpowiadał wtedy z potwornym niemieckim akcentem: „To proszę nią tak nie ruszać”.

Dopóki Simon nie myślał o przeszłości, przeszłość nie mogła go zranić. Jednak coraz trudniej mu było zapanować nad sobą.

W tym bólu znajdował zbyt wiele przyjemności.

* * *

Zajęcia może i się skończyły na ten rok, ale nauczyciele Akademii nadal wymyślali nowe tortury dla uczniów.

– Jak myślisz, co to będzie tym razem? – zapytała Julie Beauvale, kiedy usadowili się na niewygodnych, drewnianych ławkach w sali głównej.

Wszyscy uczniowie, zarówno Nocni Łowcy, jak i Przyziemni, zostali wezwani z samego rana w poniedziałek na spotkanie.

– Może w końcu zdecydowali się wywalić motłoch – powiedział Jon Cartwright. – Lepiej późno niż wcale.

Simon był zbyt zmęczony i za bardzo brakowało mu kofeiny, żeby wymyślić cwaną ripostę. Dlatego powiedział tylko:

– Bujaj się, Cartwright.

George parsknął śmiechem.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy treningów i katastrofalnych polowań na demony ich klasa bardzo się zżyła, zwłaszcza grupka uczniów mniej więcej w wieku Simona. George to George, rzecz jasna; Beatriz Mendoza była zaskakująco słodka jak na Nocną Łowczynię; nawet Julie okazała się nieco mniej zadufana w sobie,

niż udawała. Z kolei Jon Cartwright... Już przy pierwszym spotkaniu Simon uznał, że gdyby wygląd odpowiadał osobowości, Jon Cartwright powinien wyglądać jak koński zad. Niestety nie ma sprawiedliwości na tym świecie i zamiast tego wyglądał jak chodząca lalka Ken. Czasem pierwsze wrażenia są mylące; czasem od razu dostrzegasz najgłębsze pokłady czyjejś duszy. Simon miał już całkowitą pewność – najgłębsze pokłady duszy Jona przypominały koński zad.

Jon protekcyjnie poklepał Simona po ramieniu.

– Będzie mi brakować twoich ciętych odpowiedzi latem.

– A ja będę miał nadzieję, że tego lata pożre cię demoniczny pająk.

George objął ich obu, szczerząc zęby jak wariat i nucąc „Can You Feel the Love Tonight?”.

Możliwe, że George ostatnio trochę za bardzo dał się ponieść duchowi zabawy.

Stojąca na przedzie sali dziekan Penhallow odchrząknęła głośno, patrząc znacząco w ich kierunku.

– Gdybym tak mogła prosić o ciszę.

Na sali nadal panował gwar, dziekan Penhallow dalej chrząkała i prosiła nerwowo o spokój. Mogłoby to ciągnąć się cały ranek, gdyby Delaney Scarsbury, ich główny trener, nie wszedł na krzesło.

– Albo się uciszycie, albo zrobicie setkę pompek! – ryknął.

Natychmiast zrobiło się cicho.

– Pewnie wszyscy zastanawialiście się, jak wypełnić sobie czas po egzaminach? – powiedziała dziekan Penhallow, unosząc głos. Miała dar wypowiedzania każdego zdania w taki sposób, jakby to było pytanie. – Pewnie rozpoznacie naszego gościa w tym tygodniu?

Budzący strach mężczyzna o wydatnym torsie i odziany w szare szaty, wszedł na prowizoryczne podwyższenie. Wszyscy w sali gwałtownie zaczerpnęli tchu.

Simon też, ale to nie pojawienie się Inkwizytora nim wstrząsnęło, tylko dziewczyna idąca za nim i piorunująca wzrokiem jego szaty tak bardzo, jakby chciała siłą woli je podpalić. Dziewczyna o kaskadzie jedwabistych czarnych włosów i bezdennych czarnych oczach, córka Inkwizytora, znana przyjaciółom, rodzinie i upokorzonym, odrzuconym byłym chłopakom jako Isabelle Lightwood.

George szturchnął go łokciem.

– Widzisz to samo, co ja? – szepnął. – Chcesz chusteczkę?

Simon od razu pomyślał o ostatnim razie, kiedy Izzy pojawiła się w Akademii. Przestrzegła wszystkie dziewczyny, żeby trzymały się z dala od niego. Był przerażony. Teraz nie potrafił sobie wyobrazić niczego lepszego.

Jednak Isabelle najwyraźniej nie zamierzała niczego mówić uczniom. Stała po prostu obok ojca ze skrzyżowanymi rękami i chmurnym spojrzeniem.

– Kiedy jest zła, jest jeszcze ładniejsza – szepnął Jon.

To był cudowny triumf opanowania, kiedy Simon nie dźgnął go w oko długopisem.

– Niemal ukończyliście pierwszy rok w Akademii – powiedział Robert Lightwood zebranim uczniom w sposób, który brzmiał bardziej jak groźba niż gratulacje. – Moja córka mówi mi, że jeden z wielkich bohaterów Przyziemnych miał takie powiedzenie: „Wielka moc niesie ze sobą sporą odpowiedzialność”.

Simon zdusił okrzyk. Istniała tylko jedna możliwość, w jaki sposób Isabelle Lightwood, absolutne przeciwieństwo wielbicielki komiksów, mogła znać ten cytat (w nieco przekręconej formie) ze Spider-Mana. Cytowała Simona.

To musiało coś znaczyć... Prawda?

Próbował pochwycić jej spojrzenie.

Nie udało mu się.

– Wiele nauczyliście się na temat swoich mocy w tym roku –

mówił Rober Lightwood. – W tym tygodniu opowiem wam o odpowiedzialności. I co się dzieje, kiedy nie panuje się nad mocami albo przekazuje się władzę dobrowolnie niewłaściwej osobie. Opowiem wam o Kręgu.

Po tych słowach w sali zapadła cisza. Nauczyciele z Akademii, jak większość Nocnych Łowców, bardzo starali się unikać tematu Kręgu, grupy zbuntowanych Nocnych Łowców, których Valentine Morgenstern poprowadził do Powstania. Uczniowie słyszeli o Valentinie, wszyscy słyszeli o Valentinie, ale szybko nauczyli się nie zadawać zbyt wielu pytań na jego temat. W ciągu ostatniego roku Simon zaczął rozumieć, że Nocni Łowcy wolą wierzyć, że ich wybory są doskonałe, a Prawo nieomyłne. Nie lubili myśleć o czasie, kiedy prawie zostali zniszczeni przez grupę swoich.

To przynajmniej wyjaśniało, dlaczego dziekan zaprosiła kogoś z zewnątrz, zamiast zostawić ten temat ich wykładowczyni historii, Catarinie Loss. Czarownica tolerowała większość Nocnych Łowców. Ledwie. Simon podejrzewał, że w przypadku byłych członków Kręgu, nawet „ledwie” nie wchodziło w grę.

Robert odchrząknął.

– Chcę, żebyście wszyscy zadali sobie pytanie, co zrobilibyście, gdybyście uczyli się tutaj za czasów Valentine’a Morgensterna. Czy dołączylibyście do Kręgu? Czy stanęlibyście po jego stronie w czasie Powstania? Niech uniosą rękę ci, którzy myślą, że to możliwe.

Simon nie był zdziwiony, gdy nie pojawiła się ani jedna ręka. Bawił się w tę grę w szkole Przyziemnych za każdym razem, gdy omawiali drugą wojnę światową. Wiedział, że każdy uważa, że nie mógłby zostać nazistą.

Wiedział też, że statystycznie rzecz biorąc, większość ludzi się myliła.

– A teraz proszę, żeby podnieśli rękę ci, którzy uważają się za wzorowego Nocnego Łowcę, gotowego zrobić wszystko w służbie

dla Clave – powiedział Robert.

Oczywiście tym razem pojawiło się sporo rąk, a Jon Cartwright wyciągnął swoją najwyżej.

Robert uśmiechnął się smutno.

– To ci najgorliwsi, najbardziej lojalni spośród nas jako pierwsi dołączyli do szeregów Valentine’a. To ci z nas najbardziej oddani sprawie Nocnych Łowców okazali się najłatwiejszymi ofiarami.

Wśród zgromadzonych zapanowało poruszenie.

– Tak – powiedział Robert. – Mówię „z nas”, ponieważ należałem do uczniów Valentine’a. Należałem do Kręgu.

Poruszenie zamieniło się we wrzawę. Niektórzy uczniowie nie byli zdziwieni, ale wielu wyglądało tak, jakby właśnie bomba atomowa wybuchła w ich umysłach. Clary powiedziała Simonowi, że Robert Lightwood należał kiedyś do Kręgu, ale najwyraźniej wielu ludziom trudno było pogodzić ów fakt ze stanowiskiem Inkwizytora, które ten wysoki, przerażający mężczyzna teraz zajmował.

– Inkwizytor?! – szepnęła Julie, wytrzeszczając oczy. – Jak mogli pozwolić mu...

Beatriz wyglądała na wstrząśniętą.

– Mój ojciec zawsze mówił, że coś jest nie tak z tym człowiekiem – mruknął Jon.

– W tym tygodniu będę was uczył o nadużywaniu mocy, o wielkim złu i licznych formach, jakie przyjmuje. Moja zdolna córka Isabelle Lightwood będzie mi asystowała w czasie niektórych zajęć. – Wskazał Isabelle, która zerknęła na tłum i jakimś cudem jej wściekłe spojrzenie stało się jeszcze bardziej złe. – A przede wszystkim opowiem wam o Kręgu, jak powstał i dlaczego. Jeśli będziecie uważnie słuchać, może nawet czegoś się nauczycie.

Simon w ogóle nie słuchał. Wpatrywał się w Isabelle, zmuszając ją siłą woli do spojrzenia w jego stronę. Isabelle umyślnie wbijała wzrok w podłogę. A Robert Lightwood,

Inkwizytor Clave, sędzia i znawca wszelkich praw, zaczął opowiadać o Valentine Morgensternie i tych, którzy kiedyś go kochali.

1984

Robert Lightwood wyciągnął się na dziedzińcu i starał się nie myśleć o tym, jak spędził ten tydzień rok temu. Dni po egzaminach, a przed wakacjami, były tradycyjnie czasem bachicznych zabaw, uwalniania nadmiaru energii; nauczyciele odwracali wzrok, gdy uczniowie naginali zasady obowiązujące w Akademii. Rok temu on i Michael Wayland wymknęli się z kampusu i odważnie dopuścili się zakazanej nocnej kąpieli nago w jeziorze Lyn. Chociaż mocno zaciskali usta, odczuli halucynogeny wpływ wody i niebo zapłonęło elektrycznością. Potem leżeli obok siebie na plecach, wyobrażając sobie spadające gwiazdy, rysujące neonowe ślady na chmurach, i wymyślając sobie dziwne światy.

To było rok temu, kiedy Robert nadal wyobrażał sobie, że jest młody i może swobodnie marnować czas na dziecinne igraszki. Zanim zrozumiał, że bez względu na młody wiek ciężą na nim obowiązki.

To było rok temu, przed Valentine'em.

Członkowie Kręgu zajęli ten cichy, cienisty zakątek dziedzińca, z dala od wścibskich spojrzeń, dzięki czemu sami nie musieli też patrzeć na kolegów z klasy marnujących czas na bezsensowne zabawy. Robert napomniał się, że ma szczęście, że siedzi tu z innymi w cieniu i słucha przemówienia Valentine'a Morgensterna.

To szczególny przywilej, mówił sobie, być członkiem koterii Valentine'a, zostać wtajemniczonym w jego rewolucyjne idee.

Rok temu, kiedy Valentine z niewiadomych przyczyn zaprzyjaźnił się z nim, Robert czuł tylko ogromną wdzięczność i chwycił się każdego słowa Valentine'a.

Valentine powiedział, że Clave jest zepsute i leniwe, że bardziej interesuje się utrzymaniem status quo i faszystowskim dławieniem wszelkiej różnicy zdań niż wypełnianiem swojej szlachetnej misji.

Valentine powiedział, że Nocni Łowcy powinni przestać kryć się w ciemności, i zacząć śmiało kroczyć przez świat Przyziemnych, dla którego obrony żyli i umierali.

Powiedział, że Porozumienia są bezużyteczne, a Kielich Anioła został stworzony, żeby go używać i że nowe pokolenie jest nadzieją na przyszłość, a nauka w Akademii to strata czasu.

Valentine sprawił, że mózg Roberta pracował na najwyższych obrotach, a serce śpiewało; sprawił, że Robert czuł się jak bojownik o sprawiedliwość. Jakby stanowił część czegoś ważnego, czegoś nadzwyczajnego, jakby on i pozostali byli wybrańcami, wybranymi nie tylko przez Valentine'a, ale także przez przeznaczenie, by zmienili świat.

A jednak czasem budził też niepokój w Robercie.

Valentine oczekiwał bezwarunkowej lojalności ze strony Kręgu. Chciał, żeby ich wiara w niego, ich przekonanie do sprawy przesyciło ich dusze. I Robert desperacko pragnął mu to dać. Nie chciał kwestionować logiki Valentine'a ani jego intencji. Nie chciał martwić się, że trochę za mało wierzy w to, co Valentine mówi. Albo że wierzy za mocno. Dzisiaj, w słońcu, kiedy nieskończone możliwości lata otwierały się przed nim, nie chciał się niczym martwić. Zatem słowa Valentine'a spływały po nim, a Robert przez chwilę błędził myślami. Lepiej wyłączyć się niż wątpić. Na razie przyjaciele mogli posłuchać za niego, a potem mu wszystko opowiedzą. Od czego ma się przyjaciół?

Dzisiaj było ich ośmioro, najbardziej zaufany krąg w Kręgu. Wszyscy siedzieli w milczeniu, kiedy Valentine rozprawiał

o życzliwości Clave wobec Podziemnych: Jocelyn Fairchild, Maryse Trueblood, Lucian i Amatis Graymark, Hodge Starkweather oraz, rzecz jasna, Michael, Robert i Stephen. Chociaż Stephen Herondale był najnowszym dodatkiem do grupy (i najnowszym dodatkiem do Akademii, przybył z Londyńskiego Instytutu raptem na początku roku), był też najbardziej oddany sprawie i Valentine'owi. Zjawił się w Akademii ubrany jak Przyziemny – w skórzaną kurtkę nabijaną ćwiekami, obcisłe sprane dżinsy, z blond włosami sklejonymi żelazem w nedorzeczne kolce jak przyziemne gwiazdy rocka, których plakaty rozwiesił w swoim pokoju. Już miesiąc później Stephen przejął nie tylko prosty styl Valentine'a, który ubierał się tylko na czarno, ale także jego zwyczaje. Właściwie główna różnica między nimi sprowadzała się do jasnej, niemal białej blond czupryny Valentine'a i niebieskich oczu Stephena. Przed pierwszymi mrozami odrzucił wszystko co przyziemne i spalił ceremonialnie w ognisku swój ukochany plakat Sex Pistols.

– Herondale nie robią niczego połowicznie – mówił Stephen, kiedy tylko Robert droczył się z nim z tego powodu.

Robert podejrzewał, że coś się kryje pod tym niefrasobliwym tonem, coś mroczniejszego, coś głodnego. Jak zauważył, Valentine miał dryg do dobierania sobie uczniów, namierzając tych, którym czegoś brakowało. Dostrzegał w nich pewną wewnętrzną pustkę, którą mógł wypełnić. W przeciwieństwie do reszty ich grupki wyrzutków Stephen był wręcz ostentacyjnie doskonały: przystojny, zwinny, nadzwyczajnie wyszkolony Nocny Łowca o wybitnym rodowodzie i powszechnie szanowany na kampusie. To sprawiało, że Robert się zastanawiał... Co takiego tylko Valentine potrafił w nim dostrzec?

Odpłynął myślami tak daleko, że kiedy Maryse wyrwał się zduszony okrzyk: „Czy to nie będzie niebezpieczne?“, nie bardzo wiedział, o czym mówiła. Mimo to uściśnął jej rękę pocieszająco,

ponieważ to właśnie chłopcy powinni robić dla swoich dziewczyn. Maryse leżała z głową na jego kolanach, a jej jedwabiste czarne włosy rozsypały się na jego dżinsach. Odgarnął je z jej twarzy, bo to był jego przywilej jako jej chłopaka.

Minął prawie rok, ale Robert nadal nie mógł uwierzyć, że ta dziewczyna – ta zacięta, zwinna, śmiała dziewczyna o umyśle jak brzytwa – wybrała sobie właśnie jego. Sunęła przez Akademię jak królowa, obdarzając różnych ludzi swoimi względami, zaspokajając przymilnych poddanych. Maryse nie była najpiękniejszą dziewczyną w klasie, a z pewnością nie była najśłodsza ani najbardziej czarującą. Miała w nosie takie rzeczy jak słodycz czy czar. Jednak kiedy w grę wchodziła walka, nikt nie był bardziej gotowy do ataku i z pewnością nikt nie posługiwał się biczem lepiej niż ona. Maryse była więcej niż dziewczyną, była siłą. Inne dziewczyny ją uwielbiały, chłopcy jej pragnęli, ale tylko Robert ją miał.

To całkowicie odmieniło jego życie.

Czasem Robert miał wrażenie, że całe swoje życie gra, że to tylko kwestia czasu, kiedy inni uczniowie przejrzą go i zdadzą sobie sprawę, czym naprawdę jest pod krzepą i fanfaronadą – nic niewartym tchórzem, mięczakiem. Kiedy miał przy sobie Maryse, to jakby nosił zbroję. Ktoś taki jak ona na pewno nie wybrałby sobie bezwartościowego chłopaka. Każdy to wiedział. Czasem Robert sam w to wierzył.

Uwielbiał to, jak się przy niej czuł w miejscach publicznych – jak ktoś silny i bezpieczny. A jeszcze bardziej uwielbiał to, jak się czuł przy niej, kiedy byli tylko we dwoje, kiedy przyciskała usta do jego karku i przesuwiała językiem po jego kręgosłupie. Uwielbiał krągłość jej biodra i szelest jej włosów; uwielbiał błysk w jej oku, kiedy szła do walki. Uwielbiał jej smak. Dlaczego więc za każdym razem, kiedy mówiła „Kocham cię”, czuł się jak kłamca, gdy odpowiadał tym samym? Dlaczego niekiedy, może nawet częściej niż niekiedy, myślami błądził wokół innych

dziewczyn i zastanawiał się, jak one mogą smakować?

Jak mógł kochać sposób, w jaki czuje się przy Maryse... i nadal nie być pewnym, że to, co czuje, to miłość?

Ukradkiem przyglądał się innym parom, próbując się zorientować, czy one też to czują, czy ich deklaracje miłości maskują to samo zagubienie i wątpliwości. Jednak sposób, w jaki Amatis opierała wygodnie głowę o ramię Stephena, sposób, w jaki Jocelyn beztrudnie splatała palce z Valentine'em, a nawet sposób, w jaki Maryse bawiła się bezwiednie strzępiącymi się nogawkami jego dżinsów, jakby jego ubranie, jego ciało, były jej własnością... każda z tych rzeczy wyrażała całkowitą pewność. Robert był tylko pewny tego, że doskonale opanował udawanie.

– Powinniśmy rozkoszować się niebezpieczeństwem, jeśli oznacza szansę załatwienia obrzydliwego, zbuntowanego Podziemnego – odparł Valentine z chmurną miną. – Nawet jeśli to stado wilków nie doprowadzi nas do potwora, który... – Przełknął z trudem ślinę i Robert wiedział, o czym pomyślał, bo wydawało się, że ostatnio Valentine myśli tylko o jednym i pała przy tym taką furją, jakby ta myśl była wypisana ogniem: „który zabił mojego ojca”. – To wyświadczymy Clave przysługę.

Ragnor Fell, zielonoskóry czarownik, który wykładał w Akademii od prawie wieku, zatrzymał się w połowie dziedzińca i zerknął w ich stronę, niemal jakby słyszał ich rozmowę. Robert powiedział sobie, że to niemożliwe. Mimo to nie podobał mu się sposób, w jaki rogi Ragnora pochylały się w ich stronę – jakby mierzyły w cel.

Michael odkaszlnął.

– Może nie powinniśmy rozmawiać tu o, ehm, Podziemnych.

Valentine prychnął.

– Mam nadzieję, że ten stary cap mnie słyszy. To hańba, że pozwalają mu tu uczyć. Jedyne miejsce dla Poziemnych w Akademii to stół do sekcji.

Michael i Robert spojrzeli po sobie. Robert jak zwykle

doskonale wiedział, co myśli jego *parabatai*. Sam myślał to samo. Valentine, kiedy go poznali, robił ogromne wrażenie dzięki oślepiająco białym włosom i płonącym czarnym oczom. Rysy miał gładkie i zarazem ostre, jak wyrzeźbione w lodzie, ale pod tymi onieśmielającymi pozorami krył się zaskakująco życzliwy chłopak, w którym niesprawiedliwość budziła gniew. Valentine zawsze był zawzięty, owszem, ale to była zaciętość w robieniu tego, co uważał za słuszne, co było dobre. Kiedy Valentine powiedział, że chce naprawić niesprawiedliwości i nierówności, jakie narzucało im Clave, Robert mu uwierzył i nadal w to wierzył. I o ile Michael miał dziwną słabość do Podziemnych, Robert nie lubił ich podobnie jak Valentine. Nie pojmował, dlaczego w obecnych czasach Clave nadal pozwala czarownikom mieszać się do spraw Nocnych Łowców.

Jednakże istniała różnica między przenikliwą zaciętością a irracjonalnym gniewem. Robert czekał już długo, aż podsycana żalobą wściekłość w Valentine trochę przycichnie. A zamiast tego rozpałała piekło.

– Czyli nie powiesz nam, skąd masz te informacje? – odezwał się Lucian, jedyna osoba poza Jocelyn, która mogła bezkarnie kwestionować słowa Valentine’a. – A mimo to chcesz, żebyśmy wymknęli się z kampusu i sami zapolowali na te wilkołaki? Skoro jesteś taki pewien, że Clave chciałoby, żeby się nimi zajęto, dlaczego nie zostawić mu tej sprawy?

– Clave jest bezużyteczne – syknął Valentine. – Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny. Jeśli jednak żadne z was nie jest gotowe zaryzykować, jeżeli wolicie zostać tutaj i iść na imprezę... – wykrzywił usta, jakby to słowo budziło w nim odrazę – ...to pójdę sam.

Hodge poprawił okulary na nosie i zerwał się.

– Pójdę z tobą – powiedział głośno. To było dla niego typowe, zawsze był trochę za głośny, albo za cichy, zawsze źle oceniał sytuację. To dlatego wolał książki od ludzi. – Zawsze stoję po

twojej stronie.

– Usiądź – warknął Valentine. – Nie potrzebuję, żebyś mi przeszkadzał.

– Ale...

– Na co mi twoja lojalność, kiedy do kompletu z nią dostaję gębę, której nie umiesz trzymać na kłódkę, i dwie lewe nogi?

Hodge pobladł i klapnął na ziemię, mrugając zaciekłe powiekami.

Jocelyn przycisnęła dłoń do ramienia Valentine'a, delikatnie, przelotnie, ale to wystarczyło.

– Miałem tylko na myśli, że twoje konkretne umiejętności marnowałyby się w walce – dodał łagodniej Valentine. Zmiana tonu była nagła, ale szczerza. Kiedy Valentine posyłał komuś swój najcieplejszy uśmiech, nie można było mu się oprzeć. – Nie wybaczyłbym sobie, gdybyś został ranny. Nie mogę... Nie mogę nikogo więcej stracić.

Wszyscy wtedy ucichli na chwilę, myśląc o tym, jak szybko się to rozegrało, kiedy dziekan wywołał go z treningu i przekazał wiadomość. Pamiętali sposób, w jaki Valentine ją przyjął, w milczeniu i spokoju, jak przystało na Nocnego Łowcę. Pamiętali, jak wyglądał po powrocie z pogrzebu – w oczach miał pustkę, jego twarz w tydzień postarzała się o kilka lat. Rodzice ich wszystkich byli wojownikami i wiedzieli, że strata, jaka dotknęła Valentine'a, mogła dotknąć każdego z nich. Bycie Nocnym Łowcą oznaczało życie w cieniu śmierci.

Nie mogli przywrócić życia jego ojcu, ale mogli mu pomóc pomścić jego śmierć; z pewnością byli mu winni chociaż tyle.

A już z pewnością Robert zawdzięczał mu wszystko.

– Oczywiście, że pójdziemy z tobą – zapewnił go Robert. – Cokolwiek potrzebujesz.

– Jasne – przytaknął Michael. Gdzie Robert szedł, tam szedł i on.

Valentine skinął głową.

– Stephen? Lucian?

Robert zauważył, że Amatis przewraca oczami. Valentine zawsze traktował kobiety z szacunkiem, ale kiedy w grę wchodziła walka, wołał mieć mężczyznę u swojego boku.

Stephen skinął głową. Lucian, będący *parabatai* Valentine'a, na którym Valentine najbardziej polegał, poruszył się skrępowany.

– Obiecałem Céline, że pouczę ją dziś wieczorem – powiedział.
– Mógłbym to odwołać, rzecz jasna, ale...

Valentine machnął ręką ze śmiechem, a pozostali poszli za jego przykładem.

– Nauka? Tak to się teraz nazywa? – droczył się z nim Stephen.
– Wygląda na to, że już po mistrzowsku opanowała owijanie sobie siebie wokół małego palca.

Lucian się zarumienił.

– To nic z tych rzeczy, możecie mi wierzyć – powiedział, co pewnie było szczerą prawdą.

Céline była trzy lata młodsza i miała kruche, delikatne rysy porcelanowej lalki. Łaziła za ich grupą jak zagubiony szczeniak. To było oczywiste dla każdego, kto ma oczy, że potwornie zadurzyła się w Stephenie, ale on oddał już swoje serce Amatis. Wybrała Luciana jako nagrodę pocieszenia, ale równie jasne było to, że Luciana interesowała tylko Jocelyn Fairchild. Jasne dla każdego poza samą Jocelyn.

– Nie potrzebujemy ciebie do tego – powiedział Lucianowi Valentine. – Zostań i baw się dobrze.

– Powinienem być przy tobie – upierał się Lucian.

Z jego głosu zniknęła cała wesołość. Sprawiał wrażenie zboląłego na myśl, że Valentine uda się w niebezpieczne miejsce bez niego, a Robert to rozumiał. *Parabatai* nie zawsze walczyli razem, ale wiedzieć, że twojemu *parabatai* grozi niebezpieczeństwo, a ciebie nie ma, żeby go wesprzeć i chronić? To powodowało niemal fizyczny ból. A więź między Lucianem i Valentine'em była jeszcze intensywniejsza niż więź łącząca

większość *parabatai*. Robert niemal czuł moc przepływającą między nimi, siłę i miłość, którą się wymieniali przy każdym spojrzeniu. – Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę.

– To już postanowione, przyjacielu – orzekł Valentine i na tym zamknął dyskusję.

Lucian zostanie na kampusie z pozostałymi. Valentine, Stephen, Michael i Robert wymkną się po zmroku i odważnie zapuszczą do lasu Brocelind w poszukiwaniu obozowiska wilkołaków, które podobno mogą doprowadzić ich do zabójcy ojca Valentine'a. Potem będą improwizować stosownie do rozwoju sytuacji.

Kiedy pozostali odeszli pośpiesznie do jadalni na lunch, Maryse złapała Roberta za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Będziesz uważał, dobrze? – przykazała mu surowo. Maryse wszystko mówiła surowo. To była jedna z tych cech, które najbardziej w niej lubił.

Przycisnęła się gibkim ciałem do niego, pocałowała go w szyję i przez chwilę miał ulotne uczucie nadzwyczajnej pewności, że to jest właśnie jego miejsce... Dopóki nie szepnęła:

– Wróć do mnie w jednym kawałku.

„Wróć do mnie”. Jakby był jej własnością. Jakby w jej głowie już byli małżeństwem z domem i dziećmi, jakby całe życie spędzili razem, jakby przyszłość została już ustalona.

Na tym polegał wdzięk Maryse i na tym polegał wdzięk Valentine'a – łatwość, z jaką uzyskiwali pewność co do tego, co powinno być, co powinno się wydarzyć. Robert wciąż miał nadzieję, że pewnego dnia to mu się udzieli. Na razie, im mniej był pewny, z tym większą pewnością działał. Nikt nie musiał poznać prawdy.

* * *

Robert Lightwood nie był nadzwyczajnym nauczycielem. Przedstawił im stonowaną relację z pierwszych dni istnienia Kręgu, wyłożył rewolucyjne poglądy Valentine'a jakby to była lista składników do wyjątkowo nijakiego ciasta. Simon, bezowocnie poświęcając większość energii próbom telepatycznego porozumienia się z Isabelle, prawie nie słuchał. Złapał się na tym, że przeklina fakt, że Nocni Łowcy z taką wyniosłością odrzucają możliwość posługiwania się magią. Gdyby był czarownikiem, pewnie jednym ruchem palca zmusiłby Isabelle, żeby zwróciła na niego uwagę. Albo gdyby nadal był wampirem, mógłby posłużyć się wampirycznymi mocami, żeby ją oczarować. Jednak o tym Simon wolał nie myśleć, ponieważ to budziło pewne niepokojące pytania na temat tego, jak w ogóle zdołał ją oczarować.

To, co usłyszał z opowieści Roberta, niespecjalnie go zainteresowało. Simon nigdy nie przepadał za historią, a zwłaszcza taką, jakiej nauczano w szkole. Wykłady brzmiały jak tekst z broszury, wszystko schludnie wyłożone i boleśnie oczywiste z perspektywy czasu. Każda wojna miała wypunktowane przyczyny; każdy megalomański dyktator był tak karykaturalnie zły, że człowiek zastanawiał się, jak głupi musieli być ludzie w przeszłości, żeby tego nie zauważyć. Simon niewiele pamiętał z własnych przygód, kiedy sam tworzył historię, ale dość, żeby wiedzieć, że nic nie było takie jasne, kiedy się działo. Historia, w wersji lubianej przez nauczycieli, była jak tor wyścigowy, prosta droga od startu do mety; życie zaś bardziej przypominało labirynt.

Może jednak telepatia zadziałała, bo kiedy wykład się skończył i uczniom pozwolono się rozejść, Isabelle zeskoczyła ze sceny i podeszła prosto do Simona. Skinęła mu oschle głową na powitanie.

– Isabelle, chciałbym, ehm... Może moglibyśmy ...

Posłała mu olśniewający uśmiech i przez chwilę Simon myślał,

że niepotrzebnie tak się martwił. A potem powiedziała:

– Nie przedstawiś mnie swoim przyjaciołom? Zwłaszcza tym przystojnym?

Simon odwrócił się i zobaczył, że połowa klasy tłoczy się za nim, pragnąc chociaż otrzeć się o słynną Isabelle Lightwood. Na przedzie stali George i Jon. Ten drugi praktycznie się ślinił.

Jon przepchnął się obok Simona i wyciągnął rękę.

– Jon Cartwright, do twoich usług – powiedział głosem, który ociekał czarem jak wrzód ropą.

Isabelle uścisnęła jego rękę i zamiast cisnąć nim o ziemię rzutem rodem z jujitsu z upokarzającym hukiem albo odciąć mu rękę w nadgarstku biczem z elektrum, pozwoliła, żeby obrócił jej dłoń i przysunął sobie do ust. A potem dygnęła. Mrugnęła porozumiewawczo. I co najgorsze, zachichotała.

Simon omal nie zwymiotował.

Nieznośne minuty tortury mijały. George rumienił się i jak dureń próbował żartować, Julie zapomniała języka w gębie, Marisol udawała, że jest ponad to wszystko, Beatriz podjęła nędzną, ale uprzejmą rozmowę o wspólnych znajomych, Sunil podskakiwał na tyłach tłumu, żeby go zauważono, a przez cały ten czas Jon uśmiechał się znacząco, Isabelle zaś promieniała i trzepotała rzęsami w pokazie, który mógł tylko służyć wywróceniu żołądka Simona na lewą stronę.

A przynajmniej taką miał rozpaczliwą nadzieję. Ponieważ druga możliwość – że Isabelle uśmiecha się do Jona, bo naprawdę tego chce, i że zgodziła się uścisnąć jego twarde jak kamień bicepsy, bo naprawdę chciała poczuć, jak napinają się pod jej delikatnym dotykiem – była wręcz nie do pomyślenia.

– To czym się zabawiacie w wolnym czasie? – zapytała wreszcie, a potem zmrużyła zalotnie oczy, patrząc na Jona. – Nie mów tylko, że tobą.

Już nie żyję? – pomyślał bezradnie Simon. Czy to piekło?

– Ani okoliczności, ani tutejsza populacja nie okazały się

odpowiednie do zabawy – rzucił nadętym tonem Jon, jakby ta fanfaronada mogła ukryć rumieńce płonące na jego policzkach.

– To się zmieni tego wieczoru – odparła Isabelle, a potem obróciła się na szpilce i odeszła.

George pokręcił głową i zagwizdał z podziwem.

– Simon, twoja dziewczyna...

– Była dziewczyna – wtrącił z naciskiem Jon.

– Jest cudowna – westchnęła Julie i sądząc po minach pozostałych, wypowiadała się w imieniu całej grupy.

Simon przewrócił oczami i ruszył pośpiesznie za Isabelle. Wyciągnął rękę, żeby ją złapać za ramię, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Łapanie Isabelle Lightwood od tyłu było pewnie proszeniem się o amputację.

– Isabelle! – rzucił ostro.

Przyśpieszyła. On też, zastanawiając się, dokąd zmierza.

– Isabelle! – zawołał znowu.

Zagłębili się w szkolne korytarze, powietrze zgęstniało od wilgoci i pleśni, kamienna posadzka była coraz bardziej śliska pod ich stopami. Dotarli do rozwidlenia. Isabelle zatrzymała się i wybrała lewą odnogę.

– Zwykle tędy nie chodzimy – ostrzegł ją Simon.

Żadnej reakcji.

– Głównie z powodu ślimaka wielkości słonia, który mieszka na końcu tego korytarza.

Nie przesadzał. Wieść gminna niosła, że jakiś niezadowolony nauczyciel – czarownik, którego zwolniono, kiedy zmieniła się polityka wobec Podziemnych – zostawił go po sobie jak pożegnalny prezent.

Isabelle nadal szła, teraz wolniej, omijając ostrożnie sączące się kałuże szlamu. Coś smyrnęło głośno nad ich głowami. Isabelle nie wzdrygnęła się, ale spojrzała w górę i Simon zauważył, że jej palce poruszyły się na zwiniętym biczu.

– A także z powodu szczurów – dodał.

Wybrał się z George'em na ekspedycję tym korytarzem w poszukiwaniu legendarnego ślimaka... Poddali się, kiedy trzeci szczur spadł na nich z sufitu i jakimś cudem dostał się do spodni George'a.

Isabelle westchnęła ciężko.

– Izzy, daj spokój, zatrzymaj się.

Natrafiał przypadkiem na magiczne słowa.

– Nie mów tak do mnie – syknęła, odwracając się do niego.

– Jak?

– Tylko przyjaciele nazywają mnie Izzy. Ty straciłeś to prawo.

– Izzy... Znaczy Isabelle. Jeśli czytałaś mój list...

– Nie. Nie będziesz nazywał mnie Izzy, wysyłał do mnie listów, chodził za mną ciemnymi korytarzami i próbował ratować przed szczurami.

– Zaufaj mi, jeśli pojawi się szczur, to każde z nas ratuje własną skórę.

Isabelle miała minę, jakby chciała nim nakarmić olbrzymiego ślimaka.

– Rzecz w tym, Simonie Lewisie, że jesteśmy teraz sobie obcy, tak jak chciałeś.

– Jeśli tak, to co tu robisz?

Isabelle spojrzała z niedowierzaniem.

– To, że Jace uważa, że świat kręci się wokół niego, to jedno, ale daj spokój. Wiem, że uwielbiasz fantazjować, ale jak daleko można pograć się w fikcji?

Rozmowa nie toczyła się tak, jak to zaplanował.

– No dobrze, to dlaczego tu jesteś? I dlaczego jesteś taka miła dla wszystkich moich, ehm, przyjaciół?

– Bo ojciec mnie do tego zmusił. Pewnie uważa, że ta cudowna okazja do pogłębienia związku ojca z córką w tej zapleśniałej norze sprawi, że zapomnę, że jest skończonym cudzołóżnikiem, który porzucił własną rodzinę. A jestem miła dla twoich przyjaciół, ponieważ jestem miłą osobą.

Teraz Simon spojrział z niedowierzaniem.

– No dobra, nie jestem – przyznała – ale nigdy tak naprawdę nie chodziłam do szkoły. Uznałam, że skoro muszę tu być, to równie dobrze mogę to wykorzystać. Przekonać się, co mnie ominęło. To ci wystarczy?

– Rozumiem, że jesteś na mnie wściekła, ale...

Pokręciła głową.

– Nie rozumiesz. Nie jestem wściekła na ciebie. Niczego do ciebie nie czuję. Poprosiłeś, żebym pogodziła się z tym, że jesteś teraz inną osobą, kimś, kogo nie znam. Więc się pogodziłam. Kochałam kogoś, a ta osoba odeszła. Ciebie nie znam i na ile się zorientowałam, nie potrzebuję cię poznawać. Spędzę tu raptem kilka dni i nie musimy więcej się widzieć. Co powiesz na to, żebyśmy nie utrudniali sobie bardziej życia?

Simon nie mógł złapać oddechu.

„Kochałam kogoś”, powiedziała i to były najbliższy odpowiednik wyznania miłości, jaki usłyszał od Isabelle, a właściwie od jakiejkolwiek dziewczyny.

Tyle że w gruncie rzeczy to były dwie bardzo różne rzeczy, prawda? „Kochałam” to nie „kocham”.

To dwa oddzielne światy.

– W porządku.

Tylko tyle zdołał wykrztusić, ale ona już odchodziła korytarzem. Nie potrzebowała jego pozwolenia, żeby być kimś obcym. Niczego od niego nie potrzebowała.

– Idziesz w złym kierunku! – krzyknął za nią.

Nie wiedział, dokąd chciała dojść, ale uznał, że raczej nie wybierała się do ślimaka.

– Wszystkie są złe! – odkrzyknęła, nie odwracając się.

Próbował wyczuć podtekst tych słów, przebłysk bólu. Coś, co zadałoby kłam jej słowom, zdradziło uczucia, które nadal do niego żywiła, co dowodziłoby, że ta sytuacja jest dla niej równie trudna i zagmatwana, jak dla niego.

Ale jak daleko można pogрузić się w fikcji?

* * *

Isabelle powiedziała, że chce jak najlepiej wykorzystać swój czas w Akademii, i zaproponowała, żeby nie utrudniali sobie życia bardziej niż to konieczne. Niestety, Simon wkrótce odkrył, że te dwie rzeczy wzajemnie się wykluczają. Ponieważ najlepsze wykorzystywanie czasu w pojmowaniu Isabelle to na przykład wyciągnięcie się jak kot na jednej z zatęchłych skórzanych sof w świetlicach dla uczniów w otoczeniu sykofantów oraz pokrzepianie się niedozwolonym zapasem szkockiej George'a i zachęcanie do tego innych. Wkrótce wszyscy przyjaciele i wrogowie Simona byli pijani, nieskoordynowani i zdecydowanie zbyt rozbawieni jak na jego gust. Najlepsze wykorzystywanie okazji najwyraźniej oznaczało zachęcanie Julie do flirtowania z George'em, uczenie Marisol, jak rozbijać rzeźby biczem, a co najgorsze, obietnice, że być może pójdzie z Jonem Cartwrightem na imprezę na zakończenie roku pod koniec tygodnia.

Simon nie był pewien, czy którakolwiek z tych rzeczy była trudniejsza niż to konieczne (bo kto wiedział, co kwalifikowało się jako „konieczne”?), ale wszystkie okazały się torturą.

– To kiedy zacznie się prawdziwa zabawa? – zapytała w końcu Isabelle.

Jon poruszył brwiami.

– Wystarczy jedno twoje słowo.

Isabelle się roześmiała i dotknęła jego ramienia.

Simon zastanawiał się, czy wyrzucono by go z Akademii za zamordowanie Jona Cartwrighta podczas snu.

– Nie taka zabawa. Pytam, kiedy wymkniemy się z kampusu. Kiedy zabawimy się w Alicante? Popływamy w jeziorze Lyn?

Wyberzemy się... – Urwała, wreszcie zauważając, że pozostali wpatrują się w nią, jakby gadała od rzeczy. – Chcecie mi powiedzieć, że nie robicie żadnej z tych rzeczy?

– Nie jesteśmy tu dla zabawy – odpowiedziała nieco sztywno Beatriz. – Jesteśmy tu, żeby przygotować się do roli Nocnych Łowców. Nie bez powodu obowiązują nas pewne zasady.

Isabelle przewróciła oczami.

– Nie słyszeliście, że zasady są po to, żeby je naginać? Uczniowie powinni narobić sobie kłopotów w Akademii, przynajmniej ci najlepsi. Jak myślicie, dlaczego zasady są takie surowe? Żeby tylko najlepsi mogli je obchodzić. Możecie to uznać za zajęcia nadprogramowe.

– Skąd wiesz? – zapytała Beatriz.

Simon był zaskoczony jej tonem. Zwykle była spośród nich najcichsza, zawsze gotowa iść z prądem, ale teraz w jej głosie rozbrzmiewała groźna nuta, która mu przypominała, że niezależnie od swojej łagodności Beatriz była urodzoną wojowniczką.

– Przecież tu nie chodziłaś.

– Wywodzę się z długiego rodu absolwentów Akademii – odpowiedziała Isabelle. – Wiem to, co muszę wiedzieć.

– Nie wszyscy jesteśmy zainteresowani pójściem w ślady twojego ojca – zachnęła się Beatriz, a potem wstała i wyszła z pokoju.

Po jej wyjściu zapadła cisza i wszyscy w napięciu czekali na reakcję Isabelle.

Jej uśmiech nie osłabł, ale Simon wyczuwał promieniujący z niej żar i zrozumiał, że Isabelle potrzebuje ogromnej energii, żeby nie wybuchnąć... albo się nie załamać. Nie bardzo wiedział, do której z tych rzeczy mogłoby dojść. Nie wiedział, co czuła, wiedząc, że kiedyś jej ojciec był jednym z ludzi Valentine'a. Nic tak naprawdę nie wiedział na jej temat. Sam to przyznał.

A mimo to nadal chciał wziąć ją w objęcia i trzymać, aż minie

burza.

– Nikt jeszcze nie oskarżył mojego ojca o skłonność do dobrej zabawy – orzekła beznamiętnie Isabelle – ale domyślam się, że znacie już moją reputację. Spotkajcie się ze mną tu jutro, a pokażę wam, co tracicie. – Złapała Jona za rękę, żeby pomógł jej wstać z sofy. – No dobrze. Pokażecie mi teraz mój pokój? Nie sposób się zorientować w planie tego budynku.

– Z przyjemnością – powiedział Jon, mrugając znacząco do Simona.

I wyszli.

Razem.

* * *

Następnego ranka korytarze rozbrzmiewały ziewaniem i jękami skacowanych uczniów, poszukujących (bezowocnie) kawy i czegoś tłustego do zjedzenia. Kiedy Robert Lightwood zaczął drugi wykład, nużącą rozprawę o naturze zła i skrupulatną, punkt po punkcie, analizę krytyki Porozumień autorstwa Valentine'a, Simon musiał się szczytać, żeby nie zasnąć. Robert Lightwood był prawdopodobnie jedyną osobą na planecie, która mogła opowiedzieć historię Kręgu w śmiertelnie nudny sposób. Nie pomagał fakt, że Simon nie spał do rana, bo wiercił się na łóżku i przewracał z boku na bok, starając się odpędzić koszmarnie obrazy Isabelle z Jonem.

Był pewien, że Isabelle coś kombinuje. Może nie chodziło o niego. Może chodziło o ojca, jakieś dawne problemy związane z nauką w domu albo inne dziewczynskie sprawy, których nie potrafił zgłębić. W każdym razie nie była sobą.

To nie jest twoja dziewczyna, napominał się w myślach. Nawet jeśli coś jest nie tak, nie masz obowiązku tego naprawiać. Isabelle może robić, co chce.

A jeśli chciała Jona Cartwrighta, to najwyraźniej nie była warta zarywania nocy.

Do wschodu słońca prawie zdołał się do tego przekonać. Jednak teraz znowu stała na podwyższeniu obok ojca, a jej zacięte i inteligentne spojrzenie ponownie obudziło w nim denerwujące uczucia.

To nie były tak do końca wspomnienia. Simon nie potrafił wymienić ani jednego filmu, który razem obejrzel, nie znał ulubionych dań Isabelle ani ich osobistych żarcików; nie wiedział, jak to jest całować ją albo splatać z nią palce. Jednak to, co za każdym razem czuł, patrząc na nią, było głębsze, mieszkało na jakimś podziemnym poziomie jego umysłu. Czuł, że zna ją na wylot. Miał wrażenie, że ma wzrok Supermana i może przeświecić jej duszę. Czuł smutek, stratę, radość i mętlik. Instynkt jaskiniowca rozkazywał mu zabić dla niej dzika i złożyć u jej stóp. Czuł, że musi zrobić coś nadzwyczajnego, i wierzył, że w jej obecności zdołałby to zrobić.

Czuł coś, czego nigdy do tej pory nie doświadczył. Miał jednak złe przeczucie, bo mimo to je rozpoznawał.

Był przekonany, że tak się właśnie czuł, gdy był zakochany.

1984

Valentine ułatwił im zadanie. Wydusił od dziekana pozwolenie na „edukacyjną” wycieczkę do lasu Brocelind. Przez dwa dni i dwie noce mogli robić, czego zapragną, pod warunkiem, że zakończy się to kilkoma zabazgranymi kartkami na temat leczniczych właściwości dzikich ziół.

Zważywszy na niewygodnie pytania, jakie zadawał, i buntownicze teorie, Valentine powinien być czarną owcą w Akademii Nocnych Łowców. Ragnar Fell z pewnością

traktował go jak oślizgłą kreaturę, która wypełzła spod kamienia i powinna natychmiast tam powrócić. Jednak resztę nauczycieli oślepił urok osobisty Valentine'a; nie potrafili albo nie chcieli dostrzec tego, co kryło się pod spodem. Nieustannie nie dotrzymywał terminów, wymykał się z zajęć, a wymawiał się tylko czarującym uśmiechem. Inny uczeń mógłby być wdzięczny za tę swobodę, ale Valentine tym bardziej pogardzał nauczycielami; każda furtka w przepisach, jaką otwierali dla niego nauczyciele, stanowiła kolejny dowód ich słabości.

Jednakże bez skrupułów z nich korzystał.

Stado wilkołaków według informacji Valentine'a zaszyło się w starym dworze Silverhoodów, walącej się ruinie w sercu lasu. Ostatni Silverhood zginął w bitwie dwa pokolenia wcześniej i jego nazwisko służyło do straszenia małych Nefilim. Śmierć żołnierza to jedno – szkoda, ale taki jest naturalny porządek rzeczy. Śmierć całego rodu to rzecz nie do pomyślenia.

Może w głębi ducha we wszystkich ta wyprawa budziła obawy, niedozwolona misja, przez którą przekraczali pewną niewidzialną linię. Nigdy dotąd nie zaatakowali Podziemnych bez wyraźnego pozwolenia i nadzoru starszych. Łamali już zasady, ale nigdy jeszcze nie znaleźli się tak blisko złamania Prawa.

Może po prostu chcieli spędzić kilka godzin jak zwykle nastolatki, zanim zapędzą się tak daleko, że nie będzie odwrotu.

Z jakiegoś powodu ich czwórka celowo szła przez las bez pośpiechu, rozbiła obóz pół mili od posiadłości Silverhoodów. Valentine zdecydował, że przez dzień będą obserwować obóz wilkołaków, oceniając ich siłę i słabości, obserwując zwyczaje, a zaatakują po zmierzchu, kiedy stado rozproszy się, żeby zapolować. Jednak tym zajmą się dopiero jutro. Tej nocy usiedli wokół ogniska, upiekli kiełbaski nad płomieniami, wspominali przeszłość, rozpływali się nad swoją przyszłością, która nadal wydawała się niemożliwie odległą.

– Oczywiście ożenię się z Jocelyn – powiedział Valentine –

i wychowamy nasze dzieci w nowej erze. Nigdy nie zostaną wypaczone przez zepsute prawa słabego, płacznego Clave.

– Pewnie, bo wtedy już będziemy rządzić światem – rzucił niefrasobliwie Stephen.

Ponury uśmiech Valentine'a sprawił, że zabrzmiało to nie tyle jak żart, ile jak obietnica.

– Nie wyobrażacie sobie tego? – powiedział Michael. – Tatuś Valentine po kolana w pieluchach. Z autobusem pełnym dzieciaków.

– Ile tylko Jocelyn zechce. – Twarz Valentine'a złagodniała, jak zawsze, gdy wypowiadał jej imię. Byli razem raptem dwa miesiące, od śmierci jego ojca, ale bez wątpienia mieli zostać ze sobą już na dobre. Sposób, w jaki na nią patrzył... Jakby była z innego gatunku niż pozostali, lepszego. – Nie dostrzegasz tego? – Valentine zwierzył się raz, na samym początku, kiedy Robert zapytał go, jak może tak szybko być pewnym swojej miłości. – W niej jest więcej z Anioła niż w nas, pozostałych. Jest w niej wielkość. Promienieje jak sam Razjel.

– Chcesz zdominować pulę genową – powiedział Michael. – Wyobrażam sobie, że uważasz, że świat byłby lepszy, gdyby każdy Nocny Łowca miał w sobie coś z Morgensternów.

Valentine uśmiechnął się szeroko.

– Podobno fałszywa skromność do mnie nie pasuje, więc... bez komentarza.

– Skoro już jesteśmy przy tym temacie – powiedział Stephen z rumieńcami na policzkach. – Poprosiłem Amatis. Zgodziła się.

– O co poprosiłeś? – zapytał Robert.

Michael i Valentine się roześmiali, a policzki Stephena zapłonęły jeszcze mocniej.

– O rękę – przyznał. – Co o tym myślicie?

Pytanie było ostentacyjnie skierowane do wszystkich, ale Stephen spojrział na Valentine'a, który wahał się niemożliwie długo, zanim odpowiedział.

– Amatis? – powiedział wreszcie, marszcząc czoło, jakby się bardzo głęboko zastanawiał.

Stephen wstrzymał oddech i przez chwilę Robert myślał, że być może potrzebuje zgody Valentine'a, że chociaż oświadczył się Amatis, chociaż kocha ją tak mocno i rozpaczliwie, że niemal wibruje przy niej uczuciem, mimo napisania dla niej okropnej piosenki miłosnej, którą Robert znalazł raz na pomiętej kartce pod łóżkiem, Stephen odrzuciłby ją, gdyby Valentine mu to rozkazał.

W tej chwili Robert pomyślał, że Valentine może wydać taki rozkaz tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie.

A potem twarz Valentine'a rozluźniła się w szerokim uśmiechu. Objął Stephena ramieniem, mówiąc:

– Najwyższy czas. Nie wiem, na co czekałeś, idioto. Kiedy masz szczęście, że Graymark stoi po twojej stronie, robisz, co w twojej mocy, żeby tak pozostało. Już ja to wiem.

Potem wszyscy się śmiali, wznosili toasty, planowali wieczór kawalerski i nabijali się z krótkotrwałych prób Stephena pisanie piosenek. Robert czuł się jak idiota, bo wyobrażał sobie przez chwilę, że coś zachwiałoby miłością Stephena do Amatis albo że Valentine'owi mogłoby zależeć na czymś innym niż ich dobru.

To byli jego przyjaciele, lepszych nigdy nie znajdzie. Nikt nie znajdzie lepszych.

To byli jego towarzysze broni i takie noce jak ta, wybuchy radości pod gwiazdzistym niebem, były ich nagrodą za specjalne zobowiązanie, jakie wzięli na siebie.

Wyobrażanie sobie czegoś innego było tylko symptomem ukrytej słabości Roberta, jego zakorzenionym brakiem przekonania. Postanowił, że więcej sobie na coś takiego nie pozwoli.

– A ty, stary? – zapytał Roberta Valentine. – Chociaż nie muszę pytać. Wszyscy wiemy, że Maryse robi to, co chce.

– A z niewyjaśnionych powodów chce ciebie – dodał Stephen.

Michael, który zrobił się nietypowo milczący, pochwycił spojrzenie Roberta. Tylko Michael wiedział, jak Robert nie lubi myśleć o przyszłości, zwłaszcza tej jej części. Jak bardzo się boi, że zostanie zmuszony do małżeństwa, rodzicielstwa, odpowiedzialności. Gdyby to zależało od Roberta, na zawsze zostałyby w Akademii. To nie miało sensu. Z powodu tego co wydarzyło się, kiedy był dzieckiem, był parę lat starszy od przyjaciół, powinien śmiać się z ograniczeń młodości. Jednakże może właśnie z powodu tamtych wydarzeń jakaś jego część czuła się oszukana i chciała odzyskać utracony czas. Tak długo pragnął życia, jakie miał teraz. Nie był jeszcze gotowy, żeby je porzucić.

– Stary jest wycieńczony – powiedział Robert, uchylając się od odpowiedzi. – Czuję, że namiot mnie przyzywa.

Kiedy zgasili ogień i uprzątnęli obóz, Michael rzucił mu pełen wdzięczności uśmiech, bo oszczędził mu przesłuchania. Michael jako jedyny nie miał dziewczyny i nie lubił takich rozmów jeszcze bardziej niż Robert. To była jedna z wielu rzeczy, które ich łączyły. Obaj bardziej lubili swoje towarzystwo niż jakiegokolwiek dziewczyny. Małżeństwo wydawało się zupełnie chybionym pomysłem, myślał czasem Robert. Jak mogłoby mu zależeć na żonie bardziej niż na swoim *parabatai*, drugiej połówce swojej duszy? Dlaczego ktokolwiek oczekiwałby od niego czegoś takiego?

Nie mógł zasnąć.

Kiedy wyszedł z namiotu wśród ciszy przedświt, Michael siedział przy popiołach ogniska. Odwrócił się do Roberta bez zaskoczenia, jakby czekał na *parabatai*. Może czekał. Robert nie wiedział, czy to skutek wiążącego rytuału, czy zwyczajnie wynikało to z definicji najlepszego przyjaciela, ale on i Michael żyli i oddychali w podobnym rytmie. Nim zamieszkali razem w akademiku, często wpadali na siebie na korytarzach Akademii, kiedy włóczyli się po nocach z powodu bezsenności.

– Przejdziemy się? – zaproponował Michael.

Robert skinął głową.

Wędrowali bez słowa wśród drzew, zanurzając się w odgłosy śpiącego lasu. Kłaskanie nocnych ptaków, smyrganie owadów, szum wiatru w liściach, cichy szelest trawy i trzask gałązek pod ich nogami. Czaiły się tam niebezpieczeństwa, obaj dobrze to wiedzieli. Wiele misji treningowych Akademii odbywało się w lesie Brocelind, tutejsze gęstwiny zapewniały schronienie wilkołakom, wampirom i czasem nawet demonom, chociaż większość z nich wypuszczała się tam sama w ramach ostatecznej próby dla obiecujących uczniów. Tej nocy czuli się w lesie bezpiecznie. A może po prostu Robert czuł się niezwyciężony.

Kiedy szli, myślał nie o czekającej ich misji, ale o Michaelu, który był jego pierwszym prawdziwym przyjacielem.

Miał chyba przyjaciół, kiedy był młodszy. Dzieci dorastające w Alicante znały się, a on miał mgliste wspomnienia z wypraw po Mieście Szkła z małą grupką dzieciaków. Ich twarze zmieniały się, lojalność nie istniała. Co odkrył, kiedy ukończył dwanaście lat i otrzymał pierwszy Znak.

Dla większości dzieci Nocnych Łowców to był powrót do domu, dzień, którego nie mogły się doczekać i na którego temat fantazjowały, jak przyziemne dzieci mające z niewiadomych powodów obsesję na punkcie urodzin. W niektórych rodzinach pierwszy run rysowano w szybki, rzeczowy sposób; dzieciak otrzymywał Znak i ruszał swoją drogą; w innych to było wielkie święto z prezentami, balonami i przyjęciem.

I oczywiście w bardzo nielicznych rodzinach pierwszy run był ostatnim runem, dotyk steli przypalał dziecku skórę, wywoływał wstrząs albo szaleństwo, gorączkę tak silną, że tylko przecięcie Znakem ratowało życie. Te dzieci nigdy nie mogły zostać Nocnymi Łowcami, a ich rodziny nie były już takie same.

Nikt nigdy nie myślał, że to może im się przytrafić.

W wieku dwunastu lat Robert był mizerny, ale zwinny, szybki jak na swój wiek, silny jak na nędzną posturę. Był pewny, że czeka go chwała Nocnego Łowcy. Jego liczna rodzina obserwowała, jak ojciec ostrożnie rysował run Wzroku na dłoni Roberta.

Czubek steli kreślił piękne linie na jego bladej skórze. Ukończony Znak zaśnił jasno i Robert musiał aż zamknąć oczy oślepiiony.

To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętał.

W każdym razie ostatnia, jaką wyraźnie pamiętał.

Potem nastąpiło to wszystko, co usilnie starał się zapomnieć.

Ból.

Ból, który przeszył go jak uderzenie piorunem, który przypląwał i odpływał falami. Ból wypełnił jego ciało, linie cierpienia promieniowały ze Znak, przedzierając się przez ciało do organów i kości. A potem pojawił się znacznie gorszy ból – w jego umyśle, a może w duszy, niewypowiedziane cierpienie, jakby jakaś istota przedarła się w głąbiny jego mózgu i głodniała coraz bardziej z każdym iskrzeniem neuronu i synapsy. Myślenie bolało, czucie bolało, pamiętanie bolało, ale trzeba było to wszystko robić; nawet w najgorszym bólu jakaś część Roberta zachowała dość przytomności, żeby wiedzieć, że jeśli nie będzie się tego trzymał, jeśli nie będzie czuł bólu, odpłynie na zawsze.

Później posługiwał się tymi słowami i wieloma innymi, żeby nazwać ból, ale żadne z nich nie oddawało tego doświadczenia. Tego, co się wydarzyło, co poczuł, nie dało się opisać.

Musiał znosić jeszcze inne tortury. Nieskończenie długo leżał w łóżku, nieprzytomny dla wszystkich, uwięziony przez Znak. Miał wizje. Widział demony, szyczące z niego i torturujące go; gorzej, że widział też twarze tych, których kochał, mówiących mu, że jest bezwartościowy, że lepiej, by umarł. Widział zwęglone, jałowe równiny i ścianę ognia, czekające na niego piekło, jeśli jego umysł się wymknie. Mimo wszystko jakoś to

zniósł.

Stracił wszelkie poczucie otaczającego go świata, siebie samego, słowa i nawet własne imię, ale wytrzymał. Aż wreszcie, miesiąc później, ból ustąpił. Wizje osłabły. Robert się obudził.

Dowiedział się – kiedy doszedł do siebie dość, żeby rozumieć i się interesować – że był półprzytomny przez kilka tygodni, podczas których toczyła się wokół niego bitwa. Członkowie Clave spierali się z jego rodzicami na temat leczenia, a dwóch Cichych Braci robiło, co w ich mocy, żeby utrzymać go przy życiu. Wszyscy chcieli pozbawić go Znaków. Rodzice powiedzieli mu, że Cisi Bracia codziennie powtarzali, że to jedyny sposób, by zapewnić mu życie i oszczędzić dalszego bólu. Niech przeżyje życie jako Przyziemny – tak wyglądało zwyczajowe leczenie dla Nocnych Łowców, którzy nie mogli nosić Znaków.

– Nie mogliśmy pozwolić, żeby zrobili ci coś takiego – powiedziała mu matka.

– Jesteś Lightwoodem. Urodziłeś się, żeby być Nocnym Łowcą – dodał ojciec. – To jedyne życie dla ciebie.

Nie powiedzieli tego, ale nie musieli: „Woleliśmy, żebyś umarł, niż stał się Przyziemnym”.

Od tego czasu inaczej układały się ich stosunki. Robert był wdzięczny rodzicom za to, że w niego wierzyli, on też wolałby umrzeć. Jednak świadomość, że miłość rodziców ma swoje granice, coś zmieniła. Coś musiało także zmienić się dla nich, gdy odkryli, że część ich syna nie może znieść życia Nocnego Łowcy, i musieli żyć z tym wstydem.

Teraz już Robert nie pamiętał, jaka była jego rodzina przed Znakiem. Pamiętał tylko późniejsze lata, chłód, jaki pojawił się między nimi. Odgrywali swoje role: kochanego ojca, czulej matki, posłusznego syna, ale w obecności rodziców Robert czuł się najbardziej samotny.

Podczas miesięcy rekonwalescencji często był sam. Dzieciaki, które uważał za swoich przyjaciół, nie chciały mieć z nim nic

wspólnego. Kiedy były zmuszone znosić jego obecność, odsuwały się, jakby cierpiał na coś zaraźliwego.

Cisi Bracia powiedzieli, że wszystko jest w najlepszym porządku. Przetrwał ból z nietkniętym Znakiem, więc nie istniało żadne ryzyko w przyszłości. Jego ciało było o krok od odrzucenia runu, ale siłą woli Robert to zmienił. Kiedy Cisi Bracia przebadali go po raz ostatni, jeden z nich przemówił z powagą w jego głowie, wypowiadając słowa tylko dla jego wiadomości.

Będzie cię kusilo, zeby odbierać tę ciężką próbę jako oznakę swojej słabości. Zamiast tego pamiętaj, że to dowód twojej siły.

Robert jednak miał dwanaście lat. Jego byli przyjaciele rysowali sobie runy, wyjeżdżali do Akademii, robili wszystko, co powinni robić normalni Nocni Łowcy, a Robert ukrywał się w sypialni porzucony przez przyjaciół, odrzucony przez rodzinę, lękający się własnej steli. W obliczu tylu dowodów słabości nawet Cichy Brat nie mógł sprawić, że poczułby się silny.

W taki sposób minął prawie rok i Robert zaczął sobie wyobrażać, że tak będzie wyglądała reszta jego życia. Będzie Nocnym Łowcą tylko z nazwy. Nocnym Łowcą, który boi się Znaków. Czasem nocami żałował, że wykazał się ogromną siłą woli, że się nie zatracił. Śmierć byłaby lepsza od życia, do którego wrócił.

A potem poznał Michaela Waylanda i wszystko się zmieniło.

Nie znali się wcześniej zbyt dobrze. Michael był dziwnym dzieciakiem, któremu pozwalano włóczyć się z paczką, ale którego nigdy do końca nie zaakceptowano. Łatwo się rozpraszał i miał dziwne kaprysy; potrafił przerwać w połowie sparing, żeby się zastanowić, skąd się wzięły Sensory i kto je wymyślił.

Michael pojawił się raz w rezydencji Lightwoodów i zapytał, czy Robert może wyjść na konną przejażdżkę. Spędzili kilka godzin, galopując po okolicy, i kiedy skończyli, Michael powiedział: „Do zobaczenia jutro”, jakby to było z góry przesądzone. Wciąż wracał. „Bo jesteś ciekawy” – powiedział,

kiedy Robert wreszcie go zapytał, dlaczego to robi.

To była kolejna rzecz typowa dla Michaela. Zawsze mówił dokładnie to, co myślał, nawet jeśli było to nietaktowne albo dziwne.

– Matka kazała mi przyrzec, że nie będę pytał, co ci się stało – dodał.

– Dlaczego?

– Bo to byłoby niegrzeczne. A ty co myślisz? To byłoby niegrzeczne?

Robert wzruszył ramionami. Nikt go o to nie pytał ani do tego nie nawiązywał, nawet rodzice. Nigdy nie zastanawiał się nad powodami ani czy to mu odpowiada. Po prostu tak było.

– Mnie nie przeszkadza, że będę niegrzeczny – powiedział Michael. – Powiesz mi? Jak to było?

Dziwne, że okazało się to tak proste. Okazało się, że Robert marzył, żeby komuś o tym opowiedzieć, i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Potrzebował tylko, żeby ktoś go zapytał. Słowa popłynęły. Robert mówił i mówił, a kiedy milkł, obawiając się, że za bardzo się zapędził, Michael wyskakiwał z następnym pytaniem.

– Jak myślisz, dlaczego właśnie tobie się to przydarzyło? Myślisz, że to genetyczne? Albo że jakaś częśćka ciebie nie miała zostać Nocnym Łowcą?

To był, rzecz jasna, największy i najbardziej skrywany lęk Roberta, ale Michael powiedział o nim mimochodem i pozbawił całej siły.

– Może? – odpowiedział Robert, a Michael, zamiast się odsunąć, spojrzał na niego z oczami płonącymi ciekawością.

Uśmiechnął się szeroko.

– Powinniśmy się dowiedzieć.

To stało się ich misją. Szukali w bibliotekach, ślęczeli nad starodawnymi tekstami, zadawali pytania, których dorośli nie chcieli słuchać. Istniało bardzo niewiele zapisków na temat

Nocnych Łowców, którzy doświadczyli tego samego co Robert – takie przypadki stanowiły wstydlivy sekret rodzinny, coś o czym nigdy się nie wspomina. Oczywiście Michaela nie interesowało, ile osób zdenerwuje ani ile tradycji naruszy. Nie był szczególnie odważny, ale najwyraźniej też nie odczuwał strachu.

Zawiedli. Nie istniało racjonalne wyjaśnienie powodów, dla których Robert tak silnie zareagował na Znak, ale pod koniec roku to już nie miało znaczenia. Michael zamienił koszmar w zagadkę, a sam został najlepszym przyjacielem Roberta.

Przeprowadzili rytuał *parabatai* przed wyjazdem do Akademii, bez wahania składając przysięgę. Wtedy już mieli po piętnaście lat i pod względem fizycznym bardzo się różnili – Robert wreszcie zaczął rosnać i przewyższał rówieśników, mięśnie miał potężne, a zarost z każdym dniem mu gęstniał. Michael był smukły i żyłasty, a potargane loki i rozmarzony wzrok sprawiały, że wyglądał na młodszego, niż był w rzeczywistości.

*Nie nalegaj na mnie, abym opuścił ciebie
I abym odszedł od ciebie, gdyż:
gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę,
gdzie ty zamieszkaasz, tam ja zamieszkaam,
twój naród będzie moim narodem,
a twój Bóg będzie moim Bogiem.
Gdzie ty umrzesz, tam ja umrę
i tam będę pogrzebany.
Niech mi Anioł to uczyni
i tamto dorzuci,
jeśli coś innego niż śmierć
oddzieli mnie od ciebie![\[2\]](#).*

Robert wyrecytował słowa, ale nie były potrzebne. Więź została scementowana, kiedy skończył czternaście lat i wreszcie

odważył się nałożyć sobie Znak. Powiedział tylko Michaelowi i to on przyłożył stelę do jego skóry, to jego spokojny wzrok dodał mu odwagi.

To było nie do pomyślenia, że został im tylko rok do rozstania. Oczywiście więź *parabatai* przetrwa po opuszczeniu Akademii. Zawsze będą najlepszymi przyjaciółmi, zawsze będą razem ruszali do walki. Jednak to już nie będzie to samo. Każdy się ożeni, przeniesie do własnego domu, na kim innym skupi uwagę i miłość. Zawsze dusza jednego będzie należała do drugiego, ale po następnym roku żaden nie będzie już najważniejszą osobą w życiu tego drugiego. Robert wiedział, że tak to jest w życiu. Na tym polegało dorastanie. Po prostu nie potrafił sobie tego wyobrazić i nie chciał.

Jakby słuchając myśli Roberta, Michael powtórzył pytanie, przed którym Robert wcześniej się uchylił:

– Co naprawdę dzieje się między tobą a Maryse? Myślisz, że to coś prawdziwego? Miłość na zawsze?

Nie było sensu udawać przed Michaeliem.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze. – Nie wiem nawet, jakie to byłoby uczucie. Jest dla mnie idealna. Uwielbiam spędzać z nią czas, uwielbiam... no wiesz... z nią, ale czy to znaczy, że ją kocham? Powinno, ale...

– Czegoś brakuje?

– Nie między nami. To jakby czegoś brakowało we mnie. Widzę, jak Stephen patrzy na Amatis, jak Valentine patrzy na Jocelyn...

– Jak Lucian patrzy na Jocelyn – dodał Michael z kpiarskim uśmiechem.

Obaj lubili Luciana, chociaż miał irytujący sposób bycia, jakby przychylność Valentine'a obdarzyła go przenikliwością wykraczająca poza jego wiek. Jednak po tych wszystkich latach patrzenia, jak wzdycha za Jocelyn, trudno było traktować go poważnie. To samo dotyczyło Jocelyn, która jakimś cudem

zdołała niczego nie zauważyć. Robert nie rozumiał, jak można znajdować się w centrum czyjegoś świata i nawet nie zdawać sobie z tego sprawy.

– Sam nie wiem – przyznał, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jakaś dziewczyna znajdzie się w centrum jego świata. – Czasem martwię się, że coś jest ze mną nie tak.

Michael położył rękę na jego ramieniu i spojrzał mu prosto w oczy.

– Z tobą jest wszystko w porządku. Chciałbym, żebyś wreszcie to dostrzegł.

Robert odrzucił rękę wraz z powagą chwili.

– A co z tobą? – zapytał z wymuszoną wesołością. – To były już... Ile? Trzy randki z Elizą Rosewain?

– Cztery – przyznał Michael.

Zmusił Roberta do zachowania tajemnicy, mówiąc, że nie chce, by pozostali się dowiedzieli, dopóki on sam się nie upewni, że to coś poważnego. Robert podejrzewał, że przyjaciel nie chce, żeby Valentine się dowiedział, ponieważ Eliza była cierniem w jego boku. Zadawała niemal tyle samo niegrzecznych pytań co on, żywiła podobną pogardę dla obecnej polityki Clave, ale nie chciała mieć nic wspólnego z Kręgiem i jego celami. Eliza uważała, że nowy, zjednoczony front z Przyziemnymi i Podziemnymi to klucz do przyszłości. Obstawała – i to głośno, ku zgorszeniu większości nauczycieli i uczniów – że Nocni Łowcy powinni zająć się problemami świata Przyziemnych. Często można było ją zastać na dziedzińcu, gdzie wciskała uczniom niechciane ulotki, nawijając o próbach jądrowych, magnatach naftowych z Bliskiego Wschodu, jakichś problemach w Południowej Afryce, których nie ogarniali, jakiejś chorobie, której istnienia nie chciano uznać w Ameryce... Robert wysłuchał w całości każdego wykładu, bo Michael zawsze nalegał, żeby zostali i posłuchali.

– Jest bardzo dziwna – powiedział Michael. – To mi się podoba.

– Aha.

To była niespodzianka, i to nie do końca przyjemna. Michael nigdy do tej pory nikogo nie polubił. Aż do tej chwili Robert nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo na tym polegał.

– W takim razie powinieneś zawalczyć o nią – powiedział, mając nadzieję, że zabrzmiało to szczerze.

– Naprawdę? – Michael robił wrażenie zaskoczonego.

– Tak. Pewnie. – Robert napomniął się w myślach: „Im mniej pewnie się czujesz, tym pewniej działaj”. – Pasuje do ciebie idealnie.

– Hm. – Michael zatrzymał się i usiadł w cieniu drzewa; Robert przysiadł obok niego. – Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

– Byłeś kiedyś zakochany? Tak naprawdę?

– Wiesz, że nie. Myślisz, że nie wspomniałbym o tym?

– Ale skąd wiesz, skoro nie wiesz, jak człowiek się wtedy czuje? Może byłeś i nie zdawałeś sobie z tego sprawy? Może czekasz na coś, co już masz.

Pewna część Roberta miała nadzieję, że tak właśnie jest, że to, co czuje do Maryse, to wieczna miłość bratnich dusz, o której wszyscy mówią. Może zwyczajnie miał zbyt duże wymagania.

– Chyba rzeczywiście nie wiem – przyznał. – A co z tobą? Myślisz, że wiesz, jakie to uczucie?

– Miłość? – Michael uśmiechnął się, patrząc na swoje ręce. – Miłość, prawdziwa miłość, to bycie dostrzeganym. Ktoś cię zna. Zna twoją najbrzydszą część i mimo to kocha cię. I... Myślę, że ludzie, którzy się kochają, stają się czymś nowym, czymś więcej niż sumą swoich części, rozumiesz? Jakbyście tworzyli nowy świat, który istnieje tylko dla was dwojga. Jesteście bogami własnego kieszonkowego wszechświata. – Zaśmiał się cicho, jakby zrobiło mu się głupio. – To musi idiotycznie brzmieć.

– Nie – odpowiedział Robert.

Michael nie mówił jak ktoś, kto zgaduje, ale jak ktoś, kto wie.

Czy to możliwe, że po czterech randkach z Elizą naprawdę się zakochał? Czy to możliwe, że cały świat jego *parabatai* się zmienił, a Robert nawet tego nie zauważył?

– To brzmi... miło.

Michael spojrział na Roberta. Nietypowa niepewność wykrzywiła mu twarz.

– Robert, jest coś, co chciałem ci powiedzieć... Może potrzebowałem ci powiedzieć...

– Wał śmiało.

Takie wahanie nie było w stylu Michaela. Zawsze mówili sobie wszystko.

– Wiesz...

Urwał i pokręcił głową.

– O co chodzi? – naciskał Robert.

– Nieważne. Zapomnij.

Robertowi zacisnął się żołądek. Czy tak teraz będzie, odkąd Michael się zakochał? Pojawi się między nimi dystans, nie będą mówili sobie o ważnych rzeczach? Czuł się, jakby Michael zostawiał go w tyle, przekraczał granicę, której Robert nie mógł pokonać. I nic nie potrafił poradzić, że miał o to żal do Michaela.

* * *

Simonowi śniło się, że wrócił na Brooklyn i grał z zespołem Rilo Kiley w klubie pełnym wrzeszczących fanów, kiedy nagle jego matka weszła na scenę w szlafroku i powiedziała z nienagannym szkockim akcentem:

– Przegapisz całą zabawę.

Simon mrugał przez chwilę skonsternowany tym, że znajduje się w lochach, które śmierdzą łajnem, zamiast w sypialni w Brooklynie. A potem natychmiast przypomniał sobie, gdzie się znajduje, i znowu zdumiał się, dlaczego budzi go w środku nocy

Szkot o dzikim wzroku.

– Pali się? – zapytał Simon. – Lepiej, żeby się paliło. Albo żeby demony zaatakowały. I nie mówię o jakimś mizernym demonie z niskiego poziomu. Jak chcesz mnie budzić ze snu, w którym jestem gwiazdą rocka, to niech lepiej chodzi o Wielkiego Demona.

– To Isabelle – odpowiedział George.

Simon wyskoczył z łóżka. A przynajmniej mężnie spróbował. Zaplątał się trochę w pościeli, więc właściwie wyturlał się z hukiem z łóżka, ale w końcu wstał, gotowy do działania.

– Co się stało Isabelle?

– A dlaczego miałyby jej się coś stać?

– Powiedziałaś... – Simon potarł oczy. – Zaczniemy od początku. Budzisz mnie, ponieważ...

– Mamy się spotkać z Isabelle. Przeżyć przygodę. Coś ci to mówi?

– Ach. – Simon zrobił, co w jego mocy, żeby o tym zapomnieć. Wrócił do łóżka. – Opowiesz mi o wszystkim rano.

– Nie idziesz? – zapytał George, jakby Simon powiedział, że przez resztę nocy zamierza dla zabawy gimnastykować się z Delaneyem Scarsburym.

– Zgadłeś. – Simon naciągnął koc na głowę i udał, że śpi.

– Ale przegapisz całą zabawę.

– Taki właśnie mam zamiar – odpowiedział Simon i zaciskał powieki, aż naprawdę zasnął.

Tym razem śnił o pełnym szampana i kawy pokoju dla VIP-ów na tyłach klubu oraz stadku fanek, które próbowały wyważyć drzwi, żeby (we śnie Simon znał ich intencje) zedrzeć z niego ubranie i go niecnie wykorzystać. Dobijały się do drzwi, wykrzykując jego imię: „Simon! Simon! Simon...”.

Simon otworzył oczy. Ujrzał wpełzające szare smużki przedświt, usłyszał rytmiczne walenie do drzwi i dziewczynę, która wykrzykiwała jego imię.

– Simon! Simon, obudź się!

To była Beatriz i nie brzmiało to tak, jakby chciała go niecnie wykorzystać.

Zaspany podszedł do drzwi i ją wpuścił. Uczennicom zdecydowanie nie wolno było przebywać w pokojach uczniów w czasie ciszy nocnej, a łamanie zasad nie leżało w naturze Beatriz, więc uznał, że musi chodzić o coś ważnego. (Gdyby dobijanie się do drzwi i krzyki już tego nie zasugerowały).

– Co się stało?

– Co się stało?! Stało się to, że jest piąta nad ranem, a Julie i pozostali nadal balują gdzieś z twoją głupią dziewczyną, i jak myślisz, co się stanie, jeśli nie wrócą przed porannym wykładem? Kto wie, co się z nimi dzieje? – wypaliła jednym tchem.

– Spokojnie, Beatriz, oddychaj. Poza tym to nie jest moja dziewczyna.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? – Beatriz gotowała się z wściekłości. – Namówiła ich, żeby się wymknęli z kampusu. Mogli opić się wody z jeziora Lyn i oszaleć. Mogą nie żyć. Nic cię to nie obchodzi?

– Pewnie, że mnie obchodzi – powiedział Simon, zauważając, że jest sam w pokoju. George też nie wrócił. Jego mózg, o tępiący od snu, funkcjonował poniżej optymalnej prędkości. – W następnym roku przywiozę ekspres do kawy – wymamrotał.

– Simon! – Klasnęła głośno w dłonie, kilka cali od jego twarzy. – Skup się!

– Nie uważasz, że trochę za bardzo panikujesz? – zapytał Simon, chociaż Beatriz była najbardziej rozsądną dziewczyną, jaką znał. Jeśli była zaniepokojona, to pewnie miała dobry powód. Tyle że on go nie dostrzegał. – Są z Isabelle. Isabelle Lightwood nie pozwoli, żeby stało im się coś złego.

– Och, są z Isabelle. – Jej głos ociekał sarkazmem. – Tak mi ulżyło!

– Daj spokój. Nie znasz jej.

– Wiem, co widzę.

– A co widzisz?

– Uprzywilejowaną bogatą dziewczynę, która nie musi trzymać się zasad i martwić się konsekwencjami. Co ją to obchodzi, jeśli Julie i Jona wywalą ze szkoły?

– A co mnie to obchodzi, jeśli Julie i Jona wywalą ze szkoły? – mruknął trochę za głośno Simon.

– Obchodzi cię George. I Marisol, i Sunil. Przebywają gdzieś poza Akademią i ufają Isabelle tak samo jak najwyraźniej ty. Ale mówię ci, mnie to nie wydaje się w porządku. To, co powiedziała o Akademii, że nauczyciele chcą, żebyśmy coś schrzanili i narobili sobie kłopotów. To raczej ona chce nas wpakować w kłopoty. Ona czegoś chce. Nie wiem czego. Ale to mi się nie podoba.

Coś w jej słowach zabrzmiało bardziej trafnie, niżby sobie tego życzył, jednak nie chciał tego drażnić. To się wydawało nielojalne, a on już okazał się dostatecznie nielojalny. W tym tygodniu miał szansę udowodnić coś Isabelle, pokazać jej, że należą do siebie. Nie zamierzał schrzanić wszystkiego, wątpiąc w nią, nawet jeśli ona tego nie widziała.

– Ufam Isabelle – powiedział do Beatriz. – Nikomu nic nie będzie i na pewno wrócą, zanim ktokolwiek coś zauważy. Powinnaś przestać się martwić.

– To wszystko? Tyle tylko zamierzasz zrobić?

– A co ty chcesz zrobić?

– Nie wiem. Coś!

– Ja też coś zrobię – odrzekł Simon. – Wrócę do łóżka. Będę śnił o kawie i nowym lśniącym fenderze stratocasterze, a jeśli George nie wróci do rana, powiem dziekan Penhallow, że zachorował, żeby nie miał kłopotów. A potem zacznę się martwić.

Beatriz parsknęła.

– Wielkie dzięki za nic.

– Proszę bardzo! – zawołał Simon, ale zanim to zrobił, poczekał, aż drzwi zatrzasną się za Beatriz.

* * *

Simon miał rację.

Kiedy Robert Lightwood zaczął wykład tego ranka, wszyscy uczniowie byli obecni, w tym George z bardzo przekrwionymi oczami.

– Jak było? – szepnął Simon, kiedy współlokator usiadł obok niego.

– Fantastycznie – mruknął George.

A kiedy Simon naciskał, George pokręcił tylko głową i przycisnął palec do ust.

– Serio? Powiedz mi.

– Przysiągłem zachować to w tajemnicy – szepnął George. – Ale będzie jeszcze lepiej. Jak chcesz, to chodź ze mną tej nocy.

Robert Lightwood odchrząknął głośno.

– Chciałbym zacząć wykład, o ile państwo na jaskółce nie mają nic przeciwko.

George rozejrzał się gwałtownie.

– Rety, mają tu jaskółki? Do siedzenia?!

Simon westchnął. George ziewnął. Robert zaczął wykład.

1984

Stado było małe, tylko pięć wilków w ich zwodniczo ludzkiej postaci. Dwóch mężczyzn, jeden wyższy nawet od Roberta, o mięśniach wielkości jego głowy, drugi przygarbiony i postarzały, o postrzępionych włosach wystających z nosa i uszu, jakby wewnętrzny wilk powoli wydierał się z jego ciała. Jedno

dziecko z blond warkoczykami. Młoda matka dziewczynki o błyszczących ustach i falujących kształtach, które budziły myśli, o jakich Robert wiedział, że lepiej nie wypowiadać ich na głos, a przynajmniej nie w obecności Valentine'a. I wreszcie muskularna kobieta o głębokiej opaleniznie i jeszcze głębszym grymasie, która najwyraźniej przewodziła stadu.

„To jest odrażające”, orzekł Valentine, „wilkołaki zasmradzające dwór wybitnego rodu Nocnych Łowców”. Chociaż rezydencja była w ruinie i od dawna porzucona – winorośle wspinały się po ścianach, chwasty wyrastały z fundamentów, ze szlachetnej budowli został praktycznie tylko gruz i rdza – Robert go rozumiał. Ten dom był związany z rodem, rezydowała tam rodzina nieustraszonych wojowników, mężczyzn i kobiet, którzy narażali się i ostatecznie oddali życie za ludzkość, ratując świat przed demonami. A teraz te stworzenia skażone demonem, te zbuntowane kreatury, które gwałciły Porozumienia i zabijały z zapamiętaniem, znalazły schronienie w domu swojego wroga? Valentine powiedział, że Clave nie chce się tym zająć. Władze chciały uzyskać więcej dowodów, nie dlatego, że nie były przekonane, że te wilki to odrażający, brutalni przestępcy, ale ponieważ nie chciały mieć do czynienia ze skargami ze strony Podziemnych. Nie chciały się tłumaczyć; nie miały odwagi powiedzieć: „Wiedzieliśmy, że są winni, więc się nimi zajęliśmy”.

Jednym słowem Clave było słabe.

Bezużyteczne.

Valentine powiedział, że powinni być dumni, wykonując pracę, której Clave nie chciało tknąć, że służą swoim ludziom, nawet jeśli naginają Prawo. Pod wpływem tych słów Roberta ogarnęła duma. Niech inni uczniowie z Akademii bawią się i zajmują swoimi drobnymi szkolnymi melodramatami. Niech myślą, że dorastanie to ukończenie szkoły, małżeństwo, branie udziału w spotkaniach. Oto prawdziwa dojrzałość, jak powiedział Valentine – dostrzeganie niesprawiedliwości i reagowanie bez

względu na ryzyko. Bez względu na konsekwencje.

Wilki miały świetny węch i wyostrzone instynkty nawet w ludzkiej formie, więc Nocni Łowcy zachowali ostrożność. Podkradli się do zrujnowanej rezydencji, zerkali przez okna, czekali, patrzyli. Planowali. Pięć wilkołaków i czterech młodych Nocnych Łowców – to były proporcje, przy których nawet Valentine nie chciał ryzykować. Dlatego byli cierpliwi, ostrożni.

Poczekali aż do zmroku.

Oglądanie wilków w ludzkiej formie, udających normalną ludzką rodzinę, było niepokojące. Młodszy mężczyzna zmywał naczynia, podczas gdy starszy parzył sobie imbryczek herbaty, a dziecko siedziało na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i bawiło się wyścigówkami. Robert napominał się, że to intruzi, że zagarnęli dom i życie, na które nie zasługują, że zabili wielu niewinnych i nawet pomogli zamordować ojca Valentine'a.

Mimo to ulżyło mu, kiedy księżyc wzeszedł i tamci powrócili do swojej potwornej formy. Robert i pozostali trzymali się cieni, kiedy trzem członkom stada wyrosły kły i futro, a potem wyskoczyli przez potłuczone okna w noc. Ruszyli na łowy, zostawiając w domu najsłabsze jednostki zgodnie z przewidywaniami Valentine'a. Starego człowieka i dziecko. Taki rozkład sił bardziej odpowiadał Valentine'owi.

Praktycznie nie było żadnej walki.

Zanim dwa wilki dostrzegły atak, już były otoczone. Nie miały nawet czasu na przemianę. W ciągu kilku minut Stephen ogłuszył starszego ciosem w głowę, a dziecko kulilo się w kącie kilka cali od miecza Michaela.

– Zabieramy oboje na przesłuchanie – powiedział Valentine.

Michael pokręcił głową.

– Nie zabieramy dzieciaka.

– To przestępcy – upierał się Valentine. – Każdy członek stada jest winny...

– To mała dziewczynka! – krzyknął Michael, odwracając się do

parabatai i oczekując wsparcia. – Robert, powiedz mu. Nie zaciągniemy jej do lasu, żeby rzucić na łaskę Clave.

Miał rację... Ale z drugiej strony Valentine też miał rację. Robert milczał.

– Nie zabierzemy dziecka – powtórzył Michael, a jego mina sugerowała, że jest gotowy poprzeć słowa czynem.

Stephen i Robert zamarli, czekając na wybuch. Valentine nie najlepiej przyjmował wyzwania. Nie miał do tego cierpliwości. Westchnął tylko i posłał im czarujący, smutny uśmiech.

– Oczywiście. Nie wiem, co sobie myślałem. W takim razie bierzemy tylko starca. Chyba że co do tego też masz obiekcje?

Nikt nie miał żadnych obiekcji, a nieprzytomny starzec to była sama skóra i kości, Robert ledwie zauważył jego ciężar na szerokim ramieniu. Zamknęli dziecko w szafie i ponieśli starca w las, z powrotem do obozu.

Przywiązali go do drzewa.

W sznur wpleciono srebrne włókno. Kiedy staruszek się obudzi, poczuje ból. To pewnie nie wystarczy, żeby powstrzymać go przed przemianą, jeśli się uprze, żeby uciec. Powinno go jednak spowolnić. Srebrne sztylety załatwią resztę.

– Wy dwaj patrolujcie teren w promieniu pół mili – polecił Michaelowi i Stephenowi Valentine. – Nie chcemy, żeby jego nikczemni przyjaciele odkryli jego trop. Ja z Robertem popilnujemy więźnia.

Stephen skinął głową gotowy wypełnić każde polecenie Valentine'a.

– A kiedy się obudzi? – zapytał Michael.

– Kiedy to coś się obudzi, przesłuchamy je z Robertem, zapytamy o jego zbrodnie i co wie o przestępstwach popełnionych przez jego towarzyszy – odpowiedział Valentine. – Kiedy już będziemy mieli zeznania, przekażemy go Clave, żeby wymierzyło karę. Czy to cię satysfakcjonuje, Michael?

Nie brzmiało to, jakby chciał usłyszeć odpowiedź, a Michael

nie odezwał się słowem.

– Czyli teraz czekamy? – zapytał Robert, kiedy zostali sami.

Valentine się uśmiechnął.

Kiedy chciał, jego uśmiech potrafił zakraść się do najbardziej ufortyfikowanego serca i roztopić je od środka.

Ten uśmiech służył czemuś innemu. To był zimny uśmiech, który zmroził Roberta do szpiku kości.

– Mam dość czekania – odpowiedział Valentine i wyciągnął sztylet.

Księżycowy blask odbił się od czystego srebra.

Zanim Robert zdążył cokolwiek powiedzieć, Valentine przycisnął ostrze płazem do nagiej piersi starego mężczyzny. Skóra zaskwierczała, rozległo się wycie i więzień obudził się, czując ból.

– Nie radzę – powiedział spokojnie Valentine, kiedy rysy starca zaczęły zmieniać się w wilcze, a na jego nagim ciele zaczęło wyrastać futro. – Zadam ci ból, owszem, ale jeśli zmienisz się w wilka, obiecuję, że cię zabiję.

Przemiana zatrzymała się równie gwałtownie, jak się zaczęła.

Starzec zakaszlał kilka razy. Był chudy, tak chudy, że pod bladą skórą wyraźnie rysowały się żebra. Miał zapadnięte policzki i kilka żalonych pasemek siwych włosów na pokrytej plamami wątrobowymi czaszce. Robertowi nigdy nie przyszło do głowy, że wilkołak może wyłysieć. W innych okolicznościach ta myśl by go rozbawiła.

Jednakże nie było niczego zabawnego w dźwiękach, jakie wydawał mężczyzna, kiedy Valentine przesunął czubkiem sztyletu od wystającego obojczyka do pępka.

– Valentine, to tylko staruszek – powiedział z wahaniem Robert. – Może powinniśmy...

– Posłuchaj swojego przyjaciela – wtrącił błagalnym głosem starzec. – Mógłbym być twoim dziadkiem.

Valentine uderzył go w twarz ręką sztyletu.

– To nie jest człowiek – powiedział do Roberta. – To potwór. I robił coś, czego nie powinien, prawda?

Wilkołak, który najwyraźniej uznał, że odgrywając słabego i starego, niczego nie uzyska, wyprostował się i odsłonił zęby. Kiedy się odezwał, jego głos już nie drżał.

– Kim jesteś, Nocny Łowco, żeby mówić mi, co mogę, a czego nie?

– Przyznaj więc – zachęcił go żywo Robert – że naruszyliście Porozumienie.

Gdyby szybko się przyznał, mogliby mieć za sobą tę wstrętną sprawę, przekazać więźnia Clave i wrócić do domu.

– Nie układam się z mordercami i cherlakami – warknął wilkołak.

– Na szczęście nie zamierzam się z tobą układać – odrzekł Valentine. – Potrzebuję tylko informacji. Powiedz mi, co chcę wiedzieć, to cię wypuścimy.

Nie tak się umawiali, ale Robert trzymał język za zębami.

– Dwa miesiące temu stado wilkołaków zabiło Nocnego Łowcę na zachodnim skraju tego lasu. Gdzie ich znajdę?

– A skąd mam to wiedzieć?

Na twarz Valentine'a powrócił lodowaty uśmiech.

– Lepiej mi powiedz, bo inaczej nie będziesz mi do niczego potrzebny.

– No dobrze, jak się zastanowię, to może słyszałem o martwym Nocnym Łowcy, o którym wspomniałeś. – Wilk parsknął śmiechem. – Żałuję, że nie widziałem jego śmierci, nie poczułem słodkiego smaku jego ciała. To strach sprawia, że ciało tak smakuje, wiesz? A najlepiej, kiedy najpierw płaczą, wtedy słonawy posmak miesza się ze słodyczą. Wieść niesie, że twój Nocny Łowca płakał jak bóbr. Straszny tchórz.

– Robert, otwórz mu usta. – Głos Valentine'a był spokojny, ale Robert znał go dość dobrze, żeby wyczuć gotujący się w nim gniew.

– Może powinniśmy dać sobie chwilę...

– Otwórz mu usta!

Robert złapał za żuchwę mężczyzny i rozwarł mu usta.

Valentine przycisnął płaz sztyletu do języka starca i przytrzymał tam, aż wrzaski zamieniły się w wycie, mizerne mięśnie napięły się i futro wyrosło na ciele, gdy język pokrył się pęcherzami. I kiedy całkiem przekształcony wilk wyrwał się z więzów, Valentine odciął mu język. Z pyska trysnęła krew, a Valentine ciął wilka przez brzuch. Cięcie było pewne i głębokie, wilk padł na ziemię, z rany wysypały się wnętrzności.

Valentine doskoczył do wijącego się stworzenia, dźgając i tnąc, rozrywając skórę, zdzierając ciało aż do połyskujących perłowo kości, podczas gdy stworzenie miało się bezradnie pod nim, w końcu straciło wolę walki, jego spojrzenie uspokoiło się, zmasakrowane ciało przyjęło ludzką formę i leżało nieruchomo na zakrwawionej ziemi, a twarz starca pobladła i oczy patrzyły bez życia w nocne niebo.

– Dość już – powtarzał cicho Robert. – Valentine, dość.

Niestety nie powstrzymał go.

A kiedy przyjaciele wrócili z patrolu i zastali Valentine'a i Roberta nad wypatroszonym ciałem, nie zaprzeczył, gdy Valentine przedstawił swoją wersję wydarzeń: wilk wyrwał się z więzów i próbował uciec. Walka była zaciekle, zabili go w samoobronie.

Ogólny zarys historii był właściwie zgodny z prawdą.

Stephen poklepał Valentine'a po plecach, współczując mu, bo stracił potencjalny trop prowadzący do zabójcy ojca. Michael spojrzał Robertowi w oczy, a pytanie w nich było tak wyraźne, jakby wypowiedział je na głos: „Co naprawdę się stało?”.

Na co tu pozwoliłeś?

Robert odwrócił wzrok.

* * *

Isabelle go unikała. Beatriz była na niego wściekła. Pozostali buzowali podnieceniem w związku z przygodami minionej nocy i kolejną, która ich czekała. Julie i Marisol powtórzyły tajemnicze słowa George'a – że kroi się coś świetnego i jeśli Simon chce się dowiedzieć co, to powinien do nich dołączyć.

– Wątpię, żeby Isabelle życzyła sobie mojej obecności – powiedział Sunilowi, kiedy ostrożnie nabierali porcje z parujących stosów czegoś, co przypominało trochę warzywa i miało być ich lunchem.

Sunil pokręcił głową i wyszczerzył zęby. Uśmiech nie pasował do jego twarzy. Sunil z uśmiechem wyglądał jak Klingon w baletowej paczce. Był niezwykle poważnym chłopcem, który uważał dobrą zabawę za objaw braku powagi i traktował ludzi stosownie do swoich przekonań.

– Powiedziała nam, żebyśmy cię namówili. Powiedziała, że „każda metoda jest dobra”. Więc sam mi powiedz... – Niepokojący uśmiech stał się szerszy. – Jaka metoda będzie najlepsza?

– Nawet jej nie znasz – wytknął mu Simon. – Dlaczego nagle tak się palisz, żeby robić to, co ci każe?

– Mówimy o tej samej dziewczynie? O Isabelle Lightwood?

– Tak.

Sunil pokręcił głową zdumiony.

– I musisz pytać?

Zatem powstał nowy zakon, kult Isabelle Lightwood. Simon musiał przyznać, że doskonale rozumiał, jak skądinąd rozsądni ludzie mogli całkowicie ulec jej czarowi i całkiem się jej podporządkować.

Tylko czego ona od nich chciała?

Uznał, że musi sam się przekonać. Zwyczajnie, żeby zrozumieć, co się dzieje, i upewnić się, że wszystko jest w należyтым porządku.

Nie dlatego, że rozpaczliwie chciał być blisko niej. Albo chciał jej zaimponować. Albo sprawić przyjemność.

Jak się nad tym zastanowić, to Simon może lepiej rozumiał kult Isabelle, niż chciał to przyznać.

Może był jego członkiem założycielem.

* * *

– Powiedziałaś, że co takiego zamierzasz?! – Przy ostatnich słowach głos Simona wzniósł się o całe dwie oktawy.

Jon Cartwright zarechotał.

– Spokojnie, mamuśka. Słyszałeś przecież.

Simon popatrzył na przyjaciół (i Jona). Podczas minionego roku poznał ich na wylot, a przynajmniej tak myślał. Julie obgryzała paznokcie do żywego, kiedy się denerwowała. Marisol spała z mieczem pod poduszką – na wszelki wypadek. George mówił przez sen, najczęściej na temat technik strzyżenia owiec. Sunil miał cztery króliki, o których nieustannie opowiadał i zawsze się martwił, że więksi i bardziej puchaci bracia czepiają się małego Ringo. Jon obwiesił całą ścianę malunkami małej kuzynki i co tydzień pisał do niej list. Wszyscy byli oddani sprawie Nocnych Łowców. Przeszli piekło, żeby udowodnić swoją gotowość instruktorom i innym uczniom. Prawie skończyli rok bez żadnych poważnych obrażeń albo wampirzego ugryzienia... A teraz coś takiego?!

– Ha, ha, bardzo śmieszne – powiedział Simon, mając nadzieję, że względnie dobrze udaje mu się nie ujawnić desperacji w głosie. – Niezły żart, odbiliście sobie na mnie to, że wczoraj spasowałem. Śmieszne, że boki zrywać. Co potem? Będziecie chcieli przekonać mnie, że kręcą kolejne gówno w rodzaju „Ostatniego Władcy Wiatru”? Jak chcecie mnie nastraszyć, to są łatwiejsze sposoby.

Isabelle przewróciła oczami.

– Nikt nie chce widzieć, jak panikujesz, Simon. Szczerze

mówiąc, najchętniej w ogóle bym cię nie oglądała.

– Czyli mówisz poważnie. Całkiem poważnie, na serio, naprawdę zamierzasz wezwać demona? Tutaj, w samym sercu Akademii? Podczas imprezy na zakończenie roku? Bo uważasz, że to będzie... zabawne?!

– To oczywiste, że nie wezwiemy go na imprezie – powiedziała Isabelle. – To byłoby niemądre.

– Nie, jasne. Akurat to byłoby niemądre – rzucił z przekąsem Simon.

– Wezwiemy go tutaj, w świetlicy – wyjaśniła Isabelle. – Dopiero potem sprowadzimy na imprezę.

– A potem go zabijemy, rzecz jasna – wtrąciła Julie.

– Rzecz jasna – powtórzył Simon.

Zastanawiał się, czy właśnie ma zawał.

– Mówisz o tym tak, jakby to było coś poważnego – powiedział George.

– Właśnie, chodzi o zwykłego chochlika – powiedział Sunil. – Nic wielkiego.

– Aha – jęknął Simon. – Pewnie. Nic wielkiego.

– Wyobraź sobie miny wszystkich, kiedy zobaczą, co potrafimy! – Marisol rozpromieniła się na samą myśl o tym.

Beatriz tam nie było. Gdyby była, może zdołałaby przemówić im do rozumu. Albo pomogłaby Simonowi związać ich i zamknąć w szafie do końca semestru i chwili, kiedy Isabelle bezpiecznie wróci do Nowego Jorku, gdzie jest jej miejsce.

– A jeśli coś się nie uda? – wytknął im Simon. – Nigdy nie stawiliście czoła demonowi w prawdziwej walce, bez wsparcia nauczycieli. Nie wiecie...

– Ty też nie – warknęła Isabelle. – W każdym razie nic nie pamiętasz, zgadza się?

Simon nie odpowiedział.

– Za to ja załatwiłam pierwszego chochlika, kiedy miałam sześć lat – dodała Isabelle. – I jak już powiedziałam twoim

przyjaciołom, to nic wielkiego. A oni mi ufają.

„Ja też ci ufam”, chciał powiedzieć. Wiedział, że ona na to czeka. Oni wszyscy.

Nie mógł.

– Nie wybiję wam tego z głowy? – zapytał zamiast tego.

Isabelle wzruszyła ramionami.

– Możesz próbować, ale zmarnujesz czas.

– To znajdę inny sposób, żeby was powstrzymać – powiedział Simon.

– Naskarżysz na nas? – zakpił Jon. – Zachowasz się jak beksa i zakapujesz nas swojej ulubionej czarownicy? – Parsknął śmiechem. – Lizus na zawsze zostaje lizusem.

– Zamknij się, Jon. – Isabelle szturchnęła go lekko w ramię.

Simon powinien być zadowolony, ale uderzenie nadal oznaczało dotyk, a on wolał, żeby Isabelle i Jon nie wchodzili w żaden kontakt fizyczny.

– Możesz na nas naskarżyć, ale ja wszystkiemu zaprzeczę. A komu uwierzą: komuś takiemu jak ja czy komuś takiemu jak ty? Jakiemuś Przyziemnemu?

Powiedziała „Przyziemny” dokładnie takim tonem, jakim mówił Jon. Jakby to był synonim słowa „zero”.

– To nie w twoim stylu, Isabelle. Ty taka nie jesteś.

Nie był pewien, czy próbuje przekonać ją, czy siebie.

– Nie wiesz, jaka jestem, zapomniałeś?

– Wiem dość.

– Więc wiesz, że powinieneś mi zaufać. Ale skoro nie ufasz, to śmiało, naskarż. Wtedy wszyscy się dowiedzą, jaki ty jesteś. Jakim jesteś przyjacielem.

Spróbował.

Wiedział, że tak należy postąpić.

W każdym razie wydawało mu się, że tak należy postąpić.

Następnego ranka przed wykładem poszedł do gabinetu Catariny Loss. Jon miał rację, była jego ulubioną czarownicą,

ulubioną nauczycielką i jedyną osobą, której zwierzyłyby się z czegoś takiego.

Przywitała go, powiedziała, żeby usiadł, i zaproponowała mu kubek czegoś parującego i niepokojąco niebieskiego. Odmówił.

– A zatem, Chodzący za Dnia, rozumiem, że masz mi coś do powiedzenia?

Catarina przerażała go nieco mniej niż na początku roku, ale to było tak, jakby powiedzieć, że Jar Jar Binks jest „nieco mniej” denerwujący w drugiej części Gwiezdných Wojen niż w pierwszej.

– Możliwe, że wiem coś, co... – Simon odchrząknął. – To znaczy działo się coś, co...

Nie pozwolił sobie pomyśleć, co się stanie, kiedy już wypowie te słowa. Co się stanie z jego przyjaciółmi? Co się stanie z Isabelle, ich przywódczynią? Nie mogli jej wyrzucić z Akademii, do której nie chodziła... Jednak Simon dowiedział się do tej pory dość na temat Clave, żeby wiedzieć, że bywają dużo gorsze kary niż wyrzucenie ze szkoły. Czy wezwanie pomniejszego demona dla ubarwienia imprezy to naruszenie Prawa? Czy to zniszczy życie Isabelle?

Catarina Loss nie była Nocnym Łowcą; ukrywała własne sekrety przed Clave. Może zgodziłaby się przemilczeć jeszcze jedną rzecz, żeby w ten sposób pomóc Simonowi ochronić Isabelle przed karą?

Kiedy rozważał najróżniejsze mroczne możliwości, drzwi do gabinetu otworzyły się i do środka zajrzała dziekan Penhallow.

– Catarino, Robert Lightwood miał nadzieję porozmawiać z tobą przed wykładem... Och, przepraszam! Nie wiedziałam, że jesteś zajęta!

– Siądź z nami – zaproponowała Catarina. – Simon właśnie miał mi powiedzieć coś ciekawego.

Dziekan weszła do gabinetu i zmarszczyła czoło, patrząc na Simona.

– Strasznie poważnie wyglądasz – powiedziała mu. – Śmiało, wyrzuć to z siebie. Od razu poczujesz się lepiej. To jest jak wymioty.

– Co jest jak wymioty? – zapytał skonsternowany.

– No wiesz, kiedy źle się czujesz. Czasem najlepiej od razu wszystko wyrzucić z siebie.

Z jakiegoś powodu Simon czuł, że wyrzucenie z siebie całej prawdy przy pani dziekan nie pomoże mu poczuć się lepiej.

Czy Isabelle nie udowodniła już, ile jest warta? Nie tylko przed nim, ale i przed Clave, przed wszystkimi? Właściwie uratowała świat. Czego jeszcze trzeba, żeby udowodnić, że jest kimś dobrym?

Ile jeszcze dowodów on potrzebował?

Wstał i powiedział pierwsze, co wpadło mu do głowy:

– Chciałem tylko powiedzieć, że naprawdę smakowały nam duszone buraki, które podano na kolację. Powinniście znowu je podać.

Dziekan Penhallow spojrzała na niego dziwnie.

– To nie były buraki.

To go nie zaskoczyło, ponieważ potrawka była dziwnie ziarnista i śmierdziała odrobinę obornikiem.

– Cóż... cokolwiek to było, doskonale smakowało – dodał szybko. – Lepiej już pójdę. Nie chcę przegapić początku ostatniego wykładu Inkwizytora Lightwooda. Były takie ciekawe.

– W rzeczy samej – orzekła oschle Catarina. – Były niemal tak smakowite jak te duszone „buraki”.

1984

Przez większość czasu spędzonego w Akademii Robert obserwował Valentine’a z odległości. Chociaż Robert był starszy,

podziwiał Valentine'a, który był wszystkim, czym on sam pragnął się stać. Valentine potrafił pokonać każdego w walce dowolną bronią. Był niefrasobliwy w okazywaniu sympatii i wszyscy go uwielbiali. Niewiele osób dostrzegało, jak rzadko odwzajemniał to uczucie. Robert zauważył jednak, że kiedy obserwuje się coś z boku, będąc niewidzialnym, widzi się różne rzeczy bardzo wyraźnie.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Valentine obserwuje także jego.

Zrozumiał to dopiero pod koniec roku, kiedy Valentine przyłapał go samego w ciemnych, podziemnych korytarzach Akademii i powiedział cicho:

– Znam twój sekret.

Sekret, którego Robert nikomu nie wyjawiał, nawet Michaelowi: że nadal boi się Znaków.

Za każdym razem kiedy rysował sobie run, musiał wstrzymywać oddech, powstrzymywać palce przed drżeniem. Zawsze się wahał. Na zajęciach to było ledwie widoczne. W czasie walki to mógł być ten ułamek sekundy dzielący życie od śmierci i Robert to wiedział. A to sprawiało, że wahał się jeszcze bardziej, niemal przy każdej decyzji. Był silny, bystry, utalentowany. Był Lightwoodem. Powinien znajdować się wśród najlepszych. Jednak nie potrafił zaufać sobie i działać instynktownie. Nie potrafił powstrzymać umysłu przed rozważaniem potencjalnych konsekwencji. Nie potrafił przestać się bać i wiedział, że ostatecznie to go właśnie zabije.

– Mogę ci pomóc – powiedział wtedy Valentine. – Mogę cię nauczyć, co robić ze strachem.

Valentine nauczył go wycofywać się do takiego miejsca w umyśle, gdzie strach nie miał dostępu. Odrywać się od Roberta Lightwooda, który wiedział, jak się bać, a potem ujarzmić słabszą, pogardzaną część siebie.

– Twoja słabość sprawia, że się wściekasz, i słusznie –

powiedział mu Valentine. – Wykorzystaj swoją złość, żeby zapanować nad słabością, a potem nad wszystkim innym.

Na swój sposób Valentine ocalił Robertowi życie. A przynajmniej tę jedyną część życia, która się liczyła.

Zawdzięczał mu wszystko.

A już na pewno był mu winny prawdę.

– Nie zgadasz się z tym, co zrobiłem – powiedział cicho Valentine, kiedy słońce wzniosło się nad horyzont.

Michael i Stephen nadal spali. Robert przesiedział noc, wpatrując się w niebo, rozważając to, co się wydarzyło i co teraz powinien zrobić.

– Myślisz, że straciłem nad sobą panowanie – dodał Valentine.

– To nie była samoobrona – powiedział Robert. – To były tortury. Morderstwo.

Robert siedział na jednej z kłód wokół resztek ogniska. Valentine usiadł obok niego.

– Słyszałeś, co ten stwór powiedział. Rozumiesz, dlaczego musiałem go uciszyć. Trzeba było dać mu nauczkę, a Clave nie znalazłoby do tego dość woli. Wiem, że inni by nie zrozumieli. Nawet Lucian. Ale ty... My się rozumiemy, ty i ja. Tylko tobie mogę zaufać. Potrzebuję, żebyś to zachował dla siebie.

– Skoro jesteś taki przekonany, że postąpiłeś słusznie, dlaczego to zatajać?

Valentine zaśmiał się cicho.

– Zawsze taki sceptyczny. To najbardziej w tobie kochamy. – Jego uśmiech zgasł. – Inni zaczną mieć wątpliwości. Co do sprawy, co do mnie... – Zbył machnięciem ręki zaprzeczenia Roberta, zanim ten je wypowiedział. – Nie myśl, że tego nie dostrzegam. Każdy chce być lojalny, kiedy to łatwe. A kiedy robi się ciężko... – Pokręcił głową. – Nie mogę liczyć na każdego, na kogo chciałbym liczyć. Wierzę jednak, że mogę liczyć na ciebie.

– Pewnie, że możesz.

– W takim razie zachowasz w tajemnicy przed innymi to, co

wydarzyło się tej nocy – powiedział Valentine. – Nie powiesz nawet Michaelowi.

Znacznie później, kiedy było już za późno, do Roberta dotarło, że Valentine pewnie przeprowadził podobną rozmowę ze wszystkimi członkami Kręgu. Tajemnice wiązały ludzi ze sobą, a Valentine był dość bystry, żeby to wiedzieć.

– On jest moim *parabatai* – zauważył Robert. – Nie ukrywam przed nim niczego.

Valentine uniósł brwi.

– A ty myślisz, że on nie ma żadnych sekretów przed tobą?

Robert przypomniał sobie poprzednią noc, kiedy Michael bardzo starał się czegoś mu nie powiedzieć. To był jeden sekret. Ile więcej ukrywał?

– Znasz Michaela jak nikt inny – powiedział Valentine. – A jednak istnieją rzeczy, które ja wiem na jego temat i które zaskoczyłyby cię...

Zapadło między nimi milczenie, kiedy Robert rozważał jego słowa.

Valentine nie kłamał ani nie rzucał czczych przechwałek. Skoro powiedział, że wie coś na temat Michaela, zna jakiś jego sekret, to musiała być prawda.

Ta pokusa znajdowała się na wyciągnięcie ręki.

Musiał tylko zapytać.

Chciał wiedzieć i nie chciał wiedzieć.

– Wszyscy jesteśmy lojalni wobec różnych osób i czasem to powoduje nasze rozdarcie – powiedział Valentine, zanim Robert uległ pokusie. – Clave chciałoby to uprościć, ale to kolejny przykład ich tępoty. Kocham Luciana, to mój *parabatai*. Kocham Jocelyn. Jeśli obie te miłości kiedykolwiek staną w konflikcie...

Nie musiał rozważać tej kwestii. Robert wiedział to samo co Valentine i rozumiał, że Valentine kocha swojego *parabatai* na tyle, żeby się z tym pogodzić. Tak jak Lucian kochał Valentine'a na tyle, żeby nigdy do takiej sytuacji nie dopuścić.

Może pewne sekrety istniały dla dobra innych.

Wyciągnął rękę do Valentine'a.

– Masz moje słowo. Przysięgam. Michael nigdy się o tym nie dowie.

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, zastanowił się, czy popełnił błąd. Nie mógł się jednak wycofać.

– Znam też twój sekret, Robercie – powiedział Valentine.

Słyszając te słowa, echo pierwszych słów, jakie Valentine do niego wypowiedział, Robert uśmiechnął się blado.

– Myślę, że już się tym zajęliśmy – przypomniał mu.

– Jesteś tchórzem – powiedział Valentine.

Robert się wzdrygnął.

– Jak możesz tak mówić po tym wszystkim, co przeszliśmy? Wiesz, że nigdy nie wzdrygam się przed walką ani...

Valentine pokręcił głową, uciszając go.

– Nie mam na myśli fizycznego niebezpieczeństwa. Tym się zajęliśmy, prawda? Kiedy w grę wchodzi namacalne zagrożenie, jesteś najodważniejszy. Może nawet coś nadrabiasz w ten sposób?

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiedział sztywno Robert. Obawiał się, że wie aż za dobrze.

– Nie boisz się śmierci ani ran. Boisz się siebie i swojej słabości. Brakuje ci wiary, nie jesteś dość lojalny, bo twoim przekonaniom brakuje siły. To moja wina, że oczekuję od ciebie zbyt wiele. W końcu jak można oczekiwać od ciebie, że uwierzysz w cokolwiek albo kogokolwiek, skoro nie wierzysz w siebie?

Robert poczuł się nagle przezroczysty i niespecjalnie mu się to podobało.

– Próbowałem kiedyś nauczyć cię zapanować nad swoim strachem i słabością – powiedział Valentine. – Teraz widzę, że to był błąd.

Robert zwiesił głowę, czekając, aż Valentine wyrzuci go z Kręgu. Oddzieli go od przyjaciół i jego obowiązków. Zniszczy

jego życie.

Jak na ironię własne tchórzostwo sprawiło, że spełniły się jego najgorsze obawy.

Jednak Valentine go zaskoczył.

– Zastanawiałem się trochę nad tym i mam dla ciebie propozycję.

– Mianowicie? – Robert bał się mieć nadzieję.

– Poddaj się – powiedział Valentine. – Przestań udawać, ukrywać swoje tchórzostwo, swoje wątpliwości. Przestań próbować rozpałić w sobie jakąś niezachwianą pasję. Jeśli nie możesz znaleźć odwagi w swoich przekonaniach, dlaczego po prostu nie zaakceptujesz mojej?

– Nie rozumiem.

– Moja propozycja jest taka: przestań tak się martwić tym, czy jesteś pewien, czy też nie. Pozwól, żebym ja był pewien za ciebie. Oprzyj się na mojej pewności, na mojej pasji. Pozwól sobie być słabym i wesprzyj się na mnie, bo obaj wiemy, że ja potrafię być silny. Uznaj, że postępujesz słusznie, ponieważ ja wiem, że to jest słuszne.

– Gdyby tylko to było takie łatwe – powiedział Robert. Nie potrafił ukryć tęsknoty.

Valentine sprawiał wrażenie nieco rozbawionego, jakby Robert zdradził się z dziecinnym niezrozumieniem natury rzeczy.

– To jest tylko tak trudne, jak sam to uczynisz – odpowiedział łagodnie. – I tak łatwe, jak sobie na to pozwolisz.

* * *

Isabelle musnęła Simona przelotnie, wychodząc po wykładzie.

– Dziewiąta wieczorem, pokój Jona – szepnęła mu do ucha.

– Co?

Zupełnie jakby poinformowała go o dokładnym czasie

i miejscu jego śmierci, na którą zanosiło się, jeśli zostanie zmuszony do wyobrażenia sobie tego, co mogła robić w pokoju Jona Cartwrighta.

– Godzina demona. No wiesz, na wypadek gdybyś jednak uparł się popsuć nam zabawę. – Posłała mu szelmowski uśmiech. – Albo zechciał się przyłączyć.

Na jej twarzy malowało się wyzwanie, przekonanie, że nie będzie miał dość odwagi, by zrobić którąkolwiek z tych rzeczy. Simonowi przypomniało się, że chociaż on zapomniał wszystko, co wiedział na jej temat, ona nie zapomniała niczego o nim. Więcej nawet – można by uznać, że zna go lepiej niż on sam.

Już nie, powiedział sobie. Rok w Akademii zmienił go, rok nauki, walki i odstawienia od kofeiny. Musiał go zmienić.

Pytanie tylko, w co go zmienił.

* * *

Podążyła mu niewłaściwy czas.

Oczywiście. Kiedy Simon wparował do pokoju Jona Cartwrighta, już prawie kończyli rytuał.

– Nie możecie tego zrobić – powiedział im Simon. – Zatrzymajcie się na chwilę i pomyślcie.

– Dlaczego? – zapytała Isabelle. – Podaj nam jeden dobry powód. Przekonaj nas, Simon.

Nie był dobry w przemowach. A ona to wiedziała.

Simon nagle się wściekł. To była jego szkoła, jego przyjaciele. Isabelle miała w nosie, co się tu stanie. Może nie istniał żaden głębszy motyw, żaden ukryty ból. Może była dokładnie tym, na co wyglądała, i niczym więcej: niepoważną dziewczyną, która myśli tylko o sobie.

Coś w jego wnętrzu burzyło się na tę myśl, ale to uciszył. Nie chodziło o nieistniejący związek z dziewczyną, która nie była

jego dziewczyną. Nie mógł pozwolić, żeby to się sprowadzało tylko do tego.

– Nie chodzi tylko o to, że to wbrew zasadom – powiedział Simon.

Jak miał wyjaśnić coś równie oczywistego? To jakby próbował kogoś przekonać, że jeden plus jeden to dwa. Przecież tak właśnie jest!

– Nie chodzi o to, że możecie zostać wyrzuceni ze szkoły, czy nawet postawieni przed Clave. To złe. Komuś może stać się krzywda.

– Zawsze komuś dzieje się krzywda – zauważył George i z żalem pomasaował łokieć, którego raptem dwa dni temu Julie omal nie odcięła mu mieczem.

– Bo nie ma innego sposobu, żeby się nauczyć – odpowiedział poirytowany Simon. – Bo to najlepsza ze wszystkich fatalnych możliwości. A to? To coś wręcz przeciwnego. Takimi Nocnymi Łowcami chcecie być? Którzy bawią się mrocznymi mocami, bo myślą, że sobie z tym poradzą? Nigdy nie widzieliście żadnego filmu? Nie czytaliście komiksu? Tak to się zawsze zaczyna: mała pokusa, chętką, żeby tylko posmakować zła, a potem bach!, wasz miecz świetlny robi się czerwony, dyszycie przez wielką czarną maskę i odcinacie dłoń synowi z czystej podłości.

Spojrzeli na niego tępo.

– Nieważne.

To było zabawne – Nocni Łowcy wiedzieli więcej niż Przyziemni na niemal każdy temat. Wiedzieli więcej na temat demonów, broni, o magii i prądach mocy, które kształtują świat. Nie rozumieli jednak pokusy. Nie rozumieli, jak łatwo dokonywać jednej małej, złej decyzji po drugiej, aż ląduje się na prostej drodze na dno piekła. *Dura lex*, Prawo jest twarde. Tak twarde, że Nocni Łowcy musieli udawać, że można osiągnąć doskonałość. To jedna z tych rzeczy, które Simon wyniósł z wykładów Roberta na temat Kręgu. Kiedy Nocny Łowca

zaczyna się pograżać, nie potrafi się zatrzymać.

– Rzecz w tym, że nikt tu na niczym nie skorzysta. Albo wasz durny demon wyrwie się spod kontroli i pożre grupę uczniów, albo nie, a wtedy uznacie, że następnym razem możecie przyzwać większego demona. I ten was pożre. To definicyjny przykład sytuacji, w której zawsze się przegrywa.

– On ma rację – powiedziała Julie.

– Nie jest taki tępy, jak na to wygląda – przyznał Jon.

George odchrząknął.

– Może...

– Może powinniśmy wrócić do rytuału – powiedziała Isabelle, odrzuciła jedwabiste czarne włosy, zatrzepotała rzęsami i posłała wszystkim swój czarujący uśmiech.

I jakby rzuciła jakiś czar na zebranych, wszyscy zapomnieli o istnieniu Simona i zajęli się wzywaniem demona.

Zrobił wszystko, co mógł. Pozostała mu tylko jedna możliwość. Uciekł.

1984

Michael odczekał tydzień, zanim zadał Robertowi pytanie, którego ten się obawiał. Może czekał, aż Robert sam coś powie. Może próbował się przekonać, że nie musi znać prawdy, że kocha Roberta dość, by resztę sobie darować, ale najwyraźniej to mu się nie udało.

– Przejdziesz się ze mną? – zaproponował, a Robert zgodził się na ostatni spacer po Brocelind, chociaż miał nadzieję trzymać się z dala od lasu do następnego semestru.

Może do tego czasu wspomnienia przybladną. Może cienie nie będą wydawały się już tak złowieszcze, a ziemia przesiąknięta krwią.

Dziwnie się między nimi układało przez ten tydzień. Byli cisi i sztywni. Robert trzymał w tajemnicy to, co zrobili z wilkołakiem, rozważał propozycję Valentine'a, który chciał stać się sumieniem i siłą Roberta, bo tak będzie łatwiej. Michael zaś...

Robert nie potrafił zgadnąć, co Michael sobie myśli. Na temat Valentine'a, Elizy, Roberta. I to było takie dziwne. Byli *parabatai*, dwiema połówkami tej samej duszy. Robert nie musiał zgadywać, do tej pory po prostu wiedział.

– No dobrze, więc co się naprawdę stało? – zapytał Michael, kiedy weszli dość daleko w las, żeby odgłosy kampusu ucichły. Słońce nadal stało na niebie, ale między drzewami cienie były długie i powoli się zmierzchało.

– Co Valentine zrobił temu wilkołakowi?

Robert nie potrafił spojrzeć w oczy swojemu *parabatai*. Wzruszył ramionami.

– Dokładnie to, co ci powiedziałem.

– Nigdy dotąd mnie nie okłamywałeś. – W głosie Michaela brzmiał smutek i coś jeszcze, coś gorszego, coś ostatecznego, jakby mieli się pożegnać.

Robert przełknął ślinę. Michael miał rację. Do tej pory Robert nigdy nie kłamał.

– Rozumiem, że ty nigdy mnie nie okłamałeś? – zaatakował Michaela.

Teraz już wiedział, że jego *parabatai* ma sekret. Valentine tak powiedział.

Zapadło długie milczenie. Potem odezwał się Michael:

– Okłamywałem cię każdego dnia.

To było jak kopniak w brzuch.

To nie był po prostu sekret. Nie chodziło tylko o dziewczynę. To było... Robert nie potrafił tego nawet nazwać.

To było nie do ogarnięcia.

Zatrzymał się i odwrócił do Michaela pełen niedowierzania.

– Jeśli próbujesz mnie zaszokować, żebym coś powiedział...

– Nie próbuję cię zaszokować. Tylko... Próbuję ci powiedzieć prawdę. Wreszcie. Wiem, że ukrywasz coś przede mną, coś ważnego.

– Nieprawda – upierał się Robert.

– Prawda – odparł Michael – i to boli. A skoro to boli mnie, to mogę sobie tylko wyobrazić... – Urwał, odetchnął głęboko i zmusił się do dalszego mówienia. – Nie zniósłbym tego, gdybym ranił cię podobnie przez wszystkie te lata. Nawet jeśli nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nawet jeśli ty nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

– Michael, wygadujesz jakieś bzdury.

Dotarli do obalonej, porośniętej mchem kłody. Michael przysiadł na niej. Nagle wyglądał na zmęczonego, jakby w ciągu ostatniej minut postarzał się o sto lat. Robert siadł obok niego i poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Co jest? – Popukał Michaela delikatnie w głowę, próbując się uśmiechnąć, wmówić sobie, że Michael zachowuje się dziwacznie jak to zwykle on. Zachowanie jest dziwaczne, ale chodzi o coś błędnego. – Co się dzieje w tym wariatkowie, które nazywasz swoim mózgiem?

Michael spuścił głowę.

Robił wtedy wrażenie tak odsłoniętego, kiedy pochylił się, pokazując nagi kark. Robert nie mógł tego znieść.

– Jestem zakochany – szepnął Michael.

Robert wybuchł śmiechem. Ulżyło mu.

– To wszystko? Nie uważasz, że już się domyśliłem? Powiedziałem ci już, Eliza jest świetna...

Wtedy Michael powiedział coś jeszcze.

Robert uznał, że się przesłyszał.

– Co? – zapytał, chociaż nie chciał.

Tym razem Michael uniósł głowę, spojrzał Robertowi w oczy i oznajmił wyraźnie:

– Jestem zakochany w tobie.

Robert zerwał się na równe nogi.

Nagle ważne było to, żeby odsunąć się od Michaela. Tak daleko, jak to możliwe.

– Co takiego?

Nie chciał krzyczeć.

– To nie jest śmieszne – dodał, starając się zapanować nad głosem.

– To nie żart. Zakochałem się w...

– Nie mów tego. Nigdy więcej tego nie mów.

Michael pobladł.

– Wiem, że pewnie... Wiem, że nie odwzajemniasz tych uczuć, że nie mógłbyś...

Nagle z mocą, która prawie ścięła go z nóg, Roberta załazy wspomnienia: dłoń Michaela na jego ramieniu. Michael obejmujący go ramieniem. Michael, który się z nim siłuje. Michael delikatnie poprawiający jego chwyt na rękojeści miecza. Michael leżący raptem kilka stóp od niego na sąsiednim łóżku, noc w noc. Michael, który rozbiera się, bierze go za rękę i wciąga do jeziora Lyn. Michael z mokrymi włosami, nagą pierśią, błyszczącymi oczami, który leży obok niego na trawie.

Robertowi zrobiło się niedobrze.

– Nic nie musi się zmienić – powiedział Michael, a Robert chętnie by się zaśmiał, tyle że wtedy na pewno zwymiotowałyby. – Nadal jestem tą samą osobą. Nie proszę cię o nic. Jestem po prostu szczery. Chciałem tylko, żebyś wiedział.

Oto co Robert wiedział – że Michael był najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miał, i pewnie był najczystsza duszą, jaką poznał. Wiedział, że powinien usiąść obok niego, zapewnić go, że wszystko jest w porządku, że nic nie musi się zmienić, że przysięga, jaką sobie złożyli, była szczerą i na zawsze. Wiedział, że nie musi niczego się obawiać w – Robertowi wszystko w żołądku się przewróciło – miłości Michaela. Bo świat Roberta był prosty, to dotyk Maryse ożywiało jego ciało, to

wspomnienie jej nagich piersi sprawiało, że puls mu przyśpieszał, a wyznanie Michaela nie podawało niczego w wątpliwość. Wiedział, że powinien powiedzieć Michaelowi coś na dodanie otuchy, coś w stylu „Nie mogę cię w ten sposób pokochać, ale zawsze będę cię kochał”.

Niestety wiedział też, co pomyślą ludzie.

Co będą myśleć na temat Michaela. I zakładać na temat Roberta.

Ludzie będą gadać, będą plotkować, będą podejrzewać różne rzeczy. Oczywiście *parabatai* nie mogą ze sobą randkować. Nie mogą też... niczego innego. Ale Michael i Robert byli ze sobą tak blisko; Michael i Robert byli tacy zgodni; z pewnością ludzie będą chcieli się przekonać, czy Michael i Robert są tacy sami.

Ludzie z pewnością będą się zastanawiali.

Nie mógł tego znieść. Zbyt ciężko pracował, żeby stać się mężczyzną, którym jest, Nocnym Łowcą, którym jest. Nie mógł znieść tego, że ludzie znowu będą patrzeć na niego jak na innego.

I nie mógł znieść tego, że Michael patrzy na niego w taki sposób. Bo co będzie, jeśli on też zacznie się zastanawiać?

– Nigdy więcej tego nie powiesz – powiedział chłodno Robert. – A jeśli będziesz się przy tym upierał, to będą twoje ostatnie słowa do mnie. Rozumiesz?

Michael tylko patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– I nigdy nie będziesz rozmawiał o tym z nikim innym. Nie chcę, żeby ludzie myśleli o nas w taki sposób. O tobie.

Michael mruknął coś niezrozumiałego.

– Co? – spytał Robert.

– Zapytałem, co będą myśleć.

– Będą myśleć, że jesteś odrażający.

– Tak jak ty myślisz?

Głos w umyśle Roberta powiedział: „Przestań”.

Dodał: „To twoja ostatnia szansa”.

Ale mówił to bardzo cicho.

Bez przekonania.

– Tak – odpowiedział Robert i powiedział to dostatecznie stanowczo, żeby nie można było kwestionować jego przekonania. – Uważam, że jesteś odrażający. Złożyłem ci przysięgę i dotrzymam jej, ale nie łudź się, nic między nami nie będzie już takie samo. Co więcej, od tej pory już nic nas nie łączy.

Michael nie sprzeciwił się. Nic nie powiedział. Po prostu odwrócił się i uciekł między drzewa, zostawił Roberta samego.

To, co powiedział, co zrobił... było niewybaczalne. Robert to wiedział. Powiedział sobie, że to wina Michaela, to jego decyzja.

Powiedział sobie, że zrobił tylko to co konieczne, żeby przetrwać.

Widział teraz jednak prawdę. Valentine miał rację. Robert nie był zdolny do bezwarunkowej miłości ani wierności. Uważał, że Michael to wyjątek, dowód, że może być kogoś pewien, że wobec kogoś może być niezachwiany bez względu na wszystko.

A teraz Michael przepadł.

Dość już, pomyślał Robert. Dość walki, dość wątpienia we własne wybory, dość padania łupem własnej słabości i braku wiary. Przyjmie propozycję Valentine'a. Pozwoli, żeby Valentine wybierał za niego, żeby wierzył za niego. Zrobi, co trzeba, by utrzymać się przy Valentine, w walce o jego sprawę, w Kręgu.

Tylko tyle mu zostało.

* * *

Simon biegł obskurnymi korytarzami, ślizgał się na podłogach, pędził po zapadniętych schodach, przez cały czas przeklinając, że Akademia jest fortecą-labiryntem bez zasięgu komórek. Uderzał stopami o zniszczony kamień, ciężko dyszał i chociaż wydawało mu się, że bieg trwa bez końca, minęło raptem kilka minut, zanim wpadł do gabinetu Catariny Loss.

Zawsze tam była, za dnia i w nocy, i ten wieczór nie stanowił wyjątku.

To znaczy w pewnym sensie stanowił, bo nie była sama.

Stała za biurkiem ze skrzyżowanymi rękami, a po jej obu stronach stali Robert Lightwood i dziekan Penhallow. Wszyscy troje byli ponurzy i odniósł wrażenie, że na niego czekają. Tym razem nie zawahał się i nie pozwolił sobie na rozmyślanie nad konsekwencjami.

Ani na temat Izzy.

– Grupa uczniów próbuje przyzwać demona – wydyszał. – Musimy ich powstrzymać.

Nikt nie wyglądał na zaskoczonego.

Ktoś odchrząknął cicho. Simon odwrócił się i zobaczył Julie Beauvale wychodzącą zza drzwi, które przed chwilą otworzył.

– Co tu robisz?

– To samo co ty – odpowiedziała Julie. Zarumieniła się i zakłopotana wzruszyła ramionami. – Najwyraźniej mnie przekonałeś.

– Ale jak tu dotarłaś przede mną?

– Pobiełam wschodnimi schodami, to chyba oczywiste. A potem korytarzem za zbrojownią...

– To on nie kończy się ślepo w jadalni?

– Tylko jeśli...

– Może moglibyśmy przełożyć tę fascynującą dyskusję o topografii na później? – wtrąciła się łagodnie Catarina. – Myślę, że w tej chwili mamy ważniejsze sprawy na głowie.

– Na przykład danie nauki waszym skretyniałym uczniom – warknął Robert Lightwood i wybiegł z gabinetu.

Catarina i dziekan wyszły za nim.

Simon i Julie spojrzeli po sobie nerwowo.

– Myślisz, że powinniśmy pójść za nimi?

– Pewnie tak – odpowiedziała i westchnęła. – Możemy ułatwić im wyrzucenie nas wszystkich za jednym zamachem.

Powlekli się za nauczycielami, zostając coraz bardziej w tyle.

Kiedy zbliżyli się do pokoju Jona, krzyki Roberta słyhać było już w połowie korytarza. Z powodu grubych drzwi nie rozumieli słów, ale głośność i intonacja całkiem jasno przedstawiały sytuację.

Simon i Julie otworzyli drzwi i wślizgnęli się do środka.

George, Jon i pozostali stali pod ścianami z pobladłymi twarzami, wytrzeszczonymi oczami i wszyscy wyglądali, jakby szykowali się do stanięcia przed plutonem egzekucyjnym. A Isabelle stała obok ojca i... promieniała?

– Nieudacznicy! Wy wszyscy! – ryczał Robert Lightwood. – To wy mieliście być tymi najlepszymi i najbystrzejszymi w szkole i oto czym możecie się popisać! Przecież ostrzegałem was, jakie niebezpieczeństwa niesie ze sobą charyzma. Powiedziałem wam, że musicie trzymać się tego, co słuszne, nawet jeśli to rani tych, których najbardziej kochacie. I żadne z was nie zdołało tego zrozumieć.

Isabelle zakaszła znacząco.

– Z wyjątkiem waszej dwójki – przyznał Robert, kiwając głową w stronę Simona i Julie. – Dobra robota. Isabelle miała co do was rację.

Pod Simonem ugięły się nogi.

– To była tylko głupia próba?! – krzyknął Jon.

– Moim zdaniem całkiem sprytna próba – odparła dziekan Penhallow.

Catarina wyglądała, jakby miała coś do powiedzenia na temat głupich Nocnych Łowców bawiących się w kotka i myszkę z jej rodzajem, ale jak zwykle ugryzła się w język.

– O ile zostaną obniżone nasze oceny? – zapytał Sunil.

Wtedy zaczęła się potworna bura. Wykrzykiwano coś o świętych obowiązkach, beztrósce i o tym, jak nieprzyjemne potrafią być noce w lochach Cichego Miasta. Robert grzmiał jak Zeus, dziekan Penhallow starała się ze wszystkich sił nie brzmieć

jak opiekunka do dzieci besztająca podopiecznych za podkradanie ciasteczek, a Catarina Loss dorzucała od czasu do czasu sarkastyczną uwagę na temat tego, co się przydarzyło Nocnym Łowcom, którzy uważali, że mogą się zapuszczać na terytoria czarowników. W pewnym momencie przerwała Robertowi Lightwoodowi i wygłosiła znaczący komentarz na temat Dartha Vadera, rzucając Simonowi chytre spojrzenie. Simon po raz kolejny zastanowił się, jak bardzo uważnie go obserwowała i dlaczego.

Przez cały ten czas Isabelle obserwowała Simona, a w jej spojrzeniu było coś niespodziewanego. Coś niemal jak... duma.

– Podsumowując: następnym razem będziecie słuchać, kiedy starsi mówią! – krzyczał Robert Lightwood.

– A dlaczego ktokolwiek miałby słuchać ciebie, kiedy mówisz o właściwym postępowaniu? – warknęła Isabelle.

Robert poczerwieniał. Odwrócił się powoli, przyszpilając ją lodowatym spojrzeniem Inkwizytora, które sprawiłoby, że każda inna osoba zwinęłaby się w skomlący kłębek. Isabelle nawet się nie wzdrygnęła.

– A teraz, kiedy załatwiliśmy tę wstrętną kwestię, proszę, żebyście zostawili na chwilę mnie i moją obowiązkową córkę samych. Myślę, że mamy pewne sprawy do omówienia.

– Ale to mój pokój – jęknął Jon.

Robert nawet się nie odezwał, posłał mu tylko inkwizytorskie spojrzenie. Jon się wzdrygnął.

Uciekł razem z pozostałymi, a Simon już miał wyjść za nimi, kiedy Isabelle złapała go za nadgarstek.

– On zostaje – powiedziała do ojca.

– W żadnym razie.

– Simon zostaje ze mną albo ja wyjdę razem z nim – uparła się Isabelle. – Taki masz wybór.

– Ehm, ja chętnie pójdę... – zaczął Simon, a słowa „chętnie pójdę” były tylko uprzejmym odpowiednikiem „rozpaczliwie

chcę się stąd wynieść”.

– Zostajesz – rozkazała Isabelle.

Robert westchnął.

– Dobrze. Zostań.

To zakończyło dyskusję. Simon przysiadł na brzegu łóżka Jona, starając się być niewidzialnym.

– To dla mnie jasne, że nie chcesz tu być – powiedział do córki Robert.

– Co mnie zdradziło? Fakt, że milion razy powiedziałam ci, że nie chcę tu jechać? Że nie chcę grać w twoją głupią gierkę? Że moim zdaniem to okrutna i manipulacyjna całkowita strata czasu?

– Tak. To właśnie.

– A mimo to zmusiłeś mnie do przyjazdu.

– Tak.

– Słuchaj, jeśli myślałeś, że wymuszenie na mnie wspólnego wyjazdu cokolwiek załatwi albo wynagrodzi mi to, co ty...

Robert westchnął ciężko.

– Powiedziałem ci już, że to, co się wydarzyło między twoją matką a mną, nie ma z tobą nic wspólnego.

– To pod każdym względem wiąże się ze mną!

– Isabelle... – Robert zerknął na Simona, a potem zniżył głos. – Naprawdę wolałbym załatwić to bez widowni.

– Masz pecha.

Simon jeszcze bardziej próbował zniknąć, mając nadzieję, że jeśli bardzo się postara, to może na jego skórze wyskoczy taki sam wzór, jaki był na zaskakująco kwiecistej pościeli Jona Cartwrighta.

– Nigdy nie rozmawialiśmy o czasie, kiedy należałem do Kręgu ani dlaczego przyłączyłem się do Valentine’a. Miałem nadzieję, że wy, młodzi, nigdy nie będziecie musieli poznać tej części mojego życiorysu.

– Słyszałam wykład tak samo jak pozostali – odparła ponuro

Isabelle.

– Oboje wiemy, że historia przykrojona dla szerokiego odbiorcy nigdy nie zdradza całej prawdy. – Robert zmarszczył brwi. – To, czego nie powiedziałem uczniom, czego nie powiedziałem nikomu, to że w przeciwieństwie do większości Kręgu, nie byłem prawdziwym wiernym. Pozostali myśleli, że są mieczem Razjela w ludzkiej formie. Żałuj, że nie widziałaś swojej matki, gdy pałała przekonaniem o swojej słuszności.

– Czyli teraz to wina mamy? Pięknie, tato. Naprawdę pięknie. A ja mam uznać, że jesteś świetnym facetem, który przejrzał Valentine'a na wylot, ale mimo to go popierał? Bo twoja dziewczyna tak powiedziała?

Pokręcił głową.

– Nie zrozumiałaś mnie. To mnie należy winić. Twoja matka i pozostali... oni naprawdę wierzyli, że słusznie postępują. Kochali Valentine'a. Popierali jego sprawę. Wierzyli w nią. Ja nigdy nie znalazłem w sobie wiary... a mimo to go popierałem. Nie dlatego, że wierzyłem, że to słuszne, ale ponieważ to było łatwe. Ponieważ Valentine robił wrażenie takiego pewnego. Uznanie jego pewności za własną było najłatwiejszą drogą.

– Dlaczego mi to mówisz? – Część jadu zniknęła z głosu Isabelle.

– Nie rozumiałem wtedy, co to znaczy być naprawdę czegoś pewnym. Nie wiedziałem, co to znaczy kochać coś, kogoś, bez żadnych zastrzeżeń. Bezwarunkowo. Myślałem, że może z moim *parabatai*, ale... – Przełknął słowa, których omal nie wypowiedział. Simon zastanawiał się, co może być jeszcze gorsze od tego, co już wyznał. – W końcu uznałem, że nie ma tego we mnie. Że nie zostałem stworzony do takiej miłości.

– Jeśli chcesz mi powiedzieć, że znalazłeś to ze swoją kochanką... – Isabelle zadrżała.

– Isabelle. – Robert ujął rękę córki. – Mówię ci, że odnalazłem to dzięki Alecowi. Dzięki tobie. Dzięki... – Spuścił wzrok. – Dzięki

Maksowi. Isabelle, kiedy pojawiliście się wy... wszystko się zmieniło.

– Dlatego całymi latami traktowałeś Aleca, jakby roznosił zarazę? W taki sposób pokazujesz dzieciom, że je kochasz?

O ile to możliwe Robert jeszcze bardziej się zawstydził.

– To, że kogoś kochasz, nie znaczy, że nigdy nie popełnisz błędu – powiedział. – Ja popełniłem ich zdecydowanie za dużo. Dobrze to wiem. Niektórych nigdy nie zdołam naprawić. Staram się jednak z całej siły pogodzić się z twoim bratem. Wie, jak bardzo go kocham. Jaki jestem z niego dumny. Chcę, żebyś ty też to wiedziała. Wy, dzieci, jesteście jedynym, czego jestem pewien, czego zawsze będę pewien. Nie jestem pewien Clave. Z pewnością nie mojego małżeństwa. Ale was. I jeśli będzie trzeba, przez resztę życia będą wam udowadniał, że wy możecie być pewni mnie.

* * *

To była beznadziejna impreza, nawet Simon musiał przyznać, że dla jej ożywienia przydałby się demon albo dwa. Dekoracje – kilka smętnych serpentyn, parę oklapniętych balonów z helem, ręcznie namalowany plakat z błędnym napisem „GRATULACIE” wyglądały, jakby niechętnie przygotowało je na ostatnią chwilę kilkoro dzieciaków z piątej klasy, które zatrzymano za karę po lekcjach. Na stole z poczęstunkiem stało jedzenie, jakie zostało na koniec semestru, w tym czerstwe croissanty, naczynie do zapiekanek z pomarańczową galaretką, waza z potrawką i kilka talerzy ze stosami niezidentyfikowanych produktów mięsnych. Ponieważ w Idrisie nie działała elektryczność i nikt nie pomyślał, żeby wynająć zespół, nie było żadnej muzyki, ale kilkoro nauczycieli stworzyło prowizoryczny męski kwartet wokalny a capella (co zdaniem Simona nie kwalifikowało się jako

muzyka). Grupka, która chciała wezwać demona razem z Isabelle, została wypuszczona po surowym napomnieniu i pozwolono jej pójść na imprezę, ale żadne z nich nie miało nastroju do zabawy. Ani do zadawania się z Simonem, co było zrozumiałe.

Stał sam obok misy z ponczem, który śmierdział rybą w stopniu wystarczającym, żeby powstrzymać go przed nalaniem sobie szklaneczki. Wtedy podeszła do niego Isabelle.

– Unikasz przyjaciół? – zapytała.

– Przyjaciół? – Roześmiał się. – Masz chyba na myśli „ludzi, którzy szczerze mnie nie cierpią”. Tak, zwykle unikam takich ludzi.

– Wcale cię nie nienawidzą. Są zakłopotani, ponieważ miałeś rację, a oni okazali się głupcami. Przejdzie im. Tobie zawsze przechodzi.

– Może.

To wydawało się bardzo mało prawdopodobne, ale z drugiej strony większość wydarzeń z tego roku nie mieściła się w kategorii rzeczy prawdopodobnych.

– Dzięki, że zostałeś na czas rozmowy z moim ojcem – powiedziała Isabelle.

– Nie zostawiłaś mi specjalnego wyboru.

Isabelle roześmiała się niemal z czułością.

– Ty naprawdę nie masz pojęcia, jak zachować się w towarzystwie, co? Ja mówię „dziękuję”, ty odpowiadasz „nie ma za co”.

– Znaczący, gdybym powiedział „dzięki za wmówienie wszystkim moim przyjaciołom, że jesteś wariatką gotową wezwać demona, żeby narobić im kłopotów u pani dziekan”, to ty byś odpowiedziała...

– Nie ma za co, zawsze chętnie zafunduję im cenną lekcję. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Nawiasem mówiąc, ty najwyraźniej nie musiałeś sobie jej przyswajać.

– Tak. A skoro już o tym mowa. – Chociaż to była próba, mimo że Isabelle najwyraźniej chciała, żeby na nią doniósł, nadal miał wyrzuty sumienia. – Przepraszam, że nie zorientowałem się, co robisz. Nie zaufałem ci.

– To była gra. Nie miałeś mi ufać.

– Ale nie powinienem był się nabrać, ze wszystkich ludzi...

– Nie można oczekiwać, że będziesz mnie znał. – W jej głosie zabrzmiała wręcz niemożliwa łagodność. – Naprawdę to rozumiem. Wiem, że sprawy między nami... się skomplikowały, ale nie oszukuję się. Rzeczywistość może mi się nie podobać, ale nie mogę jej negować.

Było tyle rzeczy, które chciał jej powiedzieć.

A jednak w tej szczególnej chwili miał pustkę w głowie.

Zapadła między nimi krepująca cisza. Isabelle przeniosła ciężar z nogi na nogę.

– Cóż, jeśli to wszystko, to...

– Wracasz na randkę z Jonem? – Nie mógł się powstrzymać. – Czy... to też była tylko część gry?

Miał nadzieję, że Isabelle nie wychwyci żalostnej nutki nadziei w jego głosie.

– To była inna gra. Nie zostawaj w tyle. Nie przyszło ci nigdy na myśl, że mogę z przyjemnością cię dręczyć?

Znowu posłała mu szelmowski uśmiech i Simon poczuł, że ten uśmiech potrafi go rozpalić. Już miał wrażenie, że płonie.

– Czyli ty i on nigdy...

– Jon nie jest w moim typie.

Cisza, która wtedy zapadła, była już mniej krepująca. To ten rodzaj ciszy, pomyślał Simon, kiedy wpatrujesz się w kogoś maślanymi oczami i tylko pocałunek może zmniejszyć narastające napięcie.

Po prostu pochyl się, powiedział sobie, bo chociaż nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wykonał pierwszy krok w przypadku takiej dziewczyny jak ta, to najwyraźniej już kiedyś to zrobił. Co

znaczyło, że to potrafi. Jakoś. Przestań być takim tchórzem i po prostu pochyl się, do cholery!

Nadal zbierał się na odwagę, kiedy chwila minęła. Isabelle się odsunęła.

– Zatem... Co właściwie było w tamtym liście?

Wyuczył się go na pamięć. Mógłby go jej teraz wyrecytować, powiedzieć, że jest niesamowita, że nawet jeśli jego mózg nie pamięta, że ją kocha, to jego dusza na zawsze ukształtowała się tak, żeby pasować do niej, jakby odcisnięto na jego sercu foremkę w kształcie Isabelle. Jednak co innego napisać coś, a co innego powiedzieć to na głos, i to jeszcze publicznie.

Wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam za dobrze. Przepraszałem, że raz na ciebie nakrzyczałem. I potem jeszcze raz. Chyba.

– Aha.

Robiła wrażenie rozczarowanej? Poirytowanej? Odetchnęła z ulgą? Simon szukał na jej twarzy wskazówek, ale pozostała nieprzenikniona.

– Cóż... Przeprosiny przyjęte. I przestań wpatrywać się we mnie, jakbym miała robaka na nosie.

– Przepraszam. Raz jeszcze.

– A ja... chyba... przepraszam za zwrot listu bez przeczytania.

Simon nie pamiętał, czy Isabelle kiedykolwiek go przeprosiła. Nie wyglądała na kogoś, kto przeprasza.

– Jeśli kiedyś jeszcze do mnie napiszesz, może nawet to przeczytam – powiedziała z wystudiowaną obojętnością.

– Szkoła się kończy, zapomniałaś? W ten weekend wracam do Brooklynu.

Z trudem to sobie wyobrażał.

– Nie mają skrzynek pocztowych w Brooklynie?

– Chyba mogę ci przysłać kartkę z mostem Brooklyńskim – uznał Simon, a potem wziął głęboki wdech i poszedł na całość. – Albo sam mogę ci ją przynieść. Do Instytutu. Gdybyś zechciała.

Kiedyś. Czy coś.

– Kiedyś. Coś... – Isabelle zastanowiła się nad tym, dręcząc go przez kilka niekończących się sekund. Uśmiechnęła się tak szeroko, że Simon omal nie obrócił się w popiół. – Czyli jesteśmy umówieni.

2 Wszystkie cytaty z Biblii za *Biblią Tysiąclecia* (przyp. tłum.).

Książęta i rycerze bladzi

Cassandra Clare i Robin Wasserman



Co robiłem w wakacje
Simon Lewis

Tego lata mieszkałem w Brooklynie. Codziennie rano biegłem przez park. Pewnego ranka spotkałem niknę, która mieszkała w sadzawce dla psów. Miała...

Simon Lewis przerwał pisanie, żeby zajrzeć do słownika angielsko-chtonicznego i sprawdzić słowo „blond”. Nie było takiego hasła. Najwyraźniej słowa opisujące kolor włosów były rzeczą drugorzędną dla stworzeń z demonicznych krain. Odkrył, że podobnie jak słowa odnoszące się do rodziny, przyjaźni albo oglądania telewizji. Zagryzł gumkę, westchnął i znowu pochylił się nad kartką. Pięćset słów na temat minionego lata trzeba było oddać nauczycielowi chtonicznego do rana, a po godzinie pracy doszedł do około... dwudziestu.

Miała włosy. I...
...ogromne bufory.

– Tylko próbuję pomóc – powiedział George Lovelace, współlokator Simona, który pochylił się nad jego ramieniem i dopisał mu koniec zdania.

– I nędznie ci to wychodzi – odparł Simon, ale nie mógł ukryć uśmiechu.

Brakowało mu George’a latem bardziej, niż się spodziewał. Za wszystkim stęsknił się bardziej, niż się spodziewał. Nie tylko za nowymi przyjaciółmi, ale i za samą Akademią z jej przewidywalnym rytmem dnia i wszystkimi rzeczami, na które narzekał przez długie miesiące. Szlamem, wilgocią, porannymi

ćwiczeniami, piskami stworzeń uwięzionych w ścianach... Stęsknił się nawet za zupą. Simon przez pierwszy rok w Akademii martwił się, że nie pasuje do tego miejsca, że w pewnym momencie ktoś ważny zorientuje się, że popełniono ogromny błąd, i zostanie odesłany do domu.

Dopiero kiedy wrócił do Brooklynu i spróbował zasnąć w pościeli z Batmanem i z matką chrapiącą w sąsiednim pokoju, zdał sobie sprawę, że to już nie jest jego dom.

Domem – co było niespodziewane i niewytłumaczalne – stała się Akademia Nocnych Łowców.

Rejon Park Slope nie wyglądał tak, jak go zapamiętał. Teraz szczeniaki wilkołaków dokazywały na wybiegu dla psów w Prospekt Park, czarownicy sprzedawali domowej roboty sery i miłosne eliksiry na targowisku Grand Army, wampiry wylegiwały się na brzegach kanału Gowanus i rzucały niedopałkami w spacerujących hipsterów. Simon musiał sobie tłumaczyć, że to zawsze tak wyglądało, Park Slope się nie zmieniło, to on się zmienił. Simon miał teraz Widzenie. To teraz Simon wzdragał się z powodu migotliwych cieni, a kiedy Eric na swoje nieszczęście zakradł się do niego od tyłu, to odruchowo poderwał przyjaciela i cisnął nim o ziemię bez najmniejszego wysiłku rzutem z judo.

– Stary – jęknął Eric, który wpatrywał się w niego, siedząc na wysuszonej sierpniowej trawie – spocznij, żołnierzu.

Eric, rzecz jasna, myślał, że Simon spędził rok w szkole wojskowej, tak samo jak pozostali kumple, matka i siostra Simona. Okłamywał niemal wszystkich, których kochał. To była kolejna zmiana w jego brooklyńskim życiu i może to właśnie ona sprawiała, że tak bardzo chciał stąd uciec. Kłamać na temat tego, gdzie przebywał przez cały rok, wymyślać idiotyczne historyjki o negatywnych ocenach i sierżantach od musztry, których większość ściągnął z kiepskich filmów z lat osiemdziesiątych, to jedno. Kłamać na temat tego, kim jest, to coś całkiem innego.

Musiał udawać chłopaka, którego oni pamiętali, Simona Lewisa, uważającego, że demony i czarownicy przynależą do świata komiksów. Simona Lewisa, który najbardziej otarł się o śmierć, kiedy zadławił się migdałem w czekoladzie. On jednak nie był już tym Simonem, nawet go nie przypominał. Może nie stał się jeszcze Nocnym Łowcą, ale nie był już też Przyziemnym i miał dość udawania.

Jedyną osobą, przy której nie musiał udawać, była Clary i w miarę upływu tygodni spędzał z nią coraz więcej czasu, odkrywając miasto, słuchając historii o chłopcu, którym był. Nadal nie pamiętał, kim byli dla siebie w tamtym poprzednim życiu, które zapomniał pod wpływem magii, ale przeszłość coraz mniej się liczyła.

– Wiesz, ja też nie jestem tym, kim byłam kiedyś – powiedziała mu pewnego dnia, kiedy wypijali czwartą kawę w Java Jones. Simon robił, co w jego mocy, żeby zastąpić krew kofeiną z myślą o nadchodzącym wrześniu. Akademia leżała w strefie wolnej od kawy. – Czasem tamta dawna Clary wydaje mi się równie odległa, jak pewnie tobie wydaje się stary Simon.

– Tęsknisz za nią? – spytał Simon, ale tak naprawdę pytał: „Tęsknisz za nim?”. Za starym Simonem. Tym drugim Simonem. Lepszym, odważniejszym. Wiecznie się martwił, że już nim nie jest.

Clary pokręciła głową, ogniście rude loki spadły na jej ramiona, zielone oczy błyszczały.

– I za tobą też już nie tęsknię – powiedziała, jak zwykle doskonale wiedząc, co chodzi mu po głowie. – Bo cię odzyskałam. Przynajmniej taką mam nadzieję...

Uścisnął jej rękę. Taka odpowiedź wystarczyła im obojgu.

– A skoro mowa o tym, co robiłeś w wakacje – powiedział teraz George, rzucając się z powrotem na zapadający się materac – zamierzasz mi wreszcie powiedzieć?

– Co takiego mam ci powiedzieć?

Simon odchylił się w krześle, a kiedy usłyszał złowieszcze skrzypienie drewna, natychmiast się pochylił. Jako uczniom drugiego roku Simonowi i George'owi zaproponowano pokój nad ziemią, ale postanowili zostać w lochach. Simon przywiązał się do mrocznej wilgoci i odkrył, że istnieją pewne zalety znajdowania się daleko od wścibskich spojrzeń nauczycieli. Nie wspominając już o krytycznych spojrzeniach uczniów z kursu elitarnego. Chociaż większość młodych Nocnych Łowców z jego roku pogodziła się z nikłą szansą, że ich przyziemni rówieśnicy mogą mieć coś do zaoferowania, pojawiła się nowa grupa i Simon nie palił się do tego, żeby im też udzielić lekcji. Mimo wszystko, kiedy jego krzesło rozważało, czy nie rozpaść się na pół, i coś o szarym futrze smyrnęło mu koło nóg, zastanowił się, czy nie jest jeszcze za późno na zmianę zdania.

– Simon. Kumplu. Proszę o jakiś ochłap. Wiesz, jak ja spędziłem wakacje?

– Strzygąc owce?

George przysłał mu kilka kartek w ciągu dwóch miesięcy. Każda przedstawiała idylliczny szkocki krajobraz, a po drugiej stronie znajdowały się wiadomości krążące wokół jednego motywu:

Nuda.

Śmiertelna nuda.

Dobij mnie.

Za późno, już umarłem.

– Strzygąc owce – potwierdził George. – Karmiąc owce. Zapędzając owce. Brodząc w owczym łajnie. Podczas gdy ty... kto wie, co takiego robiłeś z pewną kruczowłosą wojowniczką. Nie dasz mi się nacieszyć swoim szczęściem?

Simon westchnął. George wstrzymywał się przez cztery i pół dnia. Simon uznał, że to więcej, niż mógłby oczekiwać.

– A dlaczego myślisz, że robiłem cokolwiek z Isabelle Lightwood?

– Sam nie wiem, bo kiedy ostatni raz cię widziałem, nie przestawałeś nawijać na jej temat? – George zaczął naśladować (aczkolwiek nędznie) amerykański akcent. – „Co powinienem zrobić na randce z Isabelle? Co powinienem powiedzieć na randce z Isabelle? Co powinienem włożyć na randkę z Isabelle? Och, George, spiszowy szkocki bogu miłości, powiedz mi, co robić z Isabelle!”.

– Nie przypominam sobie, żeby takie słowa padły z moich ust.

– Sparafrazowałem mowę twojego ciała. A teraz gadaj.

Simon wzruszył ramionami.

– Nic z tego nie wyszło.

– Nie wyszło? – George uniósł brwi tak wysoko, że niemal zeskoczyły mu z czoła. – Nie wyszło?!

– Nie wyszło – potwierdził Simon.

– Chcesz mi powiedzieć, że twój epicki romans z najseksowniejszą Nocną Łowczynią tego pokolenia, który rozgrywał się w kilku wymiarach rzeczywistości i obejmował kilkakrotne ratowanie świata, zakończył się wzruszeniem ramion i stwierdzeniem – znowu przeszedł na amerykański akcent – „nie wyszło”?

– Aha. To właśnie ci mówię. – Simon silił się na bez troskę, ale marnie mu to wyszło, bo George wstał i lekko szturchnął kumpla w ramię.

– Przykro mi, stary – powiedział cicho.

Simon znowu westchnął.

– Jasne.

Co robiłem w wakacje
Simon Lewis

Schrzaniłem swoją szansę z najwspanialszą dziewczyną na świecie.

Nie raz, nie dwa, ale trzy razy.

Zabrała mnie na randkę do swojego ulubionego nocnego klubu, gdzie stałem jak ostatni ciołek przez cały wieczór, a raz dosłownie potknąłem się o swoje dwie lewe nogi. A potem podrzuciłem ją do Instytutu i uścisnąłem jej dłoń na dobranoc.

Tak, dobrze przeczytaliście. Uścisnąłem. Jej. Dłoń.

Potem zabrałem ją na drugą randkę, do mojego ulubionego kina, gdzie zmusiłem ją do przetrwania maratonu z Wojnami Klonów i nie zauważyłem, że zasnęła, a potem niechcący obraziłem jej gust, bo skąd miałem wiedzieć, że kiedyś spotykała się z czarownikiem, który ma ogon, chociaż i tak wolałbym o tym nie wiedzieć. Na koniec proszę zwrócić uwagę na kolejne uściśnięcie dłoni na dobranoc.

Randka numer trzy, mój kolejny genialny pomysł: podwójna randka z Clary i Jace'em. Pomysł może i nie byłby najgorszy, gdyby nie to, że Clary i Jace są w sobie tak zakochani jak żadni inni ludzie w historii świata i jestem przekonany, że dotykali się stopami pod stołem, bo raz Jace zaczął ocierać się niechcący stopą o moją nogę. (Mam nadzieję, że niechcący). (Lepiej, żeby to było niechcący). A potem zaatakowały nas demony, bo Clary i Jace najwyraźniej przyciągają demony, zostałem ogłuszony po jakichś trzydziestu sekundach i leżałem w kącie, podczas gdy pozostali ratowali sytuację, a Isabelle walczyła jak niesamowita wojownicza bogini. Bo ona jest niesamowitą wojowniczą boginią. A ja jestem mięczakiem.

Potem wyjechali na jakąś super świetną wyprawę po kraju w poszukiwaniu demonów, które nasłały na nas demony, i nie pozwolili mi dołączyć. (Patrz wyżej: jestem mięczakiem). A kiedy później wrócili, Isabelle nie zadzwoniła, bo jaka wojownicza bogini chciałaby się spotykać z tchórzliwie kryjącym się po kątach mięczakiem? Ja też nie zadzwoniłem, z tego samego powodu... I ponieważ myślałem, że może ona zadzwoni.

A nie zadzwoniła.

Koniec

Simon postanowił poprosić nauczyciela języka chronicznego o przesunięcie terminu oddania pracy.

* * *

Okazało się, że program drugiego roku bardzo przypomina program pierwszego. Z jednym wyjątkiem. W tym roku w miarę upływu miesięcy zbliżających ich do Wstąpienia, uczniowie Akademii Nocnych Łowców mieli uczyć się na temat aktualnych

wydarzeń. Chociaż, sądząc z tego, czego nauczyli się do tej pory, zdaniem Simona zajęcia z aktualnych wydarzeń mogłyby równie dobrze nazywać się „Dlaczego faerie to złamasy”.

Codziennie Nocni Łowcy i Przyziemni z drugiego roku tłoczyli się w jednej z klas, które w zeszłym roku stały zamknięte. (Podobno z powodu plagi demonicznych chrząszczy). Wszyscy wciskali się w zardzewiałe stare ławki, które zaprojektowano z myślą o uczniach o połowę od nich mniejszych, i słuchali, jak profesor Freeman Mayhew objaśnia im Zimny Pokój.

Freeman Mayhew był chudym łysym mężczyzną o siwiejących wąsikach w stylu Hitlera i chociaż większość zdań zaczynał od słów „Kiedy walczyłem z demonami...”, trudno było wyobrazić go sobie walczącego choćby z przeziębieniem. Mayhew uważał, że jego obowiązkiem jest przekonanie uczniów, że faerie są sprytne, niegodne zaufania, mają zimne serca i – chociaż bojaźliwi politycy z Clave nie powiedzą tego w najbliższym czasie – zasługują, żeby wyginąć.

Uczniowie szybko zdali sobie sprawę, że sprzeciwianie się, czy choćby przerywanie wywodu pytaniem, powoduje natychmiastowy wzrost ciśnienia krwi Mayhew. Wyskakują mu wtedy czerwone plamy na czaszce i nauczyciel warczy: „Byłeś tam? Wątpię!”.

Tego ranka Mayhew scedował prowadzenie zajęć na dziewczynę kilka lat starszą od Simona. Miała blond włosy – tak jasne, że prawie białe – które opadały pierścieniami na jej ramiona, niebiesko-zielone błyszczące oczy i zaciśnięte usta, zdradzające, że wolałaby znajdować się gdzie indziej. Profesor Mayhew stał obok niej, ale Simon zauważył, że zachowuje bezpieczną odległość i pilnuje się, żeby nie odwracać się do niej plecami. Mayhew się bał.

– Śmiało – rzucił szorstko. – Przedstaw im się.

Dziewczyna wymamrotała coś, wbijając wzrok w podłogę.

– Głośniej! – warknął Mayhew.

Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała na klasę, a kiedy przemówiła, głos miała donośny i dźwięczny.

– Helen Blackthorn – powiedziała. – Córka Andrew i Eleonor Blackthornów.

Simon przyjrzał jej się uważniej. Helen Blackthorn to imię i nazwisko, które dobrze znał z opowieści Clary na temat Mrocznej Wojny. Blackthornowie sporo stracili w walkach, ale uważał, że najwięcej stracili Helen i jej brat Mark.

– Kłamiesz! – krzyknął Mayhew. – Spróbuj raz jeszcze.

– Skoro mogę kłamać, to powinno coś panu udowodnić, prawda? – zapytała, ale oczywiście znała odpowiedź.

– Wiesz, pod jakim warunkiem się tu znalazłaś – warknęła. – Powiedz im prawdę albo wracaj do domu.

– To nie jest mój dom – odpowiedziała cicho, ale stanowczo Helen.

Po Mrocznej Wojnie została wygnana, chociaż oficjalnie nikt nie posługiwał się tym terminem – na Wyspę Wrangla, arktyczny posterunek, centrum zaklęć ochronnych świata. Simon słyszał, że poza tym było to zamrożone jałowe odludzie. Oficjalnie Helen i jej dziewczyna, Aline Penhallow, badały zaklęcia ochronne, które trzeba było odbudować po Mrocznej Wojnie. Nieoficjalnie Helen ukarano za to, że się urodziła. Clave uznało, że mimo odwagi, jaką wykazała się podczas Mrocznej Wojny, mimo nieskazitelnej historii, chociaż jej młodsze rodzeństwo straciło rodziców i nie miał kto się nim zająć poza wujem, którego dzieci ledwie znały, nie można jej zaufać i pozwolić żyć wśród Nocnych Łowców. Clave uznało, że chociaż jej skóra przyjmuje anielskie runy, nie jest prawdziwą Nocną Łowczynią.

Simon uznał Clave za bandę idiotów.

Nie miało znaczenia, że nie nosiła broni, była ubrana w bladożółtą bluzkę i dżinsy, a na jej skórze nie widniały widoczne runy. Wystarczyło spojrzeć na jej postawę, na to, jak panuje nad sobą, jak przemienia gniew w dumę, żeby dostrzec,

że Helen Blackthorn jest Nocną Łowczynią. Wojowniczką.

– Ostatnia szansa – burknął Mayhew.

– Helen Blackthorn – powiedziała znowu dziewczyna i odgarnęła włosy, odsłaniając delikatne, blade uszy zakończone szpiczasto jak u elfa. – Córka Andrew Blackthorna, Nocnego Łowcy i lady Nerissy. Z Jasnego Dworu.

Na te słowa Julie Beauvale wstała i wyszła bez słowa z klasy.

Simon współczuł jej, a przynajmniej się starał. W czasie ostatnich godzin Mrocznej Wojny faerie zamordował siostrę Julie na jej oczach. To jednak nie była wina Helen. Helen była tylko w polowie faerie i nie ta polowa się liczyła.

Chociaż nikt w Clave ani w tej klasie nie myślał w ten sposób. Wśród uczniów huczało, krążyły obraźliwe uwagi na temat faerie. Helen Blackthorn stała przed nimi bardzo nieruchomo z rękami złożonymi za plecami.

– Zamknijcie się! – rzucił głośno Mayhew.

Simon nie pierwszy raz zastanawiał się, dlaczego ten człowiek został nauczycielem, kiedy jedyną rzeczą, której nie cierpiał bardziej niż młodych ludzi, był obowiązek ich nauczania.

– Nie oczekuję, że okażecie szacunek tej... osobie. Zjawiała się jednak, żeby przedstawić wam pouczającą historię. A wy jej wysłuchacie.

Helen odchrząknęła.

– Mój ojciec i wuj uczyli się tu kiedyś, tak jak wy – mówiła cicho, beznamiętnie, jakby opowiadała o obcych ludziach. – I być może jak wy nie zdawali sobie sprawy, jak niebezpieczne mogą być faerie. Co omal nie doprowadziło do ich końca.

* * *

To był drugi rok w Akademii dla mojego ojca, Andrew – opowiadała Helen – a pierwszy rok dla Arthura. Zwykle tylko

uczniów drugiego roku wysyłano z misją do Faerie, ale wszyscy wiedzieli, że Andrew i Arthur najlepiej walczą ramię w ramię.

Działo się to, rzecz jasna, na długo przed Zimnym Pokojem, kiedy Porozumienia obowiązywały faerie. To ich nie powstrzymywało przed łamaniem zasad, gdy myślały, że im się to upiecze. Zabrano dziecko Nocnych Łowców.

Po dziewczynkę wysłano dziesięciu uczniów z Akademii w towarzystwie nauczyciela.

Misja zakończyła się sukcesem. A przynajmniej tak byłoby, gdyby sprytne faerie nie sprawiły, że mój ojciec zaczepił ręką o ciernistą gałąź krzewu owocowego. Odruchowo zlizął krew z małej ranki, a wraz z nią skosztował odrobiny soku z owoców.

Jeśli napijesz się czegoś w Faerie, musisz wypełnić każdy kaprys Królowej, a Królowa zażyczyła sobie, żeby mój ojciec został. Arthur uparł się, że zostanie razem z nim, bo tak bardzo bracia się kochali.

Nauczyciel szybko dobił targu z Królową – ich uwięzienie potrwa tylko jeden dzień.

Nauczyciele Akademii zawsze byli mądrzy, ale faerie okazały się jeszcze mądrzejsze. Dzień w naszym świecie oznaczał znacznie dłuższy czas w Faerie.

Oznaczał wiele lat.

Mój ojciec i wuj zawsze byli cichymi chłopcami, molami książkowymi. Dzielnie walczyli na polu bitwy, ale woleli bibliotekę. Nie byli przygotowani na to, co ich czekało.

A mianowicie na spotkanie z lady Nerissą z Jasnego Dworu, faerie, która zostanie moją matką i której urodę przewyższało tylko jej okrucieństwo.

Ojciec nigdy nie opowiadał mi, co go spotkało z rąk Nerissy, podobnie jak wuj. Jednak po powrocie przedstawili pełen raport Inkwizytorowi. Później... zachęcono mnie do przeczytania tych raportów w całości i teraz przedstawię wam szczegóły.

A szczegóły są takie: na siedem długich lat Nerissa uczyniła

sobie z mojego ojca zabawkę. Związała go ze sobą, nie łańcuchami, ale czarną magią faerie. Kiedy jej służący go unieruchomili, zapięła mu srebrną obróżkę na szyi. Była zaczarowana. Dzięki niej ojciec nie widział w Nerissie tego, kim była naprawdę – potwora – tylko cud. Zwiodła jego oczy i serce, zmieniła nienawiść do porywaczki w miłość. W każdym razie w chorą wersję miłości, jaką znają faerie. Klaustrofobiczne uwielbienie. Zrobiłby dla niej wszystko. I w ciągu tych siedmiu lat zrobił dla niej wszystko.

I był jeszcze Arthur, brat, młodszy od Andrew, młodziutki nawet jak na swój wiek. Łagodny, jak mówiono. Miękki.

Arthur nie był potrzebny lady Nerissie, stał się tylko zabawką, narzędziem, za pomocą którego mogła torturować mojego ojca i zapewnić sobie jego wierność.

Nerissa zmusiła mojego ojca, żeby wszystkie te lata przeżył w miłości; Arthura zmusiła do życia w bólu.

Arthur został spalony żywcem wielokrotnie, ponieważ ogień faerie pożerał jego ciało i kości, ale go nie zabijał.

Chłostano go, cierniowe batogi zostawiły na jego plecach rany, które nigdy się nie zabiłiły.

Przykuto go do ziemi, zakuto w łańcuchy jego ręce i nogi, jakby był dzikim zwierzęciem, i zmuszono do patrzenia na najgorsze koszmary, które wypełniały się przed jego oczami. Za pomocą czarów faerie odgrywały wyjątkowo okrutną śmierć tych, których najbardziej kochał.

Arthurowi pozwolono uwierzyć, że brat go porzucił, że wolał miłość faerie od brata, i to była najgorsza tortura ze wszystkich.

Arthura zniszczono. Wystarczył tylko rok. Przez następne sześć lat faerie deptały ze śmiechem zgliszczą jego duszy.

A jednak.

Arthur był Nocnym Łowcą, a tego nigdy nie należy lekceważyć. Pewnego dnia na wpół oszalały z bólu i smutku otrzymał wizję przyszłości, tysiąca dni cierpienia, dziesięcioleci,

wieków wpływających w Faerie, podczas których on starzał się i zamieniał w pomarszczoną, zniszczoną istotę, by potem wrócić do własnego świata i odkryć, że minął tam tylko jeden dzień, że wszyscy, których znał, są młodzi i cali. Że modlą się o jego śmierć, żeby nie musieć żyć z tym, czymś się stał. Kraina Faerie leżała poza czasem; faerie mogły skraść mu całe życie, torturować i dręczyć przez dziesięciokrotnie dłuższy czas niż jego normalny żywot i nadal dotrzymałyby danego słowa.

Groza jego losu, potężniejsza niż ból, dała mu siłę potrzebną do zerwania okowów. Został zmuszony do walki z własnym bratem, którego zaczarowano, żeby wierzył, że powinien chronić lady Nerisę za wszelką cenę. Arthur obalił mojego ojca na ziemię, a potem jej własnym sztyletem rozciął lady Nerisę od gardła aż po mostek. Tym samym sztyletem rozciął zaczarowane srebro na szyi ojca. Razem, wreszcie wolni, uciekli z Faerie i wrócili do świata. Obaj jednak powrócili z bliznami.

Kiedy złożyli raport Inkwizytorowi, opuścili Idris i rozstali się. Bracia, którzy żyli tak blisko jak *parabatai*, nie mogli znieść swojego widoku. Jeden przypominał drugiemu, co przecierpieli i stracili. Żaden nie potrafił wybaczyć drugiemu ich klęski i zwycięstwa.

Może kiedyś w końcu by się pogodzili.

Jednak Arthur wyjechał do Londynu, a mój ojciec wrócił do domu w Los Angeles, gdzie szybko zakochał się w jednej z Nocnych Łowczyń trenujących w Instytucie. Ona także go pokochała i pomogła mu zapomnieć o latach koszmarów. Pobrali się. Urodził im się syn. Byli szczęśliwi. Aż pewnego dnia ktoś zadzwonił do drzwi. Matka właśnie karmiła małego Juliana albo kładła go do snu. Ojciec ślęczał nad książkami. Jedno z nich otworzyło drzwi i ujrzało dwa koszyki na progu, w każdym małe śpiące dziecko. Mój brat Mark i ja. Ojciec, pozostający pod wpływem uroku, nigdy nie dowiedział się, że lady Nerissa urodziła mu dwoje dzieci.

Mój ojciec i jego żona Eleonora wychowali nas, jakbyśmy byli pełnej krwi Nocnymi Łowcami. Jakbyśmy byli ich dziećmi. Nie traktowali nas jak półkrwi potworów, których podrzucili między ich szeregi wrogowie. Jakbyśmy nie byli dla nich nieustannym przypomnieniem o zniszczeniu i torturach, o długim koszmarze, który mój ojciec tak usilnie starał się zapomnieć. Zrobili, co w ich mocy, żeby nas pokochać. Możliwe, że może nas kochali. Jestem jednak pewna, że Andrew i Eleonor Blackthorn byli najlepszymi Nocnymi Łowcami. Musieli więc w głębi duszy być dość mądrzy, by wiedzieć, że nie wolno nam nigdy do końca zaufać.

Ufaj faerie na własne ryzyko, ponieważ one dbają tylko o siebie. Sieją tylko zniszczenie. A ich ulubioną bronią jest ludzka miłość.

Oto lekcja, jaką miałam wam przekazać. I tak uczyniłam.

* * *

– Co to, do cholery, było?! – wykrzyknął Simon, kiedy tylko zakończono zajęcia.

– Właśnie! – George oparł się o kamienną ścianę korytarza. A potem szybko zmienił zdanie, kiedy coś zielonego i oślizgłego wypełzło mu spod ramienia. – Wiedziałem, że faerie to łachudry, ale kto by pomyślał, że są aż tak złe?

– Ja – powiedziała Julie. Była bledsza niż zwykle.

Czekała na nich przed klasą (a raczej na Jona Cartwrighta; ostatnio byli czymś w rodzaju pary). Julie była ładniejsza nawet od Jona i okazała się niemal równie wielkim snobem jak on, ale mimo to Simon spodziewał się, że ma lepszy gust.

Jon ją objął, a ona wtuliła się w jego umięśniony tors.

Gdy patrzy się na nich, to wydaje się takie naturalne, pomyślał zdumiony Simon. Ale z drugiej strony z Nocnymi Łowcami zawsze tak było – wydawało się, że wszystko przychodzi im

z naturalną łatwością.

To było odrobinę obrzydliwe.

– Nie mogę uwierzyć, że torturowały tego biednego gościa siedem lat – powiedział George.

– A co z jego bratem! – wykrzyknęła Beatriz Mendoza. – To jeszcze gorsze.

George spojrział z niedowierzaniem.

– Uważasz, że bycie zmuszonym do zakochania się w seksownej księżniczce faerie jest gorsze od kilkakrotnego spalania żywcem?

– Uważam...

Simon odchrząknął.

– Co innego miałem na myśli. Jak mogli, do cholery, przyznać Helen Blackthorn jak jakieś cyrkowe dziwadło i zmusić do opowiadania okropnej historii na temat swojej matki?

Kiedy tylko Helen skończyła opowiadać, profesor Mayhew rozkazał jej wyjść z klasy. Miała minę, jakby chciała mu obciąć głowę, ale zamiast tego pochyliła się i posłusznie wyszła. Simon nigdy nie widział, żeby Nocna Łowczyni tak się zachowała – jakby ją... ujarzmiono. To było obrzydliwe i chore.

– Matka to dość teoretyczny termin w tej sytuacji, nie uważasz? – spytał George.

– Chcesz powiedzieć, że to było dla niej przyjemne? – zapytał z niedowierzaniem Simon.

– Myślę, że mnóstwo rzeczy nie jest przyjemnych – rzuciła chłodno Julie. – Na przykład patrzeć, jak ktoś rozcina twoją siostrę na pół, nie jest przyjemne. Zatem wybacz mi, jeśli nie będę się przejmowała tym mieszańcem ani jej tak zwanymi uczuciami. – Głos jej zadrzał przy ostatnim słowie. Julie nagle wysunęła się spod ręki Jona i odbiegła korytarzem.

Jon spiorunował wzrokiem Simona.

– Pięknie, Lewis. Naprawdę pięknie.

Pobiegł za Julie, zostawiając Simona, Beatriz i George'a. Stali

zakłopotani w milczeniu.

Po chwili krepującej ciszy, George podrapał się po zarośniętym podbródku i powiedział:

– Mayhew rzeczywiście potraktował ją dość ostro. Zachowywał się, jakby była jakąś zbrodniarką. Widać było, że tylko czeka, aż dziewczyna rzuci się, żeby zadźgać go kawałkiem kredy albo coś w tym guście.

– To faerie – zwróciła mu uwagę Beatriz. – Trzeba zachować przy nich czujność.

– Jest w połowie faerie – wtrącił Simon.

– Nie uważasz, że to wystarczy? Clave musiało tak uznać – powiedziała Beatriz. – Dlaczego inaczej wysłałoby ją na wygnanie?

Simon się zachnął.

– Jasne, bo Clave zawsze ma rację.

– Jej brat jeździ z Dzikim Polowaniem – argumentowała Beatriz. – Bardziej faerie już nie można być.

– To nie jego wina – zaprotestował Simon. Clary opowiedziała mu historię porwania Blackthorna. Faerie zabrały go z Instytutu w Los Angeles podczas masakry. Clave nie zamierzało go szukać. – Zabrano go wbrew jego woli.

Beatriz wyglądała na rozgniewaną.

– Nie wiesz tego. Nikt tego nie wie.

– A to co znowu? – zapytał Simon. – Nigdy nie łykałaś tych bzdur przeciwko Podziemnym.

Simon co prawda nie pamiętał swoich dni w roli wampira, ale pilnował się, żeby nie przyjaźnić się z tymi, którzy skłonni są najpierw wbić kołek, a potem zadawać pytania.

– Nie jestem anty-Podziemna – upierała się z oburzeniem Beatriz. – Nie mam nic przeciwko wilkołakom czy wampirom. Ani czarownikom, to chyba jasne. Ale faerie to co innego. Cokolwiek Clave z nimi robi, to działa na naszą korzyść. Ma nas chronić. Nie uważasz, że mogą wiedzieć nieco więcej na ten

temat niż ty?

Simon przewrócił oczami.

– Mówisz jak prawdziwy Nocny Łowca.

Beatriz rzuciła mu dziwne spojrzenie.

– Simon, zdajesz sobie sprawę, że powiedziałaś „Nocny Łowca” prawie jakby to była obelga?

To go zastanowiło. Beatriz rzadko zwracała się do kogokolwiek równie ostro, zwłaszcza do niego.

– Ja tylko...

– Skoro uważasz, że bycie Nocnym Łowcą jest takie okropne, to nie wiem, co tu robisz. – Odeszła korytarzem do swojego pokoju, który, jak reszta pokoiów elity z drugiego roku, znajdował się wysoko w wieżyczkach z przyjemną południową wystawą i widokiem na łąkę.

George i Simon odwrócili się w przeciwnym kierunku i ruszyli do lochów.

– Nie zdobywasz dzisiaj przyjaciół – zażartował George, szturchając go delikatnie.

To w języku George’a znaczyło: „Nie martw się. Przejdzie im”.

Powlekli się korytarzem ramię w ramię. Letnie sprzątnie nie zmieniło niczego w temacie ciekących sufitów ani kałuż podejrzanie cuchnącego szlamu, które zaludniały drogę do podziemi. A może troska woźnych nie sięgała do kwater motłochu. W każdym razie teraz już Simon i George mogliby przejść korytarzem z zawiązanymi oczami, odruchowo omijali kałuże i uchylali się pod ciekącymi rurami.

– Nie chciałem nikogo zdenerwować – powiedział Simon. – Po prostu uważam, że to nie w porządku.

– Zaufaj mi, stary, doskonale jasno się wyraziłeś. I, rzecz jasna, zgadzam się z tobą.

– Tak? – Simonowi ulżyło.

– Pewnie. Nie odgradzasz całego stada, bo jednak owca skubie złą trawę, nie?

– Ehm... Jasne.

– Po prostu nie wiem, czemu tak się nakręcasz. – George właściwie niczym się nie nakręcał, a w każdym razie w życiu by się do tego nie przyznał. Twierdził, że apatia to życiowe motto jego rodziny. – Chodzi o ten wampirzy epizod? Wiesz przecież, że nikt nie myśli o tobie w ten sposób.

– Nie, nie chodzi mi o to.

Simon wiedział, że teraz jego przyjaciele prawie nie myślą o jego wampirzej przeszłości. Uznali to za nieistotne. Czasem Simon nie był tego taki pewien. Był martwy... Jak można uznać coś takiego za nieistotne?

To jednak nie miało tu nic do rzeczy.

To po prostu było nie w porządku, że profesor Mayhew rozkazuje Helen jak trenowanemu psu albo że inni źle mówią o faerie, ponieważ część faerie zdradziła Nocnych Łowców, a to znaczy, że od teraz po wsze czasy wszystkie faerie są winne.

Może o to właśnie chodziło – o winę przekazywaną we krwi, grzechy ojców, które spadają nie tylko na synów, ale także na ich przyjaciół, sąsiadów i przypadkowych znajomych, ponieważ tak się składa, że mają uszy podobnego kształtu. Nie można oskarżyć całego ludu, czy w tym wypadku gatunku Podziemnych, ponieważ nie podoba ci się to, jak paru z nich się zachowało. Spędził dość czasu w hebrajskiej szkole, żeby wiedzieć, jak coś takiego się kończy. Na szczęście, zanim zdążył sformułować wyjaśnienie dla George'a, które nie wymieniałoby Hitlera, zmaterializowała się przed nimi profesor Catarina Loss.

Dosłownie zmaterializowała się w dość teatralnym obłoczku dymu. Simon uznał, że takie już jest prawo czarowników, chociaż popisywanie się nie było w stylu Catariny. Zwykle starała się nie wyróżniać na tle reszty nauczycieli Akademii, więc łatwo było zapomnieć, że jest czarownicą (a w każdym razie gdyby pominąć jej niebieską skórę). Zauważył jednak, że kiedy w szkole pojawiał się inny Podziemny, Catarina robiła wszystko, żeby popisać się

swoimi mocami.

Tyle że Helen Blackthorn nie jest Podziemną, upomniał się w myślach.

Z drugiej strony Simon też nie był Podziemnym, a w każdym razie nie był już od ponad roku, a Catarina z uporem nazywała go „Chodzącym za Dnia”. Według niej, kto raz był Podziemnym, na zawsze nim pozostawał choćby w maleńkiej, nieświadomej, ukrytej w najdalszych głębinach duszy częstce. Zawsze mówiła o tym z taką pewnością, jakby wiedziała coś, z czego on nie zdawał sobie sprawy. Po rozmowie z nią Simon często łapał się na tym, że maca językiem kły, upewniając się, że na pewno nie urosły.

– Mogę porozmawiać z tobą chwilę, Chodzący za Dnia? Na osobności?

George, który trochę denerwował się w obecności Catariny, odkąd na krótko zamieniła go w owcę, wyraźnie tylko czekał na pretekst do ucieczki. I od razu z niego skorzystał.

Simon ucieszył się, że został sam na sam z Catariną, co go trochę zdziwiło. Był pewien, że przynajmniej ona stanie po jego stronie.

– Profesor Loss, nie uwierzy pani, co się właśnie wydarzyło na zajęciach u profesora Mayhew...

– Jak minęło ci lato? – Catarina rzuciła mu leciutki uśmiech. – Mam nadzieję, że miło? Nie za dużo słońca?

Odkąd poznał Catarinę Loss, nigdy nie zawracała sobie głowy grzecznościowymi pogaduszkami. Dziwne, że teraz postanowiła to zmienić.

– Wiedziała pani, że Helen Blackthorn tu jest, prawda?

Skinęła głową.

– Wiem niemal o wszystkim, co się tu dzieje. Myślałam, że już się zorientowałeś.

– W takim razie domyślałam się, że wie pani, jak profesor Mayhew ją potraktował.

- Pewnie jak coś gorszego od człowieka, tak?
- Właśnie! Jak coś, co zeskrobał z podeszwy buta.
- Z doświadczenia wiem, że profesor Mayhew traktuje tak większość ludzi.

Simon pokręcił głową.

- Gdyby to pani widziała... To było jeszcze gorsze. Może powinienem powiedzieć dziekan Penhallow? – wyrwał się bez zastanowienia i od razu spodobał mu się ten pomysł. – Mogłaby, sam nie wiem... – Przecież nie zatrzyma profesora po lekcjach. – Coś zrobić...

Catarina zacisnęła usta.

- Zrobisz, jak uważasz, ale mogę ci powiedzieć, że dziekan Penhallow nie ma dużego wpływu na sposób traktowania Helen Blackthorn w Akademii.

- Przecież jest dziekanem. Powinna... No tak.

Powoli, ale nieubłaganie kawałki zaczęły układać się w całość. Dziekan Penhallow była kuzynką Aline Penhallow. Dziewczyny Helen. Matka Aline, Konsul Jia, podobno była nieobiektywna w kwestii Helen i musiała wycofać się z podejmowania decyzji na jej temat. Jeśli nawet Konsul nie mogła interweniować w obronie Helen, to dziekan pewnie miała jeszcze mniejsze szanse. To się wydało Simonowi potwornie niesprawiedliwe, że ludzie, którym najbardziej zależało na Helen, mieli najmniej do powiedzenia na temat jej losu.

- Dlaczego Helen w ogóle się tu zjawiała? – zastanawiał się. – Wiem, że Wyspa Wrangla musi być beznadziejna, ale nie może być gorsza od wizyty w miejscu, gdzie wszyscy jej nienawidzą.

- Sam możesz ją zapytać. Dlatego chciałam z tobą porozmawiać. Helen prosiła mnie, żebym przysłała cię do jej chatki, kiedy skończą się twoje dzisiejsze zajęcia. Ma coś dla ciebie.

- Tak? Co takiego?

- Będziesz musiał sam ją zapytać. Znajdziesz ją na obrzeżach

zachodniego dziedzińca.

– Została na kampusie? – Simon był zaskoczony. Nie rozumiał, dlaczego Helen w ogóle się tu zjawiała, a jeszcze trudniej potrafił sobie wyobrazić, dlaczego zechciała zostać. – Musi mieć jakichś przyjaciół w Alicante, u których mogłaby się zatrzymać.

– Na pewno ma, nawet teraz – powiedziała Catarina, a w jej głosie zabrzmiały życzliwość i smutek, jakby bardzo, bardzo łagodnie obchodziła się dzieckiem. – Ty jednak zakładasz, że Helen miała jakiś wybór.

* * *

Simon zawahał się przed drzwiami chatki, siłą woli zmuszając się do zapukania. Gdy się nad tym zastanowił, to uznał, że to coś, czego najbardziej nie lubi – spotkań z ludźmi, których znał w poprzednim życiu. Zawsze istniała obawa, że będą spodziewali się czegoś, czego on nie może im dać, albo zakładali, że wie coś, o czym on zapomniał. Poza tym często w ich oczach pojawiała się iskierka nadziei, która gasła, gdy tylko Simon otwierał usta.

Przynajmniej ledwie znał Helen, pocieszał się w myślach. Nie mogła oczekiwać od niego zbyt wiele. Chyba że o czymś nie wiedział.

A musiało być coś, czego nie wiedział.. Bo w przeciwnym razie po co by go wzywała?

Istnieje tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć, pomyślał Simon i zapukał do drzwi.

Helen przebrała się w kolorową letnią sukienkę w grochy i wyglądała znacznie młodziej niż w klasie. I znacznie weselej. Jej uśmiech znacząco się poszerzył, kiedy zobaczyła, kto stoi za drzwiami.

– Simon! Tak się cieszę. Chodź, siadaj, zjesz coś albo napijesz się czegoś? Może filiżankę kawy?

Simon usiadł na jedynej kanapie w malutkim saloniku. Mebel był niewygodny i miał poprzecieraną tapicerkę, haftowaną w wyblakły kwiatowy wzór, przez co wyglądał jak coś, co mogłoby należeć do babci Simona. Zastanawiał się, kto zwykle tam mieszkał czy też po prostu Akademia zachowała tę rozpadającą się chatkę dla wizytujących nauczycieli. Chociaż nie potrafił sobie wyobrazić wielu gości, którzy chcieliby zamieszkać w walącej się chałupinie na skraju lasu, wyglądającej jak domek, w którym mogli mieszkać Jaś i Małgosia przed odkryciem cukierniczej architektury.

– Nie, dziękuję, nie trzeba... – Simon urwał, kiedy dotarły do niego jej ostatnie słowa. – Powiedziałaś: kawa?

Minęło dopiero pół tygodnia nowego roku szkolnego, a Simon już poważnie cierpiał z powodu odstawienia kofeiny. Zanim zdążył powiedzieć: „Tak, poproszę, najlepiej cały kubek”, Helen włożyła mu w dłoń parujący kubek.

– Tak myślałam – powiedziała.

Simon przełknął chciwie kilka łyków, kofeina rozbudziła jego ciało. Nie wiedział, jak ktokolwiek może pozostać istotą ludzką – już nie wspominając o byciu Nocnym Łowcą, nadczłowiekiem – bez codziennej dawki kawy.

– Skąd ją wytrzasnęłaś?

– Magnus wyczarował mi ekspres do kawy niewymagający prądu – odpowiedziała Helen, szczerząc zęby w uśmiechu. – Swego rodzaju pożegnalny prezent, zanim odpłynęliśmy na Wyspę Wrangla. Teraz nie mogę bez niego żyć.

– Jak tam jest? Na wyspie?

Helen zawahała się i Simon zastanawiał się, czy nie popełnił błędu. Może to niegrzeczne pytać, jak się komuś mieszka na wygnaniu w dziczy podobnej do Syberii?

– Zimno – odpowiedziała wreszcie. – Samotnie.

– Hm. – Jak mógł zareagować? „Przykro mi” to za mało powiedziane, a Helen nie robiła wrażenia, jakby chciała jego

litości.

– Ale przynajmniej jesteście razem. Aline i ja. To już coś. To właściwie wszystko. Nadal nie mogę uwierzyć, że zgodziła się na małżeństwo ze mną.

– Pobieracie się?! – wykrzyknął Simon. – To wspaniale!

– Prawda? – Helen się uśmiechnęła. – Trudno uwierzyć, ile światła można znaleźć w ciemności, kiedy masz kogoś, kto cię kocha.

– Przyjechała z tobą? – spytał Simon, rozglądając się.

Był tam jeszcze tylko jeden pokój, sypialnia, jak się domyślał, ale drzwi były zamknięte. Nie przypomniał sobie, czy poznał Aline, ale po wszystkich opowieściach Clary był jej ciekawy.

– Nie – odpowiedziała ostro Helen. – To nie było częścią umowy.

– Jakiej umowy?

Zamiast odpowiedzieć, Helen raptownie zmieniła temat.

– Podobał ci się mój poranny wykład?

Tym razem to Simon się zawahał, nie bardzo wiedząc, jak odpowiedzieć. Nie chciał zasugerować, że uznał jej wykład za nudny, ale powiedzenie, że świetnie mu się słuchało jej straszliwej opowieści albo że dobrze się bawił, patrząc, jak profesor Mayhew ją upokarza, też uznał za niestosowne.

– Zdziwiłem się, że chciałaś tu wyklądać – odrzekł wreszcie. – Opowiadanie tej historii nie może być łatwe.

Helen posłała mu cierpki uśmiech.

– „Chciałam” to mocno powiedziane. – Wstała, żeby nalać mu drugi kubek kawy, a potem zaczęła krzątać się przy naczyniach we wnęce kuchennej.

Simon miał wrażenie, że Helen próbuje zająć czymś ręce. Może starała się nie patrzeć mu w oczy.

– Zawarłam z nimi umowę. Z Clave. – Przeczesała nerwowo dłońmi jasne włosy, a Simon dostrzegł przelotnie jej szpiczaste uszy. – Powiedzieli, że jeśli przyjadę do Akademii na kilka dni

i pozwolę, żeby pokazywali mnie jak zmieszane z faerie dziwadło, to będziemy mogły wrócić z Aline.

– Na dobre?

Roześmiała się.

– Na jeden dzień i jedną noc, żebyśmy mogły się pobrać.

Simon pomyślał nagle o pytaniu, jakie zadała mu wcześniej tego dnia Beatriz. Dlaczego tak bardzo starał się zostać Nocnym Łowcą?

Czasem nie bardzo wiedział.

– Nie chcieli nam w ogóle pozwolić na powrót – powiedziała z goryczą Helen. – Chcieli, żebyśmy pobrały się na Wyspie Wrangla. O ile w ogóle można nazwać ślubem uroczystość w zamarzniętym piekle bez towarzystwa nikogo z tych, których kochasz. Chyba powinnam uważać się za szczęściarę, bo aż tyle udało mi się od nich uzyskać.

Może nie tyle powinna czuć się szczęśliwa, ile zde gustowana albo nawet rozgniewana, pomyślał Simon, ale uznał, że nie będzie to szczególnie pomocne, jeśli powie to na głos.

– To dziwne, że tak im zależy na jednym wykładzie – powiedział zamiast tego. – Oczywiście był bardzo pouczający, ale profesor Mayhew mógł to opowiedzieć sam.

Helen odwróciła się od tego, czym się zajmowała, i spojrzała Simonowi w oczy.

– Wykład nic ich nie obchodzi. Tu nie chodzi o naukę, ale by mnie upokorzyć. To wszystko. – Pokręciła lekko głową i uśmiechnęła się zbyt promiennie. Oczy jej zabłyśły. – Zapomnij o tym wszystkim. Przyszedłeś tu, żeby coś ode mnie dostać. Proszę. – Wyjęła kopertę z kieszeni i podała ją Simonowi.

Zaciekawiony rozerwał ją i wyjął stroniczkę w kolorze kości słoniowej zapisaną znajomym charakterem pisma.

Wstrzymał oddech.

Drogi Simonie!

– napisała Izzy.

Wiem, że nabrałam nawyku dopadania Cię w szkole przez zaskoczenie.

To prawda. Isabelle zjawiała się więcej niż raz, kiedy najmniej się jej spodziewałam. Za każdym razem, gdy pojawiała się na kampusie, kłócili się. I za każdym razem ze smutkiem patrzyłam, jak ona odchodzi.

Obiecałam sobie, że więcej tego nie zrobię, ale muszę z Tobą o czymś porozmawiać. Dlatego tym razem Cię ostrzegam. Jeśli nie masz nic przeciwko moim odwiedzinom, daj znać Helen, a ona przekaże mi wiadomość. Jeśli nie, też możesz jej powiedzieć. Jak wolisz.

Isabelle.

Simon przeczytał krótki liścik kilka razy, starając się wyczuć ton kryjący się za słowami. Serdeczny? Niecierpliwy? Rzeczowy?

Do tego tygodnia znajdowali się raptem o e-mail i telefon od siebie. Dlaczego czekała, aż Simon wróci do Akademii, żeby się odezwać? Dlaczego w ogóle się odzywała?

Może łatwiej go rzucić raz na zawsze, kiedy on znajduje się bezpiecznie na innym kontynencie?

W takim razie po co miałyby przenosić się aż do Idrisu, żeby powiedzieć mu to osobiście?

– Może potrzebujesz czasu na zastanowienie? – zapytała w końcu Helen.

Zapomniał o niej.

– Nie! – odparł. – Znaczący skąd, nie potrzebuję czasu do namysłu. Tak, oczywiście, że może mnie odwiedzić. Jasne. Przekaż jej to, proszę.

Przestań bełkotać, rozkazał sobie. Nie dość, że zamieniał się w bredzącego kretyna za każdym razem w obecności Isabelle, to teraz jeszcze zaczynał idiociec już na dźwięk jej imienia?

Helen się roześmiała.

– Widzisz, a nie mówiłam?! – zawołała głośno.

– Co takiego niby? – zapytał Simon.

– Słyszałaś go, wychodź! – zawołała Helen jeszcze głośniej i drzwi do sypialni uchyliły się ze skrzypieniem.

Isabelle Lightwood nie potrafiła wyglądać na zmieszaną, ale starała się, jak mogła.

– Niespodzianka?

Kiedy Simon odzyskał zdolność mówienia, tylko jedno słowo odnalazł w mózgu.

– Isabelle.

Cokolwiek skrzyło się i płonęło między nimi, było najwyraźniej tak wyczuwalne, że Helen też to zauważyła, bo szybko przemknęła za plecami Isabelle do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Zostawiając ich samych.

– Cześć, Simon.

– Cześć, Izzy.

– Ehm, pewnie się zastanawiasz, co tu robię. – W jej głosie pobrzmiwała nietypowa dla niej niepewność.

Simon skinął głową.

– Nie zadzwoniłeś. Uratowałam cię przed dekapitacją z łap eidolona, a ty nawet nie zadzwoniłeś.

– Ty też nie zadzwoniłaś. A poza tym, ehm... miałem wrażenie, że powinienem był sam się uratować.

Isabelle westchnęła.

– Podejrzewałam, że właśnie to sobie wydumałeś.

– No bo powinienem był!

– No bo jesteś idiotą! – Rozpromieniła się. – Ale masz dziś szczęście, bo uznałam, że jeszcze się nie poddam. To zbyt ważne, żeby poddać się po kiepskiej randce.

– Trzech kiepskich randkach – poprawił ją. – Naprawdę bardzo kiepskich randkach.

– Najgorszych – zgodziła się.

– Najgorszych? Jace mówił mi, że kiedyś spotykałaś się z syrenem, który zmusił cię do pójścia na kolację w rzece. Chyba

żadna z naszych randek nie była tak kiepska, jak...

– Najgorszych – powtórzyła z uporem i się roześmiała.

Simon myślał, że serce mu pęknie na ten dźwięk. Coś tak beztroskiego, tak radosnego kryło się w melodii jej śmiechu, że brzmiało to prawie jak obietnica, że znajdą ścieżkę pomimo niezręczności, bólu i ciężaru oczekiwań i że kiedy odnajdą się ponownie, będzie tam czekało na nich coś czystego i radosnego.

– Ja też nie chcę się jeszcze poddawać – powiedział Simon, a uśmiech, jakim go nagrodziła, był nawet lepszy od śmiechu.

Usiadła obok niego na sofce. Nagle Simon zdał sobie sprawę, jak niewiele cali oddziela ich uda. Czy powinien teraz coś zrobić?

– Uznałam, że w Nowym Jorku jest zbyt tłoczno.

– Z powodu demonów?

– Z powodu wspomnień.

– Zbyt wiele wspomnień to nie jest właściwie mój problem.

Isabelle szturchnęła go łokciem. Nawet wtedy zaiskrzyło.

– Wiesz, co mam na myśli.

Odwzajemnił kuksaniec.

Dotykać jej w taki sposób, zwyczajnie, jakby to nie było nic wielkiego...

Odzyskać ją, mieć ją tak blisko, tak chętną...

Pragnęła go.

A on jej.

To powinno być łatwe.

Simon odchrząknął i wstał. Potem, jakby to nie był wystarczający dystans, oddalił się na drugi koniec pokoju.

– To co teraz? – zapytał.

Sprawiała wrażenie zakłopotanej, ale tylko przez chwilę. Zaraz potem podjęła wątek.

– Wybierzemy się na następną randkę – powiedziała. To nie była prośba, ale rozkaz. – W Alicante. To neutralny teren.

– Kiedy?

– Myślałam, że może... teraz.

Nie tego się spodziewał. Ale z drugiej strony czemu nie? Nie miał już zajęć tego dnia, a jako uczeń drugiego roku mógł opuszczać teren szkoły. Nie było powodu, dla którego nie mógłby od razu pójść z Isabelle. Tyle że nie miał czasu się przygotować, obmyślić żadnego planu gry, podręczyć się obsesyjnie stanem włosów i swoim „swobodnie wymiętym” stylem, zastanowić się nad tematami rozmów, gdyby im nie szły pogaduszki... Z drugiej strony żadna z tych rzeczy nie uratowała jego poprzednich randek przed katastrofą. Może nadszedł czas poeksperymentować ze spontanicznością.

Zwłaszcza że Isabelle nie dawała mu dużego wyboru.

– W takim razie teraz – zgodził się Simon. – Zaprosimy też Helen?

– Na naszą randkę?

Idiota. W duchu zdzielił się przez łeb.

– Helen, chcesz nam popsuć romantyczną randkę?! – zawołała Isabelle.

Helen wyszła z sypialni.

– Na nic nie mam równie dużej ochoty jak zostać piątym kołem u wozu – powiedziała – ale nie wolno mi opuszczać terenu szkoły.

– Słucham? – Isabelle musnęła bicz z elektrum owinięty wokół lewego nadgarstka. Simon nie dziwił się jej, że miała ochotę w coś uderzyć. Albo w kogoś. – Powiedz mi, proszę, że żartujesz.

– Catarina nakreśliła krąg ochronny wokół chaty – powiedziała Helen. – Nie zatrzyma was, ale powiedziano mi, że zadziała, jeśli ja spróbuję wyjść, zanim zostanie wezwana.

– Catarina za nic by tego nie zrobiła! – zaprotestował Simon, ale Helen wyciągnęła rękę, żeby go uciszyć.

– Nie dali jej wyboru – wyjaśniła. – Sama poprosiłam, żeby po prostu to zrobiła. To część umowy.

– To nie do pomyślenia! – Isabelle ledwie skrywała wściekłość. – Zapomnij o randce, zostaniemy tu z tobą.

Pięknie zapłonęła słusznym gniewem i Simon nagle zapragnął desperacko porwać ją w ramiona i całować do końca świata.

– W żadnym razie nie odpuściecie sobie randki – powiedziała Helen. – Nie zostaniecie tu ani sekundy dłużej. I nie przyjmuję sprzeciwu.

To dopiero wywołało prawdziwy sprzeciw, ale Helen w końcu przekonała ich, że jeśli zostanie z nimi, mając świadomość, że popsuła im dzień, będzie czuła się jeszcze gorzej, niż gdyby została sama.

– A teraz proszę, i mówię to z miłością, wynoście się stąd.

Uściskała Izzy, a potem objęła Simona.

– Nie schrzań tego – szepnęła mu do ucha, a potem wypchnęła oboje za drzwi i zamknęła je za nimi.

Przy frontowej ścieżce dwa konie skubały trawę, jakby czekały na Isabelle. Simon uznał, że pewnie tak właśnie jest – zwierzęta w Idrisie zachowywały się inaczej niż w domu, prawie jakby potrafiły zrozumieć, czego ludzie chcą, i jeśli poprosiło się je grzecznie, to były skłonne spełnić prośbę.

– To dokąd właściwie wybierzemy się na randkę? – zapytał Simon.

Nie dotarło do niego, że będą musieli konno pojechać do Alicante, ale to przecież Idris. Nie ma tu samochodów. Nie ma pociągów. Nic tylko średniowieczne i magiczne środki transportu. Simon uznał, że lepszy koń od wampirycznego motocykla. Chociaż niewiele lepszy.

Isabelle wyszczerzyła zęby w uśmiechu i wskoczyła w siodło z łatwością, z jaką wsiadałaby na motocykl. Simon zaś niezgrabnie wgramolił się, postępując i pocąc się tak, że obawiał się, że Isabelle raz na niego spojrzy i odwoła randkę.

– Jedziemy na zakupy – poinformowała go. – Czas, żebyś dostał miecz.

* * *

– To nie musi być rzeczywiście miecz – powiedziała Isabelle, kiedy weszli do „Strzały Diany”.

Jazda do Alicante była jak wyjęta ze snu albo przynajmniej tandetnego romansidła. Oni dwoje na białych ogierach, galopujący przez pola, szmaragdowe łąki i lasy w kolorze płomieni. Włosy Isabelle unosiły się za nią jak rzeka atramentu, a Simonowi udało się nie spaść z konia (nie zawsze tak to wyglądało). A co najlepsze szum wiatru i grzmot końskich kopyt były za głośne, żeby mogli rozmawiać. Póki byli w ruchu, sprawy układały się naturalnie między nimi, łatwo. Simon prawie zapomniał, że to jedna z najważniejszych chwil w jego życiu i każde jego słowo może to nieodwołalnie schrzanić. Teraz, kiedy znowu stanął na ziemi, poczuł na barkach ciężar chwili. Trudno było wymyślić jakiś ciekawy temat do rozmowy, gdy w jego mózgu rozlegały się echem ciągle te same trzy słowa:

Nie. Schrzań. Tego.

– Mają tu wszystko – mówiła Izzy, pewnie próbując zapełnić nudną ciszę, jaką fundował im otepiały mózg Simona. – Sztylety, topory, shurikeny, ach, i łuki, rzecz jasna. Wszelkiego rodzaju łuki. Świetna sprawa.

– Aha – przytaknął słabo Simon. – Świetna.

W ciągu roku w Akademii nauczył się walczyć prawie tak dobrze jak każdy początkujący Nocny Łowca i potrafił posługiwać się każdą bronią, którą wymieniła. Odkrył jednak, że umiejętność posługiwania się bronią to co innego niż chęć posługiwania się nią. W czasach przed nauką na Nocnego Łowcę Simon wygłosił wiele namiętnych rozpraw na temat kontroli nad bronią palną i niczego tak bardzo nie pragnął, jak wrzucić całą broń z miasta do East River. Oczywiście broń palna to nie to samo co miecz. Uwielbiał też uczucie, jakie go ogarniało, gdy wypuszczał strzałę z łuku i patrzył, jak śmiga w serce celu. Jednak sposób, w jaki Isabelle kochała swój bicz, jak Clary mówiła o swoim mieczu – jakby to byli członkowie rodziny...

Jeszcze nie przywykł do miłości, jaką Nocni Łowcy obdarzali narzędzia do zadawania śmierci.

„Strzała Diany”, sklep z bronią przy Flintlock Street w sercu Alicante, była wypełniona taką ilością narzędzi do zadawania śmierci, jakiej Simon jeszcze nie widział w jednym miejscu (to obejmowało także zbrojownię Akademii, która mogłaby zaopatrzyć w broń całą armię). O ile arsenał Akademii bardziej przypominał magazyn, gdzie miecze, sztylety i strzały zgromadzono w niedbałych stosach i stłoczono na niebezpiecznie rozchwierutanych regałach, o tyle „Strzała Diany” przypominała Simonowi elegancki sklep z biżuterią. Broń pięknie wyeksponowano, błyszczące ostrza leżały w wachlarzach na aksamicie dla pełniejszego podkreślenia ich metalicznego połysku.

– Czego więc szukacie? – Facet za ladą miał włosy obcięte na irokeza i wyblakłą koszulkę Arcade Fire. Bardziej pasował do sklepu z komiksami niż do sklepu z bronią. Simon domyślił się, że to pewnie nie jest Diana.

– Co powiesz na łuk? – zaproponowała Izzy. – Coś naprawdę spektakularnego. Odpowiedniego dla mistrza.

– Może nie aż tak spektakularnego – dodał szybko Simon. – Może coś bardziej... dyskretnego.

– Ludzie często nie doceniają tego, że trzeba mieć styl nawet w walce – powiedziała Isabelle. – Chcesz zastraszyć wroga, jeszcze zanim wykonasz pierwszy ruch.

– Nie uważasz, że mój przerażający strój wystarczy? – Simon wskazał swój T-shirt, na którym kot z anime wymiotował czymś zielonym.

Isabelle zaśmiała się litościwie, a potem spojrzała na Nie-Dianę.

– Co pan ma ze sztyletów? – zapytała. – Coś złoczonego?

– Złocenia nie są w moim stylu – wtrącił się Simon. – Ani właściwie sztylety.

– Mamy ładne miecze – zaproponował sprzedawca.

– Rzeczywiście świetnie wyglądasz z mieczem – przyznała Isabelle. – O ile dobrze pamiętam.

– Może? – Simon starał się robić wrażenie zainteresowanego tematem, ale musiała usłyszeć powątpiewanie w jego głosie.

Odwróciła się do niego.

– Zupełnie, jakbyś w ogóle nie chciał broni.

– No wiesz...

– To co tu robimy? – warknęła Isabelle.

– Bo zaproponowałeś to miejsce?

Isabelle wyglądała, jakby chciała tupnąć. Albo go pobić.

– Przepraszam, że próbuję pomóc ci stać się szanowanym Nocnym Łowcą. Zapomnij. Możemy iść.

– Nie! – zaprotestował szybko. – Nie to miałem na myśli.

Przy Isabelle często miał co innego na myśli. Simon zawsze uważał się za człowieka słów, a nie czynów. Albo mieczy, skoro o tym mowa. Matka lubiła mawiać, że potrafi ją przekonać do prawie wszystkiego. Isabelle zaś najwyraźniej potrafił tylko zniechęcić.

– Dam wam chwilę, żebyście się spokojnie rozejrzeli – zaproponował sprzedawca i szybko wycofał się z niezręcznej sytuacji.

Zniknął na zapleczu.

– Przepraszam – powiedział Simon. – Zostańmy, proszę. Pewnie, że chcę, żebyś mi pomogła coś wybrać.

Westchnęła.

– Nie, to ja przepraszam. Wybór pierwszej broni to bardzo osobista sprawa. Rozumiem. Nie śpiesz się, rozejrzyj się, a ja się przymknę.

– Nie chcę, żebyś się zamykała.

Mimo to Isabelle pokręciła głową i zacisnęła usta, udając, że zamyka je kluczykiem. A potem podniosła dwa palce – słowo harcerza. To nie było w stylu Nocnego Łowcy i Simon zastanawiał się, kto ją tego nauczył.

Zastanawiał się, czy nie on sam.

Czasem nienawidził tamtego Simona i wszystkiego, co tamten dzielił z Isabelle, a czego obecny Simon nie rozumiał. Konkurowanie z samym sobą było dziwne i przyprawiało o ból głowy.

Myszkowali po sklepie, rozważając różne opcje: broń drzewcową, rytualne sztylety athame, ostrza serafickie, pięknie zdobione kusze, czakramy, noże do rzucania, całą wystawę złotych biczów, nad którymi Isabelle prawie zaczęła się ślinić.

Cisza była uciążliwa. Simon nigdy nie zaliczył udanej randki – a przynajmniej żadnej takiej nie pamiętał – ale był przekonany, że dobre randki zwykle obejmują rozmowę.

– Biedna Helen – powiedział, sprawdzając ciężar i wyważenie miecza, który wyglądał jak średniowieczna broń. Przynajmniej to był temat, w którym na pewno są zgodni.

– Nie mogę znieść tego, co jej robią – powiedziała Isabelle. Głaskała niebezpiecznie wyglądający srebrny kindżał, jakby to był szczeniak. – Jak było w klasie? Tak źle, jak sobie wyobrażam?

– Gorzej – przyznał Simon. – Wyraz jej twarzy, kiedy opowiadała o swoich rodzicach...

Isabelle mocniej zacisnęła dłoń na kindżale.

– Dlaczego nie dostrzegają tego, jak potwornie ją traktują? Ona nie jest faerie.

– Ale nie w tym rzecz, prawda?

Isabelle ostrożnie odłożyła kindżał do aksamitnego futerału.

– Co masz na myśli?

– To czy ona jest faerie, czy nie. To nie ma znaczenia.

Przyszpiliła go płomiennym wzrokiem.

– Helen Blackthorn jest Nocnym Łowcą – warknęła. – Mark Blackthorn jest Nocnym Łowcą. Jeśli nie zgadzamy się w tej kwestii, to mamy problem.

– Oczywiście, że się zgadzamy.

Jeszcze bardziej ją kochał, kiedy widział, z jakim gniewem

bronila swoich przyjaciół. Dlaczego nie potrafił jej tego powiedzieć? Dlaczego to zawsze było takie trudne?

– Są tak samo Nocnymi Łowcami jak ty. Miałem tylko na myśli to, że nawet gdyby nie byli, gdybyśmy mówili o prawdziwej faerie, nadal nie powinno się jej traktować w taki sposób. Jakby była wrogiem z racji tego, kim jest, prawda?

– No wiesz...

Simon się zdumiał.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że może wszystkie faerie są potencjalnym wrogiem. Popatrz, co z nami zrobiły. Popatrz, ile cierpienia przysporzyły.

– Nie wszystkie przysporzyły, ale wszystkie za to płacą.

Isabelle westchnęła.

– Słuchaj, mnie też nie podoba się Zimny Pokój. Masz rację, nie wszystkie faerie są wrogiem. To oczywiste. Nie wszystkie nas zdradziły, i to nie w porządku, że wszystkie zostały ukarane. Myślisz, że tego nie wiem?

– To dobrze.

– Ale...

– Nie bardzo widzę tu miejsce na jakieś „ale” – wszedł jej w słowo Simon.

– Ale to nie jest takie proste, jak próbujesz to pokazać. Królowa Jasnego Dworu naprawdę nas zdradziła. Legion faerie naprawdę przyłączył się do Sebastiana w Mrocznej Wojnie. Mnóstwo dobrych Nocnych Łowców zginęło. Musisz rozumieć, dlaczego ludzie są wściekli. I dlaczego się boją.

„Przymknij się”, powiedział sobie Simon. Matka powiedziała mu kiedyś, że nigdy nie należy dyskutować o religii i polityce na randce. Nie bardzo wiedział, do której kategorii zaliczała się polityka Clave, ale tak czy inaczej, to było jak bronienie J.J. Abramsa przed konserwatywnymi wielbicielami Star Treka – beznadziejna sprawa.

Jednakże z jakiegoś powodu, mimo szczerych życzeń mózgu

Simona, jego usta nadal się poruszały:

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo źli albo przestraszeni jesteście, to niesprawiedliwe karać wszystkie faerie za błędy paru z nich. Dyskryminować ludzi...

– Nie mówię, że należy kogoś dyskryminować...

– Przeciwnie, właśnie to mówisz.

– Och, cudownie, Simon. Zatem królowa Jasnego Dworu i jej służusy mogą nas zdradzić i doprowadzić do śmierci setek Nocnych Łowców, nie wspominając już o tych, których zabili osobiście, ale to ja jestem okropną osobą?

– Nie powiedziałem, że jesteś okropną osobą.

– Ale pomyślałeś.

– Przestań mi wmawiać, co myślę, dobrze? – warknął ostrzej, niż zamierzał.

Isabelle zamknęła usta.

Odetchnęła głęboko.

On policzył do dziesięciu.

Oboje odczekali chwilę.

Kiedy Isabelle odezwała się znowu, brzmiała spokojniej, ale z jakiegoś powodu robiła wrażenie bardziej rozgniewanej.

– Powiedziałam ci już. Nie podoba mi się Zimny Pokój. Więcej nawet: nienawidzę go, skoro już musisz wiedzieć. Nie tylko z powodu tego, co robi Helen i Aline. Ponieważ jest zły. Ale... Nie mamy lepszego pomysłu. Nie chodzi o to, komu ty albo ja chcemy zaufać. Chodzi o to, komu Clave może zaufać. Nie można podpisać porozumienia z przywódcami, którzy nie chcą dotrzymywać słowa. Po prostu się nie da. Gdyby Clave chciało się zemścić... – Isabelle obrzuciła znaczącym spojrzeniem sklep, zatrzymując wzrok na różnych wystawionych broniach – ...zaufaj mi, zrobiliby to. Zimny Pokój nie dotyczy tylko faerie. Dotyczy też nas. Może mi się nie podobać, ale go rozumiem. W każdym razie lepiej niż ty. Gdybyś tam był, gdybyś wiedział...

– Byłem – odezwał się cicho Simon. – Zapomniałaś?

– Oczywiście, że pamiętam. W przeciwieństwie do ciebie. Więc to co innego. Już nie jesteś...

– Taki sam – skończył za nią.

– Nie to miałam na myśli, tylko...

– Zaufaj mi, Izzy. Nie jestem nim. Nigdy nie będę.

Isabelle wydała z siebie dziwny odgłos, coś pomiędzy syknięciem a jękiem.

– Skończysz wreszcie z tym kompleksem niższości wobec starego Simona? To się zaczyna robić nudne. Może popisziesz się trochę kreatywnością i znajdziesz nową wymówkę?

– Nową wymówkę do czego? – zapytał szczerze zdziwiony.

– Żeby ze mną nie być! – wrzasnęła. – Bo ewidentnie jakiejś szukasz. Postaraj się bardziej.

Wyszła z hukiem ze sklepu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Zadzwończyły przy tym i sprzedawca wyszedł z zaplecza.

– Och, to nadal ty – powiedział z pewnym rozczarowaniem. – Coś wybrałeś?

Simon mógłby się wtedy poddać. Mógłby przestać próbować, walczyć, dać jej odejść. To byłoby najłatwiejsze. Wystarczyło tylko, żeby na to pozwolił.

– Wybrałem już dawno temu – powiedział Simon i wybiegł ze sklepu.

Musiał odnaleźć Isabelle.

Nie było to wielkie wyzwanie. Siedziała na ławeczce po drugiej stronie ulicy z głową w dłoniach.

Simon usiadł obok niej.

– Przepraszam – powiedział cicho.

Pokręciła głową, nie podnosząc jej.

– Nie mogę uwierzyć, jaka byłam durna, myśląc, że coś z tego wyjdzie.

– Nadal może – odpowiedział z żenującą nutką desperacji w głosie. – Nadal tego chcę, jeśli ty...

– Nie mówię o tobie i o mnie, idioto. – Wreszcie podniosła

głowę. Na szczęście nie płakała. Właściwie w ogóle nie była smutna, tylko wściekła. – Ten durny pomysł z kupowaniem broni. Po raz ostatni poprosiłam Jace’a o radę na temat randki!

– Pozwoliłaś, żeby Jace zaplanował naszą randkę? – zapytał z niedowierzaniem Simon.

– W końcu żadnemu z nas nie szło to najlepiej. On zabrał tutaj Clary, żeby kupiła miecz, i okazało się to obrzydliwie seksowne, więc pomyślałam, że może...

Simon zaśmiał się z ulgą.

– Muszę ci coś wyznać: nie umawiasz się z Jace’em.

– Jasne. Obrzydliwy pomysł.

– Nie, miałem na myśli, że nie spotykasz się z facetem, który w czymkolwiek przypomina Jace’a.

– Nie wiedziałam nawet, że z kimkolwiek się spotykam – odpowiedziała lodowato.

Serce ugrzęzło Simonowi w gardle, jakby zaplątało się w drut kolczasty. Ale zaraz potem Isabelle nieco złagodniała.

– Żartuję. Prawie.

– Ulżyło mi. Prawie.

Isabelle westchnęła.

– Przepraszam za tę katastrofę.

– To nie tylko twoja wina.

– Jasne, że nie tylko moja. Nawet nie w głównej mierze.

– Ehm, myślałem, że teraz przeszliśmy do fazy przeprosin.

– Jasne. Przepraszam.

Uśmiechnął się szeroko.

– To rozumiem.

– To co teraz? Wracamy do Akademii?

– Żartujesz sobie? – Simon wstał i podał jej rękę. Stał się cud, bo ją przyjęła. – Nie poddamy się, dopóki nie zrobimy tego jak trzeba. Ale nie uda nam się, jeśli będziemy udawali Jace’a i Clary. Na tym polega cały nasz problem, prawda? Staramy się być kimś, kim nie jesteśmy? Ja nie potrafię być wyluzowanym nocnym

klubowiczem.

– Chyba nie ma czegoś takiego jak „nocny klubowicz” – odparła cierpko Isabelle.

– W tym rzecz. A ty nigdy nie zostaniesz graczem, który przez całą noc będzie dyskutował o punktach zwrotnych w fabule Naruto i walce z orkami w D&D.

– Ty zwyczajnie zmyślasz słowa.

– I żadne z nas nie będzie Jace’em i Clary...

– Bogu dzięki – powiedzieli jednocześnie i uśmiechnęli się szeroko.

– Co proponujesz? – zapytała Izzy.

– Coś nowego – powiedział Simon, gorączkowo szukając jakiegoś konkretnego i użytecznego pomysłu. Wiedział, że jest na dobrym tropie, tylko jeszcze nie znał szczegółów. – Nic z twojego ani z mojego świata. Coś z nowego świata tylko dla nas dwojga.

– Powiedz mi, że nie zamierzasz przerzucić nas w inny wymiar. Bo ostatnim razem nie skończyło się to najlepiej.

Simon wyszczerzył zęby w uśmiechu, kiedy doznał olśnienia.

– Może znajdziemy miejsce nieco bliżej domu...

* * *

Słońce zniknęło za horyzontem, a chmury przybrały kolor różowej waty cukrowej. Ich odbicia płonęły na krystalicznych wodach jeziora Lyn. Konie rżały, ptaki ćwierkały, a Simon i Isabelle pogryzali orzeszki ziemne w kruchym karmelu i prażoną kukurydzę. To są odgłosy szczęścia, pomyślał Simon.

– Nadal nie powiedziałaś mi, jak znalazłeś to miejsce – powiedziała Isabelle. – Jest idealne.

Simon nie chciał przyznać, że to Jon Cartwright powiedział mu o odizolowanej zatoczce nad jeziorem z płaczącymi wierzbami i tęczą polnych kwiatów, dzięki czemu to było idealne miejsce na

romantyczny piknik. (Nawet kiedy piknik składał się z orzechów w karmelu, popcornu i garstki innych psujących zęby i zapychających tętnice przekąsek, jakie znaleźli, wyjeżdżając z Alicante). Simon, który dawno temu znudził się słuchaniem o miłosnych podbojach Jona, robił co w jego mocy, żeby go ignorować. Jednak najwyraźniej jego nieświadomość wychwyciła kilka szczegółów. Przynajmniej dość, żeby zdołał znaleźć to miejsce.

Jon Cartwright jest chwalipiętą i pajacem, i Simon będzie obstawał przy tym do śmierci.

Okazało się jednak, że ma dobry gust, jeśli idzie o romantyczne miejsca na randki.

– Odkryłem je przypadkiem – wymamrotał Simon. – Łut szczęścia.

Isabelle zapatrzyła się na niemożliwie gładką tafłę wody.

– To miejsce przypomina mi farmę Luke’a – powiedziała cicho.

– Mnie też.

W tamtym drugim życiu, które ledwie pamiętał, on i Clary spędzili wiele długich, szczęśliwych dni w letnim domku Luke’a na północy stanu. Kąpali się w jeziorze, leżeli na trawie, nazywali chmury.

Isabelle odwróciła się do niego. Leżała między nimi kurtka Simona w charakterze prowizorycznego koca piknikowego. Była mała, więc nie dzieliła ich duża odległość, gdyby Simon chciał objąć Isabelle.

A nigdy w życiu nie pragnął niczego bardziej.

– Dużo o nich myślę – powiedziała Izzy. – O farmie, o jeziorze.

– Dlaczego?

– Bo to tam omal cię nie straciłam – odpowiedziała łagodniej. – Byłam pewna, że cię stracę. Ale jednak cię odzyskałam.

Simon nie wiedział, co powiedzieć.

– To nie ma znaczenia – dodała ostrzej. – Nawet nie wiesz, o czym mówię.

– Wiem, co się tam wydarzyło.

Simon wezwał anioła Razjela, a ten naprawdę się pojawił.

Żałował, że tego nie pamięta. Chciałby wiedzieć, jakie to uczucie rozmawiać z aniołem.

– Clary ci powiedziała – odparła beznamiętnie.

– Yhm.

Isabelle była trochę przewrażliwiona na punkcie Clary. Z pewnością wolałaby nie słuchać o czasie, jaki spędził z Clary ostatniego lata, o długich godzinach, kiedy leżeli obok siebie w Central Parku i opowiadali sobie różne historie – Simon mówił jej, co pamięta, a ona opowiadała, co naprawdę się wydarzyło.

– Ale jej tam nawet nie było.

– Wie to, co jest ważne.

Isabelle pokręciła głową. Położyła rękę na kolanie Simona. Musiał mocno wyteńczyć słuch, żeby ją słyszeć, bo nagle zaczęło mu brzęczeć w uszach.

– Skoro jej tam nie było, nie ma pojęcia, jaki byłeś odważny – powiedziała Isabelle. – Nie ma pojęcia, jak się o ciebie bałam. A właśnie to są ważne rzeczy.

Zapadła wtedy cisza. Jednak wreszcie nie była niezręczna, ale przyjemna, w której Simon słyszał, co Isabelle mówi, nawet kiedy milczała, i potrafił odpowiedzieć jej w podobny sposób.

– Jak to jest? – zapytała go. – Nie pamiętać? Być czystą kartą?

Nadal trzymała ciepłą rękę na jego kolanie.

Nigdy dotąd go o to nie pytała.

– Nie całkiem czystą – wyjaśnił, a w każdym razie próbował. – To bardziej przypomina... podwójne widzenie. Jakbym pamiętał jednocześnie dwie różne rzeczy. Czasem jedna wydaje się prawdziwsza, czasem druga. Czasem wszystko jest zamazane. Wtedy zwykle biorę advil i ucinam sobie drzemkę.

– Ale zaczynasz sobie przypominać.

– Niektóre rzeczy – przyznał. – Jordana. Pamiętam mnóstwo rzeczy na temat Jordana. Że go lubiłem. Straciłem... – Z trudem

przełknął ślinę. – Pamiętam, jak matka się przeraziła, kiedy stałem się wampirem. I parę rzeczy sprzed porwania mamy Clary. Przyjaźń z Clary przed tym wszystkim. Normalne życie na Brooklynie.

Urwał, kiedy zdał sobie sprawę, że twarz Isabelle spochmurniała.

– Jasne, Clary to pamiętasz.

– To nie tak.

– A jak?

Simon nie zastanawiał się nad tym, po prostu to zrobił.

Wziął ją za rękę, a ona nie protestowała.

Nie bardzo wiedział, jak to wyjaśnić, nadal wszystko plątało mu się w głowie, ale musiał spróbować.

– To nie tak, że to, co pamiętam, jest ważniejsze od tego, czego nie pamiętam. Czasem mam wrażenie, że to kwestia przypadku. Czasem... Sam nie wiem. Czasem mam wrażenie, że najważniejsze rzeczy najtrudniej odzyskać. Wyobraź sobie, że te wszystkie wspomnienia są zakopane jak kości dinozaura, a ja próbuję je wykopać. Niektóre leżą tuż pod powierzchnią, ale te ważne wiele mil głębiej.

– I mówisz mi, że gdzie ja jestem? Wiele mil pod powierzchnią?

Uścisnął mocno jej dłoń.

– Ty właściwie jesteś w samym stopionym jądrze ziemi.

– Ale ty jesteś dziwny.

– Staram się, jak mogę.

Splotła z nim palce.

– Jestem zazdrosna, wiesz? Czasem. Bo mogłeś zapomnieć.

– Żartujesz sobie? – Simon nawet nie był w stanie tego pojąć. – Wszystko, co masz, wszyscy ludzie w twoim życiu... Nikt nie chciałby tego stracić.

Isabelle spojrzała na jezioro i zamrugła.

– Czasem tracisz ludzi, czy tego chcesz, czy nie. Czasem to tak

boli, że łatwiej byłoby zapomnieć.

Nie musiała wypowiadać jego imienia. Simon powiedział je za nią:

– Max.

– Pamiętasz go?

Simon nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak smutno brzmi nadzieja.

Pokręcił głową.

– Ale chciałbym.

– Clary opowiedziała ci o nim. Co się z nim stało.

Skinął głową, ale Isabelle nadal wpatrywała się w jezioro.

– Zginął w Idrisie. Dlatego lubię tu czasem pobyc. Czuję się wtedy bliżej niego. A czasem wolałabym, żeby to miejsce zniknęło. Żeby nikt nigdy więcej nie mógł się tu zjawić.

– Przykro mi – powiedział Simon, myśląc, że to najbardziej beznadziejne i bezużyteczne słowa na świecie. – Chciałbym powiedzieć coś, żeby ci pomóc.

Spojrzała na niego.

– Już to powiedziałaś – szepnęła.

– Co?

– Po Maksie... Powiedziałaś coś. To pomogło.

– Izzy...

– Tak?

To było to, to była Ta Chwila – kiedy rozmowa ustępuje spojrzeniu, a ono nieodwracalnie prowadzi do pocałunku. Wystarczyło, żeby pochylił się lekko i poddał się chwili.

Odchylił się do tyłu.

– Może powinniśmy już wracać do szkoły.

Znowu wyrwał jej się syk wściekłego kota, a potem rzuciła w niego kawałkiem karmelu.

– Co z tobą nie tak?! – wykrzyknęła. – Bo wiem, że ze mną jest wszystko w porządku. Musiałeś oszaleć, żeby nie chcieć mnie pocałować, a jeśli to tylko durne udawanie trudnego do zdobycia,

to marnujesz czas, bo zaufaj mi, wiem kiedy facet chce mnie pocałować. A ty, Simonie Lewisie, chcesz mnie pocałować. Więc co jest grane?

– Nie wiem – przyznał i chociaż zabrzmiało to idiotycznie, była to cała prawda.

– Chodzi o tę durną utratę pamięci? Naprawdę nadal obawiasz się, że nie dorastasz do tamtej wspaniałej zapomnianej wersji siebie? Chcesz, żebym ci powiedziała, pod jakimi względami nie byłeś wspaniały? Na przykład chrapałeś.

– Nieprawda.

– Jak demon Drevak.

– To potwarz! – oburzył się Simon.

Isabelle prychnęła.

– Rzecz w tym, że powinieneś mieć to już za sobą. Myślałam, że już się zorientowałeś, że nikt nie oczekuje od ciebie, żebyś był kimś innym, niż jesteś. Że chcę tylko, żebyś był sobą. Chcę ciebie. Tego Simona. Nie dlatego tu jesteśmy? Bo ten fakt wreszcie dotarł do twojej durnej mózgownicy?

– Chyba tak.

– To czego się boisz? Bo ewidentnie czegoś się boisz.

– Skąd wiesz? – zapytał z zaciekawionym, skąd Isabelle ma taką pewność, skoro on sam nie miał pojęcia.

Uśmiechnęła się i był to ten rodzaj uśmiechu, który posyłasz komuś, kogo chcesz udusić i pocałować jednocześnie.

– Bo cię znam.

Pomyślał, żeby ją objąć, i zastanawiał się, jakie to będzie uczucie. I wtedy zdał sobie sprawę, czego się boi.

Tego uczucia, jego ogromu. Zupełnie jakby patrzył prosto w słońce. Jakby spadał prosto w słońce.

– Że się zatracę – powiedział.

– Co?

– Tego się boję: że się w tym zatracę. Przez cały rok próbowałem się odnaleźć, zorientować się, kim jestem, a teraz

zjawiasz się ty i to wszechpożerające, przerażające uczucie w rodzaju czarnej dziury. Jeśli mu się poddam... Mam wrażenie, że stoję na krawędzi Wielkiego Kanionu, rozumiesz? Przed czymś głębszym, niż ludzki umysł jest w stanie ogarnąć. I mam po prostu... skoczyć?

Czekał nerwowo na jej reakcję, podejrzewając, że dziewczyny pewnie nie lubią, kiedy facet się przyznaje, że się ich boi. Dziewczyny takie jak Izzy nie lubiły, kiedy facet przyznawał, że w ogóle czegośkolwiek się boi. Jej nic nie przerażało; zasługiwała na kogoś dzielnego.

– To wszystko? – Rozpromieniła się. – Simon, a nie pomyślałeś, że ja też się tego boję? Nie ty jeden stoisz na krawędzi. Jeśli skoczmy, skoczmy razem. I razem spadniemy.

Simon tyle czasu spędził, próbując pozbiierać kawałki siebie i złożyć je z powrotem w całość. Jednak ostatni kawałek, ten najważniejszy, leżał przez cały czas tuż pod jego nosem. Czy jedynie zatracając się w Izzy, mógł wreszcie odnaleźć siebie?

Czy to możliwe, że wreszcie trafił do domu?

Dość kiepskich metafor, powiedział sobie. Dość zwlekania.

Dość obaw.

Przestał myśleć o osobie, którą był, i o związku, który kiedyś ich łączył; przestał myśleć o tym, czy coś schrzani i dlaczego mógł tego pragnąć; przestał myśleć o demonicznej amnezji, Akademii Nocnych Łowców, faerie, Mrocznej Wojnie, polityce, pracy domowej i nieuregulowanym handlu śmiercionośnie ostrymi przedmiotami.

Przestał się zastanawiać, co może się stać i co może pójść nie tak.

Wziął ją w ramiona i pocałował. Całował ją tak, jak tego pragnął, odkąd pierwszy raz ją ujrzał, całował ją nie jak bohater z romansu albo Nocny Łowca, czy jakaś wyimaginowana postać z przeszłości, ale jak Simon Lewis całujący dziewczynę, którą kocha jak nic innego na świecie. To rzeczywiście przypominało

wpadanie w słońce, wspólne spadanie z sercami płonącymi bladym ogniem i Simon wiedział, że nigdy nie przestanie spadać, wiedział, że teraz, kiedy znowu ją pochwycił, nigdy jej nie wypuści.

Prawdziwy związek dusz nie zna przeszkód, ale obłapujące się nastolatki znają je aż za dobrze. Zwłaszcza kiedy jedno z tych nastolatków jest uczniem w Akademii Nocnych Łowców, ma odrobić pracę domową i musi wrócić do internatu na czas, a drugie to wojowniczką, która z samego rana musi zasadzić się na demona.

Gdyby to zależało tylko od Simona, spędziłby następny tydzień, a najchętniej następną wieczność zaplątany w Izzy na trawie, słuchając, jak jezioro pluszcze o brzeg, zatracając się w dotyku jej palców i smaku jej ust. A tak poświęcił temu dwie pamiętne godziny, a potem pogalopował na złamanie karku do Akademii i przez kolejną godzinę całował się na pożegnanie, zanim pozwolił Isabelle wskoczyć do Bramy, gdy już obiecała wrócić najszybciej jak to możliwe.

* * *

Musiał poczekać do następnego dnia, żeby podziękować Helen Blackthorn za pomoc. Zastał ją akurat, kiedy pakowała się przed odjazdem.

– Widzę, że randka się udała – powiedziała, gdy tylko otworzyła drzwi.

– Skąd wiesz?

Helen się uśmiechnęła.

– Promieniejesz jak radioaktywny.

Simon podziękował za przekazanie wiadomości od Izzy i wręczył jej torebkę ciasteczek, które wyłudził ze stołówki. To była jedyna rzecz w Akademii, która naprawdę dobrze

smakowała.

– Uznaj to za pierwszą skromną ratę spłaty długu, który u ciebie zaciągnąłem – powiedział.

– Nic mi nie jesteś winien. Jeśli jednak naprawdę chcesz mi się odplacić, to przyjdź na ślub. Możesz być osobą towarzyszącą Izzy.

– Za nic w świecie bym tego nie przegapił – zapewnił ją. – To kiedy nadejdzie ten wielki dzień?

– Pierwszego grudnia – odpowiedziała z drzeniem w głosie. – Prawdopodobnie.

– Może wcześniej?

– Może w ogóle – przyznała.

– Co? Chyba ty i Aline nie zrywacie ze sobą?! – Simon powstrzymał się, przypominając sobie, że mówi do kogoś, kogo prawie nie zna. Nie mógł rozkazać jej, by wybrała szczęśliwe zakończenie, bo nagle on sam zakochał się w miłości. – Przepraszam, to nie moja sprawa, ale... Po co przyjeżdżałabyś taki kawał drogi i zносиła to wszystko, skoro nie chcesz jej poślubić?

– Pewnie, że chcę ją poślubić. Niczego bardziej nie pragnę. Po prostu pobyt tutaj sprawił, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie jestem egoistyczna.

– Jak małżeństwo z Aline może być egoistyczne? – zapytał Simon.

– Spójrz na moje życie! – Helen wybuchła całym gniewem, jaki zebrał się w niej w ciągu tego dnia, a może tego roku. – Patrzą na mnie jak na dziwadło. A to są ci życzliwi, którzy nie uważają mnie za wroga. Aline już utknęła przeze mnie na tej zapomnianej przez Boga wyspie. Czy ma tak cierpieć przez resztę życia? Bo popełniła ten błąd i mnie pokochała? Na kogo bym wtedy wyszła?

– Nie możesz uważać, że to twoja wina.

Nie znał jej za dobrze, ale jej słowa nie brzmiały sensownie. Nie robiły wrażenia czegoś, w co mogłaby wierzyć, co naprawdę mogłaby powiedzieć.

– Profesor Mayhew powiedział, że jeśli naprawdę ją kocham, powinnam ją opuścić – przyznała Helen. – Zamiast wciągać ją ze sobą w ten koszmar. To, że tak się jej trzymam, tylko dowodzi, że jestem bardziej faerie, niż myślę.

– Profesor Mayhew to troll – odparł Simon i zastanowił się, czego trzeba, żeby przekonać Catarinę Loss, by zamieniła go w prawdziwego trolla. Albo ropuchę lub jaszczurkę. Coś, co odpowiadałoby jego gadziej duszy. – Jeśli naprawdę ją kochasz, zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby się jej trzymać. I właśnie to robisz. Poza tym zakładasz, że gdybyś spróbowała z nią zerwać dla jej własnego dobra, ona by ci na to pozwoliła. Z tego co słyszałem o Aline, wydaje mi się to mało prawdopodobne.

– Fakt – przyznała z czułością Helen – walczyłyby ze mną zażarcie.

– Więc czemu nie przeskoczyć od razu do nieuniknionego? Pogódź się z tym, że jesteś na nią skazana. Na miłość swojego życia. Biedactwo.

Helen westchnęła.

– Isabelle powtórzyła mi, co mówiłeś na temat faerie. Że twoim zdaniem to złe, że są dyskryminowane. Że mogą być dobre, tak samo jak inni.

Nie rozumiał, do czego Helen zmierza, ale nie żałował, że ma okazję potwierdzić swoje słowa.

– Miała rację, rzeczywiście tak myślę.

– Isabelle też w to wierzy, wiesz? – powiedziała Helen. – Robi, co w jej mocy, żeby mnie przekonać.

– Co masz na myśli? – zdumiał się Simon. – Dlaczego akurat ciebie trzeba przekonywać?

Helen splotła palce.

– Wiesz, nie chciałam przyjeżdżać tutaj, żeby opowiadać zgrai dzieciaków o mojej matce i ojcu. Nie zrobiłabym tego z własnej woli. Ale też niczego nie zmyśliłam. Taka była moja matka i taka

jest połowa mnie.

– Helen, nieprawda...

– Znasz wiersz „La Belle Dame Sans Merci”?

Simon pokręcił głową. Jedyna poezja, jaką znał, to wierszyki dr Seussa i utwory Boba Dylana.

– To wiersz Keatsa – powiedziała i wyrecytowała mu kilka zwrotek z pamięci.

*Zabrała mnie do elfów groty.
Wzdycha i wzrokiem za mną toczy.
Do snu zamknęłam pocałunkiem
Jej smutne, dzikie oczy.*

*Śniliśmy razem na mchach miękkich.
Ach biada! sen mój był jak burza.
Ostatni sen to, który śniłem
Na chłodnym stoku wzgórza.*

*Widziałem książąt i rycerzy
Błdych jak śmierć – ta bladość boli.
Wołali: La belle Dame sans merci
Ma oto cię w niewoli[3].*

– Keats pisał o faerie? – zdumiał się Simon.

Gdyby omawiali to na zajęciach z angielskiego, może bardziej by uważał.

– Mój ojciec kiedyś ciągle recytował ten wiersz – powiedziała Helen. – To był jego sposób powiedzenia mnie i Markowi, skąd się wywodzimy.

– Recytował wam wiersz o złej elfiej królowej, która uwodzi mężczyzn, by sprowadzić na nich śmierć, żeby opowiedzieć wam o matce? Wielokrotnie? – Simon nie wierzył własnym uszom. –

Bez urazy, ale to dość... brutalne.

– Ojciec kochał nas mimo naszego pochodzenia – powiedziała Helen jak ktoś, kto próbuje sam siebie przekonać. – Jednak zawsze miałam wrażenie, że pewną część siebie ukrywa, zachowuje dystans. Jakby czekał, aż dostrzeże we mnie Nerisę. Inaczej było z Markiem, bo to chłopiec. Jednak dziewczynki są podobne do matek, prawda?

– Nie bardzo wiem, czy to logiczne z punktu widzenia naukowego.

– To samo powiedział Mark. Zawsze mi mówił, że faerie nie mają władzy nad nami ani naszą naturą. Próbowałam mu wierzyć, ale kiedy go zabrano... Kiedy Inkwizytor opowiedział mi historię o mojej rodzonej matce... Zastanawiam się... – Helen zapatrzyła się w dal, poza ściany celi więziennej udającej dom, zagubiona we własnych lękach. – A jeśli wabię Aline na chłodny stok wzgórza? A jeśli potrzeba niszczenia, posługiwania się miłością jak bronią ukrywa się gdzieś we mnie, a ja nawet o tym nie wiem? Dar od mojej matki.

– Posłuchaj, na dobrą sprawę nic nie wiem na temat faerie. Nie wiem, jak to było z twoją matką ani co to znaczy być w połowie jednym, a w połowie czymś innym. Wiem jednak, że krew cię nie definiuje. Definiują cię twoje wybory. Jeśli czegoś nauczyłem się w ciągu tego roku, to właśnie tego. Wiem też, że kochanie kogoś, nawet kiedy to przerażające i ma swoje konsekwencje, nigdy nie jest czymś niewłaściwym. Kochanie kogoś to przeciwieństwo do ranienia kogoś.

Helen uśmiechnęła się do Simona. Oczy jej się zaszklily od łez.

– Przez wzgląd na nas oboje mam nadzieję, że masz rację.

W Krainie pod Wzgórzem, Dawno Temu...

Pewnego razu była sobie piękna pani z Jasnego Dworu, która straciła serce dla syna anioła.

Pewnego razu dwóch chłopców przybyło do krainy Faerie, szlachetni i śmiali bracia. Jeden dostrzegł piękną panią i rażony jej urodą jak gromem poprzysiągł jej miłość. Przysiągł jej, że zostanie. Tym chłopcem był Andrew. Jego brat Arthur nigdy go nie opuścił.

I tak chłopcy zostali pod wzgórzem, Andrew kochała panią, a Arthur nią gardził.

Pani trzymała chłopca przy sobie, trzymała piękne stworzenie, które przysięgło jej wierność, a kiedy jej siostra przyszła po drugiego chłopca, pani pozwoliła go zabrać, bo był niczym.

Założyła na szyję Andrew srebrny łańcuszek, symbol jej miłości i nauczyła go zwyczajów jej ludu. Tańczyła z nim na ucztach pod gwieździstym niebem. Karmiła go blaskiem księżyca i pokazywała mu, jak zatracać się w dzikości.

Czasem nocami słyszeli krzyki Andrew, ale powiedziała mu, że to cierpiące zwierzę, a cierpienie leży w naturze zwierzęcia.

Nie kłamała, bo nie mogła kłamać.

Ludzie to zwierzęta.

Cierpienie leży w ich naturze.

Przez siedem lat żyli w radości. Miała jego serce, a on miał jej serce, a gdzieś w oddali Arthur krzyczał i krzyczał. Andrew o tym nie wiedział, pani się o to nie troszczyła; żyli więc szczęśliwie.

Aż pewnego dnia Andrew poznał prawdę dotyczącą jego brata.

Pani myślała, że jej kochanek oszaleje z żalu i poczucia winy. A ponieważ kochała chłopca, utkała dla niego historię pełną zwodniczych prawd, w którą chciał uwierzyć. Że zaczarowała go, by ją pokochał; że był tylko niewolnikiem; że siedem lat miłości było kłamstwem.

Pani uwolniła niepotrzebnego brata i pozwoliła mu wierzyć, że sam się wyzwolił.

Pozwoliła, żeby ją zaatakował, i pozwoliła mu wierzyć, że ją

zabił.

Pani zezwoliła, żeby kochanek wyrzekł się jej i uciekł.

Patrzyła na ukryte owoce ich miłości, całowała je i próbowała kochać, ale były tylko fragmentem jej chłopca. A ona chciała go mieć całego albo nie mieć nic.

Jak dała mu jego historię, tak samo oddała mu dzieci.

Nie miała już po co żyć, więc przestała żyć.

Oto historia, jaką pozostawiła po sobie, a której jej kochanek nigdy nie pozna. Historia, której nigdy nie pozna jej córka.

Oto jak kochają faerie: całym ciałem i duszą. Oto jak kochają faerie: niszcząc.

„Kocham cię”, powtarzała mu co noc przez siedem lat. Faerie nie potrafią kłamać, a on to wiedział.

„Kocham cię”, odpowiadał jej co noc przez siedem lat. Ludzie potrafią kłamać, więc pozwoliła mu wierzyć, że ją okłamywał, pozwoliła uwierzyć w to jego bratu i jego dzieciom, i umarła, mając nadzieję, że na zawsze w to uwierzą.

Oto jak kochają faerie – obdarzając.

Gorycz w ustach

Cassandra Clare i Sarah Rees Brennan



DLACZEGO
WIĘC WYCZUWAM
NA NASZEJ ZIEMI
NOCNYCH ŁOWCÓW,
KTÓRZY POWINNI
PRZED NAMI
ODPOWIEDZIEĆ?

MAM
ICH
ZAPYTAĆ,
CO
KNUJĄ?

NICZEGO
NIE WIDZĘ.

I TO NIC
POWINNO
ODEJŚĆ.
JUŻ.

Słońce świeciło, ptaki śpiewały i trwał piękny dzień w Akademii Nocnych Łowców.

W każdym razie Simon był przekonany, że słońce świeci. W powietrzu w podziemnej komnacie jego i George'a dostrzegało się delikatną poświatę, która rzucała przyjemny blask na pokrywający ściany zielony szlam.

I oczywiście nie mógł też słyszeć ptaków w podziemnym pokoju, ale George wrócił właśnie spod prysznic, podśpiewując.

– Dzień dobry, Si! Widziałem szczura w łazience, ale drzemał, więc sobie nie przeszkadzaliśmy.

– Albo szczur zdechł na bardzo zaraźliwą chorobę, która teraz przeniknęła do naszej wody – odparł Simon. – Teraz być może przez tydzień będziemy pili skażoną szczurzą zarazą wodę.

– Nikt nie lubi Ponurego Piotrusia – zbeształ go George. – Nikt nie lubi Smętnego Simona. Nikt nie szuka tu Złowieszczygo Zyzia. Nikt nie ma ochoty zadawać się z...

– Wyczuwam już generalny ton twojej wypowiedzi, George – odparł Simon. – I zdecydowanie nie życzę sobie, żeby nazywano mnie Złowieszczym Zyziem. Zwłaszcza że czuję, że w tej chwili jestem Znośnie Pogodnym Zyziem. Widzę, że nie możesz się doczekać swojego wielkiego dnia?

– Weź prysznic – nalegał George. – Zaczynaj dzień odświeżony. Może ułoż trochę włosy. To cię nie zabije.

Simon pokręcił głową.

– W łazience leży zdechły szczur. Nie pójdę tam.

– Nie zdechł, tylko sobie śpi. Jestem tego pewien.

– Nedorzeczny optymizm, oto od czego zaczynają się zarazy – odparł Simon. – Zapytaj średniowiecznych chłopów w Europie.

Och, czekaj, nie możesz.

– To była wesoła gromadka? – zapytał sceptycznie George.

– Na pewno była weselsza przed zarazą.

Czuł, że jego słowa mają sens i w dodatku mają poparcie w historii. Zdjął koszulkę, w której spał, ozdobioną napisem „Zwalczmy!” i drobnym dopiskiem pod spodem „naszego wroga cwaną argumentacją”. George uderzył go w plecy mokrym ręcznikiem i Simon aż krzyknął.

Simon uśmiechnął się szeroko, wyciągając strój bojowy z szafy. Mieli zacząć zaraz po śniadaniu, więc równie dobrze mógł się od razu przebrać. Poza tym każdy dzień noszenia męskiego stroju bojowego był zwycięstwem.

Poszedł z George’em na śniadanie pogodzony z całym światem.

– Wiesz co? Ta owsianka nie jest taka zła – powiedział Simon, zajadając.

George entuzjastycznie pokiwał głową, bo miał pełne usta.

Beatriz spojrzała na nich smutno, pewnie zmartwiona tym, że chłopcy generalnie są strasznie głupi.

– To nie jest owsianka – powiedziała im. – To jajecznica.

– Och, nie – szepnął George. Nadal miał pełne usta, a w jego głosie rozbrzmiewał straszliwy smutek. – Och, nie.

Simon upuścił łyżkę i spojrzał ze zgrozą w głębię swojej miski.

– Jeśli to jest jajecznica... – zaczął. – A nie sprzeczam się z tobą, ale tylko chcę zadać pytanie, które wydaje mi się bardzo rozsądne... Jeśli to jest jajecznica, to dlaczego jest szara?

Beatriz wzruszyła ramionami i powróciła do jedzenia, ostrożnie omijając grudki.

– A któż to wie?

Można by z tego zrobić piosenkę, pomyślał Simon. „Jeśli to jajka, to czemu są szare? Kto wie, kto wie?”. Nadal łapał się na tym, że wymyśla teksty piosenek, chociaż wyleciał już z zespołu.

Trzeba było przyznać, że kawałek „Dlaczego jajka są szare”

mógłby nie okazać się przebojem nawet w kręgach hipsterskich.

Julie postawiła swoją miskę na stole obok Beatriz.

– Jajka są szare – oznajmiła. – Nie wiem, jak oni to robią. Przecież do tej pory powinno już czasem udawać im się zrobić coś do jedzenia jak należy. Ale żeby tak codziennie, przez ponad rok? Ta Akademia jest przeklęta?

– Tak właśnie sobie myślałem – przyznał szczerze George. – Słyszę czasem upiorne stukanie, jakby duchy potrząsały straszliwymi łańcuchami. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że Akademia jest przeklęta, bo inaczej to znaczy, że coś żyje w rurach. – George zadygotał. – Jakieś stworzenia.

Julie usiadła. George i Simon wymienili się ukradkiem zadowolonymi spojrzeniami. Odnotowywali sobie, jak często Julie wolała siadać z ich trójką zamiast z Jonem Cartwrightem. Ostatnio wygrywali – wybierała ich sześć razy na dziesięć.

To, że Julie zdecydowała się usiąść z nimi, to dobry znak, bo to był wielki dzień George'a.

Teraz, kiedy uczyli się na Nocnych Łowców już drugi rok i jak to ujął Scarsbury, „nie byli już totalnie beznadziejni i skłonni obciąć samym sobie pusty łeb”, otrzymywali własne nieco ważniejsze misje. Każdej misji wyznaczano przywódcę grupy, który dostawał dwa razy więcej punktów, jeśli misja zakończyła się sukcesem. Julie, Beatriz, Simon i Jon już byli przywódcami i świetnie sobie poradzili – misję wypełniono, demony zabito, ludzi uratowano, łamiących Prawo Podziemnych ukarano surowo, lecz sprawiedliwie. Pod pewnymi względami szkoda, że misja Jona poszła tak dobrze, bo przechwalał się z tego powodu tygodniami, ale nic na to nie mogli poradzić. Jesteśmy zwyczajnie za dobrzy, pomyślał Simon, pukając w drewniany stół, żeby nie zapeszyć. Nie mogli zawieść.

– Denerwujesz się, przywódczo? – zapytała Julie.

Simon musiał przyznać, że nie zawsze była najmilszym kompanem.

– Nie – odpowiedział George, a pod świdrującym spojrzeniem Julie przyznał: – Może. Tak. Wiesz, denerwuję się tyle, ile należy, ale w wyluzowany, pozbierany sposób jak ktoś, kto radzi sobie z presją.

– Tylko się nam nie posyp – przestrzegła go Julie. – Chcę mieć idealny wynik.

Zapadło krępujące milczenie. Simon pocieszył się, zerkając na stolik Jona. Kiedy Julie go porzuciła, Jon musiał jadać samotnie. Chyba że Marisol uznawała, że chce z nim usiąść, żeby go podręczyć. I właśnie dzisiaj się na to zdecydowała. Mała diablica. Była przezabawna. Jon wykonywał gwałtowne gesty, domagając się pomocy, ale Julie siedziała do niego tyłem i niczego nie widziała.

– Nie mówię tego, żeby cię nastraszyć, George – dodała. – Chociaż to dodatkowa korzyść, rzecz jasna. To ważna misja. Wiesz, że faerie to najgorszy rodzaj Podziemnych. Faerie, które przemykają się do świata Przyziemnych i podstępem kuszą tych biedaków, żeby zjadły owoc z Faerie, to nie żart. Przyziemni mogą osłabnąć i umrzeć po zjedzeniu owocu. To morderstwo i w dodatku takie, za które rzadko możemy je dopaść, bo zanim Przyziemny umrze, faerie już dawno znikają. Traktujesz tę sprawę poważnie, prawda?

– Tak – odpowiedział George. – Naprawdę wiem, że morderstwo to coś złego, Julie.

Cała jej twarz ściągnęła się w niepokojący sposób, jak to czasem jej się zdarzało.

– Pamiętaj, że to ty omal nie schrzaniłeś mojej misji.

– Zawahałem się nieco, czy rzucić się na to wampirze dziecko – przyznał George.

– Właśnie. Żadnego więcej wahania. Jako nasz przywódca musisz wykazać się inicjatywą. Nie mówię, że jesteś kiepski. Mówię tylko, że musisz się uczyć.

– Wątpię, żeby ktokolwiek potrzebował takich przemów

motywacyjnych – powiedziała Beatriz. – To każdego by przeraziło. A George’a i bez tego łatwo nastraszyć.

George, który przez chwilę był wzruszony pełną galanterii obroną ze strony Beatriz, nie wyglądał już na wzruszonego.

– Uważam tylko, że czasem powinni powtarzać wybór przywódcy – burknęła Julie, zdradzając, skąd się wzięła cała jej wrogość. Dźgnęła ze złością jajka. – Byłam świetnym przywódcą.

Simon uniósł brwi.

– Trzymałaś batog i groziłaś, że uderzysz mnie w głowę i twarz, jeśli nie zrobię tego, co mi każesz.

Julie wskazała go łyżką.

– Właśnie. I zrobiłaś, co ci kazałam. To się nazywa dowodzenie. Co więcej, wcale cię nie uderzyłam. Życzliwa, ale stanowcza, cała ja.

Julie omówiła potem z detalami własną wspaniałość. Simon wstał po następną szklanekę soku.

– Co to za sok? – zapytała Catarina Loss, stając razem z nim w kolejce.

– Owocowy. Po prostu owocowy. Tylko tyle mi powiedzieli. Ja też uznałem to za podejrzanę.

– Lubię owoce – powiedziała Catarina, ale nie mówiła tego z przekonaniem. – Wiem, że jesteś zwolniony z moich zajęć po południu. Co planujesz rano?

– Misję mającą na celu powstrzymanie faerie przed przekraczaniem granic i prowadzeniem nielegalnego handlu. George dowodzi grupą.

– George dowodzi grupą? Hm...

– Dlaczego wszyscy tak się krzywią dzisiaj na George’a? – zapytał Simon. – Co z nim nie tak? Przecież wszystko jest w porządku. Nie ma żadnych wad. To idealny szkocki anioł. Zawsze dzieli się przysmakami, które przysyła mu matka, i jest przystojniejszy od Jace’a. No dobra, powiedziałem to. I nie cofnę moich słów.

– Widzę, że jesteś w dobrym nastroju – powiedziała Catarina. – Zatem w porządku. Idź i baw się dobrze. Zaopiekuj się moim ulubionym uczniem.

– Jasne. Chwilkę, a który to?

Catarina machnęła na niego ręką, w której trzymała nieokreślony sok.

– Zmiataj, Chodzący za Dnia.

Wszyscy inni ogromnie ekscytowali się misją. Simon też się do niej palił i cieszył się ze względu na George'a. Najbardziej jednak cieszył się tym, że po misji był umówiony w jeszcze innym miejscu.

* * *

Faerie widziano ostatnio na wrzosowiskach w Devonie. Simon ekscytował się, że się tam przeniesie, i miał nadzieję, że będzie czas, żeby zobaczyć czerwone skrzynki pocztowe i napić się piwa w angielskim pubie.

Niestety wrzosowisko okazało się ogromną, nierówną połącją pól, kamieni i wzgórz, bez czerwonych skrzynek pocztowych i urokliwych pubów w zasięgu wzroku. Natychmiast dostali konie od kontaktu obdarzonego Widzeniem, który już na nich czekał.

Mnóstwo pól i mnóstwo koni. Simon zastanawiał się, po co w ogóle opuszczali Akademię, bo oba miejsca były identyczne.

Pierwsze słowa, jakie wypowiedział George, kiedy jechali przez wrzosowisko, brzmiały:

– Myślę, że dobrym pomysłem byłoby rozdzielenie się.

– Jak... w horrorze? – zapytał Simon.

Julie, Beatriz i Jon spojrzeli na niego poirytowani, nic nie rozumiejąc. Niepewny wyraz twarzy Marisol sugerował, że zgadza się z Simonem, ale nie odezwała się, a Simon nie chciał

być tym, który zbuntuje się pod dowództwem przyjaciela. Zbadają większy obszar wrzosowisk, kiedy się rozdziela. Może to dobry pomysł. Więcej wrzosowisk! To nie mogła być zła decyzja, prawda?

– Ja będę w parze z Jonem – zapowiedziała natychmiast Marisol z błyskiem w ciemnych oczach. – Chciałabym kontynuować naszą rozmowę zaczęłą przy śniadaniu. Mam mu wiele więcej rzeczy do powiedzenia na temat gier wideo.

– Nie chcę słuchać niczego więcej na temat gier wideo! – warknął Jon, Nocny Łowca, który wpadł w koszmar zalewu informacji o Przyziemnych.

Marisol się uśmiechnęła.

– Wiem.

Marisol dopiero co skończyła piętnaście lat. Simon nie bardzo wiedział, jak wpadła na to, że opowiadanie Jonowi ze wszystkimi szczegółami o świecie Przyziemnych okaże się tak skutecznym narzędziem zadawania psychologicznych tortur. W ciągu roku od dnia, kiedy ją poznał, stawała się coraz straszniejsza. Simon bardzo to szanował.

– A ja zostaję z Si – rzucił beztrąsko George.

– Ehm – mruknął Simon.

Ani on, ani George nie byli jeszcze Nocnymi Łowcami i chociaż Catarina pomogła im przenikać wzrokiem czary ochronne, żaden Przyziemny... Ehm, to znaczy nikt, kto nie jest jeszcze Nocnym Łowcą, nie miał takiej ochrony przed urokami faerie jak Nefilim. Jednak Simon nie chciał podważać autorytetu George'a ani sugerować, że nie chce być jego partnerem. Poza tym bycie partnerem Julie było przerażające i groziło biciem po głowie i twarzy.

– Super – dokończył słabo Simon. – Może podzielimy się, ale też zostaniemy... w zasięgu słuchu?

– Chcesz się podzielić i trzymać się razem? – spytał Jon. – Rozumiesz, co znaczą te słowa?

– A wiesz co znaczą słowa „World of Warcraft”? – zapytała groźnie Marisol.

– Każde z osobna owszem, ale co znaczą w tym zestawieniu nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Popędził konia. Marisol rzuciła się za nim w pościg. Simon zapatrzył się w potylicę Jona, martwiąc się, że za bardzo się oddali.

Tyle że o to właśnie chodziło w pomyśle z rozdzieleniem się. Zatem wszystko było w porządku.

George rozejrzał się po pozostałych członkach grupy i podjął decyzję.

– Zostaniemy w zasięgu słuchu i przeczeszemy wrzosowiska. Sprawdzimy, czy faerie czają się w miejscach, które zgłoszono w raporcie. Mogę na was liczyć?

– Możesz liczyć na mnie do samego końca, o ile to nie potrwa za długo! Wiesz, że wybieram się na ślub Helen Blackthorn i Aline Penhallow – odpowiedział Simon.

– Eh, nie cierpię ślubów – powiedział ze współczuciem George.
– Człowiek musi się ubrać jak małpa, siedzieć całe wieki, podczas gdy wszyscy nienawidzą się w głębi ducha z powodu jakiejś kłótni o przybrania z kwiatów. No i jeszcze dudy. Oczywiście nie wiem, jak wyglądają śluby Nocnych Łowców. Mają tam kwiaty? A dudy?

– Nie mogę teraz rozmawiać – powiedziała Beatriz. – Wyobrażam sobie Jace’a Herondale’a w smokingu. W mojej wyobraźni wygląda jak piękny szpieg.

– James Bond – wtrącił George. – James Bond? Nadal nie lubię tych małpich wdzianek. Ale tobie najwyraźniej to nie przeszkadza, Si.

Simon oderwał rękę od cugli, żeby z dumą wskazać siebie; jeszcze rok temu taki manewr zakończyłby się jego upadkiem z konia.

– Ta małpa jest osobą towarzyszącą Isabelle Lightwood.

Już same te słowa napełniły Simona dobrym samopoczuciem. Co mogło się nie udać w tak cudownym świecie?

Rozejrzył się po grupie. Była ich spora grupka, wszyscy nosili stroje bojowe z długimi rękawami z powodu chłodu – postaci w czerni z łukami na plecach i oddechami malującymi się obłoczkami w zimnym powietrzu, pędzące konno przez wrzosowiska z misją, mającą na celu chronić rodzaj ludzki. Miał trójkę przyjaciół u boku, Jon i Marisol galopowali w oddali. George był taki dumny z roli dowódcy. Marisol, ten miejski dzieciak pełen dezparobaty, jechała konno swobodnie i z gracją. Nawet Beatriz i Julie, nawet Jon, urodzeni Nocni Łowcy, wyglądali dla Simona trochę inaczej, teraz kiedy już wszyscy uczyli się na drugim roku w Akademii. Scarsbury ich udoskonalił, Catarina ich czegoś nauczyła, nawet inni uczniowie z Akademii na nich wpłynęli. Teraz urodzeni Nocni Łowcy jechali konno razem z Przyziemnymi i zgodnie wykonywali razem z nimi misje, a tak zwany motłoch w niczym im nie ustępował.

Wrzosowiska były pofalowaną zielenią. Liście drzew na lewo od nich dygotały, jakby drzewa tańczyły na lekkim wietrzyku. Słońce było blade i czyste, świeciło na ich głowy i czarne stroje. Simon złapał się na tym, że z czułością i dumą myśli, że rzeczywiście zapowiadają się na prawdziwych Nocnych Łowców.

Zauważył, że Beatriz i Julie, zgodnie i bez słowa ponagliły konie do szybszej jazdy. Mrużąc oczy, spojrział w dal, gdzie ledwie widział Jona i Marisol, a potem na plecy Beatriz i Julie. Znowu ogarnął go niepokój.

– Dlaczego oni wszyscy tak pędzą? – zapytał. – Nie chcę ci mówić, jak masz wykonywać swoją robotę, ale dzielny dowódco, może powiedz im, żeby nie oddalali się za bardzo.

– Daj im chwilę – powiedział George. – Przecież wiesz, że jej się podobasz.

– Co?

– Oczywiście ona nie wykona żadnego ruchu. Nikt, komu się

podobasz, na nic się nie odważy. Wiadomo, nikt nie chce, żeby Isabelle Lightwood obciąła mu głowę.

– Podobam jej się? – powtórzył Simon. – I mówisz, jakby chodziło o więcej niż jedną osobę. Kilka osób, którym się podobam.

George wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej z czasem przemawiasz do ludzi. Mnie o to nie pytaj. Myślałem, że dziewczynom podobają się ładne mięśnie brzucha.

– Mógłbym mieć ładne mięśnie brzucha – odpowiedział mu Simon. – Oglądałem się raz w lustrze i myślę, że znalazłem jeden mięsień. Mówię ci, cały ten trening dobrze robi mojemu ciału.

Oczywiście Simon nie uważał się za potwora. Widział parę demonów z mackami wychodzącymi z oczu i był przekonany, że ludziom nie robi się niedobrze na jego widok.

Nie wyglądał jednak jak Jace, na którego widok dziewczynom obracały się głowy, jakby wszystkie zostały opętane. Nie miało sensu to, żeby ze wszystkich uczennic Akademii wpadł w oko akurat Beatriz.

George przewrócił oczami. On nie rozumiał tak naprawdę powolnego nabywania krzepy. Pewnie urodził się z mięśniami brzucha jak deska. Niektórzy rodzą się z nimi, inni je zdobywają, a jeszcze innym, takim jak Simon, zostają one narzucone przez okrutnego trenera.

– Tak, Simon, prawdziwy z ciebie twardziel.

– Pomacaj moją rękę. Twarda jak skała! Nie chcę się przechwalać, ale to sama kość. Sama kość.

– Nie muszę cię macać. Wierzę ci, bo kumple sobie wierzą. I cieszę się z powodu twojej tajemniczej popularności wśród dam, bo tak robią kumple. Ale mówię serio, uważaj na Jona, bo myślę, że któregoś dnia ci przyłoży. Nie uległ twojemu nieokreślonemu choć nieodpartemu urokowi. Ma mięśnie brzucha aż po brodę i myślał, że wszystkie panny z Akademii ma

w kieszeni.

Simon jechał dalej trochę oszołomiony.

Uważał, że uczucie Isabelle do niego jest zdumiewające i niewytłumaczalne, jak trafienie przez błyskawicę. (Cudowną i odważną błyskawicę, którą miał szczęście zostać trafiony!). Jednakże w obliczu zaistniałej sytuacji zaczynał podejrzewać, że nadszedł czas przemyśleć ocenę swojej osoby.

Dowiedział się z wiarygodnego źródła, że spotykał się z Maią, przywódczynią nowojorskiej sfory wilkołaków, chociaż poinformowano go także, że kompletnie to schrząnił. Słyszał plotki o wampirzej królowej, która mogła być nim zainteresowana. Dowiedział się też, chociaż to wydawało się bardzo dziwne, że przez krótki czas umawiał się z Clary. A teraz być może podobał się Beatriz.

– Serio pytam, George, powiedz mi prawdę. Czy ja jestem piękny?

George wybuchł śmiechem, a jego koń zatoczył się w słońcu kilka kroków do tyłu.

Wtedy Julie krzyknęła:

– Faerie! – I wskazała kierunek.

Simon spojrział na postać w płaszczu i kapturze z koszem owoców przewieszonym przez rękę, która wynurzyła się jak gdyby nigdy nic z mgły za drzewem.

– Za nim! – ryknął George i pogalopował do postaci, a Simon ruszył jego śladem.

Marisol daleko z przodu krzyknęła:

– Pułapka! – I wrzasnęła z bólu.

Simon spojrział desperacko w stronę drzew. Zorientował się, że faerie miał wsparcie. Ostrzeżono ich, że po Zimnym Pokoju faerie nabrały ostrożności i są bardziej zdesperowane. Powinni byli uważniej słuchać i więcej myśleć. Powinni byli przygotować plan.

Simon, George, Julie i Beatriz pędzili co koń wyskoczy, ale

znajdowali się zbyt daleko od Marisol, która chwiała się w siodle i krew spływała jej po ręce – trafiono ją elfim grotem.

– Marisol! – krzyczał Jon Cartwright. – Marisol! Do mnie!

Podjechała do niego. Jon stanął w siodle i skoczył na jej konia. Trzymał już łuk w gotowości i zaraz zaczął strzelać w stronę drzew, stojąc na końskim grzbiecie i osłaniając Marisol jak przedziwny strzelający z łuku akrobata. Simon wiedział, że w życiu nie zdoła zrobić czegoś podobnego, dopóki nie przejdzie Wstąpienia.

Julie i Beatriz skręciły w stronę drzew, skąd strzelały ukryte faerie.

– Trafili Marisol – wydyszał George – ale nadal możemy dopaść sprzedawcę owoców.

– Nie, George... – zaczął Simon, ale tamten już skręcił w stronę zakapturzonej postaci, która teraz zniknęła we mgle za drzewem.

Włócznie słonecznego światła strzelała spomiędzy pnia i gałęzi drzewa, oślepiająca biała linia wśród zakrzywionych łuków konarów. Simon miał wrażenie, że załamuje się w jego oczach, staje się szeroka i jasna jak blask księżycy kładący się na morzu. Zakapturzona postać wymykała się, na wpół zniknęła już w blasku, a koń George'a znajdował się raptem kilka cali od niebezpieczeństwa. George wyciągał rękę, żeby złapać postać za płaszcz, nie zdając sobie sprawy, dokąd zmierza.

– Nie, George! – wrzasnęła Simon. – Nie wolno nam wkraczać do Faerie!

Skierował konia tak, żeby przeciąć mu drogę i zmusić przyjaciela do zahamowania, ale tak się skupił na powstrzymaniu go, że nie wziął pod uwagę własnego wierzchowca, który teraz przerażony uciekał galopem.

I wtedy białe oślepiające światło wypełniło oczy Simona. Przypomnił sobie nagle uczucie, jakie towarzyszy wpadaniu do Faerie, wilgoć na skórze, sadzawkę napełnioną wodą. Pamiętał, że Jace był dla niego dobry, a on miał mu to bardzo za złe, myślał

„Nie zawstydzaj mnie bardziej”, gdy pierś płonęła mu urazą.

Teraz koziółkował prosto do Faerie, wrzask przerażonego konia wypełniał mu uszy, liście go oślepiały, gałęzie drapały po twarzy i rękach. Próbował osłonić oczy i odkrył, że padł na kamienie i kości, otacza go ciemność. Cieszyłby się, gdyby towarzyszył mu teraz Jace.

* * *

Simon obudził się w krainie Faerie. Ból pulsował mu w czaszce, jak boli kciuk, kiedy przywalisz w niego młotem. Miał nadzieję, że nikt nie uderzył go w głowę młotem.

Obudził się w delikatnie kołyszącym się łóżku i poczuł delikatne kłucie pod policzkiem. Otworzył oczy i zobaczył, że nie znajduje się w łóżku, ale leży wśród gałązek i mchu rozrzuconych na chwiejnej konstrukcji z drewnianych listewek. Przed oczami miał dziwne pasy ciemności przesłaniające mu dalszy widok.

Kraina wyglądała niemal jak wrzosowiska w Devonie, a zarazem zupełnie inaczej. Mgły w oddali były fioletowawe jak chmury burzowe, które uczepliły się ziemi, a w chmurze było widać ruch sugerujący dziwne i groźne kształty. Liście na drzewach były zielone, żółte i czerwone jak liście świata Przyziemnych, ale zbyt jasno błyszczały, niczym klejnoty, a kiedy szumiał w nich wiatr, Simon niemal wychwytywał słowa, jakby wszystkie szeptały. Natura tu oszalała owładniętą magią i dziwnością.

Simon zdał sobie sprawę, że siedzi w klatce. Wielkiej, drewnianej klatce. Pasy ciemności przed jego oczami okazały się jej prętami.

Najbardziej rozgniewało go to, jak znajome to było uczucie. Przypomniał sobie, że już go kiedyś tak uwięziono. Więcej niż

raz.

– Nocni Łowcy, wampiry, a teraz faerie, wszyscy marzą, żeby mnie uwięzić – powiedział Simon. – Dlaczego tak mi się śpieszyło, żeby odzyskać te wspomnienia? Dlaczego to zawsze ja? Dlaczego to zawsze ja ląduję w klatce?

Własny głos sprawił, że głowa go zaboląa.

– Teraz siedzisz w mojej klatce – rozległ się głos.

Simon usiadł pośpiesznie, chociaż potwornie zaboląa go od tego głowa i cały świat zachybotał się, jakby był pijany. Zobaczył po drugiej stronie klatki zakapturzoną postać w płaszczu, którą George tak desperacko próbował złapać na wrzosowiskach. Simon przełknął ślinę. Nie widział twarzy postaci.

Powietrze zawirowało, jakby cień smagnął słońce. Nowy faerie spadł z jasnego nieba. Liście na leśnej ściółce zaszeleściły pod bosy stopami. Słońce opromieniło jasne włosy, długi nóż zalśnił w jego ręce.

Zakapturzony faerie odrzucił kaptur i pochylił głowę z szacunkiem. Wtedy Simon zauważył, że ma wielkie, zabarwione na fioletowo uszy, jakby po obu stronach twarzy przyklejono mu oberżyny. Pasemka długich białych włosów kłębiły się wokół tych oberżynowych uszu jak obłoczki.

– Co się stało i dlaczego twoje sztuczki zakłócają pracę lepszych od ciebie, Hefeyddzie? Koń ze świata Przyziemnych wbiegł na ścieżkę Dzikiego Polowania – powiedział nowo przybyły faerie. – Mam nadzieję, że ten ogier nie był szczególnie ważny, bo teraz dopadły go ogary.

Simon szczerze żałował konia. Zastanawiał się, czy jego też rzucą psom na pożarcie.

– Ogromnie przepraszam, że przeszkodziłem Dzikiemu Polowaniu – odpowiedział faerie w płaszczu, jeszcze niżej pochylając białą głowę.

– I słusznie – odpowiedział przybysz. – Ci, którzy wchodzą w drogę Polowaniu, zawsze tego żałują.

– To jest Nocny Łowca – tłumaczył z niepokojem drugi faerie. – A przynajmniej jedno z dzieci, które mają nadzieję się przemienić. Czekali na mnie w zasadzce w świecie śmiertelników i ten ścigał mnie aż do Faerie, więc to moja zdobycz i mam do niego prawo. Nie zamierzałem przeszkadzać Dzikiemu Polowaniu i nie ponoszę żadnej winy!

Simon uznał, że to nieprecyzyjne i raniące podsumowanie sytuacji.

– Czyżby? No dobrze, mam dziś wyjątkowo dobry humor – powiedział faerie z Dzikiego Polowania. Ofiaruj mi przeprosiny i daj zamienić kilka słów z więźniem, bo jak wiesz, interesuję się trochę Nocnymi Łowcami, a nie przyniosę mojemu panu Gwynowi twojego języka.

– Nigdy nie zaproponowano równie uczciwej wymiany – odpowiedział nieco pośpiesznie faerie w płaszczu i odbiegł, prawie potykając się o własny płaszcz, jakby się bał, że faerie z Dzikiego Polowania zmieni zdanie.

Jeśli chodziło o Simona to trafił z deszczu pod rynnę.

Nowy faerie wyglądał na szesnastolatka, niewiele starszego od Marisol i młodszego od Simona, ale Simon wiedział, że wygląd nie zdradza wieku faerie. Miał oczy różnych kolorów, jedno bursztynowe jak żywica znajdująca w ciemnym sercu drzewa, a drugie jaskrawoniebiesko-zielone jak morska płycizna prześwietlona słońcem. Potworny kontrast między oczami i światło Faerie, przefiltrowane przez zielone, szelmowsko szepczące liście i muśnięte fałszywym złotem, sprawiało, że jego szczupła, pobrudzona twarz wyglądała złowieszczo.

Robił wrażenie niebezpiecznego. I zbliżał się.

– Czego chce ode mnie faerie z Dzikiego Polowania? – wychrypiał Simon.

– Nie jestem faerie – odpowiedział chłopiec o dziwnych oczach, szpiczastych uszach i z liśćmi we włosach. – Jestem Mark Blackthorn z Instytutu w Los Angeles. Nieważne, co mówią i co

ze mną robią, nadal pamiętam, kim jestem. Jestem Mark Blackthorn.

Spojrzał na Simona; dziki głód malował się na jego szczupłej twarzy. Zacisnął chude palce na prętach klatki.

– Zjawiłeś się, żeby mnie uratować? – zapytał. – Czy Nocni Łowcy wreszcie kogoś po mnie przysłali?

* * *

O, nie. To był brat Helen Blackthorn, który jak ona był w połowie faerie i wierzył, że jego rodzina nie żyje. Został porwany przez Dzikie Polowanie i nigdy nie wrócił. Sytuacja stała się bardzo niezręczna.

Nawet gorzej. Była straszna.

– Nie – odpowiedział Simon, bo dawanie nadziei wydawało się najokrutniejszym ciosem, jaki mógłby zadać Markowi Blackthornowi. – Było tak, jak powiedział tamten. Trafiłem tu przez przypadek i zostałem uwięziony. Nazywam się Simon Lewis. Znam cię... z imienia i wiem, co ci się stało. Przykro mi.

– Wiesz, kiedy Nocni Łowcy zjawią się po mnie? – zapytał z rozdzierającym serce ożywieniem Mark. – Wysłałem im wiadomość... w czasie wojny. Rozumiem, że Zimny Pokój utrudnia wszelkie rozmowy z faerie, ale muszą wiedzieć, że pozostałem wierny i będę dla nich cenny. Na pewno się zjawią, ale... minęło już tyle tygodni, tak wiele tygodni. Powiedz mi, kiedy?

Simon popatrzył na Marka. W ustach mu zaschło. Odkąd Nocni Łowcy go porzucili, nie minęły tygodnie. Minął już ponad rok.

– Nie zjawią się – szepnął. – Nie było mnie tam, ale byli moi przyjaciele. Powiedzieli mi, co się stało. Clave głosowało. Nocni Łowcy nie chcą cię odzyskać.

– Och – powiedział Mark i ten cichy, pojedynczy dźwięk

zabrzmiał znajomo dla Simona. Takie westchnie wyrywa się stworzeniom, kiedy umierają.

Mark odwrócił się od Simona, zgarbił się spazmatycznie, jakby przeszył go fizyczny ból. Simon zobaczył na nagich, chudych rękach stare ślady od chłosty. Nie widział jego twarzy, gdyż Mark ją zasłonił, jakby nie mógł nawet patrzeć na Faerie.

Odwrócił się i warknął:

– A co z dziećmi?

– Co? – spytał w osłupieniu Simon.

– Co z Helen, Julianem, Livvy, Tiberiusem, Drusillą, Octavianem. I z Emmą. Widzisz? Nie zapomniałem. Co noc bez względu na to, co wydarzyło się za dnia, bez względu na to, czy jestem poraniony, zakrwawiony albo wycieńczony tak, że wolałbym umrzeć, patrzę na gwiazdy i każdej daję imię brata albo twarzy siostry. Nie zasnę, dopóki nie przypomnę sobie każdego z nich. Gwiazdy się wypalą, nim zapomnę.

Rodzina Marka, Blackthornowie. Wszyscy byli młodszy od Marka oprócz Helen. Simon to wiedział. A Emma Carstairs mieszkała z młodszymi Blackthornami w Instytucie w Los Angeles, mała blondynka, która straciła rodziców podczas wojny i która dużo pisywała do Clary.

Simon żałował, że nie wie nic więcej na ich temat. Clary dużo opowiadała o Emmie. Magnus tego lata kilka razy wypowiadał się z wielką pasją na temat Zimnego Pokoju i podawał Blackthornów jako przykład tragedii, jakie decyzja Clave o ukaraniu faerie ściągnęła na tych, którzy mają krew faerie. Simon słuchał Magnusa i współczuł Blackthornom, ale robili wrażenie jednej z wielu tragedii wojennych – coś straszego, ale odległego i ostatecznie łatwego do zapomnienia. Simon czuł, że sam musi tak wiele sobie przypomnieć. Chciał iść do Akademii i zostać Nocnym Łowcą, dowiedzieć się więcej o własnym życiu i przypomnieć sobie wszystko, co utracił, stać się kimś silniejszym i lepszym.

Tyle że nie można stać się kimś silniejszym i lepszym, myśląc tylko o sobie.

Nie wiedział, co robiono Markowi w Faerie, żeby zapomniał o rodzinie.

– Helen ma się dobrze – powiedział zakłopotany. – Widziałem ją niedawno. Wygłaszała wykład w Akademii. Przepraszam. Demon odebrał mi... wiele wspomnień nie tak dawno temu. Wiem, jak to jest nie pamiętać.

– Szczęśliwym jest ten, kto zna imię swojego serca. Ten nie utracił go naprawdę. Zawsze może przywołać serce z powrotem – powiedział Mark, niemal jakby deklamował. – Pamiętasz imię swego serca, Simonie Lewisie?

– Tak mi się wydaje – odpowiedział szeptem Simon.

– Jak oni się mają? – spytał cichym, zmęczonym głosem Mark. Robił wrażenie bardzo zmęczonego.

– Helen wkrótce bierze ślub – powiedział Simon. To była jedyna dobra rzecz, jaką czuł, że może dać Markowi. – Z Aline Penhallow. Myślę... że bardzo się kochają.

Omówił nie powiedział, że wybiera się na ich ślub, ale uznał, że to okrutne. Mark nie mógł się zjawić na ślubie własnej siostry. Nie zaproszono go. Nawet nie powiadomiono.

Mark nie robił wrażenia rozgniewanego ani zranionego. Uśmiechnął się delikatnie jak dziecko, któremu opowiada się bajkę na dobranoc, i oparł twarz o pręty klatki Simona.

– Słodka Helen – powiedział. – Ojciec zwykł opowiadać historie o Helenie Trojańskiej. Wykluła się z jaja i była najpiękniejszą kobietą świata. Narodziny z jaja to niezwykła rzecz dla ludzi.

– Tak słyszałem.

– Była bardzo nieszczęśliwa w miłości – opowiadał Mark. – Tak to bywa z wielką urodą. Nie można jej ufać. Piękno może prześlizgnąć się między palcami jak woda i sparzyć ci język jak trucizna. Uroda może być błyszczącym murem, który stoi na drodze twojej miłości.

– Ehm. Jasne.

– Cieszę się, że moja piękna Helen będziesz szczęśliwsza od ostatniej pięknej Heleny – powiedział Mark. – Cieszę się, że dostanie piękno za piękno, miłość za miłość zamiast fałszywej monety. Powiedz jej, że jej brat Mark przesyła powinszowania z okazji ślubu.

– O ile tam dotrę.

– Aline pomoże jej też zająć się dziećmi – dodał Mark.

Nie zwracał szczególnej uwagi na Simona. Na jego twarzy malowało się skupienie, patrzył w dal, jakby słuchał historii albo coś sobie przypominał. Simon obawiał się, że opowieści i wspomnienia pomieszały się już Markowi Blackthornowi – wszystkie były czymś utęsknionym, pięknym i nierzeczywistym.

– Ty wymaga szczególnej uwagi – tłumaczył Mark. – Pamiętam, jak rodzice o tym mówili. – Wykrzywił usta. – Mam na myśli ojca i kobietę, która śpiewała mi co wieczór do snu, chociaż nie byłem z jej krwi, Nocną Łowczynię, której nie wolno mi już nazywać matką. Kołysanki to nie więzy krwi. Tylko krew liczy się dla Nocnych Łowców i faerie. Kołysanki liczą się dla mnie.

Tylko krew liczy się dla Nocnych Łowców.

Simon nie pamiętał kontekstu, ale przypominał sobie ten nieustanny refren padający z ust ludzi, których teraz kochał, ale nie wtedy. Przyziemny, Przyziemny, Przyziemny. A potem wampir. Podziemny.

Przypomniał sobie, że pierwsze więzienie, w jakim wylądował, to było więzienie Nocnych Łowców.

Chciałby móc powiedzieć Markowi Blackthornowi, że się myli.

– Przykro mi – powiedział.

Żałował, że nie słuchał, że nie przejął się bardziej. Uważał się za głos rozsądku w Akademii i nie zdawał sobie sprawy, jak zadowolony z siebie się stał, z jaką łatwością słuchał, jak jego przyjaciele szydzą z ludzi, których on sam już nie przypominał i puszczał im to płazem.

Żałował, że nie potrafi niczego z tego powiedzieć Markowi Blackthornowi, ale wątpił, by jego to interesowało.

– Jeśli ci przykro, mów – powiedział Mark. – Jak się miewa Ty? Nic mu nie jest, ale jest inny, a Clave nienawidzi inności. Będzie próbowało go ukarać za to, kim jest. Ukażą gwiazdę za to, że płonie. Kiedyś mój ojciec stał między nim a okrutnym światem, ale przepadł i mnie też zabrakło. Równie dobrze mógłbym nie żyć, taki ze mnie pożytek dla mojego rodzeństwa. Livvy przeszłaby po rozżarzonych węglach i przez gniazdo węży dla Ty'a, ale jest równie młoda jak on. Nie zastąpi mu świata. Helen ma jakieś trudności z Tiberiusem? Tiberius jest szczęśliwy?

– Nie wiem – odpowiedział bezradnie Simon. – Chyba tak.

Wiedział tylko, że istnieje gromadka młodych Blackthornów, anonimowe ofiary wojny.

– No i jeszcze Tavvy – powiedział Mark.

Jego głos nabierał siły w miarę jak mówił. Posługiwał się zdrobnieniami zamiast pełnych imion, które z trudem sobie przypominał. Simon podejrzewał, że Markowi zwykle nie pozwalano mówić o śmiertelnym życiu ani o rodzinie Nefilim. Nie chciał nawet myśleć, co zrobiłoby z nim Dzikie Polowanie, gdyby spróbował.

– Jest taki mały – tłumaczył Mark. – Nie będzie pamiętał taty ani ma... swojej matki. Taki maluch. Dali mi go potrzymać, gdy się urodził, i jego główka mieściła się w mojej dłoni. Nadal czuję jego ciężar, nawet kiedy umyka mi jego imię. Trzymałem go i wiedziałem, że trzeba podtrzymywać mu główkę. To było moje zadanie: podtrzymywać go i chronić. Na zawsze. Tyle że to zawsze trwa tak krótko w świecie śmiertelników. Mnie też nie będzie pamiętał. Może i Drusilla o mnie zapomni. – Mark pokręcił głową. – Ale nie sądzę. Dru zapamiętuje wszystko całym sercem, a ma z nas wszystkich najczulsze serce. Mam nadzieję, że jej wspomnienia o mnie pozostaną czułe.

Clary na pewno wymieniła Simonowi wszystkie imiona

Blackthornów i wspomniała pokrótce, jak każde z nich się miewa. Na pewno podsunęła mu jakieś strzępki informacji, które Simon odrzucił jako nieużyteczne, a teraz każdy z nich byłby bezcenny dla Marka.

Simon spojrział bezradnie.

– Powiedz mi tylko, czy Aline pomaga przy najmłodszych – poprosił Mark ostrzejszym tonem. – Helen nie poradzi sobie sama, a Julian nie będzie w stanie jej pomóc! – Znowu złagodniał. – Julian. Jules. Mój artysta, marzyciel. Unieś go do światła, a zaskrzy się tuzinem różnych barw. Interesują go tylko sztuka i Emma. Oczywiście będzie próbował pomóc Helen, ale jest taki młody. Wszyscy są młodzi i łatwo mogą się zagubić. Wiem, co mówię. W krainie pod wzgórzem żerujemy na tych, którzy są czuli i młodzi. Przy nas nigdy się nie zestarzeją. Nie będą mieli szansy.

– Och, Marku Blackthornie, co oni z tobą robią? – szepnęła Simon.

Nie potrafił ukryć litości w głosie i zauważył, że to zabolęło Marka. Powolny rumieniec wypłynął mu na wychudłe policzki. Mark uniósł brodę.

– Nic, czego nie byłbym w stanie znieść – odrzekł.

Simon milczał. Niewiele pamiętał, ale wiedział, że bardzo się zmienił. Ludzie wiele mogą znieść, ale Simon nie wiedział, ile zostaje z dawnego człowieka, kiedy świat urabia go, nadając mu całkiem nowy kształt.

– Pamiętam cię – odezwał się nagle Mark. – Spotkaliśmy się, kiedy wybierałeś się do piekła. Nie byłeś wtedy człowiekiem.

– Nie – przyznał skrępowany Simon. – Mało pamiętam z tego czasu.

– Był z tobą chłopiec – mówił dalej Mark. – Miał włosy jak aureola i oczy jak piekielne ognie, Nefilim pośród Nefilim. Słyszałem historie na jego temat. Podziwiałem go. Wcisnął mi w dłoń runiczny kamień i to... To wiele dla mnie znaczyło.

Wtedy.

Simon tego nie pamiętał, ale wiedział, o kim musi być mowa.

– Jace.

Mark skinął głową niemal z roztargnieniem.

– Powiedział „Pokaż im, z jakiej gliny ulepiono Nocnych Łowców. Pokaż im, że się nie boisz”. Myślałem, że im pokazałem, i faerie, i Nocnym Łowcom. Nie mogłem zrobić tego, o co mnie prosił. Bałem się, ale to mnie powstrzymało. Przesłałem wiadomość Nocnym Łowcom i powiedziałem, że faerie ich zdradziły i sprzymierzyły się z ich wrogiem. Dopilnowałem, żeby się dowiedzieli i obronili Miasto Szkła. Ostrzegłem ich, a Dzikie Polowanie mogło mnie za to zabić. Pomyślałem jednak, że jeśli umrę, to odejdę ze świadomością, że uratowano moje rodzeństwo i wszyscy będą wiedzieć, że okazałem się prawdziwym Nocnym Łowcą.

– Udało ci się – powiedział Simon. – Twoja wiadomość dotarła. Idris obroniono, a twoje rodzeństwo uratowano.

– Ale ze mnie bohater – mruknął Mark. – Udowodniłem swoją lojalność, a Nocni Łowcy zostawili mnie, żebym tu zgnął.

Twarz mu się wykrzywiła. W głębi ducha Simona czuł strach pomieszany z litością.

– Staralem się być Nocnym Łowcą nawet w głębinach Faerie i co mi z tego przyszło? „Pokaż im, z jakiej gliny ulepiono Nocnych Łowców!”. Z jakiej, skoro porzucają swoich ludzi, skoro odrzucają serce dziecka jak śmieci walające się na poboczu? Powiedz mi, Simonie Lewisie, czym są Nocni Łowcy, dlaczego pragniesz zostać jednym z nich?

– Ponieważ są czymś więcej.

– A z jakiej gliny ulepione są faerie? Słyszę, że Nocni Łowcy mówią teraz, że są złe, że to praktycznie demony rzucone na ziemię, żeby dopuszczać się nikczemnych psot. – Mark wyszczerzył zęby w dzikim i afektowanym uśmiechu, promiennym jak słońce lśniące wśród pajęczyn. – A my kochamy

psoty, Simonie Lewisie, a niekiedy także występki. Ale nie wszystko jest złe: jazda wśród wiatrów, bieg po falach, taniec wśród szczytów. Tylko tyle mi zostało. Przynajmniej Dzikie Polowanie mnie chce. Może raczej powinienem pokazać Nocnym Łowcom, z jakiej gliny ulepione są faerie.

– Może. Obie strony mają w sobie coś więcej niż tylko to co najgorsze.

Mark uśmiechnął się i był to straszliwy, blady uśmiech.

– A gdzie się podziało to co najlepsze? Próbuję przypomnieć sobie opowieści mojego ojca o Jonathanie Nocnym Łowcy, o złotych bohaterach, którzy służyli za tarczę dla ludzkości. Jednak mój ojciec nie żyje. Jego głos cichnie wraz z północnym wiatrem, a Prawo, które uważał za święte, to słowa wypisane przez dziecko na piasku. Śmiejemy się i wytykamy, że ktokolwiek mógłby okazać się na tyle głupi, by uwierzyć, że ono przetrwa. Wszystko, co dobre i prawdziwe, przepadło.

Simon nigdy nie pomyślał, ile zalet miała jego utrata pamięci. Dotarło teraz do niego, że przypadkiem okazano mu łaskę. Wszystkie wspomnienia odebrano mu naraz.

Natomiast wspomnienia Marka wydzierano i zacierano pojedynczo, tracił jedno po drugim w chłodnej ciemności pod wzgórzem, gdzie nic, co złote, nie mogło przetrwać.

– Chciałbym pamiętać nasze pierwsze spotkanie – rzekł.

– Nie byłeś wtedy człowiekiem – rzucił z goryczą Mark – jednak jesteś nim teraz. I bliżej ci do Nocnego Łowcy niż mnie.

Simon otworzył usta i odkrył, że wszystkie słowa są nieodpowiednie. Nie wiedział, co powiedzieć. To była prawda, jak wszystkie słowa wypowiedziane przez Marka. Kiedy pierwszy raz zobaczył Marka, wziął go za faerie i od razu zrobiło mu się nieswojo. Akademia Nocnych Łowców zmieniła go bardziej, niż myślał.

Środowisko, w którym znalazł się Mark, zmieniło też i jego, i to tak, że prawie nie dało się tego cofnąć. Było w nim coś upiornego

i chodziło o coś głębiej zakorzenionego niż harmonijne rysy i subtelnie szpiczaste uszy faerie. Helen też tak wyglądała, ale poruszała się jak wojowniczka, stała wyprostowana jak Nocny Łowca, mówiła tak samo jak Clave i ludzie z Instytutów. Słowa Marka brzmiały jak poezja, a jego ruchy przypominały taniec. Simon zastanawiał się, czy nawet gdyby Mark zdołał wrócić, dopasowałyby się ponownie do świata Nocnych Łowców.

Zastanawiał się, czy Mark zapomniał już, jak się kłamię.

– Kim jestem twoim zdaniem, potencjalny Nocny Łowco? – zapytał Mark. – Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

– Pokaż im, z jakiej gliny ulepiono Marka Blackthorna. Pokaż im wszystkim.

– Helen, Julianowi, Livvy, Tiberiusowi, Drusilli, Octavianowi. I Emmie – szepnął Mark nabożnym tonem, jaki Simon słyszał w synagodze. Takim głosem matki wołały dzieci, ludzie przyzywali to, co dla nich najświętsze. – Moi bracia i siostry są Nocnymi Łowcami i w ich imieniu pomogę tobie. Pomogę ci.

Odwrócił się i krzyknął:

– Hefeydd!

Hefeydd o fioletowych uszach wynurzył się ponownie spomiędzy drzew.

– Ten Nocny Łowca to mój krewniak – orzekł z pewną trudnością Mark. – Ośmielasz się obstawać przy swoim prawie do krewniaka Dzikiego Polowania?

To było idiotyczne. Simon nie był nawet Nocnym Łowcą, Hefeydd nigdy w to nie uwierzy... Tyle że to był Mark, zrozumiał Simon. Faerie, jak się wydawało, i to budzący pewną grozę. Nawet Simon nie wiedział, że Mark potrafi kłamać.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Hefeydd, kłaniając się. – To...

Simon obserwował niebo. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że to robi, dopóki ktoś z niego nie spadł.

Ponieważ Simon patrzył, widział wyraźnie, co się stało: nie tyle

ktoś spadł z nieba, ile raczej dziki rumak przygalopował z nieba i pozwolił swojemu jeźdźcy opaść na ziemię. Koń był biały jak chmura albo mgła, miał dumną i lśniąca sylwetkę, a jeździec, który rzucił się na ziemię, był również oślepiająco biały. Miał kobaltowe włosy, ciemnoniebieskie jak wieczór, zanim nadejdzie czerń nocy, jedno oko czarne jak gagat, a drugie błyszczące i srebrne.

– Książę – szepnął Hefeydd.

– Marku z Dzikiego Polowania – powiedział nowo przybyły faerie. – Gwyn wysłał cię, żebyś się dowiedział, dlaczego zakłócono Polowanie. Nie sugerował, żebyś sam je opóźniał, ociągając się o rok i dzień. Uciekasz?

Za pytaniem stało uczucie, ale Simon nie potrafił powiedzieć, czy chodziło o nieufność, czy też o coś innego. Zorientował się jednak, że pytanie miało większą wagę, niż chciał to okazać pytający. Mark wskazał siebie.

– Nie, Kieranie, jak sam widzisz. Hefeydd złapał sobie Nocnego Łowcę i trochę mnie to zaciekało.

– Dlaczego? – spytał Kieran. – Nefilim to dla ciebie przeszłość, a oglądanie się za siebie przynosi tylko daremny ból i odczynione czary. Patrz przed siebie, ku dzikości i Polowaniu. I na moje plecy, bo na każdym polowaniu będę cię wyprzedzał.

Mark się uśmiechnął, jak uśmiechasz się do przyjaciela, z którym często się droczysz.

– Przypominam sobie kilka polowań, kiedy było inaczej, ale widzę, że masz nadzieję na więcej szczęścia w przyszłości, podczas gdy ja ufam umiejętnościom.

Kieran się roześmiał. Simon poczuł nadzieję. Jeśli ten faerie był przyjacielem Marka, to misja ratunkowa mogła się jeszcze udać. Nieświadomie przysunął się do Marka, zacisnął dłoń na jednym z prętów klatki. Kieran zwrócił uwagę na ruch i przelotnie spiorunował Simona do głębi lodowatym wzrokiem, okiem czarnym jak u rekina i srebrzystym jak odłamek lustra.

Simon pojął z pewnością przenikającą go do szpiku kości, że Kieran nie lubi Nocnych Łowców i nie życzy mu dobrze, chociaż nie znał jego powodów.

– Zostaw Hefeyddowi jego zabawkę – powiedział Kieran. – Chodźmy.

– Powiedział mi coś ciekawego – poinformował go oschle Mark. – Powiedział, że Clave przegłosowało decyzję, że nie przybędą po mnie. Moi ludzie, wśród których się wychowałem, którzy mnie uczyli i którym ufałem, zgodzili się zostawić mnie tutaj. Możesz w to uwierzyć?

– Naprawdę to cię dziwi? Jego rodzaj zawsze wielbił okrucieństwo tak samo jak sprawiedliwość. Jego rodzaj nie ma już z tobą nic wspólnego – powiedział Kieran pieszczotliwym i przekonującym tonem, kładąc rękę na szyi Marka. – Jesteś Mark z Dzikiego Polowania. Ujeżdżasz wiatr, suniesz wiele przyprawiających o zawrót głowy mil ponad nimi. Nigdy więcej cię nie skrzywdzą, chyba że im na to pozwolisz. Nie pozwól im. Odejdźmy stąd.

Mark się zawahał, a Simon złapał się na tym, że sam zwątpił. Kieran miał w końcu rację. Mark Blackthorn nie był nic winien Nocnym Łowcom.

– Mark – powiedział Kieran, a w jego głosie zabrzmiała twarda nuta. – Wiesz, że są w polowaniu tacy, którzy wykorzystają każdy pretekst, żeby cię ukarać.

Simon nie wiedział, czy słowa Kierana to przestroga, czy groźba.

Uśmiech na twarzy Marka był mroczny jak cień.

– Lepiej niż ty – odparł – ale dziękuję ci za troskę. Pójdę z tobą i wytłumaczę się przed Gwynem. – Odwrócił się do Simona, a jego dwubarwne oczy były nieprzeniknione jak morze szkła i brązu. – Wrócę. Nie krzywdź go – przykazał Hefeyddowi. – Daj mu wody.

Z pewną emfazą skinął głową w stronę Hefeydda. Skinął głową

też do Simona, który odwzajemnił gest.

Kieran, którego Hefeydd nazwał księciem, nadal zaciskał rękę na Marku i odwrócił go od Simona. Szepnął mu coś, czego Simon nie słyszał. Simon nie wiedział, czy zaciśnięta dłoń Kierana to wyraz czułości, niepokoju, czy chęci uwięzienia Marka.

Nie miał wątpliwości, że jeśli Kieran postawi na swoim, Mark nie wróci.

Mark zagwizdał, Kieran także. Niczym cień i chmura nadbiegły na wietrze dwa wierzchowce, ciemny i jasny, i porwały swoich jeźdźców. Mark skoczył w niebo, zniknął w rozbłysku mroku z okrzykiem radości i wyzwania.

Hefeydd zarechotał. Był to dźwięk cichy, pełzający wśród poszycia.

– Och, z radością dam ci wody – powiedział i podszedł z kubkiem z kory wypełnionym po brzegi wodą, która wyglądała, jakby się jarzyła wewnętrznym światłem.

Simon wyciągnął rękę przez kraty i wziął kubek, ale niezręcznie, rozlewając połowę wody. Hefeydd zaklął i złapał kubek, dociskając go do ust Simona i uśmiechając się ponuro, zachęcająco.

– Nadal trochę zostało – szepnął. – Możesz się napić. Pij.

Tyle że Simon uczył się w Akademii. Nie zamierzał przyjmować żadnej strawy czy napoju od faerie i był pewien, że Mark nie chciał, żeby Simon coś wypił. Skinął głową, wskazując na klucz zwieszający się z jednego z długich rękawów płaszcza Hefeydda.

Simon udał, że pije, a Hefeydd się uśmiechnął. Schował klucz w kieszeni stroju bojowego, a kiedy Hefeydd odszedł, Simon poczekał, odliczając minuty, aż uznał, że jest bezpieczny. Wysunął rękę przez pręty, włożył klucz do zamka i powoli otworzył drzwi klatki.

Wtedy usłyszał coś i zamarł.

Spośród szepczących drzew wyszła Isabelle Lightwood

w czerwonym aksamitnym żakiecie i długiej sukni z czarnej koronki, która przechodziła w przezroczystą pajęczynę w okolicy kolan, w wysokich zimowych butach i czerwonych rękawiczkach, które Simon skądś sobie przypominał. Kroczyła wdzięcznie jak gazela i ostrożnie jak tygrys.

– Simon! – wykrzyknęła. – Co ty wyprawiasz?

Simon sycił oczy jej widokiem, jak nie napoiłaby go woda z żadnej krainy. Przyszła po niego. Pozostali musieli uciec do Akademii i powiedzieć, że Simon zaginął w Faerie, a Isabelle przybyła mu na ratunek. Jako pierwsza, chociaż powinna się przygotowywać do ślubu. To jednak była Isabelle, co oznaczało, że zawsze jest gotowa do walki i obrony.

Simon pamiętał, że miał mieszane uczucia, kiedy uratowała go przed wampirycą w zeszłym roku. Teraz nie pojmował dlaczego.

Uważał, że teraz zna ją lepiej, poznał ją ponownie i wiedział, dlaczego się zjawiła.

– Właśnie uciekam ze straszliwej niewoli – odpowiedział. Odsunął się od drzwi klatki, spojrzął Isabelle w oczy i się uśmiechnął. – No, chyba że wolisz... żebym nie uciekał.

Surowe oczy Isabelle, patrzące z troską i determinacją, nagle zabłyśły jak gagat.

– Co ty mówisz, Simon?

Rozłożył ręce.

– Mówię tylko, że skoro przebyłaś taki szmat drogi, żeby mnie uratować, to nie chciałbym zachować się jak niewdzięcznik.

– Czyżby?

– Serio, jestem bardzo wdzięcznym typem – zapewnił ją stanowczo Simon. – Zatem czekam tu pokornie na ratunek. Mam nadzieję, że zechcesz mnie uratować.

– Myślę, że dam się namówić. Odpowiednio zachęcona.

– Och, błagam! Gniję w tym więzieniu, modląc się o dzielną i silną ślicznotkę, która zjawi się, żeby mnie uratować. Pomocy!

– Dzielną i silną i jeszcze ślicznotkę? Nie masz dużych oczekiwań.

– Tego właśnie potrzebuję – mówił Simon z coraz większym przekonaniem. – Bohaterki. Domagam się bohaterki i będę czekać aż do jutrzeńki. Musi być pewna swego i lepiej, żeby się pośpieszyła, bo porwały mnie złe faerie. Musi być naprawdę imponująca.

Isabelle wyglądała imponująco, jak dziewczyna z kinowego ekranu z błyszczącym połyskującym jak gwiazdy i muzyką akompaniującą każdemu ruchowi jej włosów.

Otworzyła drzwi klatki i weszła do środka. Gałązki trzaskały pod jej kozakami, gdy podeszła, by zarzucić ręce na szyję Simonowi. Przyciągnął jej twarz i pocałował ją w usta. Poczł cudowną miękkość rubinowych warg, jej wysokie, silne i piękne ciało napierające na niego. Pocałunek Isabelle był jak aromatyczne wino tylko dla niego, jak wyzwanie i spełniona obietnica.

Poczł na wargach uśmiech rozciągający jej usta.

– Ależ lordzie Montgomery – mruknęła. – Minęło tyle czasu. Już się martwiłam, że nigdy więcej pana nie zobaczę.

Simon żałował, że nie odważył się skorzystać z prysznic w Akademii tego ranka. Jakie znaczenie mają martwe szczury w obliczu prawdziwej miłości?

Słyszał szum krwi w uszach i cichutkie skrzywienie – drzwi klatki zamknęły się z powrotem.

Simon i Isabelle oderwali się gwałtownie od siebie. Isabelle była gotowa do skoku jak tygrys w koronkach. Hefeydd nie wyglądał na szczególnie zmartwionego.

– Dwójka Nocnych Łowców za cenę jednego, nowy ptaszek w mojej klatce. I to jaki ładny.

– Myślisz, że ta klatka zatrzyma tego ptaszka? – warknęła Isabelle. – Chyba śnisz. Weszłam, to zdołam też wyjść.

– Nie bez steli i swoich sztuczek. Wyrzuc wszystko na

zewnątrz, bo strzelę do twojego ukochanego i będziesz mogła popatrzeć, jak umiera.

Isabelle spojrzała na Simona i z kamienną twarzą zaczęła zdejmować broń i wyrzucać ją z klatki. Simon z pewnym niepokojem zdał sobie sprawę, w ilu miejscach Isabelle ukrywała broń, i zauważył, że pominęła nóż, który schowała w lewym kozaku. Ach, a także długi nóż, który miała w pochwie na plecach.

Isabelle nosiła dużo, naprawdę dużo noży.

– Nie minie wiele czasu, nim zaczniesz potrzebować wody do życia, ptaszyno – powiedział Hefeydd. – Mogę poczekać.

Zniknął. Isabelle padła na podłogę, jak marionetka, której ktoś podciął sznurki.

Simon spojrzał na nią ze zgrozą.

– Isabelle...

– Jakie to upokarzające – powiedziała, chowając twarz w dłoniach. – Nawet nie słyszałam, kiedy nadszedł. Ściągnęłam wstyd na nazwisko Lightwoodów. Hańbę. To absolutne, całkowite upokorzenie.

– To naprawdę mi pochlebia, jeśli to jakieś pocieszenie.

– Przestałam uważać, bo całowałam się z chłopakiem i dałam się zamknąć w klatce goblinowi – jęknęła Isabelle. – Nic nie rozumiesz! Nie pamiętasz tego, ale nie byłam taka, zanim ciebie poznałam. Żaden chłopak nic dla mnie nie znaczył. Byłam opanowana. Miałam cel. Nie durzyłam się jak kretyńka, bo nie byłam kretynką. Byłam noszącym biustonosz ucieleśnieniem umiejętności walki. Nigdy nie traciłam zimnej krwi. Byłam opanowana, zanim cię poznałam! A teraz ganiam za chłopakiem z demoniczną amnezją i tracę głowę na terytorium wroga! Co za matoł ze mnie.

Simon sięgnął po jej rękę i po chwili Isabelle pozwoliła, żeby oderwał jej dłoń od twarzy. Splotła z nim palce.

– Możemy być dwoma matołami w klatce.

– Ty z pewnością jesteś matołem – warknęła Isabelle. – Pamiętaj, że nadal jesteś Przyziemnym.

– Jak mógłbym zapomnieć?

– Nie przyszło ci do głowy, że mogę być zaczarowaną faerie, którą przysłano, żeby cię zwiodła?

„Pamiętasz imię swego serca?”.

– Nie. Jestem matołem, ale nie aż takim. Nie wszystko pamiętam z naszej przeszłości, ale pamiętam dość. Nie dowiedziałem się jeszcze wszystkiego na twój temat, ale wiem dostatecznie dużo. Potrafię cię rozpoznać.

Isabelle patrzyła na niego przez długą chwilę, a potem posłała mu cudny, wyzywający uśmiech.

– Jesteśmy dwójką matołów wybierających się na ślub – powiedziała. – Mam nadzieję, że to zauważyłeś: pozwoliłam mu wierzyć, że włamałam się do klatki. Oczywiście schowałam klucz, gdy tylko tu weszłam – Wyciągnęła klucz z za dekoltu i podniosła, żeby zabłysło na nim światło Faerie. – Może jestem matołem, ale nie skończoną kretynką.

Zerwała się, a koronkowa sukienka rozłożyła się wokół niej jak dzwon. Otworzyła klatkę. Podniosła z ziemi broń i stelę, a potem wzięła Simona za rękę.

Oddalili się raptem kilka kroków w las, kiedy spadł na nich cień. Isabelle sięgnęła po noże, ale to był tylko Mark.

– Jeszcze nie uciekłeś? – zapytał ostro Mark, patrząc udręczonym wzrokiem. – I zdążyłeś znaleźć sobie kochankę?

Isabelle zamarła. Tak samo jak Simon natychmiast go rozpoznała.

– Mark Blackthorn?

– Isabelle Lightwood – zauważył Mark, naśladowując ton jej głosu.

– Spotkaliśmy się wcześniej – wtrącił Simon. – Mark pomógł mi zdobyć klucz.

– Ach, to była uczciwa wymiana – powiedział Blackthorn, przechylając głowę jak ptak. – Dostarczyłeś mi bardzo ciekawych

informacji na temat Nocnych Łowców i wielkiej lojalności, jaką okazują swoim ludziom.

Isabelle wyprostowała się, jakby to było wyzwanie. Jej czarne włosy zafalowały jak sztandar, gdy podeszła do Marka.

– Potraktowano cię potwornie niesprawiedliwie – powiedziała.
– Wiem, że jesteś prawdziwym Nocnym Łowcą.

Mark się odsunął.

– Czyżby? – zapytał cicho.

– Nawet jeśli to niewiele znaczy, nie zgadzam się z decyzją Clave.

– Takie jest Clave, nie? Znaczy lubię Jię Penhallow i... nic właściwie nie mam do twojego ojca – odezwał się zakłopotany Simon, który w gruncie rzeczy nie lubił Roberta Lightwooda – ale Clave to zasadniczo banda dupków, mam rację? Wszyscy to wiemy.

Isabelle uniosła rękę i poruszyła nią w geście, który mówił: „Masz rację, ale oficjalnie nie”.

Mark się zaśmiał.

– Jasne – powiedział i zabrzmiał nieco normalniej, nieco bardziej ludzko, jakby ten śmiech pozwolił mu się odnaleźć. Jego akcent skojarzył się Simonowi z chłopakiem z Los Angeles, a nie z faerie. – Zasadniczo to jest banda dupków.

Drzewa zaszumiały, zerwał się wiatr. Simonowi wydawało się, że słyszy śmiech i nawoływanie, tętent wśród chmur i podmuchów, szczekanie ogarów. Odgłosy polowania, Dzikiego Polowania, najokrutniejszego gonu wśród wszystkich światów. Odgłosy były ciche, ale niezbyt odległe i zbliżały się.

– Chodź z nami – zaproponowała nagle Isabelle. – Bez względu na cenę jestem gotowa ją zapłacić.

Mark rzucił jej spojrzenie w równym stopniu pełne podziwu, co pogardy. Pokręcił głową. Liście zadrżały i światło zatańczyło w jego jasnych puklach.

– Jak myślisz, co by się wtedy stało? Wróciłbym do domu...

a Dzikie Polowanie ruszyłyby za mną. Myślisz, że nie marzyłem tysiące razy o ucieczce do domu? Za każdym razem widzę delikatnego Juliana przeszytego włóczniami Dzikiego Polowania. Widzę stratowaną małą Dru i Tavvy'ego. Widzę Ty'a rozrywanego przez ogary. Nie mogę wrócić, dopóki mogę ściągnąć na nich śmierć. Nie wrócę. Wy zaś uciekajcie i to szybko.

Simon pociągnął Isabelle do tyłu ku drzewom. Opierała się, nie odrywając oczu od Marka, ale dała się wciągnąć między liście, podczas gdy tętent kopyt narastał, błyskawice rozbłykiwały wśród drzew, cienie przesłoniły słońce.

– Jakich znowu kłopotów narobiłeś, Nocny Łowco? – zapytał faerie na dereszu, śmiejąc się, gdy koń zakręcił się w miejscu. – Jakie masz wieści na temat tobie podobnych?

– Nie mam wieści – odpowiedział Mark.

Kolejne konie dołączyły do deresza, zbiegało się coraz więcej uczestników Dzikiego Polowania. Simon widział Kierana, białą i milczącą postać. Faerie na dereszu skierował konia w stronę miejsca, gdzie ukrywali się Simon i Isabelle. Wierzchowiec węszył jak pies.

– Dlaczego więc wyczuwam na naszej ziemi Nocnych Łowców, którzy powinni przed nami odpowiedzieć? – zapytał. – Mam ich zapytać, co knują?

Podjechał nieco, ale niezbyt daleko. Miał płaszcz wyszywany srebrem i przedstawiający konstelacje. Srebro zaczarowano tak, by poruszało się, jakby czas przyśpieszył, i planety przesuwały się dostatecznie szybko, żeby oko to dostrzegało. Jego koń zatrzymał się raptownie, a jeździec omal nie spadł, kiedy nagle celna strzała przyszpiliła do drzewa piękny srebrny płaszcz.

Mark opuścił łuk.

– Niczego nie widzę – skłamał z pewnym zadowoleniem. – I to nic powinno odejść. Natychmiast.

– Och, chłopcze, zapłacisz za to! – syknął jeździec na dereszu.

Konie i jeźdźcy wrzasnęli jak pterodaktyle, ale Mark

Blackthorn z Instytutu w Los Angeles nie ustąpił.

– Uciekajcie! – krzyknął. – Wracajcie bezpiecznie do domu! Powiedzcie Clave, że ocalałem życie kolejnym Nocnym Łowcom. Że pozostanę Nocnym Łowcą przeklętym przez nich, że pozostanę faerie i sam ich przeklnę! Powiedzcie moim bliskim, że ich kocham. Że kocham i nigdy ich nie zapomnę. Pewnego dnia wrócę do domu.

Simon i Isabelle uciekli.

* * *

George rzucił się na Simona, kiedy tylko pojawił się z Isabelle na terenie Akademii, i uściskał go tak, jakby chciał udusić. Beatriz, a nawet – ku zdumieniu Simona – Julie, rzuciły się na niego zaraz po George’u i obie bezlitośnie go poszturchiwały.

– Auć!

– Tak się cieszymy, że żyjesz! – powiedziała Beatriz, znowu dźgając go pięścią.

– Dlaczego musicie mnie ranić swoją miłością? – jęknął Simon.

– Au!

Wyplątał się z uścisków, wzruszony, ale też lekko posiniaczony, a potem rozejrzał się za jeszcze jedną znajomą twarzą. Poczł zimny dotyk strachu.

– Marisol nic się nie stało?

Beatriz prychnęła.

– Ma się świetnie. Leży w izbie chorych i wysługuje się we wszystkim Jonem. Ponieważ was, Przyziemnych, nie można leczyć runami, Marisol wykorzystuje tę okazję, jak tylko się da. Nie wiem, co bardziej przerażyło Jona: świadomość, jak krusi są Przyziemni, czy też to, że Marisol zagroziła, że wyjaśni mu, jak działa maszyna do rentgena.

Simon był pod wrażeniem, że nawet elfi grot nie jest w stanie

spowolnić Marisol i przytępić jej nikczemności.

– Baliśmy się, że mogłeś zginąć – powiedziała Julie. – Faerie zrobią wszystko, żeby zemścić się na Nocnych Łowcach, te złe, podstępne żmije. Kto wie, co mogły ci zrobić?

– To byłyby moja wina – powiedział blady George. – Próbowałeś mnie powstrzymać.

– To byłyby wina faerie – sprostowała Julie. – Chociaż ty byłeś nieostrożny. Musisz pamiętać, czym one są. Są jeszcze mniej ludzkie niż rekiny.

Odrętwiały George kiwał głową. Beatriz miała minę, jakby w pełni zgadzała się z Julie.

– Wiecie co? – odezwał się Simon. – Mam tego dość.

Wszyscy spojrzeli na niego z niedowierzaniem. Tylko Isabelle się uśmiechnęła. Pomyślał, że wreszcie rozumie ogień, który płonie w Magnusie. Już wiedział, dlaczego czarownik nieustannie mówi, chociaż Clave nie słucha.

– Wiem, że waszym zdaniem wiecznie krytykuję Nefilim – powiedział. – Wiem, że według was nie myślę dość o... świętych tradycjach Anioła, o tym, że codziennie jesteście gotowi poświęcić życie w obronie ludzi. Wiem, że uważacie, że dla mnie to się nie liczy, ale to nieprawda. To bardzo się liczy. Tyle że ja nie mam tego luksusu, żeby patrzeć na sprawy tylko z jednej perspektywy. Zawsze zauważacie, kiedy czepiam się Nocnych Łowców, ale żadne z was nie pilnuje się, kiedy mówi o Podziemnych. Ja sam byłem Podziemnym. Dzisiaj uratował mnie ktoś, kogo Clave zdecydowało się potępić jako Podziemnego, chociaż był równie dzielny jak każdy Nocny Łowca, chociaż pozostał lojalny. Odnoszę wrażenie, że chcecie, bym po prostu uznał, że Nefilim są świetni i niczego nie trzeba zmieniać, ale ja się na to nie zgodzę.

Nabrał powietrza. Miał wrażenie, że odebrano mu całą radość, jaką czuł rano. Może to dobrze. Może jego życie stało się zbyt radosne i wygodne.

– Nie zostałbym Nocnym Łowcą, gdybym uznał, że zostanę takim Nocnym Łowcą jak wasi rodzice albo ich rodzice. I nie lubiłbym was tak bardzo, jak lubię, gdybym uważał, że będziecie takimi Nocnymi Łowcami jak wasi poprzednicy. Chcę, żebyśmy wszyscy stali się lepsi. Jeszcze nie wiem, jak wprowadzić zmiany, ale chcę, żeby wszystko się zmieniło. Przykro mi, jeśli to was denerwuje, ale nadal będę narzekał.

– Ale później – wtrąciła Isabelle. – Ponarzekaś później, bo w tej chwili idziemy na ślub.

Wszyscy stali nieco oszołomieni, kiedy radosne powitanie zamieniło się w przemowę w obronie praw Podziemnych. Simon bał się, że Julie go pobije, ale ona tylko poklepała go po plecach.

– W porządku – powiedziała. – Później posłuchamy twojego nudnego jojczenia. Tylko postaraj się streszczać.

Odeszła z Beatriz. Simon spojrział za nią i zauważył, że Isabelle też patrzy w jej stronę, mrużąc oczy i z pewną podejrzliwością na twarzy.

Simona ogarnęły wątpliwości. George miał na myśli Beatriz, kiedy mówił o dziewczynie, której się spodobał, prawda?

Na pewno nie o Julie. Nie mogło chodzić o Julie.

Bez wątpienia. Simon był przekonany, że upiekło mu się, bo ledwie co uciekł z Faerie.

George został.

– Naprawdę cię przepraszam – powiedział Simonowi. – Straciłem głowę. Może nie byłem jeszcze gotowy, żeby dowodzić grupą. Jednak pewnego dnia będę. Zrobię to, co powiedziałeś. Stanę się lepszym Nocnym Łowcą od tych, którzy nas poprzedzali. Nie będziesz musiał więcej płacić za moje błędy.

– George. Nic się nie stało.

Żadne z nich nie było doskonałe. I żadne nie będzie.

Promienna twarz George'a zachmurzyła się. Rzadko kiedy był równie nieszczęśliwy.

– Nie zawiodę po raz drugi.

– Wierzę w ciebie – odparł Simon i uśmiechnął się szeroko, aż wreszcie George odwzajemnił uśmiech. – Bo tak robią kumple.

* * *

Kiedy zjawił się w Idrisie, wpadł w chaos przedślubny. Chaos przedślubny bardzo się różni od zwykłych chaosów. Było tam bardzo dużo kwiatów. Ktoś wcisnął mu w rękę pęk lilii, więc stał z nimi i bał się ruszyć, żeby kwiaty się nie rozsypały, bo wtedy odpowiadałyby za popsucie ślubu.

Wielu gości krążyło pośpiesznie, ale dostrzegł jedną grupę, która składała się z samych dzieciaków. Ścisnął lilie i skupił uwagę na Blackthornach.

Gdyby nie spotkał Marka Blackthorna, pewnie uznałby ich za grupę przypadkowych dzieciaków. A teraz wiedział, że to czyjaś rodzina, że mieszkają w czyimś sercu.

„Helen, Julian, Livvy, Tiberius, Drusilla, Octavian. I Emma”.

Wiotką jak trzcina Helen już znał. Przebywała w jednym z licznych pokojów, do których zakazano mu wstępu i w którym dokonywano na niej tajemniczych przedślubnych zabiegów.

Julian był następny w kolejności starszeństwa i stanowił spokojne centrum zaaferowanego tłumu Blackthornów. Trzymał dziecko na rękach, trochę za ciężkie dla niego. Maluch przywarł do jego szyi jak ośmiornica w obcym sobie miejscu. To musiał być Tavvy.

Wszyscy Blackthornowie wystroili się na ślub, ale stroje już były nieco przybrudzone, jak to zdarza się dzieciakom. Simon nie wiedział, jak to możliwe. Wszystkie, oprócz Tavvy’ego, były trochę za duże, żeby bawić się w piasku.

– Pójdę doprowadzić Dru do porządku – zaproponowała Emma, która była wysoka jak na czternastolatkę, a wśród ciemnowłosych Blackthornów jej jasna głowa wyróżniała się jak

zonkil na grządce bratków.

– Nie zawracaj sobie tym głowy – odpowiedział Julian. – Wiem, że chcesz pogadać z Clary. Mówiłaś o tym od jakichś piętnastu tysięcy lat, licząc w przybliżeniu.

Emma szturchnęła go żartobliwie. Była od niego wyższa. Simon też pamiętał, jak miał trzynaście lat i był niższy od wszystkich dziewczyn.

Od wszystkich z wyjątkiem jednej, jak przypomniał sobie powoli, gdy prawdziwy obraz jego trzynastego roku życia zastąpił fałszywy, z którego niezręcznie usunięto najważniejszą osobę w jego świecie. Clary zawsze była drobna. Niezależnie od tego, jak niski i niezgrabny czuł się Simon, zawsze górował nad nią i miał prawo ją chronić.

Zastanawiał się, czy Julian wolałby, żeby Emma była od niego niższa. Sadząc po minie, z jaką na nią patrzył, nie zmieniłby w niej niczego. „Tylko sztuka i Emma”, powiedział Mark, jakby to były dwa najważniejsze fakty dotyczące Juliana. Uwielbienie dla piękna i pragnienie jego otworzenia oraz najważniejszy przyjaciel na świecie. Simon był przekonany, że ci dwoje zostaną *parabatai*. To miłe.

Emma odeszła pośpiesznie, żeby znaleźć Clary, posyłając Julianowi ostatni, szeroki uśmiech.

Tyle że Mark się mylił. Nie tylko sztuka i Emma zaprzętały myśli Juliana. Simon patrzył, jak chłopak trzyma Tavvy’ego, jak pochyla się nad małą dziewczynką o okrągłej twarzą i burzy ciemnych włosów.

– Zgubiłam wianek i nie mogę go znaleźć – szepnęła.

Julian uśmiechnął się do niej.

– Tak to jest, kiedy coś się zgubi, Dru.

– Ale jeśli nie będę nosiła wianka jak Livvy, to Helen pomyśli, że jestem beztroska, nie pilnuję rzeczy i nie lubię jej tak bardzo jak Livvy. Livvy nadal ma wianek.

Druga dziewczyna w grupie, wyższa od Dru, wkroczyła w ten

niezgrabny wiek, gdy ręce i nogi robią się chude jak patyki i za długie w stosunku do reszty ciała. Na jasnobrązowych włosach rzeczywiście miała wianek. Trzymał się blisko chłopca, który nosił słuchawki na uszach i wpatrywał się szarymi oczami w dal dostępną tylko jemu.

„Livvy przeszłaby po rozżarzonych węglach i przez gniazdo węży dla Ty’a”, powiedział Mark. Simon przypomniał sobie ogromną czułość, z jaką Mark powiedział „mój Ty”.

– Helen cię zna – pocieszył siostrę Julian.

– Ale... – Drusilla, pociągnęła go nerwowo za rękaw, żeby się pochylił, i szepnęła z udręką w głosie: – Nie było jej tak długo. Może nie pamięta mnie za dobrze.

Julian odwrócił twarz, żeby żadne z rodzeństwa nie widziało jego miny. Tylko Simon dostrzegł ból i wiedział, że nie powinien być. Wiedział, że nie dostrzegłby tego cierpienia, gdyby nie spotkał Marka i nie gdyby teraz nie uważał.

– Dru, Helen zna cię od urodzenia. Ona wszystko pamięta.

– Ale na wszelki wypadek. Niedługo wyjedzie. Chcę, żeby dobrze o mnie myślała.

– Ona wie, że jesteś dobra. Najlepsza. Ale poszukamy twojego wianka, dobrze?

Młodsze dzieci nie znały Helen tak jak Julian; dla niego to siostra, która zawsze przy nim była. Nie mogły polegać na kimś, kto przebywa tak daleko.

Julian jest ich ojcem, pomyślał ze zgrozą Simon. Nie mają nikogo innego.

Chociaż Blackthornowie mieli bliskich, którzy chcieli się nimi zająć, desperacko tego pragnęli. Clave rozbiło tę rodzinę, a Simon nie miał pojęcia, jakie skutki będzie to miało w przyszłości i czy rany zadane przez Clave kiedykolwiek się zagoją.

Pomyślał znowu, jak mówiłby do swoich przyjaciół z Akademii: „Musimy być lepsi. Nocni Łowcy muszą być lepsi. Musimy odkryć, jakimi Nocnymi Łowcami chcemy się stać,

i pokazać im”.

Może Mark nie znał Juliana tak dobrze, jak zakładał. A może młodszy brat nie miał wyboru i musiał całkowicie się zmienić.

Wszyscy musieli się zmienić, ale Julian był taki młody.

– Cześć – odezwał się Simon. – Mogę w czymś pomóc?

Bracia nie byli do siebie podobni, ale Julian zarumienił się i uniósł podbródek tak samo jak Mark – bez względu na sytuację był zbyt dumny, żeby zdradzić, że cierpi.

– Nie – odpowiedział i uśmiechnął się do Simona promiennie, w bardzo przekonujący sposób. – Wszystko jest w porządku. Poradzę sobie.

Jego słowa brzmiały szczerze, ale potem Julian Blackthorn odszedł od Simona, który znowu zauważył, że chłopak dźwiga za ciężkie dla siebie dziecko, a drugie czepia się jego koszuli. Simon widział, jaki wielkie brzemie spoczywa na tych szczupłych, młodych barkach.

* * *

Simon nie do końca rozumiał tradycje Nocnych Łowców.

Prawo bardzo szeroko wypowiedało się na temat tego, kogo można poślubić. Jeśli poślubisz Przyziemnego, który nie może wziąć udziału we Wstąpieniu, to zostaną ci odebrane Znaki i wylatujesz z Nocnych Łowców na pysk. Możesz poślubić Podziemnego w ramach Przyziemnej albo Podziemnej ceremonii, a wtedy nie wylatujesz na pysk, ale wszyscy są zakłopotani, niektórzy będą się zachowywali, jakby takie małżeństwo w ogóle się nie liczyło, a twoja niezwykle konserwatywna cioteczna babka Nerinda zacznie mówić o tobie jak o czarnej owcy w rodzinie. A zważywszy na warunki Zimnego Pokoju, Nocny Łowca, który zechciałby poślubić faerie, miałby zwyczajnie pecha.

Jednakże Helen Blackthorn była zgodnie z prawem Nocną Łowczynią, bez względu na to, jak wielu ludzi pogardało nią albo jej nie ufało z powodu domieszki krwi faerie. Ponadto Nocni Łowcy nigdy nie wpisali do swojego prawa, że nie można poślubić kogoś swojej płci. Pewnie wtedy jeszcze nikomu nawet nie przyszło na myśl, że taka opcja wchodzi w grę.

Zatem Helen i Aline mogły się pobrać podczas prawdziwej ceremonii Nocnych Łowców, mając za świadków swoją rodzinę i resztę świata. Nawet jeśli zaraz potem zostaną z powrotem wygnane, to zyskały chociaż tyle.

Nocni Łowcy – jak powiedziano Simonowi – przystępują do ślubu ubrani na złoto i umieszczają sobie nawzajem ślubne runy na sercach i rękach. Istniała też tradycja, podobna trochę do odprowadzania panny młodej do ołtarza, tyle że dotyczyła obu stron. Panna młoda i pan młody (a w tym wypadku obie panny młode) wybierali najważniejszą osobę z rodziny, czasem ojca, ale czasem matkę, *parabatai*, kogoś z rodzeństwa albo przyjaciela, a nawet własne dziecko lub seniora rodu i ten wybraniec, *suggenes*, oddawał oblubienicę lub oblubieńca ich drugiej połowie, którą z kolei witał w swojej rodzinie.

To nie zawsze było możliwe podczas ślubów Nocnych Łowców, bo zdarzało się, że całą rodzinę i wszystkich przyjaciół pożarł ogromny demon-wąż. Z Nocnymi Łowcami nigdy nic nie wiadomo. Jednak Simon uważał, że to piękne, że Jia Penhallow, Konsul i jeden z najważniejszych członków Clave, pełniła rolę *suggenes*, oddawała swoją córkę skalanej, skandalicznej rodzinie Blackthornów i przyjmowała Helen na łonie swojej rodziny.

Aline wykazała się odwagą, proponując to, a Jia – wyrażając zgodę. Simon uznał jednak, że Clave właściwie już wyгнаło córkę Jii. Co jeszcze mogli jej zrobić? A jak lepiej dopiec Clave, niż mówiąc, że Helen, pogardzana i wypędzona faerie, jest równie dobra jak córka Konsul?

„Z jakiej gliny ulepiono Nocnych Łowców, skoro porzucają

swoich ludzi, skoro odrzucają serce dziecka jak śmieci walające się na poboczu?”.

Julian odprowadzał Helen. Stał w swoim zdobionym złotem stroju z siostrą u boku, a jego oczy podobne do morza w słońcu błyszczały jak u każdego szczęśliwego dzieciaka. Jakby nie miał żadnych trosk.

Helen i Aline nosiły złote suknie. Złote nici błyszczały jak światło gwiazd w kruczonych włosach Aline. Obie były takie szczęśliwe, że ich twarze promieniały bardziej niż suknie. Stały pośrodku niczym bliźniacze słońca i przez chwilę wydawało się, że cały świat kręci się wokół nich.

Helen i Aline pewną dłonią narysowały sobie wzajemnie małżeńskie runy nad sercami. Kiedy Aline przyciągnęła jasną głowę Helen do pocałunku, w sali rozległy się oklaski.

– Dziękuję, że mogłyśmy się tu zjawić – szepnęła Helen, kiedy ceremonia się skończyła i obejmowała swoją teściową.

Jia objęła Helen i znacznie głośniejszym niż szeptem odpowiedziała:

– Przykro mi, że muszę pozwolić, by znowu was odesłano.

Simon nie powiedział Julianowi o spotkaniu z Markiem, tak samo jak nie powiedział Markowi, że Helen nie opiekuje się małymi Blackthornami. Uznał za straszliwe okrucieństwo obarczanie ich dodatkowym ciężarem, gdy już ledwie radzili sobie ze swoim brzemieniem. Lepiej skłamać, czego faerie nie mogły zrobić.

Kiedy jednak podszedł do Helen i Aline, żeby im powinszować, pocałował Helen w policzek i szepnął:

– Twój brat Mark przesyła pozdrowienia i życzy ci szczęścia.

Helen spojrzała na niego. Łzy napłynęły jej do oczu, ale uśmiechnęła się jeszcze promienniejszym niż dotąd.

Wszystko zmieni się dla Nocnych Łowców, pomyślał Simon. Dla nas wszystkich. Musi.

* * *

Simon otrzymał specjalne pozwolenie na przenocowanie w Idrisie, żeby nie wychodzić z wesela przed czasem.

Potem miały być tańce, ale na razie ludzie stali w grupkach i rozmawiali.

Helen i Aline siedziały na podłodze wśród Blackthornów jak dwa złote kwiaty, które wykiełkowały z ziemi i zakwitły. Tiberius opisywał Helen bardzo poważnym głosem, jak on i Julian przygotowywali się do ślubu.

– Omówiliśmy wszystkie możliwe scenariusze – wyjaśnił jej. – Jak byśmy odtwarzali zbrodnię, tyle że na odwrót. Dzięki temu dokładnie wiedziałem, co robić, bez względu na to, co się wydarzy.

– Musieliście się bardzo napracować – powiedziała Helen.

Tiberius pokiwał głową.

– Dzięki. Naprawdę to doceniam – dodała.

Ty był zadowolony. Dru uśmiechała się od ucha do ucha w swoim wianku i pociągała Helen za suknię, żeby zwróciła na nią uwagę. Simon pomyślał, że rzadko widuje równie szczęśliwych ludzi.

Starał się nie myśleć, ile dałby Mark, żeby móc się tu znaleźć.

– Chcesz przejść się ze mną i z Izzy nad rzekę? – zapytała Clary, szturchając go.

– Co, bez Jace'a?

– Ach, jego cały czas widuję – odpowiedziała Clary. – Nie to co mojego najlepszego przyjaciela.

Jace, który siedział i rozmawiał z Alekiem (Alekiem, który znowu nie odezwał się do Simona ani jednym słowem), posłał mu obraźliwy gest, kiedy Simon wychodził pod rękę z Isabelle i Clary. Simon nie dał się oszukać – wiedział, że Jace nie jest zły. Jace objął go na powitanie, a Simon zaczynał podejrzewać, że wcześniej nie byli kumplami, którzy się obejmują.

Najwyraźniej teraz się to zmieniło.

Simon, Isabelle i Clary poszli nad rzekę. W świetle księżyca

woda wyglądała jak czarny kryształ, a odległe demoniczne wieże jaśniały jak kolumny z księżycowego blasku. Alicante pięknie wyglądało zimą, filigranowe miasto, gdzie lód konkurował ze szkłem. Simon szedł trochę wolniej niż dziewczyny. Nie przywykł jak one do dziwności i magii miasta, o którego istnieniu nie wiedziała większość świata, do tego błyszczącego serca tajemnej i ukrytej krainy.

Za to przywykł już do Akademii. Niewątpliwie z czasem przywyknie do całego Idris.

Tyle się zmieniło, Simon także się zmienił. Jednak ostatecznie nie stracił niczego z tego, co było dla niego najcenniejsze. Odzyskał imię swojego serca.

Isabelle i Clary obejrzały się na niego. Szły tak blisko siebie, że kruczowłosy wodospad na plecach Isabelle mieszał się z ognistą poświatą loków Clary. Simon uśmiechnął się, wiedząc, jakim jest szczęściarzem w porównaniu z Markiem Blackthornem, oddzielonym od tych, których najbardziej kochał, w porównaniu z milionem ludzi, którzy nie wiedzieli, co kochają najbardziej.

– Idziesz?! – zawołała Isabelle.

– Tak. Już idę.

Miał szczęście, że je znał, miał szczęście, bo wiedział, czym dla niego są i czym on jest dla nich. Był kochany, pamiętany i nie zagubił się.

Próba ognia

Cassandra Clare i Maureen Johnson



Simon zaczął zastanawiać się nad ogniem. Ogień go nie lubił. Ogień wędrował.

To zakrawało na paranoję.

Na zewnątrz drzewa stały nagie, a trawa zbrązowiała. Wewnątrz nawet pleśń wycofała się do swoich zimowych kwater między kamieniami w piwnicznych ścianach. Nocni Łowcy nie uznawali centralnego ogrzewania. W Akademii były kominki, ale za blisko siebie i nigdy nie dość blisko ludzi. Gdziekolwiek Simon siadał, ogień zawsze płonął na drugim końcu pomieszczenia, trzaskając wesolutko. Elity zwykle pierwsze wpadały do sal i zajmowały miejsca blisko kominka. Jednak nawet kiedy tak się nie działo, nawet kiedy wszyscy wchodzili jednocześnie, Simon zawsze lądował najdalej od ognia. Kiedy człowiek marznie, trzaskające płomienie zaczynają brzmieć dla niego jak cichy, kpiący śmiech. Simon próbował pozbyć się z głowy tej myśli, bo przecież ogień nie śmiał się z niego.

Takie myśli dopiero zakrawałyby na paranoję.

W stołówce znajdowało się kilka kominków, ale George i Simon przestali próbować siąść w ich pobliżu. Simon miał dość innych trosk na głowie. Patrzył w talerz. Obiecał sobie, że z tym też skończy. Przestanie myśleć o jedzeniu. Miał je po prostu jeść. Nie mógł jednak się powstrzymać. Każdego wieczoru grzebał w kolacji. Dzisiejsza wyglądała jak chińska smaženina, ale najwyraźniej były w niej kawałki pieczywa. I papryczki. I coś czerwonego.

To była pizza. Ktoś podsmażył w woku pizzę.

– Nie! – wyrwało mu się.

– Co?

Jego współlokator, George Lovelace, już zjadał kolację. Simon tylko pokręcił głową. Tutejsze jedzenie nie wstrząsało George'em tak jak nim. W domu, w Brooklynie, gdyby Simon usłyszał, że ktoś odsmaża pizzę, nie zdenerwowałaby się. Uznałby, że jakaś modna restauracja postanowiła dokonać dekonstrukcji pizzy, ponieważ właśnie takie rzeczy wyczynia się w modnych restauracjach w Brooklynie. Uśmiełby się. Może w pewnym momencie taka pizza stałaby się popularna, pojawiłyby się stragany, z których by ją sprzedawano, i w końcu Simon by jej spróbował. Bo tak to działa w Brooklynie i ponieważ chodzi o pizzę. A co w najlepszym razie mógł teraz podejrzewać? Może ktoś upuścił pizzę albo pękła w trakcie pieczenia i z jakiegoś powodu uznano, że najlepiej będzie wrzucić ją na patelnię i zaimprovizować.

W gruncie rzeczy pizza nie stanowiła problemu. Kłopot polegał na tym, że przez nią zaczął myśleć o domu. Każdy Nowojorczyk skonfrontowany z kiepską pizzą wraca myślami do domu choćby na kilka chwil. Simon urodził się i wychował w Nowym Jorku, tak samo jak uczniowie z elity urodzili się i wychowali jako Nocni Łowcy. Gwar miasta stanowił jego część. Nowy Jork potrafił być równie brutalny jak Akademia. Simon wiedział, żeby wypatrywać szczurów na torach metra i przy obrzeżach placów. Nauczył się instynktownie błyskawicznie skręcać, żeby nie dać się ochlapać brudną śnieżną breją przez taksówki. Nie musiał nawet patrzeć pod nogi, żeby przechodzić nad kałużami zostawionymi przez psy.

Oczywiście były też miłsze rzeczy. Brakowało mu wychodzenia na most Brookliński wieczorami i patrzenia na miasto rozbłyskujące przed nocą, na wielgachne, wzniesione ludzką ręką góry, na rzekę płynącą w dole. Brakowało mu uczucia, że otacza go wielu ludzi, którzy dokonują niesamowitych rzeczy. Brakowało mu wrażenia, że wszystko to jest nieustającym wspaniałym przedstawieniem. Tęsknił za

rodziną i przyjaciółmi. Nadeszły właśnie święta i powinien być w domu. Matka pewnie już wyjęła menurę, którą pomalował na warsztatach ceramicznych jako dzieciak. Była kolorowa, ozdobiona grubymi, niechlujnymi maźnięciami niebieskiej, białej i srebrnej farby. Razem z siostrą zajmował się przygotowywaniem placków ziemniaczanych. Usiedliby razem na sofie i wymieniali się prezentami. Wszyscy, na których mu zależało, znajdowałiby się raptem spacerem od niego albo co najwyżej o jeden przystanek metrem.

– Znowu masz tę minę – zauważył George.

– Przepraszam – wybąkał Simon.

– Nie przepraszaj. Masz prawo być smutny. Są święta, a my siedzimy tutaj.

To właśnie było piękne w George'u – zawsze rozumiał i nigdy nie oceniał. Akademia Nocnych Łowców miała wiele minusów, ale George wynagradzał mu większość. Simon już wcześniej miał świetnych kumpli. George był jak brat. Mieszkali w jednym pokoju. Dzielili się cierpieniami, drobnymi triumfami i potwornymi posiłkami. W przesiąkniętej rywalizacją Akademii George zawsze go wspierał. Nigdy nie cieszył się z tego, że robi coś lepiej od Simona (a ponieważ był zbudowany jak pomniejszy grecki bóg, zwykle doskonale radził sobie ze wszystkim, co wiązało się z fizyczną aktywnością). Simon poczuł, że nastrój mu się trochę poprawił. Już to, że George zna jego myśli, fakt, że ma tu przyjaciół, zmieniał wszystko.

– Co ona tu robi? – zapytał George, kiwając głową w stronę kogoś za plecami Simona.

Dziewkana Penhallow pojawiła się na drugim końcu pomieszczenia (w pobliżu rozchichotanego ognia). Zwykle nie przychodziła na kolację do stołówki. Nigdy nawet nie zbliżała się do tego miejsca.

– Proszę o uwagę! – zawołała. – Mam wspaniałą wiadomość dla wszystkich uczniów Akademii. Julie Beauvale. Beatriz Mendoza.

Podejdźcie, proszę.

Julie i Beatriz wstały jednocześnie i spojrzały na siebie z uśmiechem. Simon widział już takie uśmiechy i zsynchronizowane ruchy. Zupełnie jak Jace i Alec. Obie przeszły przez stołówkę. Krzesła zgrzytały o podłogę, kiedy ludzie odsuwali się, żeby dać im przejść, i rozległy się ciche szmery. Ogień śmiał się, śmiał, trzaskał i śmiał. Kiedy doszły na drugi koniec stołówki, dziekan je objęła i we trójkę spojrzały na uczniów.

– Z przyjemnością ogłaszam, że Julie i Beatriz postanowiły zostać *parabatai*.

Zgromadzeni zaczęli klaskać. Kilka osób wstało, głównie dzieciaki z elity, pokrzykując i pogwizdując. Dziekan pozwalała na to przez chwilę, a potem uniosła rękę.

– Jak wiecie, ceremonia *parabatai* to poważne zobowiązanie, więź, którą zerwać może tylko śmierć. Wiem, że ta wiadomość sprawi, że wielu z was zacznie się zastanawiać, czy też znajdzie swojego *parabatai*. Nie wszyscy Nocni Łowcy go mają i nawet nie wszyscy tego chcą. Co więcej, większość z was nie będzie miała *parabatai*. To bardzo ważne, abyście o tym pamiętali. Jeśli czujecie jak Julie i Beatriz, że znaleźliście swojego *parabatai*, jeżeli chcecie porozmawiać z kimś o ceremonii albo jej znaczeniu, zawsze możecie zwrócić się do kogoś z nas. Wszyscy jesteśmy tutaj, żeby pomóc wam podjąć najważniejsze decyzje. W każdym razie raz jeszcze gratuluję Julie i Beatriz. Na ich cześć dziś wieczorem będzie tort.

Kiedy to powiedziała, kucharze Akademii – przyczajone wcielone zło – wnieśli wielki i krzywy tort.

– Możecie wrócić do kolacji i częstujcie się, proszę, tortem.

– A to co znowu? – zdumiał się George. – Te dwie? *Parabatai*?

Simon pokręcił głową. Rodziny Nocnych Łowców spletały się ze sobą jak winorośle. Łatwiej znaleźć partnera na całe życie, kiedy zaczynasz szukać od urodzenia. Wielu uczniów z Akademii

nie znało się. Julie i Beatriz, które należały do kursu elit, sporo łączyło, ale Simon nie miał pojęcia, że są sobie tak bliskie.

– To dopiero niespodzianka – powiedział cicho George. – Nic ci nie jest?

Simon odebrał to jak cios. Zastanawiał się nad tym, czy nie poprosić Clary, żeby została jego *parabatai*. Ale *parabatai* byli jak Alec i Jace, trenowali ze sobą od dziecka jako Nocni Łowcy. Pewnie, że Simon i Clary znali się równie długo, ale nie rzucali razem nożami, walcząc z demonami (jedynie w grach wideo, ale niestety one się nie liczyły). Simon zaczął przenosić w myślach ideę *parabatai* do kategorii rzeczy, które pewnie nigdy mu się nie przydarzą. Cały czas trenował. Nie widywał jej. Był...

...świąteczny w wymyślaniu wymówek.

Stchórzył. Widział, jak jego urodziny nadchodzą, jakby patrzył na ogromny zegar odliczający dni. Każdego dnia mówił sobie, że jest za późno. Clary zjawiała się dzień przed jego urodzinami ze zbiorowym wydaniem „Sandmana” w prezencie. Wtedy odliczanie się skończyło. Dzwonek rozległ się w jego głowie. Skończył dziewiętnaście lat.

Próbował przestać o tym myśleć. Teraz jednak, patrząc na tę parę nowych *parabatai*, przykopał sobie w myślach.

– To nie jest dla każdego – powiedział George. – Daj spokój. Skończ kolację, wrócimy do pokoju i opowiesz mi coś więcej o „Firefly”.

Wieczorami Simon pogłębiał kulturalną edukację George’a, opowiadając mu po kolei wszystkie odcinki serialu „Firefly”. To się stało przyjemnym rytuałem, ale on też zmierzał do końca. Został im tylko jeden odcinek.

Zanim zdążyli wyjść, pani dziekan zatrzymała się przy ich stoliku, idąc przez stołówkę.

– Simonie Lewisie, mogę cię prosić na chwilę?

Uczniowie siedzący przy innych stołach zerkali w ich stronę. George wbił wzrok w odsmażaną pizzę.

– Pewnie – powiedział Simon. – Mam kłopoty?

– Nie – odpowiedziała beznamyślnie dziekan. – To nie kłopoty.

Simon odsunął się z krzesłem i wstał.

– Zobaczymy się w pokoju, dobra? – powiedział George. – Wezmę dla ciebie kawałek tortu.

– Jasne.

Wiele osób obserwowało, jak Simon wychodzi, bo tak to jest, kiedy dziekan wyciąga cię ze stołówki w środku kolacji. Jednakże większość uczniów z elitarnego kursu zgromadziła się wokół Julie i Beatriz. Rozlegały się śmiechy, piski i wszyscy bardzo głośno rozmawiali. Simon obszedł ich, idąc za panią dziekan.

– Tędy – powiedziała.

Simon spróbował zatrzymać się przy ogniu na sekundę, ale dziekan już szła w stronę drzwi, z których korzystali nauczyciele. Nauczyciele rzadko jadali z uczniami. Najwyraźniej gdzieś w Akademii znajdowała się druga jadalnia. Tylko Catarina Loss przychodziła tu regularnie, a Simon miał wrażenie, że wołała dzielnie znosić potworne jedzenie dla uczniów niż siedzieć z gromadką Nocnych Łowców w osobnym pomieszczeniu.

Simon nigdy nie był w korytarzu, którym prowadziła go dziekan. Był słabiej oświetlony od tych, z których korzystali uczniowie. Gobeliny wiszące na kamiennych ścianach były równie poprzecierane jak wszystkie inne w szkole, ale wyglądały też na cenniejsze. Kolory były żywsze, a złote nici lśniły jak prawdziwe złoto. Na ścianach wisiała też broń. Broń uczniów znajdowała się w zbrojowni i była zabezpieczona odpowiednio, żeby pozostała na swoim miejscu. Żeby wziąć miecz, trzeba było odpiąć kilka pasków. Tu broń umieszczono na prostych wieszakach i można było ją zerwać w okamgnieniu.

Po kilku krokach hałasy ze stołówki przycichły i wokół nich zapadła cisza. Wzdłuż korytarza zauważył kilkoro zamkniętych drzwi. Cisza przytłaczała Simona.

– Dokąd idziemy? – spytał.

– Do salonu.

Simon wyglądał przez mijane okna. Składały się z małych szybek połączonych ołowiem. Każdy szklany romb był stary i krzywy, w efekcie patrzyło się przez nie jak przez stary kalejdoskop, który ukazywał tylko ciemność i prószący śnieżek. Płatki nie odkładały się na ziemi, a jedynie przyprószały suchą trawę. Simon uznał, że tego rodzaju opad to „śnieg irytujący”.

Doszli do zakrętu. Dziekan otworzyła pierwsze drzwi za rogiem. Ukazał im się mały, ale piękny pokój z meblami, które nie były ani trochę połamane czy poprzecierane. Wszystkie krzesła w pomieszczeniu miały tej samej długości nogi, kanapy były szerokie i wyglądały na wygodne, bez zapadniętych miejsc czy wystającej wyściółki. Całą tapicerkę wykonano z puszystego aksamitu w kolorze fioletowych winogron. Stał tam niski stolik z drzewa wiśniowego, a na nim rozstawiono solidny i bardzo ozdobny srebrny serwis do herbaty z porcelanowymi filiżankami. Wokół stolika na pięknej roboty krzesłach i sofach siedzieli Magnus Bane, Jem Carstairs, Catarina Loss i Clary. Jej rude włosy odcinały się od jasnoniebieskiego swetra. Magnus i Catarina siedzieli razem (blisko ognia, czyli na drugim końcu pokoju, rzecz jasna). Clary podniosła wzrok na Simona i chociaż od razu się uśmiechnęła na jego widok, to z jej miny wyczytał, że zaproszono ją na to spotkanie dość nagle i bez stosownych wyjaśnień.

– Simonie – powiedział Jem. – Miło cię widzieć. Siadaj, proszę.

Simon tylko kilka razy spotkał Jema Carstairsa, który najwyraźniej był równie stary jak jego żona Tessa Gray. Oboje wyglądali rewelacyjnie jak na sto pięćdziesiąt lat. Tessa prezentowała się wręcz seksownie. (Może Jem też? Simon po raz kolejny pomyślał, że pewnie nie jest najlepszym sędzią męskiej urody). Czy to dziwne, myśleć, że ludzie, którzy są dwa razy starsi od twoich dziadków, świetnie wyglądają?

– Zostawię was – powiedziała dziekan i znowu coś dziwnego

pojawiło się w jej tonie.

Jakby powiedziała: „Daję wam tego martwego węża”. Zamknęła drzwi.

– Właśnie robimy herbatę – powiedział Magnus. Odmierzał łyżeczki sypanej herbaty do sitka w imbryczku. – Po jednej na każdą filiżankę i jedną dla imbryczka.

Odstawił małą puszkę z herbatą, podniósł jeden z dużych srebrnych dzbanków i nalał wrzątku do imbryczka. Catarina obserwowała go z przedziwną fascynacją.

Jem wyglądał bardzo dobrze w białym swetrze i ciemnych dżinsach. W czarnych włosach miał jedno dramatyczne siwe pasmo, które odcinało się na tle ciemnej skóry.

– Jak ci idzie trening? – zapytał, pochylając się ku Simonowi.

– Mniej się siniacze – odparł Simon, wzruszając ramionami.

– To doskonale. To znaczy, że pewniej stoisz i częściej unikasz trafień.

– Serio? Myślałem, że to z powodu wewnętrznej martwicy.

Magnus nagle upuścił z głośnym brzękiem przykrywkę od puszki z herbatą.

– Wybacz nam, że przeszkodziłeś ci w kolacji – rzekł Jem. Mówił bardzo oficjalnie i tylko to zdradzało jego prawdziwy wiek.

– Nie ma tu nic do wybaczenia – mruknął Simon.

– Rozumiem, że jedzenie w Akademii nie jest jej najmocniejszą stroną.

– Nie wiem, czy Akademia ma jakieś mocne strony.

Jem się uśmiechnął i cała jego twarz się rozpromieniła.

– Mamy ciasteczka i bułeczki. Chyba są nieco lepsze od tego, do czego obecnie przywykłeś.

Wskazał porcelanowy talerz z ciasteczkami i bułeczkami, które wyglądały na jadalne. Simon się nie zawahał. Porwał najbliższą bułeczkę i wepchnął do ust. Była trochę sucha, ale smakowała lepiej niż wszystko, co ostatnio jadł. Wiedział, że okruszki sypią

mu się z ust na ciemną koszulkę, ale w ogóle się tym nie przejął.

– No dobrze, Magnusie – odezwała się Clary. – Powiedziałeś, że wyjaśnisz, co tu robię, kiedy przyjdzie Simon. Oczywiście cieszę się, że cię widzę, ale zaczynam się denerwować.

Simon skinął głową i przeżuł bułeczkę, pokazując, że zgadza się z Clary i popiera ją w stu procentach, jak to powinno być między najlepszymi przyjaciółmi. Przynajmniej miał nadzieję, że właśnie temu daje wyraz.

Magnus się wyprostował. Kiedy bardzo wysoki czarownik o kocich oczach prostuje się, to zmienia się nastrój w całym pokoju. Nagle dało się odczuć, że spotkanie ma poważny cel, a w pokoju krąży dziwna energia. Catarina zapadła się głębiej w sofę, znikając w cieniu Magnusa. To nie w jej stylu tak milczeć. Catarina była niebieskim głosem rozsądku i łagodnego buntu w świętych murach Akademii.

– Poproszono mnie, bym wam obojgu przekazał wiadomość – powiedział Magnus, okręcając na palcu jeden z licznych pierścieni zdobiących jego smukłe dłonie. – Emma Carstairs i Julian Blackthorn mają zostać *parabatai*. Ceremonia wymaga dwójki świadków i poprosili, żebyście wy dwoje nimi zostali.

Clary uniosła brew i spojrzała na Simona.

– Oczywiście – powiedziała. – Emma jest kochana. Z całym przekonaniem się zgadzam.

Simon właśnie sięgał po kolejną bułeczkę. Cofnął rękę.

– Oczywiście – powiedział. – Ja też. Ale dlaczego nie przysłali listu?

Magnus zawahał się i spojrzał na Catarinę, a potem mrugnął do Simona.

– Po co wysyłać list, kiedy można wysłać kogoś naprawdę olśniewającego?

To był tekst zdecydowanie w stylu Magnusa, ale zabrzmiał nieco pusto. Sam Magnus wydawał się nieco pusty. A może tylko jego głos?

– Ceremonia odbędzie się jutro w Cichym Mieście – powiedział Jem. – Już uzyskaliśmy zgodę na waszą obecność.

– Jutro? – spytała Clary. – I dopiero teraz nas poproszono?

Magnus wzruszył ramionami, sugerując, że tak to czasem bywa.

– Co musimy zrobić? – zapytał Simon. – To skomplikowane?

– W żadnym razie – zapewnił go Jem. – Rola świadków jest głównie symboliczna, jak na ślubie. Nie musicie niczego mówić. Wystarczy, że będziecie z nimi stali. Emma wybrała Clary...

– To rozumiem – odrzekł Simon – ale Julian nie wybrałby mnie. Prawie się nie znamy. Dlaczego nie Jace?

– Bo z nim Julian też nie jest szczególnie blisko – wyjaśnił Jem – a Emma zasugerowała, że skoro ty i Clary jesteście najlepszymi przyjaciółmi, to ma sens, abyście oboje byli świadkami. Julian się zgodził.

Simon skinął głową, jakby to rozumiał, ale tak naprawdę to nie miał pewności. Pamiętał, jak nie tak dawno temu rozmawiał z Julianem na ślubie Helen i Aline. Pomyślał wtedy, że chłopak dźwiga wielkie brzemię na swoich szczupłych ramionach i bardzo wiele rzeczy próbuje ukryć, schować w sobie. Może po prostu Julian nie miał nikogo innego na tyle bliskiego, żeby poprosić go na świadka? Nikogo, kogo by podziwiał. Jeśli tak, to byłoby to niesłychanie smutne.

– W każdym razie staniecie z nimi, kiedy będą przechodzić Próbę Ognia.

– Co proszę?! – wyrwało się Simonowi.

– Tak brzmi prawdziwa nazwa ceremonii – powiedział Jem. – *Parabatai* stają wewnątrz kręgów ognia.

– Herbata jest gotowa – oznajmił nagle Magnus. – Nigdy nie wolno jej parzyć dłużej niż pięć minut. Czas się napić.

Nalał dwie filiżanki z małego dzbanuszką.

– Są tylko dwie – powiedziała Clary. – A co z wami?

– Imbryczek jest mały. Zrobię następną. Te dwie są dla was.

Pijcie.

Podano im filiżanki.

Clary wzruszyła ramionami i wypła łyk. Simon także. To była wspaniała, nadzwyczajna herbata. Może dlatego Anglicy tak się ekscytują herbatą. Miała krystaliczny smak. Rozgrzała mu całe ciało. W pokoju nie było już zimno.

– Jest naprawdę dobra – powiedział. – Właściwie nie pijam herbaty, ale ta mi smakuje. Podają nam tu czasem herbatę, ale raz znalazłem w niej kość, a to była jedna z najlepszych herbat, jakie tu piłem.

Clary się roześmiała.

– Co powinniśmy włożyć? – zapytała. – Znaczy jako świadkowie?

– Na samą ceremonię galowy strój bojowy. Na późniejszą kolację zwykle ubranie. Coś ładnego.

– Jak na ślub – odezwała się wreszcie Catarina. – To prawie jak ślub, tyle że...

– ...bez miłości i kwiatów – dokończył Jem.

Magnus przyglądał im się teraz bacznie, a jego kocie oczy błyszczały w ciemności. W pokoju zrobiło się rzeczywiście ciemno. Simon rzucił Clary spojrzenie, które miało mówić „To dziwne”. A ona odpowiedziała mu bardzo wymownym spojrzeniem mówiącym „Arcydziewne”.

Simon dopił herbatę kilkoma dużymi łykami i odstawił filiżankę.

– To zabawne – powiedział. – Właśnie podczas kolacji ogłoszono jeszcze jedną parę, która zostanie *parabatai*. To dwie uczennice z kursu elitarnego.

– To częste o tej porze roku – odpowiedział Jem. – W miarę jak zbliża się koniec roku, ludzie zastanawiają się i podejmują decyzje.

W pokoju nagle zrobiło się cieplej. Ogień zapłonął mocniej? Podkradł się bliżej? Z całą pewnością głośno trzasnął, ale teraz to

nie brzmiało jak śmiech, ale jak tłuczone szkło. Ogień do nich mówił.

Simon zamarł. Ogień mówił?! Odbija mi? Rozejrzał się nieprzytomnie i usłyszał, że Clary wyrwał się zduszony okrzyk zdziwienia, jakby zobaczyła coś nieoczekiwanego.

– Chyba czas zacząć – powiedział Jem. – Magnus?

Simon usłyszał, jak Magnus wzdycha i wstaje. Był naprawdę wysoki. Simon zawsze to wiedział. Teraz wyglądał, jakby mógł zahaczyć o sufit. Otworzył drzwi, których wcześniej Simon nawet nie zauważył.

– Przejdźcie tędy – powiedział Magnus. – Musicie coś zobaczyć.

Clary wstała i wyszła. Simon poszedł za nią. Catarina pochwyciła jego spojrzenie po drodze. W tym pokoju wiele przemilczano. Catarina nie pochwaliała do końca tego, co się działo. Podobnie jak Magnus.

Cokolwiek znajdowało się za drzwiami, panowała tam całkowita ciemność i Clary wahała się sekundę.

– Bez obaw – powiedział Magnus. – Jest tam trochę zimno. Przykro mi.

Clary weszła w ciemność, a Simon szedł krok za nią. Znaleźli się w cienistym miejscu, gdzie bez wątpienia było zimno. Odwrócił się, ale nie widział już drzwi. Zostali tylko we dwoje. Włosy Clary promieniały w ciemności czerwienią.

– Jesteśmy na dworze – powiedziała.

Rzeczywiście. Simon zamrugął. Jego myśli były powolne i dziwnie rozciągnięte. No jasne, że znajdowali się na dworze.

– Mogli nam powiedzieć, że wychodzimy – odrzekł Simon, drżąc. – Nikt tu nie uznaje płaszczy.

– Odwróć się – powiedziała Clary.

Simon się odwrócił. Drzwi, przez które przeszli, a właściwie to cały budynek, z którego właśnie wyszli, przepadł. Znajdowali się na dworze wśród kilku drzew. Niebo w górze było jak fioletowoszary pergamin i wydawało się podświetlone przez niską lunę

świateł na horyzoncie, tuż poza ich polem widzenia. Wokół otaczała ich pajęczyna ceglanych ścieżek upstrzona odgrodzonymi miejscami z drzewami i donicami, w których pewnie w czasie lepszej pogody kwitły kwiaty, a które teraz przypominały tylko minione lato.

Miejsce wyglądało znajomo, a jednak nie przypominało żadnego, w którym Simon był.

– Jesteśmy w Central Parku – powiedziała Clary. – Chyba...

– Co? Jesteśmy...

Kiedy to powiedział, wszystko stało się jasne. Niskie metalowe płotki odgradzające ceglane ścieżki. Tyle że nie brakowało ławek, koszy na śmieci i ludzi. Nigdzie nie było widać wieżowców.

– W porządku... – powiedział Simon. – To jest dziwne. Magnus właśnie coś totalnie schrzanił? Czy to możliwe? Dopiero co przenieśliście się z Nowego Jorku. Czyżby otworzył tę samą Bramę?

– Może?

Simon głęboko odetchnął nowojorskim powietrzem. Było przejmująco zimne i piekło go w nos. Rozbudzało go.

– Zaraz się zorientują – powiedziała Clary, drżąc z zimna. – Magnus nie popełnia błędów.

– Może to nie był błąd. Może właśnie otrzymaliśmy darmową wycieczkę do Nowego Jorku. A w każdym razie ja. Zakładam, że możemy pójść, dokąd zechcemy, dopóki się po nas nie zjawią. Znasz ich. Równie dobrze możemy wykorzystać sytuację!

Ta niespodziewana i całkiem nagła podróż do domu ożywiła Simona.

– Pizza – powiedział. – O, Boże. Podali nam dziś smażoną pizzę. Coś potwornego. I może kawa. Może zdążymy do Forbidden Planet? Tylko...

Poklepał się po kieszeniach. Pieniądze. Nie miał pieniędzy.

– A ty? – spytał.

Clary pokręciła głową.

– W torebce. Którą zostawiłam.

To nie miało znaczenia. Wystarczyło, że znalazł się w domu. Nagłość tego wydarzenia tylko zwiększała jego cudowność. Teraz, kiedy rozejrzył się trochę uważniej, dostrzegł zarys wieżowców, które wznosiły się za południowym krańcem parku. Wyglądały całkiem jak klocki, którymi bawił się jako dzieciak – szereg prostopadłościanów różnej wielkości ustawionych obok siebie. Dostrzegał na nich słabą poświatę napisów, ale nie potrafił ich odczytać. Za to ich kolory dostrzegał z niezwykłą wręcz wyrazistością. Jeden był różany, jaskrawy jak kwiat. Sąsiedni był w kolorze elektryczności. I nie tylko kolory odbierał wyraźnie. Wyczuwał w powietrzu wszelkie zapachy. Metaliczny zapach mrozu. Morski odór East River płynącej wiele przecznic dalej. Nawet sterczące kawałki podłoża skalnego, które tworzyły wielegórek w Central Parku, miały swój aromat. Nie czuł za to śmieci ani zapachów jedzenia i ruchu ulicznego. To był Nowy Jork w stanie podstawowym. Sama wyspa.

– Trochę dziwnie się czuję – powiedział Simon. – Może powinienem był dokończyć kolację. A kiedy teraz już to powiedziałem, wiem, że coś musi być ze mną nie tak.

– Musisz jeść – odpowiedziała Clary, szturchając go lekko. – Zamieniasz się w wielkiego mięśniaka.

– Zauważyłaś?

– Trudno tego nie zauważyć, Supermanie. Wyglądasz jak „zdjęcie po” w reklamie domowych przyrządów treningowych.

Simon zarumienił się i odwrócił wzrok. Już nie śnieżyło. Było ciemno i przestronnie, a wokół rosło wiele drzew. Mróz był przenikliwy.

– Jak myślisz, gdzie jesteśmy? – spytała Clary. – Domyślam się, że gdzieś... pośrodku?

Simon wiedział, że można spacerować dłuższą chwilę po Central Parku i nie wiedzieć, gdzie się właściwie jest. Ścieżki zakręcają. Drzewa tworzą zielony baldachim. Ziemia wznosi się

i opada stromo.

– Tam – powiedział, wskazując niski wzór z cieni. – Tam jest przejście. Dokądś prowadzi. Podejdźmy i zobaczymy dokąd.

Clary zatarła ręce i objęła się na chłodzie. Simon żałował, że nie ma kurtki, którą mógłby jej oddać, prawie równie mocno, jak chciałby mieć kurtkę dla siebie. Mimo wszystko przyjemniej marzło się w Nowym Jorku niż w Akademii. Musiał jednak przyznać, że klimat Idrisu był bardziej umiarkowany. Pogoda w Nowym Jorku często przechodziła w skrajności. Panował mróz, na którym można było nabawić się odmrożeń. Powinni pewnie zorientować się, gdzie się znajdują, wyjść z parku i schronić się w jakimś budynku, jakimkolwiek. W sklepie, kawiarni, cokolwiek znajdą.

Podeszli do otwartej przestrzeni, która okazała się zbiorem bogato rzeźbionych kamiennych cokołów. Stało ich kilka kompletów. Doprowadziły ich do równie bogato rzeźbionej klatki schodowej, która, zakręcając, prowadziła na szeroki taras z wielką fontanną. Dalej znajdowało się pokryte lodem jezioro.

– Bethesda Terrace – powiedział Simon, kiwając głową. – Tu jesteśmy. To jedna z ulic Siedemdziesiątych, prawda?

– Siedemdziesiąta Druga – przytaknęła Clary. – Rysowałam to miejsce.

Taras był rozległą ozdobną przestrzenią w parku, ale nie najlepszym miejscem podczas zimnej nocy. Niestety najwyraźniej nie mieli dużego wyboru. Idąc w jego kierunku, wiedzieliby przynajmniej, gdzie się znajdują, inaczej niż gdyby wędrowali wśród drzew krętymi ścieżkami. Zeszli razem po schodach. Co dziwne, fontanna działała. Często wyłączano ją zimą, a już na pewno podczas tak dużych mrozów. Woda jednak płynęła swobodnie, a lód nie ściał wody w misie u jej podstawy. Światła paliły się i były skierowane na posąg anioła, który stał na szczycie fontanny i cztery małe cherubiny.

– Może Magnus jednak coś schrzanił – powiedziała Clary.

Podeszła do fontanny i usiadła na krawędzi, obejmując się rękami. Simon zapatrzył się na fontannę. To zabawne, jak jeszcze kilka minut temu, gdy podchodzili, nie zauważył żadnych świateł. Może dopiero teraz się zapaliły. Anioł z Fontanny Bethesda był jedną z najświetniejszych rzeźb w Central Parku. Stał z rozłożonymi skrzydłami, a z jego wyciągniętych rąk wylewała się woda.

Simon odwrócił głowę, żeby powiedzieć Clary, by spojrzała na posąg, ale ona przepadła. Obrócił się. Nigdzie nie było jej widać.

– Clary? – zawołał.

Na tarasie nie było tak naprawdę gdzie się schować, a on odwrócił wzrok tylko na chwilę. Obszedł do połowy fontannę, kilka razy wołając Clary. Znowu spojrzał na posąg. Nie zmienił się – ta sama postać patrzyła życzliwie, a z jej rąk płynęła woda.

Tyle że patrzyła w jego stronę. Simon więc poszedł w drugą stronę. Teraz powinien widzieć plecy anioła. Cofnął się kilka kroków. Choć ani razu nie zauważył żadnego ruchu, przy każdym kroku posąg patrzył prosto na niego z łagodnym, pustym i anielskim wyrazem twarzy.

Coś zaskoczyło w głowie Simona.

– Jestem niemal pewien, że to nie dzieje się naprawdę – powiedział. – Niemal pewien.

Dowody wydawały się teraz wręcz idiotycznie oczywiste. Geografia parku odrobinę się nie zgadzała. Przyglądał się chwilę barwnemu, jarzącemu się niebu, wypełnionemu teraz przez wyblakłe chmury rozmiarów stanów. Przesuwały się po niebie, jakby obserwowały jego poczynania z fascynacją przejeżdżających obok kierowców. Był przekonany, że czuje zapach Oceanu Atlantyckiego, kamieni i skał.

– Magnus! – krzyknął. – Jaja sobie robisz? Magnus! Jem! Catarina!

Nie było Magnusa. Ani Jema. Ani Catariny. Ani Clary.

– No dobrze – powiedział do siebie Simon. – Bywałeś

w gorszych sytuacjach niż ta. To jest zwyczajnie dziwne. I tyle. Po prostu dziwne. Po prostu bardzo, bardzo dziwne. Dziwne to nic złego. Dziwne to zwykła rzecz. Jestem w jakimś śnie. Coś się stało. Rozgryzę to. Co bym zrobił, gdyby to było D&D?

To było równie dobre pytanie jak każde inne, tyle że odpowiedź wiązała się z rzuceniem dwudziestościenną kostką, więc może nie było tak całkiem pomocne.

– To pułapka? Dlaczego wrzuciliby nas do pułapki? To musi być gra. Łamigłówka. Gdyby Clary miała kłopoty, wiedziałbym.

To było ciekawe. Zyskał nagle i całkowite przekonanie, że gdyby Clary coś się stało, on by o tym wiedział. A niczego nie wyczuwał. Czuł za to jej brak i chęć jej odnalezienia.

Kiedy uświadomił sobie tę myśl, wydarzyła się bardzo niezwykła rzecz, a mianowicie wielki kamienny anioł z fontanny zatrzepotał skrzydłami i wzbił się w nocne niebo. Gdy wzleciał, podstawa fontanny nadal była połączona z jego stopami, więc wyrwał ją z ziemi jak roślinę. Potężny zbiornik fontanny zaczął się unosić w niebo. Cegły i zaprawa pękały, sieć rur wyszła na wierzch, dziura w ziemi gwałtownie wypełniła się wodą. Cały lód na jeziorze pękł i woda zaczęła zalewać taras. Simon cofnął się do schodów, kiedy woda się przelała. Cofał się powoli, krok za krokiem, aż poziom wody się wyrównał. Jezioro teraz pochłonęło taras na wysokość ośmiu stopni. Fontanna i anioł przepadły.

– To jest dziwniejsze niż zwykle – uznał Simon.

Kiedy to powiedział, jakiś dźwięk przeszył noc. To był akord, czysta i grzmiąca harmonia wstrząsająca kosteczkami w jego uchu, od której dosłownie kolana pod nim zadygotały. Chmury się rozproszyły, jakby były przestraszone, i w górze zaświecił księżyc w pełni. Simon musiał osłonić oczy przed jego blaskiem.

Zobaczył łódź wiosłową. To już nie było takie tajemnicze – uwolniła się ze znajdującej się nieopodal szopy na łodzie. Wszystkie łodzie pływały teraz swobodnie, podekscytowane, że mogą same wypuścić się w taki wieczór. Jednak ta łódka

dopłynęła aż do Simona i zatrzymała się obok miejsca, w którym stał.

Ponadto ta, w przeciwieństwie do pozostałych, miała kształt łabędzia.

– Rozumiem, że powinienem do niej wsiąść – powiedział, wzdrygając się, na wypadek gdyby niebo znowu zamierzało wydać jeden z tych straszliwych dźwięków. Niebo nie odpowiedziało, więc Simon złapał obiema rękami szyję łabędzia, ostrożnie wszedł do łodzi i usiadł. Woda nie mogła być bardzo głęboka. Z pewnością będzie w stanie w niej stanąć, jeśli łódka wywróci się do góry nogami. Jednak mimo wszystko – mroźna noc, latająca fontanna, magiczna łódź i zaginiona Clary. Nie miało sensu dodawać do tego jeszcze wpadania do zimnej wody.

Kiedy tylko usiadł, mała łódka ruszyła, jakby wiedziała, że musi gdzieś dopłynąć. Podryfowała na jezioro, omijając inne łodzie. Simon objął się rękami, obserwując ten zimny i spokojny rejs po jeziorze. Powierzchnia była doskonale gładka, odbijała księżyc i chmury. Simon nigdy do tej pory tego nie robił. Miał wrażenie, że pływanie łódką po Central Parku to atrakcja tylko dla turystów. Tyle że w jego wspomnieniach jezioro było względnie małe i raczej szerokie. Zdziwił się, kiedy nagle zwężyło się i zamieniło w kanał pod gęstym splotem konarów. Gdy znalazł się pod drzewami, przez kilka minut nie było absolutnie żadnego światła. A potem nagle wszystko się rozświetliło – rzędy nadzwyczajnie jasnych żarówek ciągnęły się wzdłuż kanału, a przed nim znajdował się niski tunel z układającymi się w łuk słowami z żarówek: „Tunel Miłości”. Jaskraworóżowe serca okalały słowa.

– To jakiś żart – powiedział w swoim odczuciu po raz milionowy Simon.

Powietrze było teraz gęste od zapachu prażonej kukurydzy i morza, z wesołego miasteczka dobiegały dźwięki karuzel. Łódka-łabędź podskoczyła, jakby znalazła się na torach, które

prowadziły do tunelu. Simon wjechał do środka. Światło za nim przygasło, a w tunelu jarzyła się delikatna niebieskawa poświata. Grała jakaś nieokreślona poważna muzyka pełna smyczków. Łódź mknęła po torze. Na ścianach namalowano staroświeckie scenki z kochankami – całującymi się parami na huśtawce na ganku, kobietami wylegającymi się na sierpie księżycy, sympatiami pochylającymi się nad napojem gazowanym, żeby się pocałować. Woda była podświetlona od dołu i jarzyła się na zielono, jej blask odbijał się od sklepienia. Simon wyjrzał z łódki, żeby zobaczyć, jak jest tam głęboko albo czy coś się pod nim znajduje, ale woda wyglądała na płytką, jak w każdym tego typu tunelu.

– To dziwne miejsce na spotkanie – rozległ się głos.

Simon odwrócił się i zobaczył, że płynie teraz w łódce razem z Jace'em, który stoi na dziobie i opiera się o łabędzią głowę. Jak zwykle zachowywał niezachwianą równowagę, więc łódź się nie kołysała.

– No dobrze – powiedział Simon – sytuacja naprawdę przybrała obrót, jakiego się nie spodziewałem.

Jace wzruszył ramionami i rozejrzał się po tunelu.

– Może kiedyś takie miejsce miało sens. Pewnie sporo się ryzykowało, płynąc taką łódką. Całe cztery minuty macanek bez przyzwoitki.

Słowo „macanki” brzmiało fatalnie. Gdy padło z ust Jace'a, osiągnęło całkiem nowy poziom okropieństwa.

– To jak? – spytał Jace. – Chcesz porozmawiać czy ja mam mówić?

– O czym?

Jace wskazał na tunel wokół nich, jakby to było oczywiste.

– Nie pocałuję cię. Za nic – zastrzegł się Simon.

– Pierwszy raz usłyszałem te słowa – odparł Jace. – To jedyne w swoim rodzaju doświadczenie.

– Przykro mi. – Simonowi nie było ani trochę przykro. – Gdyby

podobali mi się faceci, wątpię, żebyś znalazł się w pierwszej dziesiątce.

Jace puścił głowę łabędzia i usiadł obok Simona.

– Pamiętam, jak się poznaliśmy. A ty?

– Grasz ze mną w grę pod tytułem „Co pamiętasz”? Masz klasę.

– To nie gra. Widziałem cię. Ty mnie nie. Ale ja widziałem. Widziałem wszystko.

– To zabawne – powiedział Simon. – Ty, ja i tunel „o czym ty, do cholery, mówisz”.

– Musisz spróbować to sobie przypomnieć – naciskał Jace. – To ważne. Musisz przypomnieć sobie, jak się poznaliśmy.

Cokolwiek to było – sen, jakiś odmienny stan świadomości – zmierzało w coraz dziwniejszym kierunku.

– Jak to jest, że zawsze wszystko kręci się wokół ciebie?

– Tu wcale nie chodzi o mnie. Chodzi o to, co widziałem. O to, co wiesz. Możesz tam dotrzeć. Musisz to sobie przypomnieć. Potrzebujesz tego wspomnienia.

– Prosisz, żebym przypomniiał sobie jakiś moment, kiedy cię nie widziałem?!

– Właśnie. Dlaczego mnie nie widziałeś?

– Bo chronił cię czar.

– Ale ktoś inny mnie zauważył.

To musiała być Clary. To oczywiste. Ale...

Teraz coś zakołysało się w umyśle Simona. Był gdzieś z Clary, był tam też Jace... tyle że go nie było.

Tak to wyglądało w jego wspomnieniach i w chwili obecnej. Jace przepadł. Łódka sunęła powoli przed siebie, pokonała zakręt i wynurzyła się znowu wśród ciemności. Simon opadł nieco, pokonał chmurę mgły, rozległo się „buuuu” ducha z kreskówki i pojawiła się atrapa jakiegoś gotyckiego dworu. Tunel miłości przeszedł płynnie w nawiedzony dom. Simon płynął dalej, mijając scenki w różnych pokojach dworu. W bibliotece duchy zwieszały się z drutów i szkielet wyskoczył ze stojącego zegara.

To urojenie, czy co to było, czerpało z jego wspomnień Nawiedzonego Dworu, który widział jako dzieciak w Disney Worldzie. Jednak w miarę jak przepływał przez kolejne pokoje, wyglądało to coraz bardziej znajomo: trzeszczące kamienne ściany, przetarte gobeliny... Nawiedzony Dom zamieniał się w Akademię. Simon zobaczył nawet upiorną wersję stołówki i klas.

– Simon, tutaj!

To była Maia. Machała z miejsca, które wyglądało na elegancki gabinet wyłożony boazerią. Na ścianie za nią wisiała tabliczka z fragmentem wiersza. Simon dostrzegł tylko „wieczne i jasne jak lazur ten w nieba głębinie”[4]. Maia miała na sobie elegancki kostium, włosy nosiła spięte na karku, na nadgarstkach pobrażkiwały jej złote bransoletki. Spojrzała smutno na Simona.

– Naprawdę zamierzasz nas opuścić? – spytała. – Przystaniesz być Podziemnym? Staniesz się jednym z nich?

– Maia – powiedział Simon, czując gulę w gardle.

Pamiętał tylko urywki przyjaźni z nią. Może czegoś więcej niż przyjaźni? Pamiętał, jaka była dzielna, że była przyjacielem, kiedy desperacko go potrzebował.

– Proszę, nie odchodź – powiedziała.

Łódka popłynęła szybko do następnego pomieszczenia, zupełnie zwyczajnego pokoju dziennego z tanimi meblami. To było mieszkanie Jordana. Jordan wyszedł z sypialni. Miał ranę w piersi. Jego koszula była czarna od krwi.

– Cześć, współlokatorze – powiedział.

Simon miał wrażenie, że serce zamarło mu w piersi. Chciał się odezwać, ale zanim zdążył wykrztusić słowo, wszystko zniknęło w ciemności. Poczul, że łódka zsunęła się z toru ze stłumionym uderzeniem, jakby właśnie zakończyła się jego przejażdżka. Śmignął do przodu, tunel otworzył się, a łódka skoczyła i przyśpieszyła, jakby porwał ją bystry nurt. Simon złapał się ławki, żeby nie wypaść.

Został wyrzucony na potężne wody, bardzo szeroką rzekę. Obok niego ciągnął się ciemny zarys wieżowców Nowego Jorku; budynki nie były oświetlone, co wyglądało upiornie, ale Simon dostrzegał ich kontury. Niedaleko po lewej widział sylwetkę Empire State Building. Przed nim, może z milę w dół rzeki most spinał brzegi. Simon dostrzegł nawet cienisty zarys staroświeckiego szyldu Pepsi-Coli na prawym brzegu. Znał to miejsce. Szyld znajdował się niedaleko podnóża mostu przy 59. do Queens.

– East River – powiedział sobie, rozglądając się.

East River to nie było dobre miejsce do spędzenia zimnej nocy w małej łódeczce w kształcie łabędzia. East River była niebezpieczna, bystra i głęboka.

Poczuł, że coś uderzyło w kuper jego malutkiego łabędzia. Odwrócił się, spodziewając się barki ze śmieciami albo frachtowca. Zamiast tego zobaczył kolejną łódź w kształcie łabędzia. Siedziała w niej młoda dziewczyna, trzynasto-, może czternastoletnia, w postrzępionej sukience z balu na zakończenie szkoły. Długie blond włosy miała spięte w nierówne warkoczyki, przez co wyglądała, jakby ciągle przechylała głowę. Przyciągnęła swojego łabędzia do burty łódki Simona, bez najmniejszej obawy podkasła sukienkę i przeszła do niego. Simon odruchowo wyciągnął jedną rękę, żeby jej pomóc, i drugą, żeby się przytrzymać. Był przekonany, że przez to przechodzenie jego łabędź obróci się do góry nogami, ale chociaż zakołysał się niepewnie przy zmianie rozkładu ciężaru, to jakimś cudem utrzymał się na wodzie. Dziewczyna kłapnęła na ławkę obok Simona. Łabędź został tak zaprojektowany, żeby para siedziała blisko siebie, więc przycisnęła się do jego boku.

– Cześć! – powiedziała radośnie. – Wróciłeś!

– Ehm... tak?

Z twarzą dziewczyny było coś nie tak. Była za blada. Miała mocno podkrążone oczy, a jej usta były lekko poszarzałe. Simon

nie bardzo wiedział, kto to jest, ale ogarnęło go bardzo niepokojące wrażenie.

– Minęły wieki! – powiedziała. – Ale wróciłeś. Wiedziałam, że po mnie wrócisz.

– Kim jesteś?

Szturchnęła go żartobliwie w rękę, jakby powiedział świetny dowcip.

– Daj spokój. Ależ ty jesteś zabawny! Dlatego tak cię kocham.

– Kochasz mnie?

– Daj spokój! – powtórzyła. – Wiesz, że cię kocham. Zawsze byliśmy my dwoje. Ty i ja na wieki.

– Przepraszam, ale nie pamiętam.

Dziewczyna rozejrzała się po wzburzonej rzece i ciemnych budynkach, jakby to wszystko było bardzo piękne i wyglądało dokładnie tak, jak ona tego chciała.

– Warto było – powiedziała. – Ty jesteś tego wart.

– Ehm... Dzięki?

– No wiesz, zabili mnie przez ciebie. Wrzucili do kosza na śmieci. Jednak nie mam do ciebie pretensji.

Simonowi zrobiło się zimno – na zewnątrz i w kościach.

– Ale ty jej szukasz, prawda? Jest taka denerwująca.

– Clary? – zapytał Simon.

Dziewczyna machnęła ręką, jakby rozpędzała chmurę niemile widzianego dymu papierosowego.

– Mogłeś zostać ze mną, być moim królem. Zostać z królową Maureen. Królowa Maureen, królowa śmierci! Królowa nocy! Władalam tym wszystkim!

Machnęła ręką, wskazując miasto. Chociaż wydawało się to nadzwyczaj mało prawdopodobne, żeby ta bardzo młoda dziewczyna władała całym Nowym Jorkiem, to coś w jej opowieści brzmiało prawdziwie. Wiedział to. To była jego wina. Właściwie niczego nie zrobił, ale czuł się winny, czuł potworne, miazdzące poczucie winy i odpowiedzialności.

– A gdybyś mógł mnie ocalić? – zapytała, pochylając się ku niemu. – Zrobiłbyś to?

– Ja...

– A gdybyś wybrał mnie? – zapytała Maureen, uśmiechając się na tę myśl. – Moglibyśmy zagrać w grę. Mógłbyś wybrać. Mnie albo ją. To przez ciebie zginęłam, więc... powinieneś wybrać mnie. Uratować mnie.

Chmury, które zawsze przyglądały się bacznie, gdy działo się coś ciekawego, znowu się stłoczyły. Wiatr przybrał na sile, wzburzając rzekę, i łódka zaczęła się chybotać na boki.

– Ona jest w wodzie, wiesz? – powiedziała Maureen. – W wodzie z fontanny, która płynie z jeziora. W wodzie z jeziora, która płynie z rzeki. W wodzie z rzeki, która płynie z morza. Jest w wodzie, w wodzie, w wodzie...

Simon poczuł potworny ból w piersi, jakby ktoś uderzył go w mostek. Koło łodzi coś się pojawiło, jakby kamień albo kłęb wodorostów. Nie. Twarz i włosy. To była Clary, dryfowała na plecach z zamkniętymi oczami, a włosy unosiły się przed nią. Wyciągnął do niej rękę, ale woda płynęła za szybko i nurt poniósł Clary.

– Mógłbyś to wszystko naprawić! – krzyknęła Maureen, podskakując. Łódź się zakołysała. – Kogo ocalisz, Chodzący za Dnia?

I wtedy wyskoczyła z łodzi. Simon chwycił się długiej szyi łąbiedzia, żeby nie stracić równowagi, i rozejrzał się po wodzie. Clary już dryfowała dwadzieścia albo więcej stóp przed nim, podobnie jak Maureen, która teraz była cicha i wyglądała jakby spała, ale znajdowała się o połowę bliżej.

Nie było wiele czasu na zastanawianie się. Nie był najlepszym pływakiem i pewnie prąd pociągnie go w głąb rzeki. Był przekonany, że kiedy skoczy do wody – bez względu na to, czy to się działo naprawdę, czy nie – ból będzie aż nadto rzeczywisty. Rzeka była dostatecznie prawdziwa.

Czy to się działo naprawdę? Co powinien zrobić? Miał ominąć młodą dziewczynę i zostawić ją? O ile w ogóle dotrze tak daleko.

– Trudny wybór – rozległ się głos za jego plecami.

Nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, że to Jace, który balansuje zręcznie na ogonie drewnianego łabędzia.

– O to właśnie w tym chodzi. Trudne wybory. Nigdy nie będzie łatwiej.

– Nie pomagasz – powiedział Simon, zrzucając buty.

– Więc skoczysz? – Jace spojrział na wodę i się skrzywił. – Nawet ja zastanowiłbym się dwa razy. Jesteś niesamowity.

– Dlaczego musisz się do wszystkiego mieszać?

– Jestem wszędzie tam, gdzie jest Clary.

Dwa ciała dryfowały.

– Ja też – odpowiedział Simon.

I wyskoczył z łodzi, zatykając nos. Nie zanurkował. Nie było potrzeby się popisywać. Sam skok wystarczył i przynajmniej udało mu się utrzymać głowę nad wodą.

Ból, kiedy otoczyła go zimna woda, był jeszcze gorszy, niż sobie wyobrażał. Zupełnie jakby skoczył przez szkło. Lodowate zimno skwierczało na jego ciele, wyciskając mu powietrze z płuc. Sięgnął po łódkę, ale ona już podryfowała z machającym do niego Jace'em na ogonie. Ubrania ciążyły Simonowi, ale musiał to pokonać. Chociaż trudno mu było poruszać rękami, wyprostował je, żeby popłynąć. Złapał go skurcz, mięśnie nie były w stanie pracować w tej temperaturze.

Żadne z nich tego nie przeżyje. A Simon nie miał już wrażeń, że to sen. Kiedy znalazł się w wodzie, która teraz wciągała go coraz mocniej w głąbiny, równie dobrze mógłby uznać, że już nie żyje. Jednak coś zaiskrzyło mu w głowie, jakaś wiedza, którą odepchnął bardzo, bardzo daleko. Wiedział, jak to jest być martwym. Musiał wygrzebać się z ziemi. Miał ją w oczach i ustach. Ta dziewczyna, Maureen, nie żyła. A Clary przeciwnie. Wiedział, bo jego własne serce nadal biło, słabo, ale jednak.

Clary.

Wyciągnął raz jeszcze ręce i zmierzył się z wodą. Jedno uderzenie.

Clary.

Drugie. Dwa uderzenia to wręcz śmieszne. Prąd był coraz silniejszy i szybszy, a jego kończyny drżały i były ciężkie. Zaczynał się robić śpiący.

– Nie możesz się poddać – powiedział Jace. Łódź krążyła i znajdowała się teraz po prawej stronie Simona tuż poza zasięgiem jego ręki. – Powiedz mi, co wiesz.

Simon nie miał nastroju na zgadywanki. Rzeka i ziemia wciągały go w głąb.

– Powiedz mi, co wiesz – nalegał Jace.

– Ja... Ja...

Simon nie mógł wykrztusić słowa.

– Powiedz!

– C... C... Clar...

– Clary. Co o niej wiesz?

Simon nie mógł już dłużej mówić. Znał jednak odpowiedź. Popłynie po nią. Żywy. Martwy. Będzie walczył z rzeką. Nawet jeśli jego martwe ciało będzie dryfować obok niej, to jakimś cudem też wystarczy. Ta świadomość odrobinę rozgrzała jego ciało. Poruszył nogami w wodzie.

– Świetnie! – powiedział Jace. – Zaczynasz rozumieć. Teraz płyn.

Całe ciało Simona zadygotało. Na chwilę jego twarz zanurzyła się w wodzie, połknął jej trochę, a ona zaczęła go palić od środka. Wydostał się na powierzchnię i wypluł wodę.

Jedno uderzenie rękoma. Drugie. Trzecie. Teraz jego wysiłki nie były daremne. Płynął. Czwarte. Piąte. Odliczał je. Szóste. Siódme.

– Znam to uczucie – mówił Jace, płynąc obok. – Trudno je wyjaśnić. Nie robią dowcipnych kartek, które by to objaśniały.

Ósme. Dziewiąte.

Miasto zaczynało się rozjaśniać. Zaczynając od parteru, pojawiały się światła i wędrowały ku niebu.

– Kiedy zdasz sobie z tego sprawę – mówił Jace – wiesz, że zrobisz wszystko, bo musisz. Bo to właśnie ty. Ty.

Dziesiąte. Jedenaste.

Nie potrzebował już liczyć. Jace i łabędź zostawali w tyle, a on płynął samotnie. Ciało miał napompowane adrenaliną. Odwrócił się, żeby poszukać Maureen, ale ona przepadła. Clary nadal była widoczna, dyrygowała przed nim. Nie, nie dryfowała.

Płynęła. Ku niemu. Robiła dokładnie to samo, co on, zmuszając ciało do wysiłku, dygocąc, pracując przez wodę.

Simon wziął kilka ostatnich zamachów i poczuł dotyk jej dłoni. Poszedłby, wszędzie poszedłby za nią. Uśmiechała się. Miała sine usta.

I wtedy poczuł ziemię pod sobą, jakąś powierzchnię pod wodą, raptem stopę albo dwie niżej. Clary zareagowała dokładnie w tej samej chwili, złapali się i spróbowali stanąć. Stali w fontannie Bethesda, posąg anioła spoglądał na nich, wylewając wodę na ich głowy.

– T-ty... – wykrztusiła Clary.

Simon nawet nie próbował mówić. Objął ją i oboje zadygotali, zanim wyszli ostrożnie z fontanny, położyli się na ceglany tarasie, żeby złapać oddech. Księżyc był wielki. Za duży i był zbyt blisko.

Simon w duchu powiedział księżycowi, żeby przestał wisieć tak nisko i tak jasno świecić i żeby w ogóle przymknął się ze swoją księżycowatością. Wziął Clary za rękę, którą do niego wyciągała.

Kiedy otworzył oczy, nie znajdował się na dworze. Leżał na czymś dość wygodnym i pluszowym. Pomacał i poczuł pod sobą aksamitną powierzchnię. Usiadł prosto i zdał sobie sprawę, że siedzi na sofie w salonie. Stał przed nim serwis do herbaty.

Magnus i Catarina stali pod ścianą, naradzając się, a Jem siedział na krześle między nimi i ich obserwował.

– Usiądź powoli – powiedział. – Odetchnij kilka razy głęboko.

– Co jest, u diabła? – mruknął Simon.

– Napileś się wody z jeziora Lyn – wyjaśnił cicho Jem. – Powoduje halucynacje.

– Daliście się nam napić wody z Lyn?! Gdzie jest Clary?

– Nic jej nie jest. Napij się wody. Musisz być spragniony.

Szklanka już znalazła się przy ustach Simona. Trzymała ją Catarina.

– Żartujesz sobie? Chcesz, żebym to wypił? Po tym, co właśnie się stało?

– To dobra woda – powiedziała Catarina.

Sama wypila spory łyk ze szklanki i znowu podstawiała ją pod usta Simona.

Rzeczywiście kompletnie zaschło mu w ustach. Język miał jak opuchnięty. Wziął szklankę i wypił ją jednym haustem, a potem dolał sobie więcej z dzbanka. Po trzeciej szklance miał wrażenie, że znowu może mówić.

– Czy to nie doprowadza ludzi do szaleństwa? – zapytał, nie próbując już ukryć gniewu.

Jem siedział spokojnie z rękami na kolanach. Simon dostrzegał teraz jego prawdziwy wiek – nie na twarzy, lecz za oczami. To były ciemne lustra, które odbijały upływ lat.

– Gdyby coś poszło nie tak, znalazłbyś się u Cichych Braci w ciągu godziny. Może już nie jestem Cichym Bratem, ale leczyłem tych, którzy napili się wody z jeziora. Magnus przygotował herbatę, ponieważ pracował z umysłami was obojga. Catarina jest, rzecz jasna, pielęgniarką. Byłeś bezpieczny. Przepraszam, nie chcieliśmy was zwodzić. Chodziło o wasze dobro.

– To żadne wyjaśnienie – powiedział Simon. – Chcę zobaczyć Clary. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

– Nic jej nie jest – zapewniła go Catarina. – Pójdę sprawdzić, co u niej. Nie martw się.

Wyszła, a Jem pochylił się w krzesło.

– Zanim wejdzie Clary, muszę wiedzieć, co widziałeś.

– Kiedy nas zamroczyliście?

– Simon, to ważne. Co widziałeś?

– Byłem w Nowym Jorku. Znaczący... Myślałem, że tam jestem. Byliśmy w Nowym Jorku? Otworzyliście Bramę?

Jem pokręcił głową.

– Przez cały czas byłeś w tym pokoju. Powiedz mi, proszę.

– Byliśmy z Clary w Central Parku przy fontannie Bethesda. Anioł z fontanny odleciał i fontannę zalała woda, a Clary zniknęła. Potem zjawiała się łódź i wylądowałem w „Tunelu Miłości” z Jace’em, który powtarzał, że bym przypomniał sobie nasze pierwsze spotkanie, chociaż ja go wtedy nie widziałem.

– Poczekaj chwilę. Co to dla ciebie znaczy?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że powtarzał, że muszę sobie przypomnieć.

– I przypominasz sobie?

– Nie – warknął Simon. – Ledwie cokolwiek pamiętam. Wiem, że pewnie byłem z Clary. Clary go widziała.

– Mów dalej. Co się potem stało?

– Zobaczyłem Maię. I Jordana. Był cały we krwi. Potem wylądowałem na East River i jakaś młoda dziewczyna imieniem Maureen powiedziała, że zginęła przeze mnie i wskoczyła do rzeki. Clary dryfowała w wodzie, a wtedy ja...

Zadygotał znowu, a Jem natychmiast wstał, wziął koc i zarzucił mu na ramiona.

– Przysuń się do ognia – zaproponował, podprowadzając go do krzesła.

Kiedy Simon usadowił się i trochę ogrzał, Jem zachęcił go do dalszej opowieści.

– Kogo postanowiłeś uratować?

– Wcale... nie zdecydowałem. Wiedziałem, że muszę skoczyć. Chyba wiedziałem, że Maureen nie żyje. Powiedziała, że nie żyje. A Clary żyła. Musiałem do niej dotrzeć. Nagle wypełniła mnie energia i zdołałem do niej dopłynąć. A kiedy do niej płynąłem, zobaczyłem, że ona płynie do mnie.

Jem usiadł prosto i złożył na chwilę dłonie w piramidkę.

– Chcę zobaczyć Clary – domagał się Simon, szcękając zębami. Ciało miał ciepłe, pewnie w ogóle nie zmarzł, ale nadal aż za dobrze pamiętał lodowate wody rzeki.

Chwilę potem wróciła Catarina z Clary, która też była zawinięta w koc. Jem natychmiast wstał i zaproponował jej swoje krzesło. Clary miała szeroko otwarte i błyszczące oczy. Spojrzała na Simona z ulgą.

– Tobie też się to przydarzyło? – spytała. – Cokolwiek to było.

– Chyba obydwójce to przeszliśmy – odpowiedział. – Nic ci nie jest?

– Nic. Po prostu... strasznie zmarzłam. Myślałam, że jestem w rzece.

Simon przestał drżeć.

– Myślałaś, że jesteś w rzece?

– Próbowałam dopłynąć do ciebie – odpowiedziała Clary. – Byliśmy w Central Parku i zostałeś zassany pod ziemię, jakby cię żywcem pochowano. Zjawił się Raphael. Jechałam na jego motocyklu. Lecieliśmy nad rzeką, kiedy cię zobaczyłam. Zeskoczyłam...

Catarina pokiwała głową, stojąc za krzesłem Clary.

– Widziałem coś podobnego – powiedział Simon. – Nie całkiem, ale... dość podobnego. Wyciągałem do ciebie rękę. A ty płynęłaś do mnie. A potem wylądowaliśmy z powrotem...

– ...w Central Parku. Przy fontannie z aniołem.

Magnus dołączył do nich i wyciągnął się na sofie.

– Fontanna Bethesda – powiedział. – Możliwe, że Nocni Łowcy maczali palce w jej budowie. Tak tylko mówię.

– Co to wszystko znaczy? – zapytał Simon. – O co tu chodziło?

– Wy dwoje bardzo się różnicie – powiedział Magnus. – Pewne kwestie w waszej przeszłości wymagały... innego podejścia. Przede wszystkim obojgu wam zablokowano część wspomnień. W żyłach Clary płynie niezwykła ilość anielskiej krwi. A ty Simonie byłeś wampirem.

– Wiemy to. Tylko po co musieliście nas oszołamiać, żeby przeprowadzić coś symbolicznego?

– To nie było symboliczne. Próba *parabatai* to próba ognia – powiedziała Catarina. – Stajecie w kręgu ognia, żeby zadzierzgnąć więź. To... To była próba wody. Natura tej próby wymaga, żebyście o niej nie wiedzieli. Przygotowanie się psychiczne na próbę mogłoby wpłynąć na jej wynik. Nie chodziło o Juliana i Emmę, ale o was dwoje. Pomyślcie, co oboje widzieliście, czego się dowiedzieliście. Pomyślcie, co czuliście. Pomyślcie o tym, że oboje zdołaliście dopłynąć do siebie, chociaż żadnemu z was już nic nie zostało, chociaż powinniście byli umrzeć.

Simon i Clary spojrzeli na siebie. Mgła zaczynała się rozplýwać.

– Napiliście się wody – powiedział Jem – i spotkaliście się w tym samym miejscu w swoich umysłach. Zdołaliście się odnaleźć. Byliście połączeni. „I stało się tak, że dusza Jonathana była połączona z duszą Davida, i Jonathan kochał go jak własną duszę”.

– *Parabatai*? – zapytał Simon. – Chwileczkę, chwileczkę. Próbujecie mi powiedzieć, że chodzi o zostanie *parabatai*? Nie mogę mieć *parabatai*. Skończyłem dziewiętnaście lat dwa miesiące temu.

– Nie całkiem – powiedział Magnus.

– Jak to „nie całkiem”?!

– Simonie, umarłeś – oznajmił bez ogródek Magnus. – Nie żyłeś prawie pół roku. Może i chodziłeś po ziemi, ale nie byłeś żywy, nie byłeś człowiekiem. Ten czas się nie liczy. Według standardów Nocnych Łowców nadal masz osiemnaście lat. I masz cały rok do

dziewiętnastych urodzin, żeby znaleźć *parabatai*. – Spojrzał na Clary. – Clary, jak wiesz, nadal jest w odpowiednim wieku. Powinieneś zdążyć dokonać Wstąpienia, żebyście zaraz potem zostali *parabatai*. O ile tego chcecie. Niektórzy ludzie nadzwyczajnie pasują na swoich *parabatai* – dodał Magnus. – Można rzec, że po to się urodzili. Ludzie mówią, że chodzi o dogadywanie się, zgodność, zgranie. Nieprawda. Chodzi o to, że razem jesteście czymś lepszym. Razem lepiej walczyacie. Alec i Jace nie zawsze się zgadzają, ale razem zawsze są lepsi.

– Często mówiono mi – odezwał się cicho Jem – jak bardzo jesteście sobie oddani. Że zawsze wspieracie się i uważacie to drugie za ważniejsze od siebie. Kiedy więź *parabatai* jest prawdziwa, kiedy łączy was głęboka i szczerza przyjaźń, może być... transcendentna. – W jego oczach był smutek tak głęboki, że niemal przerażający. – Dla waszego dobra musieliśmy sprawdzić, czy to, co zauważono w waszym przypadku, jest prawdziwe. Będziecie świadkami ceremonii. To może wywołać potężną reakcję u prawdziwych *parabatai*. Musieliśmy wiedzieć z całą pewnością, że wasza więź jest prawdziwa i że zniesiecie rytuał. Próba powiedziała nam to, co musieliśmy wiedzieć.

Clary wytrzeszczyła oczy.

– Simon... – szepnęła. Głos miała zachrypnięty.

– To kruczek prawny – dodał Magnus – ale Nocnym Łowcom nie przeszkadzają kruczki, oni je kochają. Spójrzcie na Jema. To chodzący kruczek prawny. Ludzie nie przestają być Cichymi Braćmi, a tu proszę.

Jem uśmiechnął się i smutek zniknął z jego oczu.

– *Parabatai* – powtórzyła Clary.

Wtedy coś zamknęło się wokół Simona, coś jak koc w chłodny dzień. Coś uspokajającego.

– *Parabatai* – powiedział.

W tej samej chwili zapadła decyzja. Nie trzeba było jej omawiać. Nie musisz pytać, czy twoje serce powinno bić, czy

powinieneś oddychać. On i Clary byli *parabatai*. Cały gniew Simona zniknął. Teraz wiedział. Miał Clary, a ona będzie miała jego. Na zawsze. Ich dusze się splotą.

– Skąd wiedzieliście? – zapytał Simon.

– Łatwo to zauważyć – odpowiedział Magnus i wreszcie w jego głosie zabrzmiała zwykła dla niego beztroska. – Poza tym ja naprawdę jestem magiczny.

– To właściwie oczywiste – dodała Catarina.

– Nawet ja wiedziałem – wtrącił Jem – a nie znam was za dobrze. Prawdziwi *parabatai* zawsze mają to coś. Nie muszą rozmawiać, żeby się porozumieć. Widziałem, jak wy dwoje przeprowadzacie całe rozmowy bez ani jednego słowa. Tak samo było z moim *parabatai*, Willem. Nigdy nie musiałem go pytać, co myśli. Właściwie to lepiej było go nie pytać o zdanie...

Na te słowa Magnus i Catarina się uśmiechnęli.

– Widzę to także między wami. Prawdziwi *parabatai* są połączeni jeszcze przed ceremonią.

– Czyli możemy... Możemy wziąć udział w ceremonii? – zapytała Clary.

– Możecie – odpowiedział Jem. – Nie tego wieczoru. Na pewno w Cichym Mieście zostanie to przedyskutowane, bo wasz przypadek jest nietypowy.

– No dobrze – odezwała się Catarina – teraz ma głos pielęgniarka. Wystarczy tego dobrego na dzisiaj. Wy dwoje musicie się wyspać. Woda z Lyn to potężny wstrząs. Rano poczujecie się lepiej, ale musicie odpocząć. Odpocząć i nawodnić się. Chodźcie.

Simon wstał i odkrył, że w miejsce nóg podłożono mu coś chwiejnego, co tylko ma kształt nóg. Catarina złapała go pod rękę i pomogła mu stanąć. Magnus pomógł podnieść się Clary.

– Czeka na ciebie pokój – powiedziała Catarina do Clary. – Rano załatwimy wam stroje na ceremonię Juliana i Emmy.

– Chwileczkę – powiedział Simon, kiedy go wyprowadzano. –

Jace cały czas powtarzał mi, że muszę przypomnieć sobie, jak go poznałem. O co tu chodzi?

– Sam musisz to rozgryźć – powiedział Jem. – Wizje spowodowane przez jezioro Lyn potrafią obudzić potężne uczucia.

Simon skinął głową. Jego ciało się poddawało. Pozwolił się odprowadzić Catarinie do pokoju.

– Co ci się stało? – zapytał George, kiedy Catarina wprowadziła go do sypialni.

– Jak długo mnie nie było? – odpowiedział pytaniem Simon, padając na łóżko, twarzą do poduszki.

Objawem jego wycieńczenia było to, że to potworne łóżko z ostrymi sprężynami wydało mu się wygodne. Jakby leżał na setkach poduszek ułożonych na dmuchanym zamku dla dzieci.

– Ze dwie godziny – odpowiedział George. – Wyglądasz strasznie. Co się stało?

– Jedzenie. W końcu mnie dopadło.

I zasnął.

* * *

Czuł się zaskakująco dobrze po przebudzeniu. Obudził się nawet przed George'em. Szybko wstał z łóżka, wziął ręcznik i inne drobiazgi, żeby pójść do łazienki. Na ziemi pod drzwiami stało czarne pudełko z galowym strojem. Galowy strój Nocnych Łowców bardzo przypominał zwykły strój bojowy, był jednak lżejszy, jakby bardziej czarny i zwykle czystszy. Żadnych plam od łez albo posoki. Eleganckie szmatki. Simon odłożył pudełko na łóżko i cicho poszedł do łazienki. Nikt się jeszcze nie obudził, więc miał całą zapleśniałą łazienkę dla siebie. Okazało się, że jeśli wstanie się wcześniej, to ma się szansę na odrobinę gorącej wody, więc stał pod strumieniem i udawał, że woda wcale nie ma

rdzawego posmaku. Jego ciało rozluźniało się pod wpływem ciepła. Przez okienko znajdujące się wysoko w ścianie wpadało dość światła, żeby zdołał względnie równo się ogolić.

Przeszedł pustymi korytarzami Akademii, które wyglądały przyjemniej w słabym świetle poranka. Tego ranka otoczenie nie wyglądało surowo, a wręcz przytulnie. Odkrył, że na jednym z kominków płonie ogień, stanął obok niego, żeby się rozgrzać, zanim wyszedł się przewietrzyć. Nie zdziwił się, zastając tam Clary. Już ubrana siedziała na najwyższym stopniu i patrzyła na mgłę unoszącą się nad ziemią o świcie.

– Ty też obudziłeś się wcześniej, hm? – zapytała.

Usiadł obok niej.

– Aha. Wstałem, nim zaczęto gotować. To jedyna ucieczka przed tutejszym jedzeniem. Ale umieram z głodu.

Clary pogrzebała w torebce i wyjęła bajgla zawiniętego w kilka serwetek.

– Czy to...

– Myślałeś, że przeniosę się z Nowego Jorku z pustymi rękami? Nie mam serka topionego, ale wiesz, zawsze to coś. Wiem, czego ci trzeba.

Simon trzymał bajgla przez chwilę.

– To ma sens – powiedziała. – Ty i ja. Mam wrażenie, że zawsze tak było. Zawsze tym byliśmy. Nie... Nie pamiętasz tego wszystkiego, ale zawsze byliśmy, ty i ja.

– Pamiętam dość – odpowiedział. – I dostatecznie dużo czuję.

Chciał powiedzieć coś więcej, ale to było coś tak ogromnego, że lepiej to przemilczeć. Przynajmniej na razie. To uczucie nadal było w nim świeże. Uczucie pełni, kompletności.

Zjadł więc bajgla. Zawsze zjadał swojego bajgla.

– Emma i Julian – powiedział między kęsami. – Mają dopiero czternaście lat.

– Jace i Alec mieli po piętnaście.

– Mimo to mam wrażenie... Wiesz, wiele przeszli. Atak na

Instytut w Los Angeles.

– Wiem. – Clary pokiwała głową. – Ale złe rzeczy... czasem zbliżają ludzi. Musieli szybko dorosnąć.

Na drodze do Akademii pojawił się powóz ciągnięty przez karego konia. Kiedy się zbliżył, Simon dostrzegł, że cugle trzyma postać w prostych szatach w kolorze pergaminu. Kiedy powóz się zatrzymał, postać zwróciła się do nich i Simon dostrzegł runy na ustach mężczyzny. Gdy woźnica się odezwał, to nie w zwykły sposób, ale głosem, który rozległ się bezpośrednio w umyśle Simona.

Jestem brat Shadrach. Przybyłem, żeby zabrać was na ceremonię. Wsiadajcie, proszę.

– Wiesz – odezwał się cicho Simon, kiedy wsiadali do powozu – pewnie był taki czas, kiedy uważaliśmy to za upiorne.

– Już tego nie pamiętam – przyznała Clary.

– Chyba wreszcie oboje czegoś nie pamiętamy.

Powóz wykończono czarnym jedwabiem, w okienkach wisały czarne zasłonki. Wszystko było czarne. Miał jednak dobre resory i był wygodny, na ile konny powóz może być wygodny. Brat Shadrach nie bał się szybkości i wkrótce Akademia zniknęła w oddali, a Simon i Clary patrzyli na siebie w powozie, podskakując na drodze. Simon kilka razy próbował nawiązać rozmowę, ale głos mu się rwał od podskoków, a ciągły tętent kopyt niósł się przez Równinę Brocelind. Drogi w Idrisie nie były równymi autostradami, do których przywykł Simon. Były wybrukowane, a na poboczach brakowało parkingów z toaletami i Starbucksami. Powóz nie był ogrzewany, ale oboje dostali ciężkie zwierzęce skóry. Jako wegetarianin Simon nie chciał ze swojej korzystać. Jednak jako osoba, która zamarzała i nie miała wyboru, skorzystał z okrycia.

Nie miał zegarka, telefonu, niczego, co mówiłoby mu, ile czasu minęło, poza wznoszącym się późnojesiennym słońcem. Uznał, że jechali z godzinę, może więcej. Wjechali w kojące cienie lasu

Brocelind. Zapach drzew i liści był prawie upajający, a światło słoneczne padało snopami i wstęgami, oświetlając twarz Clary, jej włosy, uśmiech.

Jego parabatai.

Zatrzymali się niezbyt głęboko w lesie. Drzwi się otworzyły, a brat Shadrach już na nich czekał.

Jesteśmy na miejscu.

Jakimś cudem było gorzej, gdy się zatrzymali. Głowa i ciało Simona nadal miały wrażenie, że się trzęsą. Podniósł wzrok i zobaczył, że znajdują się u podnóża góry. Wznosiła się nad drzewami.

Tędy.

Ruszyli za bratem Shadrachem ledwie widoczną ścieżką, którą przeszło niewiele osób, zostawiając słabo widoczny ślad na ziemi, szeroki na kilka cali. W gąszczu drzew przy stoku znajdowały się drzwi wysokie na jakieś piętnaście stóp, szersze na dole i zwężające się ku górze. Tuż nad nadprożem znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca anioła. Brat Shadrach złapał jeden z pierścieni umocowanych w drzwiach i uderzył raz głośno. Drzwi otworzyły się jakby z własnej woli.

Ruszyli wąskim przejściem o gładkich marmurowych ścianach i zeszli kamiennymi schodami. Nie było poręczy, więc oboje z Clary oparli ręce na ścianie, żeby nie spaść. Brat Shadrach mimo długiej szaty nie obawiał się upadku. Wyglądał, jakby sunął w dół. Znaleźli się w rozleglejszej przestrzeni, którą początkowo Simon uznał za ozdobioną kamieniami. Po chwili dostrzegł, że ściany są wyłożone mozaiką z kości – niektóre były kredowobiałe, inne szare, niektóre popielate, a jeszcze inne miały niepokojąco brązowy odcień. Długie kości tworzyły łuki i kolumny, czaszki obrócone ciemionami na zewnątrz tworzyły większość ścian. W końcu weszli do sali, gdzie kościana sztuka osiągnęła szczyt – potężne koliste wzory z kości i czaszek nadawały pomieszczeniu kształt. W górze drobniejsze kości

tworzyły delikatniejsze struktury, na przykład żyrandole, na których płonęły magiczne światła. Zupełnie jakby oglądał finał najgorszego apokaliptycznego programu o urządzaniu domów.

Poczekacie tutaj.

Brat Shadrach wyszedł z komnaty. Simon i Clary zostali sami. Jedno trzeba było przyznać Cichemu Miastu – zasłużyło sobie na swoją nazwę. Simon nigdy jeszcze nie znalazł się w miejscu tak całkowicie pozbawionym dźwięków. Bał się, że jeśli się odezwie, kościane ściany zwałą mu się na głowę i pogrzebią ich oboje. Pewnie nie doszłoby do tego – byłaby to poważna wada konstrukcyjna – ale wrażenie było silne.

Po kilku minutach drzwi się otworzyły i pojawił się Julian. Julian Blackthorn może i miał tylko czternaście lat, ale robił wrażenie starszego, nawet od Simona. Sporo podrósł i teraz Simon mógł mu spojrzeć w oczy. Miał typowe dla rodziny Blackthornów gęste, kędzierzawe ciemnobrązowe włosy i poważny wyraz twarzy. Ta powaga przypominała Simonowi twarz matki po śmierci ojca, kiedy całymi nocami nie sypiała, zamartwiając się, jak spłaci hipotekę i wyżywi dzieci, czy zdoła sama je wychować. Nikt nie wybierał sobie takiej powagi. Tylko to, że jego oficjalny strój był trochę luźny, a on sam odrobinę tykowaty, zdradzało, że nie jest dorosły.

– Julian! – powiedziała Clary z miną, jakby rozważała, czy go nie uściskać, ale z tego zrezygnowała. Robił wrażenie zbyt dostojnego, żeby go przytulać. – Gdzie jest Emma?

– Rozmawia z bratem Zachariaszem – odpowiedział Julian. – To znaczy z Jemem. Rozmawia z Jemem.

Julian robił wrażenie bardzo skonsternowanego tym faktem, ale też najwyraźniej nie miał ochoty drążyć tematu.

– Jak się czujesz? – zapytała Clary.

Julian skinął głową i się rozejrzał.

Zawahał się.

– Chcę... to zrobić. Mieć to już za sobą.

Te słowa zabrzmiały nieco dziwnie. Teraz, kiedy Simon myślał o własnej ceremonii z Clary, sama perspektywa wydawała mu się niesamowita. Nie mógł się tego doczekać. Tyle że Julian wiele przeszedł. Stracił rodziców, starszego brata i siostrę. Pewnie trudno mu było przechodzić przez tak ważny rytuał bez nich.

Patrząc na Juliana, Simon myślał o tym, że całkiem niedawno spotkał jego brata Marka. Uwięzionego i na wpół oszalałego. Postanowił nie wspominać o tym Julianowi, bo uznał to za potworne okrucieństwo. Nadal wierzył, że podjął słuszną decyzję, ale mimo to ciążyła mu na sercu.

– Co tam słychać w L.A.? – spytał i natychmiast tego pożałował.

Co tam słychać w L.A.? Co słychać w miejscu, gdzie faerie zamordowały na twoich oczach twojego ojca i porwały brata?

Julian uśmiechnął się półgębkiem. Jakby wyczuł zakłopotanie Simona i współczuł mu, ale uznał to też za zabawne.

– Jest gorąco.

Jakie pytanie, taka odpowiedź.

– Jak się miewa twoja rodzina? – zapytała Clary.

Julian się rozpromienił, a jego oczy zabłyśły jak powierzchnia wody.

– Wszyscy mają się dobrze. Ty wciągnął się w detektywistyczne klimaty, Dru w horrory, ogląda wszelkie filmy Przyziemnych, których nie powinna. Potem tak się boi, że musi spać przy magicznym świetle. Livvy naprawdę świetnie sobie radzi z szablą, a Tavvy...

Przerwał, kiedy Jem i Emma zeszli po schodach. Emma stąpała ciszej. Było w niej coś, co sprawiało, że Simon pomyślał o niekończącym się lecie na plaży – jej rozjaśnione słońcem włosy, wdzięczny sposób poruszania się, zimowa opalenizna. Na wewnętrznej stronie jej ręki widniała okropna długa szrama.

Spojrzała raz na Juliana, który skinął głową i zaczął krążyć po komnacie. Emma natychmiast objęła Simona. Chociaż miała smuklejsze ręce niż on, jej objęcia były stalowe. Pachniała

morską bryzą.

– Dziękuję, że jesteście – powiedziała. – Chciałam do was napisać, ale powiedzieli... – Spojrzała przelotnie na Jema. – Powiedzieli, że sami wam powiedzą. Dziękuję wam obojgu.

Julian przesunął ręką po gładkiej, marmurowej ścianie. Z trudem patrzył na Emmę. Podeszła do niego, a za nią Jem i przez chwilę rozmawiał z obojgiem. Clary i Simon stali z tyłu i patrzyli. W zachowaniu Emmy i Juliana było coś dziwnego, czego Simon się nie spodziewał. To jasne, że się denerwują, ale...

Nie, tu chodziło o coś innego.

Clary pociągnęła go za rękaw, żeby się pochylił i by mogła mu coś szeptać.

– Wyglądają... – Clary urwała i przechyliła głowę – ...tak młodo.

Coś w jej głosie sugerowało, że nie do końca to chciała wyrazić. Coś tu było nie tak. Niestety Simon nie miał czasu, żeby odkryć, co takiego. Jem, Emma i Julian znowu do nich podeszli.

– Odprowadzę was do komnaty – zapowiedział Jem. – Clary pójdzie z Emmą, a Simon z Julianem. Jesteście gotowi na ciąg dalszy?

Emma i Julian z trudem przełknęli ślinę i patrzyli szeroko otwartymi oczami, ale zdołali wykrztusić: „tak”.

– W takim razie kontynuujmy. Pozwólcie za mną.

Kolejne korytarze – w tych kość ustąpiła miejsca białemu marmurowi, a potem marmur pozorowi złota. Dotarli do ogromnych drzwi, które otworzył brat Shadrach. Weszli do największego z dotychczasowych pomieszczeń zwieńczonego bardzo wysoką kopułą. Były tu marmury we wszystkich kolorach: białe, czarne, różowe, złote i srebrne. Każda powierzchnia była nieskończenie gładka. Stało tam w kręgu ze dwustu Cichych Braci. Rozstąpili się, żeby przepuścić nowo przybyłych. Światło w pomieszczeniu było słabe. Padało ze złotych kinkietów i migoczących żyrandoli. Powietrze było ciężkie od kadzidła.

– Simon Lewis i Julian Blackthorn. – Głos Jema rezonował. Przez chwilę Simon miał wrażenie, że słyszy go w umyśle, jak kiedyś słyszał głos brata Zachariasza. Nadal był bogatszy w brzmienie niż głos zwykłego człowieka. – Przejdźcie na drugą stronę kręgu, gdzie przygotowano dla was miejsce. Pozostańcie tam. Później dowiedzie się, co dalej.

Simon spojrział na Juliana, który pobladł jak prześcieradło. Chociaż wyglądał, jakby miał zemdleć, Julian przeszedł pewnym krokiem przez pomieszczenie, a Simon za nim. Clary i Emma zajęły swoje miejsce po drugiej stronie kręgu. Jem dołączył do Cichych Braci, którzy cofnęli się jednocześnie o krok, poszerzając krąg. Teraz ich czwórka znalazła się w środku.

Nagle dwa kręgi białego i złotego ognia zapłonęły na posadzce. Płomienie wznosiły się tylko na kilka cali, ale były jasne i gorące.

Emmo Carstairs. Występ.

Głosy rozbrzmiały w głowie Simona. To wszyscy Bracia przemówili jak jeden. Emma spojrzała na Clary, a potem jednym krokiem weszła do jednego z kręgów. Spojrzała na Juliana i uśmiechnęła się szeroko.

Julianie Blackthorn. Występ.

Julian wszedł do drugiego kręgu. Zrobił swój krok szybciej, ale nie unióś głowy.

Świadkowie, staniecie na skrzydłach anioła.

Simon potrzebował chwili, żeby się zorientować, o co chodzi. Wreszcie zobaczył, że u szczytu kręgu w posadzce wyrzeźbiono zgrubnie zarys anioła z rozpostartymi skrzydłami. Stał na jednym, a Clary na drugim. Simon znalazł się bliżej kręgu ognia. Poczuł jego żar przyjemnie ogrzewający mu zmarznięte stopy. Z tego miejsca dobrze widział twarze Juliana i Emmy.

Co ujrzal? Coś, co już znał.

Rozpoczynamy Próbę Ognia. Emmo Carstairs, Julianie Blackthorn, wejdźcie do środkowego kręgu. W tym kręgu zostaniecie związani.

Pojawił się centralny krąg łączący dwa poprzednie. Ogień tworzył kształt diagramu Venna. Kiedy tylko Emma i Julian znaleźli się na miejscu, płomienie buchnęły wyżej, sięgając im do pasa.

W tym momencie coś przemknęło między Julianem i Emmą. Coś tak szybkiego, że Simon nie wiedział, z której strony się pojawiło, ale dostrzegł to kątem oka. Jakieś spojrzenie, sposób, w jaki jedno z nich stanęło, coś... Jednak było to spojrzenie, postawa albo coś innego, co już kiedyś widział.

Ogień błysnął wyżej. Sięgał im teraz do ramion.

Teraz wyrecytujecie przysięgę.

Emma i Julian zaczęli jednocześnie mówić. Głosy im lekko drżały, gdy recytowali starożytne słowa z Biblii.

Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę...

Simona ogarnął niepokój. Co właśnie dostrzegł? Dlaczego to było znajome? Dlaczego go zdenerwowało? Przyjrzał się znowu Emmie i Julianowi najlepiej jak mógł mimo ognia. Wyglądali jak dwoje zdenerwowanych dzieciaków, które właśnie miały dokonać czegoś bardzo ważnego w kręgu płomieni.

I znowu. Coś bardzo szybkiego. Simon nie dostrzegł kierunku z powodu migotania płomieni. Co to, u diabła, było? Może na tym właśnie polegało zadanie świadków. Może powinni wypatrywać takich rzeczy. Nie. Jem powiedział, że to formalność. Formalność. Może powinien był się zapytać, zanim stanął obok wielkiego kręgu ognia.

Gdzie ty umrzesz, tam ja umrę i tam będę pogrzebany...

Rytuały Nocnych Łowców. Zawsze takie radosne.

Niech mi Anioł to uczyni i tamto dorzuci...

Julian zająknął się przy tych słowach. Odchrząknął i dokończył zdanie sekundę po Emmie.

Coś zaskoczyło w umyśle Simona, przypomniał sobie nagle Jace'a, który podczas jego halucynacji mówił coś o ich pierwszym spotkaniu. Wspomnienie rozwinęło się w jego umyśle jak te

transparenty ciągnięte przez małe samolociki latające nad plażą Long Island...

* * *

Siedział z Clary w Java Jones. Patrzyli, jak Eric czyta poezję. Simon zdecydował, że to ta chwila, że teraz jej powie. Musiał jej powiedzieć. Kupił im obojgu kawę i kubki były gorące. Parzyły go w palce. Musiał na nie podmuchać, co nie wypadło zręcznie.

Czuł to palenie. Powróciło uczucie, że musi coś powiedzieć.

Eric czytał jakiś wiersz, w którym padały słowa „nikczemne lędźwie”. Nikczemne lędźwie, nikczemne lędźwie... te słowa tańczyły w jego głowie. Musiał to powiedzieć.

– Muszę o czymś z tobą porozmawiać – zaczął.

Clary skomentowała nazwę jego zespołu, więc musiał z powrotem naprowadzić ją na temat.

– Chodzi o to, o czym rozmawialiśmy wcześniej. Że nie mam dziewczyny.

– Och, czy ja wiem? Zaproś na randkę Jaideę Jones. Lubi cię.

– Nie chcę jej zapraszać.

– Czemu nie? Nie lubisz bystrych dziewczyn? Nadal szukasz „ekstra laski”?

Była ślepa? Jakim cudem tego nie dostrzegą? Co właściwie powinien zrobić? Nie mógł tracić głowy. I co miała znaczyć ta „ekstra laska”?

Jednakże im bardziej się starał, tym bardziej nieświadoma wydawała się Clary. A potem zafiksowała się na zielonej sofie. Jakby ta sofa zawierała cały świat. On próbował właśnie wyznaczyć jej uczucia, które żywił całe życie, a ona zadurzyła się w meblu. Jednak chodziło o coś więcej. Coś tu było nie tak.

– Co jest? – zapytał. – Coś się stało? Clary, co się stało?

– Zaraz wrócę – odpowiedziała.

Odstawiła kawę i uciekła. Patrzył za nią przez okno i jakimś cudem wiedział, że właściwa chwila przepadła na zawsze. I wtedy zobaczył...

* * *

Krąg płomieni zgasł. Ceremonia się skończyła. Przysięgę wypowiedziano, Emma i Julian stali przed wszystkimi zebranymi. Julian miał run na obojczyku, a Emma na ramieniu.

Clary ciągnęła go za rękę. Simon spojrzał na nią i zamrugał kilka razy.

Miała wyraz twarzy, jakby pytała, czy nic mu nie jest.

Jego wspomnienie wybrało sobie ciekawą chwilę na powrót.

Po ceremonii wrócili do Alicante, gdzie zabrano ich do rezydencji Blackthornów, żeby się przebrali. Emmę i Juliana służba zabrała do pokoi na parterze. Clary i Simona zaprowadzono wielkimi schodami.

– Nie wiem, w co mam się przebrać – powiedział Simon. – Nie uprzedzono mnie dostatecznie wcześniej.

– Przywiozłam ci garnitur z domu – odpowiedziała Clary. – Pożyczony.

– Ale nie od Jace’a.

– Od Erica.

– Eric ma garnitur? Obiecujesz, że to nie jest garnitur, no wiesz, jego dziadka?

– Niczego nie mogę obiecać, ale myślę, że będzie pasował.

Simona zaprowadzono do małej, wymyślnie urządzonej sypialni na piętrze. Była zagracona i robiła wrażenie zatłoczonej przez tapetę z wypukłym wzorem i świdrujące spojrzenia od dawna nieżyjących Blackthornów, którzy zamieszkali tam pod postacią poważnych portretów. Garnitur leżał na łóżku. Eric rzeczywiście miał garnitur – prosty i czarny. Przygotowano też

koszulę, srebrno-niebieski krawat i eleganckie buty. Garnitur był cał, może dwa za krótki. Koszula okazała się za ciasna – codzienne treningi sprawiły, że Simon należał do tych ludzi, którzy rozsadzają koszule frakowe. Buty w ogóle nie pasowały, więc został w swoich, które stanowiły część galowego stroju Nocnego Łowcy. Krawat pasował. Krawaty zwykle pasują.

Simon usiadł na chwilę na łóżku i zastanowił się nad ostatnimi wydarzeniami. Zamknął oczy, walcząc z pokusą drzemki. Złapał się na tym, że już zaczynał przysypiać, kiedy ktoś cicho zapukał do drzwi. Simon zachrapał, budząc się z namiastki drzemki.

– Jasne – powiedział, chociaż nie miał takiego zamiaru. – Tak, proszę wejść.

Weszła Clary w zielonej sukience, która idealnie podkreślała jej włosy, cerę, każdą jej cząstkę. A Simon doznał olśnienia. Gdyby nadal durzył się w Clary, to w takiej chwili zaczęłyby się pocić i jąkać. A on widział kogoś, kogo kocha, kto wygląda pięknie i jest jego przyjaciółką. I to wszystko.

– Posłuchaj – powiedziała, zamykając drzwi – podczas ceremonii miałeś... dziwną minę. Jakbyś nie chciał tego robić... No wiesz, zostać *parabatai*. To był wstrząs i nie chcę, żebyś...

– Co? Nie, nie.

Odruchowo sięgnął po jej rękę. Mocno ją uścisnęła.

– W porządku – powiedziała – ale coś się tam stało. Widziałam.

– Podczas halucynacji po wodzie z jeziora widziałem Jace'a, który cały czas mi powtarzał, żebym przypomniał sobie pierwsze spotkanie z nim. Próbowałem sobie przypomnieć. A potem podczas ceremonii to wspomnienie powróciło. Po prostu... jakbym ściągnął je z serwera.

Clary nachmurzyła się, marszcząc nos.

– Wspomnienie pierwszego spotkania z Jace'em? To nie wydarzyło się w Instytucie?

– Tak i nie. Wspomnienie dotyczyło tak naprawdę ciebie i mnie. Siedzieliśmy w kafejce Java Jones. Wymieniałaś

wszystkie dziewczyny, z którymi mógłbym się spotykać, a ja...
A ja próbowałem ci powiedzieć, że to ty mi się podobasz.

– Aha – powiedziała Clary, spuszczać wzrok.

– A potem wybiegłaś. Tak po prostu.

– Jace tam był. Nie mogłeś go zobaczyć.

– Tak właśnie pomyślałem. – Simon przyjrzał się jej twarzy. – Wybiegłaś, kiedy ci mówiłem o swoich uczuciach. Nie szkodzi. Nigdy nie było nam pisane... być parą. Myślę, że moja podświadomość pod denerwującą postacią Jace'a chciała, żebym to właśnie zrozumiał. Ponieważ naprawdę myślę, że jest nam pisane być razem. *Parabatai* nie mogą lubić się w taki sposób. Dlatego musiałem sobie przypomnieć. Musiałem przypomnieć sobie, co czułem. Musiałem zrozumieć, że teraz jest inaczej. Nie w złym rozumieniu tego słowa, ale w dobrym.

– Tak – powiedziała Clary. Łzy stanęły jej w oczach. – W dobrym.

Simon skinął głową. To było coś zbyt wielkiego, żeby dało się opisać słowami. To było wszystko. To była cała miłość, jaką widział w oczach Jema, kiedy mówił o Willu, cała miłość na twarzy Aleca, kiedy patrzył na Jace'a, nawet kiedy ten zachowywał się denerwująco. Doskonale pamiętał, jak Jace trzymał rannego Aleca, rozpacz w jego oczach, zgrozę na myśl, że można stracić kogoś, bez kogo nie potrafi się żyć.

To były spojrzenia Emmy i Juliana.

Ktoś zawołał ich z dołu. Clary otarła łzy, wstała i wygładziła sukienkę.

– To rzeczywiście przypomina ślub – powiedziała. – Mam wrażenie, że zaraz ktoś nam powie, że mamy ustawić się do zdjęcia.

Wzięła go pod rękę.

– I jeszcze jedno – odezwał się, przypominając sobie Maie i Jordana. – Nawet kiedy zostanę Nocnym Łowcą, nadal będę trochę Podziemnym. Nigdy nie odwrócę się do nich plecami.

Takim właśnie Nefilim chcę być.

– Niczego innego nie spodziewam się po tobie.

Na dole dwójka nowych *parabatai* przyglądała się sobie z dwóch krańców sali. Emma stała w brązowej sukience z wzorem ze złotych kwiatów, Julian nerwowo poprawiał szary garnitur.

– Wyglądacie niesamowicie – powiedziała do nich Clary, a oni onieśmieleni spuścili wzrok.

Jace czekał na nich na frontowych schodach przed Salą Anioła i wyglądał jak Jace w garniturze. Jace w garniturze był nie do zniesienia. Obrzucił Clary spojrzeniem od stóp do głów.

– Ta sukienka jest...

Musiał odchrząknąć. Simon rozkoszował się jego zakłopotaniem. Niewiele wyprowadzało Jace'a z równowagi, ale Clary zawsze potrafiła ściąć go z nóg. W maślanych oczach miał praktycznie serduszka jak postać z kreskówki.

– ...jest bardzo ładna – skończył. – Jak udała się ceremonia? Co myślicie?

– Zdecydowanie więcej ognia niż podczas bar micwy – odparł Simon. – I podczas grilla. Uznam to za najbardziej Ognistą z Oficjalnych Uroczystości.

Jace skinął głową.

– Byli niesamowici – dodała Clary. – I...

Spojrzała na Simona.

– Mamy nowinę.

Jace przekrzywił głowę z zaciekawieniem.

– Później – dodała z uśmiechem. – Chyba wszyscy czekają, aż usiądziemy.

– A potem musimy podejść do Emmy i Juliana.

Emma i Julian czaili się w kącie; stali głowa przy głowie, ale utrzymywali niezręczny dystans między ciałami.

– Pójdę z nimi porozmawiać – powiedział Jace, wskazując głową Juliana i Emmę. – Udzielę im paru męskich,

przemyślanych rad.

Kiedy tylko Jace odszedł, Clary zaczęła coś mówić, ale w tej samej chwili podeszli do nich Magnus i Alec. Magnus miał zacząć uczyć w Akademii jako zaproszony wykładowca i chciał się dowiedzieć, jak fatalne jest tamtejsze jedzenie. Młodsze rodzeństwo Juliana – Ty, Livvy, Drusilla i Octavian – zbiło się w gromadkę przy stole z przekąskami. Simon zerknął przez ramię i zobaczył, że Jace zasypuje świeżo upieczonych *parabatai* swoimi radami. Unosił się smakowity zapach pieczystego. Zaczęto wnosić ogromne półmiski mięsa wraz z warzywami i ziemniakami, pieczywem i serami. Nalewano wino. Nadszedł czas świętowania. To miłe, pomyślał Simon, że wśród tych wszystkich okropieństw, które mogły się wydarzyć i się wydarzyły, znalazło się także miejsce na coś takiego. Na mnóstwo miłości.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Julian wychodzi pośpiesznie z sali. Jace wrócił, obejmując Emmę.

– Wszystko w porządku? – zapytała Clary.

– Tak, Julian musi się przewietrzyć. Ceremonia to spore przeżycie. I tyle ludzi. Musisz coś zjeść. – Ostatnie zdanie było skierowane do Emmy.

Uśmiechnęła się, ale cały czas patrzyła na drzwi, za którymi zniknął jej *parabatai*.

Potem zobaczyła Ty'a, który biegł przez salę z tacą, na której leżał krążek sera.

– O, niedobrze – powiedziała. – On może zjeść cały ten ser, ale potem zwymiotuje. Lepiej się tym zajmę, bo inaczej ten dzień źle się skończy dla Julesa.

Pobiegła za Ty'em.

– Mają sporo na głowie – powiedział Jace, patrząc za Emmą. – Dobrze, że mogą na siebie liczyć. Zawsze będą mogli. Na tym polega bycie *parabatai*. – Uśmiechnął się do Aleca, który odpowiedział szerokim mu uśmiechem rozjaśniającym całą

twarz.

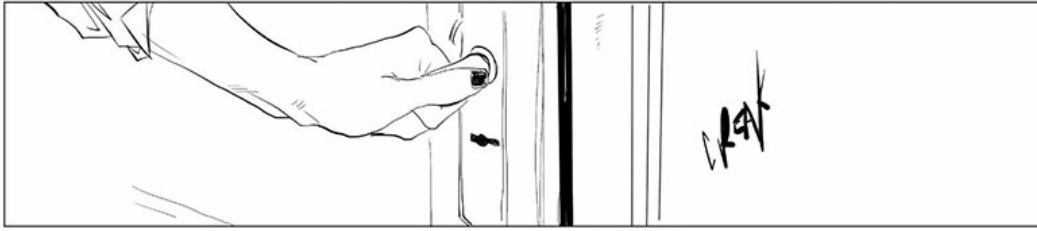
– A skoro mowa o *parabatai* – odezwała się Clary – to mamy dla was wiadomość...



4 Tłum. Józef Czekalski.

Dla nocy i ciemności

Cassandra Clare i Sarah Rees Brennan



*Każdego ranka, każdej nocy
Dla męki ktoś na świat przychodzi.*

*Każdego ranka, każdej nocy
Dla szczęśliwości ktoś się rodzi.*

*Jedni się rodzą dla radości,
Inni dla nocy i ciemności[5].*

– „Wróżby niewinności”, William Blake

Magnus wierzył, że wiele dawnych rzeczy to dzieła o nieprzemijającej urodzie. Piramidy. „Dawid” Michała Anioła. Wersal. Sam Magnus.

Tyle że nie wystarczy, by coś było stare i przepełnione tradycją, by od razu stawało się dziełem sztuki. Nawet jeśli jesteś Nefilim i uważasz, że dzięki krwi anioła wytwory twoich rąk są najlepsze na świecie.

Akademia Nocnych Łowców nie była dziełem o nieprzemijającej urodzie. To była rudera.

Magnus nie przepadał za prowincją wczesną wiosną, zanim zima na dobre się skończy. Krajobraz był wtedy monochromatyczny jak w starym filmie, ale bez stosownej energii narracyjnej. Ciemnoszare pola ciągnęły się pod

bladoszarym niebem, z drzew ostały się jedynie szare szpony czepiające się deszczowych chmur. Akademia dopasowała się do otoczenia – przykucnęła wśród pejzażu jak wielka kamienna ropucha.

Magnus był tu już kilka razy, gdy odwiedzał przyjaciół. Nie podobało mu się to miejsce. Pamiętał lodowate spojrzenia uczniów, którzy przyswajali sobie mroczne i ciasne poglądy Clave i Przymierza, zbyt młodych, żeby zdać sobie sprawę, że świat jest nieco bardziej skomplikowany.

Wtedy przynajmniej budynek się nie walił. Magnus spojrzął na jedną ze smukłych wież, które wznosiły się w czterech rogach budowli. Nie stała prosto; wręcz przeciwnie: wyglądała jak uboga krewna Krzywej Wieży w Pizie.

Magnus popatrzył na nią, skupił się i pstryknął palcami. Wieża gwałtownie powróciła do pionu jak przygarbiona osoba, która nagle się prostuje. Z okien wieży dobiegła seria słabych okrzyków. Magnus nie zdawał sobie sprawy, że ktoś tam przebywa. Krzywa wieża nie robiła wrażenia bezpiecznego miejsca.

Cóż, mieszkańcy niegdyś krzywej wieży wkrótce zdadzą sobie sprawę, że wyświadczył im przysługę. Magnus obrzucił spojrzeniem anioła z witraża nad drzwiami. Anioł odwzajemnił spojrzenie. Jego miecz gorzał, twarz była poważna, jakby anioł nie pochwałał gustu Magnusa i zamierzał poprosić go o zmianę stroju.

Magnus przeszedł pod krytycznym aniołem do kamiennego holu, pogwizdując cicho. Hol okazał się pusty. Nadal było bardzo wcześnie rano, co może wyjaśniało powszechną szarość. Magnus miał nadzieję, że dzień nabierze kolorów, kiedy przyjedzie Alec.

Zostawił swojego chłopaka w Alicante, w domu jego ojca. Siostra Aleca, Isabelle, też się tam zatrzymała. Magnus spędził niespokojną noc w domu Inkwizytora i oznajmił, że wyjedzie wcześniej, żeby rodzina zjadła śniadanie we własnym

towarzystwie. Przez długie lata Robert i Maryse Lightwoodowie tak układali sobie życie, żeby nigdy się z nim nie widywać, o ile nie wymagały tego obowiązki albo sowita zapłata w gotówce dla Magnusa.

Magnus był przekonany, że Robert i Maryse tęsknią za tymi czasami i żałują, że nie mogą wrócić. Wiedział, że nigdy nie wybraliby sobie jego na zięcia i nawet jeśli ich syn musiał się spotykać z mężczyzną, to woleliby, żeby to nie był Podziemny, a już na pewno nie Podziemny, który pamięta czasy Kręgu Valentine'a i zna ich z czasów, których teraz nie wspominają z dumą.

Magnus nie zapomniał. Mógł kochać jednego Nocnego Łowcę, ale wszystkich nie dało się pokochać. Spodziewał się jeszcze wielu lat uprzejmego unikania rodziców Aleca lub uprzejmego tolerowania, kiedy zajdzie taka potrzeba. To była bardzo niska cena za możliwość bycia z Alekiem.

W tej chwili udało mu się uciec od Roberta Lightwooda i miał szansę sprawdzić pokoje, których przygotowania zażyczył sobie od Akademii. Widząc stan budynku, Magnus miał najgorsze przeczucia.

Wbiegł lekko po schodach w cichej budowli, którą wypełniało echo. Wiedział, dokąd idzie. Zgodził się wystąpić z kilkoma gościnnymi wykładami na prośbę starej przyjaciółki Catariny Loss, ale był w końcu Najwyższym Czarownikiem Brooklynu i oczekiwał pewnych standardów. Nie zamierzał rozstawać się ze swoim chłopakiem na kilka tygodni. Jasno dał do zrozumienia, że oczekuje apartamentu dla siebie i Aleca oraz że w jego skład ma wchodzić kuchnia. Nie zamierzał jeść żadnych posiłków, jakie Catarina opisała mu w listach. W miarę możliwości zamierzał unikać nawet oglądania wszelkiego jedzenia opisanego przez Catarinę.

Mapa, którą mu narysowała, okazała się dokładna. Znalazł swoją kwaterę na ostatnim piętrze budynku. Połączone ze sobą

pokoje na poddaszu można było chyba uznać za apartament. Była tam mała kuchnia, chociaż Magnus wątpił, żeby wstawiono do niej coś nowego od lat pięćdziesiątych. W zlewie leżała martwa mysz.

Może ktoś zostawił ją dla nich w ramach powitania? Może to był prezent dla nich?

Magnus obszedł pokoje, machając ręką i zachęcając okna i blaty do umycia się. Pstryknął palcami i wysłał zdechłą mysz w prezencie swojemu kotu, Prezesowi Miau. Maia Roberts, przywódczyni nowojorskich wilkołaków, opiekowała się kotem podczas ich nieobecności. Magnus miał nadzieję, że uzna Prezesa Miau za wielkiego łowcę.

Otworzył małą lodówkę. Ciężkie drzwiczki odpadły. Magnus obrzucił je surowym spojrzeniem i wtedy wskoczyły na miejsce. Zajrzał do środka, machnął wolną ręką i ku swojej satysfakcji zobaczył, że lodówka wypełniła się wieloma produktami Whole Foods.

Alec nie musi się o tym dowiedzieć, a Magnus wyśle później firmie pieniądze. Przeszedł się jeszcze raz po pokojach, rzucając poduszki na nagie, smętne, drewniane krzesła i wielobarwne koce z domu na przekrzywione łóżko z baldachimem.

Kiedy skończył prowizoryczne poprawki w wystroju wnętrza, zszedł już o wiele weselszy do głównego holu Akademii, mając nadzieję znaleźć tam Catarinę lub Aleca. Nikogo nie dostrzegł, więc mimo najgorszych przeczuć poszedł poszukać Catariny w jadalni.

Nie znalazł jej tam, ale zastał paru Nefilim przy śniadaniu. Domyślał się, że te biedne stworzenia wstały wcześniej, żeby porzucać oszczepami albo zająć się czymś równie nieprzyjemnym.

Zobaczył tam chudą blondynkę, która nakładała sobie szarą substancję na talerz – owsiankę albo może jajka. Magnus patrzył w milczeniu i ze zgrozą, jak dziewczyna zaniósła talerz do stołu.

Zachowywała się, jakby rzeczywiście zamierzała to coś zjeść.

Wtedy zauważyła Magnusa.

– O, cześć – powiedziała i zamarła w pół kroku, jakby wpadła pod prześliczną ciężarówkę.

Posłał jej najbardziej czarujący uśmiech. Czemu nie?

– Cześć.

Magnus jadał chleb z niejednego pieca, zanim wymyślono piece. Wiedział, co znaczy takie spojrzenie. Często zdarzało się, że ktoś rozbierał go wzrokiem.

Był jednak pod wrażeniem intensywności tego spojrzenia. Rzadko zdarzało się, żeby ludzie dosłownie zrywali z niego ubrania wzrokiem i rozrzucali na wszystkie strony.

A jego strój nie był nawet szczególnie ekscytujący. Magnus uznał, że lepiej celować w wyważoną powagę, stosowną dla nauczyciela, włożył więc czarną koszulę i dopasowane spodnie. Na koszulę zarzucił króciutką togę – drobny, stylowy dodatek akademicki – ale błyszcząca złota nitka, która przetykała materiał, była naprawdę bardzo subtelna.

– Pan musi być Magnusem Bane'em – powiedziała. – Dużo o panu słyszałam od Simona.

– Nie dziwię się, że się przechwała.

– Bardzo się cieszymy, że możemy pana gościć. Jestem Julie. Właściwie jestem najlepszą przyjaciółką Simona. I nie mam nic do Podziemnych.

– My, Podziemni, mamy kupę szczęścia – mruknął Magnus.

– Bardzo się cieszę na myśl o pańskich wykładach. I że spędzimy razem trochę czasu, pan, ja i Simon.

– Będzie ubaw po pachy.

Starła się przynajmniej, a nie wszyscy Nefilim się starali. W dodatku ciągle wspominała Simona, chociaż to Przyziemny. I jej uwaga mu pochlebiała, więc uśmiechnął się jeszcze odrobinę bardziej promiennie.

– Nie mogę się już doczekać, kiedy lepiej cię poznam, Julie.

Możliwe, że źle zrozumiała jego uśmiech. Wyciągnęła rękę, jakby chciała uścisnąć mu rękę, i upuściła tacę. Oboje spojrzeli na stłuczona miskę i jej smętną, szarą zawartość.

– Chyba dobrze się stało – orzekł z przekonaniem Magnus.

Machnął ręką i cały bałagan zniknął. Potem machnął w stronę wyciągniętej ręki Julie i w jej dłoni pojawiło się małe naczynko z jagodowym jogurtem i łyżeczką.

– Och! – wykrzyknęła Julie. – Rety, dzięki!

– Skoro alternatywą była dokładka tutejszego jedzenia – odparł Magnus – myślę, że jesteś moją dłużniczką. Pewnie powinnaś oddać mi pierwородnego. Ale nie martw się, nie szukam pierwородnego.

Julie zachichotała.

– Ma pan ochotę usiąść?

– Dziękuję za propozycję, ale właśnie kogoś szukałem.

Magnus rozejrzał się po sali, która powoli się wypełniała. Nadal nie dostrzegął Catariny, ale w drzwiach zobaczył Aleca. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie przyjechał i rozmawiał z na oko szesnastoletnim chłopcem o hinduskich rysach.

Magnus pochwycił jego spojrzenie i posłał mu uśmiech.

– Właśnie znalazłem tę osobę – powiedział. – Miło było cię poznać, Julie.

– Wzajemnie.

Kiedy Magnus podszedł, szesnastolatek uściskał dłoń Aleca.

– Chciałem tylko podziękować – powiedział i odszedł, kiwając głową do czarownika.

– Znasz go? – zapytał Magnus.

Alec uśmiechnął się nieco oszołomiony.

– Nie, ale on wiedział o mnie wszystko. Rozmawialiśmy... O tym, jacy powinni być Nocni Łowcy.

– No proszę – powiedział Magnus – mój słynny chłopak, inspiracja dla mas.

Alec uśmiechnął się odrobinę zakłopotany, ale przede

wszystkim rozbawiony.

– A tamta dziewczyna flirtowała z tobą.

– Serio? Skąd wiesz?

Alec rzucił mu sceptyczne spojrzenie.

– Sam wiesz, że takie rzeczy się zdarzają – powiedział Magnus.

– Trochę już żyję na tym świecie i przez cały ten czas byłem olśniewający.

– Doprawdy? – spytał Alec.

– Jestem poszukiwanym towarem. Co z tym zrobisz?

Jeszcze parę lat temu nie mógłby i nie spróbowałby droczyć się w taki sposób z Alekiem. Alec był nowicjuszem w miłości, potykał się o własne lęki związane z tym, kim jest i co czuje. Magnus był wobec niego ostrożny, nie chcąc go zranić i zniszczyć uczucia, jakie rodziło się między nimi, równie nowego dla Magnusa, jak i dla Aleca.

Dopiero niedawno odkrył radość droczenia się z Alekiem, bo wiedział, że go nie zrani, widział, że Alec jest pewniejszy niż kiedyś, czuje się swobodnie i dobrze we własnej skórze; nie puszył się jak jego *parabatai*, ale odkrył spokój i pewność siebie.

Słabo oświetlona kamienna jadalnia, wrzawa plotkujących i zajadających uczniów zatarły się, stając się tylko tłem dla uśmiechu Aleca.

– To – powiedział Alec, łapiąc Magnusa za tokę, opierając o framugę i przyciągając do siebie, żeby go nieśpiesznie pocałować.

Usta Aleca były delikatne i pewne, pocałunek powolny. Jego silne ręce mocno obejmowały Magnusa. Za zamkniętymi powiekami Magnusa szary poranek stał się złoty.

Alec był przy nim. Nawet piekło bardzo zyskało w obecności Aleca, o ile Magnus dobrze pamiętał. Akademia Nocnych Łowców to drobiazg.

* * *

Simon zjawił się późno na śniadaniu i zastał Julie, która mówiła wyłącznie o Magnusie.

– Czarownicy są tacy seksowni – powiedziała tonem kogoś, kto doznał objawienia.

– Pani Loss jest naszą nauczycielką, a ja próbuję coś zjeść. – Beatriz wpatrywała się ze zniechęceniem w talerz.

– Wampiry są obrzydliwe i martwe, wilkołaki są obrzydliwe i włochate, faerie są zdradliwe i przespałyby się z twoją matką – powiedziała Julie. – Czarownicy to seksowni Podziemni. Pomyśl tylko. Wszyscy mają problemy z ojcami. A Magnus Bane jest z nich wszystkich najseksowniejszy. Mógłby zostać Najwyższym Czarownikiem moich majtek.

– Ehm, Magnus ma już chłopaka – wtrącił Simon.

W oczach Julie pojawił się przerażający błysk.

– Na pewne góry chcesz się wspiąć, nawet kiedy stoi znak „Zakaz wstępu”.

– Moim zdaniem to okropne. Wiesz, sposób, w jaki myślisz o wampirach – powiedział Simon.

Julie skrzywiła się.

– Ależ ty jesteś przewrażliwiony. Dlaczego wieszcznie musisz być taki przewrażliwiony?

– Ależ ty jesteś okropna – odparł. – Dlaczego wieszcznie musisz być taka okropna?

Alec dołączył już do Magnusa, poinformowała ich Julie. To bardziej zaprzętało myśli Simona niż okropny charakter Julie, który w końcu nie był niczym nowym. Alec zostanie w Akademii na kilka tygodni. Simon zwykle widywał go w dużym towarzystwie i żadna z tych okazji nie wydawała się właściwa. Teraz nadszedł dobry moment. Nadszedł czas omówić problem, który Jace zasugerował tak ponuro. Simon nie chciał, żeby coś niedobrego stało między nim a Alekiem, który (na ile Simon się orientował) robił wrażenie porządnego gościa. Był starszym bratem Isabelle, a Isabelle była – Simon był tego prawie pewien –

jego dziewczyną.

A w każdym razie chciał, żeby była jego dziewczyną.

– Powinniśmy poćwiczyć trochę strzelanie z łuku przed zajęciami? – zapytał George.

– Gadasz jak nadgorliwy sportowiec – zwrócił mu uwagę Simon. – Prosiłem, żebyś tego nie robił. Ale jasne.

Wszyscy wstali, odsuwając na bok miski, i poszli do frontowych drzwi Akademii, żeby wyjść na plac treningowy.

Taki mieli plan, ale żadne z nich nie dotarło tego dnia na trening. Żadne z nich nie przekroczyło progu Akademii. Wszyscy stłoczyli się ze zgrozą przy frontowych schodach.

Na schodach leżało zawiniątko z miękkiego, żółtego kocyka. Wzrok zawiódł Simona i nie miało to nic wspólnego z jego okularami, a wszystko z paniką – nie był w stanie ogarnąć tego, co się przed nim znajdowało. To zawiniątko ze śmieciami, wmawiał sobie. Ktoś podrzucił im paczkę ze śmieciami na próg.

Tylko że zawiniątko się ruszało. Delikatnie, ale coraz wyraźniej. Simon patrzył na ruszający się kocyk, na błyszczące oczy wyglądające z żółtego kokonu, aż jego umysł pogodził się z tym, co rejestrowały oczy. Wtedy jednak Simon przeżył kolejny szok. Drobną piątką wysunęła się spod koca, machając jakby w proteście wobec zaistniałych wydarzeń.

Piątka była niebieska. Był to intensywny grantowy odcień morskich głębin, gdy patrzy się z łodzi na morze o zmierzchu. Kolor stroju Kapitana Ameryki.

– To dziecko – szepnęła Beatriz. – Mały czarownik.

Do żółtego kocyka przypięto liścik. Simon zauważył to w tej samej chwili, w której wiatr porwał kartkę z kocyka. Wyrwał ją z chłodnej garści podmuchu i spojrzał na pośpieszny charakter pisma na skrawku papieru.

Napisano tam: „Kto zdoła je pokochać?”.

– O, nie, dziecko jest sine – powiedział George. – Co zrobimy?

Zmarszczył brwi. Przyklęknął – wiadomo było, że George ma najczulsze serce w ich grupie – i niezręcznie wziął na ręce żółte zawiniątko. Wstał z pobladłą twarzą.

– Co zrobimy? – jęknęła Beatriz, powtarzając słowa George’a. – Co zrobimy?

Julie przywarła do drzwi. Simon na własne oczy widział, jak bardzo małym nożem obcięła demonowi bardzo duży łeb, ale teraz sprawiała wrażenie przerażonej na samą myśl, że ktoś mógłby kazać jej wziąć na ręce dziecko.

– Wiem, co zrobimy – powiedział Simon.

Pomyślał, że poszuka Magnusa. Wiedział, że czarownik i Alec już się zjawili i nie śpią. Zresztą i tak musiał porozmawiać z Alekiem. Magnus wyleczył Simona z demonicznej amnezji. Żył od wielu wieków. Był najbardziej dorosłą osobą, jaką Simon znał. Malutki czarownik podrzucony do fortecy Nocnych Łowców to problem, którego Simon nie potrafił naprawić, i czuł, że potrzebuje pomocy dorosłego. Już się odwracał, żeby odejść.

– Powinienem zrobić maluchowi usta-usta? – zapytał George.

Simon zamarł.

– Nie rób tego. Dziecko oddycha. Dziecko oddycha, prawda?

Wszyscy stanęli i spojrzeli na zawiniątko. Dziecko znowu pomachało piąstką. Skoro się rusza, pomyślał Simon, to i oddycha. Nie zamierzał myśleć teraz o malutkich zombie.

– Powinienem przynieść mu butelkę z ciepłą wodą? – zapytał George.

Simon odetchnął głęboko.

– George, nie trać głowy. Dziecko nie jest sine, bo zmarzło albo się dusi. Przyziemnie dzieci nie przybierają takiego odcienia. To dziecko jest niebieskie, bo jest czarownikiem, tak jak Catarina.

– Nieprawda – powiedziała piskliwie Beatriz. – Pani Loss ma odcień lazurowy jak niebo, a to dziecko jest raczej grantowe.

– Widzę, że sporo wiesz – orzekł George. – Ty je powinnaś

trzymać.

– Nie! – pisnęła Beatriz.

Obie z Julie uniosły ręce, jakby się poddawały. Z ich punktu widzenia to było jasne, że George trzyma naładowane dziecko i nie zawaha się go użyć. Lepiej nie wykonywać nerwowych ruchów.

– Niech nikt się stąd nie rusza – rozkazał Simon, starając się zachować spokój.

Julie się ożywiła.

– Świetny pomysł, Simon.

Simon popędził przez hol i schodami w tempie, które zadziwiłoby jego złego nauczyciela od WF-u. Scarsbury nigdy jednak nie zmotywował go w taki sposób.

Simon wiedział, że Magnusa i Aleca umieszczono w eleganckim apartamencie na poddaszu. Podobno mieli nawet własną kuchnię. Simon pobiegł na górę, wiedząc, że w końcu trafi na poddasze.

Kiedy tam dotarł, usłyszał pomruki i ruch za drzwiami. Otworzył je z rozmachem.

A potem zamarł na drugim progu tego dnia.

Alec i Magnus byli przykryci prześcieradłem, ale Simon zobaczył dość. Widział blade, poblížnione runami ramiona Aleca i dziką czarną grzywę Magnusa rozsypaną na poduszce. Alec zamarł, a potem odwrócił się i rzucił Simonowi pełne najwyższej zgrozy spojrzenie.

Złote kocie oczy Magnusa błyszczały ponad bladym ramieniem Aleca. W jego głosie pobrzmiwało niemal rozbawienie, kiedy zapytał:

– W czym możemy pomóc?

– O Boże! – jęknął Simon. – Rety. Rety, strasznie przepraszam.

– Wyjdź, proszę – powiedział Alec napiętym, opanowanym głosem.

– Jasne! Pewnie! – Simon zawahał się. – Nie mogę.

- Możesz – zapewnił go Alec. – Uwierz mi.
- Na schodach Akademii leży porzucone dziecko i myślę, że to czarownik! – wypalił Simon.
- Dlaczego myślisz, że to czarownik? – spytał Magnus.
- Tylko on nie stracił głowy w tym towarzystwie.
- Bo, ehm, dziecko jest granatowe.
- To rzeczywiście przekonujący argument – przyznał Magnus.
- Możesz dać nam chwilę, żebyśmy się ubrali?
- Tak! Jasne! I jeszcze raz przepraszam.
- Idź już – zasugerował Alec.

Simon poszedł.

Po krótkiej chwili Magnus wyszedł z pokojów na poddaszu w czarnym obcisłym stroju i lśniącej złotem todze. Włosy miał potargane, jakby wpadło w nie miniaturowe tornado, ale Simon nie zamierzał czepiać się wyglądu włosów potencjalnego wybawcy.

- Jeszcze raz przepraszam – powiedział Simon.
- Magnus machnął leniwie ręką.
- Widok twojej twarzy nie był najlepszym tego dnia, ale takie rzeczy się zdarzają. Fakt, że mnie i Alecowi jeszcze nigdy się to nie przydarzyło, więc on potrzebuje chwili. Pokaż mi, gdzie jest dziecko.
- Chodź.

Simon zbiegł po schodach równie szybko, jak po nich wbiegł, zeskakując po dwa stopnie. Zobaczył scenkę przy progu dokładnie w takim stanie, w jakim ją zostawił – Beatriz i Julie były przerażoną widownią dla George, który lękliwie i nieumiejętnie trzymał dziecko. Z zawiniątka dobywało się słabe i błagalne kwilenie.

- Czemu to tyle trwało? – syknęła Beatriz.

Julie nadal była bardzo wstrząśnięta, ale zdołała wykrztusić:

- Cześć, Magnus.

- Miło cię znowu widzieć, Julie – odpowiedział Magnus,

w dalszym ciągu jedyna spokojna osoba w towarzystwie. – Daj mi potrzymać dziecko.

– Och, dzięki – westchnął George. – To nie tak, że nie lubię tego dziecka, ale nie mam pojęcia, co z nim zrobić.

George zdążył przywiązać się do malucha w czasie, w którym Simon wbiegł po schodach i zbiegł. Patrzył czule na dziecko, ścisnął chwilę zawiniątko, a potem oddał je Magnusowi tak niezręcznie, że omal nie upuścił go na kamienie.

– Na Anioła! – krzyknęła Julie, przyciskając rękę do serca.

Magnus wziął dziecko i przycisnął do zdobionej złotem piersi. Trzymał je z większą wprawą niż George, bo podtrzymywał mu główkę. Najwyraźniej trzymał już dziecko raz albo dwa w swoim życiu. George nie miał raczej szans na zwycięstwo w tej konkurencji.

Dłonią błyszcząca od pierścieni Magnus odchylił odrobinę kocyk, a Simon wstrzymał oddech. Magnus obrzucił spojrzeniem dziecko, jego niewiarygodnie małe dłonie i stópki, wielkie oczy w drobnej twarzyczce, loczki na główce tak ciemnoniebieskie, że niemal czarne. Ciche kwilenie stało się odrobinę głośniejsze i bardziej natarczywe, więc Magnus przyglądał z powrotem kocyk.

– To chłopiec – oznajmił.

– Och, chłopczyk – rozczulił się George.

– Moim zdaniem ma z osiem miesięcy – dodał Magnus. – Ktoś go wychowywał, dopóki mógł to znieść, a pewnie dzięki temu, że do Akademii przyjęto Przyziemnych, dowiedział się o tym miejscu i podrzucił niechciane dziecko.

– Przecież nikt nie porzuciłby dziecka... – zaczął George, ale uciszyło go spojrzenie Magnusa.

– Ludzie czasem to robią. To się zdarza. Zwłaszcza w przypadku małych czarowników – powiedział cicho.

– Czyli nikt po niego nie wróci – powiedziała Beatriz.

Simon podał Magnusowi liścik, który znalazł przy kocyku.

Widząc minę czarownika, czuł, że nie może go oddać nikomu innemu. Magnus spojrzął na kartkę i skinął głową. Między jego palcami mignęły słowa „Kto zdoła je pokochać?”, a potem Magnus schował kartkę do kieszeni togi.

Wokół zebrali się inni uczniowie. Podniósł się gwar skonsternowanych głosów. Simon podejrzewał, że gdyby znajdowali się w Nowym Jorku, już zaczęto by robić zdjęcia telefonami. Czuł się trochę jak zwierzę w zoo i cieszył się z obecności Magnusa.

– Co się dzieje? – dobiegł głos ze schodów.

Stała tam dziekan Penhallow. Rozpuszczone rudawe blond włosy opadały jej na ramiona. Owijała się ciasno czarnym jedwabnym szlafrokiem haftowanym w smoki. Obok niej stała Catarina ubrana w dżinsy i białą bluzkę.

– Wygląda na to, że ktoś zostawił dziecko zamiast mleka – powiedziała. – To nierozważne. Witaj, Magnusie.

Magnus pomachał do niej wolną ręką i cierpko się uśmiechnął.

– Co? Dlaczego? Kto zrobiłby coś podobnego? Co zrobimy z dzieckiem? – pytała dziekan.

Czasem Simon zapominał, że dziekan Penhallow jest bardzo, bardzo młoda jak na nauczycielkę, już nie wspominając o stanowisku dziekana. A czasem przypominał sobie o tym z całą wyrazistością. Panikowała tak samo jak Beatriz i Julie.

– Jest zdecydowanie za mały, żeby go uczyć – orzekł Scarsbury, stojąc w tłumie na schodach. – Może powinniśmy skontaktować się z Clave.

– Jeśli mały potrzebuje łóżka – zaproponował George – to może spać w naszej szufladzie na skarpetki.

Zbulwersowany Simon spojrzął na przyjaciela. George się zasmucił.

Alec Lightwood niczym cień przemknął przez tłum, ale bez przepychania się. Górował nad większością uczniów. Poruszał się powoli, z uporem, aż wreszcie znalazł się tam, gdzie chciał –

u boku Magnusa.

Na jego widok Magnus się rozluźnił. Simon nawet nie zdawał sobie sprawy z napięcia w sylwetce czarownika, dopóki nie zniknęło.

– To jest ten mały czarownik, o którym mówił Simon – powiedział cicho Alec i skinął głową na dziecko.

– Jak widzisz – odpowiedział Magnus. – Dziecko bardzo się różni od Przyziemnych. Matka ewidentnie go nie chce. Znalazł się w gnieździe Nefilim, a ja, myśląc o faerie, Nocnych Łowcach i wilkołakach, nie mam pojęcia, gdzie to dziecko znajdzie sobie miejsce.

Jeszcze chwilę temu wydawało się, że spokój i rozbawienie Magnusa nie znają granic. Teraz Simon usłyszał zmęczenie w jego głosie, jakby to była strzępiąca się lina, która utrzymuje zbyt duży ciężar i wkrótce pęknie.

Alec położył rękę na ramieniu Magnusa, tuż nad łokciem. Złapał ją mocno, niemal bezwiednie używając mu swojej siły. Spojrzał na czarownika, a potem przez długą chwilę przyglądał się w zamyśleniu dziecku.

– Mogę go potrzymać? – spytał.

Magnus uniósł brwi, ale zdziwienie zaraz zniknęło z jego twarzy.

– Oczywiście – powiedział i podał mu dziecko.

Może dlatego, że Alec trzymał dziecko nie tak dawno, jak Magnus, a z pewnością częściej niż George. Może to dlatego, że nosił sweter, który wyglądał na potwornie stary, zmiękczone latami używania, którego ciemna zieleń poszarzała i zostały tylko smużki z oryginalnego koloru...

Bez względu na powód, kiedy tylko Alec wziął dziecko, ustało ciche kwilenie. Nadal niósł się podenerwowany szmer szeptów w holu, ale mała grupka otaczająca dziecko nagle znalazła się w bańce ciszy.

Dziecko spojrzało na Aleca szarymi oczami tylko odrobinę

ciemniejszymi od jego własnych oczu. Alec odwzajemnił spojrzenie. Był równie zaskoczony nagłym spokojem dziecka jak wszyscy inni.

– No dobrze – odezwał się Delaney Scarsbury. – Powinniśmy skontaktować się z Clave i przedstawić im sprawę, czy co?

Magnus odwrócił się gwałtownie, połyskując złotem, i posłał Scarsbury’emu takie spojrzenie, że ten skurczył się pod ścianą.

– Nie zamierzam zdać się w kwestii tego dziecka na łaskę miłosiernego Clave – oznajmił Magnus lodowatym tonem. – Sami zajmijmy się tą sprawą, prawda, Alec?

Alec nadal patrzył na dziecko. Zerknął na Magnusa, kiedy ten zadał pytanie. Wzrok miał nieco nieprzytomny, jakby ktoś go obudził ze snu, ale na jego twarzy pojawiła się nagle determinacja.

– Aha – przytaknął. – Zgadza się.

Magnus powtórzył ruch, który wcześniej wykonał Alec, łapiąc go za ramię w podziękowaniu bez słów i okazując wsparcie. Alec znowu skupił wzrok na dziecku.

Simon poczuł się tak, jakby zdjęto mu ogromny ciężar z piersi. Oczywiście nie martwił się tak naprawdę, że będzie musiał z George’em wychowywać dziecko w szufladzie na skarpetki (no dobrze, może trochę się tym martwił), ale przeraziło go widmo ogromnej odpowiedzialności. To było bezradne, porzucone maleńkie dziecko. Simon wiedział aż za dobrze, w jaki sposób Nocni Łowcy patrzą na Podziemnych. Nie miał pojęcia, co robić. Magnus wziął na siebie odpowiedzialność. Przejął od nich dziecko zarówno w przenośni, jak i dosłownie. I nawet nie mrugnął okiem. Zachowywał się, jakby to w ogóle nie było nic wielkiego.

Magnus był naprawdę świetnym gościem.

Simon wiedział, że Isabelle została w Alicante, że oboje z Alekiem zanocowali u ojca. Wybierała się do domu, w którym mieszkał Ragnor Fell, gdzie znajdował się działający telefon.

Catarina założyła drugi w Akademii i powiedziała, że ten jeden raz Simon może z niego skorzystać. Mieli więc telefoniczną randkę. Simon zamierzał jej powiedzieć, jak świetnie Magnus i jej brat rozegrali sprawę.

* * *

Magnus pomyślał, że może być pierwszym poświadczonym w historii przypadkiem czarownika, który dostał zawału.

Nocą krążył po placu treningowym Akademii Nocnych Łowców, bo nie mógł dłużej wytrzymać dusznej atmosfery budynku z setkami Nefilim.

Biedne dziecko. Magnus ledwie mógł na nie patrzeć – było takie małe i tak całkowicie bezradne. Nieustannie myślał, jak bezbronne jest to dziecko, jak straszliwy ból i nieszczęście musiała przeżywać matka. Wiedział, w jakiej ciemności byli płodzeni czarownicy i jaki mrok czekał ich po narodzinach. Catarina zajmowała się kochająca rodzina, która znała jej naturę i stosownie do tego ją wychowała. Magnus przez długi czas mógł uchodzić za zwykłego człowieka, aż w końcu stało się to niemożliwe.

Wiedział, co się działo z małymi czarownikami, którzy rodzili się i w oczywisty sposób nie wyglądali jak ludzie, a ich matki i reszta świata nie byli w stanie zaakceptować tego faktu. Nie potrafił oszacować, ile narodziło się w mrocznej historii świata potencjalnie nieśmiertelnych dzieci, które nigdy nie miały szansy długo żyć. Dzieci porzuconych, jak ten maluch, albo utopionych, jak omal nie skończył Magnus; dzieci, które nigdy nie odcisnęły magicznego piętna na historii, które nigdy nie otrzymały ani nie dały miłości, które nigdy nie były niczym więcej niż szeptem cichnącym na wietrze, wspomnieniem bólu i rozpaczony niknącym w ciemności. Nic innego nie zostało po tych

dzieciach, żaden czar, żaden śmiech, żaden pocałunek.

Gdyby miał mniej szczęścia, Magnus znalazłby się wśród tych dzieci, które przepadły. Bez miłości Catarina i Ragnor także by przepadli.

Magnus nie miał pojęcia, co zrobić z tym najnowszym niechcianym dzieckiem.

Nie pierwszy raz dziękował przedziwnej i cudnej fortunie za to, że zesłała mu Aleca. To on zaniósł dziecko na poddasze, a kiedy Magnus wyczarował kołyskę, to Alec ułożył w niej ostrożnie niemowlę.

A kiedy maluch zaczął wrzeszczeć jak opętany, to Alec wziął go na ręce i chodził z nim, poklepując po plecach i coś pomrukując. Magnus wyczarował zaopatrzenie i spróbował przygotować mleko dla niemowlaka. Czytał gdzieś, że trzeba sprawdzać mleko na sobie i ostatecznie poparzył sobie nadgarstek.

Dziecko płakało całymi godzinami. Magnus uznał, że trudno mieć pretensje do tej małej zagubionej duszyczki.

Wreszcie zasnęło, kiedy słońce zaszło za oknami poddasza i minął cały dzień. Alec na wpół spał, opierając się o kołyskę, a Magnus poczuł, że musi wyjść. Alec tylko skinął głową, kiedy Magnus powiedział, że wychodzi odetchnąć świeżym powietrzem. Prawdopodobnie był zbyt wyczerpany, żeby go obchodziło, co robi Magnus.

Księżyc świecił okrągły jak perła, posrebrzając włosy witrażowego anioła i zamieniając nagie zimowe pola w połacie światła. Magnusa kusilo, żeby zawyc jak wilkołak.

Nie miał pojęcia, dokąd mógłby zabrać dziecko, komu mógłby je powierzyć, kto by je zechciał i zdołał pokochać. Praktycznie nie przychodziło mu do głowy żadne miejsce w tym wrogim świecie, w którym to dziecko byłoby bezpieczne.

Usłyszał przed Akademią podniesione głosy i tupot stóp mimo późnej pory.

Kolejna nagła sprawa, pomyślał Magnus; to był pełen wrażeń

dzień, w tym tempie Akademia mnie wykończy.

Przybiegł z placu treningowego do frontowych drzwi i zobaczył ostatnią osobę, jakiej spodziewał się w Idrisie: Lily Chen, przywódczynię nowojorskiego klanu wampirów. Niebieskie pasemka we włosach pasowały do jej niebieskiej kamizelki, a wysokie obcasy zostawiły głębokie dziury w ziemi.

– Bane – powiedziała. – Potrzebuję pomocy. Gdzie on jest?

Magnus był zbyt zmęczony, żeby się z nią sprzeczać.

– Chodź za mną – powiedział i poprowadził ją schodami.

Kiedy tak szedł, pomyślał sobie, że hałasy, które słyszał przed Akademią, nie mogły zwiastować tylko Lily.

Pomyślał tak, ale nie przygotował się na to, co go jeszcze czekało.

Magnus zostawił śpiące dziecko i umęczonego ukochanego, a kiedy otworzył drzwi, ujrzał totalny chaos. Przez chwilę miał wrażenie, że w ich pokojach przebywają tysiące ludzi, a potem zdał sobie sprawę, że rzeczywistość jest daleko gorsza.

Zjawili się wszyscy członkowie rodziny Lightwoodów co do jednego, a każde z nich hałasowało za dziesięć osób. Robert Lightwood perorował dudniącym głosem. Maryse Lightwood wymachiwała trzymaną butelką i także wygłaszała przemowę. Isabelle Lightwood stała na stołku, ale Magnus za nic w świecie nie pojmował dlaczego. Jace Herondale, co było jeszcze bardziej tajemnicze, leżał na kamiennej podłodze. Najwyraźniej przyprowadził ze sobą Clary, która patrzyła na Magnusa z taką miną, jakby sama była zdumiona własną obecnością.

Alec stał pośrodku pokoju, pośród tego ludzkiego tornada, jakim była jego rodzina, i przyciskał w obronnym geście dziecko do piersi. Magnus nie wierzył, żeby jego serce zacisnęło się jeszcze mocniej, ale jakimś cudem za największą katastrofę na świecie uznał fakt, że dziecko się obudziło.

Magnus zatrzymał się w progach, wpatrując się w chaos i nie bardzo wiedząc, co teraz zrobić.

Lily się nie zawahała.

– LIGHTWOOD! – ryknęła i wparowała do pokoju.

– Ach, oczywiście, Lily Chen, o ile się nie mylę? – powiedział Robert Lightwood, odwracając się do niej z całą inkwizytorską godnością i nie zdradzając najmniejszego zaskoczenia. – Pamiętam, że byłeś tymczasowym reprezentantem wampirów w Radzie. Miło znowu się widzieć. W czym mogę pomóc?

Robert najwyraźniej robił, co w jego mocy, żeby ważnej przywódczyni wampirów okazać uprzejmość. Magnus to doceniał. Odrobinę.

Lily miała to w nosie.

– Nie ty! – warknęła. – Kim ty w ogóle jesteś?

Robert uniósł gwałtownie krzaczaste czarne brwi.

– Jestem Inkwizytorem! Byłem szefem Nowojorskiego Instytutu przez ponad dekadę.

Lily przewróciła ciemnymi oczami.

– Och, gratuluję. Chcesz za to medal? To oczywiste, że szukam Alexandra Lightwooda! – powiedziała. Minęła wpatrujących się w nią Roberta i Maryse, i podeszła do ich syna. – Alec! Znasz sprzedawcę z Faerie, Mordecaia? Sprzedawał Przyziemnym owoce na skraju Central Parku. Znowu! Znowu to robi! A potem Elliott ugryzł Przyziemnego, który zjadł odrobinę owocu.

– Ujawnił komukolwiek swoją wampirzą naturę podczas upojenia? – zapytał ostro Robert.

Lily rzuciła mu miążdzące spojrzenie, jakby się zastanawiała, co on tam jeszcze robi, a potem znowu skupiła się na Alecu.

– Elliott wykonał Taniec Dwudziestu Ośmiu Zasłon na Times Square. Wylądował na YouTube. Wiele komentarzy opisało to jako najnudniejszy taniec erotyczny w dziejach świata. Nigdy w życiu nie byłam równie zażenowana. Zastanawiam się, czy nie porzucić pozycji przywódczyni i nie zostać wampirzą zakonnicą.

Magnus zauważył, że Maryse i Robert, którym nie najlepiej się układało i prawie się do siebie nie odzywali, skonsultowali się

pośpiesznie w kwestii tożsamości tajemniczego YouTube'a.

– Ponieważ jestem obecną szefową Nowojorskiego Instytutu – odezwała się Maryse siląc się na stanowczość – jeśli jakiś Podziemny złamał prawo, to ja powinnam zostać o tym poinformowana.

– Nie rozmawiam z Nefilim o sprawach Podziemnych – odparła surowo Lily.

Starsi Lightwoodowie spojrzeli na nią, a potem zgodnie obrócili głowy, żeby spojrzeć na swojego syna.

Lily machnęła lekceważąco ręką.

– Z wyjątkiem Aleca, to specjalny przypadek. Inni Nocni Łowcy po prostu wchodzi, wykładają swoje bezcenne Prawo i ścinają ludziom głowy. My, Podziemni, sami możemy zająć się swoimi sprawami. Nefilim niech się skupią na ścinaniu głów demonom. Zgłoszę się do was, kiedy tylko pojawi się następne straszliwe zło. A następną straszliwą uciążliwością, która pewnie pojawi się we wtorek, zajmę się sama z Maią i Alekiem. Dziękuję. Przestańcie mi, proszę, przerywać. Alec, czy tym ludziom w ogóle można zaufać?

– To moi rodzice – odpowiedział Alec. – Słyszałem o owocach. Faerie ostatnio coraz częściej ryzykują. Dałem już znać Mai. Wysłała Bata i paru innych chłopaków, żeby krążyli po terenie parku. Bat przyjaźni się z Mordecaiem, przemówi mu do rozsądku. A ty trzymaj Elliota z dala od parku. Wiesz, jak mu odbija po owocach faerie. Zdajesz sobie sprawę, że specjalnie ugryzł tego Przyziemnego.

– To mógł być wypadek – mruknęła Lily.

Alec rzucił jej pełne powątpiewania spojrzenie.

– To mógł być jego siedemnasty wypadek? Musi z tym skończyć, bo kiedyś przestanie nad sobą panować pod wpływem owocu i kogoś zabije. Nie zabił tamtego człowieka, prawda?

– Nie – odpowiedziała urażonym tonem Lily. – Zdążyłam go powstrzymać. Wiedziałam, że zabiłbyś go i rzucił mi to swoje

pełne dezaprobaty spojrzenie. – Zamilkła. – Wilkołaki na pewno nad tym zapanują?

– Tak – zapewnił ją Alec. – Nie musiałaś wparowywać do Idrisu i paplać o sprawach Podziemnych przy całej mojej rodzinie.

– Skoro to twoja rodzina, to wiedzą, że poradzisz sobie z takim drobiazgiem – rzuciła lekceważąco Lily. Przeczesła gładkie czarne włosy dłońmi, odrobinę je pusząc. – Ogromnie mi ulżyło. O! – dodała, jakby dopiero teraz zauważyła. – Trzymasz dziecko.

Lily zwykle miała niepodzielną uwagę jak promień lasera.

Po wojnie z Sebastianem Nocni Łowcy musieli zająć się zdradą faerie i kryzysem wynikającym z upadku wielu Instytutów i ogromnej liczby Nefilim, którzy stali się Mrocznymi lub zginęli w wojnie, już drugiej wojnie w ciągu tego roku.

Nie byli w stanie mieć na oku Podziemnych, ale Podziemni też ponieśli ogromne straty. Stare struktury, takie jak Praetor Lupus, które od stuleci utrzymywały ich społeczeństwo w równowadze, zostały zniszczone podczas wojny. Faerie czekały na rewoltę. Klany wilkołaków i wampirów z Nowego Jorku miały nowych przywódców. Zarówno Lily, jak i Maia, były młodymi przywódczyniami i zupełnie nieoczekiwanie zdobyły tę pozycję. Mimo starań obie z powodu braku doświadczenia wpakowały się w kłopoty.

Pewnego dnia Maia zadzwoniła do Magnusa i zapytała, czy może go odwiedzić, poprosić o radę w paru kwestiach. Kiedy się pojawiła, przywlekła ze sobą Lily.

Lily, Maia i Magnus siedli przy jego stoliku do kawy i wrzeszczeli na siebie przez kilka godzin.

– Nie możesz tak po prostu kogoś zabić, Lily! – powtarzała Maia.

– Wyjaśnij mi, dlaczego – powtarzała wampirzyca.

Alec był zrzędlivy cały dzień, bo podczas walki demoniczny smok omal nie wyrwał mu ręki ze stawu. Opierał się o kuchenny blat, słuchał, opatrywał rękę i wysłał Jace'owi wiadomości

w stylu „CZEMU PISZESZ, ŻE COŚ WYGINEŁO, SKORO NIE WYGINEŁO” i „DLACZEGO TAKI JESTEŚ?”.

Aż stracił cierpliwość.

– Wiesz, Lily – odezwał się lodowatym tonem, odkładając telefon – że przez ponad połowę czasu, kiedy się odzywałaś, tylko drażniłaś Magnusa i Maię, zamiast coś zaproponować? Tracą czas na sprzeczki z tobą i wszystko trwa dwa razy dłużej. Co znaczy, że marnujesz czas wszystkich. To nie jest zachowanie kompetentnego przywódcy.

Lily była tak zaskoczona, że tylko patrzyła na niego tępo. Dopiero po chwili syknęła:

– Nikt nie pytał cię o zdanie, Nocny Łowco.

– Jestem Nocnym Łowcą – odpowiedział ze spokojem Alec. – A co do waszego kłopotu z syrenami... Instytut w Rio de Janeiro miał ten sam problem parę lat temu. Wiem na ten temat wszystko. Chcesz, żebym ci powiedział? Czy też wolisz, żeby pół tuzina turystów na łodzi płynącej na Staten Island utonęło i co najmniej tylu samo Nocnych Łowców zadawało ci kłopotliwe pytania, podczas gdy cieniutki głosik w twojej głowie mówiłby: „Jaka szkoda, że nie posłuchałam Aleca Lightwooda, kiedy miałam okazję”?

Zapadła cisza. Maia włożyła całe ciasteczko do ust, kiedy wszyscy czekali. Lily nadal naburmuszona siedziała ze skrzyżowanymi rękami.

– Nie marnuj mojego czasu, Lily – powiedział Alec. – Czego chcesz?

– Chyba tego, żebyś usiadł z nami i mi pomógł – odburknęła Lily.

Alec usiadł.

Magnus nie spodziewał się, że do takich spotkań dojdzie więcej niż kilka razy, a już na pewno nie przewidział, że Alec i Lily nawiążą dobre stosunki. Kiedyś Alec nie czuł się najlepiej w towarzystwie wampirów, ale zawsze doceniał, gdy ktoś na nim

polegał, zwracał się do niego. Kiedy tylko Lily zjawiała się z problemem – początkowo wyniosła i niechętna, a potem roszczeniowa i pewna swego – Alec nie spoczywał, dopóki go nie rozwiązał.

Pewnego czwartkowego wieczoru Magnus usłyszał dzwonek do drzwi. Wyszedł z sypialni, zobaczył, że Alec rozstawia kieliszki, i zdał sobie sprawę, że okazyjne spotkania w nagłych wypadkach stały się regularnymi zebraniem. Zobaczył, że Maia, Lily i Alec rozwijają mapę Nowego Jorku, żeby zaznaczać kłopotliwe obszary, i prowadzą zażarte dyskusje, podczas których Lily rzuca paskudne żarty na temat wilkołaków. Zauważył, że wydzwanają do siebie, kiedy jedno ma problem, którego nie potrafi samo rozwiązać. Zaobserwował, że do Nowego Jorku przyjeżdżają Podziemni i Nocni Łowcy, którzy wiedzą, że znajdą tam grupę wpływowych Podziemnych i Nefilim potrafiących ze sobą współpracować. Szukali rady i chcieli się przekonać, czy także dla nich ta grupa okaże się pomocna.

Magnus zdał sobie sprawę, że tak wygląda teraz jego życie i nie chciałby tego zmienić.

– Ogromnie lubię Aleca – powiedziała Magnusowi odrobinę wstawiona Lily podczas przyjęcia kilka miesięcy później. Miała brokat we włosach. – Zwłaszcza kiedy zaczyna mi przycinać. Przypomina mi Raphaela.

– Jak śmiesz? – oburzył się Magnus. – Mówisz o mężczyźnie, którego kocham.

Pełnił funkcję barmana. Do smokingu włożył jarzącą się w ciemnościach kamizelkę, dzięki czemu trochę łatwiej radził sobie z obowiązkami w nastrojowo mrocznym pomieszczeniu. Powiedział to bez zastanowienia, jak gdyby nigdy nic, a potem zamarł ze szklanką w dłoni połyskującą turkusowo w światłach przyjęcia. Mówił o Raphaelu zwyczajnie, obrażał go żartobliwie, jakby Raphael nadal żył.

Lily była sojuszniczką Raphaela i jego wsparciem przez wiele

dekad. Była mu całkowicie oddana.

– Kochałam Raphaela – odparła. – A Raphael nie kochał nikogo, tyle sama wiem. Był jednak moim przywódcą. Jeśli porównuję kogoś do Raphaela, to jest to komplement. Lubię Aleca. I lubię Maię. – Przyjrzała się Magnusowi wielkimi oczami ze źrenicami tak rozszerzonymi, że całe wydawały się czarne. – Za tobą nigdy nie przepadałam, ale Raphael zawsze mówił, że chociaż jesteś idiotą, można ci ufać.

Magnus wiedział, że Raphael kochał wielu ludzi. Kochał swoją śmiertelną rodzinę. Może Lily o niej nie wiedziała – Raphael był bardzo ostrożny w tej kwestii. Magnus uważał, że Raphael mógł kochać Lily, chociaż nie w taki sposób, w jaki ona tego pragnęła.

Wiedział, że Raphael jej ufał. I ufał także Magnusowi. Stali tak razem, dwoje zauszników Raphaela, podczas jednej z tych strasznych, cichych chwil, kiedy wspomina się zmarłych, wiedząc, że nigdy więcej się ich nie zobaczy.

– Napijesz się jeszcze czegoś? – zapytał Magnus. – Możesz mi powierzyć przygotowanie drinka.

– No to dawaj zero Rh minus. Mam ochotę zaszaleć – odpowiedziała Lily.

Zapatrzyła się w dal, podczas gdy Magnus przygotowywał jej drinka. Patrzyła na strumienie brokatu spadające co pewien czas z sufitu, ale ich nie dostrzegała.

– Nigdy nie myślałam, że będę musiała przewodzić klanowi. Myślałam, że Raphael zawsze tu będzie. Gdyby nie spotkanie z Alekiem i Maią, nie wiedziałabym co robić. Wilkołak i Nocny Łowca. Myślisz, że Raphael byłby zażenowany?

Magnus podsunął jej szklanekę.

– Nie.

Lily się uśmiechnęła, błyskając kłami między pomalowanymi na śliwkowo ustami, i ściskając drinka, podeszła do Aleca.

Teraz stała obok Aleca, za którym zapuściła się aż do Idrisu, i patrzyła na dziecko, które trzymał.

– Cześć, brzdącu – szepnęła Lily, pochylając się nad niemowlęciem. Kłapnęła kłami.

Jace natychmiast przeturlał się i poderwał z podłogi. Robert, Maryse i Isabelle oparli ręce na broni. Lily znowu kłapnęła zębami, nawet nie zauważając, że cała rodzina Lightwoodów jest gotowa rozedrzeć ją na strzępy. Alec spojrział na bliskich ponad Lily i delikatnie, ale stanowczo pokręcił głową. Dziecko spojrzało na błyszczące kły Lily i się roześmiało. Lily jeszcze raz kłapnęła zębami i dzieciak znowu się zaśmiał.

– No co? – zapytała i spojrzała na Aleca nagle zakłopotana. – Za życia lubiłam dzieci. Podobno miałam do nich podejście. – Roześmiała się trochę zawstydzona. – Minęło już trochę czasu.

– Świetnie – odrzekł Alec. – W takim razie będziesz go czasem pilnowała.

– Ha, ha, jestem szefową nowojorskich wampirów i jestem na to zbyt ważna – odpowiedziała Lily. – Ale będę do niego zaglądać, kiedy do was wpadnę z wizytą.

Magnus zastanawiał się, ile czasu zdaniem Aleca minie, zanim dziecko znajdzie dom. Chyba spodziewał się, że to trochę potrwa, i Magnus obawiał się, że Alec ma rację.

Czarownik przyglądał mu się, jak pochyla głowę nad dzieckiem, podsuwając je Lily, i jak oboje gruchają do malucha. Alec w ogóle się nie denerwował, zauważył Magnus. To Lily po jakimś czasie gruchania zakłopotana się.

– Wygląda na to, że chyba w czymś przeszkodziłam – powiedziała.

– Serio? – zapytała Isabelle, krzyżując ręce. – Naprawdę tak myślisz?

– Przepraszam, Alec – powiedziała Lily, celowo nie przepraszając nikogo innego. – Do zobaczenia w Nowym Jorku. Wracaj szybko, bo inaczej jakiś idiota spali to miasto. Do widzenia, Magnusie i inni, przypadkowi Lightwoodowie. Do widzenia, szkrabie. Pa, pa, brzdącu.

Wspięła się na palce, pocałowała Aleca w policzek i wyszła nieśpiesznie, kołysząc biodrami.

– Nie podoba mi się zachowanie tej wampirzycy – orzekł Robert w ciszy, która zapadła po wyjściu Lily.

– Lily jest w porządku – odpowiedział łagodnie Alec.

Robert nie wypowiedział ani jednego złego słowa więcej na jej temat. Magnus już wcześniej spostrzegł, że uważa przy synu, jest wręcz do bólu ostrożny, ale to on sam sprawił, że było to konieczne. W przeszłości Robert zachowywał się bezmyślnie w stosunku do syna. Minie wiele czasu, nim zaczną się między nimi naprawdę dobrze układać.

Obie strony się starały. Dlatego Alec został tego ranka na śniadaniu u ojca.

Magnus nie bardzo wiedział, co Robert Lightwood robi o tej później porze w Akademii Nocnych Łowców.

Nie wspominając już o Maryse, która powinna zajmować się Nowojorskim Instytutem.

I nie wspominając o Isabelle i Jasie.

Za to widok Clary jak zawsze go ucieszył.

– Cześć, pączuszkę – powiedział.

Clary podeszła do niego i uśmiechnęła się szeroko; w tym drobnym ciele mieściło się tyle trosk.

– Cześć.

– Co...

Magnus zamierzał zapytać wprost, co tu, u diabła, się dzieje, ale przerwał mu Jace, który znowu wyciągnął się na podłozie. Magnus spojrzał na niego nieco rozkojarzony.

– Co ty wyprawiasz?

– Wypełniam szczeliny kawałkami materiału – odpowiedział Jace. – To pomysł Isabelle.

– Specjalnie porwałam do tego jedną z twoich koszul – poinformowała Magnusa Isabelle. – Nie wzięłam żadnej ładnej, rzecz jasna, tylko jedną z tych, które ci nie pasują i nie

powinieneś ich więcej wkładać.

Świat zamglił się przed oczami Magnusa.

– Co takiego?!

Isabelle spojrzała na niego ze stołka, na którym stała z rękami opartymi na biodrach.

– Przystosowujemy ten apartament dla dziecka. O ile można to nazwać apartamentem. Cała Akademia to jedna wielka śmiertelna pułapka dla dziecka. Jak już tu skończymy, zajmiemy się twoim mieszkaniem.

– Nie masz wstępu do mojego mieszkania – powiedział Magnus.

– Alec dał mi komplet kluczy – odparła Isabelle.

– Rzeczywiście – powiedział Alec. – Dałem jej klucze. Wybacz mi, Magnus, kocham cię. Nie miałem pojęcia, że tak jej odbije.

Zwykle Robert był nieco skrupowany, kiedy Alec okazywał uczucia Magnusowi. Tym razem jednak wpatrywał się w małego czarownika i chyba niczego nawet nie usłyszał.

– Dlaczego tak się zachowujesz? – zapytał Isabelle Magnus. – Dlaczego?!

– Pomyśl tylko – odpowiedziała Isabelle. – Musieliśmy zająć się szparami. Dziecko mogłoby raczkować i rączka lub stópka mogłaby mu ugrzęznąć w szparze. Mogłoby zrobić sobie krzywdę. Nie chcesz, żeby dziecko zrobiło sobie krzywdę, prawda?

– Nie, ale też nie zamierzam rozbierać swojego życia na czynniki pierwsze i przebudować ze względu na dziecko.

Jego słowa brzmiały dla niego zupełnie rozsądnie. Zdumiał się, kiedy Robert i Maryse się roześmiali.

– Och, pamiętam, kiedy też tak myślałam – powiedziała Maryse. – Niedługo sam się przekonasz, Magnusie.

Było coś dziwnego w tym, jak Maryse się do niego zwróciła. Mówiła z sympatią. Zwykle była tylko uprzejma i rzeczowa. Nigdy dotąd nie okazała mu sympatii.

– Spodziewałam się tego – orzekła Isabelle. – Simon opowiedział mi o dziecku przez telefon. Wiedziałam, że to was oszołomi i przytłoczy. Złapałam więc mamę, ona skontaktowała się z Jace’em, a Jace był z Clary, więc zjawiliśmy się wszyscy, żeby wam pomóc.

– To naprawdę miłe z waszej strony – powiedział Alec.

Powiedział to z pewnym zdumieniem, które Magnus doskonale rozumiał, ale robił też wrażenie wzruszonego, czego już Magnus nie ogarniał.

– Och, cała przyjemność po naszej stronie – odpowiedziała synowi Maryse.

Podeszła do Aleca z wyciągniętymi rękami. Przypominała Magnusowi drapieżnego ptaka, który wyciąga szpony ogarnięty głodem. – Co powiesz? – zapytała niepokojąco słodkim głosem. – Dasz mi potrzymać dziecko? W końcu ja tu mam największe doświadczenie z dziećmi.

– Nieprawda – zaprotestował Robert. – Nieprawda! Bardzo angażowałam się w opiekę, gdy byliście mali. Świetnie radzę sobie z dziećmi.

Alec spojrzał zdumiony na ojca, który pojawił się u jego boku z prędkością godną Nocnego Łowcy.

– O ile dobrze pamiętam – powiedziała Maryse – podrzucałeś je.

– Dzieci to uwielbiają – orzekł Robert. – Dzieci uwielbiają, gdy się je podrzuca.

– Przez to jedzenie im się ulewa.

– Ulewa im się z czystej radości.

Magnus przez kilka chwil myślał, że istnieje jedno możliwe wytłumaczenie: cała rodzina Lightwoodów jest pijana. Teraz dochodził do znacznie gorszych wniosków.

Isabelle zjawiała się niczym tornado reorganizacji, żeby przygotować apartament z myślą o dziecku. Zdołała przekonać Jace’a i Clary, żeby jej pomogli. A Maryse zwracała się do

partnera swojego syna z czułością, jakiej nigdy do tej pory nie okazywała, i w dodatku chciała potrzymać dziecko.

Maryse miała wszystkie objawy syndromu babci.

Lightwoodowie uważali, że Magnus i Alec zatrzymają dziecko.

– Muszę usiąść – powiedział głucho Magnus. Złapał się framugi, żeby nie upaść.

Alec zerknął na niego zaskoczony i zatroskany. Jego rodzice wykorzystali to, żeby rzucić się z wyciągniętymi rękami do dziecka, ale Alec się cofnął. Jace poderwał się z podłogi, wspierając *parabatai*. Alec uznał, że najlepiej oddać malucha Jace'owi i mieć wolne ręce, żeby odeprzeć rodziców.

– Mamo, tato, nie tłoczcie się tak – usłyszał Magnus słowa Aleca.

Odkrył, że z jakiegoś powodu sam też skupił się na dziecku. Uznał to za naturalne. Każdy by się tak zachował. Na ile Magnus się orientował, Jace nie przywykł do dzieci. Nocni Łowcy zwykle nie pilnują dzieciaków z sąsiedztwa.

Jace trzymał malucha cokolwiek niezręcznie. Pochylił złotą głowę z kłaczkami i kurzem z podłogi we włosach nad dzieckiem, przyglądając się drobnej, poważnej twarzyczce.

Magnus zauważył, że dziecko jest ubrane. Miało na sobie pomarańczowy pajacyk, którego nóżki miały kształt lisich łapek. Jace potarł jedną ze stopek poblížnionymi jak u wojownika i smukłymi jak u muzyka palcami. Dziecko zamachało żywo nóżką.

Magnus rzucił się do dziecka, zdając sobie z tego sprawę dopiero, kiedy przebył już pół pokoju. Zauważył, że pozostali też rzucili się, żeby łapać dziecko.

Tyle że Jace trzymał je pewnie, chociaż maluch wierzgał nóżkami.

Przez chwilę Jace wyglądał na szczerze przerażonego, a potem rozluźnił się i spojrzał na wszystkich z typową dla niego łagodną wyższością.

– Nic mu nie jest – powiedział. – To twardziel.

Spojrzał na Roberta, przypominając sobie wcześniejsze jego słowa, i podrzucił ostrożnie malucha. Dziecko zamachało rączkami, uderzając go w policzek.

– Dobrze – zachęcił go Jace. – Świetnie. Następnym razem trochę mocniej. Zanim się obejrzysz, będziesz walił demony po twarzy. Chcesz bić ze mną i Alekiem demony? Chcesz? O, pewnie, że chcesz – gruchał.

– Jace, skarbie – przymilała się Maryse. – Daj mi dziecko.

– Chcesz potrzymać szkraba, Clary? – zapytał Jace takim tonem, jakby składał swojej ukochanej niezwykle atrakcyjną propozycję.

– Nie trzeba.

Wszyscy Lightwoodowie łącznie z Jace’em spojrzeli na nią ze smutkiem i zdumieniem, jakby właśnie okazała się tragicznie szalona.

Isabelle zeskoczyła ze stołka w tej samej chwili, kiedy wszyscy rzucili się łapać dziecko. Spojrzała teraz na Magnusa.

– Zamierzasz postrzelić rodziców w kolana, żeby móc potrzymać dziecko? – zapytał Magnus.

Isabelle roześmiała się.

– Oczywiście, że nie. Niedługo będzie gotowe mleko. A wtedy...

– Na twarzy Isabelle pojawiła się przerażająca determinacja. – A wtedy ja nakarmię dziecko. Do tego czasu mogę poczekać i pomóc wam wybrać idealne imię dla małego.

– Rozmawialiśmy o tym trochę w drodze z Alicante – wtrąciła żywo Maryse.

Robert znowu przemieścił się z szybkością błyskawicy i bezszelestnie jak kot. Tym razem stanął obok Magnusa. Położył ciężką dłoń na jego ramieniu. Magnus zerknął na rękę Roberta i ogarnął go głęboki niepokój.

– Oczywiście wybór należy do ciebie i Aleca – zapewnił go Robert.

– Oczywiście – poparła go Maryse, która nigdy w niczym nie

zgadzała się z mężem. – Nie chcemy, żebyście zgadzali się na coś, z czym nie będziecie dobrze się czuli. Za nic nie chciałabym, żeby ta kruszyna miała imię kojarzące się raczej ze smutkiem niż radością ani żeby któryś z was poczuł się do czegoś przymuszony. Pomyśleliśmy, że skoro czarownicy wybierają sobie nazwisko nieco później, „Bane” nie jest częścią rodzinnej tradycji... Pomyśleliśmy więc, że moglibyście rozważyć, traktując to jako pamiątkę, nie brzemię, imię...

– Max Lightwood – oznajmiła dźwięcznym głosem Isabelle.

Magnus wytrzeszczał oczy po części z powodu konsternacji, a po części z powodu uczucia, które było znacznie trudniejsze do zdefiniowania.

Znowu mu się zamgliło przed oczami i coś zacisnęło mu się w piersi.

Błąd, jaki popełniali Lightwoodowie, był idiotyczny, ale Magnus wbrew sobie był oszołomiony ich propozycją, jakże szczerą.

To był mały czarownik, a oni byli Nocnymi Łowcami. Lightwood to stare i dumne nazwisko Nocnych Łowców. Max był ich najmłodszym synem. To było imię jednego z nich.

– Albo, jeśli to ci się nie podoba... Michael. Michael to ładne imię – dodał Robert po długim milczeniu.

Odchrząknął potem i wyjrzał przez okno na lasy otaczające Akademię.

– Albo możecie zachować oba nazwiska i pisać je z łącznikiem – wtrąciła nieco zbyt żywo Isabelle. – Lightwood-Bane albo Bane-Lightwood?

Alec podszedł i wyciągnął rękę, nie po to, żeby wziąć dziecko, ale by dotknąć Magnusa. Dziecko wyciągnęło rączki, złapało go za palec. Twarz Aleca, wstrząśniętą po tym, jak padło imię jego brata, rozjaśnił nagły blady uśmiech.

– Nie rozmawiałem jeszcze o tym z Magnusem, a powinienem – powiedział cicho bardzo poważnym tonem.

Magnus zauważył, że Robert i Maryse niemal nieświadomie kiwają głowami.

– Jednak ja też myślałem o imieniu „Max”.

Wtedy Magnus zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Nie chodziło tylko o szalony wniosek, jaki wysnuła Isabelle i jakimś cudem przekonała do niego pozostałych. Nie chodziło tylko o Lightwoodów.

Alec też uznał, że zatrzymają dziecko.

Magnus usiadł wtedy na jednym z rozchwierutanych krzeseł, na którym umieścił poduszkę zabraną z domu. Nie miał czucia w palcach. Możliwe, że był w szoku.

Robert Lightwood poszedł za nim.

– Oczywiście zauważyłem, że dziecko jest niebieskie – powiedział. – Alec ma niebieskie oczy. A kiedy ty – wykonał dziwny i niepokojący gest, a potem wydał z siebie odgłos przywodzący na myśl szum – czarujesz, czasem pojawia się niebieskie światło.

Magnus spojrzał na niego.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Jeśli stworzyłeś dziecko dla siebie i Aleca, możesz mi powiedzieć – wyjaśnił Robert. – Jestem człowiekiem o szerokich horyzontach. A w każdym razie staram się. Chciałbym takim być. Zrozumiem.

– Jeśli... stworzyłem... dziecko? – powtórzył Magnus.

Nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Wyobrażał sobie, że Robert Lightwood wie, skąd się biorą dzieci.

– Magicznie – dodał szeptem Robert.

– Będę udawał, że nigdy tego nie powiedziałeś – odrzekł Magnus. – Będę udawał, że ta rozmowa nigdy nie nastąpiła.

Robert mrugnął, jakby się dogadali. Magnusowi odebrało mowę.

Lightwoodowie kontynuowali swoje próby przygotowania apartamentu dla dziecka, nakarmienia go i wzięcia na ręce.

Wypełniające całą niewielką przestrzeń poddasza magiczne światła świeciły jasno i oślepiały Magnusa.

Alec chciał zatrzymać dziecko. Chciał je nazwać Max.

* * *

– Widziałam Magnusa Bane’a i seksowną wampirzycę w holu – oznajmiła Marisol, mijając stół Simona.

Jon Cartwright, który niósł jej tacę, omal jej nie wypuścił.

– Wampirzyca? – powtórzył. – W Akademii?

Marisol spojrzała na jego wstrząśniętą twarz i skinęła głową.

– I to seksowna.

– Te są najgorsze – szepnął Jon.

– Zatem ty nie byłeś taki zły – wtrąciła Julie, kiedy Marisol odeszła, opowiadając innym o ponętnej wampirzycy.

– Wiecie – odezwał się Simon – czasem myślę, że Marisol za bardzo się zapędza. Wiem, że lubi drażnić się z Jonem, ale nikt nie jest na tyle tępy, żeby uwierzyć w małego czarownika i wampirzycę tego samego dnia. Tego już za dużo. To nie ma sensu. Jon w końcu się połapie.

Szturchnął tajemniczą grudę w potrawce. Kolacja była późna tego wieczoru i bardzo zakrzepła. Bzdury na temat wampirów opowiedane przez Marisol podsunęły mu pewną myśl – Simon wspomniał picie krwi i uznał, że nie mogło to być tak okropne jak ta potrawka.

– Można by się spodziewać, że wystarczy jej tyle atrakcji na jeden dzień – przytaknął George. – Ciekaw jestem, jak się miewa maleństwo. Zastanawiałem się, czy potrafi zmieniać kolor jak kameleon. Jak myślisz? To byłby odłot, co?

Simon się rozpromienił.

– Totalny odłot.

– Dziwadła – podsumowała ich Julie.

Simon uznał to za pochwałę. Naprawdę czuł, że George rozwinął się pod jego wpływem. Nawet z własnej inicjatywy kupił kilka komiksów w Szkocji, kiedy wrócił do domu na Boże Narodzenie. Może pewnego dnia uczeń przzerośnie mistrza.

– Masz pecha, Simon – powiedział George. – Wiem, że chciałeś pogadać z Alekiem.

Przelotna radość Simona przygasła. Padł twarzą na stół.

– Zapomnij o rozmowie z Alekiem. Kiedy pobiegnę powiedzieć im o dziecku, przeszkodziłem im. Jeśli Alec wcześniej mnie nie lubił, to teraz na pewno mnie nienawidzi.

W umyśle Simona rozbłysło kolejne niemile widziane stare wspomnienie – blada, wściekła twarz Aleca spoglądająca z góry na Clary. Może Alec nienawidził też Clary. Może kiedy ktoś raz z nim zadarł, on nie zapominał i nie wybaczał, i teraz będzie nienawidził ich obojga.

Straszliwe obrazy rozproszyła wrzawa przy stole.

– Co? Gdzie? Kiedy? Jak? Magnus robił wrażenie silnego, lecz czułego kochanka? – dopytywała się Julie.

– Julie! – krzyknęła Beatriz.

– Dzięki, Beatriz – powiedział Simon.

– Nic nie mów, dopóki nie wyjmę długopisu i papieru, żebym mogła zapisać każde twoje słowo – poprosiła Beatriz. – Przykro mi, Simon, ale oni są sławni, a sławy muszą znosić to, że ludzie interesują się ich życiem miłosnym. Są jak Brangelina.

Beatriz grzebała w torbie, aż znalazła notatnik, otworzyła go i spojrzała wyczekująco na Simona.

Julie, urodzona i wychowana w Idrisie, skrzywiła się.

– Jaka Brangelina? To jakiś demon?

– Nieprawda! – zaprotestował George. – Wierzę w ich miłość!

– Oni nie są jak Brangelina – powiedział Simon. – Jakbyście ich nazwali? Algnus? To brzmi jak rodzaj grzybicy stóp.

– To oczywiste, że Malec – odparła Beatriz. – Głupi jesteś czy jak?

– Nie rozproszycie mojej uwagi! – wykrzyknęła Julie. – Magnus ma jakieś kolczyki? Na pewno tak. Nigdy nie przegapiłby okazji, żeby zabłysnąć!

– Nie zauważyłem, a nawet gdybym zauważył, nie rozmawiałbym na ten temat – odparł Simon.

– Och, bo Przyziemni nigdy nie mają obsesji na punkcie sław i ich miłosnego życia – zachnęła się Beatriz. – Patrz Brangelina. Że już nie wspomnę o tym boys bandzie, na punkcie którego George ma obsesję. Snuje tysiące teorii na temat ich romansów.

– Jakim... boys bandzie... na punkcie którego George ma obsesję? – zapytał powoli Simon.

George się zakłopotał.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Zespół przechodzi ostatnio trudne chwile, i to mnie smuci.

Zdecydowanie za dużo niepokojących i denerwujących rzeczy przydarzyło się tego dnia Simonowi. Uznał, że lepiej nie myśleć o George'u i boys bandzie.

– To ja dorastałem rzut beretem od Broadwayu. Wiem, że ludzie za bardzo interesują się gwiazdami – powiedział – ale dziwi mnie, że dziewczyny dostają fioła na punkcie Jace'a albo Magnusa. Dziwi mnie, kiedy Jon łązi za Isabelle z wywieszonym językiem.

– A to, że George durzy się w Clary, też jest dziwne? – zapytała Beatriz.

– Beatriz, czy dzisiaj jest Dzień Dokopywania George'owi? – zapytał George. – Słuchaj, Simon, może i zdarzały mi się pewne myśli na temat tej miniaturowej lisiczki, ale nigdy bym ci o nich nie powiedział! Nie chciałem, żeby zrobiło się między nami dziwnie!

– Miniaturowej lisiczki?! – Simon wytrzeszczył oczy. – Moje gratulacje, teraz na pewno będzie dziwnie.

George zwiesił głowę zawstydzony.

– To dla mnie dziwne, bo wszyscy zachowują się, jakby znali

sławnych ludzi, a ja naprawdę ich znam. To nie są wizerunki, plakaty do powieszenia na ścianie. Nie są tacy, jak sobie wyobrażacie. Mają prawo do prywatności. To dziwne, bo widzę, że wszyscy się zachowują, jakby wiedzieli, kim są moi przyjaciele, chociaż znają tylko okruchy. To dziwne, bo wszyscy zachowują się, jakby mieli jakieś prawo do moich przyjaciół i ich życia.

Beatriz się zawahała, a potem odłożyła długopis.

– No dobra, rozumiem, że to dla ciebie dziwne, ale... To dlatego, że wszyscy podziwiamy ich dokonania. Ludzie zachowują się, jakby ich znali, bo chcą ich poznać. A bycie podziwianym oznacza, że ma się ogromny wpływ na innych. Mogą to wykorzystać do czegoś dobrego. Alec Lightwood zainspirował Sunila do zostania Nocnym Łowcą. Ty też, Simon. Mnóstwo ludzi idzie za twoim przykładem, bo cię podziwia. To może być trochę dziwne, kiedy wzbudza się taki podziw, ale moim zdaniem więcej w tym dobrego.

– Ehm, w moim przypadku jest inaczej – wymamrotał Simon. – Ja nawet nie pamiętam. Chodziło mi o moich przyjaciół. W tym Aleca, który jest... moim przyjacielem, który mnie nie lubi. To oni są nadzwyczajni.

Nie potrafił być taki swobodny i pewny siebie jak Magnus czy Jace. Nie miał pojęcia, o czym Beatriz mówi. Nagle ogarnęła go paranoja, że ludzie zastanawiają się, czy ma jakieś kolczyki na ciele.

Nie miał żadnych. Był kiedyś muzykiem na Brooklynie. Pewnie powinien mieć jakieś kolczyki.

Beatriz wahała się jeszcze chwilę, a potem wyrwała kartkę, na której pisała, i zmięła ją w kulkę.

– Ty też jesteś nadzwyczajny – dodała i się zarumieniła. – Wszyscy to wiedzą.

Simon spojrzał na jej czerwoną twarz i przypomniał sobie, jak George powiedział, że ktoś się w nim durzy. Przez chwilę myślał,

że chodzi o Julie, chociaż byłoby to zarówno dziwne, jak i pochlebiające tak odmienić serce tej lodowej księżniczki Nocnych Łowców swoim męskich urokiem. Podejrzewał jednak, że Beatriz była bardziej prawdopodobną kandydatką. Byli z Beatriz naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Miała najpiękniejszy uśmiech w Akademii. Jeszcze w Brooklynie Simon byłby podekscytowany, gdyby zadurzyła się w nim taka ładna dziewczyna, z którą się przyjaźni.

Teraz był przede wszystkim zakłopotany. Zastanawiał się, czy nie powinien delikatnie jej zniechęcić.

Julie odchrząknęła.

– A tak dla twojej wiadomości... – zaczęła. – Zadawano wścibskie pytania na twój temat. Doszło też raz do incydentu, kiedy ktoś chciał ukraść twoją używaną skarpetkę i zachować jako trofeum.

– Kim był ten złodziej skarpetek? – zapytał Simon. – To zwyczajnie okropne.

– Nigdy nic nie mówimy – powiedziała Julie. – Nawet jeśli ktoś raz zapyta, nigdy więcej nie próbuje. – Wyszczrzyła zęby. Wyglądała jak warcząca blond tygrysica. – Bo dla nas jesteś prawdziwą osobą. I jesteś naszym przyjacielem.

Sięgnęła nad stołem i dotknęła jego dłoni, a potem cofnęła ją, jakby się sparzyła. Beatriz złapała Julie za tę samą rękę, poderwała ją z krzesła i pociągnęła w kąt jadalni, gdzie stało jedzenie.

Żadna z nich nie potrzebowała dokładki. Ledwie tknęły potrawkę. Simon patrzył za nimi, jak odchodzą, a potem stoją i rozmawiają pełnym napięcia szeptem.

– Obie robią wrażenie dziwnie zdenerwowanych.

George przewrócił oczami.

– Daj spokój, nie zachowuj się jak tępak.

– Chyba nie chcesz powiedzieć... Przecież nie mogę im obu... się podobać?

Zapadło przeciągające się milczenie.

– Ty żadnej nie wpadłeś w oko? Przecież trenujesz! I... masz szkocki akcent!

– Nie dobijaj mnie. Może dziewczyny się mnie boją, bo moje bystre oczy spoglądają zbyt głęboko w ich dusze. A może onieśmiela je moja uroda. A może... Proszę, nie każ mi dłużej mówić o tym, jaki ze mnie samotny frajer.

Popatrzył tęsknie za Julie i Beatriz. Simon nie wiedział, czy George'owi marzy się Julie albo Beatriz, czy może zwyczajnie miłość. Nie miał pojęcia, że jego przyjaciele tak uwikłali się emocjonalnie.

Był zaskoczony. Skrępowany. I nie czuł niczego poza tym.

Bardzo lubił Beatriz. Julie była okropna, ale Simon pamiętał jej opowieść o siostrze i musiał przyznać, że Julie bywała okropna, ale ją też lubił. Obie były piękne i niebezpieczne i nie niosły ze sobą brzemienia utraconych wspomnień oraz zawikłanych uczuć.

Nie sprawiało mu przyjemności to, że im się podoba. Nie odczuwał nawet najmniejsze pokusy.

Żałował za to ogromnie, że nie ma przy nim Isabelle. Nie chodziło o list ani głos w telefonie, ale o nią samą we własnej osobie.

Spojrzał na smutną minę kumpla i zaproponował:

– Chcesz pogadać o tym, jak Magnus i Alec się wyprowadzą, a my ukradniemy ich apartament i zaczniemy robić własne posiłki w ich kuchni?

George westchnął.

– Naprawdę moglibyśmy czy to zwyczajnie zbyt piękne, żeby się ziściło? Każdy dzień byłby jak piosenka. Pragnę tylko zrobić kanapkę. Zwyczajną kanapkę z szynką, serem i odrobiną... O mój Boże.

Simon zastanawiał się, jak smakowałyby „odrobina o mój Boże”. George zamarł z łyżeczką przy ustach i wpatrywał się

w punkt ponad jego ramieniem.

Simon się odwrócił i zobaczył Isabelle w drzwiach jadalni. Miała na sobie długą sukienkę w kolorze irysów. Rozłożyła szeroko ręce, na których połyskiwały bransoletki. Czas zwolnił bieg jak filmie albo jak za sprawą magii – jakby Isabelle była dżinem, który może pojawiać się nagle wśród połyskującego dymu i spełniać życzenia, a każde życzenie byłoby prośbą o jej pojawienie.

– Niespodzianka! – powiedziała. – Tęskniłeś?

Simon się zerwał. Możliwe, że zrzucił miskę ze stołu prosto na kolana George'a. Było mu z tego powodu przykro, ale później mu to wynagrodzi.

– Isabelle, co tu robisz?

– Moje gratulacje, Simon, to bardzo romantyczne pytanie. Mam to rozumieć jako: „Nie, nie tęskniłem i widuję się z innymi dziewczynami”? Jeśli tak, to nie martw się. Po co się martwić, kiedy życie jest takie krótkie? Zwłaszcza twoje, bo utnę ci głowę.

– Nie zrozumiałem nic z tego, co powiedziałaś.

Isabelle uniosła brwi i otworzyła usta, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Simon złapał ją w tali, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. Jej wargi rozluźniły się pod jego pocałunkiem. Zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła pocałunek, całując go zmysłowo i wylewnie, jak *femme fatale* i wojownicza księżniczka w jednym oraz wszystkie inne dziewczyny jego marzeń. Simon odsunął się na chwilę, żeby spojrzeć w jej czarne jak noc oczy.

– Nie miałem świadomości, że na świecie istnieją poza tobą jakieś inne dziewczyny.

Zawstydził się, kiedy tylko to powiedział. To nie była zwykła gadka. To były żałośnie szczere słowa, w których próbował powiedzieć Isabelle to, z czego właśnie zdał sobie sprawę. Zobaczył jednak, że jej oczy zalśniły jak nowe gwiazdy wschodzące nocą, i poczuł, jak Isabelle przyciąga go z powrotem do następnego pocałunku. Pomyślał, że może jednak to był nie

najgorszy tekst. W końcu dzięki niemu zdobył dziewczynę. Tę dziewczynę. Jedyną, której pragnął.

* * *

Nadeszła północ, zanim Magnus pozbył się wszystkich Lightwoodów z poddasza. Isabelle wyszła trochę wcześniej, żeby zobaczyć się z Simonem. Clary i Jace'a zwykle dawało się przekonać, żeby wyszli razem, ale przez chwilę myślał, że będzie musiał się posłużyć magią, żeby pozbyć się Maryse i Roberta. Nawet kiedy wypychał ich za drzwi, nadal udzielali mu pomocnych rad wychowawczych.

Kiedy tylko wszyscy się wynieśli, Alec podszedł chwiejnie do łóżka, padł na nie twarzą i natychmiast zasnął. Magnus został z dzieckiem.

To możliwe, że maluch także był oszołomiony Lightwoodami. Leżał w kołysce, wpatrując się w świat wielkimi oczętami. Kołyska stała pod oknem, więc dziecko leżało w małej plamie światła; księżycowy blask padał na pomarszczony kocyk i małe, grube nóżki. Magnus przykucnął obok kołyski i patrzył, czekając na kolejną erupcję wrzasków, które znaczyłyby, że dziecko trzeba przewinąć albo nakarmić. Zamiast tego jednak maluch zasnął z otwartą buzią podobną do drobnego niebieskiego pączka róży.

„Kto zdoła je pokochać?” – napisała matka, ale dziecko jeszcze o tym nie wiedziało. Spało niewinne i spokojne jak każde dziecko pewne miłości. Matka Magnusa mogła to samo pomyśleć w rozpaczy.

Alec uznał, że go zatrzymają.

Magnusowi nawet nie przyszło to do głowy. Przeżywał życie, wierząc, że ma przed sobą tysiące możliwości, ale nigdy nie pomyślał, że pojawi się przed nim taka ewentualność: życie

rodzinne w stylu Przyziemnych i Nefilim, miłość tak pewna, że można się nią podzielić z kimś bezradnym, kto dopiero pojawił się na świecie.

Rozważył tę myśl.

Zatrzymać dziecko. Wychowywać dziecko z Alekiem.

Mijały godziny. Magnus ledwie to zauważył. Czas upływał tak cicho, jakby ktoś rozłożył dywan wśród nocy, żeby stłumić hałas jego kroków. Magnus nie dostrzegął niczego poza małą twarzą, aż poczuł delikatny dotyk na ramieniu.

Nie wstał, ale odwrócił się i zobaczył Aleca. Światło księżycowe zamieniło jego skórę w srebro, a jego oczy przybrały ciemniejszy, głębszy i nieskończenie czuły odcień granatu.

– Jeśli myślałeś, że proszę cię, byśmy zatrzymali dziecko, to nie, nie prosiłem – powiedział Magnus.

Alec wytrzeszczył oczy. Przyjął te słowa w milczeniu.

– Nadal jesteś... bardzo młody – dodał Magnus. – Przepraszam, jeśli czasem zachowuję się, jakbym o tym nie pamiętał. To dla mnie dziwne. Ponieważ jestem nieśmiertelny, zarówno bycie młodym, jak i starym jest dla mnie dziwne. Wiem, że czasem ja też muszę wydawać ci się dziwny.

Alec skinął głową w zamyśleniu, bez urazy.

– Owszem – przyznał i pochylił się, jedną ręką łapiąc się brzegu kołyski, a drugą dotykając włosów Magnusa i muskając go delikatnie jak księżycowy blask. – I nigdy nie pragnąłem niczego innego. Nie chcę mniej dziwnej miłości.

– Ale nie musisz się obawiać, że kiedykolwiek cię opuszczę – powiedział Magnus. – Nie musisz bać się, co się stanie z dzieckiem albo że poczuję się zraniony, bo dziecko jest... czarownikiem i zostało porzucone. To nie jest pułapka. Nie masz czego się obawiać. Nie musisz tego robić.

Alec przyklęknął w cieniach na nagich, zakurzonych deskach poddasza obok kołyski i spojrzał na Magnusa.

– A jeśli chcę? Jestem Nocnym Łowcą. My się młodo

pobieramy, mamy młodo dzieci, bo możemy młodo zginąć, bo chcemy spełnić nasz obowiązek wobec świata i doświadczyć jak najwięcej miłości. Kiedyś myślałem... Myślałem, że nigdy tego nie przeżyję. Czułem się jak w pułapce. Teraz przeciwnie. Nigdy nie poprosiłbym, żebyś zamieszkał w Instytucie, i nie zamierzam. Chcę zostać w Nowym Jorku z tobą, z Lily i Maią. Chcę nadal robić to, co robimy. Chcę, żeby po mojej matce Jace zajął się Instytutem, i chcę z nim współpracować. Chcę być łącznikiem między Instytutem a Podziemnymi. Tak długo myślałem, że nigdy nie będę miał tego, czego pragnę, poza tym, że może zadbam o bezpieczeństwo Jace'a i Isabelle. Myślałem, że będę ich chronić w walce. Teraz zależy mi na coraz większej liczbie ludzi i... I chcę, żeby wszyscy, na których mi zależy, a nawet ci, których nie znam... chcę, żebyśmy wszyscy czuli, że wspieramy się w walce, żeby nikt nie musiał walczyć w pojedynkę. Nie jestem w pułapce. Jestem szczęśliwy. Jestem dokładnie tam, gdzie chcę być. Wiem, czego chcę, i mam życie, którego pragnę. Nie obawiam się żadnej z rzeczy, o których mówiłeś.

Magnus odetchnął głęboko. Lepiej zapytać Aleca niż wyobrazać sobie najgorsze.

– Czego więc się boisz?

– Pamiętasz, jak matka zasugerowała, żeby nazwać dziecko Max?

Magnus skinął głową, zachowując ostrożne milczenie.

Nigdy nie poznał młodszego brata Aleca, Maksa. Robert i Maryse Lightwoodowie zawsze starali się trzymać dzieci z dala od Podziemnych, a Max był za mały, żeby im się przeciwstawić.

Alec mówił cicho ze względu na dziecko i wspomnienia.

– Nigdy nie byłem fajnym bratem. Pamiętam, że kiedy mama zostawiała ze mną Maksa, gdy był naprawdę mały i dopiero uczył się chodzić, to zawsze bałem się, że się przewróci, i to będzie moja wina. Cały czas próbowałem go zmusić, żeby trzymał się zasad i robił, co kazała mama. Isabelle miała z nim świetny

kontakt, zawsze go rozśmieszała. A Jace... Na Anioła, Max chciał być taki jak Jace. Uważał, że to najświetniejszy, najlepszy Nocny Łowca w historii świata, że słońce wschodzi i zachodzi dla niego. Jace dał mu małego żołnierzyka, z którym Max zasypiał. Byłem zazdrosny o to, jak Max kochał tę zabawkę. Dawałem mu inne rzeczy, moim zdaniem lepsze, ale on zawsze najbardziej uwielbiał tego żołnierzyka. Umarł, trzymając go w dłoni. Tak się cieszę, że go miał, że miał przy sobie coś, co kochał. Moja zazdrość była głupia i małostkowa.

Magnus pokręcił głową. Alec posłał mu smutny uśmiech, a potem pochylił ciemną głowę, patrząc na podłogę.

– Zawsze myślałem, że będziemy mieli więcej czasu – powiedział. – Że Max podrośnie, zacznie z nami więcej trenować, a ja pomogę go uczyć. Myślałem, że będzie wyprawiał się z nami na misje, że będę go pilnował, tak jak zawsze próbuję chronić Jace'a i Isabelle. Wtedy zorientowałyby się, że jego nudny starszy brat jednak do czegoś się nadaje. Wiedziałyby, że może na mnie liczyć bez względu na wszystko. Powinien był móc na mnie liczyć.

– I mógł na ciebie liczyć – zapewnił go Magnus. – Wiem to. On też to wiedział. Nikt, kto cię zna, nie mógłby w to wątpić.

– Nigdy się nawet nie dowiedział, że jestem gejem – powiedział Alec. – Ani że cię Kocham. Żałuję, że cię nie poznał.

– Żałuję, że go nie poznałem – odpowiedział Magnus. – Ale on cię znał. Kochał. Wiesz to, prawda?

– Wiem. Po prostu... Zawsze żałowałem, że nie dałem mu z siebie więcej.

– Zawsze starasz się dać z siebie jak najwięcej tym, których Kochasz. Nie dostrzegasz, jak cała rodzina liczy na ciebie, polega na tobie. Ja też polegam na tobie. Na miłość boską, nawet Lily polega na tobie. Kochasz ludzi tak mocno, że próbujesz stać się dla nich niemożliwym ideałem. Nie zdajesz sobie sprawy, że dajesz im aż nadto.

Alec wzruszył ramionami trochę bezradnie.

– Zapytałeś, czego się boję. Boję się, że mnie nie polubi. Że go zawiodę. Chcę jednak spróbować. Chcę się nim zająć. A ty?

– Nie spodziewałem się go – odpowiedział Magnus. – Nie spodziewałem się, że dojdzie do czegoś podobnego. Nawet jeśli czasem się zastanawiałem, jakby to było, gdybym miał z tobą rodzinę, to nie spodziewałem się tego jeszcze przez długie lata. Ale tak. Tak, też chcę spróbować.

Alec uśmiechnął się tak promiennie, że Magnus zrozumiał, że ogromnie mu ulżyło. Poniewczasie dotarło do niego, że Alec bardzo martwił się, że on mógłby odmówić.

– To się stało szybko – przyznał Alec. – Myślałem o rodzinie, ale chyba zawsze spodziewałem się... Chyba nie spodziewałem się, że coś takiego wydarzy się, zanim się pobierzemy.

– Co?

Alec wpatrywał się w niego bez słowa. Jego smukła, silna dłoń łucznika zwieszała się do kołyski dziecka, ale Alec skupił się na Magnusie. Jego ciemnoniebieskie oczy pociemniały w mroku. Jedno jego spojrzenie było ważniejsze niż pocałunek od kogoś innego. Magnus widział, że mówił poważnie.

– Alec, mój Alec. Musisz rozumieć, że to niemożliwe.

Alec był wstrząśnięty i przerażony. Magnus zaczął mówić, a słowa padały z jego ust coraz szybciej i szybciej, żeby Alec przejrzał na oczy.

– Nocni Łowcy mogą poślubiać Podziemnych w ramach ceremonii Przyziemnych lub Podziemnych. Już to widziałem. I widziałem, jak inni Nocni Łowcy nie uznawali tych małżeństw, i widziałem Nocnych Łowców, który uginali się pod presją i łamali złożone przysięgi. Wiem, że ty nigdy byś się nie ugiął i nie złamał. Wiem, że takie małżeństwo nie miałoby dla ciebie mniejszego znaczenia. Wiem, że dochowujesz wszystkich złożonych obietnic. Jednak żyłem przed Porozumieniami. Siedziałem, jadałem i rozmawiałem z Nocnymi Łowcami

o pokoju, a potem ci sami Nocni Łowcy wyrzucali talerze, z których jadłem, bo uznawali je za nieodwracalnie skażone moim dotykiem. Nie zgodzę się na ceremonię, którą inni lekceważą. Chcę, żebyś dostał taką ceremonię, jaką powinienes, która honorowałyby przysięgę, jaką złożyłeś jako Nocny Łowca. Mam dość kompromisów w imię rozmów pokojowych. Chcę, żeby Prawo się zmieniło. Nie chcę się pobrać, dopóki nie będziemy mogli wziąć ślubu w złocie.

Alec milczał z pochyloną głową.

– Rozumiesz mnie? – dopytywał się niemal desperacko Magnus. – Nie chodzi o to, że nie chcę. Że cię nie kocham.

– Rozumiem – odpowiedział Alec. Odetchnął głęboko i podniósł wzrok. – Zmiana Prawa może chwilę potrwać.

– Może.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Mogę ci coś powiedzieć? – zapytał Magnus. – Nikt do tej pory nie chciał wziąć ze mną ślubu.

Miał innych kochanków, ale nikt nigdy nie zaproponował małżeństwa, a Magnus wiedział – wyczuwał przepełniony najgorszymi przeczuciami – że lepiej samemu się nie oświadczać. Może czuli, że nie mogą obiecać, że pozostaną razem, dopóki śmierć ich nie rozdzieli, skoro Magnus nigdy nie umrze, ponieważ nie traktowali go poważnie albo uważali, że jako nieśmiertelny to on traktuje ich z lekceważeniem. Nigdy nie poznał powodów, ale tak było: niektórzy z jego kochanków byli gotowi z nim umrzeć, ale żaden nie chciał przysiąc, że spędzi z nim każdy dzień po kres ich wspólnego życia.

Dopiero ten Nocny Łowca.

– Pierwszy raz komuś się oświadczyłem – odparł Alec. – Zatem odpowiedź brzmi: „nie”?

Zaśmiał się przy tych słowach, słabo, ale radośnie. Alec zawsze starał się zostawić tym, których kochał, ścieżkę albo otwarte drzwi. Starał się dać im wszystko, czego chcieli. Siedzieli razem,

opierając się o kołyskę.

Magnus uniósł rękę, a Alec złapał ją i splótł z nim palce. Pierścionki Magnusa zabłyśły, blizny Aleca jarzyły się w świetle księżyca. Trzymali się za dłonie.

– Odpowiedź brzmi tak. Pewnego dnia to będzie „tak” – powiedział Magnus. – Dla ciebie, Alec, to zawsze jest tak.

* * *

Po zajęciach następnego dnia Simon siedział w wilgotnym podziemnym pokoju, opierając się niemal nieodpartej pokusie poszukania Isabelle i zbierając się na odwagę.

Wreszcie wspiął się kilka pięter i zapukał do drzwi kwatery Aleca i Magnusa.

Otworzył mu Magnus. Miał na sobie dzinsy i luźny, postrzępiony T-shirt. Trzymał dziecko i wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Skąd wiesz, że właśnie obudził się z drzemki? – zapytał Magnus, otwierając drzwi.

– Nie wiedziałem – przyznał Simon.

Magnus zamrugał, jak to czasem robią zmęczeni ludzie – jakby musiał głęboko zastanowić się nad tą czynnością.

– Przepraszam – powiedział. – Myślałem, że to Maryse.

– Jest tu matka Isabelle?! – wykrzyknął Simon.

– Cii! Może cię usłyszeć.

Dziecko marudziło, nie tyle płakało, ile wydawało z siebie odgłos brzmiący jak mały, nieszczęśliwy traktorek. Otarło mokrą buzię o ramię Magnusa.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam – powiedział Simon – ale zastanawiałem się, czy mógłbym porozmawiać na osobności z Alekiem.

– Alec śpi – odparł oschle Magnus i zaczął zamykać drzwi.

Zanim drzwi się zamknęły, rozległ się głos Aleca. Brzmiało to tak, jakby właśnie ziewał.

– Nie śpię. Mogę porozmawiać z Simonem. – Alec pojawił się przy drzwiach. – Idź się przejść. Odetchnij świeżym powietrzem. To cię obudzi.

– Czuję się świetnie – odpowiedział Magnus. – Nie potrzebuję snu. Ani budzenia. Czuję się świetnie.

Dziecko pomachało grubymi rączkami w stronę Aleca. Gest był nieskoordynowany, ale intencja oczywista. Alec zdziwił się, a jego twarz rozjaśnił uśmiech. Wyciągnął ręce po dziecko. Kiedy tylko wziął je na ręce, mały przestał marudzić.

Magnus pomachał niemowlakowi przed twarzą.

– Uważam twoje zachowanie za obraźliwe – poinformował go. Pocałował przelotnie Aleca. – Zaraz wracam.

– Nie musisz się śpieszyć – odpowiedział Alec. – Mam przecucie, że zaraz zjawią się moi rodzice z pomocą.

Magnus wyszedł, a Alec odsunął się od drzwi i stanął z dzieckiem koło okna.

– A zatem – powiedział. Koszulę miał pogniecioną, widać było, że w niej spał. Kołysał dziecko. Simonowi było głupio, że mu zawraca głowę. – O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

– Bardzo mi przykro z powodu wczorajszego najścia – powiedział Simon.

A potem zastanowił się, czy to okropne, że wspomina o seksie przy dziecku. Może właśnie śmiertelnie obraził Aleca. Znowu. Nieodwracalnie.

– Nie ma sprawy. Kiedyś przyłapałem ciebie i Isabelle. Pewnie sprawiedliwości stało się zadość.

Simon się zaniepokoił.

– Przyłapałeś mnie i Isabelle? Ale my nie... Znaczy my wcale... Czy może jednak?

To byłoby typowe dla mnie, pomyślał Simon, że wszystkich rzeczy na świecie zapomnieć akurat o czymś takim.

Alecowi wyraźnie nie odpowiadał ten temat rozmowy, ale Simon spojrzał na niego błagalnie, więc się ulitował.

– Nie wiem – odpowiedział w końcu. – Właśnie się rozbieraliście, o ile pamiętam. A staram się nie pamiętać. I wyglądało na to, że odgrywacie jakieś role.

– Och. Rety. Bardzo to było zaawansowane? Były kostiumy? Gadżety? Czego właściwie będzie spodziewała się Isabelle?

– Nie zamierzam o tym rozmawiać.

– Ale gdybyś podpowiedział mi chociaż odrobinę...

– Wynoś się stąd.

Simon przestał panikować i wziął się w garść.

Od lat nie rozmawiał tak długo z Alekiem.

Chociaż ten właśnie kazał mu wyjść, więc sprawy nie układały się najlepiej.

– Przepraszam. Znaczy przepraszam za niestosowne pytania. I przepraszam, że wam wczoraj rano, ehm, przeszkodziłem. Przepraszam za wszystko. Przepraszam za to, co się między nami wydarzyło. Za to, o co się gniewasz. Naprawdę nie pamiętam tego, ale pamiętam, jaki jesteś, gdy się gniewasz, i nie chcę, żeby tak to między nami wyglądało. I pamiętam, że nie lubisz Clary.

Alec spojrzał na Simona jak na wariata.

– Lubię Clary. To jedna z moich najlepszych przyjaciółek.

– Aha. Przepraszam. Wydawało mi się, że pamiętam... Musiałem to źle zrozumieć.

Alec odetchnął głęboko i przyznał:

– Nie, dobrze zrozumiałeś. Początkowo nie lubiłem Clary. Raz... ostro się z nią obszedłem. Cisnąłem nią o ścianę. Uderzyła się w głowę. Ja byłem wtedy wytrenowanym wojownikiem, a ona nie przeszła jeszcze żadnego szkolenia. Jestem od niej dwa razy większy.

Simon przyszedł pogodzić się z Alekiem, więc nie był przygotowany na to, że nagle zapragnie mu przyłożyć. Nie mógł. Alec trzymał dziecko.

Popatrzył więc na niego w gniewnym milczeniu, bo śmiał tknąć jego najlepszą przyjaciółkę.

– To żadne usprawiedliwienia, ale bałem się. Wiedziała, że jestem gejem, i powiedziała mi o tym. Nie powiedziała niczego, czego już bym nie wiedział, ale przestraszyłem się jej, bo jej nie znałem. Nie była wtedy moją przyjaciółką. Była Przyziemną, która wtargnęła do mojej rodziny, a ja znałem Nocnych Łowców, przyjaźniłem się z nimi. Gdyby tylko się domyślili, pobiegliby do moich rodziców, żeby przemówili mi do rozsądku. Powiedzieliby wszystkim. Myśleliby, że słusznie postępują.

– To nie byłoby słuszne – powiedział Simon, nadal wściekły, ale wstrząśnięty. – A Clary nigdy by tego nie zrobiła. Nie powiedziała nawet mnie.

– Nie znałem jej wtedy. Masz rację. Nigdy nikomu nie powiedziała. Miała prawo uznać, że za ostro się z nią obszedłem. Jace przyłożyłby mi, gdyby się dowiedział. Bałem się, że powie Jace’owi, że jestem gejem, a nie byłem gotowy, żeby mu to wyznać. Masz jednak rację. Nigdy by nie powiedziała i rzeczywiście nie zrobiła tego. – Wyjrzał przez okno, poklepując dziecko po plecach. – Lubię Clary – orzekł zwyczajnie. – Zawsze stara się właściwie postąpić i nigdy nie pozwala, żeby inni mówili jej, co jest właściwe. Przypomina mojemu *parabatai*, że chce żyć. Czasem wolałbym, żeby nie podejmowała ciągle szaleńczego ryzyka, ale gdybym naprawdę nienawidził szaleńczo odważnych ludzi, to nie cierpiałbym też...

– Niech zgadnę, jego imię brzmi prawie jak Face Herringfail.

Alec się roześmiał, a Simon pogratulował sobie w duchu.

– Czyli lubisz Clary – powiedział Simon. – To tylko mnie nie lubisz. Co zrobiłem? Wiem, że masz sporo na głowie, ale gdybyś po prostu powiedział mi, co zrobiłem, żebym mógł przeprosić i żebyśmy się pogodzili, to byłbym ci ogromnie wdzięczny.

Alec spojrział na niego, a potem podszedł do jednego z krzeseł. Na poddaszu stały dwa drewniane krzesła, oba rozchwierutane

i na obu ułożono poduszki z wyhaftowanym pawiem. Była tam także sofa. Odrobinę przechylona. Alec usiadł na jednym krześle, a Simon uznał, że lepiej nie ryzykować z sofą, i przysiadł na drugim.

Alec posadził dziecko na kolanie, obejmując je ostrożnie jedną ręką. Drugą bawił się maleńkimi rączkami malucha, pukając go w paluszki, jakby go uczył zabawy w koci łapci. Ewidentnie przygotowywał się do wyznania.

Simon wziął głęboki wdech, szykując się na najgorsze. Wiedział, że to może być coś naprawdę strasznego. Musiał być gotowy.

– Co takiego zrobiłeś? – powiedział Alec. – Uratowałeś Magnusowi życie.

Simon nie zrozumiał.

Przeprosiny wydały mu się nie na miejscu.

– Magnusa porwano, więc poszedłem do piekła, żeby go ratować. Tak wyglądał cały mój plan. Chciałem go po prostu uratować. Po drodze Isabelle została poważnie raniona. Przez całe życie zawsze chciałem chronić ludzi, których kocham, zapewnić im bezpieczeństwo. Powinienem być w stanie. A jednak nie zdołałem. Nie byłem w stanie pomóc żadnemu z nich. Ty przeciwnie. Uratowałeś życie Isabelle. Kiedy ojciec Magnusa postanowił go zabrać, a ja nie mogłem nic na to poradzić, wkroczyłeś ty. Nie doceniałem cię w przeszłości, a ty dokonałeś wszystkiego, czego ja chciałem dokonać, a potem przepadłeś. Isabelle była w fatalnym stanie. Clary w jeszcze gorszym. Jace był strasznie zdenerwowany. Magnus miał wyrzuty sumienia. Wszyscy bardzo cierpieli, a ja chciałem im pomóc. Ty wróciłeś, ale niczego nie pamiętałeś. Nie radzę sobie najlepiej z nieznanymi, a ty byłeś naprawdę skomplikowanym nieznanym. Nie potrafiłem z tobą rozmawiać. Nie zrobiłeś niczego złego. Po prostu nic, co ja mógłbym zrobić, nie wyrównałoby rachunków między nami. Jestem ci winien tak

dużo, że nigdy nie spłacę tego długu. Nawet nie wiedziałem, jak ci dziękować. Zresztą podziękowania nie miałyby znaczenia, bo ty niczego nie pamiętałeś.

– Aha. Rety.

To było dziwne uczucie wiedzieć, że anonimowi nieznajomi uważają go za bohatera, ale jeszcze dziwniejsze było to, że Alec Lightwood, który miał go rzekomo nie cierpieć, mówił o nim jak o bohaterze.

– Czyli nie nienawidzisz mnie i nie nienawidzisz Clary. Nikogo nie nienawidzisz.

– Nienawidzę ludzi, którzy zmuszają mnie do mówienia o uczuciach.

Simon patrzył na niego przez chwilę i już przeprosiny cisnęły mu się na usta, ale ich nie wypowiedział. Zamiast tego uśmiechnął się szeroko, a Alec odwzajemnił uśmiech.

– Zdecydowanie za dużo o nich mówiłem, odkąd zjawiłem się w Akademii.

– Wyobrażam sobie – odpowiedział Simon.

Nie bardzo wiedział, co się stanie z dzieciakiem, którym Alec i Magnus się zaopiekowali, ale Isabelle mówiła o tym tak, jakby była pewna, że je zatrzymają. To musiało wymagać rozmowy.

– Chciałbym przez następny rok nie rozmawiać o uczuciach. I pospać przez rok. Czy dzieci kiedykolwiek śpią?

– Kiedyś zdarzało mi się pilnować dzieci – odpowiedział Simon.

– O ile pamiętam, dużo śpią, ale kiedy najmniej się tego spodziewasz. Dzieci przypominają hiszpańską inkwizycję bardziej, niż myślisz.

Alec skinął głową, chociaż był trochę skonsternowany. Simon zakonotował sobie, że teraz, jako przyjaciel Aleca ma obowiązek jak najszybciej zaznajomić go z Monty Pythonem. Dziecko zagruchało, jakby było zadowolone z porównania.

– Słuchaj, przykro mi, że pomyślałeś, że jestem na ciebie zły, bo nie wiedziałem, co ci powiedzieć.

– Wiesz, rzecz w tym, że... Trochę umocniono mnie w moich podejrzeniach.

Alec przestał bawić się w koci łapci z dzieckiem i znieruchomiał.

– Co masz na myśli?

– Prawie się do mnie nie odzywałeś i trochę się tym martwiłem – wyjaśnił Simon – więc zapytałem przyjaciela, czy masz coś do mnie. Zapytałem swojego dobrego przyjaciela Jace’a.

Zapadło milczenie, kiedy Alec przetrawiał informację.

– Zapytałeś Jace’a.

– A on... Jace powiedział mi, że poróżnił nas wielki i mroczny sekret, a on nie ma prawa o tym mówić.

Dziecko zerknęło to na Simona, to na Aleca. Patrzyło w zamyśleniu, jakby chciało pokręcić głową i powiedzieć: „Cały Jace! Co wymyśli następnym razem?”.

– Zostaw to mnie – powiedział spokojnie Alec. – To mój *parabatai*, wiąże nas święta więź i w ogóle, ale tym razem posunął się za daleko.

– Świetnie. Zemścij się, proszę, w imieniu nas obu, bo jestem pewien, że załatwiłby mnie w walce.

Alec skinął głową, potwierdzając ten jakże prawdziwy fakt. Simon nie mógł uwierzyć, że tak się martwił z powodu Aleca Lightwooda. Ten facet był świetny.

– Wiesz, jak już powiedziałem, jestem twoim dłużnikiem.

Simon machnął ręką.

– Co ty. Możemy uznać, że jesteśmy kwita.

* * *

Magnus był tak zmęczony, że powlekł się do jadalni Akademii i przez chwilę rozważał, czy czegoś tam nie zjeść.

A potem spojrział na jedzenie i odzyskał rozum.

Jeszcze nie nadeszła pora kolacji, ale paru uczniów przyszło wcześniej. Magnus nie spodziewał się, że tłumy rzucą się na oślizgłe lazanie. Zauważył Julie z przyjaciółmi przy stole. Obrzuciła Magnusa spojrzeniem od stóp do głów, patrząc na potargane włosy i T-shirt pożyczony od Aleca. Wyczytał z jej twarzy głębokie rozczarowanie.

I tak umarło marzenie młodej dziewczyny.

Magnus przyznał, że po nieprzespanej nocy i w koszulce Aleca (bo kilka jego własnych zniszczyła Isabelle, a na kilka innych wymiotowało dziecko) może nie prezentować się najlepiej.

To pewnie dobrze, że Julie stawiała czoło rzeczywistości, chociaż Magnus postanowił sobie, że kiedyś weźmie prysznic, włoży lepszą koszulę i olśni tę pannę swoją oszałamiającą prezencją.

Magnus odwiedzał Ragnora w Akademii, więc wiedział, jak wyglądają tu posiłki. Zmrużył oczy, próbując się zorientować, które stoliki należą do elit, a które do motłochu – ludzi, którzy chcieli zostać Nefilim, ale do czasu Wstąpienia Nefilim nie uznawali ich za równych sobie. Magnus zawsze uważał, że motłoch wykazuje się ogromną samokontrolą, bo ani razu nie wystąpił przeciwko arogancji Nocnych Łowców, nie podpalił Akademii i nie czmychnął w ciemną noc.

Możliwe, że Clave miało rację, kiedy nazwało Magnusa buntownikiem.

Nie potrafił jednak rozgryźć, które stoliki do kogo należą. Lata temu podział był oczywisty, ale teraz Magnus był przekonany, że znajome Simona, blondynka i brunetka, to Nocne Łowczynie, a prześliczny idiota, który chciał wychowywać dziecko z Simonem w szufladzie na skarpetki, to Przyziemny.

Uwagę Magnusa zwrócił gardłowy, władczy głos latynoski, która wyglądała na piętnastolatkę. Czarownik od razu się zorientował, że to Przyziemna. I natychmiast dostrzegł drugą rzecz: za parę lat, bez względu na to, czy dokona Wstąpienia,

będzie budziła prawdziwy postrach.

– Jon – mówiła do chłopca, który siedział naprzeciwko niej przy stole – uderzyłam się w palec u stopy i okropnie mnie boli. Potrzebuję aspiryny.

– Jakiej aspiryny? – zapytał spanikowany chłopiec.

To był oczywiście Nefilim do szpiku kości. Magnus nie musiał nawet widzieć runów. Właściwie to mógłby się założyć, że to Cartwright. Magnus poznał paru Cartwrightów na przestrzeni wieków. Wszyscy mieli niepokojąco szerokie szyje.

– Kupuje się ją w aptece – wyjaśniła dziewczyna. – Nie, nie mów mi, że nie wiesz, co to apteka. Czy ty kiedykolwiek opuściłeś Idris?

– Tak! – zapewnił ją Jon, prawdopodobnie Cartwright. – Brałem udział w misjach. A raz rodzice zabrali mnie na plażę we Francji.

– Super. Mówię serio. Objaśnię ci całą współczesną medycynę.

– Nie rób tego, proszę. Źle się czułem po twojej opowieści o usuwaniu wyrostka robaczkowego. Nie mogłem jeść.

Marisol skrzywiła się.

– Jednym słowem wyświadczyłam ci wielką przysługę.

– Lubię jeść – odparł smutno Jon.

– Jasne. Nie opowiem ci o współczesnej medycynie, a potem coś mi się przydarzy i będę potrzebować pierwszej pomocy, a ty nie będziesz miał o tym zielonego pojęcia, więc umrę. Umrę u twoich stóp. Tego właśnie chcesz?

– Nie. Co to jest pierwsza pomoc? A jest też... druga?

– Nie mogę uwierzyć, że pozwolisz mi umrzeć, kiedy tak łatwo można zapobiec mojej śmierci. Wystarczy, żebyś posłuchał! – naciskała bezlitośnie Marisol.

– Dobrze już, dobrze! Posłucham.

– Super. Przynieś mi trochę soku, bo chwilę będę opowiadała. Nadal czuję się bardzo zraniona faktem, że zamierzałeś pozwolić mi umrzeć – dodała Marisol, kiedy Jon wstał i podszedł do miejsca, gdzie wystawiono nieapetyczne jedzenie i potencjalnie

trujące napoje. – Myślałam, że Nocni Łowcy mają obowiązek chronić Przyziemnych! – krzyknęła za nim. – Nie pomarańczowy! Chcę jabłkowy!

– Uwierzyłyś – powiedziała Catarina, pojawiając się obok Magnusa – że ten Cartwright był największym tyranem w Akademii?

– Wygląda na to, że trafiła kosa na kamień – mruknął Magnus.

Pogratulował sobie, że dobrze rozpoznał Cartwrighta. W przypadku rodzin Nocnych Łowców trudno było mieć pewność. Pewne cechy przenosiły się w obrębie rodu, zwłaszcza przy ich tendencji do chowu wsobnego, ale zawsze zdarzały się wyjątki.

Na przykład Magnus zawsze uważał, że Lightwoodowie są dość przeciętni. Lubił niektórych z nich – Annę Lightwood z jej sznurami młodych panien ze złamanymi sercami, Christophera Lightwooda z jego wybuchami, a teraz Isabelle, ale nigdy nie spotkał Lightwooda, który poruszyłby jego serce, jak niektórzy Nocni Łowcy: Will Herondale, Henry Branwell albo Clary Fray.

Dopóki nie spotkał naprawdę niezwykłego Lightwooda; Lightwooda, który nie tylko poruszył jego serca, ale je skradł.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytała z nagłą podejrzliwością Catarina.

– Myślałem sobie właśnie, że życie jest pełne niespodzianek. Co się stało z tą Akademią?

Przyziemna dziewczyna nie mogłaby dręczyć Cartwrighta, gdyby ten nie przejmował się jej losami, gdyby nie dostrzegł w niej osoby, gdyby zlekceważył ją, a Magnus widział, jak lekceważyły Przyziemnych i Podziemnych niezliczone tłumy Nefilim.

Catarina się zawahała.

– Chodź ze mną – powiedziała. – Chcę ci coś pokazać.

Wzięła go za rękę i wyprowadziła z jadalni, splatając niebieskie palce z jego palcami ozdobionymi niebieskimi pierścionkami.

Magnus pomyślał o dziecku i znowu się uśmiechnął. Zawsze uważał, że niebieski to najpiękniejszy kolor.

– Sympiam w dawnym pokoju Ragnora – powiedziała Catarina.

Wspomniała ich dawnego przyjaciela przelotnie i rzeczowo, bez odrobiny uczucia w głosie. Magnus uścisnął jej dłoń nieco mocniej, kiedy szli po schodach i kamiennymi korytarzami. Na ścianach wisiały gobeliny przedstawiające wielkie czyny Nocnych Łowców. W kilku ziały dziury; przez jedną z nich anioł Razjel stracił głowę. Magnus obawiał się, że do gobelinów dobrały się świętokradcze myszy.

Catarina otworzyła duże drzwi z ciemnego dębu i wprowadziła Magnusa do sklepionego kamiennego pokoju, gdzie na ścianach wisiało kilka obrazów. Magnus poznał, że są pędzla Ragnora – szkic mały, pejzaż morski ze statkiem pirackim. Na rzeźbionym dębowym łóżku leżała surowa, biała szpitalna pościel Catariny, ale pogryzione przez mole zasłony uszyto z zielonego aksamitu, a stojące pod jedynym dużym oknem biurko ozdobiono zieloną skórą.

Leżała na nim moneta, miedź pociemniała ze starości, oraz dwa kawałki papieru, które zwijały się przy krawędziach.

– Przeglądałam papiery w biurku Ragnora, kiedy znalazłam ten list – powiedziała Catarina. – Jedyna naprawdę osobista rzecz w tym pokoju. Pomyślałam, że chciałbyś go może przeczytać.

– Owszem – odpowiedział Magnus, kiedy włożyła mu list do ręki.

Rozłożył papier i spojrzał na kanciaste czarne litery głęboko wgryzające się w żółtą powierzchnię, jakby piszący był zły na sam papier. Miał wrażenie, że słyszy w głowie głos, o którym myślał, że ucichł już na zawsze.

*Do Ragnora Fella,
wybitnego dydaktyka w Akademii Nocnych Łowców
i byłego Najwyższego Czarownika Londynu:*

Z przykrością, lecz bez zaskoczenia słyszę, że najnowsze żniwo bachorów Nocnych Łowców okazało się równie mało obiecujące jak poprzednie. Nefilim brakuje wyobraźni i ciekawości intelektualnej? Zdumiewasz mnie.

Załączam monetę z wygrawerowanym wieńcem, symbolem edukacji w starożytnym świecie. Powiedziano mi, że faerie uczyniły z niego talizman, a Ty z pewnością będziesz potrzebował szczęścia, reformując Nocnych Łowców.

Jestem pod wielkim wrażeniem Twojej cierpliwości i oddania dla pracy, niekończącego się optymizmu, który mówi Ci, że Twoich uczniów da się czegoś nauczyć. Chciałbym podzielać Twoje radosne spojrzenie na życie, ale niestety nic na to nie poradzę, że gdy rozglądam się po świecie, dostrzegam, że otaczają nas idioci. Gdybym ja uczył dzieci Nefilim, podejrzewam, że czasem czułbym się zmuszony zwracać się do nich ostro i niekiedy całkowicie osuszać je z krwi.

(Uwaga do wszelkich Nefilim, którzy czytają listy pana Fella i naruszają jego prywatność: oczywiście żartuję. Jestem bardzo dziwną osobą).

Pytasz, jak wygląda życie w Nowym Jorku, a ja mogę powiedzieć jedynie to co zwykle: śmierdzi, jest tłoczono i wszędzie sami wariaci. Omal mnie nie potrąciła grupa czarowników i wilkołaków na Bowery Street. Jeden czarownik idący na przód wymachiwał nad głową jak flagą błyszczącym fioletowym damskim boa. Tak mi wstyd, że go znam. Czasem udaję przed innymi Podziemnymi, że go nie znam. Mam nadzieję, że mi wierzą.

Piszę do Ciebie głównie po to, żebyśmy mogli kontynuować nasze lekcje hiszpańskiego. Załączam świeżą liczbę słówek i zapewniam Cię, że idzie Ci świetnie. Jeśli kiedykolwiek podejmiesz tę potworną decyzję, by ponownie udać się z pewnym fatalnie ubranym znanym nam czarownikiem do Peru, tym razem będziesz przygotowany.

Twój najszczerzej oddany

Raphael Santiago

– Ragnor nie wiedział, że Akademia zostanie zamknięta po ataku Kręgu Valentine’a na Clave – powiedziała Catarina. – Zachował list, żeby uczyć hiszpańskiego, i nigdy nie miał okazji po niego wrócić. Z listu jednak wynika, że często do siebie pisywali. Ragnor musiał spalić pozostałe, ponieważ zawierały komentarze, przez które Raphael Santiago miałby kłopoty. Wiem, że Ragnor lubił tego wampirka o ciętym języku. – Oparła policzek na ramieniu Magnusa. – Wiem, że ty też.

Magnus zamknął na chwilę oczy i przypomniał sobie Raphaela, któremu raz wyświadczył przysługę i który w zamian

za to zginął dla niego. Znał go, odkąd został przemieniony, i potem przez długie lata, podczas których Raphael przewodził klanowi wampirów pod każdym względem, chociaż nieoficjalnie. To był oschły dzieciak o stalowej woli.

Magnus nie znał Ragnora, kiedy ten był młody. Ragnor był starszy od Magnusa i stał się zrzędlivy, zanim się poznali. Ragnor wrzeszczał na dzieciaki, żeby mu nie deptały trawnika, zanim jeszcze wymyślono trawniki. Zawsze był miły dla Magnusa i był gotów pomóc w realizacji każdego jego planu, o ile tylko mógł przez cały czas swobodnie narzekać.

Mimo swego ponurego spojrzenia na życie w ogóle i Nocnych Łowców w szczególności to właśnie Ragnor przybył do Idrisu, żeby ich uczyć. Po zamknięciu Akademii został w swoim małym domku pod Miastem Szklą i próbował uczyć tych Nefilim, którzy byli chętni poszerzać wiedzę. Zawsze żywił nadzieję, nawet kiedy nie chciał się do tego przyznać.

Ragnor i Raphael. Obaj byli rzekomo nieśmiertelni. Magnus myślał, że będą żyć wiecznie tak samo jak on i zawsze będzie następne spotkanie, kolejna szansa. Oni jednak odeszli, a śmiertelnicy, których Magnus kochał, nadal żyli. To była lekcja, pomyślał Magnus, kochaj, póki możesz, kochaj to, co kruche, piękne i narażone na niebezpieczeństwo. Nikt nie ma gwarancji na wieczność.

Ragnor i Magnus nie wybrali się ponownie do Peru i nigdy już tego nie zrobią. Oczywiście Magnusowi zakazano wstępu do Peru, więc i tak nie mogłby tam powrócić.

– Zjawiałaś się w Akademii z powodu Ragnora – powiedział do Catariny. – Ze względu na pamięć o jego marzeniach, żeby przekonać się, czy można nauczyć Nocnych Łowców zmiany. Tym razem mam wrażenie, że to miejsce się zmieniło. Myślisz, że ci się udało?

– Nigdy się tego nie spodziewałam – odpowiedziała Catarina. – To było zawsze marzenie Ragnora. Zrobiłam to dla niego, nie dla

Nocnych Łowców. Zawsze uważałam, że próby Ragnora są niemądre. Nie możesz nauczyć niczego ludzi, którzy nie chcą się uczyć.

– Dlaczego zmieniłaś zdanie?

– Nie zmieniłam. Tym razem chcieli się uczyć. Nie dałabym rady w pojedynkę.

– Kto ci pomógł?

Catarina się uśmiechnęła.

– Nasz były Chodzący za Dnia, Simon Lewis. To kochany chłopak. Mógłby prześlizgnąć się przez szkołę jako bohater wojenny, ale uznał się za członka motłochu i cały czas bronił praw innych, nawet kiedy nic na tym nie zyskiwał. Próbowałam mu pomóc, ale niewiele mogłam działać i musiałam mieć nadzieję, że to wystarczy. Jeden po drugim uczniowie poszli za jego przykładem i zaczęli porzucać konserwatywny sposób myślenia Nefilim; posypali się jak kostki domina. George Lovelace przeniósł się razem z Simonem do internatu dla motłochu. Beatriz Velez Mendoza i Julie Beauvale siadywały razem z nimi podczas posiłków. Marisol Rojas Garza i Sunil Sadasivan zaczęli stawiać się dzieciakom z elity przy każdej okazji. Dwa strumyki zamieniły się w grupę, a potem stały się zespołem, nawet Jonathan Cartwright. Tu nie tylko chodzi o Simona. To są dzieciaki, które wiedzą, że Nocni Łowcy walczyli u boku Podziemnych, kiedy Valentine zaatakował Alicante. Widziały, jak dziekan Penhallow powitała mnie w ich Akademii. Te dzieciaki zmieniają świat. Myślę jednak, że potrzebowały Simona jako katalizatora.

– I ciebie jako nauczycielki – dodał Magnus. – Myślisz, że znalazłaś nowe powołanie?

Spojrzał na smukłą i lazurową jak niebo Catarina w kamiennozielonym pokoju ich przyjaciela. Skrzywiła się potwornie.

– Za żadne skarby – odpowiedziała. – Jedyłą okropniejszą rzeczą od tutejszego jedzenia są okropne, marudne nastolatki.

Dopilnuję, żeby Simon bezpiecznie przeszedł Wstąpienie, a potem wynoszę się stąd, wracam do szpitala, gdzie można zająć się prostymi rzeczami takimi jak gangrena. Ragnor musiał oszaleć.

Magnus uniósł do ust jej rękę.

– Ragnor byłby dumny.

– Och, przestań – zachnęła się Catarina, odpychając go. – Zrobiłeś się strasznie ckliwy, odkąd się zakochałeś. A teraz będziesz jeszcze gorszy, bo masz dziecko. Pamiętam, jak to jest. Są takie małe i pokładasz w nich tyle nadziei.

Magnus spojrzał na nią zaskoczony. Prawie nigdy nie wspominała o dziecku, które wychowywała, potomku Tobiasa Herondale’a. Po części dlatego, że nie było to bezpieczne. To był sekret, o którym Nefilim nie mogli nigdy się dowiedzieć, grzech, którego by nie wybaczyli. A po części dlatego, że (jak Magnus zawsze podejrzewał) mówienie o dziecku było dla Catariny zbyt bolesne.

Zauważyła jego spojrzenie.

– Powiedziałam o nim Simonowi. O moim chłopcu.

– Musisz mu naprawdę ufać – odpowiedział powoli Magnus.

– Wiesz co? Rzeczywiście mu ufam. Proszę, weź to. Chcę, żebyś to zatrzymał. Ja już tego nie potrzebuję.

Wzięła starą monetę z biurka i włożyła mu ją do dłoni, w której już trzymał list do Ragnora. Magnus spojrzał na monetę i list.

– Jesteś pewna?

– Tak. Wiele razy czytałam ten list w czasie pierwszego roku w Akademii, żeby przypomnieć sobie, co tu robię i czego pragnąłby Ragnor. Uczciłam pamięć mojego przyjaciela. Prawie wypełniłam swoje zadanie. Możesz to wziąć.

Magnus schował list i talizman przesłane przez jednego jego nieżyjącego przyjaciela drugiemu.

Wyszedł razem z Catarina z pokoju Ragnora. Catarina zamierzała zjeść kolację, co Magnus uznał za nadzwyczaj

brawurowe.

– Nie możesz zrobić czegoś bezpiecznego i kojącego, na przykład skoczyć na bungee? – zapytał, ale ona się uparła. Pocałował ją w policzek. – Zajrzyj później na poddasze. Mogą się zjawić Lightwoodowie, więc będę potrzebował ochrony. Urządzimy imprezę.

Odwrócił się i zostawił ją, nie mając zamiaru wchodzić do jadalni i znowu oglądać oślizgłych łazani.

Kiedy wchodził po schodach, spotkał schodzącego Simona.

Spojrzał na niego w zadumie. Simon się tym zaniepokoił.

– Chodź ze mną – rozkazał Magnus. – Porozmawiamy sobie.

* * *

Simon stał razem z Magnusem Bane'em na szczycie jednej z wież Akademii Nocnych Łowców. Patrzył na nadciągający zmrok z lekkim niepokojem.

– Mógłbym przysiąc, że to wieża była przekrzywiona.

– Hm, percepcja bywa zwodnicza.

Simon nie bardzo wiedział, czego Magnus chce. Lubił czarownika, ale nigdy nie rozmawiał z nim od serca, a teraz Magnus patrzył na niego, jakby go pytał „Co jest grane, Simonie Lewisie?”. Na Magnusie nawet niechlujny szary T-shirt wyglądał niemal stylowo. Simon był przekonany, że czarownik jest zbyt wyluzowany, żeby przejmować się sprawami Simona.

Zerknął na czarownika, który wyglądał przez jedno z dużych nieprzeszkłonych okien w wieży, a nocny wiatr rozwiewał mu włosy.

– Powiedziałem ci kiedyś, że pewnego dnia ze wszystkich znanych nam ludzi możemy pozostać tylko my dwaj – odezwał się Magnus.

– Nie pamiętam tego.

– Dlaczego miałbyś? Jeśli nie liczyć jakiegoś przedziwnego tornado, które porwałoby wszystkich naszych bliskich, to już nie jest prawda. Teraz jesteś śmiertelny. A nawet nieśmiertelny może zostać zabity. Może ta wieża się zawali i wszyscy będą nas opłakiwać.

Widok z wieży na gwiazdy ponad lasami był piękny. Simon miał ochotę zejść.

Magnus sięgnął do kieszeni i wyjął starą, grawerowaną monetę. Simon dostrzegł inskrypcję, ale nie był w stanie odczytać jej w ciemności.

– Należała kiedyś do Raphaela. Pamiętasz go? – zapytał Magnus. – To wampir, który cię przemienił.

– Tylko jak przez mgłę – odpowiedział Simon. – Pamiętam, jak powiedział mi, że Isabelle nie jest dziewczyną dla mnie.

Magnus odwrócił się, ale nie zdołał ukryć uśmiechu.

– To brzmi jak uwaga w jego stylu.

– Pamiętam... jak czułem jego śmierć – dodał Simon, czując, że słowa grzęzną mu w gardle. To było najgorsze w jego skradzionych wspomnieniach: że ich ciężar pozostawał nawet kiedy wszystko inne zniknęło, że czuł stratę, chociaż nie wiedział, co stracił. – Znaczył coś dla mnie, ale nie wiem, czy mnie lubił. Nie wiem, czy ja go lubiłem.

– Czuł się za ciebie odpowiedzialny – odpowiedział Magnus. – Dotarło dziś do mnie, że może ja powinienem w podobny sposób czuć się odpowiedzialny za ciebie. To ja rzuciłem czar, który sprowadził z powrotem twoje wspomnienia. To ja pchnąłem cię na ścieżkę prowadzącą do Akademii Nocnych Łowców. Raphael jako pierwszy umieścił cię w innym świecie, ale ja także to zrobiłem.

– Sam podejmuję wybory – powiedział Simon. – Dałeś mi taką szansę. Nie żałuję tego. Ty żałujesz, że pomogłeś mi odzyskać wspomnienia?

Magnus się uśmiechnął.

– Nie. Catarina opowiedziała mi nieco o tym, co się działo w Akademii. Wygląda na to, że świetnie sobie radziłeś, podejmując wybory bez mnie.

– Staralem się.

Przeżył szok, kiedy Alec go pochwalił, i nie spodziewał się czegoś podobnego po Magnusie. Jednak słowa czarownika sprawiły, że nagle zrobiło mu się ciepło mimo wiatru nadlatującego z krystalicznie chłodnych przestworzy nieba. Magnus nie mówił o urywkach i skrawkach z na wpół zapomnianej przeszłości Simona, ale o tym, kim jest teraz i jak wykorzystał swój czas ostatnio. Nie dokonał niczego nadzwyczajnego, ale się starał.

– Słyszałem też, że przeżyłeś przygodę w Faerie. My też mieliśmy kłopoty ze sprzedawcami owoców w Nowym Jorku. Faerie wyrwywają się spod kontroli po części z powodu Zimnego Pokoju. Ludzie, którym się nie ufa, stają się niegodni zaufania. Chodzi jednak o coś jeszcze. Faerie to nie jest kraina pozbawiona praw i władców. Królowa, która była sojuszniczką Sebastiana, przepadła i krąży wiele mrocznych plotek na temat przyczyn jej zniknięcia. Żadnej z nich nie powtórzyłbym Clave, bo wtedy jeszcze surowiej ukarałoby faerie. Clave stało się surowsze, faerie dziksze, a nienawiść między nimi rośnie z każdym dniem. Masz za sobą burze, ale nadciągają jeszcze gorsze. Dawne zasady tracą sens. Jesteś gotowy na kolejną zawieruchę?

Simon milczał. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Widziałem cię z Clary, z Isabelle – mówił dalej Magnus. – Wiem, że zmierzasz do Wstąpienia, że będziesz miał *parabatai* i ukochaną z Nocnych Łowców. To cię cieszy? Jesteś pewien?

– Nie wiem, czy jestem wszystkiego pewien, i nie wiem, czy jestem gotowy. Nie mogę powiedzieć, że nie mam żadnych wątpliwości, że nie myślałem, żeby rzucić to wszystko i zostać zwykłym dzieciakiem, który gra w zespole z Brooklynu. Myślę, że czasem za trudno jest wierzyć w siebie. Wtedy po prostu

robisz coś, chociaż nie jesteś pewien, czy zdołasz tego dokonać. Działasz mimo braku pewności. Nie wierzę, że zdołam zmienić świat, bo to brzmi głupio, nawet kiedy o tym mówię, ale będę próbował.

– Wszyscy zmieniamy świat codziennie, każdego dnia, który przeżywamy – odparł Magnus. – Musisz tylko zdecydować, w jaki sposób chcesz go zmienić. Sprowadziłem cię do tego świata po raz drugi i chociaż twoje wybory należą tylko do ciebie, czuję się za nie odpowiedzialny. Nawet jeśli się zaangażowałeś, masz wybór. Mogę załatwić to tak, żebyś znowu został wampirem. Albo wilkołakiem. Jedno i drugie to spore ryzyko, ale nie tak duże jak Wstąpienie.

– Chcę spróbować zmienić świat jako Nocny Łowca. Naprawdę. Chcę spróbować zmienić Clave od środka. Chcę zyskać tę szczególną moc, żeby pomagać ludziom. To warte tego ryzyka.

Magnus skinął głową.

Simon zdał sobie sprawę, że czarownik mówił serio, kiedy powiedział, że wybory Simona należą tylko do niego. Zostawił decyzję jemu tamtego dnia pod szkołą w Brooklynie, kiedy podszedł do niego z Isabelle. Nie kwestionował też jego wyboru teraz, chociaż Simon obawiał się, że uraził czarownika, bo wolał zostać Nocnym Łowcą zamiast Podziemnym. Nie chciał zachowywać się jak Nefilim, którzy uważają się za lepszych od Podziemnych. Chciał być zupełnie innym Nocnym Łowcą.

Magnus nie robił wrażenia urażonego. Stał na szczycie wieży, na kamieniu oświetlonym przez blask gwiazd, bez końca obracając w palcach monetę, która należała do kogoś, kto od dawna nie żyje. Zadumał się.

– Zastanawiałeś się nad wyborem nazwiska?

– Ehm... – bąknął nieśmiało Simon. – Trochę. Zastanawiałem się... Jak się naprawdę nazywasz?

Magnus rzucił mu z ukosa spojrzenie. Nikt nie rzuca takich spojrzeń z ukosa jak człowiek o kocich oczach.

– Magnus Bane – odpowiedział. – Wiem, że dużo zapomniałeś, Smedley, ale doprawdy...

Simon pogodził się z tą delikatną naganą. Rozumiał, dlaczego Magnus odrzuca sugestię, że imię, które wybrał, aby go określało, i które zachował na długie lata, które uczyniło go zarazem niesławnym, jak i znamienitym, nie jest prawdziwe.

– Przepraszam – odpowiedział. – Po prostu moje myśli stale powracają do imion. Jeśli przeżyję Wstąpienie, będę musiał wybrać nazwisko Nocnego Łowcy. Nie wiem, jak wybrać właściwe. Nie wiem, jak wybrać nazwisko, które będzie coś znaczyło, coś więcej niż dowolne inne.

Magnus zmarszczył brwi.

– Chyba nie jestem stworzony do udzielania rad. Może powinienem nosić sztuczną siwą brodę, żeby przekonać samego siebie, że jestem mędrcom. Wybierz to, które ci podpasuje, i nie martw się tym za bardzo – orzekł w końcu Magnus. – To będzie twoje nazwisko. Będiesz z nim żył. Sam nadasz mu znaczenie w taki czy inny sposób.

– Spróbuję – powiedział Simon. – Czy „Magnus Bane” brzmiało właściwie z jakiegoś powodu?

– Z wielu powodów – odparł czarownik, co właściwie nie było żadną odpowiedzią. Chyba wyczuł rozczarowanie Simona i ulitował się nad nim, bo dodał: – Oto jeden z nich.

Przekładał monetę między palcami coraz szybciej i szybciej. Niebieskie linie magii wypływały z jego pierścieni, małe burza wzbierała w jego dłoni, chwytając monetę w sieć światła.

A potem Magnus wyrzucił ją z wieży na nocny wiatr. Simon widział ją, jak opada nadal spowita niebieskim ogniem i wylatuje poza tereny Akademii.

– Istnieje naukowo zbadane zjawisko opisujące to, co się dzieje z obiektem w ruchu. Myślisz, że wiesz dokładnie, jaką drogę przebędzie i gdzie się zatrzyma. A potem nagle bez żadnego widocznego dla ciebie powodu... tor się zmienia. Przedmiot

ląduje gdzieś, gdzie się tego nie spodziewałeś.

Magnus pstryknął palcami i moneta przeleciała w powietrzu zygzakiem, wracając do nich. Simon zagapił się, mając wrażenie, że pierwszy raz w życiu widzi magię. Magnus upuścił monetę na dłoń Simona i uśmiechnął się. Jego oczy błyszczały złotem jak świeżo odkryty skarb.

– Nazywa się efektem Magnusa – powiedział.

* * *

– Bzzzz – powiedziała Clary, pochylając ogniście rudą głowę nad małą granatową główką dziecka. Składała drobne całusy na policzkach malucha, bzycząc jak pszczoła, a dziecko chichotało i łapało ją za loki. – Bzzzz, bzzz, bzzzz. Nie wiem, co robię. Nigdy nie miałam bliskich relacji z dziećmi. Przez szesnaście lat myślałam, że jestem jedynaczką. A potem... Nawet nie chcesz wiedzieć, co myślałam. Wybacz mi, proszę, jeśli robię to nie tak. Lubisz mnie? Bo ja cię bardzo.

– Daj mi dziecko – upominała się zazdrośnie Maryse. – Miałaś je całe cztery minuty.

Rzeczywiście w apartamencie Magnusa i Aleca urządzono zabawę; bawiono się w „Podaj Dziecko”. Wszyscy chcieli je potrzymać. Simon bezwstydnie próbował przypochlebić się ojcu Isabelle, ucząc go, jak wykorzystać cyfrowy zegarek w roli minutnika. Robert trzymał teraz zegarek Simona w śmiercionośnym uścisku i przyglądał mu się uważnie. Za szesnaście minut znowu przyjdzie kolej Roberta. Wcześniej ucisnął ramię Simona, mówiąc: „Dzięki, synu”, co chłopak uznał za błogosławieństwo i pozwolenie na randki z córką. Nie żałował utraty zegarka.

Clary oddała dziecko i odchyliła się na sofie, gdzie siedziała między Simonem i Jace’em. Mebel zaskrzypiał niebezpiecznie,

kiedy Clary usiadła prosto. Możliwe, że bezpieczniej było na nigdy krzywej wieży, ale Simon był gotowy zaryzykować, byle móc siedzieć obok Clary.

– Jest taki słodki – szepnęła Clary do Jace’a i Simona. – Ale czy to nie dziwne, że jest dzieckiem Aleca i Magnusa? Wyobrażacie to sobie?

– To nie takie dziwne – odpowiedział Jace. – Spokojnie mogę sobie wyobrazić.

Rumieniec wypłynął mu na wysokie kości policzkowe. Odsunął się w kąt sofy, kiedy Simon i Clary odwrócili się, żeby wbić w niego wzrok.

Clary i Simon nadal przyglądali mu się krytycznie. To ogromnie uradowało Simona. Krytyczna ocena ludzi stanowiła kluczowy element ich przyjaźni.

Potem Clary pochyliła się i pocałowała Jace’a.

– Powróćmy do tej rozmowy za dziesięć lat – powiedziała. – Może później! Potańczę z dziewczynami.

Podeszła do Isabelle, tańczącej już do cichej muzyki wśród kręgu wielbicieli, którzy pojawili się, gdy usłyszeli o jej powrocie. Najbardziej wyróżniała się wśród nich Marisol. Simon był przekonany, że postanowiła sobie zostać Isabelle, gdy dorośnie.

Świętowanie z okazji dziecka w rodzinie Lightwoodów rozkręciło się. Simon uśmiechał się, patrząc na Clary. Pamiętał kilka razy, kiedy miała się na baczności przy innych dziewczynach i raczej trzymała się blisko niego. Miło było widzieć, jak Isabelle wyciąga do niej rękę, a Clary łapie je bez chwili wahania.

– Jace – powiedział do przyjaciela, który z uśmiechem obserwował Clary. Jace zerknął na niego z rozdrażnieniem. – Pamiętasz, jak powiedziałeś, że wolałbyś, żebym pamiętał?

– Dlaczego pytasz mnie, czy coś pamiętam? – zapytał wyraźnie rozdrażniony Jace. – To nie ja mam kłopot z pamięcią. Zapomniałeś?

– Ciekaw byłem tylko, co miałeś na myśli.

Simon poczekał, dając Jace'owi okazję, by ten znowu wykorzystał fakt, że Simon padł ofiarą demonicznej amnezji i zdradził mu jakiś zmyślony sekret. Jace był ogromnie skrępowany.

– Nic – powiedział. – A co miałbym mieć na myśli? Nic.

– Chodziło ci o to, żebym pamiętał różne rzeczy w ogólności? – spytał Simon. – Czy żebym pamiętał wszystkie przygody, podczas których uformowały się łączące nas więzi?

Jace nadal był skrępowany. Simon przypomniał sobie, że Alec powiedział, że jego *parabatai* bardzo przeżył sprawę z amnezją.

– Czekał, rzeczywiście o to ci chodziło? – zapytał z niedowierzaniem Simon. – Tęskniłeś za mną?!

– Pewnie, że nie! – warknął Jace. – W życiu bym za tobą nie zatęsknił. Myślałem o czymś, ehm, konkretnym.

– W porządku. To co konkretnego chciałbyś, żebym pamiętał? – Przyjrzał się Jace'owi podejrzliwie. – Chodziło o gryzienie?

– Nie!

– To była szczególna chwila dla ciebie? – dopytywał się Simon. – Chciałeś, żebym pamiętał to, co wtedy razem przeżyliśmy?

– Zapamiętaj sobie tę chwilę – odpowiedział Jace. – Przy pierwszej okazji zostawię cię, żebyś zginął na dnie złej łodzi. Chcę, żebyś pamiętał moje powody.

Simon uśmiechnął się.

– Nie, nie zrobisz tego. Nigdy nie pozwoliłbyś mi umrzeć – mruknął, kiedy Alec podszedł do krzywej sofy, a Jace robił oburzoną minę z powodu usłyszanych słów.

– Simonie, zwykle z przyjemnością z tobą rozmawiam, ale czy mógłbym zamienić słówko na osobności z Jace'em?

– Ach, racja. Jace, zapomniałem, o czym chciałem z tobą pogadać, ale teraz doskonale sobie przypominam. Pogadałem sobie z Alekiem o jego problemie ze mną. Wiesz, o tym, o którym mi wspomniałeś. O tym strasznym sekrecie.

Jace spojrzał na niego.

– Aha.

– Uważasz się za przezabawnego, co?

– Chociaż rozumiem, że obaj jesteście nieco przeze mnie poirytowani i być może nie jest to najlepsza chwila, by się przechwalać – odpowiedział powoli Jace – to szczerze mówiąc, zmuszacie mnie do powiedzenia, że owszem, uważam się za przezabawnego. „Oto Jace Herondale”, mówią ludzie. „Ma kąśliwy dowcip i w dodatku jest przystojny. To brzemię, którego Simon nigdy nie zrozumie”.

– Alec cię zabije – powiedział Simon, klepiąc go po ramieniu. – I moim zdaniem zasłużyłeś sobie. Może to niewiele znaczy, ale będzie mi ciebie brakować, stary.

Wstał z sofy. Alec podszedł do Jace’a.

Simon ufał, że Alec zemści się straszliwie w imieniu ich obu. Dość już czasu zmarnował z powodu głupiego żartu Jace’a.

George tańczył z Julie i Beatriz, błaznując i próbując je rozśmieszyć. Beatriz już się śmiała, a zdaniem Simona Julie niewiele brakowało.

– Daj spokój, taniec ze mną nie jest taki zły – mówił do Julie George. – Może i nie jestem Magnusem... – Urwał i spojrzał na czarownika, który przebrał się w czarną, cienutką jak mgiełka koszulę, spod której prześwitywały niebieskie cekiny. – Zdecydowanie nie wybronilibym się w takim stroju, ale przecież trenuję! I mam szkocki akcent!

– Masz rację – powiedział Simon. Przybił z George’em piątkę i uśmiechnął się do dziewczyn, ale zaraz poszedł dalej, ku środkowi kręgu tancerzy.

Szedł do Isabelle. Zaszedł ją od tyłu i objął w talii. Oparła się o niego. Miała na sobie tę samą sukienkę, co podczas ich drugiego „pierwszego spotkania”. Przypominała mu gwieździstą noc nad Akademią Nocnych Łowców.

– Cześć – szepnął. – Chciałem ci coś powiedzieć.

– Co takiego? – odpowiedziała szeptem Isabelle.

Simon odwrócił ją do siebie. Uznał, że powinni porozmawiać, stojąc twarzą w twarz.

Za jej plecami widział Jace'a i Aleca. Obejmowali się, a Alec się śmiał. Jace poklepywał go po plecach, jakby mu gratulował. Tyle, jeśli idzie o straszliwą zemstę, pomyślał Simon, ale tak naprawdę wcale mu to nie przeszkadzało.

– Chciałem ci to powiedzieć, zanim spróbuję dokonać Wstąpienia – powiedział.

Uśmiech zniknął z twarzy Isabelle.

– Jeśli to przemowa w rodzaju „na wypadek gdybym zginął”, to nie chcę jej słuchać – odparła żarliwie. – Nie zrobisz mi tego. Nawet nie będziesz rozważał śmierci. Nic ci nie będzie.

– Nie. Źle mnie zrozumiałaś. Chciałem powiedzieć ci to teraz, bo po Wstąpieniu odzyskam wspomnienia.

Isabelle sprawiała wrażenie skonsternowanej, a nie poirytowanej, co stanowiło pewną poprawę.

– O co więc chodzi?

– Nieważne, czy odzyskam wspomnienia, czy nie – powiedział Simon. – Nieważne, czy inny demon nie zafunduje mi jutro następnej amnezji. Znam cię. Znowu mnie odnajdziesz, zjawisz mi się na ratunek bez względu na to, co się wydarzy. Przyjdiesz po mnie, a ja odkryję cię ponownie. Kocham cię. Kocham cię bez wspomnień. Kocham cię w tej chwili.

Zapadła cisza przerywana tylko tak nieistotnymi drobiazgami jak muzyka i wrzawa ludzkich głosów. Simon nie potrafił za dużo wyczytać z twarzy Isabelle.

Odpowiedziała spokojnym głosem:

– Wiem.

Simon popatrzył na nią.

– Czy to był... – zaczął powoli. – To był cytat z „Gwiezdných Wojen”? Bo jeśli tak, to chciałbym raz jeszcze wyznać ci miłość.

– Wal śmiało. Mówię serio. Powiedz to raz jeszcze. Chwilę na to

czekałam.

– Kocham cię.

Isabelle się roześmiała. Simon myślał, że byłby wstrząśnięty, gdyby wyznał te słowa dziewczynie, a ona wybuchłaby śmiechem, ale Isabelle zawsze go zaskakiwała. Nie potrafił oderwać od niej oczu.

– Serio? – zapytała z błyszczącymi oczami. – Naprawdę?

– Naprawdę.

Potem przyciągnął ją do siebie i zatańczyli razem na ostatnim piętrze Akademii, pośród jej rodziny.

A ponieważ długo na to czekała, powtarzał jej te słowa raz za razem.

* * *

Magnus cały czas zapodziawał dziecko. To nie wróżyło najlepiej na przyszłość. Był przekonany, że powinien zawsze doskonale orientować się w położeniu dziecka.

W końcu znalazł je u Maryse, która porwała je triumfalnie i uciekła do kuchni, żeby tam gruchać do swojego skarbu.

– O, cześć – powiedziała z pewnym poczuciem winy.

– Cześć – mruknął Magnus, kładąc rękę na niebieskiej główce i delikatnych loczkach. – I cześć tobie.

Dziecko jęknęło marudnie. Magnus uznał, że zaczyna rozróżniać różne rodzaje płaczu. Wyczarował butelkę z mlekiem. Wyciągnął rękę, a Maryse potrzebowała całej siły woli, żeby oddać dziecko.

– Dobrze sobie z nim radzisz – powiedziała, kiedy Magnus wziął niemowlę i wsunął mu smoczek butelki do ust.

– Alec jest w tym lepszy.

Maryse się uśmiechnęła. Była dumna.

– Jest bardzo dojrzały jak na swój wiek – orzekła czule

i zawahała się. – Ja... nie byłam taka w jego wieku, kiedy zostałam młodą matką. Nie... zachowywałam się w sposób, w jaki chciałabym, żeby widziało którekolwiek z moich dzieci. Oczywiście to żadne usprawiedliwienie.

Magnus spojrział jej w oczy. Pamiętał, jak stał z nią po przeciwnych stronach, kiedy była jedną z uczennic Valentine'a. Czuł wtedy, że na zawsze znienawidził ją i wszystkich, którzy mieli z nią coś wspólnego.

Pamiętał też, jak później postanowił wybaczyć innej kobiecie, która stała po stronie Valentine'a i przysłała do niego z dzieckiem na rękach, chcąc naprawić błędy. Tą kobietą była Jocelyn, a dziecko okazało się Clary, pierwszym i jedynym dzieckiem, jakiego dorosło na jego oczach.

Nigdy nie myślał, że będzie miał własne dziecko, którego dorastanie będzie mógł obserwować.

Maryse spojrzała na niego, prostując się na całą wysokość. Może jego założenie na temat jej uczuć przez te wszystkie lata było niewłaściwe; może wcale nie postanowiła ignorować przeszłości i nie uważała z dumą typową dla Nefilim, że powinien iść za jej przewodnictwem. Może zawsze chciała przeprosić i zawsze była na to zbyt dumna.

– Och, Maryse – powiedział Magnus. – Zapomnij. Mówię serio, nie wspominaj o tym więcej. Z racji tych niespodziewanych wiraży życia staliśmy się rodziną. Właśnie te wszystkie piękne niespodzianki sprawiają, że życie jest warte życia.

– Życie nadal cię zaskakuje?

– Codziennie – odpowiedział Magnus. – Zwłaszcza odkąd poznałem twojego syna.

Wyszedł z kuchni z synkiem na rękach, a Maryse za nim. Wrócili na przyjęcie.

Jego ukochany Alec, ucieleśnienie dojrzałości, właśnie bił swojego *parabatai* po głowie. Kiedy ostatnim razem Magnus ich widział, obejmowali się, więc domyślił się, że Jace znowu

pozwolił sobie na jeden ze swoich nieszczęsnych dowcipów.

– Co z tobą nie tak? – dopytywał się Alec. Śmiał się i atakował, podczas gdy Jace wymachiwał rękami na sofie i rozrzucał poduszki, prawdziwe uosobienie wdzięku Nocnego Łowcy. – Pytam poważnie, Jace, co z tobą nie tak?!

Zdaniem Magnusa to było rozsądne pytanie.

Rozejrzał się po pokoju. Simon tańczył z Isabelle. Fatalnie. Isabelle najwyraźniej to nie przeszkadzało. Clary podskakiwała z Marisol, niewiele wyższa od młodszej dziewczyny. Pod oknem Catarina najwyraźniej ogrywała w karty Jona Cartwrighta.

Robert Lightwood stanął obok Magnusa. Powinien wreszcie przestać się tak podkradać. Ktoś przez niego dostanie zawału.

– Cześć, młody człowieku – powiedział Robert. – Gdzie przepadłeś?

Rzucił podejrzliwe spojrzenie Maryse, która przewróciła oczami.

– Mieliśmy sprawę do omówienia z Magnusem – powiedziała, dotykając ręki czarownika.

Jej zachowanie nabrało nagle sensu dla Magnusa – chciała podbić serce zięcia, zyskać większy dostęp do wnuka. Widział już takie rozgrywki w rodzinach, ale nigdy nie pomyślał, że stanie się ich częścią.

– Tak? – zapytał żywo Robert. – Podjęliście decyzję w kwestii imienia?

Ostatnia piosenka skończyła się akurat, kiedy Robert zadał pytanie. Jego donośny głos rozbrzmiał w ciszy.

Alec odskoczył od Jace'a i przeskoczył nad sofą, żeby stanąć obok Magnusa. Sofa przewróciła się cicho z Jace'em nadal zaplątanym w poduszki.

Magnus popatrzył na Aleca, który odwzajemnił spojrzenie. Jego twarz jaśniała nadzieją. Nie był tak podstępny, żeby ukrywać prawdziwe uczucia, nie chwycił się żadnych sztuczek. Magnus nie chciał, żeby kiedykolwiek to zatracił.

– Rzeczywiście rozmawialiśmy o tym – przyznał Magnus. – I uznaliśmy, że mieliście dobry pomysł.

– To znaczy... – zaczęła Maryse.

Magnus pochylił głowę w ukłonie tak nisko, jak mógł, trzymając dziecko na rękach.

– Z ogromną przyjemnością przedstawiam wam wszystkim Maksa Lightwooda.

Magnus poczuł dłoń Aleca na plecach, ciepłą jak wdzięczność i niezachwianą jak jego miłość. Spojrzał na twarz niemowlęcia. Dziecko najwyraźniej bardziej interesowało się butelką niż imieniem.

Może nadejść chwila, kiedy dziecko jako czarownik postanowi samo wybrać sobie imię, które będzie nosić przez kolejne stulecia. Do tej chwili, kiedy będzie na tyle dorosły, żeby zdecydować, kim chce być, Magnus uznał, że mógłby o wiele gorzej trafić z imieniem, które było przecież symbolem miłości i akceptacji, żalu i nadziei.

Max Lightwood.

Kolejna piękna niespodzianka w życiu.

Rozległy się pomruki, zachwycone głosy, szepty pełne aprobaty. A potem Maryse i Robert zaczęli kłócić się o drugie imię.

– Michael – powtarzał uporczywie Robert.

Podeszła Catarina, chowając zwitek banknotów za stanik. Nie wyglądała przy tym jak najlepsza nauczycielka w dziejach Akademii.

– A może Ragnar? – zapytała.

– Clary – odezwał się Jace spod sofy. – Pomóż mi. Zrobiło się ciemno.

Magnus odsunął się od debaty, bo butelka Maksa była prawie pusta i dziecko zaczęło płakać.

– Nie wyczarowuj butelki, przygotuj prawdziwą – powiedział Alec. – Jeśli przywyknie, że tak szybko go karmisz, będziesz

musiał to robić bez przerwy.

– To szantaż! Nie płacz – poprosił synka Magnus, wracając do kuchni, żeby przygotować mleko.

Przygotowanie mleka nie było takie trudne. Magnus obserwował już kilka razy, jak Alec to robi, i odkrył, że potrafi go naśladować.

– Nie płacz – błagał Maksa, podgrzewając mleko. – Nie płacz i nie pobrudź mi koszuli. Jeśli będziesz płakał albo mnie pobrudzisz, wybaczę ci, ale się zdenerwuję. A chcę, żebyśmy się dogadywali.

Max dalej płakał. Magnus pomachał mu przed twarzą palcami wolnej ręki, żałując, że nie istnieje czar, który uciszałby dzieci i można było go rzucać.

Ku jego zaskoczeniu Max przestał płakać, tak samo wczoraj, kiedy Alec wziął go w korytarzu na ręce. Patrzył z zaciekawieniem na iskiarki, które rzucały na jego twarz pierścionki Magnusa.

– Widzisz? – powiedział Magnus i podał mu ponownie napełnioną mlekiem butelkę. – Wiedziałem, że się dogadamy.

Stanął w kuchennych drzwiach, tuląc Maksa, i popatrzył na przyjęcie. Trzy lata temu nie pomyślałby, że coś takiego może się wydarzyć. W tym pokoju było tyle osób, z którymi czuł się blisko. Tak wiele się zmieniło i tak wiele zmian mogło zajść. Myśl o wszystkim, co może stracić, była przerażająca, a o wszystkim, co zyskał – porywająca.

Spojrzał na Aleca, który stał między rodzicami pewnie i spokojnie. Uśmiechał się z powodu czegoś, co powiedziało jedno z nich.

– Może pewnego dnia zostaniemy tylko we dwoje, moja jagódka – powiedział swobodnym tonem Magnus – ale przedtem minie dużo, bardzo dużo czasu. Zaopiekujemy się nim, ty i ja. Prawda?

Max Lightwood gaworzył wesoło, co Magnus uznał za wyraz

zgody.


Ten ciepły, jasny pokój nie był najgorszym miejscem, żeby dziecko zaczęło się uczyć, że w życiu chodzi o coś więcej, niż myśli wielu ludzi, że można w nim znaleźć nieograniczone pokłady miłości i czas potrzebny do tego. Magnus musiał uwierzyć przez wzgląd na siebie, swojego syna i ukochanego, przez wzgląd na tych wszystkich promiennych, gasnących śmiertelników i nieprzemijających, zmagających się z życiem nieśmiertelnych, których znał, że tego czasu będzie dość.

Odstawił butelkę i przycisnął usta do loczków na głowie synka. Usłyszał, jak dziecko pomrukuje mu do ucha.

– Nie martw się – odmruknął Magnus. – Wszyscy jedziemy na jednym wózku.

Aniołowie po dwakroć zstępujący

Cassandra Clare i Robin Wasserman



CZY PRZYJMIESZ
KREW ANIOŁA RAZJELA
I BĘDZIESZ JĄ CZCIE?

CZY
PRZYSIĘGASZ SŁUŻYĆ
CLAVE, PRZESTRZEGAĆ
PRAWA USTANOWIONEGO
PRZEZ PRZYMIERZE I WYPEŁNIAĆ
ROZKAZY RADY?

CZY BĘDZIESZ
BRONIĆ ŚMIERTELNYCH,
WIEDZĄC, ŻE ZA SWOJĄ SŁUŻBĘ
NIE OTRZYMASZ ŻADNEJ NAGRODY,
ŻADNYCH PODZIĘKOWAŃ,
A MIMO TO JEJ PEŁNIENIE
BĘDZIE DLA CIEBIE
ZASZCZYTEM?

– Myślę, że powinniśmy mieć pogrzeb – powiedział George Lovelace. Głos mu zadrżał przy ostatnim słowie. – Taki, jak się patrzy.

Simon Lewis przerwał wysiłki i zerknął na współlokatora. George był jednym z tych gości, których kiedyś Simon zniechęcał od pierwszego spojrzenia, bo zakładałby, że ktoś o pięknej opaleniznie, wspaniałych mięśniach brzucha i szalenie seksownym (przynajmniej według każdej dziewczyny i więcej niż kilku chłopaków, których o to zapytał) szkockim akcencie, musi mieć mózg wielkości szczonego bobka i niemal równie atrakcyjną osobowość. Jednak George podważał stereotypy Simona dzień w dzień. Podobnie jak teraz, kiedy ocierał z twarzy coś, co w podejrzany sposób przypominało łzę.

– Czy ty... płaczesz? – zapytał z niedowierzaniem Simon.

– Oczywiście, że nie – odrzekł George, raz jeszcze ocierając oczy. – W każdym razie na swoją obronę powiem – dodał nieco speszony – że śmierć to potworna rzecz.

– To martwy szczonek – zauważył Simon. – W twoim bucie, mógłbym dodać.

Simon i George odkryli, że kluczem do szczęśliwego dzielenia pokoju jest jasny podział obowiązków. I tak George zajmował się usuwaniem wszelkich stworzeń – szczonek, jaszczurek, karaluchów i niekiedy przedziwnie zniekształconych krzyżówek powyższych trzech gatunków, które pewnie kiedyś naraziły się czarownikowi – jakie znajdowali w szafie lub pod łózkami. Simon zajmował się tymi, które wlażyły między ubrania albo – zadrżał na wspomnienie chwili, kiedy odkryli, że takie zadanie także trzeba komuś przydzielić – pod poduszki.

– Ponadto chciałbym zaznaczyć, że tylko jedno z nas było naprawdę szczurem, i jak sam zauważysz, to on nie płacze.

– To może być ostatni martwy szczury, jakiego znajdziemy w naszym życiu! – George pociągnął nosem. – Pomyśl o tym. To może być nasz ostatni wspólny szczur.

Simon westchnął. W miarę jak zbliżał się Dzień Wstąpienia – dzień, kiedy oficjalnie przestaną być uczniami i staną się Nocnymi Łowcami – George z żalem odnotowywał każdą rzecz, jaką robili po raz ostatni. Teraz, kiedy księżyc wschodził podczas ich ostatniej nocy w Akademii, najwyraźniej George całkiem stracił rozum. Odrobina nostalgii miała sens dla Simona. Tego ranka podczas ich ostatniej porannej gimnastyki Delaney Scarsbury po raz ostatni nazwał go czterooką potencjalną przekąską dla demonów o rękach jak makaron i nogach jak prostowane na beczce, a Simon omal nie powiedział mu „dziękuję”. A miska słodkiego budyniu o mięsny aromacie, który podano tego wieczoru, rzeczywiście sprawiła, że wszystkim gula stanęła w gardle.

Ale żeby rozklejać się z powodu sztywnego szczura z grzybicą stóp? To już przesada.

Za pomocą oderwanej okładki od starego podręcznika do demonologii Simon zdołał wygarnąć szczura z buta, nie dotykając go. Wrzucił go do jednej z plastikowych toreb, o których przywiezienie poprosił Isabelle specjalnie z myślą o tym celu, zawiązał ją mocno, a potem nucąc capstrzyk ku czci poległych wrzucił ją do śmieci.

– Spoczywaj w pokoju, Jonie Cartwrightcie Trzydziesty Czwarty – powiedział z powagą George.

Wszystkie swoje szczury nazywali Jon Cartwright, a fakt ten doprowadzał oryginalnego Jona Cartwrighta do szału. Simon uśmiechnął się na myśl o tym, przypominając sobie, jak czoło denerwująco pewnego siebie kumpla z roku czerwienieje z gniewu i zaczynają mu pulsować żyłki na charakterystycznie

umięśnionej szyi. Może George miał rację.

Może pewnego dnia zatęskni nawet za szczurami.

* * *

Simon nigdy nie wkładał dużego wysiłku w wyobrazenie sobie dnia ukończenia Akademii, już nie wspominając o poprzedzającym go wieczorze. Jak bal na zakończenie roku i zjazd absolwentów były to rytuały wymyślone dla zupełnie innego rodzaju nastolatków – związanych ze szkołą sportowców noszących kurtki szkolnych drużyn sportowych i cheerleaderek – postaci, które znał głównie z kiepskich filmów. Nie były mu pisane imprezy z beczką piwa, łzawe pożegnania ani nierozsądny flirt napędzany nostalgią i tanim piwem. Dwa lata temu, gdyby w ogóle o tym pomyślał, zakładałby, że spędzi ten wieczór jak większość wieczorów na Brooklynie – z Erikiem i resztą chłopaków w Java Jones, gdzie popijaliby kawę i wymyślali nazwy dla zespołu (Martwy Szczur z Tenisówki, rozważał nawykowo Simon. Albo może Szczurzy Pogrzeb).

Oczywiście to było jeszcze w czasach, kiedy zakładał, że szkoła średnia będzie prowadziła do college'u, który z kolei będzie prowadził do kariery rockowej... Albo przynajmniej względnie fajnej pracy we względnie fajnej wytwórni płytowej. Zanim dowiedział się, że istnieją takie rzeczy jak demony, zanim dowiedział się, że istnieje rasa obdarzonych supermocami wojowników o anielskiej krwi, którzy przysięgli demonom wieczną walkę, i zdecydowanie zanim zgłosił się na ochotnika, żeby zostać jednym z nich.

Zamiast więc w kafejce Java Jones, znalazł się w świetlicy Akademii, gdzie mrużył oczy w blasku świec, kichał z powodu zbierającego się od dwóch wieków kurzu i robił uniki przed onieśmielającymi spojrzeniami dawnych szlachetnych Nocnych

Łowców z portretów, których miny zdawały się mówić: „Jak możesz sobie wyobrazić, że mógłbyś stać się jednym z nas?”. Zamiast Erica, Matta i Kirka, których znał od przedszkola, był z przyjaciółmi, których poznał raptem dwa lata temu; jeden z nich darzył szczury szczególnym uczuciem, a drugi dzielił z nimi imię i nazwisko. Zamiast spekulować na temat swojej przyszłości w rock and rollu, przygotowywali się do życia wypełnionego walką z wielowymiarowym złem. Pod warunkiem, że przeżyją koniec szkoły.

Czego bynajmniej nie można było spokojnie zakładać.

– Myślicie, że jak to będzie wyglądać? – zapytała teraz Marisol Garza, która usadowiła się pod umięśnionym łapskiem Jona Cartwrighta i robiła wrażenie, jakby było jej tam wygodnie. – Mam na myśli ceremonię. Jak myślicie, co będziemy musieli zrobić?

Jon podobnie jak Julie Beauvale i Beatriz Mendoza wywodzili się z wielowiekowych rodów Nocnych Łowców. Dla nich jutrzejszy dzień będzie dniem jak każdy inny, oficjalnym pożegnaniem z uczniowskim życiem. Końcem treningu i początkiem walki.

Jednakże dla George’a, Marisol, Simona, Sunila Sadasivana oraz garstki innych przyziemnych uczniów jutrzejszy dzień będzie dniem Wstąpienia.

Nikt nie wiedział właściwie, co to znaczy – Wstąpienie. Już nie wspominając o tym, co się z tym wiąże. Bardzo niewiele im powiedziano: że napiją się z Kielicha Anioła. Że wypiją – jak pierwszy z rasy wojowników, Jonathan Nocny Łowca – łyk krwi anioła. Że – jeśli szczęście będzie im sprzyjać – przemienią się od razu w prawdziwych, pełnej krwi Nocnych Łowców. Że na zawsze pożegnają się z życiem Przyziemnych i złożą przysięgę nieulekłej służby ludzkości.

Albo – jeśli nie będą mieli szczęścia – umrą natychmiastową i prawdopodobnie makabryczną śmiercią.

To nie do końca skłaniało do wieczornego świętowania.

– Ciekawi mnie, co jest w Kielichu – powiedział Simon. – Nie myślicie, że to prawdziwa krew, co?

– To nie twoja specjalność, Lewis? – zadrwił Jon.

George westchnął.

– Ostatni durny dowcip Jona na temat wampirów.

– Nie liczyłbym na to – mruknął Simon.

Marisol walnęła Jona w ramię.

– Przymknij się, idioto – powiedziała, ale zdaniem Simona zabrzmiało to raczej czule.

– Założę się, że to woda – powiedziała Beatriz, która zawsze próbowała pogodzić przyjaciół. – Woda, a wy macie udawać, że to krew, albo woda, która w Kielichu zamienia się w krew, czy coś takiego.

– To nieważne, co jest w Kielichu – orzekła jak zwykle przemądrzałym tonem Julie, chociaż ewidentnie nie wiedziała więcej niż pozostali. – Kielich jest magiczny. Pewnie moglibyście napić się z niego keczupu i nadal to by podziałało.

– W takim razie mam nadzieję, że to będzie kawa – odezwał się Simon i tym razem to on westchnął tęsknie. Akademia była strefą wolną od kofeiny. – Byłbym o wiele lepszym Nocnym Łowcą, gdybym dostał Wstąpienia solidnie nafaszerowany kofeiną.

– Sunil podobno słyszał, że to woda z jeziora Lyn – rzuciła z powątpiewaniem Beatriz.

Simon miał nadzieję, że Beatriz słusznie w to nie dowierza. Jego ostatnie zetknięcie się z wodą z Lyn było niepokojące, ujmując to oględnie. A zważywszy, że pewien nieokreślony procent Przyziemnych umierał podczas Wstąpienia, uznał, że Kielich nie potrzebuje dodatkowej pomocy w wykańczaniu kandydatów.

– A gdzie właściwie jest Sunil? – zapytał Simon.

Właściwie nie zaplanowali tego wieczornego spotkania, ale

Akademia oferowała ograniczony wybór rozrywek, chyba że komuś marzyło się zostać przypadkiem zamkniętym w lochach albo zasadzić się na ogromnego magicznego ślimaka, który podobno pełzał po korytarzach przed świtem. W większość wieczorów przez ostatnie dwa miesiące Simon i jego przyjaciele zbierali się w świetlicy i rozmawiali o przyszłości. Simon spodziewał się, że tego wieczoru będzie tak samo.

Marisol, która najlepiej znała Sunila, wzruszyła ramionami.

– Może rozważa swoje „możliwości”. – Narysowała cudzysłów w powietrzu przy ostatnim słowie.

To doradziła dziekan Penhallow przyziemnym uczniom na ten ostatni wieczór, zapewniając, że to żaden wstyd, jeśli w ostatniej chwili się wycofają.

– To upokorzenie. Dyshonor na całe życie z powodu własnego tchórzostwa i poczucie winy z powodu zmarnowania naszego cennego czasu – warknął wtedy na nich Scarsbury, a kiedy dziekan rzuciła mu pełne dezaprobaty spojrzenie, dodał – ale owszem, to żaden wstyd.

– A dlaczego nie miałyby zastanowić się nad możliwościami? – zapytała Julie. – Wszyscy powinniście się zastanowić, nie? To nie jest to samo, co pójście do szkoły lekarskiej i złożenie przysięgi Hipokryty, czy coś w tym stylu. Potem nie można już zmienić zdania.

– Po pierwsze, to przysięga Hipokratesa – powiedziała Marisol.

– A poza tym to szkoła medyczna – wtrącił Jon, nie kryjąc dumy. Marisol uczyła go o życiu Przyziemnych. Wbrew jego woli, a w każdym razie tak to przedstawiał Jon.

– Po drugie, dlaczego uważasz, że ktoś z nas chciałby zmienić zdanie? – zapytała Marisol. – Ty zamierzasz zmienić zdanie i przestać być Nocnym Łowcą?

Ta sugestia uraziła Julie.

– Ja jestem Nocnym Łowcą. Równie dobrze mogłabyś zapytać, czy zamierzam zmienić zdanie na temat pozostania przy życiu.

– Dlaczego więc uważasz, że w naszym przypadku jest inaczej?
– dopytywała się Marisol.

Była od nich wszystkich młodsza o dwa lata i niższa o kilka cali, ale Simon czasem uważał, że jest z nich najdzielniejsza. W walce z pewnością stawiałby na nią. (Marisol świetnie walczyła i jeśli zachodziła taka potrzeba, potrafiła uderzyć poniżej pasa).

– Julie nie miała na myśli niczego złego – wtrąciła łagodnie Beatriz.

– Oczywiście – dodała szybko Julie.

Simon wiedział, że to prawda. Julie czasem wbrew sobie odzywała się jak nienawidząca Przyziemnych snobka, tak samo jak Jon czasem wbrew sobie zachowywał się jak... Cóż, jak dupek. Tacy właśnie byli i Simon zdał sobie sprawę, że z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nie chciałby ich zmienić. Byli jego przyjaciółmi na dobre i na złe. Przez dwa lata razem stawiali czoło wielu niebezpieczeństwom: demonom, faerie, Delaneyowi Scarsbury'emu, „jedzeniu” w szkolnej jadalni. Byli prawie jak rodzina, zdał sobie sprawę Simon. Nie zawsze ich lubisz, ale wiesz, że jak przyjdzie co do czego, będziesz ich bronić za cenę własnego życia.

Chociaż miał nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

– Dajcie spokój, nie denerwujecie się ani trochę? – zapytał Jon.
– Kto pamięta ostatni raz, kiedy ktokolwiek dokonał Wstąpienia? Jak się nad tym zastanowić, to brzmi zupełnie idiotycznie: jeden łyk z kielicha i bach! Lewis jest Nocnym Łowcą?

– Dla mnie to nie brzmi idiotycznie – odezwała się cicho Julie i wszyscy zamilkli.

Matka Julie została przemieniona w czasie Mrocznej Wojny. Jeden łyk z Piekielnego Kielicha Sebastiana i stała się Mroczną. Była skorupą człowieka, pustym naczyniem wypełniającym złe rozkazy Sebastiana.

Wszyscy wiedzieli, ile jeden łyk z kielicha może uczynić.

George odchrząknął. Nie mógł znieść powagi dłużej niż

trzydzieści sekund; to była jedna z tych rzeczy z ich wspólnego mieszkania, za którymi Simon będzie najbardziej tęsknił.

– Ja w każdym razie jestem całkowicie gotowy przejąć należne mi z urodzenia dziedzictwo – rzucił radośnie. – Myślicie, że stanę się nieznośnie arogancki już po pierwszym łyku, czy będę potrzebował trochę czasu, żeby dogonić Jona?

– To nie jest arogancja, jeśli ma poparcie w faktach – odpowiedział Jon, szczerząc zęby w uśmiechu, i nagle atmosfera wieczoru się poprawiła.

Simon starał się słuchać żartów przyjaciół i nie myśleć o pytaniu Jona o to, czy się nie denerwuje, czy nie powinien rozważyć swoich „możliwości” tego wieczoru.

Jakich możliwości? Jak po dwóch latach w Akademii, po treningach i nauce, po tym, jak raz za razem przysięgał, że chce zostać Nocnym Łowcą, mógłby po prostu się wycofać? Jak mógłby rozczarować w taki sposób Clary i Isabelle... A gdyby to zrobił, czy nadal by go kochały?

Starał się nie myśleć, o ile trudniej byłoby im kochać go (a już na pewno jemu docenić to uczucie), gdyby coś poszło nie tak podczas ceremonii i skończyłby martwy.

Starał się nie myśleć o innych ludziach, którzy go kochali, i o tym, że zgodnie z Prawem Nocnych Łowców będzie musiał przysiąc, że nigdy więcej ich nie zobaczy. O matce. O siostrze.

Na Marisol i Sunila nikt nie czekał w domu, co Simonowi zawsze wydawało się nieznośnie smutne. Może łatwiej było odejść, kiedy nikogo nie zostawiało się za sobą. Z drugiej strony był George, szczęściarz, którego adoptowani rodzice byli Nocnymi Łowcami, nawet jeśli już nie posługiwali się mieczem. Nadal będzie mógł regularnie wracać do domu na niedzielne obiady. Nie będzie musiał wybierać nowego nazwiska.

George droczył się z nim ostatnio, mówiąc, że Simon też nie powinien mieć kłopotu z wyborem nazwiska. „»Lightwood« brzmi całkiem ładnie, nie uważasz?”, chętnie powtarzał. Simon

doszedł do wprawy w udawaniu wtedy głuchego.

Jednakże w głębi ducha i z wypiekami na twarzy myślał sobie: Lightwood... Kto wie? Może pewnego dnia. O ile ośmieli się mieć nadzieję.

Na razie jednak musiał sam wymyślić nazwisko dla siebie jako Nocnego Łowcy. To było równie niezgłębione zadanie jak cała reszta tego procesu.

– Ehm, mogę wejść? – Na oko trzynastoletnia chuda dziewczyna w okularach stanęła w progu.

Simonowi wydawało się, że ma na imię Milla, ale nie był pewien – nowy rocznik w Akademii był tak liczny i tak skłonny do gapienia się na Simona z odległości, że poznał bardzo niewielu uczniów. Ta dziewczyna miała entuzjastyczną, ale skonsternowaną minę Przyziemnej, która nawet po tych wielu miesiącach w Akademii nie mogła uwierzyć, że naprawdę się tu znajduje.

– To miejsce publiczne – odpowiedziała wyniośle Julie, nawet bardziej wyniośle niż zwykle.

Julie uwielbiała rozstawiać po kątach nowe dzieciaki.

Dziewczyna podeszła do nich nerwowo. Simon złapał się na tym, że zastanawia się, jak ktoś taki jak ona wylądował w Akademii, ale zaraz się upomniał. Powinien mieć dość rozumu, żeby nie oceniać ludzi po wyglądzie. Zwłaszcza że sam kiepsko prezentował się, kiedy zjawił się tu dwa lata temu – był tak chudy, że dostał dziewczęcy strój bojowy. „Myślisz jak Nocny Łowca”, zbeształ się w duchu.

To zabawne, że te słowa prawie nigdy nie brzmiały jak komplement.

– Powiedziały, że bym ci to dała – szepnęła dziewczyna i wręczyła złożoną kartkę Marisol, a potem szybko się wycofała.

Simon domyślał się, że Marisol była dla młodszych Przyziemnych w pewnym sensie bohaterką.

– Kto taki? – zapytała Marisol, ale dziewczyna już zniknęła.

Marisol wzruszyła ramionami i rozłożyła kartkę. Mina jej zrzędała w trakcie czytania.

– Co to takiego? – zaniepokoił się Simon.

Marisol pokręciła głową.

Jon wziął ją za rękę, a Simon spodziewał się, że Marisol go zdzieli, ale zamiast tego uściskała mu dłoń.

– To wiadomość od Sunila – powiedziała napiętym, gniewnym głosem. Podała list Simonowi. – Chyba rzeczywiście „rozważył swoje możliwości”.

„Nie dam rady” – napisał w liście. „Wiem, że to pewnie oznacza, że jestem tchórzem, ale nie mogę napić się z Kielicha. Nie chcę umierać. Przepraszam. Pożegnaj ode mnie pozostałych, dobrze? Powodzenia”.

Podawali sobie list, jakby potrzebowali zobaczyć te słowa czarno na białym, zanim w nie uwierzą. Sunil uciekł.

– Nie możemy go winić – orzekła w końcu Beatriz. – Każdy sam podejmuje decyzję.

– Ja mogę. – Marisol się nachmurzyła. – Stawia nas wszystkich w złym świetle.

Simon wątpił, żeby była naprawdę zła. On też był rozgniewany, ale nie dlatego, że Sunil okazał się tchórzem albo ich zdradził. Był zły, ponieważ bardzo starał się nie myśleć o tym, co może się wydarzyć, i że to jego ostatnia szansa, żeby się wycofać, a teraz przez Sunila nie mógł się dłużej powstrzymać. Wstał.

– Muszę się przewietrzyć.

– Potrzebujesz towarzystwa? – zapytał George.

Simon pokręcił głową, wiedząc, że nie urazi tym George’a. To była kolejna rzecz, która czyniła z nich świetnych współlokatorów – wiedzieli, kiedy zostawić drugiego w spokoju.

– Zobaczymy się rano – powiedział.

Julie i Beatriz uśmiechnęły się i pomachały mu na dobranoc, a Jon zsalutował mu kpiarsko. Jednak Marisol nawet na niego nie spojrziała. Simon zastanawiał się, czy uznała, że on będzie

następnym, który ucieknie.

Chciał ją zapewnić, że nie ma takiej możliwości. Chciał przysiąc, że rankiem stanie obok pozostałych w Sali Narad gotowy bez wahania unieść kielich od ust. Tyle że Nocni Łowcy bardzo poważnie traktują przysięgi. Nigdy niczego nie obiecuj, o ile nie masz absolutnej pewności.

Dlatego Simon tylko życzył przyjaciołom dobrej nocy i wyszedł.

* * *

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek ktoś powiedział „Muszę się przewietrzyć” i rzeczywiście miał to na myśli. Pewnie zwykle znaczyło to tylko „Muszę znaleźć się gdzie indziej”. I to właśnie czuł Simon. Kłopot w tym, że żadne miejsce nie wydawało mu się odpowiednie, więc, nie mając lepszego pomysłu, uznał, że wystarczy mu własny pokój. Tam przynajmniej pobędzie sam.

A przynajmniej taki miał plan.

Kiedy wszedł do pokoju, zastał na swoim łóżku dziewczynę. Drobną i rudowłosą, która rozpromieniła się na jego widok.

Ze wszystkich dziwnych rzeczy, jakie przydarzyły się Simonowi w ciągu ostatnich dwóch lat, najdziwniejszy musiał być fakt, że coś takiego – czyli piękne dziewczyny ochoczo wyczekujące na niego w jego pokoju – przestało być szczególnie dziwne.

– Clary – powiedział i objął mocno przyjaciółkę.

Nic więcej nie musiał mówić, bo tak to jest z najlepszymi przyjaciółmi. Wiedziała doskonale, kiedy najbardziej potrzebował się z nią zobaczyć, jaką wdzięczność i ulgę czuł na jej widok, a on nie musiał nic tłumaczyć.

Clary uśmiechnęła się szeroko i schowała stelę z powrotem do kieszeni. Brama, którą stworzyła, nadal migotała na rozpadającej

się kamiennej ścianie. To była zdecydowanie najjaśniejsza rzecz w pokoju.

– Zaskoczony?

– Chciałaś zobaczyć mnie po raz ostatni, nim zamienię się w walczącego z demonami osiłka? – zakpił Simon.

– Wiesz chyba, że Wstąpienie nie będzie jak ukąszenie przez napromieniowanego pająka ani nic z tych rzeczy, prawda?

– Chcesz powiedzieć, że nie będę w stanie przeskakiwać wysokich budynków jednym susem? Nie dostanę własnego Batmobila? W takim razie żądam zwrotu pieniędzy.

– Ale tak całkiem serio...

– Tak całkiem serio, Clary. Wiem, co znaczy Wstąpienie.

Te słowa zaległy ciężko między nimi i jak zwykle Clary usłyszała to, czego on nie powiedział: że to zbyt trudny temat, żeby rozmawiać o nim na poważnie. Na razie żarty to wszystko, na co było go stać.

– Poza tym i bez tego dostatecznie przypominasz osiłka. – Szturchnęła jego bicepsy, które można było niemal uznać za nieźle rozwinięte; sam to dostrzegał. – Jeszcze trochę, a będziesz musiał kupić sobie nowe ciuchy.

– Nigdy! – odparł z oburzeniem i wygładził T-shirt z trzynastoma dziurkami i tak wyblakłym napisem „Przebrałem się za siebie”, że nie dało się go już odczytać. – Nie zabrałaś przypadkiem ze sobą, ehm, Isabelle? – Starał się ukryć nadzieję w głosie.

Trudno uwierzyć, że dwa lata temu wstąpił do Akademii po części po to, żeby uciec przed Clary i Isabelle, od sposobu, w jaki na niego patrzyły – jakby kochały go najbardziej na świecie, a zarazem, jakby utopił im w wannie szczeniaka. Kochały inną wersję jego osoby, której on już nie pamiętał. Ponadto tamta wersja odwzajemniała ich uczucia. Nie wątpił w to, ale tego nie czuł. Stały się dla niego obce. Były przerażającymi i pięknymi nieznajomymi, które chciały, żeby był kimś, kim nie jest.

Miał wrażenie, że to się wydarzyło w innym życiu. Simon nie wiedział, czy kiedykolwiek odzyska wspomnienia, ale mimo to w jakiś sposób odnalazł drogę powrotną do Clary i Isabelle. Odnalazł najlepszą przyjaciółkę, która była dla niego jak druga połowa i pewnego dnia zostanie jego *parabatai*. I odnalazł Isabelle Lightwood, cud w ludzkiej formie, która mówiła „kocham cię” za każdym razem, gdy go widziała, i – co było niepojęte – mówiła to szczerze.

– Chciała się przenieść – odpowiedziała Clary – ale musiała zająć się faerie w Chinatown, jakaś sprawa z zupą z pierożkami i facetem o koziej głowie. Nie zadawałam zbyt wielu pytań i... – Uśmiechnęła się znacząco do Simona. – Przestałeś słuchać przy „zupie z pierożkami”, co?

Simonowi zaburczało w brzuchu dość głośno, żeby nie musiał odpowiadać.

– No dobra, może uda nam się kupić coś dla ciebie po drodze – odparła Clary. – A przynajmniej ze dwa kawałki pizzy i latte.

– Nie drażnij się ze mną, Fray. – Simon był ostatnio przewrażliwiony w kwestii pizzy, a ściślej jej braku. Podejrzewał, że niedługo jego żołądek odmówi posłuszeństwa w ramach protestu. – Po drodze dokąd?

– Och, zapomniałam ci powiedzieć. Po to tu jestem. – Clary wzięła go za rękę. – Przyszłam zabrać cię do domu.

* * *

Simon stał na chodniku i wpatrywał się w dom matki. W brzuchu mu burczało. Po podróży Bramą zawsze miał ochotę wyrzucić z siebie kawałek jelita, ale tym razem nie mógł winić magii. A w każdym razie nie była to tylko jej wina.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – spytał. – Jest późno.

– Jest jedenasta wieczór – powiedziała Clary. – Wiesz, że nie śpi.

A nawet jeśli śpi, to wiesz, że...

– Wiem.

Matka chciałaby go zobaczyć. Tak samo jak siostra, która według Clary przyjechała na weekend do domu, bo ktoś, przypuszczalnie pewien rudzielec pełen najlepszych intencji, który miał numer jej komórki, powiedział jej, że Simon wpadnie z wizytą.

Oparł się na chwilę o Clary, która chociaż drobna, wytrzymała jego ciężar.

– Nie wiem, jak to zrobić – powiedział. – Nie wiem, jak się z nimi pożegnać.

Matka Simona myślała, że syn jest w szkole wojskowej. Miał wyrzuty sumienia z powodu okłamywania jej, ale wiedział, że nie ma wyboru. Aż za dobrze zdawał sobie sprawę, co by się stało, gdyby zaryzykował i wyznał matce zbyt wiele prawdy. Jednak tym razem chodziło o coś innego. Prawo Nocnych Łowców zabraniało mu powiedzieć jej o Wstąpieniu i nowym życiu. Prawo zabraniało mu także kontaktów z nią od chwili, kiedy stanie się Nocnym Łowcą. I chociaż nic nie zabraniało mu pojawić się w Brooklynie i pożegnać z matką na zawsze, to Prawo nie pozwalało mu wyjawiać powodów pożegnania.

Sed lex, dura lex.

Twarde Prawo, ale Prawo.

Prawo jest do bani, pomyślał Simon.

– Chcesz, żebym z tobą weszła? – zapytała Clary.

Niczego nie pragnął bardziej, ale coś mu mówiło, że to jedna z tych spraw, które musi załatwić sam.

Pokręcił głową.

– Dzięki. Za to, że mnie tu zabrałaś, za to że wiedziałaś, że tego potrzebuję. Za... za wszystko.

– Simon...

Clary zawahała się, a ona nigdy się nie waha.

– Co jest?

Westchnęła.

– Wszystko, co ci się przydarzyło, wszystko...

Urwała na dość długo, żeby pomyślał, jak wiele rzeczy owo „wszystko” obejmuje: przemianę w szczura, a potem w wampira, odnalezienie Isabelle, uratowanie świata kilka razy (a przynajmniej tak mu powiedziano), zamknięcie w klatce i tortury z rąk najróżniejszych nadnaturalnych istot, zabijanie demonów, stawienie czoła aniołowi, utratę wspomnień, a teraz stanięcie na progu jedyne go domu, jaki znał, który szykował się opuścić na zawsze.

– Nie mogę przestać myśleć, że to wszystko przeze mnie – dokończyła cicho Clary. – Że to ja jestem powodem. I...

Przerwał jej, nim zapędziłaby się za daleko, bo nie mógł znieść myśli, że Clary uważa, że powinna go przeprosić.

– Masz rację – powiedział. – Ty jesteś powodem. Wszystkiego. – Pocałował ją delikatnie w czoło. – I dlatego ci dziękuję.

* * *

– Na pewno nie chcesz, żebym ci to podgrzała? – zapytała matka Simona, kiedy wkładał kolejną kąpiastą łyżkę zimnego makaronu ziti do ust.

– Hmm? Co? Nie, nie trzeba.

Danie smakowało lepiej niż dobrze. Pikantny pomidor, świeży czosnek, ostra papryka, ciągnący się ser. Smakowało to naprawdę lepiej, niż miały prawo smakować resztki makaronu z pizzerii na rogu. Smakowało jak prawdziwe jedzenie, przez co już plasowało się parę poziomów wyżej od tego, co jadł przez ostatnie kilka miesięcy. Nie chodziło jednak tylko o to. Jedzenie na wynos od Giuseppe to była tradycja Simona i jego matki. Po śmierci ojca i wyjeździe siostry do szkoły zostali tylko we dwoje. Poniewierali się po mieszkaniu, które nagle wydawało się

ogromne, gdy zostali tylko oni i zatarcili nawyk codziennych wspólnych posiłków. Łatwiej było wziąć coś do jedzenia, kiedy się zgłodniało, wychodząc z domu albo zaraz po powrocie – matka podgrzewała sobie gotowe dania po pracy, Simon porywał trochę zupy pho albo kanapkę przed wyjściem na próbę. Może to było łatwiejsze niż patrzenie co wieczór na puste krzesła przy stole. Jednak ustanowili zasadę, że będą jedli razem przynajmniej raz w tygodniu – spaghetti od Giuseppe albo czosnkowe bułeczki w pikantnym sosie.

Te zimne resztki smakowały jak domowe jedzenie, jak rodzina. Simon nie mógł znieść myśli o matce siedzącej samotnie w mieszkaniu tydzień po tygodniu i jedzącej w samotności.

Dzieci powinny dorosnąć i odejść, powiedział sobie. Nie robił niczego niewłaściwego. Nie robił niczego, czego nie powinien.

Jednak pewna jego część się zastanawiała. Możliwe, że dzieci powinny opuścić dom, ale nie na zawsze, nie w taki sposób.

– Siostra próbowała poczekać na ciebie – powiedziała matka – ale przez tydzień zakuwała do egzaminów. Przysnęła na kanapie przed dziewiątą.

– Może powinniśmy ją obudzić.

Pokręciła głową.

– Niech biedaczyna się prześpi. Zobaczycie się rano.

Nie powiedział jeszcze matce, że nie zostaje na noc. Pozwolił jej jednak w to uwierzyć, co właściwie spowodowało się do kolejnego kłamstwa.

Usiadła na krześle obok niego i nabiła na widelec jeden makaron.

– Nie mów mojej diecie – rzuciła teatralnym szeptem i zjadła rurkę.

– Mamo, przyjechałem, żeby... Chciałem o czymś z tobą porozmawiać.

– To zabawne, bo właściwie... Ja też chciałam o czymś z tobą porozmawiać.

– Tak? Świetnie! Mów pierwsza.

Matka westchnęła.

– Pamiętasz Ellen Klein? Twoją nauczycielkę ze szkoły hebrajskiej?

– Jak mógłbym zapomnieć? – zapytał cierpko Simon.

Pani Klein była zmorą jego życia od drugiej klasy do piątej. W każdy wtorek po szkole toczyli cichą wojnę z powodu nieszczęsnego wypadku na placu zabaw, kiedy Simon niechcący stracił jej perukę i wrzucił do gołębiego gniazda. Przez następne trzy lata pani Klein próbowała zniszczyć mu życie.

– Wiesz, że to tylko miła starsza pani, która starała się dopilnować, żebyś zaczął uważać – powiedziała matka ze znaczącym uśmiechem.

– Miłe starsze panie nie wyrzucają twoich kart z Pokemonami do śmieci.

– Wyrzucają, kiedy wymieniasz je na kiduszowe wino za synagogą.

– No co ty!

– Matka zawsze wie swoje.

– No dobra. W porządku. Ale to był bardzo rzadki Pokemon Mew. Jedyne Pokemon, który...

– W każdym razie – przerwała mu matka – córka Ellen Klein dopiero co pobrała się ze swoją dziewczyną, uroczą kobietą, polubiłbyś ją, wszyscy ją lubimy. Niestety...

Simon przewrócił oczami.

– Niech zgadnę: pani Klein okazała się oszalałym homofonem.

– Nie, nie chodzi o to. Ta dziewczyna jest katoliczką. Ellen wpadła w szal, nie poszła na ślub, a teraz ubiera się na czarno i wszystkim mówi, że jej córka równie dobrze mogłaby umrzeć.

Simon otworzył usta, żeby triumfalnie obwieścić, że od początku miał rację, bo pani Klein jednak jest okropną sekutnicą, ale matka uniosła palec, żeby go powstrzymać.

Najwyraźniej matki zawsze wiedzą.

– Tak, tak, to straszne, ale nie mówię ci tego po to, żeby utwierdzić cię w twojej racji. Mówię ci... – Splotła palce nagle zdenerwowana. – Ogarnęło mnie przedziwne uczucie, kiedy usłyszałam tę historię, jakbym wiedziała, że ona tego pożałuje, bo ja sama tego żałowałam. Prawda, że to dziwne? – Zaśmiała się nerwowo, ale bez wesołości. – Mieć wyrzuty sumienia z powodu czegoś, czego nie zrobiłam? Nie mam pojęcia dlaczego, ale mam wrażenie, że zdradziłam cię w jakiś straszliwy sposób, którego nie pamiętam.

– Oczywiście, że nie zdradziłeś mnie w żaden sposób. To śmieszne.

– Pewnie, że to śmieszne. Nigdy bym tak nie postąpiła. Rodzic powinien kochać swoje dziecko bezwarunkowo. – Jej oczy zaszkliły się od łez. – Wiesz, jak cię kocham, prawda? Bezwarunkowo?

– Oczywiście, że wiem.

Powiedział to z przekonaniem, bo rzeczywiście w to wierzył. Tyle że to było jeszcze jedno kłamstwo. Ponieważ w poprzednim życiu, tym które usunięto z ich umysłów, matka rzeczywiście go zdradziła. Powiedział jej prawdę, że zamieniono go w wampira, a ona wyrzuciła go z domu. Powiedziała mu, że już nie jest jej synem. Że jej syn nie żyje. Pokazała im obojgu, że jej miłość ma swoje granice.

Nie przypominał sobie tego, ale na głębszym poziomie pamiętał tamto uczucie – ból, poczucie straty, zdrady. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ona też może to pamiętać.

– To niemądre. – Otarła łzę i nieco się otrząsnęła. – Nie wiem, dlaczego tak się tym nakręcam. Po prostu... Po prostu czułam, że muszę ci to powiedzieć, a ty zjawiłeś się, jakby to było pisane, i...

– Mamo.

Simon ściągnął matkę z krzesła, obejmując ją mocno. Nagle wydała mu się taka drobna. Pomyślał, jak ciężko pracowała przez wszystkie te lata, żeby go chronić, i że on zrobiłby wszystko, żeby

chronić ją. Teraz był inną osobą niż dwa lata temu, innym Simonem niż ten, który wyznał coś matce i został wyrzucony z domu. Jego matka też się zmieniła. Może podjęcie takiego wyboru raz wystarczy, żeby mama nigdy więcej tego nie zrobiła; może nadszedł czas wybaczyć tę zdradę, której żadne z nich tak do końca nie pamięta.

– Wiem, mamo. Też cię Kocham.

Odsunęła się wtedy na tyle, żeby spojrzeć mu w oczy.

– A ty? Co chciałeś mi powiedzieć?

Och, nic wielkiego. Dołączam do nadnaturalnego kultu walczących z demonami wojowników, którzy zabraniają mi kontaktów z tobą. Całuski, pa.

Nie brzmiało to najlepiej.

– Powiem ci rano – odpowiedział. – Wyglądasz na wyczerpaną.

Uśmiechnęła się. Zmęczenie malowało się na jej twarzy.

– Rano – powtórzyła. – Witaj w domu.

– Dzięki – odpowiedział i jakimś cudem głos nie ugrzązł mu w gardle.

Począł, aż matka zniknie za drzwiami sypialni. Począł, aż rozlegnie się jej ciche pochrapywanie. Potem napisał liścik, w którym przeproszał, że musi tak nagle wyjechać. Bez pożegnania.

Jego siostra też pochrapywała, chociaż tak samo jak matka zaprzeczała, że jej się to przydarza. Kiedy siedział bardzo cicho, słyszał ją nawet w kuchni. Mógłby ją obudzić, gdyby chciał, i pewnie mógłby jej powiedzieć prawdę albo jakąś jej wersję. Rebecę można było zaufać – nie tylko, że dochowa tajemnicy, ale także, że ją zrozumie. Mógłby zrobić to, po co się zjawiał, co powinien zrobić – pożegnać się, powiedzieć jej, żeby kochała i chroniła matkę za nich oboje.

– Nie.

Powiedział to cicho, ale w pustej kuchni słowo rozległo się echem.

Prawo było twarde, ale pełne luk. Czy Clary go tego nie nauczyła? Istnieli Nocni Łowcy, którzy odkryli sposób, żeby zachować przyziemnych bliskich w swoim życiu. Simon sam był tego dowodem. Może dlatego właśnie Clary go tu przeniosła. Nie po to, żeby się pożegnał, ale żeby zrozumiał, że nie jest w stanie. Nie zdoła.

Nie znikam na zawsze, obiecał w myślach matce i siostrze, gdy wymyślał się z mieszkania. Zapewniał siebie, że wyjście bez słowa wyjaśnienia nie jest tchórzostwem. Że znajdzie rozwiązanie. I chociaż nikt nie mógł docenić jego nienagannego akcentu Schwarzeneggera, złożył na głos obietnicę: „Wróćę”.

* * *

Clary powiedziała, żeby do niej zadzwonił, kiedy będzie gotowy wracać do Akademii, ale jeszcze nie był. To było dziwne – następnego dnia nic nie przeszkodzi mu w powrocie do Nowego Jorku na dobre. Po Wstąpieniu naprawdę zostanie Nocnym Łowcą. Skończy się szkoła, skończą się misje treningowe, długie dni i noce w Idrisie bez porannej kawy. Niewiele się zastanawiał, co będzie potem, ale wiedział, że wróci do miasta i zatrzyma się w Instytucie przynajmniej na jakiś czas. Nie było powodu tęsknić za Nowym Jorkiem, kiedy był o krok od powrotu do niego na stałe.

Tyle że nie był do końca pewien, kim będzie, kiedy wróci po Wstąpieniu. O ile przeżyje, o ile nie stanie się nic strasznego po napiciu się z Kielicha Anioła.

Co tak naprawdę będzie znaczyło zostanie Nocnym Łowcą? Będzie silniejszy i szybszy, tyle już wiedział. Będzie w stanie nosić runy na skórze, przenikać czary ochronne bez pomocy czarownika. Wiedział mnóstwo na temat tego, co będzie potrafił, ale nie miał najmniejszego pojęcia, co będzie czuł. Kim się stanie

jako Nocny Łowca. Oczywiście nie spodziewał się, że jeden łyk z magicznego pucharu natychmiast zamieni go w egocentrycznego, nadnaturalnie przystojnego, szaleńczo brawurowego snoba jak... jak niemal wszyscy Nocni Łowcy, których znał i kochał. Nie spodziewał się też, że przemiana w Nocnego Łowcę automatycznie sprawi, że zacznie pogardzać D&D, Star Trekiem, całą techniką i popkulturą, które nastały po XIX wieku. Jednak kto mógł mieć pewność?

Nie chodziło też o zdumiewającą przemianę z człowieka w anielskiego wojownika. Zapewniono go, że najpewniej odzyska wszystkie wspomnienia po Wstąpieniu. Wszystkie wspomnienia oryginalnego Simona, „prawdziwego Simona”, który – jak z ogromnym wysiłkiem przekonywał ludzi – przepadł raz na zawsze, zaleją z powrotem jego umysł. To go powinno ucieszyć, ale złapał się na tym, że dość zazdrośnie strzeże teraz praw do swojego umysłu. A jeśli tamten Simon, który uratował świat i w którym zakochała się Isabelle, nie będzie szczególnie przypominał obecnego Simona? A jeśli napije się z Kielicha i znowu straci to, kim jest?

Głowa go rozboleła od rozmyślenia o sobie jak o tylu różnych ludziach.

Chciał przeżyć jeszcze jedną noc w mieście jako ten Simon – krótkowzroczny, kochający mangę Przyziemny.

I chciał spróbować pierożków w zupie.

Powędrował Flatbush, rozkoszując się znajomymi hałasami Nowego Jorku nocą – syrenami, wierceniem na budowie, klaksonami na ulicach wraz z nieco mniej znajomym poszczekiwaniem na gołębie zaczarowanych ogarów faerie. Przekroczył Most Manhattański. Metal zadzwonił mu pod nogami, kiedy w dole przejechało z hukiem metro. Światła dzielnicy finansowej błyszczały wśród mgły. Zanim jeszcze dowiedział się o demonach i Podziemnych, zawsze uważał, że Nowy Jork jest pełen magii. Może dlatego tak łatwo przyszło mu

zaakceptowanie istnienia Świata Cieni – w jego mieście wszystko było możliwe.

Most doprowadził go prosto do Chinatown. Kiedy zajrzał do ulubionej knajpki i wsunął łapczywie porcję pierożków na wynos, myślami powędrował do Isabelle. Zastanawiał się, czy jest gdzieś w okolicy i smaga złoczyńców swoim biczem z elektrum. To mu się nie mieściło w głowie – jak się nad tym zastanowić, to zasadniczo umawiał się z superbohaterką.

Oczywiście kłopot z umawianiem się z superbohaterami polegał na tym, że nie można ich poprosić, żeby rzucili na chwilę ratowanie świata, bo masz ochotę na nieoczekiwaną randkę. Simon szedł przed siebie, rozkoszując się pulsem nocnego miasta, wędrując bez celu dosłownie i myślami. A przynajmniej myślał, że idzie bez celu, dopóki nie stanął w okolicy znajomej przecznicy przy Avenue D, za małym sklepikiem spożywczym, gdzie mleko zawsze było kwaśne, ale gdzie sprzedawca dorzucał darmową kawę do porannego pączka, jeśli wiedziałeś, że trzeba o to poprosić.

Chwileczkę, skąd ja to wiem? – pomyślał Simon. Zaraz za pytaniem nadeszła odpowiedź. Wiedział to, ponieważ mieszkał tutaj w swoim poprzednim, zapomnianym życiu. On i Jordan Kyle mieszkali razem w wałącym się budynku z czerwonej cegły na rogu. Wampir i wilkołak w jednym mieszkaniu. To brzmiało jak początek kiepskiego żartu, ale jedynym kiepskim żartem był fakt, że Simon prawie tego nie pamiętał.

A Jordan nie żył.

Uderzyło go to teraz niemal tak mocno, jak kiedy o tym pierwszy raz usłyszał – Jordan nie żyje. Nie tylko Jordan. Raphael nie żył, brat Isabelle, Max, nie żył. Brat Clary, Sebastian, nie żył. Siostra Julie. Dziadek Beatriz, jej ojciec i brat, ojciec Juliana Blackthorna, rodzice Emmy Carstairs. Wszyscy nie żyli, a to tylko ci, o których mu powiedziano. Ilu jeszcze ludzi, na których mu zależało albo na których zależało tym, których kochał, zginęło

w tej czy innej wojnie Nocnych Łowców? Nadal był nastolatkiem, nie powinien znać aż tak wielu zmarłych osób.

I jeszcze ja, pomyślał nagle. Nie zapominajmy o tym.

Bo to prawda, zgadza się? Przed życiem wampira była śmierć. Zimna, bezkrwista, podziemna.

A potem przyszło zapomnienie i to też była swoista śmierć.

Simon nie był jeszcze Nocnym Łowcą, a już tak wiele odebrano mu w życiu.

– Simon. Tak myślałam, że cię tu znajdę.

Simon odwrócił się i przypomniał sobie, że mimo licznych strat były też ogromne zyski.

– Isabelle – szepnął, a potem przez jakiś czas mieli zbyt zajęte usta, żeby rozmawiać.

* * *

Wrócili do mieszkania Magnusa i Aleca, którzy wybrali się z dzieckiem na wakacje na Bali. A to oznaczało, że Simon i Isabelle mieli mieszkanie tylko dla siebie.

– Na pewno możemy tu pobyc? – zapytał Simon, rozglądając się nerwowo po mieszkaniu.

Kiedy ostatnim razem tu był, wystrój nawiązywał po części do Studia 54, a po części do burdelu – mnóstwo kul dyskotekowych, aksamitnych zasłon, lusterek umieszczonych w potwornych miejscach. Teraz mieszkanie było zasypane produktami z „Babies’R’Us” – wszędzie wałały się kocyki, pieluszki, zabawki wieszane nad łóżeczkami, pluszowe króliczki.

Nadal nie mógł uwierzyć, że Magnus Bane jest czyimś tatą.

– Na pewno – odpowiedziała Isabelle, zdejmując jednym zręcznym ruchem sukienkę i odsłaniając gładką, bladą skórę. – Ale jeśli chcesz wyjść...

– Nie – odpowiedział Simon, z trudem łapiąc oddech, żeby coś

powiedzieć. – Zdecydowanie nie. To świetne miejsce. Bardzo dobre.

– W takim razie. – Isabelle zrzuciła rodzinę pluszowych kociąt z kanapy, a potem wyciągnęła się na niej jak bardzo niebezpieczny i bardzo zadowolony z siebie kot. Spojrzała znacząco na koszulkę Simona, którą nadal miał na sobie.

– Cóż. Wobec tego. – Simon stanął nad Isabelle, nie bardzo wiedząc, co teraz.

– Simon.

– Tak?

– Patrzę znacząco na twoją koszulkę.

– Yhm.

– Którą nadal masz na sobie.

– Ach, racja.

Zajął się tym. Rzucił koszulkę na kanapę obok Isabelle.

– Simon.

– Tak? Ach, racja.

Pochylił się do Isabelle i przyciągnął ją do pocałunku, którym się rozkoszował przez jakieś trzydzieści sekund, zanim wyplątała się z jego objęć.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Ty mi powiedz. Ja, twoja niewiarygodnie seksowna dziewczyna, której nigdy nie widzisz, wyciągam się przed tobą półnaga, a ty wyglądasz, jakbyś wolał obejrzeć mecz baseballu.

– Nie cierpię baseballu.

– No właśnie. – Isabelle usiadła, ale na szczęście nie ubrała się z powrotem. Na razie. – Wiesz, że możesz mi powiedzieć o wszystkim, prawda?

Simon skinął głową.

– Zatem jeśli hipotetycznie trochę się denerwujesz jutrzejszym Wstąpieniem i zastanawiasz się, czy nadal chcesz to zrobić, to możesz mi o tym powiedzieć.

– Hipotetycznie.

– Zasugerowałam pierwszy lepszy przypadkowy temat. Możemy porozmawiać o „Awatarze: legendzie Tanga”, jeśli chcesz.

– To był Aanga – powiedział Simon, powstrzymując uśmiech – i kocham cię, chociaż nie masz pojęcia o mnóstwie rzeczy.

– A ja kocham cię, chociaż jesteś Przyziemnym. Nawet jeśli pozostaniesz Przyziemnym. Wiesz to, prawda?

– Ehm... – Łatwo jej było tak mówić i pomyślał, że pewnie powiedziała to szczerze, co jeszcze nie znaczyło, że to jest prawda. – Myślisz, że nadal byś mnie kochała? Naprawdę?

Isabelle parsknęła poirytowana.

– Simonie Lewisie, zapomniałeś, że byłeś Przyziemnym, kiedy zaczęłam się z tobą spotykać? I to raczej mizernym Przyziemnym bez krztyny stylu, pozwolę sobie zauważyć. A potem byłeś wampirem i nadal się z tobą spotykałam. Potem znowu byłeś Przyziemnym, ale tym razem z amnezją. Mimo to nadal z niewyjaśnionych powodów zakochałam się w tobie od nowa. Dlaczego myślisz, że w twoim wypadku stawiam jeszcze jakiegokolwiek wymagania?

– Ehm, dzięki. Chyba.

– „Dziękuję” to rzeczywiście prawidłowa odpowiedź. A ponadto: „Kocham cię, Isabelle, i będę cię kochać, nawet kiedy stracisz pamięć, zapuścisz wąsy albo coś takiego”.

– To oczywiste. – Pociągnął ją za podbródek. – Chociaż przy brodzie chyba spasuję.

– To jasne. – Znowu spojrzała poważnie. – Wierzysz mi, prawda? Nie możesz tego robić dla mnie.

– Nie robię tego dla ciebie – odpowiedział Simon i mówił prawdę. Może i poszedł do Akademii po części z powodu Isabelle, ale został tam z własnego wyboru. Kiedy dokona Wstąpienia, to nie dlatego, że musi jej coś udowodnić. – Ale... Czy gdybym się wycofał, czego nie zrobię, ale gdybym jednak się wycofał, czy nie wyszedłbym na tchórza? To nic, że spotykasz się z Przyziemnym,

znam cię, Izzy. Niegdyś nie spotykałybyś się z tchórzem.

– A ty, Simonie Lewisie, nie potrafiłbyś być tchórzem. Nawet gdybyś się postarał. Nie jest tchórzostwem dokonanie wyboru, jakie się chce mieć życie. Wybranie tego, co dla ciebie właściwe, może być najodważniejszym, czego możesz dokonać. Jeśli zdecydujesz się być Nocnym Łowcą, będę cię za to kochać. Ale jeśli zdecydujesz się pozostać Przyziemnym, też będę cię za to kochać.

– A jeśli zdecyduję się nie pić z Kielicha Anioła, bo obawiam się, że to mnie zabije? – zapytał Simon. Ulżyło mu, gdy wreszcie powiedział to na głos. – A jeśli to nie ma nic wspólnego z tym, jak chcę spędzić resztę życia? Jeśli po prostu się boję?

– W takim razie jesteś idiotą, bo Kielich Anioła nigdy by cię nie skrzywdził. Wie to samo, co ja: że będziesz niesamowitym Nocnym Łowcą. Krew Anioła nigdy by cię nie skrzywdziła – powiedziała z błyszczącymi żarliwie oczami. – To nie jest możliwe.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Naprawdę.

– Zatem to, że tu jesteśmy i ty, no wiesz...

– Jestem częściowo roznegliżowana i zastanawiam się, dlaczego nadal ucinamy sobie pogaduszki?

– ...nie ma nic wspólnego z faktem, że myślisz, że to może być nasza ostatnia wspólna noc?

To wywołało kolejne poirytowane westchnienie.

– Simon, wiesz, ile razy byłam pewna, że jedno z nas nie przeżyje następnych dwudziestu czterech godzin?

– Kilka razy?

– Kilka – potwierdziła. – I przy żadnej z tych okazji nie uprawialiśmy żadnego rozpaczliwego, pełnego lęku seksu na pożegnanie.

– Czekał... my nie?

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Simon i Isabelle bardzo się

zbliżyli. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej jego zdaniem, chociaż nie bardzo mógł to pamiętać. Przynajmniej na poziomie rozmów. Jeśli chodzi o inny rodzaj bliskości, to pisanie do siebie listów i rozmowy przez telefon nieszczególnie sprzyjały utracie dziewictwa.

I jeszcze ten nieznośny szczegół: Simon nie był do końca pewny, czy nadal ma dziewictwo do stracenia.

Przez cały ten czas za bardzo się wstydził, żeby zapytać.

– Żartujesz sobie? – spytała Isabelle.

Simonowi zapłonęły policzki.

– Nie żartujesz!

– Proszę, nie wściekaj się – powiedział Simon.

Isabelle się roześmiała.

– Nie jestem wściekła. Gdybyśmy uprawiali seks, a ty byś zapomniał, co, nawiasem mówiąc, nie jest możliwe, bez względu na wszelkie demoniczne i niedemoniczne amnezje, to może bym się wściekła.

– Czyli my naprawdę nigdy...?

– Naprawdę nigdy – potwierdziła Isabelle. – Wiem, że tego nie pamiętasz, ale panowało tu pewne zamieszanie z powodu wojny, ludzi, którzy próbowali nas zabić, i takie tam. I jak już powiedziałam, nie uznaję „seksu na pożegnanie”.

Simon miał wrażenie, że losy tej nocy, prawdopodobnie najważniejszej nocy jego młodego i żałośnie niedoświadczonego życia, ważą się właśnie i bardzo bał się powiedzieć coś niewłaściwego.

– To jaki seks uznajesz?

– Moim zdaniem to powinien być początek czegoś. Weźmy na przykład hipotetyczną możliwość: gdyby jutro miało zmienić się całe twoje życie, gdyby to miał być pierwszy dzień reszty twojego życia, to chciałabym być jego częścią.

– Reszty mojego życia.

– Aha.

– Hipotetycznie.

– Hipotetycznie.

Zdjęła mu okulary i pocałowała go mocno w usta, a potem bardzo delikatnie w szyję. Dokładnie tam, gdzie wampir zatopiłby kły, pomyślała pewna jego część. Jednak przede wszystkim myślał: To się stanie.

To się stanie tego wieczoru.

– A przede wszystkim uznaję seks, na który mam ochotę – dodała zwyczajnie Isabelle. – Jak przy wszystkim innym. A mam ochotę. Zakładam, że ty także.

– Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo – odpowiedział szczerze Simon i podziękował Bogu, że krew Nocnych Łowców nie obdarzała ich telepatią. – Powinienem cię ostrzec, że nie, znaczy, nigdy, chciałem powiedzieć, to będzie mój pierwszy raz, więc...

– Przyjdzie ci to naturalnie. – Znowu pocałowała go w szyję, a potem w gardło. A później w pierś. – Obiecuję.

Simon pomyślał o wszystkich okazjach do upokorzenia, jakie się przed nim otwierają. Wiedział, że nie ma najmniejszego pojęcia, co robi, a zwykle, kiedy nie ma pojęcia, co robi, wszystko chrzani. Jazda konna, walka mieczem, zeskakiwanie z drzewa – o wszystkich tych rzeczach ludzie mówili, że przyjdą mu naturalnie, zwykle kończyły się uderzeniami, siniakami i (więcej niż raz!) lądowaniem twarzą w gnoju.

Tyle że żadnej z tych rzeczy nie próbował z Isabelle u boku. Albo z Isabelle w ramionach.

I okazało się, że różnica jest zasadnicza.

* * *

– Dzień dobry! – zaśpiewał Simon, wchodząc przez Bramę do swojej sypialni w Akademii; akurat zdążył jeszcze zobaczyć, jak Julie wymyka się z pokoju.

– Ehm, dzień dobry – wybąkał George spod przykrycia. – Nie byłem pewien, czy wrócisz.

– Czy ja właśnie widziałem...

– Dżentelmen nie mówi o swoich podbojach. – George wyszczerzył zęby w uśmiechu. – A skoro o tym mowa, powinienem zapytać, gdzie byłeś całą noc?

– Nie powinieneś – odpowiedział stanowczo Simon. Podszedł do szafy, żeby znaleźć sobie coś czystego do ubrania i starał się ze wszystkich sił zetrzeć z twarzy gamoniowaty, rozmarzony uśmiezek.

– Ty podskakujesz – rzucił oskarżycielsko George.

– Nieprawda.

– I nucisz – dodał George.

– W żadnym razie.

– Czy to dobry moment, żeby cię powiadomić, że Jon Cartwright Trzydziesty Piąty załatwił swoje potrzeby w twojej szufladzie z T-shirtami?

Tego ranka naprawdę nic nie mogło popsuć Simonowi humoru. Nie, kiedy pamiętał dotyk Isabelle. Skóra go mrowiała. Miał opuchnięte usta. Miał opuchnięte serce.

– Zawsze mogę kupić sobie nowe T-shirty – odparł wesoło Simon.

Pomyślał, że od tej chwili o wszystkim będzie mówił wesoło.

– Moim zdaniem to miejsce w końcu sprawiło, że ci odbiło. – George westchnął nieco przybity. – Wiesz, naprawdę będę tęsknił za tym miejscem.

– Nie rozplączesz się znowu, co? Coś mi się wydaje, że w głębi mojej szuflady rozwija się kolejna rozumna forma szlamu, jeśli szukasz powodu do guli w gardle.

– Jeśli facet ma się przemienić w na poły anielską, nadludzką maszynę do zabijania, to powinien włożyć skarpetki? – zastanawiał się na głos George.

– Byle nie do sandałów – odpowiedział mu szybko Simon.

Randkował z Isabelle tyle miesięcy, że w końcu nauczył się czegoś na temat obuwia. – Nigdy do sandałów.

Ubrali się do ceremonii. Po chwili zastanowienia wybrali stroje, które najbardziej oddawały ich własny styl. W przypadku George'a oznaczało to dzinsy i koszulkę do rugby. W przypadku Simona wyblakły T-shirt z czasów, kiedy jego zespół nazywał się Banda Mścicieli Świnki Morskiej. (Na szczęście ten leżał na podłodze przez tydzień, więc był wolny od szcurzych bobków). A potem zaczęli pakować swoje rzeczy. Akademia nie hołdowała hucznemu świętowaniu. Pewnie to dobrze, pomyślał Simon, skoro podczas ostatniej imprezy dla całej szkoły jeden z uczniów z pierwszego roku wystrzelił niechcący z ogniowej kuszy i podpalił dach. Nie będzie żadnej ceremonii z okazji rozdania dyplomów, pozowania do zdjęć z dumnymi rodzicami, podpisywania księgi pamiątkowej ani podrzucania biretów. Jedynie rytuał Wstąpienia, cokolwiek to znaczyło, i tyle. Koniec szkoły. Początek reszty życia.

– Przecież to nie tak, że nigdy więcej się nie zobaczymy – powiedział nagle George takim tonem, jakby właśnie tego się obawiał.

Simon wracał do Nowego Jorku, a George wybierał się do Instytutu Londyńskiego, gdzie – powiedziano mu to – Lovelace'owie są zawsze mile widziani. Jednak co znaczy dzielący ich ocean, kiedy można się przenieść? Albo przynajmniej wysłać e-maila?

– Pewnie, że nie – odpowiedział Simon.

– Tyle że to już nie będzie to samo.

– Chyba nie.

George zajął się schludnym upychaniem skarpetek do przegródki w walizce, co zaniepokoiło Simona, ponieważ po raz pierwszy od dwóch lat ten chłopak robił coś schludnie.

– Jesteś moim najlepszym kumplem, wiesz? – powiedział George, nie podnosząc wzroku. A potem szybko, jakby chciał

ubiec Simona, dodał: – Nie martw się, wiem, że ja nie jestem twoim najlepszym przyjacielem. Masz Clary. I Isabelle. I tego swojego kumpla z zespołu. Rozumiem. Pomyślałem tylko, że powinieneś wiedzieć.

Na pewnym poziomie Simon już to wiedział. Tyle że nigdy nie zawracał sobie tym głowy – po prostu niewiele myślał o George’u i koniec, kropka. Na tym polegało piękno George’a. Simon nigdy nie musiał o nim myśleć, zachodzić w głowę, co by zrobił albo jakby zareagował. Był po prostu opanowanym, niezawodnym George’em, zawsze po ręką, zawsze pełen radości i gotowy się nią dzielić. Teraz jednak Simon pomyślał o tym, jak dobrze znają się z George’em. Wiedzieli nie tylko o rzeczach poważnych – lękach, które nachodzą człowieka w środku nocy i każą mu rzucić Akademię, nieszczęsnym wzdychaniu Simona za Isabelle, czy jeszcze bardziej nieszczęsnych, choć może nie tak głębokich westchnieniach George’a do większości dziewczyn, z jakimi się zetknął. Wiedzieli także o drobiazgach – George miał alergię na nerkowce, Simon na prace domowe z łaciny, George panicznie bał się dużych ptaków. Z jakiegoś powodu te szczegóły miały większe znaczenie. W ciągu minionych dwóch lat dopracowali się własnego kodu, niemalże języka bez słów. Nie byli całkiem jak *parabatai*, nie do końca byli najlepszymi przyjaciółmi, ale nie byli też czymś gorszym. To nie było coś, co Simon kiedykolwiek chciałby utracić.

– Masz rację, George. Rzeczywiście mam więcej niż dość najlepszych przyjaciół.

George’owi zrzędała mina, ale tak subtelnie, że tylko ktoś, kto go znał tak dobrze jak Simon, mógł to zauważyć.

– Ale jest coś, czego nigdy do tej pory nie miałem – dodał Simon. – I to się zmieniło.

– Mianowicie?

– Brata.

To słowo doskonale tu pasowało. To nie ktoś, kogo wybierasz,

ale ktoś, kogo daje ci los, ktoś, kto w innych okolicznościach może nie spojrzalby na ciebie po raz drugi ani ty na niego. Ktoś, za kogo oddałbyś życie i dla kogo zabiłbyś bez chwili zastanowienia, bo to rodzina. Sądząc po promiennym uśmiechu George'a, to słowo jemu też odpowiadało.

– Strzelimy teraz niedźwiedzia czy jak? – zapytał.

– Myślę, że to nieuniknione.

* * *

Sala Narad była przytłaczająco piękna. Poranne światło wlewało się przez okno w wysoko sklepionym suficie. Przypominała Simonowi zdjęcia Panteonu, ale miało się wrażenie, że to miejsce jest jeszcze starsze niż starożytny Rzym. Robiło wrażenie ponadczasowego.

Uczniowie Akademii skupili się w małych grupkach. Wszyscy byli zbyt podenerwowani i rozkojarzeni, żeby stać ich było na więcej niż beznamietne uwagi na temat pogody. (Która, jak zwykle w Idrisie, była idealna). Marisol posłała Simonowi promienny uśmiech i zdecydowanie skinęła mu głową na powitanie, jakby chciała powiedzieć „Ani na chwilę w ciebie nie zwątpiłam. No może na jedną króciutką”.

Simon i George zjawili się jako ostatni i zaraz potem wszyscy zajęli swoje miejsca na czas ceremonii. Siedmiu Przyziemnych stanęło w porządku alfabetycznym w przedniej części sali. Miało być ich dziesięcioro, ale najwyraźniej Sunil nie był jedynym, który zmienił zdanie w ostatniej chwili. Leilana Jay, bardzo wysoka i bardzo blada dziewczyna z Memphis oraz umięśniony Boris Kashkoff o rumianych policzkach z Europy Wschodniej wymknęli się nocą z Akademią. Nikt o nich nie mówił, ani nauczyciele, ani uczniowie. Jakby nigdy nie istnieli, pomyślał Simon, a potem wyobraził sobie Sunil, Leilanę i Borisa żyjących

gdzieś samotnie w świecie ze swoją wiedzą na temat Świata Cieni, świadomych zła, ale niezdolnych z nim walczyć.

„Istnieje więcej niż jeden sposób walki ze złem na świecie”, rozległo się w głowie Simona i był to głos Clary, Isabelle, matki i jego własny. „Nie rób tego, co myślisz, że musisz. Zrób to, czego chcesz”.

I tylko, jeśli tego chcesz.

Uczniowie będący Nocnymi Łowcami – Simon nie myślał już o nich jak o „elicie”, tak jak nie nazywał w myślach siebie i pozostałych Przyziemnych „motłochem” – siedzieli w pierwszych dwóch rzędach publiczności. Nie istniały już dwie grupy wśród uczniów. Teraz wszyscy stanowili jedną całość. Jedność. Nawet Jon Cartwright wyglądał na dumnego z powodu Przyziemnych stojących na przedzie sali i trochę zdenerwowanego. A kiedy Simon przyłapał go, jak posyła spojrzenie Marisol, przyciskając dwa palce do ust, a potem do piersi, wydało mu się to niemal naturalne. (W każdym razie nie uznał tego za przejaw kompletnego wynaturzenia, a to już coś). Wśród publiczności nie było krewnych – ci z Przyziemnych, którzy nadal mieli rodziny (a było ich przygnębiająco niewiele), już zerwali z nimi kontakt. Rodzice George’a, którzy byli Nocnymi Łowcami (przynajmniej z urodzenia, choć nie z wyboru), mogli przybyć, ale George poprosił, żeby tego nie robili. „Na wypadek gdybym eksplodował, stary”, zwierzył się Simonowi. „Nie zrozum mnie źle, Lovelace’owie to twardzi ludzie, ale chyba nie byłiby zachwyceni, gdyby dostali w twarz George’em w stanie ciekłym”.

Mimo to sala była prawie pełna. To była pierwsza od dziesięcioleci klasa Przyziemnych z Akademii, którzy mieli dostąpić Wstąpienia, i całkiem sporo Nocnych Łowców chciało to zobaczyć. Za uczniami tłoczyli się Clary, Jace, Isabelle, Magnus i Alec – to była niespodzianka, że wrócili z tej okazji z Bali – którzy na przemian zmagali się z wiercącym się niebieskim

niemowlakiem. Wszyscy (nawet dziecko) skupili się na Simonie, jakby siłą woli mogli mu pomóc przejść przez rytuał.

Oto co znaczy Wstąpienie, pomyślał Simon. Oto co znaczy być Nocnym Łowcą. Nie chodzi o narażanie życia, rysowanie runów, walkę z demonami i niekiedy ratowanie świata. Nie o wstąpienie do Clave i zgodę na przestrzeganie drakońskich zasad. Chodziło o dołączenie do przyjaciół. Miał stać się częścią czegoś większego niż on sam, czegoś równie cudownego jak przerażającego. Tak, jego życie było znacznie mniej bezpieczne niż dwa lata temu, ale o ile pełniejsze. Jak Sala Narad wypełniło się ludźmi, których kochał i którzy kochali jego.

Można ich było niemalże uznać za rodzinę.

* * *

A potem rozpoczął się rytuał.

Przyziemnych wzywano po kolei na podwyższenie, na którym stali z powagą profesorowie i czekali, żeby uścisnąć im dłonie i życzyć powodzenia.

Po kolei Przyziemni podchodzili do podwójnego kręgu wyrysowanego na podwyższeniu i klękali pośrodku runów. Dwaj Cisi Bracia stali obok, na wypadek gdyby coś poszło źle. Za każdym razem gdy Przyziemny zajmował miejsce, pochylali się nad runami i wycinali nowy, symbolizujący imię ucznia. Potem powracali na skraj podwyższenia i stawali nieruchomo jak posągi w pergaminowych szatach. Patrząc. Czekając.

Simon także czekał, gdy kolejno jego przyjaciele unosili do ust Kielich Anioła. Oślepiający rozbłysk niebieskiego światła obejmował ich, a potem przygasał.

Jeden po drugim.

Gen Almodovar. Thomas Daltrey. Marisol Garza.

Każdy uczeń pił.

Każdy to przeżył.

Rytuał ciągnął się bez końca.

Tyle że kiedy Konsul odczytała jego nazwisko, wydarzyło się to zbyt szybko.

Stopy Simona były jak z betonu. Zmusił się, żeby podejść do podwyższenia, stawiając jeden krok za drugim. Serce dudniło mu jak głośnik basowy, aż drżało całe jego ciało. Profesorowie uścisnęli mu dłoń i nawet Delaney Scarsbury mruknął: „Zawsze wiedziałem, że masz w sobie potencjał, Lewis”. Kłamał w żywe oczy. Catarina Loss mocno ścisnęła mu dłoń i przyciągnęła go do siebie. Jej olśniewająco białe włosy omiotły mu ramię, kiedy musnęła ustami jego ucho. „Skończ to, co zacząłeś, Chodzący za Dnia. Masz moc zmienić tych ludzi na lepsze. Nie zmarnuj tego”.

Jak większość uwag Catariny i ta nie miała za wiele sensu, ale pewna część Simona doskonale ją rozumiała.

Ukląkł pośrodku kręgów i zmusił się do oddychania.

Konsul stanęła nad nim w tradycyjnej czerwonej szacie do ziemi. Simon wbijał wzrok w runy, ale wyczuwał kibicującą mu Clary; słyszał echo śmiechu George’a; czuł echo ciepłego dotyku Izzy na skórze. W środku kręgów, otoczony runami, czekając na boską krew, która popłynie jego żyłami i zmieni go w jakiś nieodgadniony sposób, poczuł ogromną samotność. A jednocześnie nigdy w życiu nie czuł się mniej samotny.

Była tu jego rodzina i go wspierała.

Nie pozwolą, żeby zawiódł.

– Czy przysięgasz, Simonie Lewisie, porzucić przyziemny świat i podążać ścieżką Nocnych Łowców? – zapytała Konsul Penhallow.

Simon spotkał ją już przy okazji jej wykładu w Akademii, a potem raz jeszcze podczas ślubu jej córki z Helen Blackthorn. Przy obu okazjach przypominała typową matkę – energiczną, kompetentną, względnie sympatyczną i niekryjącą zbyt wielu niespodzianek. Teraz jednak wydawała się przerażająca

i potężna. Była nie tyle osobą, ile chodzącą skarbnicą tysiącleci tradycji Nocnych Łowców.

– Czy przyjmiesz krew anioła Razjela i będziesz ją czcił? Czy przysięgasz służyć Clave, przestrzegać Prawa ustanowionego przez Przymierze i wypełniać rozkazy Rady? Czy będziesz bronić śmiertelnych, wiedząc, że za swoją służbę nie otrzymasz żadnej nagrody, żadnych podziękowań, a mimo to jej pełnienie będzie dla ciebie zaszczytem?

Dla Nocnych Łowców przysięga to kwestia życia i śmierci. Jeśli ją złoży, nie będzie miał powrotu do dawnego życia, do Simona Lewisa, Przyziemnego maniaka gier i komiksów aspirującego do roli gwiazdy rocka. Nie miał innej możliwości. Pozostała tylko ta przysięga i miał całe życie, by ją wypełnić.

Simon wiedział, że gdyby podniósł wzrok, napotkałby spojrzenie Isabelle albo Clary, zaczerpnąłby od nich sił. Mógłby je bezgłośnie zapytać, czy to właściwa droga, a one zapewniłyby go, że tak.

Jednakże to był jego wybór, nie ich. Musiał należeć do niego i tylko do niego.

Zamknął oczy.

– Przysięgam. – Głos mu nie zadrżał.

– Możesz być tarczą dla słabych, światłem w ciemności, prawdą wśród fałszu, wieżą w potopie, widzącym okiem, gdy wszyscy inni są ślepi?

Simon wyobraził sobie całą historię kryjącą się za tymi słowami, wszystkich konsulów przed Jią Penhallow wiele dziesiątków i setek lat wstecz, trzymających ten sam kielich przed kolejnymi Przyziemnymi. Tak wielu śmiertelników zgłosiło się na ochotnika do walki. Zawsze wydawali się Simonowi niezwykle odważni – poświęcali własną przyszłość dla większej sprawy, nie dlatego, że urodzili się, by wziąć udział w wielkiej walce między dobrem i złem, ale ponieważ sami zdecydowali, że nie chcą stać z boku, gdy inni za nich walczą.

Dotarło do niego, że skoro byli dzielni, dokonując takiego wyboru, to może on także był.

W tej chwili wcale nie czuł się odważny.

Po prostu czuł, że robi kolejny krok na przód. Tak zwyczajnie.

To było do tego stopnia nieuchronne.

– Mogę.

– A kiedy zginiesz, czy oddasz swoje ciało Nefilim, aby je spalili, a twoje popioły posłużyły do budowy Miasta Kości?

Nawet myśl o tym go nie przerażała. Nagle poczuł, że to zaszczyt – jego ciało będzie użyteczne nawet po jego śmierci; od tej pory świat Nocnych Łowców będzie miał prawo do niego po wsze czasy.

– Tak – odpowiedział.

– Zatem pij.

Simon wziął Kielich w dłonie. Był cięższy, niż wyglądał, i dziwnie ciepły w dotyku. Cokolwiek znajdowało się w środku, na szczęście nie wyglądało jak krew, ale też nie przypominało niczego, co by rozpoznawał. Gdyby nie wiedział lepiej, uznałby, że Kielich jest pełen światła. Kiedy zerknął na nie, odniósł wrażenie, że dziwny płyn pulsuje słabą poświatą, jakby mówił: „Śmiało, napij się mnie”.

Nie pamiętał, kiedy pierwszy raz zobaczył Kielich Anioła – to było jedno z tych wspomnień, które nadal nie powróciły – ale wiedział, jaką rolę odegrał w jego życiu. Wiedział, że gdyby nie Kielich, on i Clary nigdy nie odkryliby istnienia Nocnych Łowców. Wszystko zaczęło się od Kielicha Anioła. Uznał, że to także stosowne zakończenie.

Nie zakończenie, poprawił się szybko w myślach. Miejmy nadzieję, że nie.

Mówi się, że im się jest młodszym, tym mniejsze ryzyko, że łyk z Kielicha cię zabije. Simon miał w subiektywnym odczuciu dziewiętnaście lat, ale niedawno dowiedział się, że zgodnie z regułami Nocnych Łowców ma dopiero osiemnaście. Miesiące,

które przeżył jako wampir, najwyraźniej się nie liczyły. Mógł mieć tylko nadzieję, że Kielich to zrozumie.

– Pij – powtórzyła cicho Konsul, a w jej głosie zabrzmiała ludzka nutka.

Simon uniósł puchar do ust.

Napił się.

* * *

Jest zaplątany w objęciach Isabelle, osłonięty przez jej włosy, dotyka jej ciała, zatracą się w niej, w jej zapachu, smaku, jedwabistej gładkości skóry.

Stoi na scenie, muzyka dudni, podłoga drży, publiczność skanduje, a jego serce bije, bije, bije w rytm perkusji.

Śmieje się z Clary, tańczy z Clary, je z Clary, biegnie ulicami Brooklynu z Clary, są razem dziećmi, są połówkami całości, trzymają się mocno za ręce i przysięgają sobie, że nigdy nie wypuszczą swoich dłoni.

Staje się zimny, sztywny, życie wycieka z niego, leży pod ziemią, w ciemności, przedziera się do światła, drapie paznokciami ziemię, która wypełnia mu usta, zalepia oczy. Walczy, sięga, wyczołguje się ku niebu, a kiedy mu się udaje, otwiera szeroko usta, ale nie oddycha, nie czuje już potrzeby oddychania, tylko głód. Ogromny głód.

Zatapia zęby w szyi dziecka anioła i pije światło.

Znosi Znak, który go pali.

Unosi twarz, żeby napotkać spojrzenie anioła, i furia anielskiego ognia obdziera go ze skóry, a jednak on nadal żyje, w całej swojej zuchwałości.

Jest w klatce.

Jest w piekle.

Pochyla się nad połamanym ciałem pięknej dziewczyny, modli

się do tego boga, który go wysłucha, żeby pozwolił jej żyć, byleby tylko pozwolił jej żyć.

Oddaje to, co jest dla niego najcenniejsze, i robi to chętnie, by mogli przeżyć jego przyjaciele.

Znowu jest z Isabelle, zawsze z Isabelle, święty płomień ich miłości otacza ich oboje, pojawia się ból, niespotykana radość, jego żyły płoną anielskim ogniem i jest Simonem, którym był kiedyś, i Simonem, którym się stał, i Simonem, którym się stanie, przetrwał i odrodził się, jest krwią, ciałem i boską iskrą.

Jest Nefilim.

* * *

Nie widział rozbłysku światła, którego się spodziewał – zalały go tylko wspomnienia, przybój, który kiedyś groził, że go zatopi. Nie chodziło o to, że całe życie przemknęło mu przed oczami; to była wieczność, wszystkie wersje jego, które mogły kiedykolwiek zaistnieć. A potem to ustało. Jego umysł się uspokoił. Dusza ucichła. Wspomnienia, cząstki jego osoby, które mógł utracić na zawsze, powróciły.

Przez dwa lata próbował sobie wmówić, że nic się nie stanie, jeśli nigdy nie odzyska pamięci, że może żyć, składając razem fragmenty przeszłości, opierając się na słowach innych, którzy opowiadali mu o osobie, którą kiedyś był. Jednak nigdy nie czuł się z tym dobrze. Pusta dziura w pamięci była jak brakująca kończyna. Nauczył się z tym funkcjonować, ale nigdy nie przestał odczuwać braku i bólu.

Teraz wreszcie znowu był cały.

Zdał sobie sprawę, że jest więcej niż całością, gdy Konsul z dumą oznajmiła:

– Teraz jesteś Nefilim. Nazywam cię Simonem Nocnym Łowcą, potomkiem Jonathana Nocnego Łowcy, dzieckiem Nefilim.

To było tymczasowe nazwisko, dopóki sam nie wybierze sobie jakiegoś. Jeszcze chwilę temu to wydawało się nie do pomyślenia, a teraz czuł, że to po prostu prawda. Był tą osobą, którą był zawsze... a jednak nie był już Simonem Lewisem. Był kimś nowym.

– Powstań.

Czuł się... Nie wiedział jak, poza tym, że był oszołomiony. Wypełniony radością, konsternacją i czymś, co odbierał jak migoczące światło, które z każdą sekundą narastało.

Czuł się silny.

Czuł się gotowy.

Czuł, że jego mięśnie brzucha to nadal co najwyżej dwupak, ale rozumiał, że nawet magiczny kielich nie zdoła cudów.

Konsul odchrząknęła.

– Powstań – powtórzyła. A potem szepnęła: – To znaczy, że masz wstać i ustąpić miejsca następnej osobie.

Simon nadal próbował otrząsnąć się z radosnego otępienia, kiedy wracał do pozostałych. Następny był George i kiedy się mijali, przybili ukradkiem piątkę.

Simon zastanawiał się, co George zobaczy w świetle, czy to będzie równie cudowne. Zastanawiał się, czy po ceremonii podzielą się wrażeniami, czy też to jedna z tych rzeczy, które każdy zachowuje dla siebie. Podejrzewał, że obowiązują tu jakieś reguły – Nocni Łowcy mają reguły na każdą okazję.

Mamy, poprawił się cierpko w myślach. My mamy reguły na każdą okazję.

Będzie potrzebował czasu, żeby do tego przywyknąć.

George klęczał w kręgach i trzymał Kielich Anioła. To było dziwne być Nocnym Łowcą, kiedy George jest nadal Przyziemnym, jakby teraz pojawił się między nimi niewidzialny mur. Nigdy w życiu nie oddalimy się od siebie bardziej, pomyślał Simon, ponaglając w myślach współlokatora, żeby się pośpieszył i napił.

Konsul wypowiedziała tradycyjne słowa. George bez wahania złożył przysięgę wierności Nocnym Łowcom, wziął głęboki wdech i rażno uniósł Kielich Anioła, jakby wznosił toast.

– *Slàinte!* – zawołał, a kiedy jego przyjaciele zaśmiali się pobłażliwie, wypił łyk.

Simon nadal się śmiał, kiedy rozległ się krzyk.

W sali zapadło grobowe milczenie, ale w umyśle Simona nadal rozlegał się okrzyk bólu. Nieludzki, nieziemski wrzask.

Krzyk George’a.

Na podwyższeniu George’a i Konsul pochłonął niemożliwy rozbłysk oślepiającej ciemności. Kiedy zgasł, Konsul stała, a Cisi Braci już pojawili się przy niej i patrzyli na coś potwornego, co miało ludzki kształt, ale było pozbawione ludzkiej twarzy i skóry. Na coś o czarnych żyłach wybrzuszących się na pękającym cieple, coś z Kielichem Anioła nadal ściszanym w sztywnej pięści, na zwiędłą, zwiniętą, kruszącą się istotę o włosach George’a i w jego tenisówkach. Jednak zamiast uśmiechu George’a to coś miało zastygły pozbawiony zębów grymas, z którego sączyło się coś zbyt czarnego, by to mogła być krew. To nie George, rozmyślał gorączkowo Simon, kiedy to coś przestało dygotać i drżeć i wreszcie znieruchomiało. Jakimś cudem w głowie Simona George nadal krzyczał.

Nagle w sali zapanowało poruszenie – odpowiedzialni dorośli wyprowadzali uczniów z pomieszczenia, rozlegały się krzyki, piski i zduszone westchnienia – ale Simon prawie tego nie zauważył. Ruszył ku temu czemuś, co nie mogło być George’em, parł do podwyższenia z całą siłą i szybkością Nocnego Łowcy. Zamierzał uratować kumpla, bo teraz był Nocnym Łowcą, a to właśnie robią Nocni Łowcy.

Nie zauważył, kiedy Catarina Loss stanęła za nim, dopóki nie poczuł jej dłoni na ramionach. Trzymała go na tyle słabo, że mógłby się wyrwać, ale nie był w stanie się poruszyć.

– Puść mnie! – wściekał się Simon.

Cisi Bracia klęczeli już przy tym czymś, przy ciebie, ale nic nie robili. Nie pomagali. Wpatrywali się tylko w pajęczynę atramentowych żył rozlewającą się na ciebie.

– Muszę mu pomóc!

– Nie. – Dłoń Catariny musnęła czoło Simona i krzyk w jego umyśle ucichł. Nadal go trzymała; nadal nie mógł się poruszyć. Był Nocnym Łowcą, ale ona była czarownicą. Był bezradny. – Za późno.

Simon nie mógł patrzeć na czarne żyły pożerające skórę i puste oczy wtopione w czaszkę. Tenisówki George'a. Jedna była niezasnurowana; to mu się często zdarzało. Jeszcze tego ranka George potknął się o własną sznurówkę, a Simon złapał go, by się nie przewrócił.

– Ostatni raz mnie ratujesz – powiedział George z kolejnym tęsknym westchnieniem, a Simon odparł:

– Wątpię.

Żyły pękały z trzaskiem jak płatki ryżowe w mleku. Z ciała zaczęło się coś sączyć.

Teraz Simon złapał się Catariny. Mocno.

– Jaki to ma sens? – zapytał rozpaczliwie, bo jaki sens ma taka śmierć, nie w walce, nie dla dobrej sprawy, nie żeby ratować innego wojownika lub świat, ale po nic? Jaki sens miało życie Nocnego Łowcy, jaki sens miały umiejętności, odwaga i nadludzkie możliwości, kiedy można było tylko stać i patrzeć?

– Czasem nie ma sensu – odpowiedziała delikatnie Catarina. – Jest tylko to, co jest.

To, co jest, pomyślał Simon, a fala gniewu, frustracji i grozy niemal go pożarła. Nie pozwoli, żeby go pochłonęła, nie straci tej chwili, jeśli tylko tyle miał. Przez dwa lata umacniał się, więc teraz będzie silny przez wzgląd na George'a, tylko tyle mu zostało. Da świadectwo tej chwili.

Przywołał całą swoją wolę. To, co jest.

Zmusił się do patrzenia.

To, co jest. George. Odważny, życzliwy i dobry.

Martwy. George odszedł.

Chociaż nie wiedział, co Prawo mówi na temat śmierci podczas picia z Kielicha Anioła i czy Clave uznałoby George'a za swojego i przyznałoby mu prawo do pochówku Nocnego Łowcy, miał to w nosie. Wiedział, czym był George, kim miał zostać, na co zasługiwał.

– *Ave atque vale*, George Lovelace, dziecię Nefilim – szepnęła. – Na zawsze, mój bracie, witaj i żegnaj.

* * *

Simon musnął palcem litery wycięte na małej kamiennej płycie: GEORGE LOVELACE.

– Ładna, prawda? – odezwała się stojąca za nim Isabelle.

– Prosta – dodała Clary. – Podobałoby mu się to, nie uważasz?

Simon pomyślał, że George wolałby stać się częścią Miasta Kości jako Nocny Łowca. (A właściwie to wolałby żyć). Clave odmówiło. Zginął w trakcie Wstąpienia, co w ich oczach oznaczało, że nie był godny. Simon bardzo się starał nie czuć gniewu z tego powodu.

W ostatnich dniach bardzo wiele wysiłku wkładał w pohamowanie gniewu.

– To miłe ze strony Instytutu Londyńskiego, że zaoferowało mu miejsce, nie uważasz? – powiedziała Isabelle.

Simon słyszał w jej głosie, jak bardzo się stara, jak martwi się o niego.

„Powiedziano mi, że Lovelace'owie są zawsze mile widziani w Instytucie Londyńskim”, poinformował go George, kiedy usłyszał o swoim przydziale.

Po jego śmierci Instytut dotrzymał słowa.

Odbył się pogrzeb, który Simon przetrzymał. Zorganizowano

wiele ponownych spotkań, małych i dużych, z przyjaciółmi z Akademii. Simon i pozostali opowiadali historie i dzielili się wspomnieniami, starali się nie myśleć o ostatnim dniu. Jon prawie cały czas płakał.

Potem nastąpiły inne rzeczy: życie w roli Nocnego Łowcy, na szczęście pracowite, bo musiał trenować i eksperymentować ze swoją nową zręcznością i energią, a od czasu do czasu walczyć z demonem albo łamiącym prawo wampirem. Spędzał długie dni z Clary, rozkoszując się faktem, że teraz pamięta każdą sekundę ich przyjaźni. Przygotowywali się do ceremonii *parabatai*, która miała nastąpić już za parę dni. Odbył mnóstwo treningowych pojedynków z Jace'em, które kończyły się zwykle tym, że Simon leżał plackiem na plecach, a Jace stał nad nim, chełpiąc się swoimi umiejętnościami, bo w taki właśnie sposób okazywał przyjaźń. Bywały wieczory, kiedy pilnował synka Magnusa i Aleca, tulił małego niebieskiego chłopca do piersi i śpiewał mu kołysanki, czując przez kilka bezcennych minut niemal całkowity spokój.

Była też Isabelle, która go kochała i sprawiała, że każdy dzień promieniał.

Było tyle rzeczy, dla których warto żyć, więc Simon żył, czas mijał... a George nadal był martwy.

Poprosił Clary, żeby przeniosła go tutaj, do Londynu, z powodu, którego do końca nie rozumiał. Pożegnał się z George'em już tyle razy, a jednak żadne z tych pożegnań nie wydawało się ostateczne, właściwe.

– Zabiorę cię tam – powiedziała wtedy Clary – ale przeniosę się razem z tobą.

Isabelle też się przy tym uparła i Simon się z tego cieszył.

Delikatny wiaterek szumiał w ogrodzie Instytutu, szeleszcząc liśćmi i niosąc słaby zapach orchidei. Simon pomyślał, że George byłby zadowolony, że przynajmniej spędzi wieczność w miejscu, gdzie nie grożą mu owce.

Stał pomiędzy Clary i Isabelle. Obie wzięły go za ręce i trwali tak w milczeniu, związani. Teraz kiedy Simon odzyskał przeszłość, przypominał sobie wszystkie chwile, kiedy niewiele brakowało, a straciłby jedną z nich. Pamiętał też doskonale wszystkich, których utracił. W walce, z powodu morderstwa, choroby. Wiedział, że bycie Nocnym Łowcą oznacza, że poznaje się śmierć bardzo blisko.

Zresztą bycie człowiekiem także.

Pewnego dnia straci Clary i Isabelle albo one jego. Nic tego nie powstrzyma. „Więc jaki to ma sens”, zapytał Catarina, ale teraz rozumiał. Nie chodzi o to, żeby próbować żyć wiecznie; rzecz w tym, żeby żyć i robić, co w twojej mocy, żeby żyć dobrze. Chodzi o wybory, które podejmujesz i o ludzi, których kochasz.

Simon zdusił okrzyk.

– Simon? – zapytała zaniepokojona Clary. – Co się stało?

Simon nie mógł odpowiedzieć. Wpatrywał się tylko w nagrobek, nad którym powietrze połyskiwało i przezroczyste światło formowało się w dwie postaci. Jedna była dziewczyną mniej więcej w jego wieku; miała długie blond włosy, niebieskie oczy i staroświecką suknię księżnej z BBC. Drugą był George, który uśmiechał się do Simona. Dziewczyna trzymała rękę na jego ramieniu i było coś życzliwego w tym geście, coś ciepłego i znajomego.

– George – szepnął Simon.

Zamrugał i postacie zniknęły.

– Simon, na co się tak gapisz? – zapytała Isabelle poirytowanym napiętym głosem, jakim mówiła tylko wtedy, kiedy starała się nie bać.

– Na nic.

Co miał powiedzieć? Że widział ducha George'a, który wyłonił się z mgły? To, że zobaczył George'a, prawie miało sens, ale dlaczego zobaczył też piękną nieznaną w staroświeckim stroju? Wiedział, że Nocni Łowcy mogą zobaczyć duchy, kiedy te

chcą im się ukazać, ale też zdawał sobie sprawę, że ludzie w żałobie często widzą to, co chcą zobaczyć.

Simon nie wiedział, co o tym myśleć. Wiedział jednak, co chciał myśleć.

Chciał, żeby piękny duch Nocnej Łowczyni z przeszłości, może od dawna nieżyjącej członkini rodu Lovelace'ów, zabrał ze sobą George'a tam, dokąd odchodzą dusze. Chciał wierzyć, że George został powitany przez przodków, że jakaś jego część nadal istnieje.

Wątpię, pomyślał Simon. George był adoptowany, nie miał krwi Lovelace'ów. A dla Nocnych Łowców, pewnie nawet dla martwych, którzy nawiedzali brytyjskie ogrody, wszystko sprowadzało się do krwi.

– Simon... – Isabelle przycisnęła usta do jego policzka. – Wiem, jak bardzo... Wiem, że był dla ciebie jak brat. Żałuję, że nie poznałam go lepiej.

Clary uścisnęła mu dłoń.

– Ja też.

Simon przypomniał sobie, że obie straciły braci.

I obie dbały o coś więcej niż tylko więzy krwi. Obie rozumiały, że rodzina to także kwestia wyboru, kwestia miłości. Podobnie jak Alec i Magnus, którzy przygarnęli cudze dziecko, dali mu dom i serce. I jak Lightwoodowie, którzy adoptowali Jace'a, kiedy nie miał nikogo innego.

Tak samo Simon, który teraz sam został Nocnym Łowcą. I który, podejmując nowe wybory, mógł na nowo zdefiniować sens bycia Nocnym Łowcą. Lepsze wybory.

Rozumiał teraz, dlaczego czuł, że musi wrócić, prawie jakby go tu wezwano. Wrócił nie po to, żeby pożegnać się z George'em, ale żeby znaleźć sposób zachowania jego części.

– Chyba wiem, jakie nazwisko chcę przyjąć jako Nocny Łowca – powiedział.

– Simon Lovelace – powiedziała Clary, która jak zawsze znała

jego myśli. – Ładnie brzmi.

Usta Isabelle zadrżały.

– Seksownie.

Simon się roześmiał i zamrugał, żeby pozbyć się łzy. Przez jeden zamazany moment miał wrażenie, że znowu widzi we mgle uśmiechającego się szeroko George'a, ale zaraz znowu zniknął. George Lovelace odszedł.

Jednakże Simon Lovelace nadal tu był i nadszedł czas, by wykorzystać ten fakt.

– Jestem gotowy – powiedział do Clary i Isabelle - dwóch cudów, które odmieniły jego życie, dwóch wojowniczek, które ryzykowały wszystko dla bliskich, dwóch dziewczyn, które stały się jego bohaterkami i rodziną. – Wracajmy do domu.